


RICHARD HERMAN



282 lotników
US Air Force
jest torturowanych
w irańskim więzieniu...
Akcja musi być szybka.
I udać się za pierwszym razem...

ORLE SZPONY

Richard Herman Jr.

Orle szpony

Przekład: Krzysztof Bednarek

Force of Eagles

Prolog

Sierżant Javad Khalian – komandos Gwardii Rewolucyjnej – obserwował uważnie swój cel, starając się upewnić, że odnalazł cudzoziemca. Z początku omal go nie przeoczył – mężczyzna nie pasował do rysopisu, jaki przekazano Khalianowi. Jednak w miarę jak Javad mu się przyglądał, nabierał coraz większej pewności, że rzeczywiście widzi przed sobą młodego Amerykanina, którego tak zawzięcie poszukiwała Rada Strażników Rewolucji. Dziesięć tysięcy dolarów w złocie, jakie ofiarowywali mułlowie, było dowodem, że zależy im na tym człowieku.

Sierżant musiał mieć jednak pewność, gdyż od wykonania zadania bardzo wiele zależało – być może mógłby zostać nawet dowódcą kompanii albo batalionu Gwardii Rewolucyjnej. Oznaczało to władzę i prestiż, a więc dominację nad głupcami, z którymi musiał służyć. Potrzebny im prawdziwy przywódca, taki jak on. Na razie jednak nie chciał się narażać na żarty, że schwytał niewłaściwą osobę – nie po raz pierwszy zresztą.

Zaczynał już zapadać zmrok i trudno było śledzić mężczyznę na zatłoczonym targu w Khorramabadzie – miasteczku leżącym na przełęczy w górach Zagros, w zachodnim Iranie. Khalian zatrzymał się obok jednego ze straganów, który sprzedawca właśnie zamykał, szykując się do wieczornych modłów i przyjrzał się uważnie śledzonemu. Poczul zaskoczenie – Amerykanin był tak podobny do niego samego... Nic dziwnego, że nie udało się go do tej pory odnaleźć ani schwytać.

Młody Irańczyk widział swoją przyszłość w coraz wspanialszych barwach. Chciałby kroczyć dumnie za śledzonym, a jednak miał wątpliwości. Zbyt wielu podejrzanych już złapano, po to tylko, aby po ustaleniu tożsamości wypuścić ich lub dokonać egzekucji. Khalian nie przejmował się bynajmniej tym, że wieszano publicznie niewinnych ludzi – zgadzał się, że egzekucje są niezbędne, jeśli Gwardia ma wzbudzać należyty respekt i pozostać skuteczna. W tym momencie jednak przeklinał niepewność, która powstrzymywała go od działania – śledzony mężczyzna poruszał się i zachowywał jak Irańczyk. Jednak było w nim coś innego, trudnego do określenia. Czy to sposób stawiania kroków? Gesty?

Javad ruszył za Amerykaninem pospiesznie, nie chcąc zgubić go pośród rzędniejącego już tłumu. Nie zauważył, że mężczyzna zatrzymał się, aby zamienić parę słów ze sprzedawcą owoców. Sierżant omal na niego nie wpadł, poszedł więc szybko dalej, aby nie wzbudzić podejrzeń. Wmieszał się na chwilę w tłum, po czym wrócił wypytać straganiarza.

– Ten, który właśnie kupował owoce, staruszk. Powiedz no, czy był

cudzoziemcem?

– Nie – stary handlarz odburknął niemal wrogo. Nie zamierzał rozmawiać z napuszczonym młodym sierżantem, którego aroganckie zachowanie nie było godne wyznawcy Allaha.

Ego Khaliana nie tolerowało nawet myśli o ewentualnej obeldze.

– A skąd możesz wiedzieć, ty stara kupo świńskiego gnoju? – odparł, wykonując znaczący ruch swoim kałasznikowem.

– Mówił i zachowywał się tak, jak jeden z wiernych – odpowiedział starszy człowiek tonem napomnienia.

Młody gwardzista miał ochotę zastrzelić natychmiast straganiarza, karząc go za zuchwalstwo, jednak zdawał sobie sprawę, że jeśli Amerykanin usłyszy strzał, natychmiast się ukryje. Jeśli był Amerykaninem... Javad postanowił, że rachunki ze starym głupcem wyrówna później, a najpierw złapie cudzoziemca. Nabrał pewności siebie, widząc, że jego ofiara je coś przy kolejnym straganie, odległym o jakieś trzydzieści metrów. Khalian opuścił karabin i chwycił za kolbę pistoletu, aby tłum spostrzegł, że sierżant szykuje się do akcji. Pobiegnął w stronę Amerykanina, czując się prawdziwym żołnierzem Allaha – choć wciąż nie był pewien tożsamości podejrzanego. Miał już dość skradania się i zachowywania ostrożności.

Kiedy znalazł się dziesięć metrów od straganu, nagle stracił ściganego z oczu. Gdzie on się podział? Javad dostrzegł wąskie przejście pomiędzy domami i poczuł rozczarowanie, że wróg rzucił się do ucieczki, zamiast dać się pochwycić na oczach tych wszystkich ludzi, którzy następnie pełni podziwu opowiadaliby o bohaterstwie sierżanta – jak złapał najbardziej poszukiwanego człowieka w Iranie.

Javad zaczął biec, bojąc się, że zgubi cudzoziemca. Skręcił za róg uliczki i zorientował się, że jest ślepa. Nie zobaczył nikogo. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, był tak straszliwy ból szyi, że nie mógł nawet krzyknąć.

Mężczyzna skręcił garotę i drut werznął się głęboko w gardło Khaliana. Cudzoziemiec przytrzymał jednocześnie ciało Irańczyka tak, aby nie było słychać, jak pada, po czym przeciągnął je w cień. Poruszał się szybko, jednak nie w sposób, który zwracałby uwagę. Odwinął drut i wytarł go o koszulę zabitego. Przeszukał mu kieszenie i zabrał dokumenty oraz pieniądze. W końcu ułożył ciało tak, jak gdyby mężczyzna ucinął sobie drzemkę. Karabin ukrył starannie pod swoją ofiarą.

Teraz przyjrzał się uważnie własnemu ubraniu, sprawdzając, czy nie poplamził się krwią. Odkrył dwie nieduże plamki koło lewego kolana, wytarł więc w nie błoto, które następnie zeszkobał małym, lecz bardzo ostrym nożem. Rozejrzał się, upewnił, że nadal jest sam i ruszył dalej. Zatrzymał się za rogiem, obejrzał jeszcze raz w poszukiwaniu śladów krwi, po czym przekartkował dokumenty Irańczyka.

Mężczyzna ucieszył się, bo papiery pasowały do niego dużo lepiej niż te, które posiadał do tej pory. Wrócił więc do zabitego i pozostawił w kieszeni koszuli ofiary swoje stare dokumenty i część pieniędzy. Starannie zapiął guzik.

Poszperał w bocznej kieszeni torby, którą miał na ramieniu, i wyjął z niej notes oraz długopis. Szybko nagryzmolił parę słów w farsy, czyli języku używanym w Iranie: „Za pozbawienie honoru mojej siostry, mojej rodziny i za to, że na świecie szerzy się korupcja”. Następnie otworzył usta zabitego i wsunął w nie karteczkę, mamrocząc po angielsku:

– Uwierz w to bez kłopotu, ty sukinsynu.

Zdał sobie sprawę, że mówi do siebie po angielsku, przeszedł więc na farsy.

– To mógł być śmiertelny w skutkach błąd – stwierdził. Za długo przebywał sam i zaczynał już nawet mówić do siebie. – Trudny byłeś. Myślałem, że nie chwycisz przynęty. Przez chwilę bałem się o własną skórę. – Mężczyzna skarcił się za to, że kilka razy podjął ryzyko zwrócenia na siebie uwagi Irańczyka, by potem zaciągnąć go w wybrane miejsce. Zdecydował jednak, że wszystkie wykonane kroki były niezbędne. W końcu wyciągnął z torby zakupiony kilka dni wcześniej w innym miasteczku duży plastikowy worek.

Nie bez trudności nasunął worek na ciało. Był zadowolony, że wybrał tego młodego komandosa. Zawiązał koniec worka i pociągnął zabitego w stronę wielkiego stosu śmieci. Szybko przysypał worek odpadkami. Ponieważ islam zakazuje dotykania nieczystości, istniała możliwość, że ciało zostanie odkryte dopiero wtedy, kiedy będzie już w zaawansowanym stopniu rozkładu. Wtedy do zidentyfikowania zabitego posłużą jedynie dawne papiery jego zabójcy oraz notka w języku farsy. Być może władze zadowolą się jej treścią. Może, choć najpewniej nie. Mężczyzna założył torbę na ramię, podniósł kałasznikowa i powrócił uliczką na targ. Zdołał przynajmniej zniknąć z pola widzenia na jakiś czas.

Oddalając się od placu poczuł nagłe zmęczenie. Wymówił dwa słowa po arabsku:

– Insz Allah. Niech się dzieje wola boska – dodał po angielsku. Zabrzmiało to jak komentarz do jego aktualnej sytuacji – był żołnierzem obcego państwa, poruszającym się samotnie po terytorium Iranu. Nikt nim nie dowodził ani nie kontrolował jego poczynań.

Rozdział pierwszy

Dzień D minus 34

Środkowa Arizona, USA

Dwa szare F-15 Eagle wyskoczyły z chmur, przesuających się powoli nad pustynią. Dowódca klucza odezwał się przez radio:

– Kontrola stanu.

Skrzydłowy, pułkownik Rupert Stansell, nie potwierdził odebrania polecenia. Jego palce przesunęły się po przełącznikach, uzbrajając myśliwiec do walki. Nie patrząc, sięgnął lewą ręką do usytuowanego tuż za dźwigniami przepustnic identyfikatora IFF i przestawił go na stan „uśpienia”, w którym nieprzyjaciel nie może wywołać z niego impulsu za pomocą własnego identyfikatora. Następnie mechanicznym ruchem podniósł dźwignię głównego wyłącznika uzbrojenia.

– IFF uśpiony. Uzbrojenie włączone – zameldował teraz instruktorowi, siedzącemu w tylnym fotelu szkolnej wersji D samolotu F-15 Eagle, jakim lecieli. Stansell wykonywał czynności przewidziane w sytuacji, kiedy wlatuje się nad terytorium wroga.

– Kontakt, Straszycła, na wprost, sto kilometrów – poinformował dowódca klucza, Houserman, zwany „Wężem”. Stansell stłumił jęk i podniósł przełącznik umieszczony na dźwigni lewej przepustnicy, zwiększając promień obserwowanego przez radar obszaru do stu pięćdziesięciu kilometrów. Na VSD, wyświetlaczu sytuacji pionowej – zabłysnęły dwa punkty. Pułkownik popełnił wcześniej zasadniczy błąd – trudno zobaczyć odległe o sto kilometrów cele na radarze nastawionym na siedemdziesiąt pięć kilometrów. Echa pochodziły od „przeciwników” – dwóch innych F-15 z Bazy Sił Powietrznych Luke. Stansell ledwie zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo szybko oddycha.

– Postępuj według założeń, sir – rzucił na wszelki wypadek kapitan Greg Donaldson, instruktor. Niepokoił się o pułkownika. Ostatnio nie radził on sobie dobrze z taktyką walki powietrznej.

– Toro, Lobo Jeden i Dwa wchodzą w powietrze-powietrze, punkt północny, gotowi. – Był to głos Housermana; Wąż meldował o wkroczeniu przez jego klucz nad przewidziany obszar. Houserman dostał na ten lot oznaczenie „Lobo Jeden”, a Stansell – „Lobo Dwa”. Lecieli prosto, lotem poziomym, z prędkością dziewięćset

kilometrów na godzinę. Houserman znajdował się na wysokości czterech tysięcy sześciuset metrów, Stansell – pięciu tysięcy ośmiuset.

Wąż był młodziutkim kapitanem, który zapowiadał się na wybitnego pilota myśliwców. Pułkownik zazdrościł młodemu człowiekowi jego zdolności. Już teraz umiejętności Housermana przewyższały to, co mógł kiedykolwiek osiągnąć Rupert Stansell.

„Straszydła” – czyli niezidentyfikowane samoloty – zgłosiły się teraz:

– Lobo, Toro Jeden i Dwa wchodzą w powietrze-powietrze, punkt południowy, gotowi.

– Potwierdzam, Toro – odparł Wąż – walka rozpoczęta, nagrywanie włączone. – Stansell tymczasem próbował uspokoić oddech, wiedząc, że może nałykać się zbyt dużo tlenu. Mieli jeszcze ponad dwie minuty do rozpoczęcia pozorowanej walki. Palce pułkownika przesuwają się po wyłącznikach, umożliwiających mu kontrolę nad niezbędnymi w czasie powietrznego pojedynku urządzeniami. Teraz Rupert z powrotem zmniejszył zasięg radaru do siedemdziesięciu pięciu kilometrów. Następnie uruchomił TDC, czyli kontrolę obranego celu – i nakierował krzyżujące się linie, jakie pojawiły się na VSD, na echo znajdujące się z lewej strony. Nacisnął na moment przycisk TDC, każąc systemowi radarowemu nie schodzić z celu.

– Za wcześniej, panie pułkowniku – zbeształ go Donaldson. Stansell stęknął z niezadowoleniem. Musiał przyznać rację instruktorowi. W przypadku prawdziwej walki antyradar w kabine wroga piszczałby jak oszalały, pozwalając mu zareagować w porę i uniknąć trafienia rakietą powietrze-powietrze. Rupert wyłączył więc TDC, pozbawiając się chwilowo możliwości odpalenia rakiety AIM-7M Sparrow. – Utrzymuj szyk i nie obieraj celu do czasu zbliżenia na jakieś trzydzieści kilometrów – pouczył instruktor.

Pułkownik odczekał więc siedemdziesiąt sekund, w ciągu których odległość pomiędzy lecącymi naprzeciw siebie samolotami zmalała z sześćdziesięciu pięciu do trzydziestu kilometrów. W tym czasie próbował uspokoić oddech. W końcu nastawił radar na czterdzieści kilometrów, uruchomił TDC, naprowadził linie na lewy cel i nacisnął przycisk. Tym razem radar nie chciał się jednak zablokować. Oznaczało to jedno z dwojga – awaria systemu lub zagłuszenie przez Toro.

– Atakuj Lisem Dwa – rozkazał Donaldson, mając nadzieję, że naprowadzana termicznie rakietą AIM-9L Sidewinder zdoła z bliskiej odległości zarejestrować ciepło silników nadlatujących z przeciwka F-15.

Pułkownik wyłączył więc TDC i przestawił lewym kciukiem uzbrojenie na sidewindery. W słuchawkach rozległ się donośny charakterystyczny dla odpalenia tej rakiety warkot, zagłuszając wszelkie ewentualne rozmowy. Stansell popełnił

właśnie kolejny błąd. Ściszył szybko sygnał w słuchawkach, dostrzegając akurat zbliżające się maszyny. Z chwilą osiągnięcia kontaktu wzrokowego piloci mieli swobodę manewrów – mogli angażować się w bezpośrednią walkę powietrzną z przeciwnikami.

– Tally dwa, lewa dziesiąta, trzynaście kilometrów, lekko góra! – zameldował o dostrzeżeniu „wroga” Houserman. Przynajmniej bystrością wzroku nie przewyższał Stansella.

Jednocześnie odezwał się inny głos:

– Toro Jeden. Lis Jeden na zachodniego F-15 na pięciu tysiącach ośmiuset. – W tym momencie pułkownik zobaczył migający symbol na ekranie systemu TEWS. Ostrzegął on, że pilot zbliżającego się Toro Jeden przeprowadził właśnie symulowane odpalenie rakiety AIM-7M przeciwko Rupertowi. Jakim cudem pułkownik nie usłyszał pisków własnego systemu TEWS? Widocznie zagłuszył je warkot sidewindera. A zatem Stansell popełnił jeszcze jeden błąd. W przypadku rzeczywistej walki w jego stronę śmigałby już sparrow z trzydziestokilogramową głowicą bojową. Ciągącą się za rakieta smugę białego dymu dostrzegłby już każdy pilot i wykonałby gwałtowny manewr ucieczki, usiłując przechytrzyć radar kierujący AIM-7M.

Tymczasem ten sam co poprzednio chłodny głos oznajmił:

– Toro Jeden, Lis Dwa na zachodniego F-15 na pięciu tysiącach ośmiuset. – A zatem przeciwnik odpalił i sidewindera.

– Uciekaj w prawo! – krzyknął Donaldson. – Nie ignoruj zagrożenia, pułkowniku!

Stansell nie zawahał się; po raz pierwszy tego dnia zareagował szybko. Wdepnął prawy orczyk i popchnął drążek sterowy od siebie i w prawo, wykonując manewr przypominający połówkę litery „S”. Skierował się przy tym w dół, zawracając jednocześnie.

– Dziobem na niego, pułkowniku. Ułatwia mu pan zadanie! – burknął z trudem Donaldson, walcząc z przeciążeniem o wartości sześciu g. Rupert podniósł więc dziób maszyny i wykonał ponowny zwrot, aby z powrotem znaleźć się naprzeciw „wroga”. Tym razem jednak ruch był zbyt gwałtowny i maszyna weszła w przeciążenie przekraczające osiem g. Odezwał się system ostrzegający przed nadmiernym przeciążeniem. Pułkownik był jednak tak pochłonięty wykonywaniem manewru, że nie usłyszał ani podwójnego brzęczyka, ani generowanego komputerowo kobiecego głosu, wołającego: „Przeciążenie! Przeciążenie!” Myśliwiec został poddany siłom przekraczającym dopuszczalną wartość.

Stansell stęknął i napiął się cały, zmagając ze zwielokrotnioną masą własnego ciała. W podobny sposób ludzie usiłują zwykle pokonać zatwardzenie. Nie jest to

może eleganckie, ale za to skuteczne – w obu przypadkach. Pułkownik nie stracił przytomności, jednak poczuł, że niechcący zrobił to, co normalnie robi się siedząc na sedesie. Po chwili w kabinie rozszedł się przykry zapach.

Tego było już dla Donaldsona za wiele. Włączył mikrofon i nadał do pozostałych samolotów:

– Lobo Dwa, przerwij walkę, przerwij walkę. – Jednocześnie przełączył swój regulator tlenu na sto procent, odcinając całkowicie dostęp powietrza z kabiny. Cztery myśliwce natychmiast wyrównały lot. Piloci zameldowali się kolejno. – Panie pułkowniku!... – mruknął przez interkom instruktor. – Swoim ostatnim manewrem przeciążył pan maszynę. Proszę zameldować o przeciążeniu i skierować się do bazy.

Pułkownik włączył nadajnik i powiedział:

– Lobo Dwa, wracam natychmiast do bazy. Przeciążenie sto dziesięć procent. Poziom dwa na skrzydłach – osiem i dwie dziesiąte g.

– Potwierdzam, Dwa – odparł Wąż. – Ląduj z podejścia na wprost.

– Potwierdzam – zakończył pułkownik, sprawdzając przyrządy i oglądając skrzydła.

– Sprawdź uszkodzenia – dodał Houserman, wlatując pod maszynę Stansella, aby obejrzeć ją od spodu. – Wygląda w porządku. Wracaj w pojedynkę. Do zobaczenia w sali odpraw. – Samolot Węża odskoczył na bok i skierował się w rejon pozorowanej walki, aby samotnie stawić czoło przeciwnikom.

– Będzie miał zabawę – skomentował Donaldson. – „Dwóch na jednego” to ulubiona sytuacja Węża. – Houserman będzie musiał teraz wykorzystać wszelkie posiadane umiejętności. Na wypadek przerwania misji przez Stansella przewidziana była potyczka na małej wysokości. Odbędzie się ona na zaledwie stu pięćdziesięciu metrach. Amerykańscy piloci specjalizują się w walkach na takiej wysokości, podczas gdy nikt z ich potencjalnych przeciwników nie ćwiczy w czasie pokoju czegoś podobnego. Dzięki temu podczas pierwszych dni każdej wojny F-15 będą strzelać do wrogów jak do kaczek, dopóki ci nie zrozumieją, o co chodzi. Jednak w tym momencie ani Stansell, ani Wąż, ani też Donaldson nie mieli pojęcia, że już niedługo jeden z nich będzie miał okazję zademonstrować światu skuteczność samolotu F-15.

Teraz pułkownik oparł się wygodniej. Był zlany potem. Podniósł zielonkawą szybę hełmu i otarł oczy zewnętrzną stroną rękawicy. Swędziało go prawe ucho, ale zwalczył pragnienie podrapania się. Przecież go nie mam, pomyślał. Słyszał o takim odczuciu, ale nie wierzył w nie, aż do tej chwili.

Lądowanie w bazie Luke przebiegło bez zakłóceń. Donaldson uspokoił się, oceniając sposób, w jaki pułkownik ląduje. Rupert zredukował prędkość do dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i ustawił maszynę pod kątem dwudziestu

jeden stopni. Podejście było płynne, spokojne, a Stansell oddychał teraz i mówił normalnie, niczym pilot samolotu pasażerskiego.

– Wspaniała rzecz, ten CAS. Dzięki niemu każdy prezentuje się dobrze – skomentował przez interkom Rupert. Mówił bardziej do siebie samego niż do Donaldsona. CAS – system kontroli lotu – rejestruje kąt pochylenia pionowego, przemieszczenia i przechyły boczne, prędkość opadania, przyspieszenia boczne i pionowe. Przetworzywszy wymienione dane wysyła odpowiednie sygnały do sterów, uwalniając pilota od nieustannego operowania drążkiem i orczykiem. Samolot dotknął kołami ziemi.

Kapitan Donaldson nie leciał przed chwilą z jednym z tych nowo mianowanych pułkowników, którzy spędziwszy kilka lat za jakimś biurkiem w Pentagonie, zajęci awansowaniem, zapomnieli, jak się lata. W przednim fotelu siedział Rupert Stansell, były dowódca dywizjonu F-15, odważny pilot, który zestrzelił w prawdziwej walce MiG-a; jeden z trzech ludzi, którzy zdołali uciec ze zdobytej przez nieprzyjaciela bazy Ras Assanya w Zatoce Perskiej. Instruktor nie rozumiał, co stało się z pułkownikiem.

Podczas gdy Stansell meldował obsłudze naziemnej o przeciążeniu, Donaldson ruszył do sekcji wyposażenia osobistego swojego dywizjonu. Służył w 555 Dywizjonie Treningowym Myśliwców Taktycznych, zwanym „Trzy Pięciocentówki”. Ściągnął zapobiegający wpływom przeciążenia kombinezon pilota i wyjął ze swojej szafki obrączkę oraz sygnet Akademii Sił Powietrznych. Stansell, pomyślał sobie, kumpel z Akademii nie pozwoli ci przejść przez ten „odświeżający” kurs, dopóki nie będziesz latał dobrze. Zdecydował, że czas porozmawiać ze swoim dowódcą.

Po chwili Donaldson stanął w otwartych drzwiach pokoju podpułkownika Rutherforda, zwanego Buzzem. Wysoki, chudy mężczyzna natychmiast wskazał kapitanowi krzesło. Rozmawiał właśnie przez telefon i robił miny mające być komentarzem do wypowiedzi rozmówcy. W końcu odłożył słuchawkę.

– Te same bzdury, co zawsze – stwierdził. – Sekcja public relations prosi po raz kolejny o wywiad z jedynym czarnym dowódcą dywizjonu w Taktycznych Siłach Powietrznych. Wywiady nie należą do moich zadań. – Popatrzył na przybysza. – Zdaje się, że przychodzisz z jakimś problemem. Chodzi o Stansella? – zagadnął.

– Tak. Dzisiaj latał, jak gdyby w ogóle nie miał pojęcia, o co chodzi. Minimalna, prawie zerowa orientacja sytuacyjna. Zupełnie jakby miał przed oczami jeden wielki znak zapytania.

Rutherford nie odzywał się, czekając, aż kapitan skonkretyzuje swoje spostrzeżenia.

– Przeciążył maszynę podczas zwrotu – osiem i dwie dziesiąte g. To głupie. Musieliśmy wrócić wcześniej.

– Czy nie była to jego pierwsza misja „dwóch na dwóch”? – upewnił się Rutherford. – To ważna faza szkolenia.

– Była. Ale przy misjach „jeden na jednego” popełniał te same błędy. Coś go blokuje, przeszkadza mu. Potrafi pilotować równie dobrze jak każdy, a jednak kiedy rozpoczyna się walka, zaczyna wykonywać niezgrabne, nieskuteczne ruchy, jakby zastanawiał się nad każdym następnym krokiem. Nie zachowuje się naturalnie, płynnie. Przez chwilę oddychał tak szybko, że myślałem, że grozi mu hiperwentylacja. Czuję się, jak gdybym latał z podporucznikiem, który wyleciał w swoją pierwszą misję bojową. Trudno uwierzyć, że zestrzelił MiG-a i wylatał ponad tysiąc godzin.

– Był moim pierwszym dowódcą klucza – dodał Rutherford. – I dobrym pilotem... Uzyskał stopień porucznika pod koniec Wietnamu i załapał się jeszcze na wojnę. Brał udział w lotach bojowych Trzech Pięcioletów z bazy Udorn w Tajlandii. Wtedy dywizjon latał na F-4. I był jednym z najskuteczniejszych – zestrzelił ponad czterdzieści MiG-ów.

– Pułkownik Stansell zmienił się, sir.

Rutherford zamyslił się głęboko. Opierając się na całej swej wiedzy i doświadczeniu, próbował wydedukować, co może doskwierać staremu Rupertowi. Buzz umiał rozwiązywać problemy i między innymi dlatego został dowódcą dywizjonu. Poza tym potrafił perfekcyjnie pilotować F-15 i cieszył się zaufaniem swoich ludzi.

– W tej chwili Stansell jest zbyt ostrożny, jednak powinniśmy sobie jakoś z tym problemem poradzić – ocenił podpułkownik. – Prawdopodobnie chodzi o to, co zdarzyło się w Zatoce Perskiej po ataku na Ras Assanya, kiedy dowódca Ruperta zginął, a on sam uciekł dzięki pomocy dwóch sierżantów. Tak, myślę, że Ras Assanya tłumaczy wszystko; musiało pozostawić głęboki ślad w jego psychice. Pracuj z nim dalej. I wpisz mnie jutro na tę samą misję, w której będzie leciał.

– Dzięki za pomoc – odpowiedział Donaldson, podniósłszy się z miejsca. Wiedział z doświadczenia, że teraz Rutherford weźmie bezpośredni udział w szkoleniu Stansella i będzie współodpowiedzialny, jeśli pułkownik sobie nie poradzi. Między innymi za to Donaldson lubił swojego dowódcę.

Po wyjściu kapitana Rutherford postukał ołówkiem w biurko. Zastanawiał się, co robić. W Siłach Powietrznych zwraca się uwagę na to, jak spisują się piloci w rzeczywistej walce. Jeśli pułkownik nie będzie potrafił przewyciężyć skazy, jaką pozostawiły w jego psychice ostatnie dramatyczne przejścia, zostanie przeniesiony,

otrzymując jakiś nieistotny przydział i z pewnością nigdy nie awansuje na generała. Rutherfordowi nie podobało się to, co będzie musiał zrobić, jeśli Stansell nie zdoła sobie poradzić.

Odprawa po misji przebiegała tak, jak Rupert się spodziewał. Donaldson przeszedł od razu do rzeczy:

– Panie pułkowniku, pomówmy o tym, co poszło źle teraz, póki nie słuchają nas pozostali uczestnicy misji. Rozpoczął pan walkę z radarem nastawionym na siedemdziesiąt pięć kilometrów zamiast na sto pięćdziesiąt. Następnie ustawił pan i zablokował TDC za wcześnie, dając przeciwnikowi mnóstwo czasu na odpowiedź. Kiedy poleciłem wykonać manewr ucieczki i rozpoczął pan „połowę S” w dół; nie myślałem jednak, że będzie pan kontynuował figurę, aż do znalezienia się pod ogonem do nieprzyjaciela. Kiedy ustawił się pan do niego mniej więcej prostopadle, trzeba było powrócić do walki. Wreszcie, przeciążył pan maszynę. I w dodatku nie usłyszał pan ostrzeżenia głosowego. Niedobrze.

Teraz instruktor pokazał przy pomocy modeli F-15 uczeponych do półmetrowych prętów, jak powinien był manewrować Stansell. Następnie Donaldson podszedł do niedużej białej tablicy, wiszącej na ścianie sali odpraw, i czterema różnokolorowymi pisakami narysował schemat, w jaki sposób on sam podjąłby walkę. W końcu wyświetlił pułkownikowi na wideo taśmę z nagraniem lotu, pokazującym widok z kabiny.

Rupert siedział w milczeniu, robiąc notatki. Przyjmował wszystko, co miał do powiedzenia kapitan, a kiedy Donaldson skończył, Stansell jedynie pokiwał głową. Weź się w garść, zbeształ się w myśli. Co się dzieje? Powinien przejść przez ten kurs bez żadnych trudności.

Do budynku dywizjonu weszli trzej pozostali uczestnicy misji. Wąż głośno oznajmił wszystkim potencjalnym słuchaczom, że „skopał frajerom tyłki”. Podczas zdawania przez pilotów raportów pułkownik cały czas siedział cicho. Myślał tylko, jak bardzo Wąż przypomina jego samego z czasów młodości.

Po zakończeniu całej procedury pułkownik wysliznął się z budynku i ruszył w stronę mieszkania, które wynajmował od znajomej.

Barbara Lyon, właścicielka mieszkania, odpoczywała przy basenie. Obok opalali się na leżakach dwaj młodszy od niej mężczyźni, startujący w wyścigu ojej względy.

Nic dziwnego. Barbara była doprawdy atrakcyjną kobietą, a w kostiumie kąpielowym ze sznureczków, jaki miała na sobie, wyglądało zabójczo.

– Rupe! – zawołała, odwracając się na leżaku. Pułkownik zastanowił się po raz

kolejny, ile prawdy jest w plotce, że Lyon była niegdyś tancerką w Las Vegas, a potem poślubiła i rozwiodła się z majorem Sił Powietrznych. Stansell przystanął i ruszył w stronę kobiety. Pomyślał, że mimo jej trzydziestu pięciu lat, wiele dwudziestolatek oddałoby wszystko, żeby mieć takie ciało. – Muszę sprawdzić system alarmowy, włączył się dziś bez powodu – oznajmiła, poprawiając górną część kostiumu. Kiedy wstała, przewyższała Stansella o pięć centymetrów, mimo że była na bosaka. Dwaj mężczyźni ocenili, że pułkownik nie bierze udziału w grze.

Rupert ruszył za Barbarą po schodach, zaskoczony tym, jak beżowy kolor kostiumu zlewa się z odcieniem jej opalanej skóry. Z tyłu wyglądała niemal jak naga. Doprawdy, utrudnia życie żołnierzom, pomyślał.

Lyon odwróciła się dość szybko, żeby przyłapać pułkownika na znaczącym półuśmiechu. Odrzuciła długie, popielato blond włosy wyćwiczonym przed lustrem ruchem, pewna, że wzmocni to jeszcze wrażenie, jakie chciała wywrzeć na Rupercie. W istocie, cichy z natury Stansell podobał się jej. Kobiecie nie przeszkadzała różnica wzrostu – wiedziała, że w łóżku nie ma ona znaczenia. Pułkownik utrzymał zgrabną figurę, miał miłą aparycję. Gdyby jeszcze pozwolił swoim ciemnym, naznaczonym na skroniach siwizną włosom podrosnąć dłużej z boków... Cofnęła się, aby Stansell mógł otworzyć drzwi do wynajmowanego przez siebie mieszkania. Celowo otarła się przy tym o jego ramię.

– Pozwól, że wyłączę alarm – powiedziała. – Jaki jest kod? – Rupert wymienił cztery cyfry. Kobieta wstukala je i odczekała, aż na wyświetlaczu zamiast „zabezpieczony” pojawi się „gotowy”. Wydeła lekko usta przyglądając się urządzeniu i przeniosła ciężar ciała na prawą nogę. Nastawiła alarm po raz drugi, bawiąc się jednocześnie węzełkiem z lewej strony dolnej części kostiumu; pociągnęła go i puściła.

– Programator w porządku – powiedziała. – To chyba centralka systemu. Wezwę specjalistę, żeby go sprawdził. – W rzeczywistości wiedziała dobrze, że alarm funkcjonuje najzupełniej prawidłowo.

Rupert skinął głową. Barbara stwierdziła, że musi zadziałać w bardziej bezpośredni sposób. Niektórzy mężczyźni po prostu nie zwracają uwagi...

– Gorąco dzisiaj; nie masz czegoś zimnego do picia? – zagadnęła.

– Mam mrożoną herbatę i piwo.

– Napiję się mrożonej herbaty. – Nachyliła się nad barkiem, podczas gdy Rupert wyjmował z lodówki karton z herbatą i piwo dla siebie. Barbara zauważyła już wcześniej stojącą na kominku fotografię, przedstawiającą dwie małe dziewczynki i oszałamiająco wprost piękną kobietę. – Czy to twoja żona? – spytała.

– Była. Rozwiodłem się. Trzy miesiące temu – odparł.

To pasowało Barbarze. Była już kiedyś w podobnej sytuacji i wiedziała, że może ją czekać wspólna przyszłość ze Stansellem. Rupert podał jej herbatę.

– Czy w tych kombinezonach nie jest w lecie za gorąco? – zapytała, wyciągając dłoń. Przesunęła palcem po piersi pułkownika, dotykając wewnętrznego kombinezonu pilota. Zatrzymała paznokiec na zamku błyskawicznym. – Tyle suwaków; podoba mi się ta odznaka... – oznajmiła. Teraz musnęła symbol dywizjonu przyszyty na prawym ramieniu.

Czekała. Jeśli Stansell nie odpowie, czas na plan B.

– Potrzebna mi tylko tutaj. Możesz ją sobie brać, kiedy mnie nie ma – usłyszała.

– Muszę już iść. Dzięki za napój – powiedziała. Odstawiła opróżnioną do połowy szklanę, uśmiechnęła się i zebrała do wyjścia. – Och, czy moglibyśmy wybrać się któregoś wieczora na obiad? – zaproponowała. – Mam w Siłach Powietrznych paru starych przyjaciół. Może znajdą się jacyś wspólni znajomi.

– Dziękuję, z przyjemnością – odparł pułkownik.

Barbara uśmiechnęła się ponownie i wyszła, myśląc nad planem B.

Kiedy Rupert został sam, wziął piwo i usiadł na kanapie, dumając, co mu się, u licha, stało. Kiedyś rzuciłby się w takiej sytuacji na kobietę. A teraz – nic. Nie chciał komplikować sobie życia? Stare jak świat wyjaśnienie, choć może i prawdziwe. Wyciągnął z kieszeni na nodze kombinezonu streszczenie misji i odczytał ponownie notatki, które zrobił podczas procedury składania raportu. Donaldson miał rację. Rupert latał jak nowicjusz, który dopiero co nauczył się podstawowych manewrów. W czym tkwił problem? Stansell wiedział, jak pilotuje się odrzutowiec, jednak pozwalał wkradać się do kabiny przykrym wspomnieniom. Skoncentruj się na lataniu, na programie kursu; przestań, do cholery, przywoływać to, co minęło, strofował się w myśli. Nie czuj się winny z tego powodu, że przeżyłeś, podczas gdy wszyscy inni zginęli, a ci, co ocalili, stali się jeńcami wojennymi.

Otrząśnij się; przejdź nad tym do porządku dziennego. Poszedł do łazienki, ściągnął przepocony kombinezon i wszedł pod prysznic. Woda mile łaskotała mu skórę. Usłyszał pukanie do drzwi, jednak zignorował je. Od czasu powrotu z Zatoki Perskiej prysznic zajmował mu więcej czasu niż zwykle.

– Wróciłam dopić herbatę – odezwał się z kuchni głos Barbary.

– To dopij.

Drzwi łazienki otworzyły się i Barbara weszła.

– Przyjemnie tu – stwierdziła. Poruszyła miękko ciałem i po chwili dolna część kostiumu opadła na podłogę. – Rozwiąż mi, proszę, biustonosz – rzuciła. Odwróciła się do Ruperta plecami i uniosła swoje długie włosy. – Ale dzisiaj gorąco!...

Stansell rozwiązał supeł i kobieta zrzuciła z siebie biustonosz.

– Pozwól, że umyję ci plecy – powiedziała. Stała naprzeciw niego i sięgnęła do jego pleców, pocierając je delikatnie. – Musisz się bardziej skoncentrować – dodała ze śmiechem, kontynuując pieszczotę.

Nic się jednak nie działo.

– Hmm; nie szkodzi; chciałam porozmawiać z tobą o tym obiedzie. Może być jutro wieczorem? – Podniosła kostium i wyszła spod prysznic, nie przejmując się tym, że jest mokra. – O siódmej. – Po tych słowach opuściła łazienkę.

Chwilę później rozległ się odgłos zamykanych drzwi. Pułkownik zakręcił wodę, wytarł się i spojrzął w mokre lustro. Nie chciał przyglądać się swemu odbiciu zbyt szczegółowo. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi swego nieżyjącego dowódcę z Ras Assanya, Muddy Watersa. Cholera, Muddy... Jak mam ci dorównać? Jak dorównać twojemu poświęceniu? Temu, kim byłeś dla ludzi?...Eech, pułkowniku, dość tego. A więc masz wątpliwości, czy możesz być taki, jak Muddy Waters. Pamiętaj, co zrobił. Pamiętaj, że nauczyłeś się od niego ludzkiego traktowania podkomendnych. I rób to, co jest w stanie robić Rupe Stansell, a nie, co zrobiłby Waters, gdyby żył. Łatwiej było wprowadzić Stansellowi pomysły niż wprowadzić w życie, zrobił jednak dobry początek i poczuł się o wiele lepiej.

Wytarł lustro z pary i przyjrzał się swojemu odbiciu. Powoli odwrócił twarz w lewo i przesunął dłonią wzdłuż głowy, odgarniając włosy do tyłu. Spróbował zasłonić bliznę widniejącą w miejscu, gdzie dawniej znajdowało się jego prawe ucho.

Rozdział drugi

Dzień D minus 33

Biały Dom, Waszyngton

Michael Cagliari oparł się o ścianę Wschodniego Pokoju Białego Domu, ciesząc się, że stoi poza zasięgiem kamer. Był piątek po południu, zaczynała się konferencja prasowa. Cagliari, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, wolał pełnić swoją funkcję w cieniu, z dala od dziennikarskich obiektywów.

Przełożony korpusu prasowego, Peter Whiteside z Affiliated Broadcasting System, usiadł w pierwszym rzędzie i czekał. Powszechnie znana była jego niechęć do urzędującego prezydenta.

– Jean – odezwał się prezydent, wywołując siedzącą w ostatnim rzędzie elegancko ubraną starszą panią z Savannah w Georgii.

Można to było przewidzieć, pomyślał Whiteside, on lubi Jean Ramsey. Ramsey zadała pytanie:

– Panie prezydencie, narasta niepokój w związku z wykupem licznych amerykańskich przedsiębiorstw przez zagranicznych inwestorów. Wielu obawia się, że potencjał produkcyjny naszego kraju przechodzi w ręce obcych. Jak zamierza pan odnieść się do tej sprawy?

Prezydent był dobrze przygotowany na to, a także na następne pytania. W końcu wywołał i Whiteside'a, niby przyjacielskim „Pete”. Zdecydowano unikać tego dziennikarza, pozostawiając mu zwykle tylko zarezerwowany dla przełożonego korpusu prasowego przywilej kończenia konferencji zwyczajowym: „Dziękujemy, panie prezydencie”. Szef musi być bardzo pewny siebie, pomyślał Michael Cagliari. Podstawiono Whiteside'owi pod usta mikrofon. Ten zaczął:

– Panie prezydencie, podczas kampanii wyborczej powiedział pan – cytuję: „Nigdy nie zgodzę się na zapłatę pieniędzmi czy bronią za zakładników ani nie podejmę kompromitujących dla Stanów Zjednoczonych negocjacji”. Wiarygodne źródła podają, że pański wysłannik siedzi w tej chwili przy stole rokowań w Genewie, targując się o cenę uwolnienia dwustu osiemdziesięciu zakładników, wziętych przez Iran po naszej porażce w Zatoce Perskiej. Czy może nam pan powiedzieć, jak postępują owe negocjacje?

– Pete, pańska wypowiedź bardziej przypominała oświadczenie polityczne niż

pytanie, jednak odpowiem. Po pierwsze: Irańczycy przetrzymują dwustu osiemdziesięciu jeńców wojennych, nie zakładników. Rzeczywiście, podjąłem w Genewie negocjacje w celu ich uwolnienia. Osiągnęły one jednak punkt krytyczny i publiczne dyskusje na ten temat mogłyby zagrozić ostatecznym rezultatom.

– Panie prezydencie, czy to prawda, że negocjatorem jest sekretarz stanu, Cyrus Piccard? – Gęste brwi Whiteside’a zbiegły się niemal w jedną linię.

– Nie mam w tej sprawie nic do dodania.

Nie dopuszczając do głosu następnego dziennikarza, Pete Whiteside wykrzyczał swoje ostatnie pytanie:

– Sir, czy spróbuje pan przebić ofertę Libii, która chce wykupić od Iranu zakładników po milion dolarów za każdego?

Prezydent popatrzył na reportera lodowatym wzrokiem i skwitował:

– Pete, chyba musisz zweryfikować wiarygodność swoich źródeł.

– Dość tego! – warknął Cagliari do małego mikrofonu, który miał przypięty do klapy marynarki. Łączył on doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego z rzecznikiem prasowym prezydenta. Skąd, do cholery, Whiteside bierze te informacje? Były one częściowo prawdziwe. Sekretarz stanu próbował nakłonić Iran do odrzucenia libijskiej oferty, przekazanej za pośrednictwem strony trzeciej. Cóż, przynajmniej prezydent zdołał uniknąć odpowiedzi.

Mężczyzna trzymający mikrofon upewnił się, czy dobrze zrozumiał polecenie sekretarza prasowego, po czym poszedł na tył sali do Jean Ramsey, powiedział jej coś i podstawił mikrofon.

– Dziękujemy, panie prezydencie – oznajmiła przez głośniki Ramsey, kończąc konferencję.

Whiteside aż podskoczył na krześle. Był wściekły. Prezydent tymczasem pomachał do dziennikarzy i wyszedł pospiesznie. Cagliari przecisnął się między zebranymi i wysliznął drzwiami Pokoju Zielonego. Ruszył za prezydentem.

Szef gabinetu, Andy Wollard, czekał przed Gabinetem Ovalnym.

– „Wódz” jest wkurzony – poinformował o oczywistym. Cagliari i Wollard weszli do środka. Prezydent siedział za biurkiem.

– Usiądź wygodnie, Mike. To będzie długa rozmowa – powiedział.

– Whiteside zadał bardzo niedobre pytanie – rzucił szybko Cagliari.

– Nie ma niedobrych pytań. Są tylko złe odpowiedzi – odparł prezydent. – Poza tym, to prawda, że Libia chce wykupić jeńców. Żeby przekonać Irańczyków, potrzebna nam dyskrecja... i czas. Zdaje się, że właśnie straciliśmy i jedno, drugie.

Cagliari napiął się cały. Prezydent zapalił cygaro, choć już kilka miesięcy temu poprzysiągł, że nie będzie więcej palił. Zaciągnął się raz i zgasił.

– Parszywy nałóg – mruknął. – Andy – skinął na szefa gabinetu – sprowadź tu sekretarza obrony, dyrektora central wywiadowczych i szefów sztabu. Szybko. – Ton głosu prezydenta sprawił, że Andy Wollard wyskoczył z pokoju jak z procy.

– Mike, jeśli negocjacje się nie powiedą – a w tej chwili wygląda na to, że tak będzie – chcę, żeby nasi jeńcy zostali oswobodzeni.



Rozdział trzeci

Dzień D minus 32

Pentagon

Kierowca generała Lawrence'a Cunninghama zawiózł swojego szefa bezpośrednio z jego rezydencji do Rzecznego Wejścia Pentagonu – tego, które było przeznaczone dla szefów sztabu. Kierowca jechał szybko, gdyż ruch w sobotę rano nie był bardzo duży. Dzięki temu generał miał mnóstwo czasu na przejście trzydziestu metrów niemal pustym korytarzem do sekcji dowodzenia pierścienia E. Nie martwił się, że spóźni się na pospiesznie zwołaną naradę – musiałoby się pojawić nagłe zagrożenie dla państwa, żeby rozpoczęli bez niego. Nie podnosił wzroku na wiszące wzdłuż ściany portrety byłych przewodniczących Połączonego Komitetu Szefów Sztabu. Nigdy nie będzie kolejnym z nich.

Przed tak zwanym Zbiornikiem – salą narad, w której spotykał się Komitet Szefów Sztabu – czekał adiutant Cunninghama, pułkownik Richard Stevens. Zbiornik znajdował się naprzeciw pokoju 3E880 – biura sekretarza obrony. Stevens wrócił właśnie z Połączonej Agencji Operacji Specjalnych, której siedziba mieściła się za rogiem, w Korytarzu Ósmym. Bliska lokalizacja Agencji w stosunku do sekcji dowodzenia podkreślała jej znaczenie. Stevens otworzył generałowi drzwi.

– Naradę przeniesiono do Centrum Dowodzenia oraz przełożono na ósmą trzydzieści – poinformował Stevens. – Właśnie mi to przekazano. Chciałbym jednak porozmawiać z panem generałem na osobności.

Dwaj mężczyźni weszli do pustej sali. Jej środek zajmował stół konferencyjny otoczony miękkimi, skórzanymi fotelami. Generał usiadł na swoim miejscu – w fotelu Szefa Sztabu Sił Powietrznych. Ponieważ nie było nikogo więcej, Stevens usadowił się koło niego. Normalnie usiadłby na jednym z krzeseł stojących pod ścianą.

– Sir, rozmawiałem z generałem Mado z Operacji Specjalnych. Prezydent rozkazał sformować i przygotować oddział do uwolnienia jeńców z Iranu, na wypadek niepowodzenia negocjacji.

Generał wbił wzrok w przeciwległą ścianę, rozważając to, co usłyszał. Jeńcy stanęli mu przed oczyma jak żywi. W końcu to byli jego ludzie – żołnierze Czterdziestego Piątego Taktycznego Skrzydła Myśliwskiego, które musiało opuścić

swoją bazę Ras Assanya, u wybrzeży Zatoki Perskiej.

Prezydent nakazał rozmieścić Czterdzieste Piąte Skrzydło w rejonie Zatoki Perskiej, aby wesprzeć Zjednoczone Siły Arabskie, które powołano w celu ochrony Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej przed inwazją ze strony rewolucyjnego reżimu irańskiego, który był w stanie przeprowadzić swoje wojska przez terytorium Iraku. Czterdzieste Piąte wywiązało się ze swego zadania. Sytuacja już się stabilizowała i Irańczycy byli bliscy tego, żeby zasiać do stołu rokowań. Potrzebowali jednak symbolicznego pokazu siły dla zachowania twarzy i dokonali ataku na Ras Assanya. Niegroźna, jak się mogło wydawać, potyczka przekształciła się w regularną bitwę. Powstało niebezpieczeństwo, że Iran zdobędzie bazę, zanim amerykańskie okręty zdążą wpłynąć do Zatoki. Wtedy dowódca skrzydła, pułkownik Anthony Waters, zwany „Muddym”, rzucił do walki przeciw zbliżającej się irańskiej flocie inwazyjnej swoje F-4 Phantom, aby osłaniać personel Czterdziestego Piątego, któremu nakazał ewakuację.

Zapłacono za to wysoką cenę. Zginęło ponad trzystu Amerykanów, pięciuset odniosło rany, sześćdziesiąt siedem samolotów zostało zniszczonych. Waters zginął, nie zdążywszy ocalić wszystkich swoich ludzi – na to było już za późno.

Bazę Ras Assanya musiał poddać podpułkownik Rupert Stansell. Wraz z trzystoma mężczyznami i jedną kobietą pomaszerował do obozu jenieckiego. Jednakże dwóch podoficerów zdołało wymknąć się Irańczykom. Razem z nimi uciekł Stansell. Siedemnastu zginęło w niewoli.

Cunningham pragnął odwetu i powrotu swoich ludzi.

– Proszę wezwać tu Mado – polecił. Generał dywizji Simon Mado był przedstawicielem Sił Powietrznych w Połączonej Agencji Operacji Specjalnych. Jej dowódcą był generał Charles J. Leachmeyer z Armii. Mado został najmłodszym generałem dywizji w Siłach Powietrznych USA – otrzymał drugą gwiazdkę w wieku czterdziestu trzech lat. Niegdyś był pilotem B-52, a także – stypendystą Rhodesa. Teraz stał się dynamicznym szefem, który wyciskał z podwładnych wszystkie soki.

– To może parę minut potrwać – odpowiedział Stevens. – W JSOA aż się gotuje. Szykują się do narady o ósmej trzydzieści.

Cunningham rzucił adiutantowi ostre spojrzenie.

– Tak jest, sir; zaraz go sprowadzę – usłyszał.

Dwie minuty później Simon Mado siedział w tym samym fotelu, w którym wcześniej sadowił się Stevens. Generał Mado wyglądał jak żywa reklama komendy uzupełnień – był wysoki, dobrze zbudowany, miał wydatną szczękę, blond włosy i groźne, niebieskie oczy. Od razu przeszedł do rzeczy:

– Generał Leachmeyer mówi, że na naradę przyjedzie prezydent; ćwicz w tej

chwili wystąpienie na temat planu odbicia jeńców.

Cunningham wsadził w usta cygaro. Był to jego nieodłączny atrybut.

– Prezydent przyjeżdża? – powtórzył. – To nadzwyczajne. Co JSOA przewidziała dla Sił Powietrznych?

– Bardzo niewiele, sir; zaledwie wsparcie tyłów. Całe przedstawienie ma zrobić Armia, z użyciem Delta Force oraz śmigłowców Black Hawk.

– Cholera, tam są moi ludzie! – zaklął Cunningham. – Niech pan przekazuje Leachmeyerowi, że chcę brać udział w tej akcji.

– Sir, JSOA ma także inny plan, związany z wykorzystaniem naszych C-130, jednak to tylko niedopracowany szkic...

– Chcę, żeby został on przedstawiony prezydentowi wraz z planem Leachmeyera.

– Zobaczę, co będę mógł zrobić – odpowiedział Mado, wstając z fotela.

Punktualnie o ósmej trzydzieści prezydent Stanów Zjednoczonych wszedł do sali Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego w Pentagonie i zajął miejsce na galerii dla dowódców, z tyłu pomieszczenia. Jego zwyczajne miejsce znajdowało się na stanowisku dowodzenia, czyli w szklanym pokoju po prawej stronie sali. Obok prezydenta usiedli: Robert Burke, zwany „Bobbym” – dyrektor central wywiadowczych, oraz Michael Cagliari – doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent popatrzył na przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabu, admirała Terrence’a Scovilla, i zagał:

– Zobaczmy, co tam pan ma, Terry.

– Panie prezydencie, oddam głos generałowi Leachmeyerowi, dowódcy Agencji Operacji Specjalnych.

Prezydent skinął głową. JSOA została stworzona jako ciało jednoczące elitarne siły wszystkich amerykańskich rodzajów wojsk, dla celów podobnych operacji jak planowana.

Leachmeyer stanął przy niskiej katedrze, na tle olbrzymich, wyświetlanych przez komputer map sytuacyjnych. Centralna mapa przedstawiała część Bliskiego Wschodu; w samym jej środku znajdowało się miasto Kermanshah w zachodnim Iranie.

– Sir, jeśli można, zaczniemy od przeglądu najnowszych informacji wywiadu, a następnie przedstawimy dwa plany, nad którymi pracujemy. O doniesieniach wywiadu i pierwszym planie powie generał Mado.

Prezydent zatopił się w fotelu. Będzie musiał wysłuchać standardowych pochwał na temat możliwości wojska. Znosił jednak takie narady, ponieważ po pierwsze, okazywały się z reguły skuteczne, a po drugie, Leachmeyer był jednym z jego

partnerów do pokera.

Mado wszedł na katedrę i popatrzył na Cunninghama wzrokiem, którym mówił, że generał dał z siebie wszystko. Wziął laserową wskazówkę i zakreślił nią środek ekranu.

– Wywiad potwierdza, że nasi jeńcy przetrzymywani są w więzieniu na przedmieściach Kermanshah – zaczął i wskazał miasto leżące w górach Zagros, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Zatoką Perską a Teheranem.

– Jak pewna jest ta informacja, generale? – spytał admirał Scovill.

– Pochodzi z naszych najlepszych źródeł. – Teraz Mado włączył rzutnik i na ekranie pojawiło się powiększone zdjęcie o wysokiej rozdzielczości, wykonane w podczerwieni.

– Ta fotografia została wykonana w czwartek w nocy z samolotu zwiadowczego typu Stealth. Tej nocy jeńcy stali na podwórzu. – Generał wskazał równe szeregi ludzi, stojących na dziedzińcu dużego obiektu, który był więzieniem. – Podejrzewamy, że to forma kary. Zdołaliśmy ich policzyć – dokładnie dwustu osiemdziesięciu dwóch.

Dwaj niezależni od siebie agenci potwierdzają tę liczbę; donoszą także o przypadkach brutalnego traktowania jeńców. Prezydent nachylił się do przodu.

– Na ile wiarygodni są ci agenci? – zapytał.

– Są bardzo wiarygodni – odparł Bobby Burke, dyrektor central wywiadowczych. – To nasi ludzie. Jednego jeńca nie możemy się doliczyć – kobiety, kapitan Mary Lynn Hauser.

– Jak ich oswobodzimy? – zainteresował się prezydent.

– Nasz pierwszy plan zakłada błyskawiczne działanie z zaskoczenia – zaczął wyjaśniać Mado. – Wystartujemy transportowymi C-130 z Turcji i wlecimy nimi nad terytorium Iranu w rejonie zbiegu trzech granic – Turcji, Iranu i Iraku. – Przesunął czerwonym punkcikiem wzdłuż planowanej trasy lotu. – Zrzucimy Delta Force na więzienie, a także na to lotnisko. – Wskazał nieużywany pas startowy, leżący o pięć kilometrów na północny wschód od kompleksu budynków więzienia. – Delta Force uwolni jeńców oraz zabezpieczy lotnisko. Wtedy wylądują herculesy, a jeńcy zostaną przetransportowani do czekających samolotów.

Cunningham słuchał szczegółów planu, który przedstawiał Mado, a jednocześnie śledził uważnie reakcje prezydenta. Ten jednak nie dawał po sobie niczego poznać. Sfrustrowany Cunningham rozejrzał się po sali, żeby zobaczyć, co sądzą inni. Michael Cagliari i admirał Scovill po prostu słuchali uważnie. Mado był chyba najlepszym mówcą w całym Pentagonie. DCI – w angielskim skrócie: dyrektor central wywiadowczych – bawił się piórem, kręcąc się niespokojnie w fotelu.

Niekompetentny dupek, pomyślał ze złością Cunningham. Nie znosił Burke'a i nie ufał mu. Leachmeyer uśmiechał się tymczasem do pułkownika, który miał przedstawić drugi plan. Cunningham ocenił, że Charlie coś wie.

– Czy ma pan jakieś pytania, sir? – zakończył Mado. Prezydent pokręcił głową.

– Ale niech pan nie odchodzi, Simon – powiedział. – Charlie, kto następny?

– Sir, chciałbym panu przedstawić pułkownika Sama Johnsona, dowódcę Delta Force – oznajmił Leachmeyer.

– Kolejny złotousty?

– O nie, panie prezydencie. – Leachmeyer uśmiechnął się. – Niewielu ma taką gadkę jak Simon. Pomyślałem jednak, że wolałby pan usłyszeć o planie numer dwa od człowieka, który będzie musiał naprawdę tam polecieć i wykonać go.

Cunningham zacisnął zęby – Charlie Leachmeyer już zbierał punkty na rzecz swojego planu.

Krępy pułkownik, kiedy podniósł się z miejsca, okazał się mieć metr osiemdziesiąt wzrostu. Był potężnym mężczyzną, a mimo to poruszał się zwinnie, wręcz z gracją. Kiedy wziął wskazówkę, zniknęła zupełnie w jego gigantycznych dłoniach. Na grubej szyi pułkownika widać było napięte ścięgna.

Cunningham miał nadzieję, że oficer o takim wyglądzie okaże się kretynem, górą mięśni bez mózgu. Rozczarował się jednak. Johnson wypowiedział się równie zwięźle, treściwie i przekonująco jak Mado. Jego plan był prosty – polegał na zmasowanym ataku przy pomocy śmigłowców, przeprowadzonym od strony Iraku. Rozłożenie działań w czasie, taktyka, łączność i logistyka zostały dobrze przemyślane. Dla Sił Powietrznych przewidziano tu niewiele miejsca, a dla Marynarki – nic. Byłby to pokaz możliwości Armii USA. Cunningham musiał przyznać, że plan miał mocne punkty, ale i swoją piętę achillesową.

– No cóż, panowie – odezwał się prezydent, kiedy pułkownik zakończył swoje wystąpienie – czuję się zachęcony. – Spojrzał na doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. – A ty, Mike?

– Oba plany mogą okazać się skuteczne – zgodził się Michael Cagliari. – Widzę jednak wady w obydwóch. Na przykład, do realizacji pierwszego niezbędne jest wsparcie z terytorium samego Iranu, w postaci pojazdów do przetransportowania jeńców do samolotów.

– Bobby – teraz prezydent zwracał się do szefa wywiadu – czy ma pan w Iranie ludzi, którzy mogą to zrobić?

DCI przestał się wiercić i spowaźniał.

– Mamy agentów na terytorium Iranu i są oni w stanie to zrobić – odpowiedział. – Jednak – ciągnął, patrząc prezydentowi prosto w oczy – akcja tego rodzaju

kwalifikuje się jako tajna operacja, a te możemy przeprowadzać jedynie za zgodą komisji Kongresu do spraw wywiadu. Interes polityczny, jak pan wie, sir, istnieje również tam. Ponieważ komisja senacka jest zdominowana przez partię opozycyjną, mamy niemal zagwarantowany przeciek do prasy. A ja nie życzę sobie niepotrzebnego ryzyka dla moich agentów.

Spośród obecnych jedynie pułkownik Johnson nie znał nazwiska asystenta senatora, który przekazałby prasie omawiane informacje.

– Panie prezydencie – odezwał się Mado – jedną z opcji może być przywiezienie naszych własnych pojazdów samolotami i zniszczenie ich pod koniec misji. Łatwo się pomieszczą w herculesach.

Cunningham popatrzył z uznaniem na Mado, który z miejsca potrafił wymyślić rozwiązanie.

– Dlaczego to tylko jedna z opcji? – zapytał Cagliari.

– Z trzech powodów. Po pierwsze, chodzi o zaskoczenie. Jeśli ciężarówki czy autobusy będą od razu na miejscu, będzie można przewieźć jeńców natychmiast po ich uwolnieniu. Po drugie – szybkość. Pojazdami przywiezionymi z kraju trzeba będzie trzy – cztery razy obrócić w obie strony. Przy samochodach przygotowanych na miejscu wystarczy przejechać raz, w jedną stronę. Po trzecie – wydajność. Bez transportu pojazdów wystarczy mniej samolotów.

– Rozumiem. Mike, a jaki jest kłopot w przypadku drugiego planu? – zapytał prezydent.

– To duża operacja z użyciem znacznej liczby śmigłowców. Będą musiały startować z terytorium Iraku. Nie podoba mi się wchodzenie w układy z Irakijczykami – prawie na pewno nas wydadzą. To zbyt potężne siły, żeby dało się je ukryć podczas przygotowań.

– Sir, możemy wystartować z innego kraju. – Tym razem odezwał się pułkownik Johnson. – Jednak musielibyśmy po drodze zatankować. Siły Powietrzne mogą zrzucić w jakimś odosobnionym miejscu zbiorniki z paliwem.

Pułkownik Armii USA zaczynał wyraźnie denerwować Cunninghama.

– To zaczyna wyglądać jak druga operacja „Orli Szpon” – mruknął generał, na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli. Przypomniał nieudaną próbę uwolnienia amerykańskich zakładników więzionych w ambasadzie w Teheranie w 1980 roku. Zakończyła się fiaskiem z powodu śmigłowców. Trzy zepsuły się, a jeden rozbił podczas uzupełniania paliwa.

– Czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? – spytał prezydent.

Cagliari nachylił się do niego i powiedział mu szybko parę zdań na ucho. Prezydent wysłuchał i pokiwał głową. Kiedy podjął decyzję, zaczął sypać rozkazami

niczym karabin maszynowy.

– Skorzystamy z drugiego planu, tego z użyciem Delta Force i śmigłowców – powiedział. – Wystartują z Turcji albo Kuwejtu. Przygotujcie się do rozpoczęcia akcji w ciągu trzydziestu dni. Istnieje realna groźba przecieku; wydaje się logiczne, że opozycja będzie śledzić poczynania Delta Force, podejrzewając, że może się szykować do przeprowadzenia operacji uwolnienia jeńców. Ten oddział został w końcu sformowany do tego typu działań. W związku z powyższym chcę, żeby Siły Powietrzne stworzyły osłonę dla Delta Force i śmigłowców.

Teraz prezydent wskazał na Cunninghama.

– Pan niech sformuje siły odpowiednie do przeprowadzenia misji według pierwszego planu, z użyciem C-130. Proszę nikomu nie mówić, że są one tylko przykrywką dla prawdziwej akcji. Niech będą całkowicie realistyczne. Jeśli opozycja nie wyśledzi, co pan będzie robił i nie złapie przynęty, pomożemy im – sami wywołamy przeciek. Jednak – machnął ręką w stronę Burke’a, szefa wywiadu – niech pan uważa, żeby kontrolować wypływające informacje i najpierw ustali ich treść ze mną. To wszystko. – Po tych słowach prezydent podniósł się i wyszedł.

Cunningham wsadził w usta cygaro i zaczął machinalnie żuć. Miał zamiar zapalić je dopiero we własnym biurze.

– Mado, proszę ze mną – rzucił.

– Spodziewałem się wziąć większy udział w tej misji – powiedział, kiedy znalazł się w swoim pokoju. – Teraz będziemy czekać z boku, gotowi na... nic. Podczas drugiej wojny światowej Patton dostał rozkaz udawania, że szykuje inwazję na Normandię. Wściekał się, wykonując tę rolę. Czuję się nie bardziej zadowolony niż on. Jednak przygotuję najlepszą tajną operację, jaką kiedykolwiek przygotowano. I chcę, żeby pan nią pokierował i został dowódcą połączonych sił do wykonania misji.

– Sir, wolałbym pozostać w JSOA, gdzie będzie rozgrywać się prawdziwa akcja, i pracować z Delta Force.

– Jest pan moim ekspertem od operacji specjalnych. Wprawdzie ma pan przydział do JSOA i podlega Leachmeyerowi, jednak wierzę, że pozostaje pan ciągle w Siłach Powietrznych.

Mado przytaknął, udając, że zgadza się z generałem wyższego stopnia. W rzeczywistości postrzegał Cunninghama jako neandertalczyka blokującego postęp, człowieka ze starej gwardii, który nie pozwala Siłom Powietrznym USA przejść w dwudziesty pierwszy wiek, oficera niezmiennie przygotowanego do stoczenia kolejnej drugiej wojny światowej, jednak zupełnie niedostosowanego do współczesnego świata. Współczesność polegała w pojęciu Mado przede wszystkim

na sprawnie funkcjonujących zintegrowanych dowództwach, do stworzenia których dążył generał Leachmeyer.

– Byłbym nieuczciwy, gdybym nie powiedział panu, co wolę, sir – odezwał się Mado. – Jednak stworzę dla pana takie siły operacyjne, że aż łzy staną wszystkim w oczach. Chociaż lotnictwo przygotowuje działania pozorowane, ma to związek z operacjami specjalnymi, a zatem wszystko i tak będzie podlegać JSOA.

– Wiem o tym, Mado. Niech pan tylko pamięta, że ci jeńcy to ludzie Sił Powietrznych, moi żołnierze. – Tymczasem w głowie Cunninghama zaczął świtać plan. Oto prezydent chciał operacji na niby, jednak on, szef sztabu, przygotowuje swoje siły tak dobrze, że zostanie powtórnie rozważone, czy nie użyć ich w rzeczywistej misji. Jednak aby tak się stało, potrzeba trochę się napocić, wykorzystując odpowiednich ludzi. – Będzie panu potrzebny dowódca samej misji, ktoś na kim można polegać – stwierdził Cunningham.

Mado nie wahał się ani chwili.

– Pułkownik Rupert Stansell – powiedział.

– Dlaczego on?

– Rzuci się wszystkim w oczy, a poza tym to odpowiedni człowiek – jest jedynym pułkownikiem Sił Powietrznych doświadczonym w walce na Bliskim Wschodzie, co może zadecydować o sukcesie. Jest dobry i nie zlekceważy przeciwnika, w końcu to nie są niekompetentne głupki z turbanami na głowach. I jeszcze jedno, panie generale – Stansell ma motywację. Pragnienie zemsty to wspinała rzecz, jeśli chce się być skutecznym. On przygotowuje wszystko tak, żeby wyglądało stuprocentowo realistycznie. Jest człowiekiem znanej opozycji, mogą więc skupić na nim uwagę.

– Niech go pan tu sprowadzi. Jeszcze dzisiaj.

Phoenix, Arizona

Żandarm zapukał do drzwi mieszkania Stansella po raz drugi – tym razem znacznie głośniej. Ponieważ nikt nie odpowiadał, podoficer zastanowił się chwilę, po czym poszedł do mieszkania dozorczy budynku. Zadzwoił. Drzwi uchyliły się i pojawiła się zza nich głowa oraz nagie ramię Barbary.

– Dzień dobry pani, jestem sierżant Wayne Jenkins z bazy Luke. Szukam pułkownika Ruperta Stansella. Nie ma go w domu; pomyślałem, że może pani wie, gdzie go znaleźć.

– Proszę zostawić wiadomość, a na pewno mu przekażę – odpowiedziała Barbara.

– To bardzo ważna sprawa, proszę pani. Nadeszła wiadomość z Pentagonu. Jeśli szybko nie znajdziemy pułkownika, trzeba będzie wezwać w tym celu policję.

– Niech pan chwilę zaczeka, być może zdołam go sprowadzić. – Po tych słowach właścicielka przymknęła drzwi, pozostawiając wąską szparę.

Sierżant popchnął je lekko, żeby rzucić okiem do środka. Zobaczył znikające w sypialni nagie plecy gospodyni.

– Zdaje się, że mają tu apartamenty z pełną obsługą... – mruknął pod nosem. Barbara usiadła na skraju łóżka i popatrzyła na śpiącego mężczyznę. Odkryła go i przyjrzała się jego ciału. Na jej ustach zagościł uśmiech.

– Zaniepokoił mnie pan wczoraj wieczorem, pułkowniku – szepnęła do siebie. – A jednak wystarczyły odpowiednie pieszczoty w odpowiednich miejscach.

Weszła na łóżko i pochyliła nad Rupertem. Leciutko przesunęła palcem po jego czole, wzdłuż nosa, wokół ust i w dół szyi, potem ciągnęła palec dalej, po brzuchu Stansella. Powtórzyła pieszczotę. Kiedy mijiała usta, Rupert złapał ją za nadgarstek i zatrzymał rękę.

– Obudziłeś się? – spytała Barbara. Jęknął z niezadowoleniem.

– Ciszej, kochanie. Przyszedł żandarm z bazy. Mówi, że ma dla ciebie wiadomość z Pentagonu.

Stansell wyskoczył z łóżka, założył spodenki i ruszył do drzwi. Barbara poszła za nim do hallu i oparła się o ścianę, nie przejmując się tym, że przybysz może zobaczyć ją naga.

Jenkins popatrzył ze zdziwieniem, po czym przeszedł do rzeczy:

– Sir, dzwonił szef sztabu. Musi pan stawić się jeszcze dzisiaj w Pentagonie. Na lotnisku czeka F-15. Proszę zabrać kombinezon i przebrać się w samochodzie.

Rupert wpadł z powrotem do sypialni, pozostawiając szeroko otwarte drzwi. Barbara nie ruszała się z miejsca. Pułkownik pobierał ubranie i pobiegł do swojego mieszkania. Jenkins z żalem zamknął drzwi. Zanim doszedł do samochodu, Stansell już go dogonił; miał na sobie lotniczy kombinezon, a w ręku buty i przybory do golenia. Sierżant uruchomił silnik oraz syrenę.

– Służba nie drużba – powiedział, zachowując jakimś cudem poważną minę. Pojechali prosto na płytę lotniska, w miejsce, gdzie stał dwumiejscowy F-15D. W tylnym fotelu samolotu siedział Buzz Rutherford. Jenkins wysadził pułkownika i ruszył z powrotem w stronę mieszkania Barbary, spodziewając się tam ciepłego przyjęcia. Wyżsi stopniem mają swoje przywileje, jednak kiedy są nieobecni...

– Maszyna gotowa – poinformował Rutherford. – Lot został zgłoszony, wieża czeka z zezwoleniem na start. Chce pan pilotować? – Podpułkownik znał odpowiedź. Leciął ze Stansellem poprzedniego dnia i zauważył u niego więcej pewności siebie oraz lepsze prowadzenie ćwiczebnej walki. Nawet „Waż” Houserman to skomentował.

Na zaczepie pod skrzydłem samolotu zawieszono zewnętrzny kombinezon i spadochron pułkownika. Rupert ubrał się szybko, przypiął uprząż spadochronu i wszedł po drabinie do kabiny. Czekał tam na niego hełm, podłączony już do przewodu tlenowego i kabla słuchawek. Ustawiono wszystkie potrzebne przełączniki, ułożono elegancko rozpięte pasy.

– To musi być bardzo poważna sprawa – skomentował Stansell. Rutherford zgodził się z nim:

– Dowódca skrzydła też tak mówi. On odebrał telefon. Zadzwoniono bezpośrednio z biura Cunninghama. Pracowałem w dywizjonie, ale zostałem wyznaczony do tego lotu. Jeszcze dzisiaj mam przyprowadzić maszynę z powrotem.

Stansell włączył rozrusznik i uruchomił prawy silnik, jednocześnie zapinając pasy. Cztery minuty później dwaj oficerowie znaleźli się w powietrzu.

– Zgłosiłem prędkość przelotu 0,95 macha – poinformował Buzz. – W okolicach St. Louis mamy spotkać się z tankowcem i uzupełnić paliwo w powietrzu. Jeśli to nie dojdzie do skutku, wylądujemy w Scott i tam zatankujemy.

– Jakim cudem zdołał pan tak szybko załatwić KC-135? – spytał zdumiony pułkownik, mówiąc o powietrznym tankowcu.

– To Cunningham. Dostaje, czego chce – wyjaśnił Rutherford.

Pentagon, Waszyngton

W bazie Andrews czekał na Stansella sztabowy samochód, który przewiózł go bezpośrednio do Rzecznego Wejścia Pentagonu. Kolejny sierżant odprowadził pułkownika do biura generała Mado.

– Miło znów pana widzieć, Rupe – powitał Stansella generał, wstając i wyciągając dłoń. Przyjrzał się uważnie lotnikowi, który przeszedł ciężkie chwile w rękach Irańczyków. Stwierdził, że wygląda raczej zdrowo. – Mam nadzieję, że kiedyś w końcu pan dorośnie – dodał. Była to część żartu, który powtarzali sobie od czasu, gdy rozpoczynali służbę w Pentagonie, obaj w stopniu majora. Mado pozostawał tam do tej pory, podczas gdy Stansell wrócił do kabiny samolotu, służąc w dywizjonach myśliwskich.

– Panie generale, przecież jestem o dwanaście centymetrów wyższy od Napoleona – odparł Stansell. Wysoki Mado górował nad Rupertem, który miał tylko metr siedemdziesiąt wzrostu. Generał rozmawiając teraz ze Stansellem oceniał jednocześnie stan jego ducha, musiał bowiem zdecydować, czy pułkownik będzie w stanie znieść obciążenia psychiczne związane z przygotowaniem pozorowanej akcji. Rupert patrzył jednak pewnie, poruszał się sprężysto, nie przytył. Nie miał

żadnych tików, nie wykonywał zbędnych, nerwowych ruchów. Był ostrzyżony zgodnie z regulaminem i nie usiłował ukrywać blizny po uchu we włosach. Wyglądał na swoje czterdzieści dwa lata, jednak nie wydawał się zmęczony czy wymizerowany.

– Jak tam Linda i dziewczynki? – zagadnął Mado.

– W porządku. Jesteśmy po rozwodzie, sprawa zakończyła się trzy miesiące temu.

– Współczuję. A pański kurs latania?

– Miałem problemy z techniką walki powietrznej. Popełniałem masę błędów i nie wiedziałem dlaczego, aż do ostatniego czwartku. Najprościej mówiąc, chodziło o brak pewności siebie. Wczoraj latałem o wiele lepiej. Teraz już będzie dobrze.

Generał skinął głową. Szczere przyznanie się Stansella do rozpadu jego małżeństwa oraz do trudności w pilotażu było znakiem, że pułkownik radził już sobie z obydwoma tymi problemami, zdążył wziąć się w garść. Zgadzało się to z tym, co Mado usłyszał przez telefon od Buzza Rutherforda. Rupert się nada. Będzie odpowiednim dowódcą pozorowanej operacji.

– Panie generale, o co, u licha, chodzi? – chciał się wreszcie dowiedzieć Stansell.

– Co by pan powiedział, gdyby mógł pan coś zrobić w sprawie naszych jeńców? – rzucił Mado.

Rupert wciągnął głęboko powietrze. Coś takiego! Wiedział, że Simon Mado nie powie mu nic więcej, dopóki on się nie zdeklaruje. Przez umysł pułkownika przemknęły różne możliwości. Mogło chodzić o wszystko, począwszy od zwykłego zebrania pewnych danych wywiadowczych, aż do operacji uwol... Stansell przez moment bał się dokończyć zdanie nawet w myśli. Czy najwyżsi dowódcy szykowali się tak na wszelki wypadek, czy może prezydent myślał o zbrojnym uwolnieniu jeńców? Dopiero po chwili pułkownik zorientował się, że wstał. Oto miał przed sobą szansę zadośćuczynienia.

– Chcę wziąć w tym udział. Zrobię, cokolwiek będzie trzeba.

– Dobrze, spotkamy się teraz z Cunninghamem. Chce przedstawić panu wszystko osobiście. To poważna operacja.

Musieli poczekać w sekretariacie szefa sztabu. Stansell poczuł się rozbawiony, że Cunningham każe czekać generałowi dywizji, pracującemu tuż obok; po pewnym czasie zaniepokoiło go to. Cunningham dorobił się przezwiska „Zmierzch”, ze względu na to, że miał zwyczaj natychmiast pozbawiać oficerów dotychczasowych przydziałów i rozkazywać im wyprowadzić się z Pentagonu przed zapadnięciem zmierzchu. Nieszczęśnicy ci często przenosili się potem do bazy Thule, na Grenlandii.

Trudno było powiedzieć, co w rzeczywistości czai się w duszy Cunninghama –

dobrze znali go jedynie nieliczni z najbliższego otoczenia. Dla nich jednak był człowiekiem, któremu zależy na tym, czym się zajmuje; osobą nie znoszącą biurokratów, złośliwych typów i każdego, kto nie dawał z siebie wszystkiego. I nie tylko.

– Generał musi być zajęty... – skomentował Stansell, zdziwiony, że Mado najwyraźniej nie przejmuje się oczekiwaniem.

– Taki ma styl pracy – wyjaśnił Simon, zamykając oczy i opierając się wygodnie.

Dobrze to określił. Cunningham spożytkował większą część poranka, przedpołudnia i wczesnego popołudnia na zarysowanie własnej wersji planu i wypisanie tego, co będzie musiał zrobić. Wypełnił notatkami dwie żółte kartki dużego bloku. Był podekscytowany – pragnął, żeby to Siły Powietrzne oswobodziły jeńców. Musiał udowodnić innym, a przede wszystkim sobie, że troszczy się o swoich ludzi. Wreszcie wezwał adiutanta i polecił mu wprowadzić Mado i Stansella.

Kiedy dwaj mężczyźni usiedli, szef sztabu Sił Powietrznych zapalił cygaro, które miętosił już od jakiegoś czasu w ustach, i zaczął chodzić po pokoju. Stansell nie widział jeszcze nigdy Cunninghama. Zaskoczyło go, że generał jest taki niski. Był krępej budowy ciała, miał srebrzysto siwe włosy i bladą cerę. Kontrastowała ona z nerwową energią, jaka biła w tym momencie od niego.

– Pułkownik, prezydent wydał rozkaz uwolnienia jeńców – oznajmił Cunningham. Obserwował reakcję Stansella. Ten skinął krótko głową, zaciskając usta.

– Wezwałem pana, ponieważ generał Mado jest zdania, że może nam pan pomóc. Generał Mado został dowódcą połączonych sił operacyjnych, a pan będzie podległym mu dowódcą samej misji. Pana zadaniem jest opracowanie szczegółowego planu operacyjnego oraz sformowanie połączonych sił. Wybierze pan odpowiedni poligon, na którym będzie pan przygotowywał żołnierzy. Mado pozostanie tutaj, będzie dostarczał panu wszystkiego, co potrzebne, i zwalczał konkurencję. Spora liczba generałów i pułkowników chce wziąć udział w tej akcji. Jeśli uznają, że posłużą to ich awansom, będą gotowi nas pożreć.

– Prezydent zaakceptował ogólne zarysy planu. Mado wyłoży je panu później. Aby stworzyć plan operacyjny, potrzebuje pan jednak paru wytycznych. Po pierwsze – niech misja będzie tak prosta, jak tylko możliwe. Po drugie – proszę spodziewać się strat i spróbować realistycznie przewidzieć ich wielkość. Po trzecie – będzie panu potrzebny dobry wywiad. Skontaktujemy pana z CIA oraz udostępnimy do współpracy DIA. Po czwarte – dostanie pan najlepszych ludzi i najlepszy sprzęt. Jeśli to, co panu wyślemy, nie wystarczy, niech Mado się martwi. Jednak proszę

kontynuować przygotowania z tym, co będzie pan miał. Teraz pokieruje panem mój adiutant, Dick Stevens. Sugerowałbym, żeby najpierw złożył pan wizytę generałowi brygady Eichlerowi. – Po tych słowach Cunningham wcisnął klawisz interkomu. – Dick, zaopiekuj się Stansellem – powiedział. – Skontaktuj go z Eichlerem i Cammem z CIA.

– Pułkownik – szef sztabu zatrzymał na chwilę Ruperta – był pan ostatnią osobą, która widziała Muddy’ego Watersa żywego. Proszę złożyć stosowną wizytę pani Waters; mieszka niedaleko Eichlera. I niech się pan, u licha, pozbędzie tego zielonego wora. Ludzie tutaj denerwują się na widok lotniczego kombinezonu. Przypomina im, na czym powinna polegać ich praca.

Mam nadzieję, że będzie w stanie temu podołać, pomyślał Cunningham, kiedy za Stansellem zamknęły się drzwi.

Stevens zabrał pułkownika do swojego biura i odbył kilka rozmów telefonicznych. W ten sposób uzyskał dla Stansella pokój w kwaterach oficerskich Bazy Sił Powietrznych Bolling, a także służbowy samochód.

– Wóz będzie czekał na pana przed głównym wejściem – poinformował. – Jak poszło u generała?

– Okazał się inny niż mówią. Spodziewałem się, że będzie krzyczał i groził.

– Takim ukazuje się publicznie. Zazwyczaj zresztą ma powody. – Stevens zmienił temat. – Sugerowałbym zmianę stroju. Jeśli potrzebny panu nowy mundur, proszę zgłosić się tam. – Podał wizytówkę. – Pana łącznikiem z CIA będzie Allen Camm, zastępca dyrektora wywiadu. Umówię panów na spotkanie na poniedziałek rano. Czekam na pana przepustka i dokumenty, a także odznaka uprawniająca do wstępu na obszary zastrzeżone. Jeśli wolno coś zalecić, dobrze by było, gdyby skontaktował się pan już w ten weekend z Centrum Obserwacyjnym. Mają tam zawsze gotowego do współpracy analityka. Uprzedzę ich o pańskich kompetencjach.

Wreszcie pułkownik podał Stansellowi wizytówkę generała brygady Melvina Eichlera.

– Zawiadomię „Bałaganiarza” Eichlera o pańskiej wizycie. To prawdziwy człowiek z charakterem.

– Pan generał kazał mi przy okazji odwiedzin u Eichlera złożyć także wyrazy szacunku pani Waters – poinformował Rupert.

Stevens odebrał mu wizytówkę, odnalazł w notatniku adres i telefon wdowy po Watersie, po czym dopisał go na kartoniku.

– Zazwyczaj zwracają się do Eichlera per „panie brygadierze”. Proszę nie przedłużać wizyty – generał umiera. Białaczka.

Rozdział czwarty

Dzień D minus 31

Góry Zagros, Iran

Kapitan William G. Carroll z Sił Powietrznych USA zmienił pozycję, próbując usiąść wygodniej w pękniętym fotelu, którego obicie przesunęło się nieco. Carroll oparł się teraz o szybę i w ten sposób jazda rozklekotanym, podskakującym twardo autobusem stała się odrobinę mniej dokuczliwa. Wyjrzał przez zamknięte pomimo duchoty okno – chodziło o to, żeby do środka nie wpadał pył wzbijany przez przednie koła pojazdu. Autobus posuwał się mozolnie po drodze w górach Zagros, w zachodniej części Iranu. Zarówno droga, jak i maszyna były w opłakanym stanie, zużyte do szczytu podczas ostatnich lat wojen, jakie Iran prowadził z sąsiadami.

William zobaczył w szybie swoje niewyraźne odbicie. Sam się zdumiewał, jak bardzo podobny był do mieszkańców tego kraju i jak łatwo mieszał się tu z tłumem. Dziękował w duchu armeńskim rodzicom swojej matki za ciemną karnację, czarne oczy i włosy.

Minęła już pora letnich upałów, choć nie nastał jeszcze czas deszczów i śniegu, charakterystycznych dla irańskiej zimy. Carroll oceniał, że kiedy zacznie na dobre padać, droga, którą się teraz posuwał, stanie się nieprzejezdna. Nagle zapanowała cisza. Po chwili zawtórowały jej jęki pasażerów – silnik zgasł. Był to już trzeci raz tego dnia. Kierowca zjechał na pobocze i wysiadł, żeby zobaczyć, czy uda mu się naprawić wóz. Carroll stwierdził, że ten Irańczyk jest znacznie lepszym mechanikiem niż kierowcą.

– Czy w końcu dojedzie pan do domu? – zagadnął mężczyzna siedzący obok Carolla.

– Jeśli taka będzie wola Allaha... – odparł William.

Mężczyzna uśmiechnął się. Podobał mu się ten – jak się wydawało – młody weteran Gwardii Rewolucyjnej, doświadczony w bitwach i mądry światłem wiary szyickiej, sierżant o imieniu Javad. Ma szczęście, myślał Irańczyk, tylu naszych najlepszych ludzi poległo. Wysiadł za innymi z autobusu pozostawiając Carrolla samego przy oknie. Ten wpatrywał się w góry.

Takie podobne do gór Południowej Kalifornii, myślał kapitan. I Grecji. Przypomniawszy sobie, jak to kiedyś transportowiec C-130 Hercules zawiózł go do

Grecji. Wydawało się to tak dawno temu.

Hercules wylądował na ateńskim lotnisku po pięciogodzinnym locie znad Zatoki Perskiej. Przywiózł dziewięćdziesięciu żołnierzy na pierwszy urlop regeneracyjny z Ras Assanya. Kiedy zapiszczały stykające się z pasem startowym opony, rozległy się radosne okrzyki i gwizdy. Carroll pozwolił wreszcie opaść napięciu, jakie nagromadziło się w nim podczas miesięcy walki. Chciał pogawędzić z kapitan Mary Hauser, kontrolerką radaru bazy, siedzącą obok niego. Próbował rozmowy podczas lotu, jednak hałas na pokładzie był tak duży, że wrzeszczeli tylko do siebie.

– Znów umknęliśmy śmierci – zagał, uśmiechając się, kiedy śmigła zaczęły się zatrzymywać.

– Dziwisz się? – padła odpowiedź.

– Nie. Chciałem wymyślić jakieś zdanie na rozpoczęcie rozmowy.

– A po co?

Dlaczego taka agresywna, zdziwił się Carroll. Nie planował przecież po kryjomu niczego specjalnego. Chociaż... – zastanowił się. Mary intrygowała go, wydawała mu się atrakcyjna. Powiedział w końcu:

– Tak po prostu, żeby było miło.

– Ach.

Co można powiedzieć w takiej sytuacji poza: „No to na razie”? Wysiadł z samolotu i udał się za obsługującym przewożonych żołnierzy sierżantem do terminalu.

Mary popatrzyła za nim, zła na siebie, że potraktowała go tak szorstko. Jednak, myślała, nie bądź głupia. On nie różni się pewnie od pozostałych mężczyzn z bazy. Z braku laku każda kobieta może się nadać – na tej zasadzie działają. Mary Hauser przyglądając się w lustrze dostrzegła tylko długą, wychudłą postać zwieńczoną u góry bezładną masą niesfornych, kasztanowych włosów.

Bill Carroll widział natomiast wysoką, szczupłą sylwetkę, poruszającą się z kocią gracją. W przeciwieństwie do wielu pilotów nie czuł się niespokojnie wiedząc o wysokich kompetencjach zawodowych kapitan Hauser i jej nie najniższym stopniu wojskowym.

Następne dwa dni Mary spędziła zwiedzając samotnie Ateny. Było to dla niej coś w rodzaju pokuty. W którymś momencie zwróciła uwagę na plakat w witrynie jednego z mieszczących się przy placu Omonia biur podróży, reklamujący wyjazdy na wyspę Mykonos. Nagle poczuła się zmęczona Atenami. Weszła więc do biura i zarezerwowała pokój na Mykonos oraz dowiedziała się, skąd odpływają promy. Nazajutrz jej taksówka utknęła w korku. Kiedy Mary dotarła do promu, przedni trap

był już podniesiony. Wbiegła na statek w ostatnim momencie przed podniesieniem tylnego trapu. Kupiła bilet i znalazła sobie miejsce na pokładzie słonecznym, starając się w jak najprzyjemniejszy sposób spędzić siedmiogodzinny rejs. W końcu, kiedy wysiadła z jednej z niewielkich łodzi, jakie przewoziły pasażerów i ładunek z promu do samego nabrzeża, okazało się, że biuro podróży nie dokonało dla niej rezerwacji. Wszelkie poszukiwania wolnego pokoju spęły na niczym. Zrezygnowana, kupiła wieczorem obiad w jednej z tanich restauracji, z zamiarem przesiedzenia kolejnych godzin w tawernie, dopóki jej nie wyrzucą, zamykając lokal. Następnie, myślała, zaszyje się na resztę nocy w jakiejś dziurze i rano wróci do Aten pierwszym promem.

– Jak ci się podoba na Mykonos? – usłyszała czyjś głos. Odwróciła się i zobaczyła Billa Carrolla. Tym razem uśmiechnęła się, widząc znajomą twarz. Opowiedziała Carrollowi o nieudanej rezerwacji.

– Nie zrozum mnie źle – rzekł na to Bill – ale w moim pokoju są dwa łóżka i możesz przespać się na jednym z nich.

Mary popatrzyła na szczupłego, młodego kapitana o ciemnych poważnych oczach... Przyjęła propozycję. Następnego ranka, kiedy się obudziła, łóżko Billa było puste. Po chwili zobaczyła cień jego sylwetki na balkonie. Wydostała więc swoje długie nogi z pościeli i dołączyła do Carrolla, mając na sobie tylko koszulkę.

Kapitan obserwował wspaniały wschód słońca, popijając kawę.

– Mała odmiana, prawda? – rzucił. Patrzyli oboje, jak wioska nabiera porannych barw i budzi się do życia. – Jadę dzisiaj do Delos obejrzeć ruiny. Chcesz pojechać ze mną?

Mary Hauser poczuła się dobrze w towarzystwie tego człowieka; sceptycyzm, jakiego nabrała na pokładzie C-130, rozwiął się. Następne cztery dni spędzili chłonąc błogi czar wyspy. Złowrogi świat, w jakim się zwykle obracali, zniknął na krótko, pozwalając im bawić się, poznawać, odkrywać się wzajemnie krok po kroku, aż wreszcie stali się kochankami.

Silnik autobusu zawarczał ponownie, przywołując Carrolla do rzeczywistości.

Sąsiad Billa wrócił na miejsce; pasażerowie z ulgą wypełnili pojazd z powrotem. Irańczyk wręczył Carrollowi gruszkę. Ten podziękował, ale mimo to dostał ją do ręki. Autobus ruszył, a kapitan wgrzyzł się w niechciany owoc – niezamierzony prezent na jego dwudzieste siódme urodziny, który otrzymał od przyjaznego – jeszcze – Irańczyka.

Mary, pomyślał, dlaczego nie opuściłaś bazy na rozkaz Muddy'ego Watersa? Mary... Jesteś teraz jeńcem.

Waszyngton

Nieduży dodge omni w kolorze niebieski metalik, jaki załatwił dla pułkownika Stansella Stevens, był typowym samochodem osobowym używanym w Siłach Powietrznych – zwyczajnym, funkcjonalnym, po prostu nudnym. Nie tak, jak duże granatowe bmw, które jechało teraz z tyłu. Rupert posuwał się przez miasto w niezbyt dużym w niedzielny poranek ruchu. Kierował się ku międzystanowej autostradzie 95, którą miał dotrzeć do Fredericksburga w stanie Virginia, gdzie mieszkał generał Eichler. I wdowa po Muddym Watersie. Po przejechaniu parunastu kilometrów zjechał w równoległą do autostrady starą drogę numer jeden. Pomyślał sobie, że jazda nią będzie ciekawsza. Najwyraźniej kierowcy bmw wpadło do głowy to samo.

Pułkownik mijał mieniające się jesiennymi kolorami drzewa. Co za odmiana w porównaniu z bazą Luke czy Ras Assanya, myślał. Zamieniał się pomału w pustynnego szczura. Ras Assanya... ta nazwa pojawiała się wciąż w jego głowie, nie dawała mu spokoju. Zmuszał się, by skupić uwagę na tym, dokąd jedzie. Jaką też kobietę mógł kiedyś poślubić Muddy Waters? Ale nieżyjący dowódca Ruperta był zbyt złożoną osobowością, żeby można go było łatwo rozszyfrować.

– Muddy, szczęściarz ze mnie, że cię znałem – powiedział.

Stansell poznał Watersa w Ras Assanya. Muddy dowodził Czterdziestym Piątym Skrzydłem Myśliwców Taktycznych. Służyli w nim młodzi piloci, którzy latali na starych maszynach typu F-4 Phantom. Jakimś sposobem Waters potrafił trzymać należytą pieczę nad jednymi i drugimi, zamieniając jednostkę w jedną z najlepszych. Czterdzieste Piąte ponosiło jednak ciężkie straty i dodano mu dowodzony przez Stansella dywizjon nowoczesnych F-15 w celu prowadzenia bojowych patroli powietrznych. Wspólnie obie jednostki były już w stanie nakłonić Irańczyków do rozpoczęcia rokowań w sprawie rozejmu. Jednak nieprzyjaciel postawił sobie za punkt honoru zniszczenie Czterdziestego Piątego. Waters potrafił zjednywać do siebie ludzi; Stansell po pewnym czasie mógłby pójść za nim w ogień. Było to dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Po wycofaniu F-15 z Ras Assanya Rupert wolał pozostać z Watersem niż zasiąść przy biurku w swojej poprzedniej bazie. Kiedy Iran wysłał flotę inwazyjną, Stansell był świadkiem tego, jak Muddy walczy o ocalenie swojej jednostki, posyłając phantomy naprzeciw zbliżającym się okrętom. Zmusił w ten sposób swoich pilotów do poświęcenia siebie i maszyn dla ratowania pozostałego personelu jednostki. To Stansell dostał rozkaz pokierowania ewakuacją. Był pod wrażeniem tego, z jakimi oporami żołnierze Czterdziestego Piątego godzili się na opuszczenie bazy. Większość z nich, zarówno mężczyźni, jak i kobiety,

pragnęła zostać i walczyć. Osobowość Watersa wywierała na nich głęboki wpływ.

Wreszcie przed oczami Ruperta stanęły prześladowające go ciągle obrazy ostatnich godzin istnienia bazy. Cywilni technicy dokonujący cudów, aby pas startowy pozostawał czynny. Dwa herculesy pełne ludzi umykające huraganowemu ogniowi artylerii przeciwlotniczej. Ucieczka ostatnich pięciu phantomów i na końcu śmierć Muddy'ego od nieprzyjacielskiej salwy, kiedy to próbował poddać swoją tylną straż zamiast pozwolić wrogom wybić ją do nogi. Dowództwo automatycznie przeszło na Stansella i to na jego barkach spoczął obowiązek poddania bazy. Później Irańczycy przesłuchiwali go...

Któż byłby w stanie zastąpić Watersa?

Tymczasem minął stojącą przy drodze tablicę informującą o tym, że wjeżdża właśnie do Fredericksburga. Rupert powrócił do rzeczywistości. Poczuł, że się poci. Nieduże miasto było bardzo piękne. Uspokoilo to pułkownika. Rozumiał, dlaczego Eichler osiedlił się tu po przejściu na emeryturę. Bez trudu odnalazł jednopiętrowy, drewniany dom o pomalowanych na biało głównych elementach nośnych. Stansell wziął głęboki oddech, odrzucił wspomnienia i zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu okrągła, siwowłosa kobieta.

– Na pewno pan jest pułkownikiem Stansellem, proszę wejść – powiedziała i poprowadziła przybysza korytarzem do gabinetu. – Brygadier jest małomówny – ostrzegła. Jej lekko południowy akcent, ubiór oraz wygląd domu kojarzyły się Rupertowi z sielskim, spokojniejszym niż gdzie indziej życiem. Żona generała wprowadziła go do pokoju o ścianach wyłożonych boazerią. Przeszklone drzwi do ogrodu były otwarte, wpuszczając ciepłe, poranne, październikowe powietrze. Promienie słońca padały prosto na emerytowanego generała brygady Sił Powietrznych, Melvina Eichlera, zwanego „Bałaganiarzem”.

– Brygadierze, przybył pułkownik Stansell – poinformowała pani Eichler.

– Sukinsyny nie mają pojęcia, jak się do tego zabrać – powiedział na powitanie generał. Zabijający go rak wycisnął piętno na jego wyglądzie. Starszy mężczyzna wynędzniał od choroby i chemioterapii. Obecnie jego ciało zaczynało już puchnąć, ponieważ kolejne układy przestawały funkcjonować. Jednak głos pozostawał zdrowy. Ciągłe słychać było w nim ton wieloletniego dowódcy.

– Przepraszam, sir, nie rozumiem – odezwał się Rupert.

– Do uwolnienia jeńców! Nie jestem głupi, ja tylko umieram – wyjaśnił generał. – Cunningham chce, żeby pan wymyślił, jak to zrobić, prawda?

Białaczka nie pokonała intelektu Eichlera ani też skłonności do wypowiedziania śmiałych słów, dzięki którym słynący z niezależności stary oficer wywiadu był zawsze uważany za postać kontrowersyjną. Służbę w wywiadzie Eichler rozpoczął

jeszcze w czasie drugiej wojny światowej, w OSS. We wczesnych latach istnienia Sił Powietrznych jako samodzielny rodzaj wojsk Eichler był jednym z najdynamiczniejszych podwładnych ówczesnego szefa sztabu Curtisa LeMaya. Później stał się ekspertem od operacji specjalnych. Gdyby był pilotem, mógłby dosłużyć się czterech gwiazdek – najwyższego w amerykańskim wojsku stopnia generała armii. No i gdyby trzymał język za zębami w latach wojny w Wietnamie. Powtarzał jednak wówczas raz za razem zarówno najwyższemu dowódcy, jak i prezydentowi, że prowadzą tę wojnę po bałaganiarsku. Stąd dorobił się przydomku „Bałaganiarz”. Tłumaczył wszystkim, jak wykorzystać operacje specjalne w celu wygrania wojny, jednakże nikt nie chciał go słuchać i w końcu przeniesiono go na emeryturę.

– Nie chciało im się spytać o radę, kiedy próbowali uwolnić zakładników z ambasady w Iranie – przypomniał. – „Orli Szpon” był kompletnym fiaskiem. Powinni byli wtedy złożyć skórę paru sukinsynom. A Grenada – spieprzyli, jak tylko mogli; udało się jedynie dzięki naszej olbrzymiej przewadze. Powinniśmy byli atakować w nocy; dobrze, że rangersi uratowali nam tyłki. Niech pan uczy się od nich... – Stansell próbował przerwać, jednak Eichler uciszył go ruchem dłoni. – Anna nie pozwoli mi długo mówić, więc proszę słuchać. Potrzebny panu dobry wywiad. Bez niego ginie pan. Musi pan znać zasady prowadzenia operacji specjalnych. Siły biorące udział w takich operacjach nie starają się utrzymać zajętego obszaru czy obiektów. Jeśli zignoruje pan reguły tego rodzaju, odstrzelą panu tyłek i koniec.

– Pańscy ludzie muszą przez cały czas panować nad sobą i stanowić zgraną drużynę. Wszyscy podlegają panu – siły lądowe, powietrzne, wywiad, logistyka – każdy. Żadnego dzielenia kompetencji. To pańskie przedstawienie. Ani jednego niedołęgi. Muszą być silni jak konie. Niech pan nie ufa sprzętowi. Proszę przygotować dokładnie podwójną liczbę samolotów. Jeśli to tylko możliwe, unikać śmigłowców. I na litość boską, niech plan będzie prosty, a operacja szybka i krótka. – Eichler oparł się w fotelu, oddychając z trudem, zmęczony tyradą. Zamknął oczy. Widać było, jak jego mięśnie rozluźniają się.

Po paru minutach Stansell wstał i wyszedł do hallu. Zdumiał się, widząc opartą o ścianę niedaleko drzwi gabinetu Annę Eichler. Odprowadziła go do wyjścia.

– Mylił się, wie pan – zagadnęła starsza kobieta. – Pozwoliłabym mu mówić długo. To była jego ostatnia okazja. – Przystanąła w drzwiach i na pożegnanie pogłaskała policzek pułkownika. – Dziękuję panu. Obaj nasi chłopcy nie żyją. To zadanie zlecił panu. Niech je pan wykona jak należy.

Stansell jechał przez miasto szukając teraz domu pani Waters. Drzwi otworzyła

przystojna kobieta w średnim wieku.

– Pani Waters, jestem pułkownik Rupe Stansell. Telefonowałem wczoraj.

– Och, oczywiście; Sara czeka na pana. – Kobieta uśmiechnęła się, widząc jego zmieszanie. – Jestem Martha Marshall, matka Sary. – Rupert wkroczył za panią Marshall do kuchni otwierającej się na dzienny pokój. Na podłodze siedziała młoda kobieta – zmieniała pieluchę niemowlakowi. Wstała i podniosła dziecko.

– Melisso, to jest pułkownik Rupert Stansell – powiedziała do małej. – Znał twój tata.

Pułkownikowi zabrakło słów. Sara Waters była piękną dziewczyną, która nie przekroczyła jeszcze trzydziestki. Miała złociste włosy opadające kaskadami na ramiona i ciemne, ciepłe, przyjazne oczy. Urodzenie dziecka nie przyniosło szkody jej wspaniałej figurze. Postanowiła wybawić Stansella z kłopotu i zaczęła za niego:

– Nie byliśmy małżeństwem zbyt długo. Poznałam Anthony'ego, kiedy służyłam w Siłach Powietrznych, w Centrum Obserwacyjnym.

Po kilku minutach Melissa siedziała już wygodnie na kolanach pułkownika, a Rupert czuł się swobodnie wobec obydwu kobiet. Pani Marshall poprosiła go, żeby został na obiad i zaproponowała, żeby zabrali z Sarą dziecko na spacer, podczas gdy ona przygotowuje posiłek.

Stansell i Waters ruszyli więc ulicą, wzdłuż której rosły wspaniałe drzewa; Sara pchała przed sobą wózek.

– Proszę, niech pan opowie mi o Anthony'ym i o tym ostatnim dniu – powiedziała. Popatrzyła na Stansella poważnie i spokojnie. – Muszę wiedzieć. Do tej pory nie oddali jego ciała.

Rupert stwierdził, że ta młoda kobieta oczekuje rzetelnej szczerości.

– Wątpię, żeby to zrobili – przyznał. – Kiedy poddałem bazę, Irańczycy przesłuchiwali mnie przez ponad dwanaście godzin. Interesowało ich wyłącznie odnalezienie pani męża. Bardzo im na tym zależało. Dwaj strażnicy zabrali mnie do bunkra żandarmerii, gdzie znajdował się Muddy, kiedy po raz ostatni ostrzelano bazę z dział. W bunkier trafiły bezpośrednio dwa pociski. Niewiele z niego zostało. Nie byłem w stanie zidentyfikować niczego.

– Jak do tego doszło?

– Artyleria rwała nas na strzępy. Cywilni technicy pracowali cały dzień, żeby utrzymać zdalny do użytku odcinek pasa wystarczający do startu ostatnich F-4. Miałem nadzieję, że może uda się wylądować herculesom jeszcze raz i zabrać więcej ludzi. Udało się wyprowadzić phantomy w powietrze, ale z C-130 już nie wyszło. Pozostało nas około trzystu osób. W większości żandarmów, obsługi technicznej, rannych, cywilnych techników. Nie chcieli opuścić bazy. Nawet gdyby mogli. Pani

mąż rozkazał ewakuować się oficerowi wywiadu nazwiskiem Bill Carroll...

– Znam Billa – wtrąciła Sara. – Nie opuściłby bazy.

– Nie zrobił tego – przyznał Stansell.

– Pan też nie – zauważyła młoda wdowa.

Pułkownik pokręcił głową. Przez parę chwil szli w milczeniu, po czym Rupert kontynuował opowieść:

– Pod koniec pani mąż nie spał już dwie doby. Był skrajnie zmęczony. Natężenie walki chwilowo osłabło, polecił mi więc przejąć dowództwo i obudzić go za godzinę. Pozwoliłem mu jednak spać ponad trzy godziny. Kiedy wstał, nie miał o to pretensji, zapytał tylko o aktualną sytuację. Gdy mu ją przedstawiłem, wiedział, jaką decyzję powinien podjąć. Należało poddać bazę, żeby powstrzymać dalsze niepotrzebne straty. Zginął jednak, zanim zdążył to zrobić... Było w nim coś takiego, że chciało się pod nim służyć. Ja nie daję sobą łatwo kierować, z pewnością obcy jest mi wszelki kult jednostki, a jednak poszedłbym za nim wszędzie.

– Ja też za nim szłam – odpowiedziała Sara.

Po obiedzie Stansell został trochę dłużej niż zamierzał. W końcu ruszył swoim dodge'em omni z powrotem na północ do Waszyngtonu. Tak jak poprzednio, pojechał starą szosą. Pomyślał o planie, którego zarysy wyłożył mu po spotkaniu z Cunninghamem Mado i o minionej sobocie, jaką spędził w Centrum Obserwacyjnym w towarzystwie analityka, omawiając z nim najświeższe dane z Iranu. Pamiętał także rady Eichlera. Wszystko zaczynało układać mu się w całość. Pewnie da sobie radę z...

Nagle w wewnętrznym lusterku pojawił się granatowy samochód.

– Wygląda na to samo bmw, które jechało za mną w tamtą stronę... – mruknął pułkownik. Niemiecki wóz przyspieszył i wyprzedził dodge'a. Kiedy go mijał, Stansell zerknął na pasażerów. W samochodzie siedziało dwóch mężczyzn, obaj mieli ciemne włosy i karnację i obaj nosili przeciwsłoneczne okulary. Maszyna pomknęła do przodu, znikając pomiędzy innymi samochodami. Rupert zdał sobie sprawę z tego, że zaczął szybko oddychać.

– Nie możesz popadać w paranoję za każdym razem, kiedy widzisz kogoś, kto wygląda jak Irańczyk! – zbeształ siebie na głos. – I musisz przestać mówić sam do siebie.

Ołówek Stansella przesunął się po literach „AN” – jedynych, które pułkownik zdążył odczytać z tablicy rejestracyjnej granatowego bmw. W końcu Rupert zmiął karteczkę i rzucił ją w kąt, a następnie wziął się do szkicowania schematu więzienia, w którym przetrzymywano jeńców. Szkic przedstawiał budynki mniej więcej pod

takim kątem, pod jakim postrzegałby je lecący nisko pilot. Zdolności plastyczne umożliwiły mu dodanie na rysunku roślinności i innych budynków. Artystyczny zmysł pozwalał łatwo przetworzyć zrobione pionowo z góry fotografie, jakie pułkownik oglądał w Centrum Obserwacyjnym, w obrazy widziane z innej perspektywy.

Dlaczego to więzienie wydaje mi się takie znajome, zastanowił się. Czy ten rysunek nie pochodził przypadkiem z podręcznika historii wojskowości...? Jak gdyby od niechcienia zamienił płaski dach głównego dwupiętrowego budynku w spadowy. Coś zaczęło Stansellowi świtać... Rzucił notatnik na podłogę, wstał i podszedł do okna.

– Mój Boże, przecież to więzienie w Amiens!... – wyszeptał. Tak wyglądało więzienie, w którym podczas drugiej wojny światowej gestapo trzymało kilkuset bojowników francuskiego ruchu oporu. RAF wykonał wówczas nalot, pomagając ich uwolnić... Czy był to tylko zaskakujący zbieg okoliczności, czy też może szansa dla amerykańskich jeńców na znalezienie drogi na zewnątrz?

Rozdział piąty

Dzień D minus 30

Pentagon, Waszyngton

Simon Mado stał w swoim gabinecie przed stojakiem na mapy. Na górze każdego z wiszących na nim diagramów wypisane było dużymi literami ŚCIŚLE TAJNE.

– Prezydent domaga się uwolnienia jeńców w ciągu miesiąca.

– Dzień D za trzydzieści dni... trudno będzie zdążyć – skomentował Stansell.

– Opracowałem szczegółowy schemat tego, co należy zrobić, jeśli mamy być gotowi – odpowiedział generał. – Dzisiaj jest Dzień D minus 30. – Pokazał na duży, drukowany diagram, na którym pod numerami od trzydziestki do jedynek wypisane były zadania, jakie należało wypełnić każdego dnia. Plan był ambitny.

– Ten tydzień niech pan wykorzysta na sformowanie sprawnie działających sekcji wywiadu oraz szkolenia, znalezienie poligonu oraz dokończenie planu operacji. W tym czasie ja zadbam o C-130 oraz jednostkę Armii, która weźmie udział w akcji. Chcę, żeby najpóźniej dwudziestego trzeciego dnia przed misją, a więc w przyszły poniedziałek, znajdował się pan na poligonie gotów na przyjęcie herculesów i Armii oraz na rozpoczęcie ćwiczeń. Plan operacyjny proszę skończyć do wtorku, Dzień D minus 22. Dzisiaj, po rozmowie z Allenem Cammem z CIA pojedzie pan do Fort Belvoir, do Centrum Działań Specjalnych Sił Powietrznych USA. Powiadomiłem ich o pańskim przybyciu.

Stansell wyszedł ze spotkania pod wrażeniem pracy, jaką wykonał Mado. Nic dziwnego, że tak szybko awansował na generała i że nie daje ludziom żyć, pomyślał Rupert. Skierował się na olbrzymi parking Pentagonu w nadziei, że nie zapomni, w którym miejscu postawił samochód. Odnalazł go w końcu i ruszył ku Langley w stanie Virginia, gdzie znajduje się siedziba CIA. Mimo woli zerkał we wsteczne lustro, czy nie zobaczy w nim przypadkiem granatowego bmw.

Na drodze panował taki ruch, że jedenastokilometrowa jazda trwała dwadzieścia minut. Tymczasem znajdujący się wciąż o trzy samochody z tyłu biały chevrolet zmieniał pasy śladem Stansella. Pułkownik tak skupił się na obserwacji chevroleta, że omal nie wjechał w tył samochodu jadącego przed nim. W końcu pojawiła się tablica informująca o zjeździe do ośrodka CIA. Chevrolet przemknął prawym pasem. Zaczynasz popadać w paranoję!... ostrzegł się w duchu Rupert.

Kiedy zajechał na miejsce i wszedł głównym wejściem, zobaczył czekającą na niego przy biurku strażnika typową studentkę pierwszego roku – jasnowłosą, tryskającą zapachem dziewczynę w wieku najwyżej dwudziestu lat. Kiedy już wpisał się do księgi wchodzących, dziewczyna zaprowadziła go na drugie piętro. Stansell zauważył, że wiele korytarzy biegło wzdłuż okien, natomiast pokoje skierowane były do wewnątrz budynku i musiały być ślepe.

– Długo pracuje pani w firmie? – zagadnął.

– Nie nazywamy jej tak – odparła blondynka. – Niedługo. Jestem dziewczyną na posyłki u pana Camma. – Uśmiechnęła się promiennie, po czym wprowadziła Stansella do biura swojego szefa i wyszła.

– Witam, panie pułkowniku, czym możemy służyć Siłom Powietrznym? – zagadnął Camm, wyciągając dłoń. Allen J. Camm był funkcjonariuszem CIA starej szkoły. Wysoki i szczupły, miał starannie ułożone, siwiejące włosy, nosił ciemnoszary, szyty na miarę garnitur oraz zielonkawo złoty krawat. Znoszone, lecz nieskazitelnie wypastowane buty dopełniały wrażenia nie ostentacyjnej, jednak sumiennie pielęgnowanej elegancji. Camm zaliczał się do rządzącej dawniej Agencją grupy absolwentów trzech najbardziej prestiżowych uczelni – wszyscy oni ukończyli uniwersytety Harvard, Yale lub Princeton.

– Generał Cunningham zasugerował mi spotkanie z panem w celu ustanowienia kanału informacyjnego dla przeprowadzenia operacji specjalnej Sił Powietrznych – powiedział Stansell.

– Wolimy przekazywać informacje za pośrednictwem DIA – odparł Camm, mając na myśli agencję wywiadowczą Departamentu Obrony. Mówił najczystszym bostońskim akcentem.

– Potrzebny nam będzie bezpośredni dostęp do waszych danych, jeśli to możliwe – zaprotestował łagodnie Rupert. – Rozmawiałem wczoraj z Eichlerem; podkreślał potrzebę dysponowania bieżącymi danymi wywiadu.

– No tak, chodzi o jeńców. Przykro mi z powodu Brygadiera, zmarł wczoraj wieczorem. – Camm odczekał chwilę, śledząc reakcję Stansella na usłyszaną wiadomość.

– Bardzo mi przykro, że tak się stało – powiedział pułkownik. Nie był jednak zdziwiony. – Ma pan rację mówiąc o jeńcach. Generał Cunningham sądził, jak się zdaje, że to z panem powinienem się skontaktować, jeśli...

– Aby otworzyć nowy kanał informacyjny, potrzebna będzie decyzja polityczna, której podjęcie nie leży w kompetencjach mojego biura – wyjaśnił Camm. – Będę musiał przedstawić sprawę dyrektorowi, a tymczasem pan Burke ma się teraz czym zajmować. Jednak jeśli napisze pan formalną prośbę, przedłożę mu ją. – Po tych

słowach wysoki funkcjonariusz CIA wcisnął guzik interkomu, dając tym samym znak, że zakończył już spotkanie ze Stansellem.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Przyniosę panu podanie – oznajmił grzecznie Rupert.

Po otwarciu drzwi pojawiła się w nich natychmiast ta sama dziewczyna, co poprzednio. Ruszyła ze Stansellem do wyjścia, gawędząc o pogodzie. Powiedziawszy „do widzenia” przewodniczka, nosząca nazwisko Susan Fisher, ruszyła szybko do swojego pokoju, zatelefonowała, wzięła dwie teczki i poszła bezpośrednio do gabinetu Camma. W rzeczywistości była oficerem i zajmowała się sprawą jeńców.

– I jak? – spytał Camm.

– Mamy parę zdjęć nadających się do celów identyfikacji – odpowiedziała. – Brak prawego ucha sprawia, że łatwo go wyróżnić. – Po głupawej studentce nie został nawet ślad. – Po raz pierwszy usłyszałam, że Siły Powietrzne planują uwolnienie jeńców – mówiła. – Leachmeyer ma teraz szczegółowo opracowany plan, którego skuteczność testuje w Fort Bragg. Wygląda na to, że Siły Powietrzne i Armia USA znowu ze sobą konkurują. Zna pan Cunninghama.

– Zawsze robi coś po swojemu. – Camm zgadzał się z Fisher.

– Nasza drużyna śledzi zbrojne ramię islamskiego ugrupowania Dżihad – ciągnęła. – Mają co najmniej pięciu agentów działających na terenie Stanów. Według doniesień naszych ludzi dwóch agentów Dżihadu śledziło wczoraj Stansella. Zdaje się, że się zorientował. Prowadzili granatowe bmw – trudno o bardziej rzucający się w oczy samochód. Sami też zaczęliśmy śledzić Stansella, żeby zobaczyć, czy ci z Dżihadu podejmą jakieś dalsze kroki. Stansell wykrył dzisiaj rano dwóch naszych.

– Jest aż taki dobry? Czy islamski Dżihad wprowadzi swego agenta w szeregi uczestników misji? – pytał Camm.

– Nie sądzimy. Dwaj inni bojownicy znajdują się w tej chwili w Bazie Sił Powietrznych Holloman, w stanie Nowy Meksyk. Odnaleźli dwóch sierżantów, którzy zdołali się wyrwać z Ras Assanya i wydostali stamtąd Stansella. Potwierdza to raport z Bejrutu. Dżihad chce porwać lub zamordować trzech ludzi, którzy uciekli z Ras Assanya. Zawstydziliby to Stany Zjednoczone przy stole rokowań w Genewie.

– Jakim sposobem Dżihad tak szybko wpadł na trop Stansella?

– Jedna z ich agentek dotarła do pewnego sierżanta, który służy w Pentagonie przy wydawaniu przepustek i dokumentów. – Podała Cammowi wyraźną, kolorową fotografię kobiety. – Pochwyciła go w swoją pułapkę. Seks ciągle pozostaje skuteczną bronią, a ona rozpracowuje jednocześnie dwóch innych.

Camm oddał zdjęcie.

– Niewielu mężczyzn powstrzymałoby się przed pójściem do łóżka z kimś takim – przyznał. – Dobrze, proszę uważnie śledzić rozwój sytuacji. Kiedy otrzymamy oficjalną prośbę od Stansella, proszę przesłać mu kopie wszystkiego, co dostarczyliśmy Leachmeyerowi i JSOA na temat jeńców. Proszę się upewnić, że dostał wszystkie nowe informacje. Niech pani także przekaże FBI wystarczające dane do aresztowania agentów Dżihadu. Niech się sami tym zajmą. Jeżeli dowiedzą się, że znowu prowadzimy działania na terenie Stanów Zjednoczonych... – Camm przerwał na chwilę i dodał: – Zobacz, czy nie uda się przekupić tej kobiety. Mogłaby się nam przydać. Dowiedz się, kto finansuje działania Dżihadu tutaj oraz która ambasada im pomaga. Nie podoba mi się, że operują w USA. Ich specjalność to branie zakładników.

Fisher zapisała polecenia.

– Czy mamy przekazywać JSOA i Stansellowi także informacje z „Głębokiej Bruzdy”?

– Mowy nie ma. – Camm był zdeterminowany chronić „Głęboką Bruzdę”, czyli sieć współpracowników i agentów, którą tworzył w Iranie. – Istnienie „Głębokiej Bruzdy” zaszokowałoby wielu ludzi, a w tej chwili wcale nie jest nam to potrzebne – wyjaśnił.

Stansell jechał do Fort Belvoir. Zerkał raz po raz w lusterko, żeby sprawdzić, czy ktoś za nim nie jedzie. To nie paranoja, po prostu jesteś ostrożny, tłumaczył sobie. Minął Pentagon i pojechał dalej na południe, wjeżdżając do stanu Virginia. Co za strata czasu, pomyślał. W CIA panuje biurokracja i stare zwyczaje.

Surowy żandarm stojący przy głównym wjeździe do Fort Belvoir skierował Stansella ku północnej części bazy. Znajdował się tam oddalony od innych budynków, mieszczący Centrum Działań Specjalnych Sił Powietrznych. Wartownik wprowadził pułkownika za podwójny płot zwieńczony drutem kolczastym.

Centrum było odpowiedzialne za wszystkie prowadzone przez Siły Powietrzne działania wywiadowcze przy pomocy ludzi, czyli za klasyczne szpiegostwo. Z początku ośrodek nazywał się 1127. Grupa Działań Polowych, później 7612. Grupa Wywiadu Powietrznego, wreszcie otrzymał obecną nazwę i urzędową kontrolę ze strony dowództwa Sił Powietrznych. Wewnątrz budynku wszystko urządzone było po wojskowemu.

Wywiadowczym ośrodkiem kierował całkiem rozsądny generał brygady. Znalazłszy się w jego gabinecie, Stansell zasalutował sprężysto. Zauważył na ścianie okazałą fotografię Eichlera z autografem.

– Przykro mi z powodu Brygadiera – powiedział Rupert.

Na twarzy generała pojawiło się zdziwienie, świadczące o tym, że w Centrum nie wiedzano jeszcze o śmierci starego generała.

– Powiedziano mi, że zmarł w niedzielę rano – wyjaśnił pułkownik. – Prawdopodobnie chwilę po tym, jak z nim rozmawiałem.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tak jest. Na temat uwolnienia jeńców. Był bardzo słaby fizycznie, ale zachowywał całkowitą jasność umysłu.

– To by do niego pasowało... – Generał podniósł słuchawkę i przekazał smutną nowinę swojemu zastępcy. – Dziękuję, że nam pan powiedział. Brygadier był dla nas postacią szczególną. – Przyjrzał się uważnie Stansellowi. – Co może mi pan powtórzyć z waszej rozmowy?

Rupert opowiedział przebieg wizyty u Eichlera oraz powód jej złożenia.

– Wymienił pan Simona Mado...

– To mój przełożony, sir. Generał Cunningham mianował go dowódcą sił operacyjnych.

– Mado potrafi dać się we znaki, ale to bardzo kompetentny człowiek. Brygadier miał rację, wywiad jest tu sprawą kluczową. Będzie pan potrzebował wszelkiej dostępnej pomocy. Nawet znakomicie zaplanowana i wykonana misja może się rozsypać bez aktualnych i dokładnych danych wywiadu. Podręcznikowym tego przykładem jest misja „Son Tay” z 1970 w celu uwolnienia sześćdziesięciu jeńców wojennych.

Wszystko się udało, tylko że w chwili, kiedy nasi dotarli na miejsce, jeńców już tam nie było. Zwykły szpieg pracujący na miejscu uchroniłby operację przed fiaskiem. Teraz naszemu Centrum nie wolno już rozmieszczać agentów za granicą, jednak możemy panu służyć inaczej. – Wcisnął guzik interkomu i rzucił: – Dewa, mogę cię prosić? – Po raz pierwszy od początku rozmowy uśmiechnął się. – To jedna z naszych cywilnych specjalistek od wywiadu. Mówi płynnie językiem farsy.

Kobieta, która weszła do pokoju, miała mniej więcej metr pięćdziesiąt osiem wzrostu na wysokich obcasach. Wyglądała jak potomkini jakiegoś mitycznego sułtańskiego rodu z baśni o Sindbadzie – miała kruczoczarne, sięgające do ramion włosy, ciemne oczy i karnację. Generał przedstawił ich sobie.

Dewa Rahimi wyciągnęła rękę.

– Miło mi pana poznać, panie pułkowniku. Czytałam o panu i o tym, co stało się w Ras Assanya – powiedziała bez śladu obcego akcentu.

– Pułkownik Stansell przygotowuje misję uwolnienia jeńców z Kermanshah – wyjaśnił generał. – Chce, żebyśmy udzielili mu wszelkiej możliwej pomocy. Będzie mu potrzebny agent na miejscu, którego nie możemy zapewnić. Jednak rozmawiała

pani z niejednym Irańczykiem. Proszę zobaczyć, czy nie da się znaleźć spośród nich kogoś, kto zgodziłby się popracować dla pana pułkownika i wrócić do swojego kraju. Niech pani będzie naszym łącznikiem. Proszę mu dać wszystko, czego potrzebuje.

Rahimi powstrzymała uśmiech.

– Pułkowniku, jeśli pan sobie życzy, przydzielę tymczasowo Dewę do pańskiej sekcji wywiadowczej. Nie tylko mówi w farsy, ale do tego świetnie zna się na komputerach. Jednak później chcę ją dostać z powrotem.

Stansell powstrzymał się przed zbyt entuzjastycznym wyrażeniem wdzięczności.

– Dziękuję, panie generale, to byłoby wspaniale – powiedział. – Na razie nie przychodzi mi na myśl nic innego. Dziękuję za wsparcie. Mogę powiedzieć, że to o wiele więcej, niż dostałem od CIA. – Kiedy wstał i ruszył do wyjścia, Rahimi zatrzymała go słowami:

– Panie pułkowniku, potrzebuję pański numer. Stansell gapił się na nią, nieco oteściały.

– Muszę wiedzieć, gdzie mam zadzwonić, żeby zgłosić się do pracy – wyjaśniła. Generał uśmiechnął się. Dewa potrafiła robić na ludziach wrażenie.

Góry Zagros, Iran

Uderzenie kolbą karabinu wylądowało na ramieniu Carrola, i częściowo na jego głowie, a było tak silne, że kapitan wypadł z fotela. Ledwie słyszał piskliwy krzyk kobiety, wołającej do chłopaka:

– Zabij go!...

Głośno zazgrzytały hamulce. Kierowca zjechał na pobocze i wyłączył reflektory. W nozdrza zakłuł Billa kwaskowaty zapach. Czy to od startej gumowej wykładziny podłogowej? Udawał nieprzytomnego, próbując odpędzić uczucie wirowania w głowie.

Wszyscy pasażerowie obudzili się teraz – rozmawiali nerwowo i pokrzykiwali, nie wiedząc, co robić.

– Zabij go! – Ta sama kobieta odezwała się po raz drugi, jednak najwyraźniej nikt jej nie słuchał.

– Podnieśmy go, blokuje przejście – powiedział jakiś mężczyzna. – Cztery ręce pochwyliły Carrolla i po chwili Amerykanin znalazł się znów na siedzeniu.

Nie poruszał się, a głowa zwisała mu na piersi. Zamęt w głowie mijał, ustępując miejsca rozdzierającemu bólowi. Carroll czuł, jak prawa strona jego głowy pulsuje. Co się, u licha, stało? Słysząc było, że większość zaniepokojonych pasażerów

wysiada z autobusu, chcąc się szybko oddalić i nie brać udziału w tym, co się będzie działo. Obicie fotela przesunęło się – Bill siedział na tym samym miejscu, co poprzednio. Nie czuł z boku głowy ciepła ani wilgoci – najwyraźniej nie krwawił. Docierały do niego pokrzykiwania kobiety, wciąż domagającej się zabicia go, ale jakoś nikt się nie kwapił do wzięcia na siebie tej odpowiedzialności. Carroll wyteżył słuch, żeby zorientować się w szansach ewentualnej ucieczki. Jednakże na szosie panowała cisza. Był już pewien, że znajdują się w pustynnej okolicy. Jednak – co go wydało? Zaryzykował jęk.

– Zabij go – odezwała się po raz kolejny kobieta – moi synowie i mój mąż polegli, a ten zamorski diabeł żyje. Plugastwo na ziemi...!

– Nazywa się Javad Khalian – wyjaśniał spokojnie mężczyzna, który siedział obok Carrolla. – To sierżant komandosów Gwardii Rewolucyjnej. Jeden z naszych najlepszych.

– Wierzysz mu? To jego szuka Rada Strażników Rewolucji!

– Ilu podejrzanych już powiesili?... – zauważył inny mężczyzna.

Kapitan zdecydował, że czas wziąć sprawy w swoje ręce, zanim ktoś inny zrobi to pierwszy. Poruszył się, jęknął po raz drugi, otworzył oczy. Stała nad nim jakaś owinięta w czerń postać. Zamrugał oczami i kobieta odskoczyła. Teraz zobaczył dwunastoletniego chłopca mierzącego w niego z kałasznikowa. Czy to ten chłopak powalił go uderzeniem kolby na ziemię?

– Opuść lufę – polecił twardo chłopcu – i podnoś ją tylko wtedy, kiedy chcesz zabić w imieniu Allaha.

– Zabij go teraz... – nie ustępowała kobieta. Chłopiec jednak posłuchał Billa.

– Ten diabeł mówi we śnie po angielsku! Potrzebny wam jeszcze jakiś dowód? – skomentowała Iranka.

Przynajmniej Carroll wiedział już, o co chodzi.

Powoli unióśł ręce ponad głowę i patrzył na chłopaka, jak gdyby rozgrywała się pomiędzy nimi jakaś gra.

– Moje papiery są w kieszeni bluzy – powiedział. Pokazał brodą na lewą kieszeń. Chłopiec oparł karabin o siedzenie i sięgnął w stronę kieszeni. – Nie! – powstrzymał go Bill. – Ty mnie pilnujesz. Trzymaj broń w pogotowiu, na wypadek, gdybym popełnił fałszywy ruch. Rozkaż komuś innemu mnie przeszukać.

Chłopak złapał więc karabin i wycelował ponownie w Carrolla, a potem przypomniał sobie o opuszczeniu lufy. Jakiś mężczyzna popchnął Amerykanina w stronę okna, wyszarpując mu dokumenty z kieszeni.

– Przeszukaj mnie! – rozkazał kapitan. Wstał i odepchnął przybysza, oceniając jego możliwości fizyczne. Tamten oddał mu, jednak nie dość silnie. – Powiedziałem:

przeszukaj mnie!

Irńczyk zmieszany pomacał Billa po kieszeniach spodni.

– To ja pociągnę za spust – ostrzegł go jednak.

Kapitan zatrzymał jego dłonie, zanim zdążyły dotrzeć do noża przyklejonego przylepkiem do łydki czy też zwiniętego w szpulkę drutu w kieszeni na udzie.

– Tak się przeszukuje! – pouczył, po czym ściągnął mundurową bluzę. Wskazał na długą bliznę na brzuchu, która była pamiątką po wypadku rowerowym, jakiego doznał w szóstej klasie szkoły podstawowej. – Cztery lata temu zostałem ranny pod Basrą – wyjaśnił. Pokazał teraz lewe ramię, gdzie znajdowała się blizna po oparzeniu rozgrzaną rurą wydechową jego pierwszego samochodu, pod który nieopatrznie za szybko się położył. – A to mam od pocisku fosforowego – dodał. – A teraz ty pokaż mi swoje blizny.

Nawet domagająca się poprzednio jego śmierci kobieta milczała.

– Dość tego, czas skończyć zajście. Macie moje dokumenty. Gdzie jest najbliższa jednostka Gwardii? Niech ktoś z was zadzwoni do Teheranu, do Abbasa Gharazi z Komitetu Rewolucyjnego Saltanabad. On opíše, jak wyglądam. Kto będzie telefonował?

Zapadła kompletna cisza. Gharazi słynął w całym kraju jako istny rzeźnik.

– Nie, na tym nie może się skończyć – nie ustępował Carroll. – Zwaliłeś mnie kolbą na ziemię – zobaczył, że chłopiec krzywi się z przerażenia – ty domagałaś się mojej śmierci, ty powiedziałaś, że pociągniesz za spust... – Popatrzył twardo na mężczyznę, który go przeszukiwał. – Dosyc tego. Gdzie tu stacjonuje Gwardia Rewolucyjna?

Kierowca, który stał z tyłu, nie chcąc mieć do czynienia z rozwścieczonym komandosem, odpowiedział usłużnie:

– Szesnaście kilometrów za nami.

– Dobrze. Nie będziemy pana dłużej opóźniać. Ci dzielni ludzie zaprowadzą mnie tam. – Pokazał na nich dłonią i rzucił: – Pójdziemy piechotą albo zatrzymamy przejeżdżający samochód.

– Ale on mówił przez sen po angielsku... – przypomniała Iranka.

– Jestem tłumaczem i mówię także po arabsku i po francusku. Pewnie coś mi się śniło. W którym z tych języków mówiłem?

Nikt z obecnych nie był tego zupełnie pewien. Słyszeli tylko, że mówił coś w obcym języku, który brzmiał jak angielski. Kobieta poddała się chwilowo, chociaż nie robiła wrażenia przekonanej.

– Ty musisz podjąć decyzję – oznajmił Carroll pokazując na chłopca. – Albo daj mój karabin temu gnojkwowi – skinął głową w stronę tego, który go przeszukiwał –

albo zatrzymaj go sobie. Dobrze mi służył w świętych wojnach z naszymi wrogami, to i tobie będzie dobrze służył. A możesz też po powrocie do domu oddać go władzom i wytłumaczyć, skąd go wzięłeś.

Kierowca wrócił na swoje miejsce i zapuścił silnik, ponagając trójkę do opuszczenia autobusu. Miał ochotę jak najszybciej odjechać i więcej ich nie widzieć.

– Karabin jest mi potrzebny, żeby go pilnować – odezwał się mężczyzna i wyciągnął rękę. Chłopak jednak pokręcił głową i wycofał się, ściskając zdobycz.

– Niech pan weźmie to – odezwał się jeden z pasażerów, oddając swój stary pistolet. Wolał, żeby niebezpieczni towarzysze podróży już wysiedli.

– Moja torba – odezwał się jeszcze Carroll. Sięgnął pod siedzenie i rzucił kobiecie naramienną torbę. Pierwszy ruszył do wyjścia, naciągając z powrotem bluzę. Iranka chciała zaprotestować, ale pozostali wypchnęli ją już na zewnątrz i wyrzucili za nią jej walizkę. Mężczyzna podniósł swój bagaż i wyszedł szybkim krokiem, poganiany przez zniecierpliwionych podróżnych.

– Będę dobrze używał tego karabinu! – zawołał chłopak.

– Insz Allah! – odparł pobożnie Bill.

Kierowca zamknął z trzaskiem drzwi i ruszył pośpiesznie, wzbijając chmurę kurzu. Trójka pasażerów została na środku pogrążonej w mroku drogi.

– Niech pan go szybko zabije. To niebezpieczne – odezwała się znowu kobieta.

– A jeśli masz rację, to pomyśl – wtrącił Carroll. – Dziesięć tysięcy dolarów w złocie... – Oczy mężczyzny zapłonęły żądzą zysku. Usiedli więc i rozpoczęli oczekiwanie na samochód. Po paru minutach Amerykanin położył się, chcąc wygodniej przeczekać ból głowy. I zasnął.

Alamogordo, stan Nowy Meksyk

– Ray, śmierdzisz – fiknęła Lorrie, stawiając przed sierżantem kufel piwa. – Czy ty się nigdy nie myjesz?

– Odczep się. Ciągłe się myję – odpowiedział sierżant sztabowy Raymond Byers, jedyny klient lokalu o nazwie „Piccolo Pete’s Pizza Palace” w Alamogordo, w stanie Nowy Meksyk. Pracował właśnie na wieczornej zmianie w Bazie Sił Powietrznych Holoman, szykując F-15, którym się opiekował, do porannego lotu. Teraz wpadł na piwo po drodze do domu. Tego popołudnia dawał się we znaki chłopakom od hydrauliki, dopóki nie naprawili ciekącego wyzwalacza hamulców zgodnie z jego opinią. Jak zwykle spędził dodatkowe pół godziny doprowadzając sprzęt do ładu po ich robocie, już po tym, kiedy wynotowano na formularzu dokonane czynności obsługowe. Jego myśliwiec był najlepiej utrzymany w całej jednostce.

Lorrie nachyliła się nad barem i powąchała, pozwalając sierżantowi zajrzeć jej za dekolt.

– Nie, dzisiaj się nie myślę. Kto wie, może byłabym nawet odrobinę zainteresowana, gdybyś tylko nie śmierdział zawsze jak kubeł smaru – wyznała zalotnie, pociągając za odpiętą kieszonkę jego koszuli.

– Dobra, następnym razem, zanim tu przyjdę, wezmę prysznic i będę pachniał jak mały dzieciak.

Dziewczyna odsunęła się, wycierając bar. Szykowała się do zamknięcia lokalu.

Byers odwrócił się w jej stronę i oparł o ladę, napinając swoje chude ciało. Wypił właśnie drugi kufel piwa. Lubił patrzeć, jak Lorrie się porusza. Zaczęła właśnie gasić światło.

– Kończ piwo, podwiesz mnie do domu – rzuciła.

– Bez prysznic?

– Nie gadaj tyle! Powiedziałam: podwiesz.

Zaczekał przed drzwiami, aż barmanka zamknie. Podeszli do stojącego nieopodal, utrzymanego w nieskazitelnym stanie jeepa CJ5 z 1974 roku, który wzbudzał podziw Lorrie.

– Czy on ma dach? Jest zimno – poskarżyła się.

Byers podał jej kurtkę od polowego munduru, którą zakładał na płycie lotniska. Dziewczyna zasunęła suwak i usadowiła się w fotelu. Sierżant pomógł jej zapiąć pas i uruchomił wóz. Duży, ośmiocyndrowy silnik zaskoczył za pierwszym razem. Samochód wytoczył się z parkingu. Jeep Byersa był dla niego drugą najważniejszą sprawą w życiu – po F-15, za którego stan odpowiadał.

Wyprzedził ich rozpędzony ford thunderbird ze zgaszonymi reflektorami.

– Gnojek – mruknął Byers – ledwie sukinsyna zobaczyłem.

Thunderbird szarpnął tymczasem gwałtownie w lewo i zarzucił tyłem, blokując drogę. Byers wcisnął hamulec i jeep zatrzymał się w porę. Z forda wysiadło dwóch mężczyzn.

– Ty głupi... – zaczął sierżant, ale zobaczył, że jeden z nieznajomych sięga pod połę płaszcz i wyciąga pistolet. Byers wrzucił wsteczny i samochód szarpnął w tył, przyspieszając, aż Lorrie rzuciło na zapięty pas. Raymond zaczął zygzakować, podczas gdy napastnik wystrzelił dwukrotnie. Jedna z kul odbiła się od zamontowanej z przodu wyciągarki, druga trafiła w szybę. Sierżant zakreślił kierownicą i jeep obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Bandyci wskoczyli do swojego wozu i zawrócili, ruszając w pościg. Widząc to Byers rozpędził się do maksymalnej prędkości, osiągając sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Skierował się na południe, w przeciwną stronę, niż

znajdowało się centrum miasta. Kiedy znaleźli się na przedmieściach, przyhamował i zjechał w łożysko wyschniętego strumyka. Pokonał ze dwieście metrów i stanął.

– Zostań tu – polecił Lorrie. – Chcę się przyjrzeć tym sukinsynom. – Włożył rękę pod siedzenie i wyjął pistolet. Wylazł z parowu, biegnąc z powrotem w stronę drogi.

Lorrie odwróciła się z przerażeniem, słysząc, że ktoś zeskakuje z góry, tuż nad jej głową. Zanim krzyknęła, rozpoznała Byersa, który po chwili siedział już w samochodzie.

– Pieprzone Arabcy – mruknął, zapuszczając silnik. – Pojechali.

– Umiesz sprawić, żeby dziewczyna się nie nudziła – przyznała Lorrie.

Rozdział szósty

Dzień D minus 29

Góry Zagros, Iran

– Jedzie samochód! – powiedziała kobieta, otulając się szczelniej swoją szatą. Carroll i para Irańczyków czekali na poboczu już od wielu godzin. Zaczynało świtać. Mężczyzna wstał i zbliżył się do jezdni, żeby zatrzymać pojazd. Bill poszedł za nim, po czym rozpiął spodnie i zaczął spokojnie oddawać mocz w świetle reflektorów zwalniającego wozu. Kierowca zignorował rozpaczliwe wymachiwania Irańczyka, zdegustowany tym, co zobaczył.

Mężczyzna zamachał pistoletem.

– Obraziłeś go, powinienem cię za to zabić!...

– Gdybyś pozwolił mi sobie ulżyć wcześniej, kiedy prosiłem, nie doszłoby do tego – odpowiedział spokojnie Amerykanin i usiadł z powrotem. – Chyba powinniśmy pójść piechotą. Będzie nam cieplej. A poza tym, mam już tego dosyć.

Irańczyk nie wiedział, co robić. Żałował, że nie zignorował incydentu w autobusie, jak wszyscy inni. Ale ten młody człowiek mówił we śnie w obcym języku, a poza tym obiecywali kuszącą nagrodę i... Jednak wyglądało na to, że rzeczywiście jest komandosem Gwardii Rewolucyjnej, co oznaczało nieliczne kłopoty. Mężczyzna zaczął przeklinać w duchu swoje impulsywne zachowanie, a także siedzącą obok kobietę.

– Masz rację. Ona będzie niosła bagaże – powiedział, wymachując pistoletem w stronę rodaczki. Nie mając wyjścia, założyła na ramię torbę Carrolla, a do rąk wzięła dwie stare walizki. – Jako żołnierz Dżihadu wiesz, że to, co robimy, jest potrzebne... – zaczął, aby uspokoić aresztanta.

– Owszem. Rozumiem wasze położenie. Wyjaśnię, że zachowywaliście się prawidłowo i że sam na waszym miejscu zrobiłbym to samo – odparł Carroll. Widział, że Irańczyk uspokoił się nieco.

Zrobiło się zimniej. Zaczęli teraz wspinać się na długi stok. Czas było działać. Bill nie mógł sobie pozwolić na przeciąganie tej gry.

– Możemy się zatrzymać? – spytał. – Teraz będę musiał sobie kucnąć... Irańczyk zgodził się i kazał kobiecie postawić bagaż. Położyła się na ziemi, wyczerpana. Carroll odszedł w stronę dwóch dużych głazów znajdujących się jakieś sto metrów

od drogi. Kiedy zniknął z widoku, wyciągnął z kieszeni szpulkę drutu i poszukał dwóch małych kamieni odpowiedniej wielkości i kształtu. Owinął je końcówkami drutu i pociągnął mocno. Następnie wyczołgał się zza jednego z głazów, rozglądając za Irańczykiem. Ten stał w miejscu, gdzie Bill wszedł pomiędzy skały i patrzył w przeciwną stronę. Znajdował się jednak zbyt daleko, żeby można było go podejść i zaskoczyć. Carroll wycofał się więc po cichu pomiędzy głązy i ruszył hałaśliwie w stronę mężczyzny, nadal pozostając niewidocznym. Potem przystanął przy zacienionej niszy, w której mógł się schować. Zdjął bluzę, nie chcąc, żeby pobrudziła się krwią. Poszurał nogami i stęknął donośnie.

– Co się stało? – zawołał Irańczyk. Był bliżej, niż Carroll myślał.

– Moja kostka! Strasznie tu ciemno, może mi pan pomóc? – Słyszac kroki, Amerykanin schował się w cień. Irańczyk zatrzymał się o metr od niszy. Patrzył w inną stronę.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

Carroll przerzucił mu śmiercionośny drut przez głowę i pociągnął.

– Tutaj. – Było zbyt ciemno, żeby mógł dostrzec zdziwienie w oczach Irańczyka. Bill kopnął go od tyłu w kolano, żeby się przewrócił. Po chwili rzeźnię umierającego ustało. Kobieta raczej nie mogła go usłyszeć.

Powoli ruszył z powrotem ku szosie. Kiedy był jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie zostawił Irankę, zatrzymał się i wyjął przymocowany do łydki nóż. Kobiety jednak nie było.

Carroll zatrząsał się z zimna. Rozejrzał się. Dwie walizki i torba leżały razem. Iranka musiała jednak usłyszeć. W którą stronę pobiegła? Gdzie był pistolet? Pewnie został przy zwłokach mężczyzny; nie było jednak teraz czasu, żeby po niego wracać. Zapomniałeś o podstawowej rzeczy, zbeształ się Bill.

Poszedł w dół stoku, wnioskując, że zmęczona kobieta pewnie skierowała się w tę stronę. Zatrzymywał się co jakieś sto metrów i nasłuchiwał. Po kilkuset metrach poczuł przez chwilę niemiły zapach, który wydzielala szata Irankei. Usiadł i czekał. Żałował, że nie założył z powrotem koszuli.

Usłyszał szelest krzaków.

– Wyłaż no, matko, musimy z tym skończyć.

Podniósł się i jak cień zbliżył do szosy. Zobaczył kroczącą przed siebie niepewnie kobietę.

Wie, pomyślał Carroll. Cholera. Podszedł do niej z nożem w dłoni. Nie zatrzymywała się. Złapał ją lewą ręką, a prawą zadał zabójczy cios.

Powoli wrócił między głązy, niosąc kolejną ofiarę Dżihadu.

Położył ciało obok zwłok mężczyzny i runął na ziemię, drżąc. Tym razem nie

z zimna.

Północna Nevada, USA

– Niesamowity, po prostu nie-sa-mo-wi-ty. – Ambler Furry, oficer uzbrojenia Jacka Locke'a, nie mógł się uspokoić.

Locke miał ochotę powiedzieć mu, żeby przestał gadać, ponieważ może niepotrzebnie zagłuszyć coś ważnego. Powstrzymał się jednak. Gdyby zrobiło się gorąco, Ambler sam skończy paplaninę. Podobnie jak Furry, Locke zapoznawał się właśnie z najnowszą wersją E myśliwca F-15. Przesiadł się na niego otrzymując jednocześnie przydział do Bazy Sił Powietrznych Luke. Nie było trudno przyzwyczać się do nowej maszyny, a poza tym była to jakaś odmiana w życiu Jacka, pozwalająca zapomnieć o walkach w Zatoce Perskiej i lotach na starym F-4E Phantom. Locke podniósł fotel o parę milimetrów, szukając wciąż najlepszego dla siebie ustawienia. Zadowolony, sprawdził dane wyświetlane przez projektor HUD i rozejrzał się, czy nie widać czegoś niezwykłego na zewnątrz.

Młody kapitan siedzący z tyłu w dwumiejscowym F-15E Strike Eagle Locke'a zachowywał się jak dziecko, które dostało do ręki nową zabawkę. Nie mógł powstrzymać się od uruchamiania różnych systemów, jakimi teraz będzie musiał się „bawić”. Jak większość oficerów uzbrojenia, Furry był pod głębokim wrażeniem możliwości opracowanego przez firmę Hughes radaru APG-70 i tego, do czego było zdolne to urządzenie współpracując z LANTRIN-em oraz komputerami pokładowymi. Oparty na podczerwieni system do nawigacji i celowania podczas lotów po ciemku na małych wysokościach był powszechnie skracany do LANTRIN.

Furry bawił się teraz czterema ekranami umieszczonymi naprzeciw niego. W kabinie zostały wykorzystane wszelkie najświeższe osiągnięcia elektroniki. Ekran wyświetlał wszystkie informacje potrzebne oficerowi uzbrojenia. Dwa po lewej stronie obsługiwało się sterownikiem przeznaczonym dla lewej dłoni, a dwa prawe – dla prawej. Dźwignia sterowa zamontowana pośrodku nie interesowała za to Amblera specjalnie. Kapitan z niechęcią przejmował stery. Pomyślał, że Locke siedzi w samolocie tylko po to, żeby wozić jego, Furry'ego, po niebie i umożliwiać mu wykonywanie roboty.

TSD, czyli wyświetlacz sytuacji taktycznej, była to elektroniczna mapa współpracująca z układem nawigacji bezwładnościowej. Przesuwała się na MPCD – inaczej wielozadaniowym kolorowym wyświetlaczu. Dzięki temu lotnicy mieli przed oczami aktualną pozycję i całą trasę. Drugim ekranem był MPD, czyli wyświetlacz wielozadaniowy. Nie miał kolorów i w tej chwili nie pokazywał niczego. Furry

nastawił go na radar powietrze – ziemia, a ponieważ wybrali opcję ograniczonej emisji sygnałów elektronicznych, radar nie pracował, pozostając w pogotowiu. Na kolejnym MPD ukazane były w tej chwili dane z projektora HUD pilota. To znaczy, Furry widział to samo, na co patrzył pilot, dzięki wyświetlającemu na przedniej szybie kabiny projektorowi. Tyle że HUD miał wymiary pięćdziesiąt trzy na siedemdziesiąt jeden centymetrów i dawał efekt trójwymiarowości, podczas gdy Furry widział jego wskazania na zwykłym, niewielkim ekranie. Czwarty, kolorowy MPD oficer uzbrojenia od początku nastawił na TEWS – taktyczny system walki elektronicznej.

– Kosmiczny, ab-so-lu-tnie kosmiczny! – emocjonował się Ambler.

Locke był tego samego zdania – tablica rozdzielcza, którą miał przed sobą, różniła się istotnie od tradycyjnej. Przed pilotem znajdowały się trzy ekrany oraz UFC – przedni sterownik. Była to klawiatura komputera, którą wydawało się polecenia różnym układom samolotu; umiejscowiono ją bezpośrednio pod HUD-em. Jack mógł wywoływać wszelkie dostępne menu lewą ręką, nie opuszczając ani na chwilę wzroku z szyby. Pod UFC zamontowano TSD – wyświetlacz sytuacji taktycznej. Pokazywał on pilotowi w kolorze, gdzie samolot się znajduje. Prawy MPD połączony był z TFR – radarem do śledzenia terenu. TFR stanowił część wyposażenia podwieszanej pod wlotem powietrza do prawego silnika gondoli układu LANTRIN. Na lewym MPD widać było wskazania radaru powietrze – ziemia. Jedynym nawiązaniem do tradycji było znajdujące się w dolnej lewej części konsoli pięć małych, awaryjnych wskaźników tradycyjnego typu.

Locke obniżył lot o kolejne piętnaście metrów i popchnął przepustnice, ustalając prędkość na dziewięćset kilometrów na godzinę. Sprawdził TFR i stwierdził, że radar sprawuje się jak należy. Obraz na ekranie zgadzał się z formami pustynnego terenu, który widać było za szybą. Na wysokościach poniżej stu metrów wszystko dzieje się błyskawicznie. Locke mógł uruchomić automatycznego pilota, sprzęgając go z TFR, jednak prowadzenie samolotu sprawiało mu przyjemność. Furry miał rację – F-15 to wspinały myśliwiec, jednak duża wrażliwość płatowca zarówno na przeciążenia skrzydeł, jak i podmuchy boczne sprawiała, że lot na małej wysokości był o wiele mniej płynny niż w F-4. Czasami Jack tęsknił za swoją starą maszyną.

– Zakręt za trzydzieści sekund – poinformował Ambler. – Nowy kierunek – sto dziewięćdziesiąt osiem.

Locke odczekał, aż oficer uzbrojenia powie mu, kiedy zaczynać zakręt. Gdy osiągnęli kolejny punkt wyznaczający jeden z wierzchołków zaplanowanego toru lotu, TSD wczytywał do HUD-a następny, ustawiając na nim wyświetlaną pionową linię. Jack wołał jednak polegać na współpracy załogi. Chciał wykorzystywać posiadane

urządzenia, ale nie uzależniać się od nich. Walka powietrzna nauczyła go, co może dziać się z magicznymi, świecącymi pudełkami w przypadku trafienia samolotu.

– Zakręt... teraz, sto dziewięćdziesiąt osiem.

Pilot wykonał zakręt, powodując przeciążenie o natężeniu czterech i pół g. Słuchał Furry'ego, a nie komputera, a mimo to znajdowali się dokładnie na wyznaczonym szlaku.

Locke i Furry polecili w samotny lot na południe, przez góry północnej Nevady. Kierowali się ku lotnisku Tolicha – był to cel na jednym z podległych Bazie Sił Powietrznych Nellis poligonów bombowych i strzeleckich. Tolicha zostało przerobione dla celów ćwiczeń „Czerwona Flaga” tak, aby przypominało z góry jedno ze wschodnioeuropejskich lotnisk wojskowych. Tym razem jednak miało ono odgrywać jedną z baz NATO, a Locke – nieprzyjaciela, który zapuścił się w jej okolice. Gdzieś wzdłuż trasy powinien zaskoczyć go bojowy patrol powietrzny złożony z dwóch F-15. Zadaniem ich pilotów było odnalezienie Locke'a i przerwanie jego misji. On miał przedostać się dalej i zbombardować lotnisko.

– Dobra, Amb, zacznij szukać Węża. Gdzieś tu powinien się czaić – powiedział Jack. Locke szanował umiejętności Housermana, zwanego „Wężem”. Trudno będzie przemknąć się niezauważonym pod jego nosem. Dopóki pracował pulsacyjny radar dopplerowski, Houserman nie powinien mieć zbyt wielkich trudności z wytropieniem Locke'a i Furry'ego. Jack obniżył lot jeszcze odrobinę. Nie tędy droga, pomyślał jednak. Może uda się wykorzystać maskujące właściwości i ukryć za jakimiś górami. – Słuchaj, Amb – rzucił – chcę wydostać się z tej doliny. Wszyscy tędy latają.

Przeprogramuj wierzchołki toru tak, żebyśmy polecili wzdłuż zachodniej krawędzi pasma Stillwater i nad zbiornikiem Carsona. Potem skróćmy nad Salt Wells i wrócimy prosto na planowaną trasę przelotu.

Furry zamamrotał, wybierając nowe punkty i wstukując ich współrzędne do komputera.

– Przyjmij kierunek sto osiemdziesiąt dwa po drugiej stronie grzbietu. Masz już całą drogę do Salt Wells... Teraz! – Pionowa kreska wyświetlana przez HUD zmieniła położenie, a licznik kilometrów do przebycia przeskoczył na sto dwadzieścia pięć. Furry jest szybki, pomyślał Locke. Jednak jeszcze szybszy był Bryant, zwany „Gromem”, który latał kiedyś z Jackiem w tylnym fotelu phantoma.

Znajdowali się wciąż po przeciwnej stronie górskiego pasma niż jezioro Carsona.

– Kiedy będę przelatywał nad górami, poszukaj prędko, czy nie ma straszydeł – polecił Locke. Przetawiał ekran pokazujący obraz z radaru śledzącego teren na radar powietrze – powietrze. Na ekranie pojawiła się jedynie „siatka” radaru, jednak po

wyłączeniu ograniczenia emisji sygnałów zabyłśnie i reszta.

– Znowu do góry nogami? Musisz mi to robić? – jęknął Ambler, pracując przy użyciu bocznych sterowników i UFC.

Jack skierował maszynę na zachód, w stronę gór, wzdłuż których przed chwilą lecieli. Delikatnie popchnął dźwignie przepustnic i nowe silniki F-100-PW-229 natychmiast odpowiedziały wzrostem obrotów. Pilot uniósł dziób maszyny, wznosząc się równoległe do stoku i odwrócił ją na plecy. Zmniejszył znów prędkość do wartości minimalnej podawanej przez HUD, która wystarczała do tego, żeby przelecieć sześćdziesiąt metrów ponad pasmem. Umożliwiało to maksymalne zredukowanie czasu, w jakim mieli znajdować się wyżej niż górski grzbiet. Locke nie przejmował się przy tym generowanym elektronicznie głosem ostrzegającym o przekroczeniu zalecanego przeciążenia. Podczas szkolenia zdarzało się, że musieli dochodzić nawet do dziewięciu g. Kiedy zniżyli się wzdłuż zachodniego stoku góry, pilot odwrócił maszynę na brzuch i obrał nowy kierunek, zgodnie ze wskazaniem partnera.

Gdy znajdowali się ponad górami, Furry wyłączył na krótko przycisk oznaczony EMIS LIMIT, uruchamiając radar dużej mocy. Podczas kilku sekund pracy radar zebrał informacje na temat samolotów znajdujących się w okolicy i wprowadził je do komputera. Ten przetworzył je i wyświetlił na ekranach kabiny „zamrożony” obraz. Na wprost znajdowały się aż cztery maszyny.

– Mam na TSD cel pierwszy – poinformował Furry. – Straszycła są nad Salt Wells. Sprawdzić znowu?

Locke opuścił wzrok na przesuwającą się mapę. Bezpośrednio nad Salt Wells – starą kopalnią soli – znajdował się czerwony symbol oznaczający cztery niezidentyfikowane maszyny. Furry znów wyłączył na moment EMIS LIMIT, pozwalając radarowi omieść horyzont pojedynczą wiązką. Na ekranie pojawiły się te same cele, cały czas ponad Salt Wells.

– To pewnie chłopcy z Marynarki, z bazy Fallon – ocenił Jack. – Wąż prowadzi klucz dwóch maszyn; poza tym nigdy nie krążyłby ponad celem. To potwornie głupie.

– Jeśli to głupie, to musi być Marynarka – zgodził się Ambler. – O, TEWS daje mi znać, że ktoś w pobliżu przeczesuje teren radarem dopplerowskim. To Wąż. Chyba znajduje się na zachód od Salt Wells. Gdybyśmy nie zeszli z pierwotnego kursu, wlecielibyśmy prosto pod niego.

– I tak nas znajdzie – zapewnił go pilot, redukując jeszcze wysokość, aby przechytryć w jakiś sposób Housermana. – Daj przednie radio na Straż.

Furry nie patrząc opuścił prawą dłoń na przedni sterownik i przestawił obrotowy

przełącznik częstotliwości na awaryjny kanał „Straż”. Jednym z obowiązków Amblera było zmienianie na komendę kanałów radiowych.

Locke wcisnął lewym kciukiem guzik nadawania i powiedział:

– Ej, wy tam nad Salt Wells, jeśli chcecie, żeby coś się działo, przełączcie się na 365.

Furry przestawił radio na 365 megaherców. Na tej częstotliwości nadawał także Wąż.

Niemal natychmiast zgłosił się na wymienionej częstotliwości lot „Pedro” – klucz czterech maszyn znad Salt Wells.

– Zdaje się, że mamy do towarzystwa cztery F-18 Hornet – oznajmił Locke.

– Lot Pedro, to jest częstotliwość zarezerwowana dla Sił Powietrznych – odezwał się głos Housermana.

– Potwierdzam – zgodził się dowódca klucza Marynarki. – Krążymy nad starym lotniskiem awaryjnym koło Salt Wells i ćwiczymy małe bombardowanie z lotu nurkowego. Proszę zachować dystans.

– Świetnie – skomentował Jack przez interkom, kierując się prosto w stronę Salt Wells. – Teraz, jeżeli Wąż będzie chciał nas dopaść, musi przelecieć przez gniazdo hornetów – „Szerszeni”.

– Lot Pedro, tu lot Dobo – nadał teraz przez radio. – Przelatujemy pod wami. Proszę zachowajcie wysokość, dopóki nie opuścimy rejonu. – Widział gołym okiem F-18 za szybą; nie musiał patrzeć na ekrany.

– Wykrył nas radar – poinformował Furry, śledząc wskazania systemu walki elektronicznej TEWS. – Ciągłe na zachód od Salt Wells. Na pewno Wąż.

– Nie szkodzi, dopóki Marynarka lata pomiędzy nim a nami.

– Lot Pedro, proszę opuście rejon – nadał Houserman. – Zamierzam atakować Dobo.

– To nasza przestrzeń powietrzna, a poza tym lubimy Dobo – odparł dowódca klucza myśliwców Marynarki.

Locke leciał tymczasem swoim ciemnoszarym F-15E wzdłuż doliny, prosto ku znajdującemu się w pobliżu Salt Wells małemu zgrupowaniu budynków, otoczonemu płotem przeciwko cyklonom. Natomiast cztery F-18 przestały właśnie krążyć i ruszyły na wschód.

– Pedro Jeden i Dwa atakują lewego F-15 – poinformował pilot Marynarki. – Trójka i Czwórka zajmą się prawym. Obaj mogą pożegnać się z życiem.

– Potwierdzam, Pedro. Tu Wąż i Jake. Nie schodźcie poniżej stu pięćdziesięciu metrów nad nami, a wszystko będzie dobrze.

– Pieprz się, patałachu. Walka się zaczęła.

– Wygląda na to, że Wąż ma pełne ręce roboty – skwitował przez interkom Locke.

Zwiększył prędkość do tysiąca kilometrów na godzinę i pomknął w stronę Tolicha.

– Dostaliśmy dwóch z nich, a dwóch pozostałych tak pogoniliśmy, że aż się złazi ze strachu – poinformował Wąż. Locke i Furry oraz Houserman i drugi pilot z jego klucza, Jake, spotkali się po wylądowaniu w bazie Luke w jednej z sal odpraw 461. Dywizjonu w celu zdania raportu z misji. Raporty Węża zawsze były barwne.

– Amb, jak nam poszło ze zbombardowaniem Tolicha? – zagadnął Locke z poważnym wyrazem twarzy.

– Prosto w cel.

– Kto tam się przejmuje żelaznymi bombami – mruknął Wąż. – Jak mawiał czcigodny baron von Richthofen, naszym zadaniem jest przemierzanie przydzielonej nam przestrzeni i niszczenie myśliwców nieprzyjaciela. Wszystko inne to gówno. Na tym polega wasz problem, błazny – mówił, pokazując na odznakę Dywizjonu 461, zwanego „Zabójcze Trefnisie”, na ramieniu Locke’a – zapominacie, o co w ogóle chodzi w lotnictwie myśliwskim.

– Jesteś pewien, że trafiliśmy prosto w cel, Amb? – powiedział na to Locke. Chciał zaznaczyć, że zrzucanie bomb jest istotną częścią pracy załóg samolotów myśliwsko-bombowych, do jakich w istocie zalicza się F-15. Ani on, ani Houserman nie mieli pojęcia, że wkrótce będą mieli okazję przekonać się o tym w prawdziwej walce.

– Na sto procent. Zostałaby tylko kupa gruzu.

– Hamuj się, Furry – rzucił Wąż, opierając się wygodnie. – Oficerowie uzbrojenia są nic niewarci.

– Wykonaliśmy swoje zadanie – zauważył Locke. – Wy nie możecie powiedzieć tego samego.

– A dwa F-18 to co, pies?

Jack dał za wygraną, widząc, że nie jest w stanie odgryźć się pyskatemu młodzieńcowi. Wstał i skinął na Furry’ego.

– Chyba przegraliśmy z nimi – mruknął Ambler.

– Nie – zaprotestował Locke. – Posłaliśmy bombę w cel, a to właśnie mieliśmy zrobić. – Popatrzył na zasepionego partnera i klepnął go w plecy. – Słuchaj, Amb – powiedział – o chłopcach od walk powietrznych tworzy się filmy, za to my, atakujący cele naziemne, tworzymy historię. Głowa do góry, nie wygrywa się walki powietrznej rzucając mocne słowa. Poza tym, gdyby to było lotnisko Węża, musiałby po zestrzeleniu hornetów szukać jakiegoś innego, ponieważ roznieśliśmy je w pył.

– Chciałbym zapytać o jedną rzecz. Skąd wiedziałeś, że Wąż będzie czekał niedaleko Salt Wells? – chciał się dowiedzieć Furry.

– Ten zespół budynków, nad którym skręcaliśmy przy Salt Wells, to burdel.

Trzeba znać swojego przeciwnika. Gdzieś indziej miałby znajdować się Wąż?

– Albo chłopcy z Marynarki – dodał Ambler.

Pentagon, Waszyngton

– Rupe, nie wiem, czy Cunningham da panu F-15 do osłony herculesów – powiedział Mado. – Będzie pan musiał sprzedać mu ten pomysł.

Dewa Rahimi siedziała przy komputerze i słuchała rozmowy dwóch oficerów. Znajdowali się w małym pomieszczeniu głęboko w piwnicach Pentagonu, za pilnowanymi przez wartownika drzwiami Szefostwa Wywiadu Operacyjnego Sił Powietrznych. Dewa przyjrzała się ponownie wyświetlanym na ekranie informacjom i zdecydowała, że trzeba przejrzeć raport z incydentu sporządzony przez Biuro Dochodzeń Specjalnych, czyli OSI.

– Panie pułkowniku – odezwała się – myślę, że powinien pan to zobaczyć. Mam tu raport OSI w sprawie sierżanta Byersa.

– Wybaczy pan, panie generale; Byers to jeden z dwóch sierżantów, którzy wydostali mnie z Ras Assanya – wyjaśnił Rupert. Zajrzał kobiecie przez ramię. Cały czas rozpraszał go zapach perfum Dewy. Pułkownik odczytał, że według zeznań Byersa napastnicy rozmawiali po arabsku.

– Chyba lepiej będzie, jeśli pan na to spojrzy – oznajmił Stansell.

Rahimi obróciła ekran w stronę Mado. Ten przeczytał raport i skomentował go wieloznacznym:

– Hmm...!

Stansell wiedział już jednak, co powinien zrobić.

– Jeśli jacyś Arabowie chcą dopaść Byersa, zapewne ścigają i mnie – powiedział. – Sądzę, że może pan potrzebować nowego dowódcy misji.

Mado natychmiast umówił spotkanie z Cunninghamem, po czym polecił:

– Niech pan weźmie swoją mapę, Rupe. Skoro już tam będziemy, możemy załatwić dwie sprawy naraz. Pani też pójdzie – zwrócił się do Rahimi. – Czas, żeby poznała pani Zmierzcha.

Cunningham przyjrzał się uważnie mapie Stansella, śledząc trasę przelotu, którą pułkownik proponował. Bezskutecznie próbował wyobrazić sobie, co też będzie widział pilot lecąc na małej wysokości przez góry zachodniego Iranu. Generał był zły na siebie, że stracił niezbędną pilotom myśliwskim umiejętność. Dowodzenie całymi Siłami Powietrznymi najwyraźniej zniszczyło wyobraźnię przestrzenną Cunninghama. Nie umiałby także przelecieć nowoczesnym odrzutowcem przez góry. Zresztą tego nie widział jeszcze nigdy w życiu.

Mado – mistrz w obserwowaniu reakcji Cunninghama – wyczuł od razu, kiedy tylko weszli, że spotkanie nie przebiegnie łatwo.

– No dobrze, pułkowniku, co u licha ma mi to powiedzieć? – odezwał się szef sztabu.

– Więzienie, w którym znajdują się jeńcy, leży pięćset dziesięć kilometrów od zbiegu granic Turcji, Iranu i Iraku. Dla powolnego samolotu, takiego jak lecący nisko C-130, oznacza to mniej więcej godzinę lotu...

– Proszę mówić dokładniej, do cholery.

– Sześćdziesiąt osiem minut od granicy Iranu do więzienia przy założonej prędkości czterystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przez całą drogę lot na małej wysokości. Biorąc pod uwagę wzrastające możliwości irańskiej obrony powietrznej, to będzie długi czas ponad terytorium nieprzyjaciela. Dlatego transportowcom potrzebna jest osłona myśliwska.

Cunningham wsadził w usta cygaro i zapalił je. Podobało mu się, że Stansell nie dał się straszyć.

Mado wyczuł to i zaczął się uspokajać, jednak przybrał specjalnie postawę zatroskanego. Cygaro dawało znać o nastroju szefa sztabu. Mado nie chciał jednak, żeby Cunningham wiedział, że ktoś jest w stanie odczytać jego stan ducha na tyle, żeby przewidywać dalsze reakcje.

– Jaki typ samolotów chciałby pan dostać jako osłonę powietrzną?

– Atakujące Orły – F-15E – odpowiedział Stansell.

– Chce pan zaryzykować użycie najbardziej „kosmicznych” maszyn, jakie posiadam? Kosztują dwadzieścia dziewięć milionów dolarów sztuka!

– Są to także najbardziej uniwersalne samoloty, jakimi pan dysponuje, panie generale – zauważył Stansell. – Sporo jest niewiadomych i elastyczność może okazać się kwestią decydującą.

– Odłóżmy to na razie. Jaki macie drugi powód wizyty u mnie?

– Panie generale, przeczytaliśmy raport OSI z incydentu z sierżantem Byersem – odparł Mado. Wyjaśnił, jaki związek ma Byers ze Stansellem i co opisano w raporcie. Uważał, że cała sytuacja może okazać się korzystna ze względu na odwrócenie uwagi od rzeczywistej operacji przygotowywanej przez Delta Force. Tym razem na twarzy Cunninghama nie pojawił się żaden sygnał.

– Panno Rahimi – odezwał się szef sztabu – to pani działka. Jak pani to widzi?

Dewa popatrzyła na Stansella. Wszystko, co mówił, wskazywało na to, jak bardzo pragnie wziąć udział w misji uwolnienia jeńców. Miała ochotę mu pomóc. Jednakże sprawa była oczywista...

– Jeśli ci ludzie śledzą także pułkownika Stansella, stwarza to możliwość

ujawnienia przygotowań do naszej operacji – powiedziała, co myślała.

– Czy coś wskazuje na to, że pułkownik jest śledzony? – zapytał Cunningham.

– Nie. – Dewa poczuła się trochę lepiej.

Stansell nie wspominał o samochodach, które podążały jego śladem. Albo które zdawało mu się, że to robią.

– Nie będę od razu zmieniał dowódcy – powiedział szef sztabu. Zobaczył na twarzy panny Rahimi wyraz ulgi, który jednakże szybko ustąpił miejsca zaskoczeniu. Czyżby coś podejrzewała?... Bystra kobieta, pomyślał. Będzie musiał zastanowić się nad tym, jak odwracać uwagę jej i pułkownika, żeby nie odkryli prawdy, która doprowadzała Cunninghama do pasji. Cały czas miał nadzieję zmienić stan rzeczy i przeprowadzić swoją operację w rzeczywistości.

Teraz zwrócił się do oficerów:

– Przygotowania postępują zbyt wolno; potrzebujecie więcej ludzi. Zorganizujcie ich. Przychodzą mi do głowy trzy powody, dla których ta misja może się nie udać. Po pierwsze – marny wywiad. A także fatalne wyszkolenie żołnierzy. Musicie z obcych sobie ludzi z Sił Powietrznych i Armii stworzyć jedną drużynę. Gdzie, do cholery, chcecie przeprowadzać ćwiczenia, żeby wszystko nie zakończyło się kląpą? Ani jedna z załóg samolotów, jakie wezmą udział w operacji, nie widziała nigdy prawdziwej wojny. Żaden test nie umożliwia sprawdzenia, jak zachowa się człowiek, do którego po raz pierwszy w życiu strzelają huraganowym ogniem. Potrzebny wam program ćwiczeń. Gdzie on jest?

Rupert popatrzył na Mado, ale ten nie powiedział nic na ich obronę.

– Oddamy go panu za tydzień od dzisiaj, sir. Jednak nadal uważam, że potrzebne mi F-15 do osłony myśliwskiej.

Dobra odpowiedź, pomyślał Cunningham. Zamienia pan to w coś dużo lepszego niż jakąś tam pozorowaną misję.

– Decyzję w tej sprawie podejmę później, kiedy zobaczę ocenę zagrożenia w waszym planie operacyjnym – odparł. – Niech pan porozmawia z Byersem, jeśli niepokoi się pan jego sprawą. Odmaszerować.

Stansell był przekonany, że spotkanie zakończyło się klęską. Zwłaszcza że Cunningham zawołał za nimi z gabinetu:

– Nie spartolcie tego!...

Kiedy szli do biura Mado, Dewa zapytała:

– Czy on jest taki naprawdę, czy tylko chce pokazać, kto tu rządzi?

– Według mnie jego zachowanie było starannie wyreżyserowane – odpowiedział Mado. – Próbowałem go przejrzeć, obserwując jego cygaro, ale złapał mnie na tym.

Stansell nie nawiązując do tej wymiany zdań, odezwał się:

– Cunningham przykazał, żeby zorganizować sobie wsparcie i przyspieszyć przygotowania. – Widać było, że chce powiedzieć coś jeszcze. – Panie generale, wiem, że pracuje pan nad tą operacją po osiemnaście godzin na dobę, jednak ja muszę zacząć konkretne działania. Wiem, kto może mi pomóc – na początek potrzebujemy transportowców.

Kernanshah, Iran

Vahid Mokhtari, naczelnik więzienia w Kermanshah, przechodził się nerwowo przed budynkiem, w którym mieściły się jednocześnie administracja i kwatery strażników. Mógł zaczekać w swoim czteropokojowym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Jego okna wychodziły na podwórze, gdzie stawiali za karę jeńcy. Vahid zobaczyłby samochód od razu, gdy ten wjechałby przez wewnętrzną bramę kompleksu. Nie mógł się jednak doczekać i wyszedł na zewnątrz.

Była noc. Na dziedzińcu więzienia rozległ się głośny zgrzyt bramy z żelaznych prętów. Mokhtari zagryzł nerwowo wargi i wycofał się po schodkach do budynku. Był gotowy na przyjęcie swojego kolejnego gościa.

Dwaj wartownicy pilnujący wejścia popatrzyli po sobie z ulgą – Mokhtari nie zwrócił na nich uwagi. Zeszli po schodkach, kiedy usłyszeli, że zewnętrzna brama zamyka się. Samochód znalazł się w tunelu pod murem więzienia. Po paru chwilach rozsunała się na boki wewnętrzna brama. Ruszyła także wysuwana kładka, tym razem bezgłośnie po nasmarowanych tego dnia szynach, przykrywając głęboki dół wykopany w poprzek wjazdu. Samochód mógł wjechać na podwórze.

Reflektory pojazdu przesunęły się po murach – kierowca wykręcił. Okna głównego budynku były ciemne, jeśli nie liczyć światła w pokojach strażników na końcu każdego piętra. W jednym z nich, na drugim, najwyższym piętrze, pojawiły się głowy dwóch mężczyzn. Patrzyli, jak samochód podjeżdża do mniejszego budynku administracyjnego.

Jeńcy, stukając w specjalny sposób w ściany więzienia, przekazali sobie wiadomość o przybyciu pojazdu. We wszystkich pogrążonych w ciemności, zakratowanych oknach, które wychodziły na podwórze, pojawiły się teraz niewidoczne z dołu twarze. Pozostali jeńcy nasłuchiwali, czy korytarzem nie nadchodzą strażnicy. W budynku zapadła złowroga cisza.

Pułkownik Clayton Leason, najstarszy stopniem Amerykanin, który dowodził jeńcami, wygramolił się z pryczy i dołączył do swojego towarzysza stojącego przy oknie.

– I co pan myśli, doktorze? – spytał.

– Za późno na zwykłe sprawy. Może to kurier, a może przywieźli jakiegoś nowego więźnia. – Obaj wpatrywali się w noc, szukając wyjaśnienia. Potrzebowali wszelkich informacji, które pomogłyby im stawić opór nieprzyjaciółom.

Samochód zatrzymał się naprzeciw dwóch wartowników i z przedniego siedzenia wyskoczył jakiś mężczyzna. Otworzył z trzaskiem tylne drzwiczki pojazdu i z przedziału dla aresztantów wyciągnął samotną pasażerkę.

– Jest wasza – rzucił i wsiadł z powrotem. Samochód ruszył gwałtownie w stronę bramy, wzbijając chmurę kurzu. Kierowca miał ochotę jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

Wartownicy schwycili kobietę i wprowadzili ją pospiesznie po schodach. Nie było widać jej twarzy, ponieważ zarzucono jej na głowę czarny, płócienny worek. Stopy zdrętwiały jej w czasie długiej jazdy, potknęła się więc i upadła na schody. Mogła osłonić się tylko dzięki temu, że ręce skuto jej kajdankami z przodu, a nie z tyłu. Mężczyźni podnieśli ją i wkrótce trafiła do wnętrza budynku i dalej, do piwnicy. Czekał tam Mokhtari.

Jeńcy zaczęli znowu pukać w ściany.

Kiedy wartownicy ją puścili, kobieta stanęła na baczność. Widziała smugę światła i zdawała sobie sprawę, że w pomieszczeniu znajdują się oprócz niej trzy osoby. Pewnie sami mężczyźni.

Mokhtari nie odzywał się, używając milczenia jako swojej pierwszej sprawdzonej metody. Zaczęła się gra w przeczekiwanie. Zdjął zegarek i postawił go sobie na biurku, żeby móc śledzić upływ czasu.

Kobieta zaczęła odliczać w myśli – raz tysiąc raz, raz tysiąc dwa, raz tysiąc trzy...

Mokhtari rozumiał sens rozkazów, jakie otrzymał z Teheranu – kobietę należy upokorzyć, wyciągnąć z niej wszelkie informacje, a następnie złamać. W końcu, wysłać to, co z niej zostanie, do Ameryki.

Jego zwierzchnicy, owładnięci żądzą zemsty, wybrali naczelnika więzienia jako swoją broń. Rozsierdził ich fakt, że to kobieta była dowódcą „Przyczepy” – naziemnej stacji radarowej, z której kierowała startujące z Ras Assanya amerykańskie myśliwce przeciwko Irańczykom. Słuchali jej głosu przez radio, kiedy organizowała jedną walkę po drugiej, nigdy nie popełniając błędu. W końcu doszli do przekonania, że posługiwała się jakimś supernowoczesnym urządzeniem. Żadna kobieta nie mogła wykonywać podobnego zadania aż tak dobrze. Chcieli dowiedzieć się także czegoś o samym radarze, żeby wykorzystać później tę wiedzę w negocjacjach z USA czy Rosją.

Jednak przede wszystkim myśleli o zemście.

Mokhtari służył niegdyś jako sierżant w Savak – tajnej policji szacha. Zdobył tam

sobie reputację jako najlepszy specjalista od przesłuchań. Amnesty International zebrało na jego temat grubą teczkę dokumentów, przechowywaną w dziale „Torturujący – aktywni”. Kiedy obalono szacha w lutym 1979, Mokhtari szybko przeszedł na stronę ajatollahów, dostarczając im informacji o swoich niedawnych zwierzchnikach.

Zamiast wykorzystać panujący w czasie rewolucji zamęt i szybko awansować pozostał zwykłym, pracującym ciężko funkcjonariuszem więziennictwa. Przygotowywał starannie swoje oskarżenia i zyskał sobie opinię człowieka, którego nie da się przekupić. Kiedy zapomniano już o jego służbie w Savak, a komitety rewolucyjne zdążyły przetrzebić szeregi zawodowych oficerów policji, Mokhtari zaczął awansować. Nigdy jednak sam się o to nie starał. Pozwalał płynąć biegowi wydarzeń; nie miał też specjalnej konkurencji. W końcu, mianowano go naczelnikiem więzienia w Kermanshah.

Przejął je jako krzepki, łysiejący trzydziestodzieciolatek. Szybko zaprowadził surowy, brutalny reżim, zarówno w stosunku do więźniów, jak i pracowników. Już pierwszego dnia odkrył, że kucharz sprzedaje na czarnym rynku racje przeznaczone dla więźniów i kazał go rozstrzelać. Kiedy przyszedł rozkaz przygotowania obiektu na przyjęcie jeńców z Ras Assanya, Vahid szybko uzyskał potrzebną ilość miejsca. Gdy przywieziono Amerykanów, czekało na nich puste więzienie.

To logiczne, że właśnie Mokhtari został wyznaczony do przesłuchania kobiety.

Przez dziewiętnaście minut stała nieporuszenie.

– Zdjąć jej kajdanki – rozkazał w końcu naczelnik.

A więc jesteś niecierpliwy, oceniła w duchu. Myślałam, że będę tu stać co najmniej trzy godziny, a nie dwadzieścia minut.

Tempo jej liczenia było prawie idealnie dokładne.

– Rozebrać ją – rzucił Mokhtari.

Pentagon, Waszyngton

Wysoki Murzyn w stopniu kapitana przemierzał szybkim krokiem korytarze Pentagonu. Spojrzał na zegarek – nie było nawet piątej po południu. Dzisiaj być może skończy pracę wcześniej niż zwykle. Żona kapitana, Francine, bardzo się ucieszy widząc małżonka w domu przed dziewiętnastą. Przydział do ASTRA – elitarnego programu szkolenia kadr dowódczych Sił Powietrznych USA – wymagał od kapitana skupienia całej uwagi na pracy, powodując tym samym kłopoty w jego niedawno rozpoczętym życiu małżeńskim. James Bryant, zwany „Gromem”, ożenił się zaledwie dwa miesiące wcześniej.

Bryant skubał sobie wąsy, zamyślony. Kim jest niejaki generał Simon Mado? I dlaczego chce widzieć jego, Bryanta, najszybciej, jak to tylko możliwe? Zanim James wszedł do biura generała, przystanął i skontrolował swój wygląd. Materiał jego nowego, granatowego munduru zaczął mu się już opinać na brzuchu.

– Trzeba zacząć ćwiczyć i zrzucić trochę tłuszczu – mruknął, otwierając drzwi. Sekretarka powiedziała mu, żeby wchodził od razu do gabinetu generała. Spojrzała na zegarek. Czas kończy pracę.

– Grom, jak dobrze znowu cię widzieć – powitał Bryanta znajdujący się już w pokoju Rupert Stansell. Podał mu rękę.

James na moment stanął jak wryty. Ścisnęło go w żołądku. Ostatnim razem widział Stansella na płycie lotniska Ras Assanya, tuż po ataku rakietowym.

– A niech to, panie pułkowniku...! – wymamrotał w końcu, ściskając wyciągniętą dłoń. Uśmiechnął się. Następnie odwrócił w kierunku młodego generała dywizji i zaszalutował dziarsko. – Kapitan Bryant, melduję się posłusznie. – Zwrócił także uwagę na drobną kobietę siedzącą cicho w kącie gabinetu.

Generał Mado odsalutował i powiedział:

– Proszę się rozluźnić, kapitanie. Niech pan usiądzie sobie wygodnie. – Bryant usadowił się na kanapie. Mado zwrócił uwagę, że potężny mężczyzna porusza się sprężysto, niczym zawodowy futbolista. Zrobiło to na generale bardzo dobre wrażenie. – Nie chcę zajmować panu zbyt wiele czasu – powiedział. – Pewnie ASTRA nie pozwala panu za wiele odpoczywać?

– Rzeczywiście, sir.

– Miło słyszeć, że nic się nie zmieniło – stwierdził Mado z uśmiechem. – Pułkownik Stansell sądzi, że mógłby nam pan pomóc w specjalnym przedsięwzięciu, którym się zajmujemy. Równałoby się to przerwaniu przez pana programu ASTRA i dalekim podróżom. Musiałby pan opuścić Pentagon, co niekoniecznie przysłużyłoby się pańskiej karierze.

– Zanim będę mógł to przemyśleć, wolałbym wiedzieć coś więcej, panie generale.

– Przykro mi, ale nie mogę panu dodać już nic, dopóki się pan nie zdecyduje. Ile jeszcze zdoła znieść Francine?, pomyślał James.

– Przykro mi, sir – odpowiedział. – Będę musiał pozostawić to komuś innemu.

– To za Watersa – odezwał się Stansell. Grom podniósł wzrok na pułkownika.

– Za Watersa? – powtórzył. – Naprawdę? W takim razie... Wchodzę w to.

Ciemnowłosa kobieta podniosła się i wyszła. Sprawdziła, czy sekretarka opuściła biuro, i zamknęła zewnętrzne drzwi, potem wróciła, zamykając także drzwi gabinetu generała. Trzej mężczyźni patrzyli na nią bez słowa.

– Dziękuję, Dewa – odezwał się w końcu Stansell.

– Kapitanie, patrzy pan na ludzi, którzy mają zamiar uwolnić jeńców z Ras Assanya – oznajmił Mado. – Ja jestem dowódcą połączonych sił operacyjnych, pułkownik Stansell – dowódcą misji, a Dewa Rahimi szefową naszej sekcji wywiadu. Chcemy, żeby pan został planistą misji, pragniemy także powierzyć panu odpowiedzialność za szkolenie żołnierzy. Dewa, niech pani wprowadzi kapitana Bryanta w bieżącą sytuację.

Rahimi usiadła obok Jamesa i otworzyła teczkę. Podała mu kolejno znajdujące się w niej fotografie i wytłumaczyła, jak sprawy stoją. Wreszcie rozłożyła mapę, którą poprzednio oglądał Cunningham, i streściła plan misji.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, mogą zacząć rozpraszać jeńców – powiedziała na koniec. – Oceniam, że najdalej za dwa miesiące będą nimi handlować pomiędzy konkurencyjnymi frakcjami w Iranie, używając ich jako czegoś w rodzaju kapitału...

– Proszę skupić się na faktach – przerwał generał.

Rahimi przytaknęła, zastanawiając się, czego Mado od niej oczekuje – czy ma być interpretatorem zdjęć czy analitykiem wywiadu. Nie polubiła generała za bardzo; nisko oceniła jego sposób prowadzenia dyskusji z szefem sztabu Sił Powietrznych. Pułkownik Stansell wykazał o wiele więcej sprytu w rozmowie z szorstkim Cunninghamem. Zaliczyła Mado do grona rekinów pływających po Pentagonie.

– W tej chwili znajdujemy się jeszcze w fazie planowania – włączył się w rozmowę Rupert, niezadowolony z tego, że Mado zaczął strofować pannę Rahimi. – Próbuję uzyskać F-15 dla osłony myśliwskiej herculesów. – W krótkich słowach opowiedział o spotkaniu z szefem sztabu.

Grom popatrzył uważnie na mapę.

– Generał Cunningham powiedział, że tego rodzaju misje nie udają się z trzech powodów? – upewnił się.

– Wymienił dwa z nich – wyjaśnił Stansell. – Kiepski wywiad i marne wyszkolenie żołnierzy.

– Nie powiedział, jaki jest trzeci powód – dodał Mado.

– Źle utrzymany sprzęt – rzuciła Dewa. – Jeśli wyrazi pan sprzeciw, panie generale, już mnie tu nie ma.

Mado zabębnił palcami w blat.

– To jedna z nauk wyniesionych z operacji „Orli Szpon” – wyjaśniła, gotowa się upierać w tej sprawie. – Kiedy próbowaliśmy uwolnić zakładników z ambasady w Teheranie, to śmigłowce okazały się niedostatecznie przygotowane i misja zakończyła się na opuszczonym pasie startowym.

Simon Mado skinął głową.

– Zgadza się – oświadczył. – Potrzebny nam poligon. Macie państwo jakieś

sugestie?

– Musi być pustynny i górski – odpowiedział Bryant. – Najlepszy tego typu teren podlega bazie Nellis. Jest tam mnóstwo odpowiednich miejsc do przeprowadzania ćwiczeń; poza tym dużo się tam dzieje, tak że można nie zwrócić na siebie uwagi. – Wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy USA. – Obszar na północ od Las Vegas jest pustynny; nikt nie będzie się nam przyglądał. – Zmrużył oczy, przywołując w wyobraźni okolice bazy Nellis. – Możemy być wzięci za uczestników manewrów „Czerwona Flaga”.

– No, to do roboty – odparł Mado. – Przenieście się jak najszybciej do Nellis. Ja zostanę tu i sprowadzę wam C-130 i Delta Force. Potrzebna nam jeszcze nazwa kodowa sił operacyjnych. Macie propozycje?

– „Task Force Alpha” – odpowiedział Stansell.

– Może być. Ruszajcie.

Kiedy wychodzili, generał skinął jeszcze na Ruperta, żeby ten został na chwilę.

– Niech pan zamknie drzwi – powiedział. – Panie pułkowniku, chcę, żeby cała sekcja wywiadu składała się z ludzi Sił Powietrznych. Żadnych cywili.

Znaczyło to, że nie podoba mu się piękna i bystra Dewa Rahimi. Stansell dokonał już wyboru.

Kermanshah, Iran

Mokhtari oparł się wygodnie i patrzył, jak strażnicy zdzierają z kobiety połowy mundur. Dla niego był to rutynowy element procesu psychicznego niszczenia więźnia. Vahid uważał się za profesjonalistę.

– Wyglądasz żałośnie – oświadczył chropawym angielskim. Kobieta stała znów na baczność, mając na sobie teraz jedynie wojskowe buty oraz zarzucony na głowę worek. Dowódca więzienia skinął na strażników. Jeden z nich wziął kilkudziesięciocentymetrowy odcinek gumowego węża, drugi złapał za worek. Kiedy Mokhtari skinął głową po raz drugi – szorstki worek został zerwany.

Kobieta zachwiała się, ale powróciła do pozycji wyprostowanej. Mrugała oczami, porażonymi nagle jaskrawym światłem. Jej błękitne spojrzenie spoczęło lodowatym ciężarem na mężczyźnie siedzącym naprzeciw niej przy biurku.

– Czy nie salutujesz oficerom wyższego stopnia? – zagadnął Vahid.

– Nigdy nie salutuję, kiedy nie mam na sobie czapki.

Strażnik, który trzymał węża, uderzył nim przesłuchiwaną na wysokości łopatek. Gdyby nie szarpnął jej z powrotem za włosy, upadłaby na podłogę.

Powoli podniosła lewą dłoń w geście salutacji. Mokhtari skinął jednak głową po raz

kolejny i drugie uderzenie węża powaliło kobietę na ziemię.

– Zasalutuj poprawnie.

Podniosła się i zasalutowała prawą ręką. Vahid nie zauważył, że jednocześnie pokazała mu środkowy palec lewej dłoni, przyciskając go do nogi.

– Jestem pułkownik Vahid Mokhtari, naczelnik tego więzienia – przedstawił się oprawca. – A ty jesteś więźniarką i podlegasz moim rozkazom. Będziesz zachowywać się odpowiednio. – Był to wyćwiczony tekst, powtarzany już wielokrotnie innym Amerykanom. – Odpowiesz na wszystkie pytania, jakie ci zadam.

– Kapitan Mary Lynn Hauser, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, numer pięć-pięć-dwa kreska pięć...

Mokhtari skinął głową i strażnik uderzył Mary, jednak nie na tyle silnie, żeby ją przewrócić.

– ...Urodzona dwudziestego listopada 1960.

– Czy naprawdę myśli pani, że można polegać na Konwencji Genewskiej, panno Hauser?

– Iran podpisał Konwencję, a ja jestem kapitanem sił zbrojnych. Jak rozumiem, jestem jeńcem, a nie zakładnikiem. – Mary sama nie mogła uwierzyć, że stojąc nago przed trzema dręczącymi ją mężczyznami kłóci się i prawi im morały.

– Jeśli wasz kraj jest tak głupi, żeby brać kobiety do lotnictwa i posyłać je na wojnę, musisz spodziewać się takiego samego traktowania, jak każdy inny więzień.

To nie jest zabawa, kapitan Hauser. Jakie były twoje obowiązki jako kontrolera radaru i na jakim typie sprzętu pracowałaś?

– Jestem kapitan Mary Lynn Hauser, Siły Powietrzne Stanów... – Dziwiła się, że można tak prosto i bezczelnie zadawać pytania.

Mokhtari tymczasem skinął, a strażnik uderzył znacznie mocniej niż przedtem. Zachwiała się i złapała krawędzi biurka.

– Jesteście terrorystami... – rzuciła.

– Jeszcze raz.

Odwróciła się, żeby uderzenie trafiło w mniej bolesne miejsce. Po chwili dwaj strażnicy podnieśli ją na nogi. Spróbowała unieść prawą dłoń i zasalutować, jednak ból nie pozwolił jej tego zrobić.

Gdyby Mokhtariemu pozostawiono wolną rękę, rozkazałby swoim ludziom wyciągnąć Amerykankę z pomieszczenia i powiesić w piwnicy na fortepianowej strunie. Z przyjemnością popatrzyłby, jak kobieta się dusi, naga, w butach i z workiem na głowie. Jednakże rozkazy nie pozwalały mu na realizowanie takich zachcianek, a do tego musiał pamiętać o swojej przeszłości...

– Zabierzcie ją do celi.

Jeden z mężczyzn pozbierał ubrania kapitan Hauser, a drugi nałożył jej znów na głowę worek i zaprowadził piwnicznym korytarzem budynku administracyjnego w miejsce, gdzie naprzeciw siebie znajdowały się dwie cele. Kiedy strażnicy zniknęli z oczu Mokhtariego, zachowywali się mniej brutalnie.

– To odważna kobieta – odezwał się jeden z nich w języku farsy.

– Uważaj, żeby Mokhtari nie usłyszał, jak to mówisz – ostrzegł go drugi. Otworzyli jedną z cel, zaprowadzili Mary na wąską prycę i posadzili ją. Strażnik rzucił ubrania.

– Kiedy drzwi się otworzą, pamiętaj, żeby mieć worek na głowie – powiedział po angielsku. – Pierwszą regułą, która obowiązuje więźniów, jest cisza. – Dwaj Irańczycy wyszli, zaryglowując za sobą drzwi i wyłączając światło.

Mary Hauser ściągnęła worek z głowy i rzuciła go na ziemię. Zaczęła robić krążenie ramion, najpierw w tył, potem w przód. Sięgnęła nad łopatkami, próbując pomasażować sobie plecy. Poczekwała trochę, w nadziei, że jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Niestety, było zbyt czarno, żeby dostrzec jakikolwiek przedmiot. Albo szczura, który przebiegł pomiędzy jej butami.

Rozdział siódmy

Dzień D minus 28

Baza Sił Powietrznych Holloman, stan Nowy Meksyk

Agent FBI pokręcił głową i podał agentowi Biura Dochodzeń Specjalnych Sił Powietrznych napisane przez Byersa zeznanie.

– To prawie analfabeta – skomentował.

– Nie zatrudniamy ich ze względu na talent literacki – odpowiedział oficer. – To najlepszy szef obsługi samolotu w całym skrzydle, i bardzo surowy. Przegram sobie jego wypowiedź na kasetę, a stenograf mi ją przepisze.

– Jak rozumiem, razem z przekleństwami.

– Powinien pan przeczytać jego raport o tym, jak razem z drugim sierżantem, Timothyem Weirem, wydostali się z Ras Assanya. To dopiero dzieło. Najbardziej wygadani robią z niego notatki, żeby wzbogacić sobie słownictwo. – Agent OSI pokręcił głową, wątpiąc, czy FBI jest w stanie prawidłowo ocenić wartość sierżanta sztabowego Raymonda Alvina Byersa. – Wezwę go i spróbuję spisać zeznanie jeszcze dzisiaj rano. Pentagon wysyła dwóch oficerów, żeby z nim porozmawiali. Chodzi o przedsięwzięcie specjalne. Powinni zjawić się tu dzisiaj po południu.

Byers pociągnął za krótki krawat munduru galowego. Próbował poczuć się trochę wygodniej. Zdenerwowany, że mundur nie pasuje na niego za dobrze, podniósł się i rozpiął bluzę. Usiadł z powrotem, nie przejmując się tym, że ktoś może go zobaczyć. Cekał w Biurze Dochodzeń Specjalnych. Kiedy weszło dwóch oficerów, zerwał się na nogi.

– Jak się pan ma, sierżancie? – zawołał radośnie Bryant, zwany „Gromem”, podając swoją wielką dłoń.

Byers wytarł z przyzwyczajenia rękę o mundur, ale tym razem była akurat czysta.

– Witam, kapitanie. Ostatni raz widziałem pana, jak wyjeżdżał moim samolotem z hangaru w Ras Assanya. Cieszę się jak cholera. Co się stało z512? Dobry był ptaszek. – Sierżant spojrział na człowieka, który pojawił się za plecami Bryanta, i poznał Stansella.

– O, pan pułkownik. Ja... znaczy, dużo lepiej pan wygląda niż ostatnio.

Bryant odpowiedział na pytanie:

– 512 jest w bazie March, u Gwardii Narodowej. Dbają o niego. Jak tam pański partner, Wehr?

– A, zna pan Timmy'ego, zawsze się opierdala. Wysyła dzisiaj samolot. Jak nie ściągnę tego stroju palanta i nie wrócę do niego, na pewno wszystko spieprzy.

– Pogadajmy – zaczął Stansell. – Słyszeliśmy o pańskim wieczornym przeżyciu. Czy jest pan pewien, że napastnicy byli Arabami?

– Pewien. – Byers nachylił się naprzód i złożył dłonie między kolanami. – Nasłuchałem się arabskiego gadania w Ras Assanya. To były Arabcy. – Opisał przebieg wydarzeń. – Jak już mój kochany jeep siedział sobie w łożysku strumienia, wróciłem na drogę. Chcieli jechać za mną i zakopali się w piachu. Powinienem był sukinsynów zastrzelić.

– Nie szkodzi, że pan tego nie zrobił. Zdaje się, że złapało ich FBI, kiedy próbowali przekroczyć granicę w El Paso.

– No to pięknie – ucieszył się Byers. Wstał, chcąc jak najszybciej zająć się swoim samolotem.

– Sierzancie, to ważne – odezwał się jeszcze Bryant. – Czy mogli ścigać pana z jakiegoś innego powodu, takiego, o którym nikomu pan nie mówił?

Byers spojrzał niespokojnie na drzwi.

– Jak bum cyk cyk, nie. Chyba że jeden był zazdrosnym mężulkiem. – Podoficer pobiegł do swojego jeepa, zdzierając z siebie galowy mundur.

– I co pan myśli? – zagadnął Bryanta Rupert.

– Musimy przeczytać szczegółowy raport. Ale wydaje mi się, że przedstawił nam esencję wydarzeń.

– Niedobrze – mruknął Stansell. – Pozostaje zbyt wiele niewiadomych. Czy mnie także obserwują? Nie sądzę, żeby ktoś zdradził tajemnicę i wydał naszą misję. Zbyt mało ludzi o niej wie. Ale czy możemy pozwolić sobie na ryzyko?

Bryant pokiwał głową. Rozumiał troskę pułkownika. Chciał, żeby to, co przydarzyło się Byersowi, nie miało związku z operacją uwolnienia jeńców. Stansell jednak odczytywał fakty tak samo jak Grom. Jest podobny do Watersa – pomyślał kapitan – nie ucieka od podejmowania trudnych decyzji.

– No dobrze – odezwał się pułkownik – niech pan leci do Nellis. Zorganizuję dla nas pilota F-15.

Langley, stan Virginia

Allen J. Camm z CIA, zastępca dyrektora do spraw wywiadu, lubił swoje biuro. Gabinet był duży, wygodny, dobrze oświetlony i urządzone ze smakiem. Miał okna,

w przeciwieństwie do pomieszczenia, w którym Camm pracował poprzednio. Był tak zwanym baronem – szefem jednego z oddziałów Agencji. Zajmował się on Bliskim Wschodem. Allen rządził swoim królestwem niczym feudalny władca i szybko wybił się spośród nowicjuszy, którzy przybyli do Langley. Obecnie posiadał autentyczną władzę – było to o wiele więcej, niż kiedykolwiek spodziewał się osiągnąć.

Drzwi otworzyły się nagle i do gabinetu bez zapowiedzi weszło dwóch mężczyzn. Idący przodem przyłożył palec do ust i podał Allenowi małą karteczkę. Była to rutynowa kontrola, mająca na celu eliminację ewentualnych podsłuchów. Drugi przybysz zaczął przesuwając długim czujnikiem po ścianach, szukając zaburzeń magnetycznych. Tymczasem pierwszy podłączył precyzyjnie wyregulowany omomierz do telefonu Camma i dał znak. Dyrektor miał przetestować aparat. Podniósł więc słuchawkę i wywołał Susan Fisher.

– Susan, przynieś mi ten dokument, nad którym pracujesz, za jakieś pięć minut – rzucił i odłożył słuchawkę. Dwaj mężczyźni pobili jeszcze trochę, w końcu pokazali mu uniesione w górę kciuki i poszli, mijając po drodze Susan.

Ta podała szefowi teczkę raportu z aresztowania przez FBI w El Paso agentów Dżihadu.

Camm uśmiechnął się do młodej pracownicy i pokręcił głową.

– To się czyta jak bajkę o policjantach i złodziejach. Ci ludzie nie mają pojęcia, jak organizuje się porwanie – ocenił.

– Szkołą się na ulicach Bejrutu – odparła Fisher. – To, co jest skuteczne tam, nie wystarczy tutaj. Jednak są twardzi, FBI nie zdołało ich dotąd złamać.

– Czy śledzą także agentów działających tutaj?

– Nie. My także wycofaliśmy się i straciliśmy kontakt z ludźmi Dżihadu. FBI nie byłoby zadowolone, gdyby odkryło, że zajmujemy się ich robotą. Możemy rzucić im parę wskazówek, tłumacząc na przykład, że podsłuchaliśmy rozmowę telefoniczną z Bejrutu.

– Niech sami na to zapracują – zaproponował Camm. – Poza tym, im dłużej o tym myślę, tym większą mam ochotę na przesłuchanie sukinsynów tutaj. A propos, czy udało się nakłonić do współpracy tę kobietę, którą się posługują?

– Owszem. Powiedzieliśmy jej, że w przeciwnym wypadku zostanie natychmiast deportowana do Iranu. I że upierzemy jej szatę. Nie wiem, co bardziej podziałało.

Camm nie uśmiechał się. Powiedział za to:

– Możemy ją wykorzystać do odkrycia agentów. Proszę śledzić ruchy Stansella. Kiedy znowu pojawi się w Waszyngtonie, proszę kazać jej poinformować swoich. Wtedy oni spróbują go dopaść, ale wcześniej my dostaniemy ich.

Fisher skinęła głową.

– Cały czas śledzimy Stansella – poinformowała.

Camm był zadowolony ze swojej pracownicy. Sama wiedziała, co należy robić, i robiła to. Oboje rozumieli, że gdyby FBI stwierdziło, że CIA prowadzi działania na terenie Stanów Zjednoczonych, wpadliby w kłopoty. Ustawa o Bezpieczeństwie Narodowym z 1947 roku, powołująca CIA, określa precyzyjnie jej rolę: nie ma ona prawa prowadzić działań operacyjnych na obszarze USA, nie ma też władzy aresztowania kogokolwiek. Te kompetencje należą do FBI. Federalne Biuro Śledcze miało przeciw CIA skuteczną broń, stosowaną, kiedy okazywało się, że Agencja wchodzi im w paradę – publiczne rozgłaszanie sprawy. Ujawnienie operacji CIA to jedyna rzecz, na którą nie może ona sobie pod żadnym pozorem pozwolić.

Wszystko to jednak nie może się równać z tym, co stałoby się, gdyby o operacji „Głęboka Bruzda” dowiedział się Kongres. Pod koniec lat siedemdziesiątych dyrektor CIA, czując się skrupowany ciągłym nadzorem Kongresu, spróbował poszukać jakiegoś rozwiązania. Wymyślił, że można poprzemścić agentów z nieustannie kontrolowanego działu operacyjnego do działu wywiadu. Pieniądze i personel z innych departamentów CIA zaczęły nagle pojawiać się w dziale wywiadu. Ledwie zastępca dyrektora do spraw wywiadu zabrał się na dobre do tajnych operacji, prezydent zwolnił dotychczasowego szefa CIA. Nowy dyrektor Agencji przetrząsnął całą administrację od góry do dołu i dzięki temu Camm został nowym zastępcą dyrektora do spraw wywiadu.

Ucieszył się niezmiernie, dowiedziawszy się, że dysponuje agentami działającymi za granicą, w szczególności w rejonie, w którym się specjalizował – na Bliskim Wschodzie. Gdy zorientował się, że ani Kongres, ani nawet nowy dyrektor nie zdają sobie z tego sprawy, Camm postanowił uruchomić na nowo tajne operacje i nadać CIA taki kształt, jaki sam uważał za słuszny. Jako zdolny biurokrata widział możliwość zbudowania własnego, małego imperium. To on nazwał swoją rozwijającą się operację bliskowschodnią „Głęboką Bruzdą”.

– Co nam mówi „Głęboka Bruzda” o Dżihadzie? – zagadnął teraz.

– Sporo – odparła Fisher. – Za islamskim Dżihadem stoi irańska Rada Strażników Rewolucji. Agentów działających na terenie Stanów Zjednoczonych wspiera ambasada albańska, a także, w pewnym stopniu, Libia. Próbuje obecnie odkryć kanał, za pomocą którego przerzucają ludzi do i ze Stanów. Mamy także agenta w więzieniu w Kermanszah, gdzie przetrzymują naszych jeńców. Donosi, że mają tam kapitan Mary Hauser i... przesłuchują ją. – Susan wzięła głęboki oddech. – Inny agent, z Teheranu, melduje, że Rada Strażników Rewolucji wzmaga nacisk na odszukanie kapitana Carrolla. Jak na razie nie udało im się to jednak. Nasi ludzie

próbują go odnaleźć i wydostać z Iranu.

– Co on tam, u licha, wyprawia? – spytał Camm.

– Nikt nie wie, sir.

– Mamy coraz mniej czasu; trzeba zlikwidować nasze słabe punkty. Złap tych dwóch agentów Dżihadu. Przekaż ich sekcji numer jeden. Będą mówić. Terrorysty są jak szczury – zobaczysz jednego, to możesz być pewna, że pod podłogą jest ich sto.

Fisher zebrała się do wyjścia.

– Susan, najważniejszy jest czas. Jeśli departament obrony poniesie w Kermanshah porażkę... chcę, żeby jeńców wyzwoliła „Głęboka Bruzda”.

Oczywiście cała zasługa spłynęłaby na niego, Allena J. Camma. Może nawet zostałby mianowany dyrektorem?

Baza Sił Powietrznych Luke, stan Arizona

– Ktokolwiek przyleciał tą maszynką, musi być ważną osobą – powiedział do swojej żony kapitan Jack Locke. Stali przed budynkiem operacyjnym Bazy Sił Powietrznych Luke, przyglądając się, jak na płytę kołuje C-20. Była to wojskowa wersja samolotu Gulfstream III używanego zazwyczaj przez zamożnych przedsiębiorców. Smukła, pomalowana na niebiesko i biało maszyna wyglądała elegancko, dwa silniki typu Rolls Royce Spey, napędzające mały odrzutowiec, pracowały znacznie ciszej niż F-229, czyli silniki F-15.

Gillian – żona Locke’a, rodem z Anglii, wracała właśnie samochodem od lekarza i podjechała do dywizjonu, żeby zabrać męża do domu. Nagle z budynku wybiegł sierżant i zawołał, że dowódca chce, żeby Jack spotkał się z jakimś VIP-em, który ma wylądować za dziesięć minut. Gillian zaprotestowała, tłumacząc, że nie chce się nikomu pokazywać będąc w drugim miesiącu ciąży. Locke powiedział jednak:

– Jesteś piękna, a poza tym oczarujesz każdego swoim dźwięcznym, brytyjskim akcentem.

Podwiózł więc żonę do budynku operacyjnego, w pobliżu którego zatrzymał się teraz C-20. Pilot wyłączył silniki, otworzyły się drzwiczki.

– A niech to, pułkownik Stansell!... – zawołał kapitan. Pokręcił głową. – Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, porównałem go z Watersem i pomyślałem sobie, że to prawdziwy dupek. Tymczasem okazał się przyzwoitym gościem.

Jack zasalutował zawczasu i oznajmił:

– Przekazano mi wiadomość o pana przylocie, sir.

Pułkownik odsalutował, a Locke przedstawił mu Gillian. Nie myślałem, że Jack ożeni się z dziewczyną w tym typie, pomyślał Stansell. Bardzo ładna, ale nie z takich

ostentacyjnych, jakie lubił nasz as. Chyba nie potrafię oceniać, kto się dla kogo nadaje. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że żona Watersa może wyglądać, jak wygląda...

– Gillian, wybaczy pani, ale muszę porozmawiać z pani mężem, a mam bardzo mało czasu – powiedział Rupert.

Gillian uśmiechnęła się do niego oszłamiająco.

– Zaczekam, panie pułkowniku.

Dwaj oficerowie ruszyli wzdłuż płyty lotniska, mijając stojący samolot. Stansell zdawał sobie sprawę z tego, jak niekorzystnie wygląda w towarzystwie Locke'a. Kapitan miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był przystojnym, młodym mężczyzną o ciemnoblond włosach. Zielony lotniczy kombinezon leżał na nim, jak gdyby był szyty na miarę. Locke mógłby być modelem do plakatu komisji poborowej Sił Powietrznych, gdyby tylko nie miał blizn nad prawym okiem i z lewej strony szczęki.

– Jack, zajmuję się specjalnym projektem i potrzebuję pana pomocy – oznajmił Rupert. – Nie mogę powiedzieć więcej, poza tym, że oznacza to tymczasową służbę w Nellis, przez parę miesięcy, a także, że... może być interesujące.

– Niech to licho, panie pułkowniku. Gillian jest w drugim miesiącu ciąży. Nie mogę jej tak zostawić...

– Grom też bierze w tym udział, już jest w Nellis. Locke aż przystanął.

– Jak to, rzucił szkolenie ASTRA? Stansell skinął głową.

– Skoro tak, to musi chodzić o jeńców. Dobrze, panie pułkowniku, proszę włączyć mnie do drużyny. Jestem coś winien Watersowi i Czterdziestemu Piątemu. – Kapitan poczuł, że ogarniają go trudne do określenia emocje. – Znam większość tych ludzi... – dodał. Bał się powiedzieć więcej.

– Dzięki. Potrzebuję pomocy zewsząd.

– W takim razie przyda się panu pułkownikowi niejaki Pullman. To najlepszy pierwszy sierżant i największy sknerus w Siłach Powietrznych. Błyskawicznie likwiduje wydatki. Myślę, że zna prawie wszystkich dookoła. Jest naprawdę niezły.

– Spotkałem go kiedyś – odpowiedział Stansell – w Ras Assanya. Gdzie jest teraz?

– Przypomniał sobie potężnego sierżanta, który pomagał w ewakuacji bazy. To Pullman zdobył dodatkowego C-130, który uratował tylu ludzi.

– Ciągle służy w Wielkiej Brytanii, w bazie RAF-u Stonewood. Może zadzwoni pan do niego, a ja w tym czasie wytłumaczę Gillian, co się dzieje.

Ruszyli z powrotem w stronę budynku. Locke odszukał żonę, a Rupert zatelefonował na drugą stronę oceanu na linii systemu AUTOVON. Po kilku minutach wrócił do Jacka i Gillian i oznajmił:

– W piątek po południu odbywa się uroczyste pożegnanie pierwszego sierżanta Mortimera M. Pullmana z okazji jego przejścia na emeryturę.

– Odwoła to, kiedy dowie się, o co chodzi – ocenił Locke. – To pana C-20?

– Przez chwilę – tak.

– Wykorzystajmy go. – Kapitan odwrócił się do żony i powiedział: – Przepraszam cię, kochanie, ale muszę to zrobić.

– Nie martw się, leć – odparła. – Przeprowadzę nas do Las Vegas. – Uniosła dłoń do jego twarzy. – Wiesz, że lubię zmieniać miejsce pobytu.

– Jack, niech pan jedzie do domu i spakuje się – polecił Stansell. – Poleci pan do Stonewood. Każę załozie uzupełnić paliwo i zgłoszę lot do Wielkiej Brytanii. Ja tymczasem dotrę do mojego samochodu i pojedę nim do Nellis.

– Musi pan jeszcze pogadać z moim szefem – przypomniał Jack.

– Porozmawiam z dowódcą jednostki. Nie spodoba mu się, że tak łatwo pana przekonałem do opuszczenia go.

– Sir, to może być niewykonalna misja, ale właśnie takie lubię – zażartował Locke.
– Dziękuję.

Phoenix, stan Arizona

Barbara Lyon jechała rowerem do domu. Pomyślała sobie, że zajęcia gimnastyczne, na które się zapisała, dają jej na tyle dużo, że warto się pomęczyć. Cztery razy w tygodniu pedałowiała do odległego o pięć kilometrów ośrodka sportowego, ćwiczyła, przyglądała się sobie uważnie w wiszących na ścianach lustrach, a potem porównywała się starannie z młodymi instruktorkami.

Mam jeszcze przed sobą parę niezłych lat – oceniła. Nie najgorzej, jak na trzydziestosiedmioletnią rozwódkę... Przerwała rozważania i wjechała w swoją bramę, omal nie wpadając na pułkownika Stansella.

– O, Rupe, wróciłeś – powitała go z uśmiechem. Nachyliła się przez kierownicę, patrząc na walizki, które dźwigał. – Czyżbyś próbował się wymknąć?

– Przyłapałaś mnie – odparł pułkownik, odstawiając bagaż. Trudno było zignorować Barbarę, ubraną w obcisłe szorty i wycięty top. Włosy miała luźno związane chustą. – Zostawiłem ci kartkę pod drzwiami. Przeniesiono mnie do Las Vegas, do bazy Nellis. – Rupert chciał dodać, co czuje, jednak słowa nie przychodziły mu łatwo.

– To może dalej będziemy się widywać – odpowiedziała Barbara. – Wpadam często do Vegas, bo tam też mam blok, doglądam go trochę. Właśnie skończyłam remont, większość mieszkań jest pusta. Chcesz tam zamieszkać? – Miała nadzieję, że

Stansell przyjmie jej ofertę. Rupert skinął głową. – To super. Czy możesz mnie podzucić do Vegas? Muszę zobaczyć, co się dzieje...

Nie uciekniesz ode mnie, pułkowniku Stansell, dodała w myśli.

Rozdział ósmy

Dzień D minus 27

Baza Królewskich Sił Powietrznych Stonewood, Wielka Brytania

Kiedy C-20 Gulfstream zatrzymał się na płycie lotniska RAF-u w Stonewood, pilot odwrócił się do Locke'a i powiedział z niezadowoloną miną:

– Musimy odpocząć w pokoju dla załóg. – Zastanawiał się, dlaczego kapitan jest traktowany jak jakaś ważna osoba. – Dokąd polecimy dalej?

– Proszę wrócić za dwanaście godzin – odparł Jack. – Będziemy lecieć do Nellis.

– Panie kapitanie – mruknął pilot do pleców Locke'a – istnieje krótsza trasa z Luke do Nellis.

Jack wysiadł i pojechał specjalnym samochodem prosto do biura Pullmana. Po drodze minął oddział żołnierzy ćwiczących przed budynkiem operacyjnym bazy.

– To na ceremonię pożegnalną z okazji przejścia sierżanta Pullmana na emeryturę – wyjaśnił kierowca.

Locke odnalazł pierwszego sierżanta w jego gabinecie w budynku dowództwa. Pullman nie wyglądał na zaskoczonego widokiem kapitana.

– Niech pan nie mówi, że przyleciał życzyć mi szczęśliwej podróży i powodzenia w dalszym życiu.

Jack pokręcił głową.

– Sierzancie, jestem tu w ważnej sprawie. Potrzebuję pańskiej pomocy. Czy odłożyłby pan na parę miesięcy swoje przejście na emeryturę?

Stary sierżant popatrzył na Locke'a uważnie.

– Mam tu wielką ceremonię pożegnalną, z orkiestrą i generałem – oznajmił. – Myśli pan, że się na nich wypnę tylko dlatego, że potrzebuje pan mojej pomocy?

Jack zastanowił się, jakby tu przekonać Pullmana nie zdradzając mu jednocześnie, że chodzi o operację uwolnienia jeńców z Iranu. Powiedział:

– Sierzancie, widziałem, jak potrafi pan pogonić ludzi do działania. Zajmuję się teraz misją specjalną i żeby ją zrealizować, trzeba będzie dać ludziom potężnego kopa. A pan umie to zrobić najlepiej. – Widać było, że sierżanta nie wzruszyła ta wypowiedź. – To za Watersa – dodał więc kapitan, nie chcąc mówić nic więcej.

– Waters nie żyje – uciał Pullman. W jego głosie słychać jednak było ból.

Jack Locke wiedział, że nie jest łatwo przekonać Pullmana.

– Sierzancie, docenią biorących w tym udział. Rozumie pan.

– Nie jestem panu nic winien, kapitanie.

Trzeba będzie mu powiedzieć... – pomyślał Locke.

– Pułkownik Stansell organizuje misję uwolnienia jeńców z Iranu. To poufna informacja. Rozumie pan, że przeciek z miejsca ją uniemożliwi. Nie mamy wiele czasu. I potrzebujemy pana.

Pullman usiadł, czując nagły ból w żołądku.

– Cholera – zaklął. – Odkąd zdecydowałem odwieść się na kołek i pójść na emeryturę, brzuch nie bolał mnie ani razu. A teraz rozbolał mnie jak nie wiem co. Ja już i tak nie awansuję, panie kapitanie. Poza tym, potrzebuje pan pomocy ważnych figur, a nie mojej.

Jednak Pullman czuł się wciąż szefem obsługi Czterdziestego Piątego Taktycznego Skrzydła Myśliwskiego. Przetrzymani w Iranie jeńcy to byli jego ludzie. Pierwszy sierżant czuł się za nich odpowiedzialny. Mianowano go szefem, ponieważ wiedział, kiedy trzeba się przypodobać, wytłumaczyć coś komuś, przekupić, zmobilizować. Teraz stał przed nim kapitan Locke i prosił go o dokończenie pracy, o to, co jest podstawowym obowiązkiem każdego dowódcy – ochronę swoich ludzi. Rzeczywiście, Pullman nie zaciągnął żadnego długu, podjął się za to obowiązku, kiedy rozpoczął marsz po szczebelkach wojskowej drabiny, wspinając się w końcu na najwyższe stanowisko, jakie może piastować w amerykańskich siłach zbrojnych podoficer.

– Wiem, sierzancie – odparł Jack. – Dowództwo nas popiera, jednak to pan zna ludzi, prostych żołnierzy, którzy będą wykonywać dla nas robotę. Może pan znacznie przyspieszyć przygotowania. – Locke zgrał właśnie swoją ostatnią kartę.

– Teraz dopiero dostanę pochwałę – mruknął Pullman. Podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z dowódcą. – Sir, muszę z panem porozmawiać – oznajmił. – Pojawiła się ważna sprawa. – Wstał i ruszył w stronę gabinetu dowódcy.

Po paru minutach wrócił ze smutnym wyrazem twarzy.

– Stary nie był zadowolony, kiedy mu powiedziałem, że chcę odłożyć przejście na emeryturę. Powiedział, że następna ceremonia odbędzie się przy biurku, przy którym wypisują ludzi kończących przydział w bazie. Cholera, to i tak nic w porównaniu z tym, co powie moja żona!...

Góry Zagros, Iran

Strumień, wzdłuż którego szedł Carroll przez skaliste góry Zagros, spływał wodospadem z kanionu i skręcał na południe, ku długiej dolinie. Bill widział

porozrzucane tu i ówdzie wzdłuż łożyska strumienia skupiska chatki. Ich mieszkańcy próbowali w tych surowych warunkach wyżyć z rolnictwa, pasąc głównie kozy i nawadniając małe pole. Dziwił się, że okolica jest aż tak gęsto zamieszkała. Trudno było w niej pozostać niezauważonym.

Pochowawszy ciała kobiety i mężczyzny w płytkim zagłębieniu, Carroll zszedł o świcie ze stromego stoku i ruszył przed siebie, oddalając się od drogi. Po pewnym czasie natknął się na strumień, poszedł więc zgodnie z jego biegiem. Teraz strumień skręcał na południe, a ten kierunek Amerykaninowi nie odpowiadał.

Bill znalazł sobie zaciszne miejsce w kępie krzaków otaczającej niewielki staw i zjadł ostatnią porcję chleba. Uważał przy tym, żeby posługiwać się prawą ręką. Niestety ciągle był głodny. Uprał sobie koszulę i spodnie i rozłożył je, żeby wyschły. Ogolił się i umył, po czym położył się na ziemi, korzystając ze słońca, pod koniec irańskiego października grzało jeszcze dość mocno. Zastanawiał się, co powinien dalej robić.

Czy pasażerowie albo kierowca autobusu zgłosili władzom, co zaszło? Biorąc pod uwagę zachowanie się kierowcy, a także to, że pozostali właściwie wypchnęli kobietę i mężczyznę z autobusu, było to wątpliwe. Jednak kiedy tylko ktoś bliźni szukać zaginionych, szybko dojdą do tego, co stało się w autobusie. Carroll miał może jeszcze dwa czy trzy dni na znalezienie solidnej kryjówki. Szczęście zaczynało go opuszczać. Nie mógł nic poradzić na to, że mówi we śnie. Poza tym, był leworęczny, co także mogło naprowadzić mu biedy. W krajach islamskich przyjmują, że powinno używać się prawej ręki do wykonywania czynności „czystych”, lewą zachowując do „nieczystych”. Jeśli na przykład ktoś zauważy, że Carroll je albo pokazuje drogę lewą ręką, zostanie rozpoznany. Wystarczy jeden fałszywy ruch. Jak mogłem wpakować się w tego rodzaju tarapaty? – myślał. Nie dość, że znajdował się w trudnym do pozazdroszczenia położeniu, czuł się do tego samotny.

Naszły go znowu wspomnienia, nieznośne i wyraziste jak zwykle. Ostatnie godziny w Ras Assanya... Dowódca pułkownik Muddy Waters wydający rozkaz opuszczenia bazy. Carroll odmówił wówczas. Wtedy Waters kazał mu zostać z lekarzem skrzydła i pomagać przy rannych... Moment poddania bazy. Okropne chwile, kiedy Irańczycy wpadli do punktu pierwszej pomocy i zaczęli strzelać. Trafili sierżanta leżącego na stole operacyjnym, pod nożem doktora Landisa... Carroll strzelił wtedy jednemu z napastników prosto w twarz i zabił jeszcze dwóch, zanim dał nura w ciemność. A doktor Landis został, ciągle próbując uratować życie sierżantowi. Bill dobiegł do plaży i płynął przez ponad cztery godziny. Kiedy w końcu dotarł w bezpieczne miejsce, obiecał sobie, że wypełni ostatni rozkaz, jaki wydał mu dowódca – będzie pomagał rannym, pozostawionym na łaskę

nieprzyjaciela...

Carroll wiedział, że musi kontynuować wędrówkę; zdawał sobie także sprawę, że potrzebni mu sprzymierzeńcy. Spróbował przypomnieć sobie wszystko, co czytał o Iranie. Posiadał sporą wiedzę, ponieważ w Ras Assanya pełnił obowiązki oficera wywiadu Sił Powietrznych. Wykorzystanie jednak wiadomości w praktyce nie było łatwe. Bill starał się przywołać z pamięci raporty wywiadu i mapy dotyczące Kurdystanu. Ten leżący na północy rejon, wielkości zbliżonej do stanu Wyoming, rozciąga się na obszarach trzech państw – Iraku, Turcji i Iranu. Kapitan pomyślał, że wie już, gdzie prawdopodobnie znajdzie potrzebną pomoc.

Ubrał się i zmusił, żeby ruszyć w przeciwnym kierunku niż Kermanshah, gdzie znajdowali się jeńcy. Szedł w stronę odległego o dwieście czterdzieści kilometrów na południe lotniska w mieście Ahwaz.

Musiał dostać się na pokład samolotu. Potrzebował też sprzymierzeńców.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Kiedy Stansell wszedł do budynku 201, skąd kierowano odbywającymi się w bazie Nellis ćwiczeniami „Czerwona Flaga”, czekał tam na niego kapitan Bryant. Jak na siódmą trzydzieści rano, w budynku panowała zadziwiająca cisza.

– Przykro mi, panie pułkowniku, ale mamy problem, którego nie jestem w stanie przezwyciężyć – poinformował Bryant pełnym napięcia głosem. – Prawdziwy „hamulec”.

– Tak się mówi w ASTRA? – mruknął Stansell.

– Owszem, „hamulec”, czyli coś, co nas powstrzymuje. W tym przypadku chodzi o niejakiego pułkownika Wilforda, dowódcę ćwiczeń „Czerwona Flaga”. Uparł się, żeby nie pozwolić nam działać. Nie chce współpracować. Jest zdania, że przeszkadzamy mu w wypełnianiu jego zadań.

– Znam Wilforda – odparł Rupert. – Ma na imię Tyrone. Nazywaliśmy go więc „Tyranem”. Będę musiał szybko zwrócić na nas jego uwagę.

Bryant poszedł za Stansellem w stronę biura Wilforda.

– Niech pan tu zaczeka, to może być niemiła rozmowa – powiedział Rupert i zapukał do drzwi.

– Wejść – odezwał się ze środka dowódca 4440. Zgrupowania Treningowego Myśliwców Taktycznych, znanego pod nazwą „Czerwona Flaga”. Kiedy Stansell wszedł, gospodarz nie pokazał mu fotela. Zamiast tego powiedział:

– Cóż, pułkowniku, zdaje się, że pański kapitan, ten duży Murzyn, chce przejąć moje zadania. Kieruję największą, najlepszą, najbardziej realistyczną grą wojenną

w Siłach Powietrznych. Nikt nie zbliża się do prawdziwej wojny do tego stopnia co my. Dzięki „Czerwonej Fladze” piloci naszych myśliwców czują na sobie ciężar walki, przeładowanie wrażeniami, natłok szybkich zdarzeń, pośród których trudno panować nad maszyną. Przygotowujemy taktycznie Siły Powietrzne do przetrwania dziesięciu pierwszych dni wojny. Nie przeszkadzicie nam w tym.

– Mógłbym usiąść? Peroruje pan, jakby starał się o zwiększenie budżetu. Wilford pokazał na fotel.

– Panie pułkowniku, ja sobie tu nie żartuję. Jutro ląduje pięćdziesiąt siedem samolotów, razem z załogami; zaczynają ćwiczenia w poniedziałek. Dostałem tajną wiadomość od jakiegoś urzędnika, która głosi, że mam służyć pomocą panu i pańskiej Task Force Alpha. Następnie pojawia się tu jeden kapitan w towarzystwie seksownej mieszkanki krainy tysiąca i jednej nocy i domaga się, żebym udostępnił mu bazę. Nic z tego, panie kolego. Jeśli nie rozumie pan, co mówię, proszę wysilić głowę. – Krzepki pułkownik z ponurą miną oparł się o biurko.

– Mogę skorzystać z telefonu? – spytał Stansell i natychmiast, nie czekając na odpowiedź, wystukał numer. – Dick, mówi Rupert Stansell – powiedział. – Mam mały kłopot z przekonaniem dowódcy „Czerwonej Flagi”, że potrzebna mi jego pomoc. Czy może pan mu to wytłumaczyć? – Podał Tyrone’owi słuchawkę. – Myślę, że słyszał pan o Dicku Stevensie; to adiutant Cunninghama.

Wilford wysłuchał rozmówcy do samego końca, po czym delikatnie odłożył słuchawkę.

– Stevens spytał, czy wiem, dlaczego szefa sztabu nazywają „Zmierzch” – zrelacjonował. Cunningham, jak wiadomo, słynął z wydawania pułkownikom rozkazu opuszczenia bazy przed zmierzchem, jeśli ich służba nie odpowiadała wymaganiom generała. – Nie powiedział, czym się pan zajmuje, ale zdaje się, że mam tylko dwa wyjścia – pomóc panu albo zacząć się pakować. Wygląda na to, że nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Mam na parkingu trzy stare przyczepy długości dwunastu metrów każda, które może pan wykorzystać. Ale na litość boską proszę trzymać tę kobietę – jak ona się nazywa...?

– Dewa Rahimi, to nasza specjalistka od wywiadu. Wilford popatrzył na Stansella ze zdumieniem.

– To znaczy, że będzie musiała korzystać z naszych pomieszczeń wywiadu w głównym budynku. Niedobrze. Piloci, którzy zameldują się na ćwiczenia, będą tłoczyć się na korytarzu.

Rupert wyszedł, uważając, że wystarczająco się już nasłuchał. Bryant czekał pod drzwiami.

– Myślę, że pułkownik Wilford pogodził się już z naszą obecnością – powiedział

bez szerszych objaśnień. – Bierzmy się do roboty.

Dewa siedziała w biurze na tyłach sekcji wywiadu. Centrum Działań Specjalnych Sił Powietrznych pomogło jej dostać się do środka przesyłając tutejszej komórce wywiadu wiadomość. Zważywszy na to, z jaką atencją pracujący w biurze mężczyźni odnosili się do panny Rahimi, można było sądzić, że miała niejaki wpływ na to, czy chcą z nią współpracować.

– Dobrze, Dewa – zaczął Rupert, zamknąwszy drzwi – podaj mi najnowsze doniesienia o sytuacji w Iranie.

– Bez zmian – odparła krótko dziewczyna. Wyciągnęła z jednego z sejfów teczkę. – To są najświeższe zdjęcia więzienia w Kermanshah. Dwa ostatnie zostały zrobione w podczerwieni. Baraki sąsiadujące z tylnym odcinkiem muru dają taki ślad ciepła, który wskazuje, że są zamieszkane. Kłopot w tym, że nie wiemy, przez kogo. Posłałam DIA prośbę o sprawdzenie tego. Jak dotąd nie ma odpowiedzi. Wiemy, że wszyscy jeńcy znajdują się ciągle w Kermanshah, nie znamy jednak ciągle miejsca pobytu kapitana Williama Carrolla. Wszystko wskazuje na to, że przemieszcza się samotnie po terytorium Iranu. Nikt nie ma pojęcia, co on tam robi.

– A sytuacja polityczna?

– Chwileczkę... – rzuciła Rahimi i spojrzała na ekran komputera. Wywołała bazę danych Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony – DIA – i ekran wypełnił się arabskim pismem.

– Umie pani czytać po arabsku? – spytał Bryant.

– Nie. Ale język farski posługuje się alfabetem arabskim. To są wybrane artykuły prasowe i skróty wiadomości telewizyjnych i radiowych z ostatnich dni. – Poczytała chwilę, po czym wywołała krótkie, sporządzone przez wywiad streszczenia po angielsku. – Okazuje się, że oprócz Islamskiej Partii Republikańskiej są jeszcze cztery frakcje polityczne w obrębie Rady Strażników Rewolucji, które chcą przejąć nad nią kontrolę. Ten, kto ma władzę w Radzie Strażników, dysponuje naszymi jeńcami. Wczoraj Islamska Partia Republikańska próbowała ułożyć się z Islamską Ludową Partią Republikańską. – Pokręciła głową. – Czasami nawet mnie się myli. W każdym razie, ILPR chce otrzymać połowę jeńców na dowód, że IPR działa w dobrej wierze. IPR na razie jednak nie chce się na to zgodzić.

– Wygląda na to, że nasi jeńcy stali się kartą przetargową – zauważył Bryant.

– Podobnie jak zakładnicy z 1980 roku – dodał Stansell. – Ile mamy czasu, zanim zaczną wywozić jeńców?

– Mogę tylko zgadywać – odparła Rahimi. – To zależy od tego, jak bardzo IPR potrzebuje wsparcia ILPR dla zachowania kontroli nad Radą Strażników Rewolucji.

Myślę, że maksymalnie sześć tygodni.

– Trudno rozróżnić aktorów bez programu tego przedstawienia – mruknął pułkownik. – Tak czy owak, mamy masę roboty, a bardzo mało czasu na jej wykonanie. Pospieszmy się.

Rozdział dziewiąty

Dzień D minus 26

Kermanshah, Iran

Wartownik otrzymał od naczelnika nowe rozkazy. Pobiegł przez piaszczyste więzienne podwórze. Czuł na sobie wzrok Mokhtariego – wiedział, że śledzi ze swojego narożnego gabinetu wszystko, co działo się przed budynkiem administracyjnym. Mężczyzna wpadł do głównego budynku dla więźniów, zadowolony, że zniknął Mokhtariemu z oczu. Ostry smród niemytych ciał i brudnych ubrań był niczym w porównaniu z lękiem, jaki wzbudzał wokół naczelnika więzienia. Wartownik skręcił w lewo i zszedł po metalowych schodkach do piwnicy, mijając salę przesłuchań oraz małe cele, w których zamykano za karę.

– Komendant rozkazał zaprowadzić Leasona z powrotem do jego celi – oznajmił dyżurnemu strażnikowi.

Dwaj mężczyźni otworzyli więc drzwiczki najmniejszej celi, którą jeńcy nazywali „Pudełkiem”. Miała zaledwie metr wysokości, sześćdziesiąt centymetrów szerokości i metr głębokości. Sięgnęli do środka i wyciągnęli więźnia, wiedząc, że po dwóch dobach spędzonych na siedząco z podkurczonymi nogami nie może chodzić.

Pułkownik Clayton Leason miał metr osiemdziesiąt parę wzrostu, górował nad Irańczykami. Wsparł się na ich ramionach. Zaciśnął zęby, gdy krew napłynęła mu do podkurczonych nóg i zamiast odrętwienia zaczął odczuwać ból. Strażnicy zrzucili z siebie ciężar, złapali jednak Amerykanina, kiedy nogi ugięły się pod nim.

– Zaczekajcie chwilę – odezwał się pułkownik. Więzienny strażnik znał angielski.
– Pozwólcie, żebym poczuł nogi.

– Pysznic, pułkowniku? – zapytał tamten. – Może pan też uprać ubranie. Leason popatrzył na Irańczyka. Oferowano mu dwa luksusy, o których tu nie słyszano. Jako najstarszy stopniem oficer spośród jeńców musiał uważać na wszystko, co dają Irańczycy, czy to jemu, czy komukolwiek innemu.

– Mokhtari nic nie ofiarowuje za darmo – powiedział. – Jaka jest cena? Strażnik pokręcił jednak głową. Dwaj mężczyźni pomogli pułkownikowi dojść pod prysznic i podali mu mydło. Ciągle jeszcze nie był w stanie ustać, usiadł więc na znajdującym się obok drewnianym stołku. Pysznic był dla Leasona prawdziwą rozkoszą. Kiedy uprał ubranie, strażnicy wzięli je i powiesili, żeby wyschło. Pułkownik wsadził

głowę pod ciepłą wodę i zaczął szorować swoje siwiejące włosy. Czuł, jak zmywają się z niego wszy. Nagle przyszło mu do głowy, że jeśli to nie Mokhtari rozkazał wpuścić go pod prysznic i dowie się o tym, jego dwaj podwładni wpadną w ciężkie tarapaty. Spróbował jednak nie myśleć zbyt wiele i cieszyć się tym, co go spotkało.

Pułkownik popatrzył w dół, na swoje ciało. Kiedy go pochwycono, był otyły – ważył prawie sto dwadzieścia kilogramów. Podczas służby w Ras Assanya lekarz nakazywał mu stanowczo schudnąć. Leason pełnił jednakże obowiązki zastępcy dowódcy do spraw obsługi technicznej; trudno było pogodzić to z przestrzeganiem ścisłej diety czy też uprawianiem ćwiczeń fizycznych. W tej chwili ten sam lekarz – podpułkownik Jeff Landis – mówił Leasonowi, że jego zapasy tłuszczu pomagają mu przeżyć. Leason ważył teraz tylko osiemdziesiąt kilo. Doktor za to był skrajnie wychudzony; funkcjonował jakoś jedynie dzięki temu, że Leason dzielił się z nim swoimi skromnymi racjami żywnościowymi. Trzeba było coś z tym zrobić. Może należało zwrócić się do tych dwóch Irańczyków...

– Jestem waszym dłużnikiem – powiedział, założywszy z powrotem mokre ubranie. Mógł je dosuszyć w celi, w której siedział właśnie z doktorem Landisem. – Czy wiecie, dlaczego Mokhtari kazał zamknąć mnie w Pudełku?

Strażnik więzienny przetłumaczył wypowiedź wartownikowi. Ten pokręcił bezradnie głową.

– Poprosiłem Mokhtariego o zwiększenie przydziału żywności. Powiedziałem mu także, żeby pomyślał o swojej przyszłości – zaczął wyjaśniać pułkownik. – W końcu zostaniemy wypuszczeni albo wyzwoleni. Pomyślcie o tym sami. Kiedy amerykański czołg wjedzie przez tę ścianę, przyda wam się przyjaciel. Powiedziałem Mokhtariemu, że jeśli będzie traktował nas jak należy, zachowamy się uczciwie, kiedy każą nam złożyć meldunki na jego temat. Prędzej czy później do tego dojdzie.

Leason odczekał chwilę, żeby Irańczycy zapamiętali jego słowa.

– Dodałem także, żeby przestał przesłuchiwać kapitan Hauser. Wiem, że tu jest i wiem, co jej robicie.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Lśniący, niebiesko-biały Gulfstream III zakończywszy długi lot ze Stonewood przykołował na stanowisko postojowe przed budynkiem operacyjnym bazy. Pilot wyłączył silniki, opuściły się otwierane w dół drzwiczki i po schodkach zeszli Locke i Pullman. Podeszli do dwóch oczekujących mężczyzn. Jack próbował zachować poważną minę, jednak uśmiechnął się, witając się ze swoim starym przyjacielem Gromem, a także ze Stansellem.

– Jak tam Gillian? – zagadnął Bryant.

– Jest w drugim miesiącu ciąży – odpowiedział Jack udawanym brytyjskim akcentem. – Powinna się tu zjawić za parę dni. A twoja Francine?

– Siedzi u matki, w Wilmington. – Grom pokręcił głową. Siły Powietrzne USA nie okazały się dla niej miłe.

Stansell i Pullman usłyszeli, co powiedział kapitan. Nierzadko zdarzało się, że służba w Siłach Powietrznych skutkowałą rozpadem czyjegoś małżeństwa. Mężczyźni wymienili spojrzenia. Obaj pomyśleli o tym samym – problemy Bryanta z jego życiem osobistym mogły odbić się na wykonywanych przez niego zadaniach. Misja, jakiej dopiero co się podjął, wymagała pełnego zaangażowania.

– Tam będzie nasz dom – oznajmił Stansell, pokazując na trzy przyczepy stojące przed budynkiem z numerem 201. Wjeżdżali właśnie na parking. Pullman wysiadł z samochodu i przyjrzał się z bliska przyczepom.

– Nawet kurniki bywają lepsze – skwitował. – To są chaty z dawnych czasów, panie pułkowniku. Nie ma prądu, mebli – nic. Na kiedy mają być gotowe?

– Na poniedziałek.

– Oczekuje pan pułkownik, że przygotuję je w weekend? Chyba musiałbym uczynić cud.

Lepiej, żebyśmy umieli czynić cuda, pomyślał Stansell.

Rezaiyeh, Iran

Pilnujący bramy wartownik odwrócił się plecami do wiatru i osłonił szyję kołnierzem. Mały, transportowy Fokker F-27 podkołował blisko płotu. Pilot wyłączył dwa turbośmigłowe silniki maszyny. Otworzyły się drzwi dla pasażerów i po schodkach zaczęli schodzić ludzie. Większość z nich próbowała się osłonić przed wiejącym z nad pobliskiego jeziora Urmia wiatrem. Na wysokości tysiąca trzystu metrów październikowe wieczory w zachodnim Iranie potrafią być bardzo zimne.

Pasażerowie, nie zwracając uwagi na wartownika, pobiegli do czekającego autobusu, który miał zawieźć ich do leżącego pięć kilometrów na południe miasta Rezaiyeh. Wartownik machnął na tych, którzy mieli odlatywać fokkerem, żeby wsiadali. Był zły, że jego zmiennik nie pojawił się w porę. Kiedy już ostatni pasażer zajął miejsce w odlatującym do Bandar Abbas samolocie, wartownik zatrzasnął bramę i ruszył pędem do autobusu. Nie miał zamiaru spędzać nocy na lotnisku czy też wracać do miasta piechotą.

Wartownik usiadł na ostatnim wolnym miejscu, obok jakiegoś żołnierza. Mężczyźni popatrzyli na siebie.

– Świnia z tego kierowcy – odezwał się wartownik. – Mam szczęście, że mnie tu nie zostawił.

Carroll odwinął zawój z głowy. Nie miał ochoty wdawać się w konwersację, jednak gdyby zignorował wypowiedź mężczyzny, ten mógłby zacząć coś podejrzewać.

– Kiedyś tak nie było – odparł więc Bill. – Jeszcze niedawno spytaliby, kiedy ma pan zamiar odjeżdżać i zaczekali.

Wartownik westchnął.

– Zmienia się. Nawet tutaj. – Po paru chwilach milczenia zagadnął znowu: – Stacjonuje pan w Rezaiyeh?

– Nie, mam tu coś do załatwienia. Niedaleko mieszka mój wuj, mam okazję go odwiedzić.

Wartownik przyjrzał się Carrollowi uważnie. Chciał się upewnić, czy nie siedzi przypadkiem w towarzystwie Kurda. Za dużo już ich zabił. Zdradzieckie plemię, żyjące tu, w rejonie Rezaiyeh... Stwierdził z zadowoleniem, że jego sąsiad nie wygląda na Kurda i uspokoił się. – A co pan załatwia? – spytał.

Carroll odwrócił się i popatrzył na Irańczyka groźnie.

– Przysłała mnie Rada Strażników Rewolucji. Jak się pan nazywa? Wartownik nie chciał mieć bynajmniej do czynienia z Radą.

– Ja jestem tylko wartownikiem... – bąknął.

– Rozumiem... – odparł łaskawie Bill i wyjrzał przez okno.

– Mógłbym znaleźć panu pokój na nocleg... – zaofiarował się Irańczyk.

– Dziękuję. Jest późno. Jak się nazywa pana dowódca? Nie ścigam lojalnych żołnierzy, jak pan, tylko niekompetentnych dowódców – oznajmił Carroll. Niepotrzebnie to powiedział.

Wartownik pomyślał, że ma okazję wyrównać rachunki ze swoim sierżantem. Po chwili przyszło mu jednak do głowy, że lepiej nie mieszać się w tego rodzaju sprawy.

– Sierżant Afrakhteh – odparł. – Ale to uczciwy, ciężko pracujący podoficer.

– To dobrze. Proszę nikomu nie mówić, że tu jestem. To znacznie utrudniłoby mi pracę. I nie byłoby mądre z pana strony.

– Oczywiście. – Każdy wysłannik Rady Strażników Rewolucji był niebezpieczny.

Carroll wyglądał przez okno, w ciemność. Ile jeszcze czasu będzie mógł w podobny sposób blefować? Nie mogą ciągle liczyć na szczęście, myślał. Muszę znaleźć pomoc i wracać do Kermanshah.

Rozdział dziesiąty

Dzień D minus 25

Kermanshah, Iran

Vahid Mokhtari był z siebie zadowolony. Wizyta generała, dowódcy Ludowego Wojska Islamu, przebiegała pomyślnie. LWI było zbrojnym ramieniem komunistycznej partii Tudeh. Ostatnio zostało włączone do Irańskich Sił Zbrojnych. Dzięki temu zostały one zasilone nie tylko nowymi oddziałami, ale także dużą ilością broni, samolotów i amunicji produkcji radzieckiej. Generał uparł się, że sam będzie chodził. Kuśtykał niezdarnie o kulach, jeszcze nieprzyzwyczajony do braku prawej nogi. Kiedy patrzył na Amerykanów, jego jedyne oko błyszczało groźnie. Nieustannie poprawiał sobie czarną przepaskę zasłaniającą drugi oczodół.

– Ich dowódca, pułkownik Waters, poprowadził swoje phantomy do ataku na moją główną kwaterę – wyjaśnił. – To jego bomby mi to zrobiły. Zabiłem go za to.

Mokhtari chodził za starym generałem po głównym budynku. Wytłumaczył panujący tam smród:

– Amerykanom podoba się życie w brudzie. Nie chcą się myć ani dbać o ubranie czy wygląd.

Nie przyznał się do tego, że zabronił więźniom myć się i prać ubrania. Wiedział, że brud i nędzne odżywianie w końcu dadzą o sobie znać. O to właśnie mu chodziło. Wtedy pułkownik Leason stanie się posłuszny. Chyba że będzie wolał patrzeć, jak jego żołnierze wymierają niczym robactwo. Mokhtari myślał z przyjemnością o tym, że może Leason zacznie kolaborować, obracając się przeciw ludziom, którymi dowodził.

Naczelnik więzienia zakończył oprowadzanie generała pokazując mu niewielką salę przesłuchań w piwnicy budynku administracyjnego.

– Osobiście przesłuchuję kontrolerkę radaru z Ras Assanya, która kierowała ich samoloty przeciwko naszym pilotom – pochwalił się. – Wydobywamy od niej informacje na temat tajnego sprzętu, którym się posługiwała. Czy zechciałby pan generał obejrzeć przesłuchanie?

Generał skinął głową i usiadł.

Pojawił się strażnik i na środku pomieszczenia, naprzeciw metalowego biurka, ustawił krzesło. Mokhtari oparł się o krawędź biurka w oczekiwaniu. Drzwi

otworzyły się i dwaj mężczyźni wprowadzili do sali Mary Hauser. Była skuta kajdankami, a na głowie miała płócienny worek. Jeden ze strażników szarpnął ją za ramię i popchnął, żeby usiadła na krześle.

– Zdjąć worek i rozkuć ją – rozkazał Mokhtari. Następnie przemówił po angielsku:
– Pani kapitan, już przez to przechodziliśmy. Proszę salutować oficerom wyższego stopnia. – Generał nie znał angielskiego, jednak adiutant tłumaczył mu przesłuchanie.

– Czy mogę coś powiedzieć, panie komendancie? – spytała Hauser. Zaczynała swoją grę. Obserwowała uważnie starszego mężczyznę siedzącego po lewej. Jego wygląd przywodził jej na myśl sokoła wędrownego.

– Zezwalam.

– Zgodnie z regulaminem wojskowym, żeby zasalutować, muszę stać. Czy mogę wstać?

Mokhtari kiwnął głową. Mary wstała i zasalutowała.

– Kapitan Mary Lynn Hauser melduje się posłuszenie, sir. Jedyne oko generała próbowało przewiercić ją na wylot.

Dowódca więzienia skinął na stojącego za Hauser strażnika, a ten oparł się na jej ramionach, zmuszając ją, żeby z powrotem usiadła.

– Proszę opowiedzieć nam o sprzęcie, jakiego używała pani na stanowisku obsługi radaru. Wolałbym, żeby nie musiał się powtarzać.

Mary Hauser napięła się. Przesłuchania przebiegały według ustalonego z góry planu. Później bito ją.

– Już tłumaczyłam, nie mieliśmy niczego specjalnego ani nowego. To był standardowy radar, tego samego typu, jakiego używaliśmy w Wietnamie – odpowiedziała.

W rzeczywistości posługiwała się najnowszym osiągnięciem techniki radarowej – urządzeniem o symbolu AN/TPS 59, pracującym w trzech wymiarach, przy pomocy wielofazowej wiązki. Dzięki szybkim komputerom radar był w stanie śledzić jednocześnie do pięciuset celów. Jego płaska antena omiatała horyzont co dziesięć sekund. AN/TPS 59 było bardzo skomplikowanym i dającym duże możliwości systemem kontroli obszaru powietrznego i kierowania samolotami.

Zanim kapitan opuściła na dobre swoją placówkę, znajdującą się na niewysokim wzgórzu położonym piętnaście kilometrów od zasadniczej części bazy, podlegli Mary żołnierze wysadzili radar w powietrze. Hauser obejrzała dokładnie szczątki, żeby się upewnić, że nie zostało nic ważnego, co można by rozpoznać lub, tym bardziej, wykorzystać.

Mokhtari skinął głową na strażnika, a ten uderzył Mary lewą, otwartą dłonią. Jej

twarz odskoczyła na bok.

– Jeszcze raz.

Strażnik uderzył Hauser po raz drugi.

– Jeszcze raz.

Generał nachylił się do przodu.

– Nie jesteśmy głupcami – oświadczył. – Nasi technicy nie znaleźli wśród szczątków parabolicznej anteny. – Adiutant przetłumaczył jego słowa na angielski. Dało jej to chwilę na przemyślenie odpowiedzi.

– Czy mogę coś powiedzieć? – spytała.

– Jeszcze raz – powtórzył głośniejszym głosem Mokhtari. Strażnik uderzył teraz mocniej, dostosowując się do tonu głosu dowódcy.

Mary spadła na podłogę, umyślnie udając, że cios był potężniejszy niż w rzeczywistości. Próbowwała niby usiąść z powrotem, ale znowu upadła; całkiem serio starała się opanować ból.

Strażnik podniósł ją i posadził na krześle. Oparła łokcie na kolanach i opuściła głowę, nie chcąc, żeby mężczyźni widzieli jej twarz.

– Przykro mi, sir, ale mówię prawdę – powiedziała. – Obsługiwałam radar starego systemu SAGE, jakich używaliśmy w Wietnamie. To półautomatyczny radar do śledzenia otaczających celów naziemnych. Nie miałam komputera naprowadzającego nasze samoloty w powietrzu...

– A dlaczego? – zapytał generał, kiedy mu przetłumaczono.

– To zbyt stara i zawodna metoda – odparła kapitan. – Obecnie opieramy się na sprzęcie latającym. A o tym nie mam pojęcia.

– Kłamiesz!

Mary podniosła głowę, zmuszając się do łez. Mężczyźni oczekiwali w tym momencie jej płaczu.

– Nie kłamie, panie generale – załkała. Zabrzmiało to dostatecznie żałośnie. – Czy muszę mówić nieprawdę, żeby odpowiedzieć dobrze na pana pytania? Jestem tylko kobietą. – Kiedy wypowiedziała ostatnie zdanie, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd.

Generał milczał. Czuł, że ta kobieta udaje, próbując skierować przesłuchanie na obmyślane przez siebie tory.

– Kłamie, dziwka jedna – skwitował. – Popracujcie nad nią. Mokhtari z przyjemnością wziął się do wykonywania tego polecenia.

– Rozebrać ją – rozkazał.

– Znowu? Nie, panie komendancie!... – wydobyła z siebie Hauser, wstając. To następowało zawsze, po biciu. Nie było jej łatwo opierać się, gdyż ciągle się bała, że

będzie gwałcona przez swoich oprawców. Tłumaczyła sobie, że gwałt to odmiana tortur i że lęk przed torturami jest równie destrukcyjny jak sam ból fizyczny. Nie pomagało to jednak – bała się strasznie.

Jeden z Irańczyków wyciągnął rękę i zerwał z Mary bluzę. Rozebrali ją do końca, tak że pozostała tylko w butach.

– Dalej. – Mokhtari pokazał na jednego z podwładnych.

– Ale ona jest nieczysta... – zaprotestował mężczyzna, gapiąc się zakrwawione nogi kapitan Hauser.

Zapadła cisza. Kobieta czuła, że Irańczycy zmieszali się. Wyglądało na to, że islamskie zakazy ją ochronią. Nagle zrozumiała – trzeba udać zawstydzoną, wykorzystać zakorzenione w tych ludziach wierzenia na temat kobiet. Zwiesiła więc głowę i załkała, na tyle głośno, żeby usłyszeli.

– Zabierzcie ją stąd – rozkazał Mokhtari.

Dwaj strażnicy zaciągnęli Mary do celi. Jeden z nich rzucił jej ubranie. Następnym razem ci się nie uda, pomyślała, oddychając głęboko.

Tours, Francja

Kończyło się wieczorne przyjęcie dla pilotów, którzy przybyli na jutrzejszy, niedzielny pokaz lotniczy. Wszyscy generałowie już opuścili bazę, zachowując się zgodnie z surowym, francuskim protokołem wojskowym. Odjechała także większość ważnych cywili, którzy byli tego dnia obecni. Pilot F-111, podpułkownik Garret Doucette, zwany „Pochodnią”, wkroczył do baru. Czuł się tu lepiej niż w sali balowej francuskiego klubu oficerskiego. Odnalazł swojego oficera uzbrojenia – kapitana Ramona Contreraza. Contreraz siedział przy barze. Rozpiął górne guziki bluzy swojego galowego munduru i rozluźnił krawat. Sączył piwo. Dwaj oficerowie mieli być jedynymi Amerykanami na pokazie.

– O wiele lepsze od tego szampana – sikacza, który cały czas podawali – stwierdził kapitan, wskazując podpułkownikowi sąsiedni stółek.

Pochodnia wdrapał się nań. Nie był już mężczyzną pierwszej młodości, a wiek średni nie okazał się dla niego łaskawy. Brzuch rozrastał mu się mniej więcej równie szybko, jak cofała linia włosów. Ramon latał już jednak z Doucette’em dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że wygląd podpułkownika prowadził do mylnych wniosków. Pochodnia miał wyjątkowo silną psychikę oraz mięśnie.

– Cóż – zagadnął Garret – jak ci się podobają francuskie pokazy lotnicze?

– Nudne – skwitował Contreraz. Amerykanie przylecieli swoim F-111F z bazy RAF-u w Lakenheath, w Wielkiej Brytanii, gdzie stacjonowali. Wylądowali w bazie

pod Tours i mieli przyjrzeć się pokazowi francuskich sił powietrznych. Sami nie brali w nim udziału, wystawiono jedynie na widok publiczny ich samolot. – Dlaczego akurat nas do tego wyznaczyli? – zainteresował się kapitan.

– Wzięli pod uwagę moją urodę i twój latynoski czar – odparł Doucette. – Bądź miły dla tubylców.

Contreraz mruknął do swojego kufła.

– Jestem tu, bo pan pułkownik tu jest. A pan tu jest, bo mówi pan w ich języku i nazywa się pan jak żabojad. – Rozejrzył się dookoła. Zwrócił uwagę na ładną brunetkę. Weszła jakiś czas temu w towarzystwie grupy francuskich pilotów, których poznali wcześniej.

– *Ach, la belle demoiselles* – westchnął.

Doucette pokręcił głową. Contreraz miał trochę w czubie.

– *Les belles, a nie la* – poprawił go podpułkownik.

– Dobrze, *les* – zgodził się kapitan. Wstał i zapiął mundur, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Skontrolował swój wygląd w wiszącym za barem lustrze i poprawił krawat. Miał metr osiemdziesiąt kilka wzrostu i sprężyste ruchy, które przywodziły Doucette'owi na myśl matadora. Contreraz był bowiem także śniady, szczupły, muskularny i przystojny.

– Miej na względzie stosunki francusko-amerykańskie – ostrzegł Pochodnia, stwierdzając, że kapitan przymierza się do kolejnego podboju.

– Oto właśnie mi chodzi – odparł Ramon.

Doucette popatrzył za odchodzącym w stronę francuskich pilotów Contrerazem i odwrócił się z powrotem w stronę baru. Ten chłopak zachowuje się tak, jak na to wygląda, pomyślał podpułkownik. Zamieszał piwo kręcąc kuflem i gapił się w nie. Zastanawiał się, czy nie dać sobie już spokoju i nie przejść na emeryturę. Nic się w tych Siłach Powietrznych nie dzieje, myślał sobie. Miał dosyć monotonnej, wojskowej rutyny; czuł, że potrzebuje zmian. I tak dziwiło go, że doszedł do stopnia podpułkownika; nie miał nadziei na dalsze awanse. Życie w cywilu nie byłoby jednak dla niego specjalnie ciekawsze. Chodziło mu raczej o coś zdecydowanie innego. Wytrzyma, dopóki będzie pilotował. Kto wie, może zdarzy się w końcu coś ciekawego, tak jak nalot na Libię w 1986 roku?

Z drugiego końca sali dobiegły go podniesione głosy.

– Niedobrze się tam dzieje... – mruknął. Ruszył zabrać swojego oficera uzbrojenia, zanim rozpocznie się bójka.

– Ach, panie pułkowniku – odezwał się na widok Doucette'a jeden z Francuzów – pana nawigator to oszust. Udawał pilota myśliwskiego, a teraz mówi, że lata na tym, jak wy tam go nazywacie, aardvarku? Przecież to w ogóle nie jest myśliwiec. Nie do

porównania z naszymi mirage'ami. – Rozległ się chór ordynarnych uwag na temat F-111.

– Powiedźcie to Kadafiemu – odciął się Doucette. Nie mógł powiedzieć Francuzom, że to właśnie on i Contreras prowadzili nalot na Libię w kwietniu 1986. To ich załoga zbombardowała libijską bazę lotniczą dwustudwudziestokilogramowymi bombami.

– Ale nie trafiliście go – zauważył pilot. Inni mu zawtórowali.

– Skąd mogliśmy wiedzieć, że akurat wielbłąd będzie wtedy na górze? – burknął podpułkownik. – Ale wielbłąda utłukliśmy. Kadafi ma od tej pory złamane serce.

– Czy to prawda – perorował ten sam Francuz – że z pilotowaniem F-111 jest jak z waleniem konia? Fajnie, ale potem ci wstyd?

– To stary dowcip, człowieku, stary jak świat – odparł spokojnie Doucette, biorąc Contrerasa za ramię i wyprowadzając go z baru.

– Przepraszam cię, Ramonie, ale to zmierzało w złym kierunku – powiedział. Tak, Pochodnia zdecydowanie potrzebował jakiejś prawdziwej akcji.

Rozdział jedenasty

Dzień D minus 24

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

W niedzielny poranek pierwszy sierżant Mortimer M. Pullman przygotował kawę, czekając na oficerów w biurze Dewy Rahimi. Sierżant pracował przez większą część nocy, ale teraz rozpierała go duma – przyczepy były gotowe.

Jeszcze w piątek, po ponownej inspekcji przyczep, zarzucił wszelkie myśli o ich odnawianiu. Zamiast tego przejrzał uważnie spis telefonów bazy w poszukiwaniu kogoś, kogo by znał. Odnalazł znajome nazwisko w sekcji zarządzania zapasami. Nosił je sierżant, którego Pullman ocalił kiedyś przed nie wróżącym żadnych dalszych perspektyw przydziałem. Służył podówczas w dowództwie, w sekcji rozdzielania przydziałów podoficerom. Zadzwoił teraz do owego sierżanta, żeby odzyskać swoją wiarygodność. Późnym wieczorem w sobotę na parkingu przed budynkiem 201 znalazły się trzy kompletne przyczepy, wyposażone od razu w sprzęt biurowy, a nawet klimatyzację. Trzy stare odholowano.

Weszła Dewa z kartonem pączków i ciastem.

– Ładne przyczepy, szefie – powiedziała na powitanie, usiłując się nie uśmiechnąć. Zdawała sobie sprawę, że Pullman „zorganizował” przyczepy w nielegalny sposób.

Potężny szef obsługi wzruszył ramionami i zagłębił się w fotelu, przyglądając się, jak dziewczyna przystępuje do pracy. Poruszała się z prawdziwym wdziękiem. Podobało mu się to. Chciałby mieć taką córkę.

– Co zaplanował pan pułkownik na dzisiaj? – spytał.

– Obmyślamy samą misję – odpowiedziała Rahimi. Pootwierała sejfy i wyciągnęła z nich mapy i zdjęcia, a potem poprzyczepiała je na ścianach.

W biurze pojawili się Locke i Bryant, za nimi wkroczył Stansell.

– Niech pani zaczyna – powiedział pułkownik.

– Dobrze. Oto nasz orzech do zgryzienia – oznajmiła Dewa, wskazując na fotografię o grubym ziarnie. – Więzienie w Kermanshah. Znajduje się na południowych krańcach miasta, w pobliżu starych baraków perskiej armii. Baraki wydają się w większej części opuszczone. Wszystkich dwustu dwudziestu dwóch jeńców jest przetrzymywanych w obrębie murów więzienia. Dokładne rozmieszczenie naszych ludzi nie jest znane. – Pokazała duży, dwupiętrowy

budynek o płaskim dachu, stojący wewnątrz kompleksu. – Podejrzewam, że wszyscy siedzą w głównym budynku z celami. Ten mniejszy z przodu to administracja obiektu i kwatery strażników. Jest tylko jedno wejście. – Teraz wskazała na naziemny tunel długości dziesięciu metrów, przykryty kopulastym dachem. Wyglądał jak betonowa chata przystawiona od zewnątrz do środkowej części przedniego odcinka muru. – Na obu końcach tunelu znajdują się ciężkie bramy. Prawdopodobnie w środku jest jeszcze mała fosa. Oczywiście nie możecie dostać się do środka tamtędy. Te małe, czarne kółeczka, które panowie widzicie w różnych miejscach, to są słupy telefoniczne. Irańczycy powkopywali je to tu, to tam, żeby w środku nie mogły wylądować śmigłowce.

– Czy jest możliwe, że wrabiają nas w tę operację? – zapytał Stansell. – My się przygotowujemy, a oni już szykują zasadzkę?

– Nic nie jest wykluczone, panie pułkowniku – odparła Rahimi. – Zbiliby duży kapitał polityczny na naszej nieudanej misji uwolnienia jeńców; podobnie jak było z teherańską operacją „Orli Szpon” w 1980. Im więcej ofiar, tym lepiej dla Irańczyków.

– Armia musi szybko wdrzeć się do więzienia – skwitował Stansell. – Dewa, czy wie pani coś więcej o murach?

Panna Rahimi przerzuciła notatki.

– DIA przysłała nam stereoskopowy obraz sprzed niecałego tygodnia. Mury: pięć i pół metra wysokości, półtora metra szerokości u podstawy do dziewięćdziesięciu centymetrów u góry. Beton zbrojony. W każdym narożniku wieżyczka wartownicza o nieograniczonym polu ostrzału. – Przerwała na moment. – Panie pułkowniku, nie wydaje mi się, żeby dało się przejść przez mury górą. Odnalazłam na terenie kompleksu więcej słupów telefonicznych niż widać na tym ogólnym zdjęciu. – Wskazała na fotografie wiszące na ścianach. – Na dachach zainstalowane są poszarpane stalowe wieżyczki. Atak z użyciem śmigłowców lub desant spadochronowy równałby się samobójstwu...

Rupert oparł się wygodnie i zamknął oczy. Przypomniawszy sobie sytuację sprzed tygodnia, kiedy to siedział samotnie w swojej kwaterze w Waszyngtonie. Czy naprawdę od tamtej chwili minął zaledwie tydzień?... Teraz przed oczyma wyobraźni stanęło mu znowu więzienie w Amiens, w którym gestapo trzymało w lutym 1944 bojowników francuskiego ruchu oporu. Kiedy Francuzi dowiedzieli się, że hitlerowcy zamierzają dokonać egzekucji większej części więzionych, poproszono RAF o zbombardowanie więzienia. Nie było mowy o wzięciu obiektu szturmem, ale po brytyjskim bombardowaniu powstały wyłomy w murach i ponad dwustu pięćdziesięciu więźniów uciekło... Stansell opowiedział o tym Pullmanowi

i Dewie.

– Co pan chce przez to powiedzieć, panie pułkowniku? – zapytał sierżant. – Mamy zbombardować więzienie? I może pozabijamy przy tym ludzi, których chcemy ocalić?

– Nie. Zbombardujemy tylko mury. I pošlemy dwie bomby typu Snakeye w budynek straży. Natychmiast, zanim opadnie kurz, zrzucimy spadochroniarzy, którzy wylądują na zewnątrz, a nie wewnątrz kompleksu i przebiegną przez utworzone wyłomy w murach.

– Panie pułkowniku – zaproponował Pullman – a kto potrafi tak dokładnie zrzucić bomby?

– To jest do zrobienia. Używając F-15 albo F-111 – potwierdził Locke. Stary sierżant podniósł na niego wzrok.

– Może i tak... – zgodził się. – W takim razie zbuduję makietę więzienia...

– Szefie – przerwała mu Dewa – nie ma pan czasu na zbudowanie pełnowymiarowej makiety.

Pullman odwrócił się i wyszedł. Uwielbiał wyzwania. Gdyby nie to, operacja nie byłaby gotowa na czas.

Tours, Francja

W południe na płycie lotniska pełno już było małych Francuzów, którzy odkryli Doucette'a i tłoczyli się wokół niego pod skrzydłem F-111. Contreras miał najwyraźniej niewyczerpywalny zapas wojskowych naszywek, które rozdawał dzieciakom. Podpułkownik zauważył przy nim brunetkę z baru, która służyła mu w tej chwili za tłumaczkę i szeptała coś nieustannie do ucha. Ani jeden, ani drugi Amerykanin nie zdziwili się, kiedy nadszedł pilot francuskiego mirage'a, żeby odzyskać dziewczynę.

– Oto Amerykanie i ich samoloty – powiedział, spoglądając na F-111, a potem na Doucette'a. – Są większe, ale nie lepsze. Czy to w ogóle lata, czy tylko stoi na ziemi i wygląda jak wielki mrówkojad?

– Lata!... – mruknął podpułkownik, czując, że wzbiera w nim ochota do walki. Znikało znużenie, które odczuwał tak silnie wtedy, w barze.

Kiedy Contreras usłyszał twardy ton w głosie swojego pilota, przestał koncentrować uwagę na brunetce.

– Przepraszam cię, kochanie – rzucił – ale muszę iść. Pochodnia zaraz się zajmie. – Było już jednak za późno – Doucette zgodził się właśnie na wykonanie przelotu z dużą prędkością na małej wysokości, kiedy wystartują w drogę powrotną do

Anglii.

– Pochodnia, niech pan tego nie robi – poprosił. Amerykanie stanowili dziwny duet. Na ziemi to Contreras był dziki, a Doucette zachowywał się zawsze wstrzemięźliwie, trzeźwo i odpowiedzialnie. W powietrzu role się odwracały. Ramon był prawdziwym zawodowcem, w podpułkowniku zaś budził się drapieżnik. Tylko dzięki swoim wysokim umiejętnościom i hamowaniu Contrerasa Doucette jeszcze pilotował.

– Raz lataamy i zmykamy. – Pochodnia wypowiedział swoje motto, streszczające jego pomysł na udaną misję bojową. Dla niego najważniejszym zadaniem było bombardowanie naziemnych celów. Po pojedynczym przelocie kierowali się zwykle w kierunku bazy. Nawet ćwiczebny przelot ekscytował podpułkownika, chociaż oczywiście nie równał się rzeczywistej misji bojowej. Doucette widział jednak przed sobą prawdziwego nieprzyjaciela i cel – Francuza, który obraził jego maszynę.

Oficer uzbrojenia jęknął, wątpiąc, żeby Francuz zdawał sobie sprawę z tego, jak nisko i szybko poleci podpułkownik.

– Nie zaskakuj nas, kiedy będziemy lecieć, dobrze?

– A dlaczego nie? – zaprotestował tamten, mając stanowczy zamiar zaatakowania Amerykanów, kiedy będą śmigać ponad pasem.

Po rozmowie Doucette powrócił do bawienia chłopców, podczas gdy Contreras zniknął z dziewczyną na długi lunch. Kiedy oficer uzbrojenia wrócił, Pochodnia miał już na sobie kombinezon pilota i przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem.

– Czas ruszać. Podałem plan lotu, czekamy na zezwolenie na start.

– Nie chcę tego robić!... – mruknął Ramon, kiedy zapinał pas w samolocie. Widział, że startuje właśnie kształtny Mirage 2000 o skrzydłach w układzie delta. Piętnaście minut później znaleźli się w powietrzu i oni.

Doucette oderwawszy maszynę od ziemi wciągnął podwozie i klapy, zamieniając brzydkie kaczątko w pełnego gracji łabędzia. Uważał, że stare powiedzenie na temat samolotów – jeśli dobrze wygląda, dobrze lata – odnosi się do F-111. Maszyna ta korzystnie wygląda w powietrzu. Pilot pokierował samolot na wschód, oglądając okolicę. Ramon w tym czasie studiował mapę. Wstukał do komputera krótką trasę przelotu, aby ten pokierował ich z dala od miasteczek czy wsi i ewentualnych przeszkód. Kiedy dwaj mężczyźni byli już gotowi, podpułkownik obniżył lot, ustawił dźwignią skrzydła o zmiennej geometrii pod kątem dwudziestu sześciu stopni, nastawił TFR – radar do śledzenia terenu – na sto dwadzieścia metrów, włączył automatycznego pilota i skierował się z powrotem ku lotnisku.

– Uspokój się, nie znajdzie nas tu, buszujących w zbożu – powiedział.

– Chciałbym być tego pewny – mruknął oficer uzbrojenia.

Dwadzieścia pięć kilometrów od lotniska Doucette wywołał wieżę i poprosił o zezwolenie wykonania przelotu nad pasem. Gdy nadeszło, zwiększył prędkość do tysiąca stu trzydziestu kilometrów na godzinę, cofając skrzydła. Teraz ustawił je pod kątem pięćdziesięciu czterech stopni. Dwaj mężczyźni wiercili się w fotelach, rozglądając za mirage'em.

– Będzie, będzie – odezwał się Pochodnia. – Zależy mu, żeby zrobić wrażenie na ludziach ze swojego miasta. – Kiedy przelecieli nad płotem bazy, obniżył pułap lotu do zaledwie sześćdziesięciu metrów.

– Mam go! – zawołał. – Lewa ósma, wysoko. Kieruje się na naszą szóstą.

Podpułkownik poderwał dziób maszyny, wznosząc się pod kątem sześćdziesięciu pięciu stopni. Przez cały czas wpatrywał się we francuski myśliwiec, którego pilot starał się zalecieć ich od tyłu. Doucette dał maksymalne obroty silników, uruchamiając piątą, ostatnią fazę dopalania. Dwa turbowentylatorowe silniki TF30-P-100 o sile ciągu 11250 kG każdy przepchnęły Amerykanów przez barierę dźwięku. Teraz pilot zamienił ręce na drążku sterowym – prawą sięgnął do przycisku wyrzutnika paliwa, znajdującego się na środkowym pulpicie, pomiędzy pilotem a oficerem uzbrojenia. Otworzył czerwoną klapkę osłaniającą przycisk...

– Nie! – krzyknął Contreras. Było już jednak za późno. Doucette puknął w przycisk i z wysięgnika zainstalowanego pod ogonem, pomiędzy silnikami, wytrysnęło lotnicze paliwo JP-4. Płomienie z dopalaczy zapaliły je i spod ogona F-111 wystrzelił w stronę mirage'a ponad stumetrowy strumień ognia. Ze swojego miejsca Ramon widział, jak francuski myśliwiec leci w strudze płomienia, aż wreszcie jego pilot zdołał oderwać maszynę w bok.

– O rety! Był za blisko. Chyba go pan przysmażył.

– Mam nadzieję.

Góry Kurdystanu, Irak

Carroll obserwował górski szlak niemal od świtu. Nie był pewien, po której stronie granicy się znajduje – w Iraku czy Iranie. Widać było, że szlak jest na bieżąco używany. Kurdowie wędrowali sobie wedle woli w tę i z powrotem przez granicę. Taką przynajmniej kapitan miał nadzieję. Zawzięci koczownicy walczyli z Irakiem już od wielu pokoleń, próbując stworzyć sobie niepodległą ojczyznę. I mogli pomóc Carrollowi, jeśli tylko zdoła skontaktować się z ich przywódcami.

Od czasu do czasu trzy i pół miliona Kurdów żyjących na terytorium Iranu rozpoczynało protesty, domagając się większej niezależności. Wtedy irański rząd dokonywał egzekucji kilku znaczących osób narodowości kurdyjskiej i podejmował

akcje odwetowe. Kiedy stosunki pomiędzy Irakiem i Iranem były napięte, Iran wzmacniał irackich Kurdów, posyłając im przez granicę broń i zapasy. Kurdowie nie mieli prawdziwego sprzymierzeńca we władzach ani jednego, ani drugiego kraju, ani też w Turcji.

Po przybyciu do Rezaiyeh Bill próbował skontaktować się z Kurdyjską Partią Demokratyczną. Mieszkający w mieście Kurdowie, z którymi zaczynał rozmawiać, za bardzo jednak obawiali się obcych. Bojąc się przedłużyć całą sprawę, Carroll pojechał autobusem na południe, w głąb nieokreślonego ściśle obszaru zwanego Kurdystanem. Musiał odnaleźć jakąś kurdyjską wioskę, gdzie nie będą się bać samotnego przybysza. Wsiadł z autobusu sześćdziesiąt pięć kilometrów od Rezaiyeh i ruszył autostopem na południowy zachód, w kierunku granicy irackiej. Kierowca ciężarówki, którą jechał, ostrzegł go, że we wsi Khaneh, sześć kilometrów od granicy, znajduje się duży garnizon irańskiej armii. Bill zeskoczył z samochodu, zanim natknęli się na wojskową kontrolę, i ruszył w góry.

Teraz dostrzegł na szlaku jakiś ruch, schował się więc z powrotem w krzaki. Zobaczył, że w jego kierunku podąża czterech żołnierzy. Szli po cichu, w piętnastometrowych odstępach i obserwowali uważnie drogę i krzaki, czy nie ma tam jakiejś pułapki. Dowódca zatrzymał się – akurat na wprost Carrolla – i rozkazał po arabsku żołnierzom wyszukać sobie kryjówkę koło szlaku i schować się.

Bill przyjrzał im się uważnie – to byli Irakijczycy. Ich dowódca nie przypadkiem wybrał sobie to samo miejsce co Carroll – dobrze skrywało, a jednocześnie widać było z niego drogę. Amerykanin postanowił przeczekać przybyszów.

Zapadał zmierzch, kiedy dał się słyszeć powolny stukot podków i skrzypienie skórzanej uprząży. Bill nie poruszał się. Irakijczycy byli dobrze wyszkoleni – poznał to po sposobie, w jaki schowali się w krzaki i trwali w ukryciu. Po paru przeciągających się w nieskończoność minutach ukazał się transport.

Szlakiem podążał młody mężczyzna prowadząc cztery ciężko obciążone osły. Carroll wstrzymał oddech, widząc, że podróżny zatrzymuje osły tuż koło czyhających w zasadzce żołnierzy. Mężczyzna rozejrzał się i zadowolony z miejsca, w którym się znalazł, oparł o drzewo karabin maszynowy. Spod workowatego płaszcza wyciągnął jeszcze uzi i powiesił je na gałęzi. Następnie zdjął ładunki ze zwierząt i zaczął je głaskać, sprawdzając przy tym, czy się gdzieś nie pocierały.

Przewodnik osłów był Kurdem – można to było poznać po wąsach, szerokim pasie z materiału i bufiastych spodniach, ściągniętych przy kostkach. Widać było, że zza pasa wystaje mu jeszcze sztylet i pistolet. Jak większość Kurdów, tak i ten był uzbrojony po zęby. Kiedy już osły napiły się i najadły, mężczyzna uklęknął i przystąpił do wieczornych modłów. Słychać było jego monotony śpiew:

– Allahu Akbar, Allahu Akbar. – Znaczy to: Bóg jest największy. Carroll widział, jak muzułmanin zatapia się w modlitwie, uspokaja.

Wtedy za jego plecami przesunął się cień. Bill oczekując w napięciu, rozglądał się za pozostałymi trzema żołnierzami. Irakijczyk stanął za Kurdem i uderzył go w głowę lufą karabinu, aż nieszczęśnik padł na twarz. Następnie żołdak złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę za plecami. Odezwał się rechot drugiego żołnierza, podczas gdy pierwszy kopnął swoją ofiarę w pachę. Po kolejnym kopniaku Kurd przewrócił się na plecy; wtedy Irakijczyk uderzył go butem w pierś.

Pozostała trójka wyszła z krzaków.

– Miteif – zawołał jeden do drugiego – nie zostawiłeś nam nic do roboty.

– On jeszcze żyje – odparł tamten.

Żołnierze zgromadzili się koło rozpostartego ciała. Jeden z nich nachylił się i skrępował nadgarstki i kostki Kurda plastikowymi kajdankami, wzmocnionymi nylonem. Dwaj inni zaciągnęli go do drzewa i oparli o nie. Czwarty rozpałił szybko małe ognisko. Czterej mężczyźni usadowili się wokół ognia i zadowoleni ze swojego dzieła zaczęli przygotowywać sobie wieczorny obiad.

Carroll wysunął się z kryjówki i zaczął zbliżać do ogniska. Czuł narastający gniew. Przykucnął w cieniu, dwadzieścia metrów od żołnierzy. Nie musiał czekać długo. Wkrótce jeden z Irakijczyków wstał i odszedł w ciemność. Bill popęzł za nim cicho, ściskając w lewej ręce nóż. Zobaczył sylwetkę mężczyzny załatwiającego się na wprost skały. Carroll zbliżył się jeszcze bardziej i ukrył za drzewem.

Żołnierz odwrócił się, zapinając spodnie i ruszył w stronę ogniska, prosto na przyczajonego Amerykanina. Ten uderzył go nożem prosto w szyję, łapiąc jednocześnie prawą ręką za włosy. Pociągnął ostrzem, przecinając główną arterię i opuścił umierającego na ziemię.

Następnie podszedł do drzewa, gdzie wisało uzi – pistolet maszynowy Kurda. W tej chwili szanse Carrolla były już całkiem spore.

Osy wyczuły zapach krwi i zaczęły ryczeć i tupać. Trzej mężczyźni popatrzyli na nie w zdumieniu, podczas gdy Bill zdejmował uzi z drzewa. Przykucnął za grubym pniem. Miteif wyciągnął z plecaka dwa stalowe pręty i odwrócił się do ogniska.

– Będziemy mieli dzisiaj rozrywkę – powiedział, wsadzając końce prętów w rozżarzone węgle.

– Co mu najpierw wypalisz? – spytał jeden z żołdaków. – Wąsy?

– Czemu nie? Kurdowie są tacy dumni z tego, że rosną im włosy pod nosem. A potem – może jego męskość?

– Kurdowie mają w ogóle coś takiego?

Irakijczyk zarechotali. I w tym momencie Carroll zastrzelił wszystkich trzech.

Szybko sprawdził kolejne ciała. Kiedy nachylił się nad Miteifem, ten jęknął i popatrzył na Billa. Amerykanin bez wahania dobił go.

Teraz podbiegł do Kurda. Mężczyzna żył jeszcze, był nawet przytomny. Białe, plastikowe paski krępujące jego nadgarstki zostały zaciągnięte bardzo mocno, tak że dopływ krwi do dłoni został odcięty. Zdążyły mu już spuchnąć. Carroll ostrożnie porozcinał plastik.

– Źle z tobą, przyjacielu – powiedział. – Muszę zawieźć cię do domu.

Tak oto Amerykanin nawiązał kontakt z Kurdami. A zrobił to w taki sposób, że było prawdopodobne, iż zechcą mu pomóc przy wyzwoleniu jeńców z Kermanshah.

Rozdział dwunasty

Dzień D minus 23

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Major dowodzący tego ranka ćwiczeniami „Czerwona Flaga” zjawił się w pracy przed szóstą rano. Siedział w budynku 201 i wprowadzał ostatnie poprawki do planu akcji. Na jego biurku stała tabliczka z napisem WOJOWNIK.

Usłyszał na korytarzu stukot obcasów. Sekretarz majora, młody krewki sierżant, ustawił się tak, żeby widzieć, kto też może przechodzić tędy o tak wczesnej porze. Mężczyźni zobaczyli Dewę Rahimi niosącą pudło... pączków? Miała na sobie koszulę jak z westernu, dżinsy i kowbojki. Kruczoczarne włosy związała czerwoną bandaną. Sierżant wystawił głowę na korytarz i popatrzył za nią.

– Miej litość nad ludźmi... – mruknął.

Rupert uśmiechnął się na widok wchodzącej do sekcji wywiadu Rahimi. Pracował już od ponad godziny przeglądając wiadomości, które zdążyły nadejść wieczorem.

– Zamienia się pani w kowboja? – zagadnął.

– A dlaczego nie? – odparła dziewczyna. – Jesteśmy w Las Vegas. Poza tym kocham konie; dużo jeżdżę.

– Kiedy byłem wyrostkiem, w Colorado, mieliśmy konie – powiedział pułkownik. – Wszyscy w rodzinie jeździliśmy, moje dwie młodsze siostry też.

– Może moglibyśmy od czasu do czasu wyskoczyć na przejażdżkę? – zaproponowała Dewa. Szukała okazji do rozpoczęcia prywatnej znajomości ze Stansellem. W Waszyngtonie postrzegała go tylko jako człowieka, z którym ma pracować. Teraz jednak odkryła, że czeka z radością na moment, kiedy go zobaczy.

– Wieczorem nadeszły ciekawe wiadomości – oznajmił pułkownik. – Do naszej misji wybrano rangersów z Fort Benning. Cztery plutony z dwóch kompanii Trzeciego Batalionu, Siedemdziesiąta Piąta Dywizja Piechoty. Spodziewałem się Delta Force...

– Ja także – odparła Dewa, próbując ukryć wątpliwości, jakie nagle ją naszły. Mado dawał do zrozumienia, że Task Force Alpha będzie się składać z Delta Force i herculesów Combat Talon MC-130E z Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych. Były to jednostki elitarne, szkolone bez ustanku do najtrudniejszych misji. Stansell miał za zadanie zgrać je ze sobą w celu przeprowadzenia ataku na więzienie. Coś tu

nie pasowało.

– Nie wiem zbyt wiele o rangersach – powiedziała dziewczyna, postanawiając nie wyjawiać tego, co sobie pomyślała. Przypomniało jej się teraz spotkanie z Cunninghamem i odczucia, jakie miała, kiedy wyglądało na to, że ktoś może zastąpić Stansella na stanowisku dowódcy misji. Wydawało jej się wtedy, że jego pozostanie może być niebezpieczne dla powodzenia operacji. Nikt jednak nie lubi tych, którzy przynoszą złe wieści, zwłaszcza gdy nie są potwierdzone.

– Dowiemy się, czego trzeba – zakończył pułkownik. Słysząc jednak było, że jest zaniepokojony. – Przyszła też druga wiadomość – zaobserwowano ruch w rejonie Kermanshah.

Dewa wzięła mały plik kartek i usiadła za biurkiem. Ważna wiadomość znajdowała się na wierzchu. Stansell zakreślił żółtym flamastrem drugi akapit. Rahimi uruchomiła komputer i dostała się do jednego z banków danych Defense Intelligence Agency. Podłączyła się za pomocą modemu do jednego z komputerów DIA umieszczonego w piwnicach Pentagonu. Ostatnio przewodniczący prezydium senackiej komisji do spraw wywiadu podał w wątpliwość bezpieczeństwo systemu komputerowego DIA. Sprawą zajęła się więc specjalna grupa podległa Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – zaczęli śledzić wszystkie połączenia.

Tego poniedziałkowego poranka na monitorach grupy specjalnej pojawiły się dane na temat wymiany informacji pomiędzy Dewą Rahimi a komputerem w Pentagonie. Przechwycone sygnały zostały wprowadzone do jednego z superkomputerów Cray, jakich Agencja Bezpieczeństwa Narodowego używała do łamania kodów. Po dwóch minutach komputer wybrał jeden z podprogramów i odpowiedział na serię pytań. Przewidywał, że uda mu się złamać kod za czternaście miesięcy. System był więc bezpieczny.

Tymczasem niepokój panny Rahimi pogłębiał się, w miarę jak spisywała z ekranu kolejne dane.

– Cholera – zakłęła i podeszła do wiszącej na ścianie dużej mapy zachodniej części Iranu. – Do garnizonu koło Shahabadu wjeżdża właśnie pułk pancerny. – Narysowała kółko zakreślając miasteczko położone sześćdziesiąt osiem kilometrów od Kermanshah. – W tej chwili znajdują się na odcinku szosy służącym za pas startowy, na południe od miasta.

– Co oni tam robią? Czy ma to jakiś widoczny związek z naszymi jeńcami w Kermanshah? – zapytał pułkownik.

– Baza leży na historycznym jedwabnym szlaku łączącym Teheran z Bagdadem. W związku z tym, że granica biegnie górami, każde siły inwazyjne, które zostałyby wysłane z Iraku na Kermanshah czy dalej, na Bagdad, musiałyby przejść przez tę

dolinę. To znakomite miejsce na zablokowanie takich sił. A także ewentualnej próby wyzwolenia jeńców.

– Czy zna pani skład jednostki?

– Jak dotąd donoszą jedynie o dziesięciu czołgach – radzieckich T-72. Jednak nadjedzie jeszcze artyleria przeciwlotnicza, rakiety ziemia-powietrze, transportery opancerzone...

Weszli Locke i Bryant. Jack od razu spojrzął na mapę i zapytał:

– Co znaczy to kółko wokół Shahabadu?

Rahimi zaczęła wyjaśniać. Tymczasem pojawił się szef obsługi technicznej – Pullman. Odezwał się:

– Panie pułkowniku, dowódca wścieka się na dzisiejszy przylot naszych C-130. Mówi, że nie ma miejsca na lotnisku, żeby stanęło ich aż osiem. Chce się z panem natychmiast widzieć.

Stansell pokręcił tylko głową.

– Spodziewałem się dwunastu herculesów – powiedział. – Dewa, niech pani popracuje z Jackiem i Gromem. Spróbujcie zorientować się, co to dla nas oznacza. Tymczasem szef i ja spróbujemy uspokoić górę.

Locke postawił sobie krzesło koło mapy i wysłuchał reszty opowieści panny Rahimi. Kiedy skończyła, Bryant skinął na nią i za drzwiami powiedział:

– Pozwólmy mu to przez chwilę przemyśleć. Widziałem, jak zachowywał się podobnie w Ras Assanya. Wpadnie na jakiś pomysł, znać to po nim. – Powoli wrócili do pokoju.

– Wymyśliłem coś – oznajmił Jack. Dewa popatrzyła na Murzyna w zdumieniu.

– Jaki przewiduje pani całkowity czas akcji na ziemi, w Kermanshah? – spytał.

– Jeśli transport kołowy dla jeńców będzie czekał na miejscu – mniej niż dziewięćdziesiąt minut od chwili zrzućenia pierwszej bomby. Jeżeli przywieziemy pojazdy samolotami, akcja będzie dłuższa – może potrwać około trzech godzin.

Locke przyglądał się mapie.

– Jeśli ich zaskoczemy, ten pułk pancerny nie zdąży zareagować i przejechać sześćdziesięciu ośmiu kilometrów dzielących go od Kermanshah w ciągu dziewięćdziesięciu minut. Nie wiem, co będzie w przypadku trzech godzin. Możemy jednak zwolnić ich bombardując ten most. – Pokazał na most na szosie, znajdujący się w połowie drogi między Shahabadem a Kermanshah.

Dewa poczuła niepokój. Nagle zdała sobie sprawę, że zżyła się z tymi mężczyznanami i bardzo jej na nich zależy. A przecież ledwie ich znała.

Pullman podwiózł Stansella do budynku dowództwa Centrum Myśliwców

Taktycznych.

– O jakim dowódcy pan mówił? – spytał pułkownik.

– O generale Johnie O'Brianie, szefie Centrum Myśliwców Taktycznych – wyjaśnił pierwszy sierżant.

Przybysze zostali odprowadzeni prosto do gabinetu generała. W towarzystwie O'Briana siedzieli: dowódca Pięćdziesiątego Siódmego Skrzydła Myśliwskiego oraz jego zastępca – oficer operacyjny.

– Cóż, pułkowniku – odezwał się O'Brian – wygląda na to, że zaczyna pan dysponować coraz większą częścią mojej bazy. Osiem C-130 razem z ich obsługą zajmują masę miejsca. Moi żołnierze meldują mi, że dosyć mają własnych myśliwców i tych, które przylatują na „Czerwoną Flagę”. Proszę natychmiast powiedzieć mi, co tu się, do cholery, dzieje, albo łaskawie opuścić tę bazę.

Stansell zawahał się. Dlaczego Mado nie powiedział nic O'Brianowi?

– Sir, chętnie panu wytłumaczę, ale na osobności. Nasze działania tutaj mają klauzulę tajności.

– Ci dwaj panowie widzieli już prośbę od Mado o udzielenie wsparcia Task Force Alpha – wyjaśnił generał.

– Przykro mi, sir, ale to poufna informacja...

– Zaczekajcie za drzwiami – polecił O'Brian swoim oficerom. – Stansell, lepiej będzie dla pana, jeśli to będzie coś rzeczywiście ważnego.

Pullman zamknął za wychodzącymi drzwiami.

– Panie generale, jesteśmy tu w celu zorganizowania grupy, która wyzwoli naszych jeńców z Iranu.

Generał wciągnął głęboko powietrze w płuca.

– Podlegacie Połączonej Agencji Operacji Specjalnych? Dlaczego nikt mi tego nie powiedział?

– Formujemy samodzielną jednostkę. Dopiero później zostaniemy przydzieleni pod dowództwo JSOA.

– No, to wrażenie, jakie pan na mnie zrobił, znacznie się zmniejszyło... – Surowy wyraz twarzy generała mówił sam za siebie.

Rupert pomyślał, że kiedy O'Brian usłyszy o jednostce Armii, jego sceptycyzm wzrośnie.

– Panie generale – powiedział – planowałem zorganizowanie całej operacji na jednym z tutejszych wyschniętych jezior. Kontyngent, większa część naszych ludzi oraz C-130 będą startować stamtąd. Nellis wykorzystywalibyśmy tylko w celach pomocniczych.

Pullman napiął się słysząc te słowa, wiedział bowiem, na czyich barkach

spoczęłyby odpowiedzialność za zorganizowanie wszystkiego. O'Brian zabębnił palcami w biurko.

– Kiedy?

– Najpóźniej jutro.

Generał podszedł do ściennej mapy Centrum Myśliwców Taktycznych. Nellis to duża baza; jeśli wliczyć do jej powierzchni także poligony bombowe i naziemne, generał dysponował częścią południowej Nevady równającą się mniej więcej obszarowi Szwajcarii.

– Przydzielam wam Delamar Lake – powiedział. – Dla celów „Czerwonej Flagi” zmieniliśmy jego nazwę na Texas Lake. To dno wyschniętego jeziora leżące sto dwadzieścia kilometrów na północ stąd. Wykorzystujemy je do operacji z udziałem C-130. Będziecie udawać zwykłą grupę przeprowadzającą ćwiczenia. Spróbuję was kryć, jednak będę musiał polecić, żeby Biuro Dochodzeń Specjalnych śledziło, czy ktoś nie interesuje się tym, co robicie... Kiedy przyleci Delta Force?

Niech to licho – pomyślał Pullman – ten siwy lis pamięta o wszystkim.

– Dostaliśmy rangersów; zamierzam sprowadzić ich jutro, a najpóźniej w środę.

– Stansell, kiedy zdecyduje się pan, gdzie zbudujecie makietę celu, zawiadomcie mnie. Potrzebne wam będą sieci maskujące, żeby Rosjanie nie wysledzili wszystkiego przy użyciu satelitów. A pan, Mort, niech zapyta na drugi raz, kiedy będą wam potrzebne przyczepy... – Generał przeszył zdumionego Pullmana zimnym wzrokiem.

– Pogadam z moimi ludźmi. A teraz wynoście się stąd. Wasze herculesy lądują za trzydzieści minut.

Kiedy Stansell i Pullman wyszli z gabinetu generała, Rupert zapytał:

– Sierzancie, dlaczego mi pan nie powiedział, że go zna?

– Nie myślałem, że to ma znaczenie... Uratowałem mu kiedyś tyłek, kiedy był jeszcze podporucznikiem. Był wtedy odpowiedzialny za dużą dostawę sprzętu podczas ćwiczeń i skradziono kosztowne urządzenia. Odnalazłem je. – Pullman chciał zmienić temat, zanim pułkownik zacznie zadawać następne pytania. Sierżant musiał bowiem pobić pewnego pilota prawie do nieprzytomności, zanim dowiedział się, gdzie został ukryty skradziony sprzęt. – Co zamierza pan zrobić z C-130? – zapytał.

– Zobaczyć, w jakim są stanie i wykorzystać do przewiezienia cennego ładunku.

Podpułkownik Paul Mallard, zwany „Kaczką”, wszedł za resztą pięcioosobowej załogi herculesa do sali odpraw „Czerwonej Flagi”. Był tu już podczas pierwszych ćwiczeń, które odbyły się w 1985 roku. Dziwne, pomyślał. Zazwyczaj jednostka

dowiaduje się na parę miesięcy wcześniej, że weźmie udział w manewrach. Rozejrzał się po sali. Na ścianach wisały tabliczki, flagi i inne pamiątki po poprzednich ćwiczeniach. Na sali siedziało już siedem załóg pozostałych C-130. Cała czterdziestka, którą Mallard dowodził, przybyła na miejsce.

Podpułkownik usiadł koło swojego nawigatora, kapitana Percy'ego Dunkina. Wysoki, chudy nawigator zdążył już zasnąć. Prawdopodobnie nie wyleczył jeszcze kaca.

– Sala, baaczność! – zawołał z tyłu Pullman, podczas gdy wkraczał Stansell. Wszyscy – poza Dunkinem – zerwali się z miejsc. Mallard nie chciał mu przeszkadzać.

Rupert oznajmił Kaczce i jego ludziom, że potrzebuje ochotników do trudnej i ryzykownej operacji. Będzie ona oznaczała niebezpieczne przeloty na małej wysokości, zrzucanie spadochroniarzy i lądowanie na krótkim pasie. Mogą być ofiary w ludziach. Mallard odpowiedział za całe swoje 463. Skrzydło: wszyscy się zgłaszają.

– To dobrze. Staliście się niniejszym członkami Task Force Alpha. Zaczynamy od tej chwili. Za godzinę wystartujecie stąd i przeleciecie na małej wysokości nad wyschnięte jezioro, bez uprzedniego oglądania go. Traficie tam z dokładnością plus – minus jedna minuta, zrzucicie pozorowany ładunek na panele, które tam będą leżeć, i wylądujecie jak najszybciej na jeziorze. Po wylądowaniu dostaniecie rozkaz startu do drugiej misji. Kapitan Jack Locke przedstawi wam trasę lotu i cel.

Drugi pilot samolotu Mallarda, podporucznik Don Larson gapił się na Locke'a jak oniemiały. Niemal wykręcił sobie głowę, kiedy skojarzył coś i odwrócił się za wychodzącym Stansellem.

– Panie pułkowniku – powiedział – zakładam się o moją piękną czarną dupę, że to coś ważnego. Stansell to ten pułkownik, który uciekł z Ras Assanya, a Locke był Top Gunem z Czterdziestego Piątego. To gra o puchar Ameryki.

– Może się nawet zdarzyć, że odstrzelą ci tę twoją „piękną czarną dupę” – skomentował Mallard. Zaczął dawać kuksańce Dunkinowi, aż ten się obudził.

Czterdzieści pięć minut później dowódca ładowni samolotu Mallarda dawał mu znak, żeby zapuszczał silnik numer trzy. Dunkin, nachylony nad stołem nawigatora, rozpracowywał jeszcze mapę. Mój nawigator jest najwyższym trollem na świecie, myślał sobie podpułkownik. Nie dość, że to alkoholik, to jeszcze chodzi jak dzwonnik z Notre Dame. Przypomniał sobie także, że kapitan Percy Dunkin, zwany „Pijakiem”, był być może najlepszym nawigatorem grupy samolotów w całych Siłach Powietrznych.

Kiedy Locke zakończył odprawę, na płycie lotniska, obok śmigłowca UH-1F,

czekał już na niego Pullman. Kapitan ze zdumieniem usłyszał od szefa obsługi, że śmigłowiec zawiezie ich do Texas Lake.

– Niech pan lepiej nie pyta, panie kapitanie – skwitował Pullman. – Jak inaczej mielibyśmy dostać się tam przed herkami i wystawić te panele? – Rzucił do kabiny zwinięty w kłęb spadochron i worek metalowych „szpilek” i wsiadł. – Pospieszmy się, mamy co robić.

Śmigłowiec wystartował i skierował się nad wyschnięte jezioro. Pierwszy sierżant rozłożył mapę o podziałce 1:50000 i pokazał zaznaczony na dnie jeziora punkt. Musiał krzyczeć, żeby było słychać, co mówi.

– W tym miejscu kapitan Bryant polecił rozłożyć panele. Dał nam spadochron do pocięcia i powiedział, żeby ułożyć z jego kawałków duży krzyż. – Kiedy dolecieli na miejsce i wylądowali, Locke stuknął pilota w ramię i pokazał na południowy kraniec jeziora.

– Co jest?! – zawołał Pullman.

– Pan pułkownik kazał ich wykiwać! – krzyknął kapitan, podczas gdy śmigłowiec już się wznosił. – Spodziewał się herculesów z Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych. Jest niezłe wkurzony.

Dunkin stał za fotelem drugiego pilota, ściskając w ręku mapę; drugą ręką trzymał się mocno oparcia. Z jego szyi zwisały dwa stopery; na głowie miał założoną daszką do tyłu starą, żółtą baseballową czapkę. Mawiał, że przynosi mu ona szczęście.

– Gdzie, u licha, jest to jezioro? – krzyknął Mallard przez interkom.

– Za następnym grzbietem. Niech mi pan ufa – odparł nawigator. – Jesteśmy na czas. – Ich maszyna leciała pierwsza w szeregu herculesów rozciągającym się na pięć minut lotu. – Kiedy przelecimy nad tym pasmem, które widać, niech pan wypoziomuje, schodząc na czterysta dziesięć metrów, jak do zrzutu spadochroniarzy. Panele będą na wprost. Dowódca ładowni – uwaga, sześć minut.

– Potwierdzam. Kontrola sześciu minut zakończona – odpowiedział pierwszy sierżant Glen Moore. Podniósł już wrota nad tylną rampą ładunkową i przygotował ważącą siedemdziesiąt kilogramów beczkę betonu, uczeponą do spadochronu typu T-10. Kiedy przeleczą nad grzbietem, opuści rampę do pozycji poziomej.

Dunkin ścisnął teraz oparcie fotela drugiego pilota obiema rękami. Pasma wzgórz zbliżało się.

– W górę... teraz!

Mallard przerzucił maszynę ponad pasmem, zwalniając w najwyższym punkcie z czterystu pięćdziesięciu do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Kiedy

oczom lotników ukazało się jezioro, nawigator zawołał:

– Te sukinsyny rozłożyły panele nie na tym końcu jeziora! Przerwać zrzut, okrążamy na południe, do drugiego podejścia.

– Potwierdzam, przerwać zrzut – odpowiedział Moore. Stary sierżant nigdy nie wyglądał na poruszonego.

Dunkin przełączył swoje słuchawki z interkomu na radio. Popatrzył na przesuujące się pod spodem dno jeziora i wcisnął guzik nadawania.

– Lot Jazgarz, Jazgarz Jeden Jeden przerywa pierwszy zrzut. Panele leżą na południowym krańcu jeziora. Nowe współrzędne celu... – Popatrzył na mapę. – 8150,3080. Niech zachodni kraniec jeziora będzie punktem koordynacji czasowej. – Przerwał na moment, po czym podał następne osiem cyfr. – Kaczka, niech pan odwróci kurs i zawróci za ostatnim Charliem. Dokonamy zrzutu po nim.

– Cholera, Dunk, powinniśmy zapomnieć o zrzucie i lądować! – zawołał Mallard, myśląc o założonym czasie osiągnięcia celu.

– Nie, wystarczy, że wszyscy skręcą w prawo na ostatni odcinek lotu i obliczą nowy moment zrzutu. Stracą tylko po parę sekund, więc zdążą. Nic poza tym się nie zmienia. A my polecimy jako ostatni – wyjaśnił nawigator. Sięgnął do torby i wyciągnął pewien gadżet, który przyszykował sobie na podobne, awaryjne okazje...

Locke stał obok śmigłowca i prowadził nasłuch częstotliwości, na której rozmawiały załogi herculesów. Zobaczył, że pierwszy z nich zawraca z powrotem na zachód.

– Zdaje się, że numer jeden przerywa misję – powiedział Pullmanowi.

Drugi C-130 wyskoczył zza wzgórz, oświetlony od tyłu słońcem, niczym jakiś dziwny pterodaktyl. Wyrównał lot i skierował się prosto ku krzyżowi z kawałków spadochronu. Od rampy pod ogonem transportowca oderwało się coś małego; po chwili otworzył się spadochron i beczka zawahała się w tę i z powrotem, aż wreszcie spadła na twarde podłoże.

– Za krótko o jakieś siedemdziesiąt metrów – ocenił pierwszy sierżant. – To dobrze, jak na tego typu zrzut.

Kolejne C-130 pojawiały się w równych odstępach i zrzucały ładunki. Locke słyszał w radiu, że każda z załóg przekazywała podążającym w tyle kolegom informacje na temat wiatru. Większość zrzutów zmieściła się w promieniu stu metrów od wyznaczonego punktu. W końcu pojawił się ponownie pierwszy hercules. Wyskoczył znad wzgórz trochę bardziej na północ niż inni.

– Nie jest na dobrym kursie, leci za nisko – powiedział Locke, spodziewając się, że wielka maszyna skręci na południe. Tymczasem pilot kierował się prosto na śmigłowiec. Zrzucił beczkę betonu, jej spadochron rozłożył się.

– Trafi nas! – krzyknął pilot śmigłowca. Trzej mężczyźni rozpierzchli się. Ciężki ładunek kiwnął się w powietrzu i uderzył w ziemię sześć metrów od śmigłowca. Spadochron opadł na łopaty wirnika.

– Spartolili równo ten zrzut! – krzyknął Locke. Pullman pokręcił głową.

– Nie, panie kapitanie; chcieli nam coś pokazać. Może i nie są z tej jednostki, której oczekiwał nasz pułkownik, ale są dobrzy.

Pierwszy z herculesów, które dokonały zrzutu, okrążał miejsce lądowania i usiadł po krótkim podejściu, zadzierając wysoko dziób. Pilot opuścił gwałtownie przednią część kadłuba i dodał gazu ustawivszy wsteczny ciąg śmigieł, wywołując małą burzę piaskową. Olbrzym obwieścił o swoim przybyciu rykiem i potężnym oddechem.

– Czy chce pan odprowadzić ich na miejsce postoju? – zapytał pilot śmigłowca.

– Nie. Zobaczmy, jak sobie sami poradzą – odpowiedział Locke.

C-130, zakończywszy lądowanie, kołował w stronę śmigłowca. Pilot odegrał na silnikach melodię, zmieniając skokowo ich obroty. Maszyna zatrzymała się, otworzyły się drzwi załogi i po trzech wbudowanych w nie schodkach zbiegła postać o włosach sięgających do ramion. Drzwi zamknęły się, a kobieta nakierowała pilota na miejsce w sąsiedztwie śmigłowca, po czym dała mu znak, żeby uruchomił hamulce i wyłączył silniki.

Pilot – także kobieta – zszedł z samolotu i zbliżył się do oczekujących mężczyzn.

– Zdaje się, że pierwszego zrzutu dokonały panie – stwierdził Pullman.

Pani kapitan, która dowodziła C-130, była odrobinę wyższa od Locke'a. Nazywała się, jak głosiła tabliczka na jej piersi, Lydia Kowalski.

– Nieładnie, panie kapitanie, tak przesuwac panele – powiedziała. – Macie dla nas jeszcze jakieś przykre niespodzianki?

Jack wzruszył ramionami.

– Zwykle wożenie ładunków – odparł. – Wysyłamy większość z was do bazy Elgin po zestaw „Żniwny Orzeł”. Macie wrócić jutro. W środę polecicie wszyscy do Fort Benning po oddział Armii USA i ich sprzęt.

– Co to jest zestaw „Żniwny Orzeł”? – zapytała kapitan.

– Miasteczko namiotowe – wyjaśnił Pullman. – Będziemy tu obozować przez jakiś czas. – Nie dodał, że obozowanie będzie całkiem miłe w porównaniu z tym, co ich spotka w Iranie...

Po przekazaniu załóg C-130 Locke'owi i wyjaśnieniu Bryantowi, co ma robić dalej, Stansell skierował się do biura Rahimi. Miał zaciętą minę. Musiał przepychać się pomiędzy tłoczącymi się na korytarzach budynku 201 uczestnikami „Czerwonej

Flagi”.

– Hej, panie pułkowniku! – zawołał jakiś znajomy głos. Należał on do „Węża” Housermana z bazy Luke. – Nie wiedziałem, że pan jest tutaj. – Wąż wystawił zza futryny swoją chudą twarz. W zależności od sytuacji Houserman wyglądał albo jak elf, albo jak demon.

– Ja w tym nie biorę udziału. Jestem koordynatorem – odpowiedział Rupert.

– O, nie! – roześmiał się Wąż, przybierając niewinny wygląd. – Jeszcze jeden Wojownik! – Zniknął z powrotem w sali odpraw.

Na drzwiach sekcji wywiadu widniał napis: OTWARTE, ale nie było to prawdą. W dodatku zmieniono kombinację cyfrowego zamka, do otwarcia którego potrzebne były cztery klucze. Stansell wcisnął więc guzik domofonu i poczekał, aż Rahimi otworzy od środka. Była sama.

– Co za zgraja, panie pułkowniku! – zagderała. – Musiałam zmienić szyfr, żeby trochę popracować w spokoju. Zna pan niejakiego kapitana Housermana? Ten to nie traci czasu.

– Dam mu popalić, jeśli pani zawraca głowę.

– Poradzę sobie. Jak poszła odprawa?

– Niepokoję się – przyznał pułkownik. Nalał sobie kawy i ruszył za Dewą do jej pokoju. Dziewczyna przysiadła na jednym końcu kanapy, Rupert na drugim i opowiedział o spotkaniu z generałem O’Brianem, a także z załogami herculesów.

– To bez sensu – powiedział. – Powinniśmy pracować z Delta Force i Combat Talon C-130 z Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych.

– Dlaczego koniecznie Combat Talon C-130?

– Ich załogi ćwiczą głęboką penetrację terytorium nieprzyjaciela, czyli to, co nas czeka. Samoloty są specjalnie wyposażone – mają radary do śledzenia terenu, nowoczesne systemy nawigacji bezwładnościowej, komputery do precyzyjnej nawigacji i zrzutów. Nie mówiąc już o mocniejszych silnikach, opancerzeniu, urządzeniach do zagłuszania...

Dewa wstała i ruszyła do swojego biurka, podczas gdy pułkownik gapił się w podłogę, sfrustrowany. Młoda kobieta usiadła przy komputerze i zaczęła stukać w klawisze.

– Zobaczmy, czy zdołam sprawdzić, co robią teraz maszyny Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych – powiedziała. – Jak dotąd, nic z tego – stwierdziła po chwili. – Nie mam dostępu do informacji o zmianach miejsc stacjonowania samolotów. Któremu dowództwu podlega ta jednostka i gdzie stacjonuje normalnie?

– Dowództwu Transportu Powietrznego, Dwudziesta Trzecia Dywizja Powietrzna, Hulburt Field.

Rahimi zabębniła w klawiaturę.

– Mam. Połączyłam się z komputerem zarządzania sprzętem w Hulburt. Biurokraci to wspaniali ludzie. Odnotowują wszystko. Zobaczmy, co sekcja zarządzania sprzętem w Hulburt pisze o swoich maszynach. – Popatrzyła na ekran. – Co to jest „UE”?

– „Unit Equipment” – „sprzęt jednostki”. Chodzi o liczbę samolotów posiadanych przez daną jednostkę.

– Panie pułkowniku, wszystkie C-130 Pierwszego Skrzydła znajdują się w bazie, poza dwoma. Powiedziałabym, że nie są niczym zajęci.

– Powinny być tutaj! – warknął Stansell. – Nie otrzymujemy ludzi ani sprzętu, który nam obiecano.

Dewa słyszała niepokój w głosie pułkownika. On tak bardzo chce poprowadzić misję..., zauważyła. Nie chciała powiedzieć mu tego, czego się domyślała. Jako wyszkolony analityk wywiadu potrafiła brać pod uwagę wszelkie dane, zarówno na temat nieprzyjaciela, jak i sytuacji własnej, pomyślne i niepomyślne. Wyciągnęła z nich jedyny nasuwający się logicznie wniosek. Miała obowiązek zameldować o nim Stansellowi, choć wiedziała, że będzie on dla pułkownika bolesny.

– Rupe – powiedziała, starając się przybrać jak najbardziej współczujący ton – do naszych zadań należy także oszukiwanie nieprzyjaciela... Wygląda na to, że pan nie będzie wyzwalał jeńców.

Pułkownik popatrzył na nią w zdumieniu.

– Task Force Alpha to operacja pozorowana – wyjaśniła. – Przykrywka dla prawdziwej misji. Mamy odwrócić uwagę wroga.

Akurat, pomyślał Stansell. Może i kazali Cunninghamowi bawić się w coś takiego, ale pułkownik nie wierzył, żeby szef sztabu Sił Powietrznych pozwolił jego Task Force Alpha zmarnować się.

Kermanshah, Iran

Mary Hauser siedziała w popękanej wannie i myła włosy. Miała nadzieję, że mydło, które jej dali, jest wystarczająco ostre, żeby pozabijać wszy. Nie mogła w to uwierzyć – od chwili odjazdu generała nie była jeszcze przesłuchiwana, polepszyło się jedzenie, a nawet pozwolili jej się wykąpać. Albo przygotowują się do wypuszczenia nas – czy to możliwe? – albo też na inspekcję kogoś bardzo ważnego, pomyślała. Zanurzyła się w letniej wodzie, żeby się oplukać. Kiedy sięgała po stary ręcznik, jaki zostawił jej strażnik, który zabrał ubranie, drzwi otworzyły się i stanął w nich Mokhtari, trzymając ciemny koc. Za nim stało dwóch wartowników.

– Załóż to. Już. – To nie był koc, tylko szata, w jakie owijały się wszystkie Iranki.

Kapitan wyprostowała się i wytarła, Irańczycy i tak widzieli ją już naga. Próbowala nie przejmować się tym, że szata irańskiej kobiety symbolizowała dla niej podległość mężczyznom. Jeśli chce się przetrwać, nie można zbyt wiele zastanawiać się nad tego rodzaju rzeczami.

– Chcę założyć z powrotem mój mundur – powiedziała, narzucając jednak szorstki materiał na gołe ciało.

– Zawój – warknął Mokhtari.

Kapitan założyła kaptur i osłoniła sobie twarz. Dwaj żołnierze wysunęli się zza pleców dowódcy i wyprowadzili ją z łazienki. Zaciągnęli ją po schodach w dół, w stronę celi. Mokhtari skręcił jednak do sali przesłuchań i jego podwładni wepchnęli tam Hauser. Naczelnik więzienia usiadł za biurkiem. Jeden z wartowników ściągnął z Mary szatę.

Mokhtari zamiast na nią, patrzył w kąt pomieszczenia. Hauser również skierowała tam swój wzrok i zobaczyła mężczyznę, którego brudna koszula ledwie opinała potężną pierś i nie mniejszy brzuch. Miał masywne ramiona i wielkie dłonie, które zaciskały się w pięści, podczas gdy się jej przyglądał. Miał rozpięte spodnie, był bosy.

– To jeden z moich byłych więźniów – wyjaśnił Mokhtari. – Nauczył się robić to, co mu powiem. – Następnie przemówił do mężczyzny w farsy. Ten obnażył się, po czym, na oczach Mokhtariego szarpnął Mary Hauser, oparł ją o biurko i przystąpił do wykonywania rozkazu.

Rozdział trzynasty

Dzień D minus 22

Północno-zachodni Irak

Carroll wprowadził małą karawanę do górskiego obozowiska Pesh Merga. Uważał, żeby nie skrywać rąk. Dostrzegł opartą o ścianę chaty kobietę, której twarz pokryta była ranami.

– To od irackiego gazu bojowego – wyjaśnił Mustafa Sindi w kirmanji – języku Kurdów. – To jedna z tych, którzy mieli szczęście. – Sindi jechał na pierwszym z osłów. Po ciężkim pobiciu przez Irakijczyka nie chodził jeszcze dobrze.

Carroll prosił Sindiego o posługiwanie się ojczystym językiem, żeby sam mógł nauczyć się rozmawiać z Kurdami. Carroll miał zdolności do języków, a podobieństwa pomiędzy kirmanji, farsi i arabskim były dla niego na tyle duże, że szybko nauczył się podstaw kurdyjskiej mowy.

– Czy macie tu lekarza? – zapytał. – Potrzebna ci fachowa opieka. – Zdażył już polubić Mustafę, który nieustannie gadał i w ogóle się nie skarżył.

– Tak. To moja kuzynka, Zakia. Jedyna kobieta lekarz w Kurdystanie. – Sindi tłumaczył Amerykaninowi wszystko, na znak, że mu ufa. – Była tu, kiedy wychodziłem z wioski, chociaż często wyprawia się z żołnierzami.

Tymczasowa wioska stanowiła bazę dla Pesh Merga – kurdyjskich patriotów, walczących na terenie Iraku o niepodległość swojego kraju. W obozowisku pełno było kobiet i dzieci uchodźców, którzy opuścili swoje siedziby po powtarzających się irackich atakach, oraz – miejscowych. Poza nimi widać było jedynie kilku starców. W całej wiosce Carroll nie spostrzegł ani jednego młodego mężczyzny.

– Tam – Sindi wskazał na chatę z nie wypalanej gliny. W wejściu pojawiła się trzydziestokilkuletnia kobieta. Oparła się o framugę i skrzyżowała ręce. Czekwała bez słowa. Miała na sobie wojskowe spodnie i buty oraz obcisłą koszulkę, ciemne włosy upięła wysoko. Amerykanin pomyślał, że dostrzega rodzinne podobieństwo pomiędzy nią a Mustafą.

– Zakia – westchnął Sindi, kiedy Carroll pomógł mu zsiąść z osła. Kobieta przyjrzała się Billowi, po czym rzuciła do niego:

– Zaczekaj. – Wprowadziła swojego młodszego kuzyna do środka.

Amerykanin spętał osły i usiadł, opierając się o ścianę. W ciepłych promieniach

słońca szybko zapadł w drzemkę.

Obudził się, trącany koniuszkiem wojskowego buta. Zobaczył stojącą nad nim Zakię.

– Mustafa opowiedział mi, jak go ocaliłeś – odezwała się głosem, który miał w sobie coś lirycznego. – Dziękuję ci. – Nie uśmiechała się jednak. – Mój kuzyn ufa ci, ale jest bardzo młody i naiwny. W tym kraju niebezpiecznie jest ufać obcym.

Carroll poszukał w języku kirmanji właściwych słów.

– Jeśli dacie mi szansę, udowodnię, że nie jestem wrogiem. – Myślał nad tym, co mówi, nie chcąc być źle zrozumianym. – Uratowałem Mustafę, ponieważ starałem się skontaktować z Pesh Merga.

– Po co?

Mógł jej to powiedzieć.

– Chcę uwolnić jeńców, których Irańczycy trzymają w Kermanshah, i potrzebna mi pomoc. Wasza pomoc.

– Amerykanin potrzebuje naszej pomocy? – powtórzyła kobieta. Odwróciła się i podeszła do chaty.

– Dajcie mi szansę. Popatrzyła na niego znowu.

– To nie mnie będziesz musiał przekonać, tylko Mullę Haqui. A on nienawidzi wszystkich obcokrajowców, a już szczególnie Amerykanów. – Zniknęła w lepiance.

Kermanshah, Iran

Pułkownik Clayton Leason wyglądał przez okno celi i liczył wartowników w wieżyczkach. Odległość była zbyt duża, żeby mógł widzieć ich twarze; będzie więc próbował identyfikować każdego z nich po sposobie poruszania się i zwyczajach. Leason polecił wszystkim jeńcom zbierać informacje o wartownikach – jak przebiega ich służba, co robią, co lubią. Wszystkie te wiadomości będą przekazywane komisji do spraw ucieczki. Pułkownik wymyślił, jak ją odizolować, żeby nikt nie wykrył, co zamierzają. Nawet gdyby Mokhtari zdołał go złamać, sam Clayton nie wiedziałby, kto jest w komisji ani jakie ma ona plany.

– Doktorze, czemu właściwie wstąpił pan do Sił Powietrznych? – zapytał Leason.

– Chyba byłem znudzony pracą – odpowiedział podpułkownik Jeff Landis. – Zmęczyło mnie zagłębienie w gardła, leczenie przeziębienia, grypy, od czasu do czasu trypra. – Leason skinął głową. Jeffowi powracało poczucie humoru. Znaczyło to, że dochodzi już do siebie po ostatnim pobiciu przez strażników.

– Jednym z moich pacjentów był pierwszy sierżant pracujący w miejscowej komendzie uzupełnień – powiedział doktor. – To on mnie zwerbował. Tak czy owak,

zaczynałem obawiać się, że dziadzieję. Wraz z każdym kolejnym przypadkiem kokluszki ukazującym się w drzwiach gabinetu myśl o tym, że mogę siedzieć w tylnym fotelu myśliwca, była coraz bardziej ekscytująca. Podpisałem więc dwuletni kontrakt.

– Trudno pana winić za to, że pan żałuje. Nie po tym wszystkim...

– Ależ ja uwielbiałem służbę w Siłach Powietrznych, latanie w F-4. Poznałem większość najwspanialszych ludzi, jakich do tej pory spotkałem.

Dwaj mężczyźni zamilkli, usłyszawszy kaszlnięcie, po którym nastąpiły dwa kolejne, szybkie. Był to sygnał, że przekazują jakąś wiadomość. Przycisnęli więc uszy do ściany i nasłuchiwali cichego pukania, zbliżającego się stopniowo do ich celi.

– Coś o Espinozie – powiedział Leason. Doktor podniósł palec do ust.

– Chyba ma zapalenie płuc. Clay, gdybym mógł się do niego dostać, może zdołałbym go ocalić, a przynajmniej ulżyć jego cierpieniom.

– Spróbuję przekonać Mokhtariego, ale niech pan nie spodziewa się niczego. – Leason zdał Landisowi dowództwo. – Dowodzi pan do czasu mojego powrotu.

– Teraz moja kolej – odparł tamten. – Niech pan pozwoli mi iść do niego.

– Doktorze, on jest naprawdę brutalny.

– Na nic się nie zdam, siedząc w tej celi. Spróbuję zawrzeć z nim układ. Jeśli pozwoli mi leczyć naszych ludzi, będę leczył także jego strażników.

– To może zostać zakwalifikowane jako kolaboracja...

– Nie myślę o kolaboracji. Mógłbym otworzyć w ten sposób kanał informacyjny i zdobywać wiadomości o świecie zewnętrznym. Nie może pan brać całego ryzyka na siebie; poza tym nie jest pan w lepszej formie niż ja. Ofiarowanie moich usług za zdrowie czy życie pańskich żołnierzy to nie jest kolaboracja.

– Zniesie pan trzy albo cztery doby w Pudełku?

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Mary Hauser skuliła się w kącie celi, ściskając kolana. Od czasu do czasu kołysała się w tył i w przód. W końcu wyprostowała się i usiadła na krawędzi pryczy, słysząc głuchoe odgłosy wypełnionego piaskiem gumowego węża, uderzającego o ludzkie ciało. Dobiegały z sali przesłuchań. Słysząc było wściekły głos Mokhtariego. Nie zamknęli drzwi na korytarz.

– Więźniowie nie porozumiewają się ze sobą; milczenie to reguła numer jeden! – wrzeszczał Irańczyk.

– Jestem lekarzem, panie komendancie.

W odpowiedzi odezwały się cichsze, ostrzejsze odgłosy. Oprawcy używali teraz pięści.

- Kto ci powiedział, że ten więzień umiera na zapalenie płuc?! – darł się Mokhtari.
- Amnesty International!

To był głos doktora Landisa. Mój Boże, Amnesty International. Czy ten naczelnik więzienia mógł przejmować się czymś takim?

Bicie skończyło się wreszcie. Rozległy się teraz ciche głosy mężczyzn rozmawiających w farsy. Słyszeć ich było zbyt cicho i niewyraźnie, żeby dało się rozpoznać jakiegokolwiek znajome słowo, dobiegał ją jedynie ogólny ton rozmowy. W korytarzu rozległy się kroki. Otworzyły się drzwi sąsiedniej celi i strażnicy rzucili na ziemię czyjeś ciało – zapewne doktora. Kroki oddaliły się.

Przez trzy godziny Hauser nasłuchiwała z uchem przy ścianie. Od czasu do czasu rozlegał się tylko świst łapanego z trudem w płuca powietrza. W końcu rozległo się słabe pukanie. Był to ten sam kod, którego nauczono ją w szkole przeżycia w Bazie Sił Powietrznych Fairchild, w Waszyngtonie. Po kilku chwilach zrozumiała, o jakie litery chodzi. Ogarnął ją lęk i zrobiło jej się niedobrze, kiedy odszyfrowała „W-H-O-R”. *Whore?* Dziwka? To Mokhtari dalej ją gnębił? Wtedy nadeszła jeszcze litera „U”. „W-H-O-R-U”. To bez sensu.

– Och, *who are you?* Kim jesteś?

„R-U-O-K” – odstukała. *Are you OK?* Nic ci nie jest?

„ZŁAMANE ŻEBRA LANDIS”.

„HAUSER” – podała swoje nazwisko.

Nadszedł kolejny komunikat:

„JAK JEDZENIE”.

To był doktor Landis, a nie zastawiona przez Mokhtariego pułapka.

Stukali tak do siebie do czasu, aż na korytarzu rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się i zajrzał strażnik. Podał Mary plastikową miskę i łyżkę. Kapitan popatrzyła na niego w zdumieniu, nie dowierzając własnym oczom. Miska była pełna, a jej nieokreśloną bliżej zawartość zwieńczono dużą pajdą chleba. Mężczyzna z obojętną miną zapalił światło, przerywając ciemność, w której Hauser żyła. Kiedy drzwi się zamknęły, Mary zmusiła się, żeby jeść powoli, a nie rzucić się na jedzenie jak wygłodniały wilk.

Ogarnęło ją nowe uczucie. Wiedziała, że jest niebezpieczne, jednak pozwoliła sobie na nie. Po raz pierwszy od niepamiętnego już czasu pomyślała sobie, że być może przeżyje.

Lotnisko międzynarodowe Dulles, stan Virginia

– Nasir, to ten – odezwał się Hasan Zaidan pokazując palcem Stansella, który

oddzielił się od grupy ludzi, jacy wyszli po schodkach z samolotu na lotnisku międzynarodowym Dulles. Telefon, który dał znać dwóm agentom Dżihadu, że Stansell ma tego dnia przylecieć do Dulles z Las Vegas, nie wyjaśniał niczego więcej. Rozmówca powiedział tylko tyle.

Nasir Askari ściągnął przeciwsłoneczne okulary i zaczął zastanawiać się nad następnym ruchem. Miał rację, że należy obserwować przylatujących z St. Louis i Chicago, gdzie przesiadała się większość pasażerów z Las Vegas. Jego partner, Hasan Zaidan, chciał natychmiast ruszać, zbyt niecierpliwy, żeby czekać na pojawienie się Stansella. Nasir wątpił, czy Hasan jest w stanie zrozumieć, a tym bardziej zdać sobie sprawę ze znaczenia tego, czego domagał się od nich ich „opiekun” z ambasady albańskiej. Musieli szybko dopaść swój cel, bo inaczej znikną fundusze, które pozwalały im działać. W gruncie rzeczy zazdrościł Hasanowi prostego podejścia do wszelkich problemów – działać, w ogóle nie myśleć.

Rupert skierował się tymczasem do wypożyczalni samochodów, oceniając, że w ten sposób najszybciej dostanie się do Pentagonu leżącego czterdzieści kilometrów na wschód od Dulles. Spojrzał na zegarek. O dziewiątej rano we wtorek nie spodziewał się zbyt dużego ruchu. Był zdeterminowany rozmówić się szczerze z Mado, a jeśli zajdzie potrzeba, to i z samym Cunninghamem, w sprawie Task Force Alpha. Pułkownik czuł, że został wykorzystany. Aż kipiał z wściekłości, kiedy myślał o poświęceniach, na jakie zdecydowali się Grom, Jack i Pullman, żeby do niego dołączyć.

Powiesił torbę na prawym ramieniu i ruszył przez rzadniejący tłumek. W torbie, w dużej, zapieczętowanej kopercie znajdował się kompletny plan operacyjny.

– Rupe – odezwał się ktoś familiarnie.

Słyszając swoje imię w zdrobniającej formie, pułkownik przystanął. Może kogoś po niego wysłano. Nie zobaczył jednak żadnej znajomej twarzy ani też lotniczego munduru. Poprawił więc torbę i ruszył szybko dalej. Nagle za lewą rękę, tuż nad łokciem, złapała go czyjaś szorstka dłoń.

– Idź dalej – powiedział ktoś źle akcentowaną angielszczyzną.

Pułkownik zaryzykował szybkie spojrzenie w lewo i zobaczył twarz Hasana. Arab był wyższy od Stansella o jakieś siedem centymetrów i cięższy o jakieś dwadzieścia pięć kilo. Ścisnął Ruperta tak mocno, że lewe przedramię zaczęło mu drętwieć. Lewa dłoń Hasana odsłoniła na chwilę połę rozpiętego płaszcza, pokazując uczepony do paska mały pistolet marki Beretta.

– Nie bądź głupi – ostrzegł z prawej strony głos Nasira. – Musimy porozmawiać. – Z przeciwka zbliżało się dwóch kolejnych mężczyzn.

Stansell poczuł wściekłość. Schwytny na własnym podwórku przez terrorystów?

Przypomniały mu się sceny z Ras Assanya, kiedy wzięto go do niewoli. Nie myśląc, uderzył Nasira prawym ramieniem, a później odwrócił się do Hasana i kopnął go w kolana. Poczł trzask łamanych kości terrorysty, zrzucił z ramienia torbę i schwywszy ją obiema rękami uderzył nią Hasana w głowę tak silnie, jak tylko mógł.

Omal się nie przewrócił, obracając się teraz ku Nasirowi. Ten zdążył już wyprowadzić cios w głowę pułkownika, jednak zawadził go tylko odrobinę – w tym przypadku skromny wzrost Stansella okazał się korzystny. Pułkownik wpadł na Nasira z całym impetem, rzucając go prosto na trzech Sikhów w białych turbanach. Nasir sięgnął po rewolwer, jednak zanim zdołał go wyciągnąć, rozległ się donośny wystrzał, po którym zapadła głucha cisza. Rupert obejrzał się i zobaczył mężczyznę, trzymającego pistolet, przykucniętego w pozycji strzeleckiej. Ledwie zdawał sobie sprawę z obecności Hasana, który padłszy na ziemię wyciągnął berettę i po raz ostatni w życiu próbował nacisnąć spust.

Przerażeni pasażerowie rozpięchli się z wrzaskiem. Stansell, ściskając swoją cenną torbę, schował się szybko za Sikhów i zniknął w tłumie, zanim pozostali dwaj mężczyźni zdążyli go dopaść.

Susan Fisher czekała w piwnicy magazynu, którą CIA wykorzystywało do swoich tajnych operacji. Drzwi windy otworzyły się – przybył Allen Camm. Wyraz jego twarzy upewnił ją, że dobrze zrobiła. Jeszcze nigdy w życiu nie „zneutralizowała” wrogiego agenta.

– Gdzie oni są? – rzucił Camm.

Dziewczyna otworzyła drzwi sąsiedniego pokoju. Mężczyzna, który zastrzelił Hasana, chodził w tę i z powrotem. Jego partner odpoczywał w fotelu, spokojny, jak gdyby nic się nie stało.

– Opowiedzcie mi wszystko – polecił Camm.

– Dostaliśmy dwóch agentów Dżihadu na lotnisku Dulles – powiedział ten, który chodził. Usiłował nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest przygnębiony. Po raz pierwszy w życiu kogoś zabił. – Carl – wskazał na siedzącego kolegę – zauważył ich pierwszy, kiedy zaskoczyli Stansella. Pułkownik to twardy człowiek – wyszarpnął się i trzasnął jednego torbą. Arab wyciągnął broń i wtedy go zastrzeliłem. Stansell zniknął w tłumie. Może sobie pan wyobrazić, co tam się działo. – Odetchnął głęboko. – Złapaliśmy tego drugiego i przywieźliśmy tutaj. To nie było trudne, w takim zamieszaniu.

– A co z zabitym?

– Zostawiliśmy go – wyjaśnił Carl. – Murphy dobrze strzela.

– Czy ktokolwiek was gonił?

– Proszę pana... – odpowiedział urażony Carl. – Akcja była czysta. Murphy nadal chodził.

– W porządku – uspokoił go Camm. – Zrobił pan, co należało. Proszę zdać raporty pani Fisher.

– Gdzie ten Arab? – zapytał wicedyrektor CIA, kiedy dwaj agenci wyszli.

– W celi numer jeden. Chce go pan zobaczyć? – Camm kiwnął głową. Wyszli razem z Susan na jasno oświetlony korytarz, przypominający szpitalny. Dziewczyna zatrzymała się przed stalowymi drzwiami i wcisnęła guzik brzęczyka. Ona i Camm podnieśli wzrok do umieszczonej nad drzwiami kamery, żeby łatwiej było ich rozpoznać. Drzwi otworzyły się. W środku, za biurkami siedziało dwóch techników w białych fartuchach, obserwując monitor.

– Co z nim? – rzuciła Fisher.

– Jeszcze nie zaczął mówić.

– Nie powiedział zupełnie nic? – upewnił się Camm.

– Nic poza tym, co już i tak wiemy. Nazywa się Nasir Askari, ma dwadzieścia osiem lat, urodził się w Trypolisie, w Libii. – Technik popatrzył na zegar. – W ciągu sześćdziesięciu ośmiu godzin powinien mieć dosyć. Nie widziałem, żeby ktokolwiek wytrzymał dłużej niż siedemdziesiąt dwie godziny i nie zaczął wariować. – Pokazał na monitor.

Camm przystawił sobie krzesło i usiadł, obserwując ekran.

– Czy dźwięk jest rejestrowany? – Technik skinął głową.

– Musi być, jeżeli mamy w porę dostrzec sygnały, że już mu starczy. Kiedy się załamują, szybko ich stamtąd wyciągamy.

Na ekranie widać było uzyskiwany w podczerwieni niezwykle ostry obraz znajdującego się w ciemnej celi mężczyzny. Leżał na podłodze, rozebrany do naga. Podłoga była wyłożona miękkim materacem, który poddawał się jego ruchom. Ręce i nogi Nasira Askari zostały luźno skrupowane szerokimi pasami, w taki sposób, że znajdował się w pozycji embrionalnej. Pasy rozciągały się i skracały, zgodnie z jego ruchami, zabezpieczając go.

– Po co ma to coś w ustach? – zapytała Susan.

– Żeby nie przegryzł sobie języka ani policzków – wyjaśnił technik. – Staramy się odciąć mu wszelkie bodźce dotykowe, słuchowe i wzrokowe. – Uśmiechnął się. – Kiedyś, kiedy nie będzie pani miała nic do roboty, proszę przyjść, a umieścimy tam panią na parę minut. To nie do wiary, jak tam jest cicho, a przede wszystkim ciemno. Już po krótkim czasie więzień robi wszystko, żeby choć czegoś dotknąć. Dlatego ich krępujemy.

- Jak długo on tam leży? Mężczyzna popatrzył na zegar.
- Trzy godziny i szesnaście minut. Niektórzy po takim czasie mówią już wszystko, co wiedzą.
- A jeśli ktoś zaczyna kłamać, żeby wydostać się stąd?
- Zawsze zamykamy ich z powrotem na parę minut, sprawdzając, czy będą mówić to samo. – Popatrzył uważnie na ekran. – Ten poleży jeszcze przez dłuższy czas. Może będziemy musieli zwiększyć mu dawkę. Wzmacniamy efekt podając im nowy środek, który redukuje wrażliwość zakończeń nerwowych w skórze.
- A co się dzieje, jeśli się nie załamują?
- Raz się zdarzyło. Facet wykorkował. – I co wtedy zrobiliście?
- To, co musieliśmy zrobić. Niech pani posłucha, my tu nie jesteśmy po to, żeby torturować ludzi. Naszym zadaniem jest uzyskiwanie prawdziwych i dokładnych informacji. Tym się właśnie zajmujemy.

Generał brygady dowodzący Biurem Dochodzeń Specjalnych US Air Force, którego siedziba znajdowała się w bazie Bolling, w Waszyngtonie, wiercił się na krześle. Czekanie było dla niego trudne. Zastanawiał się, dlaczego generał Cunningham poświęca aż tyle czasu niewysokiemu pułkownikowi pozbawionemu prawego ucha. Ponieważ jednak szef sztabu Sił Powietrznych kazał mu czekać, generał czekał. Usiłował przypomnieć sobie, jak też może nazywać się ów pułkownik. W końcu adiutant Cunninghama wprowadził generała brygady do gabinetu szefa.

– Niech pan siada, Hoskins. – Cunningham wskazał mu fotel. – Mamy problem. To jest pułkownik Rupert Stansell; wpadł w niezłe kłopoty. Jak się zdaje, dzisiaj rano na lotnisku Dulles próbowało go porwać czterech terrorystów. To trudna sprawa, zważywszy na to, że jednocześnie pułkownik wykonuje zleconą przeze mnie misję specjalną.

– Nie słyszałem o niczym, co stało się w Dulles... jeszcze – odparł Hoskins. – Dlaczego terroryści mieliby ścigać pułkownika Stansella? – Kamienny wyraz twarzy Cunninghama był wyraźnym ostrzeżeniem. Szef sztabu oczekiwał, że Hoskins powinien wiedzieć, kim jest Stansell.

– Przypuszczamy, że byli to agenci islamskiego Dżihadu – oznajmił Cunningham, obracając cygaro między palcami i patrząc prosto na generała brygady. Przesłał tym samym dwa dalsze, niebezpieczne sygnały. Hoskins nie słyszał nawet o Dżihadzie, a to właśnie on był odpowiedzialny za rozpoznawanie i śledzenie zagrożeń czyhających na personel Sił Powietrznych. Spróbował więc zyskać trochę czasu.

– Każę moim ludziom zbadać sprawę... – wybąkał.

– Czy zamierza pan czekać, aż pan pułkownik zostanie zabity, Hoskins?! Nowo mianowany generał brygady zdawał sobie sprawę, że znalazł się w tarapatkach. Cunningham domagał się konkretnych działań.

– Sir, w tej chwili nie wiem wystarczająco wiele, żeby... – zaczął Hoskins.

– W tej chwili, Hoskins, nie wiem, czy cierpi pan na głupotę wrodzoną, czy też nabytą! Kłopot w tym, że jeden z terrorystów został postrzelony. Pułkownik Stansell wymknął się im i nie rozmawiał o sprawie z policją.

– W takim razie kłopotu nie ma – powiedział Hoskins, zaczynając odzyskiwać wpływ na rozwój sytuacji.

– Cholera jasna, generale, jest pan moim głównym oficerem śledczym, a radzi mi pan, żeby nie zgłaszać władzom cywilnym udziału oficera Sił Powietrznych w strzelaninie?!

– Bardzo przepraszam, sir – zaproponował Hoskins, zdeterminowany nie poddawać się – ale nie powiedział mi pan generał, na czym polega specjalna misja pułkownika Stansella. Jeżeli jest ona zbyt ważna, żeby się o niej dowiedział, mogę przypuszczać, że chce pan, aby za wszelką cenę utrzymać ją w tajemnicy.

Cunningham rozparł się w fotelu, próbując na nowo ocenić siedzącego przed nim człowieka.

Może uda mi się wyjść z tego cało, pomyślał Hoskins.

– Nie sugeruję, żebyśmy starali się ukryć udział pułkownika – zaczął – ale opanowali sytuację. Posłużę się moimi kontaktami, żeby wyjaśnić policji, co zaszło, i że chronimy pana pułkownika ze względu na zagrożenie ze strony terrorystów. Będę musiał przekonać kilku najważniejszych stróżów prawa w stanie Virginia, ale wierzę, że uda mi się ochronić pułkownika Stansella i wymiar sprawiedliwości nie będzie go niepokoił.

– Więc do dzieła!

Hoskins zasalutował i czym prędzej opuścił gabinet.

– Powinien sobie poradzić – mruknął Cunningham. – Pracuje na tym stanowisku dopiero od tygodnia. – Przerwał, zastanawiając się, ile jeszcze będzie musiał powiedzieć Stansellowi. Ten jednak uprzedził go. Podał szefowi sztabu kompletny plan operacyjny i wyjaśnił:

– Pana generała Mado nie ma dzisiaj w Waszyngtonie. Dlaczego mi pan nie powiedział, sir, że Task Force Alpha to tylko przykrywką dla prawdziwej misji? Czy nie ufa mi pan? Oczywiście, że chciałem poprowadzić tę akcję, jednak bardziej niż czegokolwiek innego pragnę, żeby ci ludzie zostali uwolnieni. Panie generale, zrobiłbym wszystko, żeby w tym pomóc...! – Rupert czuł, jak narasta w nim rozczarowanie i gorycz, jednak powiedział Cunninghamowi prawdę. Mimo to

bardzo chciał wziąć udział w prawdziwej misji, żeby zakończyć, co zaczął, kiedy wylądował w Ras Assanya na czele dywizjonu F-15, żeby służyć jako Bojowy Patrol Powietrzny w Czterdziestym Piątym Skrzydle, dowodzonym przez Muddy'ego Watersa. Waters nauczył go wtedy, co to znaczy prowadzić ludzi do walki i teraz pułkownik czuł, że musi dokończyć swoje zadanie i sprowadzić ostatnich żołnierzy do ojczyzny. A nawet, jeśli mu na to nie pozwolą, zrobi, co tylko będzie mógł, żeby się w jakikolwiek sposób przyczynić do ich oswobodzenia.

Cunningham zwrócił uwagę na szczerą pasję w głosie Stansella, rzadko słyszaną w Pentagonie. Służący tu oficerowie zajmowali się przede wszystkim tym, jak dostać szybko awans, i chronili się za machiną biurokratyczną Sił Powietrznych. Tymczasem ten pułkownik nie palił się bynajmniej do osobistego awansu, tylko do misji, której się podjął.

Szef sztabu odłożył cygaro na wielką popielniczkę, nachylił się i złożył dłonie, zrzucając przed obliczem Ruperta maskę surowego dowódcy, którą tak pieczołowicie zawsze zachowywał. Nawet ton jego głosu zmienił się.

– Rupe, czuję to samo co pan. To moi ludzie i to ja posłałem ich tam, gdzie dzieje im się krzywda. Owszem, obecnie Task Force Alpha stanowi zasłonę dla prawdziwej operacji. Jednak tamta misja ma poważne słabe punkty. Oznacza atak na większą skalę i wymaga współpracy ze strony Kuwejtu i Iraku. Biorąc pod uwagę całą sytuację, nie jest to najlepszy plan, i mówiąc prawdę, nie mogę się do niego przekonać. Chcę, żeby pan przygotował Task Force Alpha do czegoś więcej niż tylko odwrócenia uwagi nieprzyjaciela. Niech będzie ona poważną alternatywą dla prezydenta, którą mu się podsunie pod rozwagę. – Stansell chciał zaprotestować, wyjaśniając, że nie da się tego zrobić przy pomocy oddziałów i sprzętu, które dostał, jednakże Cunningham uniósł dłoń i dodał: – Musi pan kontynuować z tym, co pan ma, ponieważ w tej chwili nie robicie wrażenia sił, które będą wykonywać rzeczywistą misję. To właśnie przykrywka dla was. Jak pan myśli, dlaczego przydzieliłem panu rangersów? Albo herculesa z kobiecą załogą? Irańczycy wiedzą, jakie mamy ograniczenia, jeśli chodzi o posyłanie kobiet do walki... To ironiczne, ale uważam, że ta cała *głośność* ma teraz dla nas znaczenie. Rosjanom łatwiej nas szpiegować i przypuszczam, że będą obserwowali poczynania Delta Force. Wykorzystajmy to.

– Panie generale, czy chce pan przez to powiedzieć, że Rosjanie prześlą swoje informacje Iranowi?

– Chcę. Ostrzeżenie, dzięki któremu nasza misja może się nie powieść, ociepliłoby ich stosunki z Iranem. Wpadną na to. Rupe, niech pan wraca do Nellis i przygotowuje swoją jednostkę. Niech pan ją kryje na pustyni. Żadnych przecieków.

Niech pan zachowuje się jak jeden z dowódców „Czerwonej Flagi”, a tak będzie pan postrzegany. Jeżeli ktoś nadal pana ściga, fakt, że jeszcze pana nie zastąpiliśmy kim innym po próbie porwania, może oznaczać tylko jedno – to, co pan robi, nie ma żadnego związku z jeńcami ani Zatoką Perską. Przez ten czas ja zajmę się biurokratyczną stroną sprawy. I jeszcze jedno: niech pan przekazuje mnie osobiście wszystko, co mówi Mado. – Cunningham wezwał przez interkom swojego adiutanta:

– Dick, proszę przekazać do Andrews, żeby przygotowali dla pana pułkownika Stansella C-20. Chcę, żeby jeszcze dzisiaj wrócił do Nellis. – Puścił przycisk i kontynuował: – Rupe, proszę nie mówić Mado, że możemy stać się rzeczywistą alternatywą dla Delta Force. To najlepszy planista operacji specjalnych, jakim dysponuję, ale... – Nie dokończył. Stansell nie musi wiedzieć o biurokratycznych rozgrywkach, w jakie zamieszany jest Mado. O tym, że pomaga sobie w karierze wykorzystując współpracę z Leachmeyerem i Połączoną Agencją Operacji Specjalnych... – Niech pan zabiera się do pracy.

W sekretariacie generała czekał Dick Stevens. Sekretarka zatelefonowała do bazy Andrews, żeby przygotowali przelot do Nellis. Pułkownik Stevens uśmiechnął się i pokręcił głową, zobaczywszy wyraz twarzy Stansella. Widywał już podobne reakcje paru oficerów. Rupert poznał jedną z najściślej strzeżonych tajemnic Sił Powietrznych USA – dowiedział się, że surowy, nie przebiegający w słowach, niewzruszony jak skała Cunningham to tylko starannie utrzymywana poza.

Rozdział czternasty

Dzień D minus 21

Północno-zachodni Irak

– Chodź – odezwała się Zakia, wskazując na wyjście ze swojego miniaturowego szpitaliku. Bill wyszedł za nią i zamrugał oczami, porażony jasnym światłem poranka. Przy sąsiedniej lepiance stały teraz dwa stare land rovery. Koło chaty zebrała się grupka uzbrojonych mężczyzn. Lekarka precyzyjnie się pomiędzy nimi, jednak dwaj pochwycili Carrolla i obszukali go. Odnaleźli drut do duszenia w kieszeni na udzie, nie wyczuli jednak małego noża, ukrytego pod owijającym łydkę bandażem. Kiedy oglądali drut, Carroll podniósł nogawkę i ściągnął bandaż, podając im nóż.

Zakia, która przyglądała im się cały czas, złapała go teraz za ramię i wciągnęła do chaty. Prawdopodobnie uratowała mu w ten sposób życie.

Przy jedynym stole siedział poorany zmarszczkami człowiek w trudnym do określenia wieku. Pokazał stojące naprzeciw niego krzesło.

– Mustafa mówi, że ocalałeś go przed Irakijczykami – zaczął po angielsku Mulla Haqui. – Jestem ci wdzięczny. Trudno mi jednak uwierzyć w to, co mówi Zakia – że potrzebujesz pomocy Pesh Merga.

Carroll dobierał uważnie słowa, używając określeń w języku kirmanji, jeśli je znał. Zdecydował się powiedzieć prawdę.

– Próbuję dotrzeć do Kermanshah w Iranie i nawiązać kontakt z przetrzymywanymi tam amerykańskimi jeńcami wojennymi. Chcę wyzwolić część z nich, jeśli będzie to możliwe. Potrzebuję jednak pomocy. Wiem, że mieszka tam wielu Kurdów i że ajatollahowie źle ich traktują...

– Martwię się Irakijczykami, a nie ajatollahami z Iranu – odparł Haqui. – Amerykanie niewiele zrobili, żeby pomóc nam w naszej walce. O wiele więcej dokonali Izraelczycy. Za uratowanie życia Mustafie pomogę ci dostać się do Turcji. Ale nic więcej.

Carroll patrzył w ziemię.

– Dziękuję – powiedział. – Muszę jednak wracać do Iranu. – Podniósł głowę i popatrzył przywódcy Pesh Merga prosto w oczy. Łatwo byłoby narysować karykaturę starca – nosił starannie zawiązany turban i wielkie wąsy. Nie dałoby się

jednak ująć aury, jaką wokół siebie roztaczał – a była to aura potężnej woli. Haqui przewodził już drugiemu pokoleniu żyjących na terytorium Iraku Kurdów, którzy walczyli o niepodległą ojczyznę. Rozpoznał jednak teraz w Carrollu coś z siebie samego – nieugiętą wolę realizacji obranego celu. To dzięki takim ludziom zdarzają się rewolucje, które zwyciężają. Szkoda ich marnować.

– Udowodnij, że jesteś sprzymierzeńcem Pesh Merga, to ci pomogę – powiedział starzec. Skinął głową na Zakie, która wyprowadziła przybysza za drzwi.

Straż przyboczna nie mrugnęła tym razem okiem. Jeden z mężczyzn podał kobiecie nóż i drut.

– Jakim cudem mogę mu udowodnić, że jestem jego sprzymierzeńcem...?! – mruknął Bill.

– Krzywdząc Irakijczyków – wyjaśniła Zacia. – Porozmawiaj z Mustafą.

Baza Królewskich Sił Powietrznych Lakenheath, Wielka Brytania

Porucznik wycofał furgonetkę na zarezerwowane dla niej miejsce przed dowództwem skrzydła i wypuścił ze środka dwóch mężczyzn. Sam został w samochodzie i powiedział Doucette'owi, że znajduje się już dostatecznie blisko pułkownika Billa Joe Barkera. Dodał, że nie będzie gasił silnika, na wypadek gdyby odezwał się alarm i załogi miałyby zająć szybko miejsca w czekających w pogotowiu samolotach.

– Czego, do cholery, ten Barker chce? – burknął Contreras, podążając za Pochodnią korytarzem w stronę gabinetu zastępcy dowódcy. Kapitan doszedł już dawno do wniosku, że tydzień alarmu w bazie, jaki zarządzono z powodu „incydentu” podczas pokazów lotniczych we Francji, był tylko wstępem do tego, co oficer operacyjny rzeczywiście zamierzał im zrobić. – Nie sądzę, żeby zakończył sprawę tak szybko – powiedział Ramon.

Doucette próbował go uspokoić.

– Nie może nam zrobić wiele więcej – powiedział.

Barker postawił jednostkę w stan alarmu za karę, po tym jak wezwał załogę do siebie i pokazał im niepochlebne artykuły w lokalnej prasie, opisujące ich lekkomyślny wyczyn we Francji. Pochodnia sam był jednak zaniepokojony, wchodząc do sekretariatu pułkownika. Przed nimi bowiem do gabinetu Barkera wkroczył zastępca oficera operacyjnego skrzydła, podpułkownik Mark Von Drexler.

– Jak się wychodzi z tego gównianego kostiumu? – jęknął niezadowolony Contreras.

Von Drexler był „cudownym dzieckiem” jednostki – oficerem wybranym do

szybkich awansów, młodym karierowiczem. Wyglądał na takiego. Był przystojny i elokwentny; niektórzy uważali, że powinien być zostać aktorem. Doucette też wolałby, zważywszy na to, że Von Drexler ledwie był w stanie utrzymać F-111 w powietrzu.

– Ach, on wygląda dobrze tylko pod prysznicem – skwitował Pochodnia.

– Słucham? – odezwała się surowa Angielka, sekretarka Barkera.

– Chodzi o to, że...

– Zrozumiałam, co pan miał na myśli. – Wcisnęła przycisk interkomu i poinformowała pułkownika, że przybyła wzywana załoga.

Doucette i Contreras stanęli przed obliczem Barkera. Nie spodziewali się, że zaproponuje im fotele.

– Nasze skrzydło zostało wyznaczone do tego, żeby wysłać trzy – cztery maszyny na „Czerwoną Flagę”, na specjalne ćwiczenia – oznajmił pułkownik. – Tylko ochotnicy. Rozumiem, dlaczego wybrali model F wyposażony w Pave Tack i zwrócili się do naszego Czterdziestego Ósmego. Jednak proszą o załogi, które brały udział w nalocie na Libię w 1986 roku. To jasne, że chodzi im o ludzi, którzy mają doświadczenie bojowe. Szkoda, że wy dwaj jesteście jedynymi uczestnikami tamtego nalotu, jacy pozostali w naszej jednostce. Reszta została poprzemieszczona do jednostek stacjonujących na terenie Stanów...

– Bierzemy to – zapewnił Doucette.

– Aby uniknąć powtórki incydentu, który miał miejsce we Francji, naszym kontyngentem pokieruje pułkownik Von Drexler. Zabierze do Nellis dwa samoloty. Wy dwaj polecicie dzisiaj do bazy McClellan i weźmiecie maszynę, która została świeżo wyremontowana. Ludzie z431. Dywizjonu Oceny Sprzętu meldują, że F-111 został wszechstronnie sprawdzony i jest gotów do wykonywania misji bojowych. Bądźcie w Nellis w poniedziałek rano. To wszystko.

Dwaj oficerowie zaszalutowali i wyszli.

– Widzisz, mówiłem ci, żebyś się nie martwił – powiedział Doucette skwaszonemu ciągle Contrerasowi.

Pentagon, Waszyngton

A niech go, dobry jest, pomyślał Cunningham, słuchając, jak dowódca Delta Force, pułkownik Sam Johnson przedstawia zgromadzonej wokół stołu grupie przebieg planowanej misji. Skąd, u licha, Leachmeyer go wytrzasnął? Zamieniłbym Mado na niego bez zastanowienia. Ten człowiek to naturalny przywódca. Hmm, mam jeszcze Stansella...

Zespół, jaki zebrał się w podziemiach Pentagonu, obradował z polecenia prezydenta. Stanowił jeden z najważniejszych komitetów roboczych w historii wywiadu, jakie kiedykolwiek powołano. Obecni mieli jeden cel – zapewnić, żeby wszelkie możliwości, jakimi dysponowały służby wywiadowcze USA, zostały wykorzystane dla potrzeb sił operacyjnych, które miały wyzwolić jeńców z Iranu. Cunningham słuchał teraz, jak szef Narodowego Biura Rozpoznawczego opowiada, że zmienił orbitę jednego z satelitów zwiadowczych serii Keyhole tak, aby przelatywał on co osiem godzin nad więzieniem w Kermanshah. Zastępca dyrektora CIA zapewnił, że w znajdujących się za więzieniem barakach mieszka tylko kilka rodzin, które nie miały innego schronienia przed zbliżającą się zimą. Przez następne pół godziny rozmawiano o pułku pancernym, który zajmował pozycje w Shahabadzie, sześćdziesiąt osiem kilometrów na południowy zachód od więzienia. Jednostka Armii USA miała wylądować na szosie koło mostu znajdującego się w połowie drogi do Kermanshah, wysadzić most i opóźnić wszelką ewentualną pomoc zmierzającą w stronę więzienia.

Podczas dyskusji Cunningham zaczął nagle dostrzegać w planie zasadnicze luki. Pod koniec narady szef sztabu Sił Powietrznych spytał zastępcę dyrektora wywiadu, szefa CIA, czy Agencja jest w stanie umieścić w rejonie akcji agentów, którzy zapewniliby wsparcie biorącym udział w misji siłom, a przynajmniej określili, jak szybko pułk pancerny z Shahabadu będzie w stanie zareagować na amerykańską akcję. Mężczyzna zirytował się. Na ratunek pospieszył mu Camm, mówiąc:

– Panie generale, prezydent wydał nam jasne rozkazy – mamy wspomóc pana wszelkimi dostępnymi środkami. Nie możemy jednak zorganizować tajnej operacji bez wiedzy prezydium komisji Kongresu do spraw wywiadu. W tym momencie prezydent nie chce zdecydować się na przedstawienie im sprawy. – Szef Camma popatrzył na niego z wdzięcznością. Uznał, że będzie przekazywał wojsku jedynie te informacje z "Głębokiej Bruzdy", które nie zdradzą jej istnienia i wstrzyma bezpośrednie zaangażowanie się CIA w operację do czasu, aż Susan Fisher sporządzi plan uwolnienia jeńców przez Agencję.

Cunningham poczuł istne obrzydzenie. Nie było mowy o wsparciu ze strony działających w rejonie celu agentów CIA, którego wymagał plan Sił Powietrznych. Generał winił za tę sytuację biurokratyczną maszyną polityki.

Kiedy narada zakończyła się, generał podszedł do Camma i dyrektora CIA i powiedział:

– Sądzę, że powinniście panowie znaleźć sposób na umieszczenie w Kermanshah agenta, który pomógłby Delta Force. Przekazałby najnowsze dane wywiadowcze oraz zorganizował naziemną drogę ucieczki na wypadek, gdyby operacja wzięła

w łeb.

– Panie generale – odparł Camm – wykonujemy ściśle rozkazy prezydenta.

– Jednak możecie przedstawić mu istotne opcje do rozważenia.

Dwaj mężczyźni zamilkli. Obrzydzenie narosło w Cunninghamie do tego stopnia, że postanowił dać mu wyraz.

– Jeśli okaże się, że wy, panowie, nie zrobiliście wszystkiego co w waszej mocy, żeby nam pomóc – powiedział – to osobiście poprowadzę B-52, który rozwali tę waszą cholerną centralę w Langley w drobny mak. – Odszedł, nie czekając na reakcję.

Adiutant Cunninghama został telefonicznie ostrzeżony, że szef jest w złym humorze, czekał więc usłużnie w swoim pokoju.

– Dick – warknął od progu szef sztabu – proszę powiadomić pułkownika Bena Yuridena, że chciałbym się z nim jak najszybciej spotkać.

Yuriden był zastępcą attaché wojskowego ambasady Izraela do spraw lotnictwa.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Stansell z Pullmanem czekali, aż pierwszy zC-130, które przywoziły rangersów, zatrzyma się na miejscu postoju. Na czele oddziału wysiadł z herculesa krzepki dowódca batalionu i zasalutował sprężysto.

– Podpułkownik Leland Gregory, melduję się! – wypalił. Rupert odsalutował i przyjrzał się stojącemu naprzeciw człowiekowi. Miał on dobrze skrojony mundur polowy, który skrywał w sprytny sposób rosnący brzuch oficera. Jego okrągła twarz zdawała się błyszczeć. Kiedy podali sobie ręce, dłoń Stansella schowała się w potężnej ręce Gregory'ego. Ze względu na wygląd nazywano Lelanda „Szynką”.

Gregory przedstawił swój sztab – dwóch dowódców kompanii oraz szefa batalionu, pierwszego sierżanta Victora Kamigami. Rupert poczuł się oszołomiony rozmiarami Kamigamiego – olbrzymiego mężczyzny pochodzenia hawajsko-japońskiego. Przywodził on na myśl zapaśnika sumo.

Pullman zaprowadził przybyszów do trzech przyczep, gdzie miało się zmieścić dowództwo jednostki. Gregory i jego ludzie szybko zabrali się do pracy.

– Godzinę lotu za nami znajdują się jeszcze dwie kompanie – poinformował podpułkownik. – Gdzie mamy rozłożyć obóz? – Pullman wyjaśnił, że namioty zostaną rozbite na Texas Lake, gdzie odbywać się będą ćwiczenia. Cały potrzebny sprzęt przewieziono na jezioro już poprzedniego dnia.

– Zajmę się tym, sir – powiedział Kamigami. Miał on zaskakująco delikatny głos, zupełnie nie pasujący do wyglądu. Pullman zorganizował Kamigamiemu i dwóm

dowódcą kompanii śmigłowiec, żeby mogli rozpocząć zakładanie obozu. W ostatniej chwili zdecydował, że sam także z nimi poleci.

Godzinę później Stansell zatrzymał się koło przyczep i odwiedził Gregory'ego.

– Panie pułkowniku – powiedział ten – dziękujemy za te przyczepy. Wszystkie kwatery dla oficerów-gości są zajęte, ale zainstalowaliśmy się w motelu w mieście. Po południu powinniśmy już dysponować wypożyczonymi samochodami. Wszystko gra.

Dla Ruperta działania przybyszów wydawały się jednak zbyt rutynowe. Powiedział więc:

– Panie pułkowniku, myślę, że powinniśmy porozmawiać. Tam. – Wskazał na budynek 201. – Proszę zabrać ze sobą swoich najważniejszych ludzi. – Gregory skinął na S-2, czyli swojego oficera wywiadu, oraz S-3 – oficera operacyjnego. Razem poszli za Stansellem do sekcji wywiadu, gdzie urzędowała Dewa. Kiedy wchodzący znaleźli sobie miejsca, Bryant zamknął drzwi.

– Działamy tu pod nazwą kodową Task Force Alpha – zaczął Rupert. – Jak rozumiem, wiecie, w jakim celu się tu znaleźliście i wszyscy jesteście ochotnikami.

Gregory skinął głową.

– Generał Leachmeyer powiedział, że Task Force Alpha jest zgrupowaniem ćwiczebnym dla celów prowadzenia zintegrowanych operacji ratunkowych na dużą skalę. Jesteśmy tu po to, aby je ćwiczyć.

Stansell przełknął ślinę, nie chcąc dawać wyrazu narastającej w nim frustracji.

– To coś więcej niż rutynowe ćwiczenia – odparł. – Jest możliwe, że będziemy wykonywać – wolałby nie dodawać trybu przypuszczającego – prawdziwą misję.

Oficerowie Armii USA wymienili spojrzenia. S-3, wysoki oficer operacyjny w stopniu majora, pokręcił głową.

– Niech pan pułkownik na to nie liczy. W tego typu operacjach specjalizuje się Delta Force z Fort Bragg. My zawsze jesteśmy za nimi. I jeszcze za Pierwszym i Drugim Batalionem...

Stansell zignorował tę wypowiedź.

– Mamy tu napięty plan działań – kontynuował. – Pułkowniku Gregory – zostaje pan dowódcą działań naziemnych. Pańskim zadaniem jest przeprowadzenie ataku na więzienie, uwolnienie przetrzymywanych tam ludzi, zabezpieczenie lotniska i przetransportowanie pańskich rangersów oraz więźniów na to lotnisko.

– Tak jest! – krzyknął Gregory, uradowany, że został dowódcą polowym. Rupert był nadal rozdrażniony. Ostrzegł się w myśli, że robi się zbyt krytyczny, i że przed osądzeniem możliwości rangersów należy najpierw poczekać i zobaczyć, jak będą sobie radzić podczas ćwiczeń. Przez następne dwie godziny obserwował, jak

oficerowie dyskutują szczegóły misji. Podpułkownik oznajmił, że zorganizuje jednorodną drużynę, która zarówno przeprowadzi szturm na więzienie, jak i uwolni więźniów.

– Mamy dwunastu ludzi, którzy przeszli przez Szkołę Operacji Specjalnych w Fort Bragg – poinformował oficer operacyjny batalionu. – Potrafią wysadzić pancerne drzwi w ciągu minuty. Drużynę będzie stanowić pluton porucznika Jamisona. Nazwiemy go drużyną „Romeo”, od R, jak „ratunek”.

– Potrzebujemy kogoś bardziej doświadczonego niż podporucznik – powiedział Gregory. – Dowódcą drużyny będzie musiał zostać kapitan Trimler; Jamison będzie jego zastępcą.

Nastrój Stansella poprawił się odrobinę.

W pewnej chwili do pomieszczenia zajrzał Pullman i kiwnął na Ruperta.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, panie pułkowniku – powiedział mu za drzwiami. – Ten Kamigami już prawie zakończył stawianie obozu. Kiedy któryś pluton jest gotów, każe im robić ćwiczenia fizyczne, zakończone trzykilometrowym biegiem.

– Musi się nieźle na nich wydzierać.

– Ledwie się odzywa, panie pułkowniku! Nie musi. – Następnie Pullman przekazał Rupertowi wiadomość od generała Mado. – W poniedziałek przylatują trzy F-111. Zmierzch zaaprobował pana prośbę o F-15. Dostaniemy jednego F-15E z bazy Luke i osiem F-15 C. Do pana należy wybór dywizjonów i pilotów. Nieźle się zapowiada, panie pułkowniku.

Stansell musiał przyznać sierżantowi rację. Jednak skoro tak było, to dlaczego nagle zaswedziało go prawe ucho?

Biały Dom, Waszyngton

Admirał Scovill skinął głową na oficera marynarki siedzącego w fotelu przed Gabinetem Ovalnym i czytającego książkę. Wyraził aprobatę, zobaczywszy tytuł dzieła – była to *Krótką historia czasu* Stevena Hawkinga. „Piłka futbolowa” – miękka, skórzana torba, w której znajdowały się kody odpalania rakiet z głowicami jądrowymi, spoczywała na krześle obok oficera. Łańcuch łączący ją z nadgarstkiem mężczyzny był na tyle długi, że nie krępował mu ruchów. Ciągłe chodzenie za prezydentem to nudna praca, jednakże młodzi oficerowie, którzy ją na zmianę wykonywali, nie skarżyli się – w końcu prowadziła ona do szybkich awansów, a poza tym, kiedy człowiek się zastanowił, zdawał sobie sprawę, że pilnuje całego świata, dosłownie trzymając jego los w ręku.

Andy Wollard, szef gabinetu prezydenta, wprowadził przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów do Gabinetu Owального. Scovill zdumiał się, widząc siedzącego na kanapie sekretarza stanu, Cyrusa Piccarda, oraz sekretarza obrony. Piccard dopiero co był w Genewie, prowadząc tam bezskuteczne negocjacje z Irańczykami w sprawie uwolnienia jeńców. Zwołane na późny wieczór spotkanie i nagle pojawienie się Piccarda mogły oznaczać tylko jedno – zaszła jakaś bardzo niepomyślna okoliczność.

– Proszę, niech pan siada – odezwał się prezydent. Scovill usiadł koło Mike'a Caligari – prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego – a naprzeciw Bobby'ego Burke'a – dyrektora służb wywiadowczych. Wollard siadł w kącie, z zamiarem sporządzania obszernych notatek ze spotkania.

– Niech pan przedstawi nam sprawę – powiedział prezydent.

– Rozmowy utknęły w martwym punkcie. Właściwie ledwie je jeszcze prowadzimy. Libia wciąż podnosi ofertę wykupu zakładników, a Iran, jak mi się wydaje, oczekuje od nas jej przebicia. Negocjacje załamały się od czasu tej konferencji prasowej, podczas której Whiteside powiedział światu, co zamierzają Libijczycy.

– Nie rozmawia pan przypadkiem bezpośrednio z ich przedstawicielami? – upewnił się szybko prezydent.

– Oczywiście, że nie. Wszystko odbywa się za pośrednictwem trzeciej strony.

– Kogo?

– Rosjan, rzecz jasna. A kogóż by innego? Libia podniosła w międzyczasie stawkę do półtora miliona dolarów za każdego jeńca. Jedyna dobra wiadomość to to, że Iran nie rozprasza zakładników. Przynajmniej jak do tej pory.

– Czy wie pan dlaczego?

– To kwestia ich wewnętrznej polityki, sir – wyjaśnił Burke, szef CIA i innych służb wywiadowczych. – Islamska Partia Republikańska chce zawrzeć ugodę z Islamską Ludową Partią Republikańską w celu zachowania kontroli nad Radą Strażników Rewolucji. Jednak IPRP domaga się w takim wypadku przekazania jej połowy naszych jeńców. Oto gest dobrej woli na modłę irańską.

– A zatem pozostaje ich wyzwolić – stwierdził prezydent. Poczul się zdeterminowany tego dokonać. – Terry, kiedy będzie gotowa Delta Force? – zapytał admirała Scovilla.

– Za piętnaście do osiemnastu dni.

– Dlaczego tak długo?

– Panie prezydencie – wtrącił się sekretarz obrony – to nie jest długi czas jak na przygotowanie tego rodzaju misji. Poza tym, są problemy. Po pierwsze, Irańczycy rozmieszczają właśnie pułk pancerny w bazie odległej o sześćdziesiąt osiem

kilometrów od więzienia. Musimy znaleźć sposób na zablokowanie tej jednostki. Poza tym, w okolicy fortu Bragg, gdzie ćwiczy Delta Force, zaobserwowano radzieckich agentów.

– Co się, do cholery, dzieje? – warknął prezydent, spoglądając na Burke'a. – Myślałem, że Siły Powietrzne szykują pozorowaną operację, żeby zmylić obce wywiady.

– To przez *glasnost*, panie prezydencie – odpowiedział Burke i zacisnął usta. – W ZSRR nastąpiło poluznienie reżimu i naszym ludziom wolno poruszać się po terytorium Związku Radzieckiego. Musimy im się odpłacać tym samym. Umożliwia to Rosjanom swobodniejsze działanie tutaj. Poruszają się więc w sposób niekontrolowany, a ich agenci to zawodowcy i wiedzą, gdzie czego szukać. Nie obserwują do tej pory operacji Sił Powietrznych; prawdopodobnie uznali ją za element ćwiczeń „Czerwona Flaga”. Możemy stwierdzić z dużym stopniem pewności, że nie wiedzą, co przygotowuje Delta Force; są jednak ciekawi. Jeśli FBI dobierze się tym agentom do skóry, Rosjanie zainteresują się sprawą jeszcze bardziej.

– Czy w takim razie możemy wykorzystać operację przygotowywaną przez Siły Powietrzne i rangersów w Nellis?

– Wątpliwe, sir – odpowiedział Scovill. – To naprawdę druga drużyna.

– W takim razie kontynuujemy dotychczasowe działania. Żadnych przecieków, tak jak zaplanowaliśmy. Chcę, żeby operacja była chroniona tak ściśle, jak to tylko możliwe. Wymyślcie, jak potajemnie przemieścić Delta Force na odpowiednie pozycje, i niech lotnicy i rangersi dalej szykują swoje. Cy, pan niech wraca do Genewy i przedłuży rozmowy. Jeśli będzie trzeba, proszę robić wrażenie, że poważnie rozważam przebicie libijskiej oferty. Będzie to dla Irańczyków powód do pozostawienia wszystkich jeńców razem. Panowie, mamy coraz mniej czasu na rozwiązanie tej sprawy.

Rozdział piętnasty

Dzień D minus 20

Kermanshah, Iran

Mokhtari wszedł na drugie piętro, stukając butami. Za nim kroczyło dwóch wartowników. Naczelnik więzienia chciał, żeby Amerykanie słyszeli stukot jego obcasów i bali się go. Posuwał się szerokim korytarzem, od czasu do czasu przystając i każąc swoim podwładnym otworzyć drzwi którejs z dwudziestu sześciu cel, by zajrzeć do środka. Mógł powiedzieć, żeby pozasłaniało zakratowane okienka w drzwiach, wtedy jednak nie byłoby go dobrze słychać. Wolał, żeby więźniowie myśleli, że wybiera sobie właśnie kogoś do tortur.

– Nie, tego nie! – zawołał po angielsku, zatraskując donośnie drzwi. Czuło się panujące w bloku więziennym napięcie. Kiedy Mokhtariego zmęczyła już prowadzona gra, wskazał na kolejne drzwi. Strażnicy otworzyli celę. Znajdujący się w niej czterej mężczyźni siedzieli na baczność na krawędziach pryczy, tak jak kazał im robić w ciągu dnia. Ci dwaj, którzy zajmowali górne prycze mieli szczęście, ponieważ nie musieli trzymać bosych stóp na zimnej, cementowej podłodze. Za rozmowę ze współtowarzyszami albo inną pozycję niż siedzenie na baczność groziło Amerykanom zamknięcie w Pudełku albo bicie.

– Ten. – Mokhtari wskazał na pierwszego sierżanta Johna Nesbita. Strażnicy podnieśli mężczyznę na nogi. Jeden uderzył go w żołądek. Następnie wyciągnęli go z celi i zatargali po schodach do piwnicy.

Jeńcy wyznaczeni na obserwatorów leżeli już na podłogach cel, śledząc pod drzwiami przemieszczanie się strażników. Żołnierze nie trzymali stóp na cemencie i okrywali się w razie potrzeby kocami. Ostrzegawcze stukanie jednego z obserwatorów powodowało, że całe piętro przyjmowało wyznaczoną przez dowódcę więzienia pozę. Jeńcy zdążyli już dawno wszystko wyćwiczyć i teraz większość z nich potrafiła szybciej zwinąć koc niż strażnik – otworzyć drzwi.

Zanim Mokhtari doprowadził Nesbita przy pomocy swoich oprawców do piwnicy, wieść o tym była już przekazywana do celi Leasona.

– Co jest...?! – mruknął pułkownik sam do siebie. Doktor Landis, z którym normalnie siedział, był teraz zamknięty w budynku administracyjnym w sąsiedztwie celi Mary Hauser. Według doniesień, jakie otrzymał Leason, doktorowi nic się nie

stało, natomiast Hauser została zgwałcona.

Nesbit pracował jako kontroler na stanowisku dowodzenia – był ekspertem od sprzętu telekomunikacyjnego, rozmaitych kodów i procedur. Mokhtari na pewno albo go złamie i nakłoni do mówienia, albo też zabije. Leason zastanawiał się, czy jeśli Nesbit powie wszystko, co wie, będzie to stanowiło istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Istotne, ale nie żywotne, zdecydował. Chciał, żeby sierżant pozostał przy życiu, musiał jednak przekazać mu to w jakiś sposób. Wystukał więc kod prosząc o ochotnika do posiedzenia w jednej z miniaturowych cel. Być może jeden ochotnik starczy, jeśli strażnicy wrzucą go do właściwego Pudełka. Tego z rurą wodociagową biegnącą w górę po tylnej ścianie. Stanowiła ona skuteczną drogę komunikowania się z główną częścią więzienia.

Po kilku minutach rozległy się wyzwiska pod adresem strażników. Leason poznał po głosie Macona Jeffersona – chudego, młodziutkiego Murzyna z Cleveland, który zadziwiał innych możliwościami wyginania swojego ciała w najbardziej niesamowity sposób. Żywił on również pogardę dla wszelkiej władzy. Jefferson, wynagrodzę ci to, kiedy się stąd wydostaniemy, obiecał sobie pułkownik.

Strażnicy szybko wrzucili Jeffersona do Pudełka, tak że aż uderzył głową w ścianę. Usztywnił mięśnie, żeby Irańczycy myśleli, iż ledwo się mieści. W końcu wpełnęli jego stopy do środka i zatrzasnęli drzwi. Głowa Macona opierała się o rurę wodociagową. Po paru minutach przekazano Leasonowi krótką wiadomość: „TU OK”. Jefferson podkurczył tymczasem nogi i zaczął się przekręcać. Kiedy jego głowa opierała się już o drzwi, poszukał palcami gwoździa zakrywającego dziurkę do wyglądanania, która została wydlubana przez poprzednich lokatorów Pudełka. Wreszcie udało mu się wyciągnąć gwóźdź. Mógł teraz obserwować piwnicę.

Zobaczył, że Nesbit siedzi na podłodze z wyprostowanymi nogami, skrzepowanymi w kostkach. Ręce związane miał za plecami. Widać było czyjeś nogi. Pewnie Mokhtariego, sądząc po błyszczących, brązowych butach. Na początku Jefferson nie był w stanie zorientować się, co robi strażnik, widoczny za plecami Nesbita. Poprawiał on więzy na nadgarstkach sierżanta. Następnie wziął kolejny kawałek sznura i przełożył go pod łokciami Nesbita. Zaciągnął linę zbliżając łokcie Amerykanina do siebie. Kiedy sierżant krzyknął, oprawca pociągnął znowu, jeszcze mocniej. Nesbit krzyknął po raz drugi.

– Skłamałeś! – warknął Mokhtari. – Byłeś kontrolerem na stanowisku dowodzenia, a nie żandarmem. – Strażnik cały czas ciągnął coraz silniej za sznur. – Zapewniam cię, że powiesz nam, co chcemy, jednak najpierw zostaniesz ukarany za kłamstwo. – Komendant więzienia wyszedł, pozostawiając swoich bandziorów sam na sam z Nesbitem.

Jeden z Irańczyków przyciskał głowę sierżanta, podczas gdy drugi doprowadził jego łokcie niemal do zetknięcia się. Następnie zawiązał ciasno węzeł. Jego kompan puściwszy głowę ofiary przerzucił linę przez hak w suficie. Uwiązali jeden koniec do nadgarstków sierżanta i pociągnęli za drugi, unosząc jego ręce. Wrzaski torturowanego wypełniły piwnicę. Jefferson zobaczył, jak ramiona podoficera zostają wyrwane ze stawów. Kiedy już Nesbit ledwie dotykał pośladkami podłogi, oprawcy uwiązali linę do przymocowanego do ściany pierścienia i wyszli, pozostawiając tak biedaka.

Jefferson z trudem powstrzymał się, żeby nie tłuc pięściami o drzwi. Zamiast tego jednak zaczął odwracać się gwałtownie, aż oparł policzek o rurę. Wystukał relację z tego, co widział, zwracając cały czas uwagę na odgłosy dochodzące z zewnątrz. Nesbit już nie wrzeszczał, ale skowyczał dużo, dużo ciszej.

Texas Lake, Nevada

– Słyszałem, że jeszcze nigdy nie leciał pan ze spadochroniarzami, prawda, panie pułkowniku? – zagadnął Dunkin, oprowadzając Stansella, Locke'a i Bryanta wokół herculesów. Rangersi przygotowywali się tymczasem do krótkiego lotu. – Powinien pan wsiąść z nimi i popatrzeć, jak wyskakują tylnymi drzwiami. Niezłe przedstawienie. Za każdym przelotem wypuszczamy ich dwudziestu – po dziesięciu każdymi drzwiami. Potem wracamy, żeby dać wyskoczyć drugiej dwudziestce.

– Czy traficie tak dokładnie jak poprzednim razem? – spytał Locke. Nawiązał do pozorowanego ładunku, który Dunkin spuścił niemal na sam śmigłowiec.

– Nie, takie rzeczy robię tylko z beczkami. Nigdy podczas prawdziwej akcji.

– Jak przebiegają przygotowania do zrzutu? – zainteresował się Rupert.

– Bez kłopotów. Zdaje się, że to będzie zrzut jak w Hollywood. – Nawigator miał na myśli, że spadochroniarze nie będą mieli ze sobą sprzętu bojowego.

Stansell rozejrzał się uważnie, zdenerwowany, że nie zauważył tego pierwszy... Rangersi starannie wykonywali rutynowe czynności przedstartowe. Ani jeden z nich nie ugiął się jednak pod zawieszonym z przodu plecakiem, objającym mu się o kolana. Nie mieli także zaczepów z bronią, mocowanych z boku.

– Założyli tylko hełmy K – stwierdził pułkownik. Miał na myśli hełmy wykonane z kevlaru, jakich używała Armia USA. Rozejrzał się za dowódcą batalionu. – Nie jesteśmy tu na pikniku!... – mruknął.

– Teraz już za późno, żeby to zmieniać – zauważył Dunkin, patrząc na zegarek. – Za dziewięć minut zapuszczamy silniki.

Stansell skierował się do kabiny C-130 Dunkina. Prawe ucho śwędziało go

naprawdę.

Pentagon, Waszyngton

Cunningham czuł, że teraz wszystko zaczyna już układać się w całość. Jego gabinet opuścił właśnie generał Hoskins – brygadier kierujący OSI. Zapewnił swojego szefa sztabu, że Task Force Alpha w Nellis nie jest obserwowana przez żadnych obcych agentów. Mado zdążył ulepszyć jeszcze plan operacyjny Stansella, poprzez dodanie AWACS-a dla celów kontroli obszaru powietrznego i przekazywania komend. Upiększył także odpowiednio formę tekstu, aby wydawał się bardziej przekonujący w oczach biurokratów. Dzięki temu Stansell dysponował już wszystkim, co potrzeba, żeby jego operacja stanowiła poważną konkurencję dla tej, którą przygotowywała Delta Force. Cunningham polecił Mado dać operacji konkretną nazwę – operacja „Wojownik”. Niech wszyscy sądzą, że rozgrywamy coś w rodzaju kolejnego odcinka filmu *Shogun*, w ramach „Czerwonej Flagi” – myślał. Będzie to dodatek do image’u Stansella jako jednego z „Wojowników” ćwiczeń.

W pewnej chwili na biurku Cunninghama odezwał się interkom i sekretarka poinformowała go, że przybył pułkownik Ben Yuriden, zastępca attaché wojskowego Izraela do spraw lotnictwa. Generał poznał Yuridena, kiedy przekazywano Izraelowi pierwsze F-16. Nawet Cunningham wyczuwał, że Ben do reszty poświęcił się służbie ojczyźnie. Yuriden udowodnił swoje bohaterstwo podczas nalotu na iracki reaktor atomowy w czerwcu 1981, a także w walkach powietrznych nad doliną Beka w Libanie, w 1982, kiedy to Izraelczycy zestrzelili ponad trzydzieści MiG-ów, sami nie tracąc ani jednej maszyny. Generał postanowił zapytać kiedyś Yuridena, czy to prawda, że po ataku F-16 na dowództwo OWP w Tunezji organizacja ta groziła personalnie rodzinie oficera. Według plotki – czy może raczej legendy – Yuriden odpowiedział na to wykonując swoim myśliwcem samotny lot ku siedzibie grupy, która przekazała pogróżki jego bliskim, i zrzucając pojedynczą bombę na tylne podwórko dowódcy OWP, kiedy nikogo nie było w domu. Było to dla Palestyńczyków wystarczające ostrzeżenie. Dowiedzieli się czegoś na temat możliwości izraelskiego wywiadu, celności bombardowania oraz samego Bena Yuridena.

– Dziękuję, że pan przyjechał, Ben – powiedział Cunningham, wyciągając dłoń ku mężczyźnie w średnim wieku, który wszedł do jego gabinetu. Yuriden wyglądał przeciętnie, zwracało uwagę tylko jego pełne wewnętrznej siły spojrzenie.

– Panie generale, dlaczego wezwał pan kogoś takiego jak ja? – zapytał Izraelczyk, który miał skłonność do szybkiego przechodzenia do rzeczy. Cunningham posiadał

tę samą cechę.

– Potrzebuję przysługi, koniecznie dyskretnej – zaczął. – Prawdopodobnie nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za nią. – Pułkownik milczał z nieokreślonym wyrazem twarzy. Nienawidzę walczyć z tobą na pokerowe miny, pomyślał Cunningham. – Jeden z moich oficerów tuła się samotnie po terytorium Iranu; muszę przekazać mu wiadomość. Czy wasi ludzie mogą to dla mnie zrobić? – Szef sztabu stwierdził bowiem, że operacja „Wojownik” ma największe szanse powodzenia, jeśli na jeńców będą czekały przygotowane zawczasu ciężarówki czy też autobusy. Task Force Alpha mogła przywieźć pojazdy, jednak najlepszym rozwiązaniem byłoby mieć je na miejscu. CIA oznajmiła, że nie pomoże w tym w żaden sposób. Cunningham wpadł wobec tego na pomysł, że może udałoby się to kapitanowi Carrollowi, pod warunkiem, że zdoła się z nim skontaktować.

– Kapitan William Carroll – odpowiedział Yuriden. – W tej chwili nie znajduje się w Iranie, tylko – z tego, co słyszę – u irackich Kurdów z plemienia Jalali. Tak, jesteśmy w stanie przekazać mu wiadomość. Czy może pomóc wam jeszcze w jakiś inny sposób?

Cunningham zachował niewzruszone oblicze. Oto zaoferowano mu możliwość, na którą nawet nie liczył. Izrael dysponował najlepszą służbą wywiadowczą na Bliskim Wschodzie i oto szef sztabu Sił Powietrznych usłyszał ofertę skorzystania z jej pomocy. Wiedział, że nawiązanie kontaktu z Mossadem bez zezwolenia może rozgniewać niejednego w Waszyngtonie, postanowił jednak podjąć ryzyko.

– Potrzebuję około dziesięciu ciężarówek lub autobusów...

– W Kermanshah – zakończył za niego Yuriden.

Cunningham omal nie otworzył szeroko ust ze zdziwienia. Wprawdzie ufał izraelskiemu pułkownikowi, nie chciał mu jednak mówić, do czego potrzebne są pojazdy. Czy inteligencja Yuridena pozwalała mu domyślić się tego wszystkiego? Czy też pułkownik zajmował tak znaczącą, a zarazem szczególną pozycję, że przekazywano mu dane Mossadu? Czyli że wywiad izraelski śledził Task Force Alpha?

– Z pewnością pokieruje nimi Delta Force – dodał pułkownik bez mrugnięcia okiem. W ten sposób dwaj sojusznicy rozgrywali coś na kształt partii pokera. Lubili się osobiście i ufali sobie, żaden z nich nie mógł jednak wyłożyć na stół wszystkich kart.

Cunningham nic nie odpowiedział, myśląc z ulgą, że najwyraźniej Task Force Alpha na razie zdołała się ukryć nawet przed Yuridenem.

Bystry jak na goja, pomyślał sobie Izraelczyk, rozumiejąc delikatną sytuację, w jakiej znajdował się Cunningham.

– Czemu nie wykorzysta pan do zdobycia potrzebnych samochodów Carrolla z Kurdami? – zaproponował. – W rejonie Kermanshah żyje sporo Kurdów. Potrzebne im będzie tylko trochę pieniędzy.

– Czy zatem zabawi się pan dla mnie w listonosza i doręczy kapitanowi Carrollowi wiadomość ode mnie? – upewnił się generał.

Yuriden skinął głową, zastanawiając się już, w jaki sposób Izrael mógłby wykorzystać amerykańską operację uwolnienia jeńców do osłabienia swoich arabskich nieprzyjaciół.

Po wyjściu pułkownika Cunningham poprosił o przyniesienie z sejfu teczki z napisem OPERACJA WOJOWNIK. Przekartkował plan, patrząc, co już zostało osiągnięte, a co – jeszcze nie. Zastanowił się przez moment, czy nie popełnia błędu skrywając przed Mado, do czego zmierza. Zdecydował jednak, że lepiej będzie, jeśli młody generał nadal będzie sądził, że Alpha jest tylko przykrywką dla prawdziwej operacji. Cunningham oparł się wygodnie i złożył ręce na wydatnym brzuchu, rozważając następny ruch. Otworzył oczy, usłyszawszy pukanie Stevensa.

– Dick – powiedział szef sztabu – niech pan przekaże generałowi Leachmeyerowi, że z radością prześlę mu kilka szturmowych AC-130 dla wsparcia Deltę. Proszę też wysłać jednego do Nellis, dla Wojownika. Niech Dowództwo Lotnictwa Operacyjnego nawiąże kontakt z Turkami i uruchomi za dwa tygodnie nasze doroczne wspólne ćwiczenia obrony powietrznej. Tym razem proszę włączyć do nich AWACS-y i EC-130. – „Ćwiczenia” będą dobrą zasłoną dla operacji uwolnienia jeńców... Czy ja znowu nie wchodzę niepotrzebnie w szczegóły? – zastanowił się Cunningham. Czy nie próbuję robić za dużo osobiście? W końcu mam pełno generałów dywizji i broni...

Stevens odwrócił się i odmaszerował. Nie zanotował ani słowa. Zmierzch nie faworyzował tych, którzy robią notatki, tylko tych, którzy robią coś naprawdę.

Rozdział szesnasty

Dzień D minus 19

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Budynek „Czerwonej Flagi” był opuszczony, jeśli nie liczyć pokoju w sekcji wywiadu, zajmowanego zwykle przez Dewę. Sierżant odpowiedzialny za klucze sprawdził pozostałe pomieszczenia i zapytał Stansella, czy zapewni bezpieczeństwo drzwi wejściowych. W końcu zniknął za nimi, chcąc wreszcie udać się do klubu podoficerskiego na piątkowy wieczór.

Pułkownik wrócił do pracy nad szkicem więzienia w Kermanshah. Rysując go z pamięci starał się nie opuścić żadnego szczegółu. Po chwili porównał swoje dzieło z wykonanymi przez Pullmana polaroidem fotografiami makiety, którą kończono właśnie budować w dolinie Tikaboo.

Kiedy skończył szkic, mimochodem rysował dalej – niby od niechcienia powstał rysunek przedstawiający z półprofilu starszą córkę Stansella, Lisę, a po chwili do jej oblicza dołączyła twarz Marilee – młodszej córki Ruperta.

– Tęsknię za wami – powiedział cicho pułkownik. Zaczęły nachodzić go wspomnienia...

Złamał ołówek i wyrzucił jego połówki do kosza.

Odezwał się telefon, przerywając samotność Stansella. Ostatnio stanowiła ona, wraz z poczuciem straty, ważny element jego życia.

– Słucham? – Dzwonił nocny kierownik klubu oficerskiego, informując Ruperta, że jeden z jego ludzi upija się w coraz bardziej nieprzyjemny sposób i pytając, czy pułkownik sam nie zdołałby opanować sytuacji, zanim będzie konieczne wezwanie żandarmerii. Stansell trzasnął więc słuchawką i wybiegł na dwór.

Przy barze w klubie oficerskim siedzieli tłumnie piloci myśliwców biorący udział w „Czerwonej Fladze”. Opowiadali sobie ostatnią przygodę wojenną przeżyta nad pustynią Nevady. Tymczasem kierownik klubu wskazał na narożny stół zajmowany przez niejakiego kapitana Jamesa Bryanta, zwanego „Gromem”. Otaczała go pusta przestrzeń – coś na kształt strefy bezpieczeństwa.

– Jest pijany jak bela – poinformował szef klubu. – Barman odmówił dalszego obsługiwania go; wtedy kapitan sam sobie nalał. Jeden z jego kolegów usiłował przemówić mu do rozsądku, ale pogorszyło to tylko sprawę. Zadzwoń teraz do

pana.

Stansell najpierw kupił sobie drinka, a następnie przecisnął się pomiędzy zebranymi i przysiadł do Bryanta.

– Zjeżdżaj, pułkowniku – powitał go tamten.

– Pójdę, jeżeli mi powiesz, co cię gryzie.

Grom skoncentrował wzrok na niedużym pułkowniku, który odezwał się do niego ciepło. Miał ochotę go pobić. Stansell pociągnął drinka i czekał. W końcu Bryant sięgnął z trudem do kieszeni i wydobyl z niej pogniecioną, złożoną na czworo kopertę. Rzucił ją na stół.

– Czytaj.

Jako nadawca podpisana była kancelaria adwokacka z Wilmington, w stanie Delaware. Rupert wygładził kopertę i nie zaglądając nawet do środka powiedział:

– Ja też taką dostałem, kiedy opuszczała mnie żona.

– To znaczy, jesteśmy kumplami?

– Nie. To tylko oznacza, że ja też przeżyłem to, co ty teraz. – Stansell wstał: – Pozbieraj się i przestań uważać nad sobą. Przyjdź porozmawiać, kiedy wytrzeźwiejesz.

– Teraz... łatwo panu mówić!

– Tak sądzisz? Dwadzieścia minut temu rysowałem portrety moich córeczek. Nie będę mógł patrzeć, jak dorastają.

– To co mam, do cholery, robić?

– Przeżyć swoje cierpienie i starać się ile sił, żeby nie zranić nikogo więcej.

Rozdział siedemnasty

Dzień D minus 18

Północno-wschodni Irak

Stary Kurd przykucnął koło lepianki, w której leczyła Zakia, i naszkicował patykiem na ziemi rozkład pomieszczeń w budynku dowództwa irackiej dywizji. Carroll był przekonany, że to współpraca z tym człowiekiem zadecyduje o ewentualnym udzieleniu przez Mullę Haqui pomocy.

Po rozmowie z Haquim Amerykanin chodził po całej wiosce i pytał, czy ktoś nie ma przypadkiem krewnego w Irbil – niedużym mieście, gdzie stacjonowała iracka dywizja strzelców. Pewna młoda kobieta odpowiedziała, że w Irbil pracuje jej wuj, jako śmieciarz. Z pomocą Zakii Carroll i młoda Kurdyjka dotarli do jedyne go znajdującego się w okolicy telefonu, odległego o dwadzieścia kilometrów od wioski, i skontaktowali się z człowiekiem z Irbil.

Dwa dni po telefonie stary krewny Kurdyjki przybył do obozu. Był bardzo zmęczony, jednak aż palił się do tego, żeby powiedzieć współplemieńcom, co wie. Kiedy skończył, wziął się pod boki, zadowolony z tego, że może pomóc swoim rodakom, i z tego, że w końcu ktoś poszedł po rozum do głowy i zapytał go, jak się sprawy mają.

Carroll powiedział Kurdom, że trzeba zaatakować dowództwo irackiej dywizji. W tym celu należy dać Irakijczykom jakiś cel, którym się zajmą, oraz podać im fałszywe dane. Spytał, w jakie informacje wierzą Irakijczycy.

– W to, co widzą – odparł jeden z mężczyzn – iw to, co wyciągną z torturowanych Kurdów.

– Czy schwycili ostatnio kogoś z Pesh Merga? – wypytywał Bill.

– Cztery dni temu – odpowiedział mu Mustafa. – Nazywa się Rashid Shaban. Prędeziej umrze, niż powie im choćby słowo...

– Czy chcielibyście uwolnić Rashida? To będzie trudne, a poza tym Irakijczycy będą się mścić.

Wokół Amerykanina rozpętała się burza słów, okrzyków, ożywionych gestów. Carroll nie mógł zrozumieć, o co chodzi, aż wreszcie zaczął wyłapywać poszczególne wypowiedzi. Mężczyźni nie kłócili się, czy należy uwalniać ich towarzysza, tylko sprzeczali, jak to zrobić i kiedy. Bill szybko narysował więc na ziemi swój plan, od

czasu do czasu prosząc o podanie mu jakiejś szczegółowej informacji.

Kurdowie jeden po drugim zaczęli milknąć i przyglądać się mapie, która powstawała u ich stóp.

– Wuju – odezwał się Amerykanin do starego śmieciarza z Irbil – czy potraficie przekazać Rashidowi wiadomość? – Tamten splunął tylko w odpowiedzi. Carroll stłumił uśmiech.

Las Vegas, Nevada

– Co tak pana gryzie, panie pułkowniku? – zagadnęła Dewa, siadając za swoim biurkiem w budynku 201. W tym momencie zobaczyła portrety córek Stansella i pożałowała zadanego pytania.

Rupert pokręcił głową.

– W porządku, niech się pani nie przejmuje – powiedział. – Jednak nie podoba mi się to, co się tu dzieje – dodał, podnosząc wzrok na Pullmana, Bryanta i Locke'a. – Ani ten czwartkowy „hollywoodzki” zrzut, ani to, co słyszę w sprawie wczorajszego wieczoru w „Czerwonym Ogierze”. Rangersi wywołali burdę na parkingu! Musimy napęłnić naszych ludzi zapalem, zespolić ich w dobrze współpracującą drużynę, sprawić, żeby zależało im na tym, co robimy.

– Może po prostu powie im pan, że mamy wyzwolić jeńców? – zaproponował Locke.

Rahimi zaczęła gmerać w leżących na biurku papierach, żeby uniknąć wzrokowego kontaktu ze Stansellem. Czy wyjawi swojemu sztabowi prawdę? Jeśli nie, będzie oczywiście dalej dla niego pracowała, ale w przyszłości...

Pułkownik odczuł w tym momencie brzemię sprawowania dowództwa. Trudno było powiedzieć oficerom, że Task Force Alpha to tylko osłona prawdziwej operacji, a jednocześnie powiadomić ich, że Cunningham zamierza to zmienić...

– Zostaliśmy sformowani, żeby osłaniać działania Delta Force – wypalił. – Oficjalnie to oni są jak na razie wyznaczeni na wykonawców misji uwolnienia jeńców.

Dewa popatrzyła na Ruperta błyszczącymi oczami.

– O, choleera!... – wydobył z siebie Pullman, przypominając sobie dzień, kiedy do Stonewood zawitał Locke.

– Ta „osłona” kosztowała mnie małżeństwo! – warknął Bryant, patrząc na Stansella groźnie. Zreflektował się jednak – to nie pułkownik rozbił jego związek.

Locke pokręcił głową.

– To pan cały czas wiedział, że...

– Nie. Zrozumiałem to w poniedziałek, kiedy Dewa skojarzyła kilka faktów. Poleciałem we wtorek do Cunninghama, żeby wyjaśnić sprawę. Zmierch potwierdził nasze przypuszczenia i powiedział coś jeszcze. Rzeczywiście, zostaliśmy początkowo sformowani dla osłony działań Delta Force...

– Gówniana, pozorowana operacja!... – rzucił Pullman.

– Szefie, niech pan chwilę posłucha. Inwazja na Normandię w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym udała się dlatego, że Niemcy śledzili poczynania Pattona, który odwracał tylko ich uwagę. Mylenie przeciwnika to jedno z naszych ważnych zadań – tłumaczył pułkownik, powtarzając myśl usłyszaną od Dewy. – Jednak pomiędzy Task Force Alpha a Pattonem jest podstawowa różnica – jego armia istniała tylko na papierze i w fałszywych wiadomościach, jakie przekazywano, a my – ćwiczymy naprawdę.

– Wielkie mi co!... – burknął sierżant.

– Bardzo wielkie – nie ustępował Rupert. – Dlatego, że jeżeli okazemy się wystarczająco dobrzy, Cunningham popatrzy na nas poważnie i zastanowi się, kto naprawdę powinien zostać wysłany do Iranu. Jednak musimy wszyscy na to zapracować.

– Chce pan opowiedzieć całą tę historię żołnierzom? – zapytał Bryant.

– Jeśli będę musiał. Ale wolałbym tego nie robić – cała sprawa może się wydać i spalić na panewce.

– To niewykluczone – włączyła się Rahimi. – Są meldunki o obcych agentach obserwujących Delta Force. OSI – Biuro Dochodzeń Specjalnych – mówi, że my pozostajemy ciągle czysti.

– Operacja Delta Force może się wydać? – upewnił się Locke. Rozumiał, co by to znaczyło... – W takim razie zostaje.

– A niech to...! – mruknął Pullman, który także rozumiał, jaka ewentualność się rysuje. – Co tam, te dwa tygodnie więcej... Bryant nie powiedział nic. Już nie musiał.

A Stansell po raz pierwszy od czasu, gdy był w Ras Assanya, poczuł, że wysoka, niewyraźna postać o nazwisku Waters przestała mu wreszcie zaglądać przez ramię.

– Od dzisiaj zabieramy się do ludzi. Grom – pan od tej pory żyje z załogami C-130. Niech pan weźmie pułkownika Mallarda i tego wariata nawigatora...

– „Pijaka” Dunkina – podpowiedział Bryant.

– Właśnie. Przeprowadźcie serię lotów na minimalnej wysokości, żeby wyćwiczyć poruszanie się w obrębie irańskiej przestrzeni powietrznej. Będzie pan musiał obejrzeć mapę zasięgu irańskich radarów kontroli obszaru i znaleźć dla nas luki. Jack – F-111 i F-15 należą do pana. Wszystko mi jedno, skąd będą te F-15, byle pilotowali je najlepsi, a pan ich przygotował. Szefie, my od dzisiaj zajmujemy się Armią. Jak

idzie budowa makiety?

– Mam już prawie skończone: przedni odcinek muru, cztery wieże wartownicze i budynek z celami. Kształt i orientacja doliny Tikaboo są zbliżone do tej w Kermanshah. To także wyjątkowo odludny teren – blisko Krainy Marzeń.

– Krainy Marzeń? – powtórzyła Dewa.

– Wyśnionego świata generałów Sił Powietrznych – tłumaczył sierżant. – Bada się tam supernowoczesne wynalazki i takie różne... Nikt się tam nie zbliża. Podpadamy pod ich parasol, że tak powiem. Zanim ukończymy makietę, rangersi mogą ćwiczyć na lotnisku zapasowym Indian River; znalazłem tam stare więzienie. W barakach z czasów drugiej wojny światowej jest dwanaście cel, które można spokojnie wysadzić.

Lotnisko zapasowe Indian River, stan Nevada

Samotny hercules przelatywał przez wyłom w paśmie Spotted Range, przechodzącym o trzynaście kilometrów na północny zachód od lotniska. Znalazł się na osi południowo-wschodniego pasa startowego, wzniósł na wysokość trzystu osiemdziesięciu metrów i zwolnił do prędkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Kapitan Kowalski – poinformował Pullman. Potrzebny był tylko jeden C-130 i Kowalski wygrała losowanie.

– Dobrze to wygląda z tej odległości – przyznał Stansell.

Przez drzwi dla spadochroniarzy wyskoczyła pierwsza dwudziestka rangersów; po dziesięciu z każdej strony, w jednosekundowych odstępach. Następnie wielki transportowiec zawrócił i wypuścił jeszcze pięciu. Nawet z odległości prawie czterystu metrów w linii pionowej widać było, że jako ostatni skoczył pierwszy sierżant Victor Kamigami – szef batalionu. Pierwszym natomiast, który wylądował na ziemi, był Robert Trimler – młody, atletycznie zbudowany kapitan, którego Gregory wybrał na dowódcę grupy ratunkowej. Jako drugi opadł na ziemię zastępca Trimlera – podporucznik George Jamison, odważny Murzyn, absolwent West Point sprzed dwóch lat. Zameldowali się:

– Pierwszy pluton, kompania Alpha, sir! Jesteśmy pańską drużyną „Romeo”! – Trimler nie salutował. Obowiązywał tryb bitewny.

– Cieszę się, że tym razem wszyscy macie ze sobą sprzęt bojowy, kapitanie – odparł Stansell. – Nie będzie więcej hollywoodzkich zrzutów. Gdzie pułkownik Gregory?

– W mieście; płaci kaucję za kilku naszych żołnierzy, którzy zostali aresztowani.

Wdali się wczoraj w barową awanturę.

– Kapitanie, czy rozkład dnia nie został dostarczony wczoraj?

– Tylko drużynie „Romeo”, sir. Pan pułkownik Gregory dał pozostałym wolną sobotę i niedzielę. Pierwszy weekend w Las Vegas...

Nadszedł Kamigami, wyglądając w pełnym rynsztunku bojowym wprost niesamowicie.

– Sierzancie... – Rupert skłonił głowę w jego stronę. – No dobrze, kapitanie. Jak mniemam, pańska drużyna składa się z ekspertów w szturmowaniu więzień...

– Z najlepszych, jakich mamy.

– Świetnie. Sierżant Pullman pokaże wam, z czym macie się zmierzyć. – Pułkownik pokazał na baraki. – Od tej chwili drużyna „Romeo” pozostaje w absolutnie niezmiennym składzie.

– Sir, podjęcie decyzji w tej sprawie należy raczej do pułkownika Gregory’ego... – upomniał Trimler.

– Pomówię z nim później.

Kamigami skłonił sztywno głowę i ruszył w stronę baraków, żeby obejrzeć cele. Jeden z podoficerów, który słyszał rozmowę, sierżant Andy Baulck mruknął:

– Pieprzony cudak bez ucha. – Kamigami usłyszawszy to wysunął palec w jego stronę, ucinając wszelkie dalsze komentarze.

Rozdział osiemnasty

Dzień D minus 17

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

– Grom, kochanie – odezwał się familiarnie Locke – jaka jest odległość od przedniego odcinka muru do głównego bloku więziennego?

Bryant pogmerał wśród stosu zdjęć i wykresów i znalazł odpowiednie dane.

– Trzydzieści metrów z kawałkiem. Trzydzieści trzy – trzydzieści pięć.

– Niedobrze – ocenił Jack. – GBU-15 zrobi za duże „bum”. Trzeba wybić dziury w ścianach czymś mniejszym niż dziewięćsetkilogramowa bomba. Inaczej wywalimy wszystkie okna w przedniej ścianie budynku, a odłamki mogą ją podziurawić. – Locke pracował na komputerze, korzystając z programu do oceny skutków eksplozji. GBU-154 – bomba kierowana na podczerwień i światło widzialne była najdokładniejszą bombą, jaką skonstruowano w USA, z tych, które nie są sterowane zdalnie. Niestety, jako jej jedyna głowica bojowa służyła Mark 84 – bomba zawierająca dziewięćset kilogramów materiału wybuchowego. Za plecami Locke’a stanęli Stansell i Bryant, zaglądając mu przez ramię.

Bryant zajął miejsce kolegi i przetestował eksplozję sterowanej zdalnie laserem wersji bomby Mark 82, o masie ładunku bojowego wynoszącej dwieście dwadzieścia pięć kilogramów.

– To będzie dobre – skomentował Locke. – Tylko że F-111 będą musiały krążyć i pokazywać laserem cel; chyba że będzie to robił ktoś na ziemi.

– Dobrze – powiedział tylko Stansell, postanawiając przekazać zarówno Mado, jak Cunninghamowi, że trzeba będzie posłużyć się bombami GBU-12 i zorganizować drużynę naziemną, która pokaże DMPI, czyli: „pożądany średni punkt trafienia”. – Rozpocznijmy ćwiczenia z bombami dwustudwudziestopięciokilogramowymi. Ja zajmę się resztą.

Dwie godziny później przysła Dewa, prosto z kościoła. Ramiona owinęła szalem z czarnej koronki. Rupert przez chwilę wpatrywał się w dziewczynę, oszołomiony jej delikatnym pięknem. Panna Rahimi sprowadziła go na ziemię, mówiąc:

– Pułkownik Gregory zebrał swoich oficerów w przyczepie. Zdaje się, że czyta im fragment regulaminu dotyczący burd, w związku z wczorajszą nocą.

– On chce być Pattonem – mruknął Locke.

– Najwyraźniej – zgodził się Stansell, sięgając do telefonu. – Zróbcie sobie małą przerwę. – Wystukał numer i poprosił Gregory’ego do siebie. Kiedy oficer rangersów się stawił, sztab Ruperta opuścił pokój.

– Za chwilę Szynga dowie się czegoś o pułkowniku Stansellu. Pozna to, co kryje się za jego spokojnym sposobem bycia – skomentowała Dewa.

– Panie pułkowniku – zaczął Gregory od progu – niech mi będzie wolno zapewnić pana, że zareagowaliśmy już odpowiednio na to, co zdarzyło się wczorajszej nocy w "Czerwonym Ogierze".

– Mam nadzieję – odparł zimno Rupert. – Cofnęło to postępy w naszym szkoleniu. Miałem dla was pracę do wykonania na wczorajszy ranek.

– Tak; jeśli chodzi o ćwiczenia spadochroniarzy bez mojej wiedzy oraz zamrożenie składu drużyny „Romeo”...

– Czy widział pan cele, na których ćwiczili?

– Nie, ale to nie ma związku z tematem. Najpierw mówi mi pan, że jestem naziemnym dowódcą tych ćwiczeń, a później pomija mnie i rozkazuje drużynie Trimlera skakać. W Armii nie pracujemy w taki sposób.

– Pułkowniku, kiedy potrzebowałem pańskiej aprobaty, nie było pana.

– Można było to odłożyć.

– Pułkowniku, nie wierzę, że jest pan aż tak kurewsko głupi – odparł Stansell spokojnym, niemal przyjaznym głosem. Nachylił się do przodu. – Czas nam się kończy. Proszę sobie przypomnieć; pierwszego dnia powiedziałem panu, że być może wyznaczą nas do prawdziwej akcji, prawda? – Gregory skinął głową. – Powinien był pan wyciągnąć z tego wnioski. Najwyraźniej potrzebuję kogoś, kto rozumie, w co gramy. Poproszę generała Leachmeyera, żeby zastąpił pana...

– Na miłość boską, panie pułkowniku, to byłby mój koniec! Z powodu zwykłych ćwiczeń?!

– Jeszcze pan nie rozumie. To nie są ćwiczenia.

– Rzeczywiście, nie rozumiałem... Ale już rozumiem...

Stansell oparł się wygodnie, zadowolony, że nie mylił się co do Gregory’ego. W ciągu następnych kilku minut opowiedział mu, jaka jest sytuacja Task Force Alpha.

– Panie pułkowniku; nie byłem w Wietnamie ani na Grenadzie... – zaczął Gregory. – To może być moja jedyna szansa poprowadzenia ludzi do walki. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo tego pragnę. Nie obchodzi mnie, czy dostanę awans na pułkownika i zakończę karierę w Pentagonie. Może i nie jestem mózgowcem i trzeba mi wszystko dokładnie tłumaczyć. Ale, u licha, potrafię walczyć i umiem dowodzić w polu. Bardzo chciałbym dostać tę szansę i zrobię wszystko według pańskiego

zdania.

– Dostaje pan ją – odparł Rupert.

– Czy mógłby pan pójść ze mną? – zapytał Gregory, wstając. Poszli we dwójkę do przyczep. Oficerów na naradę zwołał zupełnie odmieniony człowiek.

– Od tej chwili zaczynamy ćwiczenia do bardzo trudnej misji – rozpoczął odprawę. – Na razie nie wiadomo jeszcze wszystkiego, ale – to nie pewne, tylko możliwe – możemy dostać rozkaz jej przeprowadzenia. Jeśli nadejdzie, będziemy gotowi do jego wykonania. Mam nadzieję, że rozumiecie moje słowa, gdyż cel misji jest ze względów bezpieczeństwa utrzymywany w ścisłej tajemnicy. Drużyna „Romeo” będzie ćwiczyć szturm na więzienie. Kompania „Bravo” – zabezpieczenie lotniska i drogi. Później przećwiczymy zamianę tych ról. Wyprowadzić się z motelu. Za dwie godziny przenosimy się na Texas Lake.

Rupert wrócił do budynku 201, zadowolony, że podjął właściwą decyzję. Zrozumiał, że popełnił błąd nie informując Gregory’ego pierwszego dnia, jaka jest stawka. W budynku czekał Locke.

– Panie pułkowniku, wybrałem dla nas czterech pilotów z bazy Luke i czterech z Holloman. Zna pan jednego – Housermana, Węża. Wszyscy są tu, ćwiczą w „Czerwonej Fladze” i mogą przenieść się do nas w zupełnie naturalny sposób. Będą latać na własnych maszynach. Jutro chcę przyprowadzić z Luke model E, razem z moim oficerem uzbrojenia, Amblerem Furry. Przylecą też załogi F-111; mamy dwóch uczestników nalotu na Libię. – Kapitan był wyraźnie podekscytowany.

– A, i dostaliśmy jeszcze szturmowego AC-130. Możemy wykorzystać jego radia i zrobić z niego latające stanowisko kontroli i dowodzenia. Panie pułkowniku, to zaczyna grać; chyba nam się uda...

Rozdział dziewiętnasty

Dzień D minus 16

Kermanshah, Iran

Jefferson rozpoznał kroki, jeszcze zanim strażnik znalazł się w jego ograniczonym polu widzenia. Irańczyk zawsze zachowywał się tak samo – schodził ze schodów wcześniej rano, wchodził do sali, nasłuchiwał, żeby upewnić się, że z góry nie dolatują niczyje kroki. Następnie stawiał miskę i rozluźniał sznur, który trzymał rękę Nesbita w górze, i sierżant opadał całym ciałem na podłogę. Jego nadgarstki obniżały się o co najmniej pięć centymetrów. Strażnik masował nogi Nesbita i dawał mu pić, a potem karmił go łyżką jakimś wodnistym jedzeniem. Kiedy kończył z sierżantem, otwierał Pudełko i pomagał Jeffersonowi się wydostać. Podpierał go, aż krążenie zaczynało powracać do jego nóg, prowadził do obscurnego sedesu stojącego w kącie; wreszcie podawał chłopakowi miskę, pozwalając mu skończyć to, czym karmił Nesbita. Na końcu pokazywał na Pudełko i wtedy Jefferson rozumiał, że ich dobroczyńca zrobił już wszystko, co mógł.

Tego ranka jednak strażnik złamał swoją rutynę. Zaciągnął stołek w sąsiedztwo Nesbita i pokazał Jeffersonowi, żeby usiadł, podczas gdy będzie jadł. Irańczyk odszedł tymczasem do schodów i siadł na stopniu.

– Pułkownik Leason przekazuje, żeby zaczął pan mówić – odezwał się Jefferson cichutko. – Niech pan powie, co musi, żeby przestać wisieć na tych pieprzonych linach.

Nagle na schodach rozległ się szybki stukot butów. Strażnik zerwał się, z paniką w oczach. Jefferson odstawił miskę i pognał do Pudełka, a strażnik natychmiast go zamknął.

Mary Hauser leżała na zimnej podłodze, z uchem przyciśniętym do szpary pod drzwiami celi. Doktor Landis przesłał jej wiadomość, że spróbują rozmawiać pod drzwiami. Odkryli, że wczesnym rankiem, kiedy strażnik śpi i chrapie, mogą do siebie szeptać. Zimna podłoga zdawała się wzmacniać ich głosy. Doktor odezwał się:

– Strażnicy zgwałcili ośmiu ludzi w bloku więziennym. To rodzaj rutynowej tortury, która ma nas poniżyć, złamać naszą wolę oporu. Strach przed nią robi swoje.

– ...Doktorze, czy pan też był w tej ósemce? Nastąpiła chwila przerwy.

– Tak.

– Nie powinnam pytać.

– Kiedy o tym mówię, lepiej mi.

– On... – Zmuszała się do mówienia. Chciała pomóc Landisowi i sobie, dzieląc się z nim straszliwym doświadczeniem. – Mnie kazał to zrobić trzy razy. Pytania, bicie, rozbieranie i... i ten...

Przestali rozmawiać, słysząc dochodzące z góry krzyki. Strażnik obudził się, podszedł do schodów i zaczął rozmawiać z człowiekiem stojącym piętro wyżej. Słychać było, że zaczyna wchodzić na górę.

– To Mokhtari – szepnęła Mary. – Zrozumiałam słowa: „Zastrzelić więźnia”.

– A ja słowo: „Strażnik”. Mokhtari chyba wpadł w szal.

Żadne z nich nie mówiło już o nowych lękach, jakie zaczęły ich ogarniać.

Langley, stan Virginia

Raport opisywał szczegółowo, jak Nasir Askari załamał się po siedemdziesięciu dwóch godzinach i trzydziestu dwóch minutach spędzonych w celi numer jeden, ustanawiając nowy rekord. Technicy zmieniali się akurat w piątkowy wieczór i o mało nie przeoczyli pierwszych objawów – szybkich, niespokojnych ruchów, po których nastąpiły stłumione jęki. W poniedziałkowy poranek raport był już gotowy, a większa część danych zweryfikowana. Dokument spoczywał na biurku Camma.

– Susan – odezwał się Allen – górna szuflada. Jestem zaskoczony liczbą agentów Dżihadu na terenie Stanów. Naprawdę dobrali się do Połączonej Agencji Operacji Specjalnych.

– Cóż, nie myślą się co do JSOA; chociaż, terroryści powinni się jej bać. Może będziemy potrafili sprawić, że nas także zaczną się bać. – Szef panny Fisher milczał. – Spodziewamy się, że Islamska Partia Republikańska przekaże ILPR część jeńców w zamian za poparcie w Radzie Strażników. Przemieszczamy „Głęboką Bruzdę” na miejsce, żeby uwolnić tych jeńców, którzy zostaną przekazani.

– Jak?

– Mają ich wieźć samolotem. Planujemy porwać ten samolot, razem z Amerykanami. Będzie to wyglądało tak, jak gdyby rozłamowa grupa Islamskiej Partii Republikańskiej zaprotestowała w ten sposób przeciwko oddawaniu jeńców.

– Ilu jeńców ma lecieć tym samolotem?

– Przypuszczamy, że około połowy.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Kontynuuj działania. – Wicedyrektor CIA widział przyszłość w coraz jaśniejszych barwach.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Śmigłowiec Huey zawisł nad końcem pasa. Kiedy wieża dała mu pozwolenie na lądowanie, przeleciał parę metrów nad ziemią do budynku 201, aż w końcu osiadł na płycie niedaleko niego. Stansell i Pullman wyskoczyli z maszyny i wybiegli z pochylonymi głowami spod obracających się łopat wirnika. Wrócili właśnie z porannej inspekcji Texas Lake. Skierowali się do gabinetu Stansella.

– Jak tam na jeziorze? – zagadnął Bryant, kiedy pułkownik wszedł do przyczepy.

– Dużo się dzieje; chyba ktoś dał im kopniaka – odparł Rupert. Bryant wyczuł u swojego dowódcy nowy zapach.

– Panie pułkowniku, przyleciały załogi F-111. Czekają w sekcji wywiadu – poinformował.

Rupert udał się wobec powyższego do sekcji wywiadu. Jednak kiedy wszedł do pokoju Dewy, rodząca się w nim pewność siebie znikła w jednej chwili...

– Kopę lat, Mark – powiedział, potrząsając dłonią podpułkownika Marka Von Drexlera. Poznał go, kiedy obaj byli jeszcze kadetami w Akademii Sił Powietrznych. Nauczył się go nie lubić, gdyż Von Drexler wykorzystywał innych i manipulował nimi, żeby samemu choćby odrobinę się wybić. Był z niego prawdziwy krętacz. Jego obecność oznaczała kłopoty...

Pentagon, Waszyngton

Było to przypadkowe spotkanie. Pewien generał armii wpadł na pewnego generała dywizji Sił Powietrznych, który dla niego pracował.

– Simonie – powiedział Charles Leachmeyer – nie widuję pana ostatnio. Niech pan wpadnie, kiedy będzie mógł, to porozmawiamy. – Obaj mężczyźni wiedzieli dobrze, że to coś więcej niż tylko grzecznościowe powitanie. Simon Mado poszedł więc z Leachmeyerem do jego gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Cholera, Mado, wokół Fort Bragg kręci się co najmniej czterech radzieckich agentów obserwujących Delta Force. Zdawało mi się, że mieliśmy nakłonić ich do skupienia uwagi na waszych ludziach w Nellis – rozpoczął niemiłą rozmowę Leachmeyer.

– Nie zwrócili uwagi na Task Force Alpha. Stansell schował się daleko na pustyni.

– Przecież mieliśmy wywołać kontrolowany przeciek, żeby nie dopuścić do takiej sytuacji.

– Sam pan wie, panie generale, że prezydent zabronił tego.

– Niech pan posłucha, Simon. Pomogłem panu w karierze. To dzięki mnie znalazł się pan w JSOA i ja nauczyłem pana właściwego spojrzenia na sprawy. Jak często

zdarza się, że oficer Sił Powietrznych trafia pod opiekę człowieka z Armii, który grywa w pokera z prezydentem Stanów Zjednoczonych? Niech no mi pan teraz odplaci za tę cholerną uprzejmość i zaopiekuje się Delta Force. To eksperci od operacji ratunkowych. Moi eksperci. Lepiej, żeby byli także pańskimi.

Kiedy Mado wychodził z gabinetu generała, był wstrząśnięty. Czego właściwie, do licha, oczekiwał od niego Leachmeyer? Simon trzasnął po kolei wszystkimi drzwiami, które prowadziły do jego biura. Zatrzymał się przy biurku swojego adiutanta i powiedział:

– Ha! czy pamięta pan rozkaz sprzed kilku dni, dotyczący posłania do Turcji GBU-15 dla ćwiczeń „Wojownik”? – Major skinął głową i napiął się – widywał już Mado w podobnym nastroju. – Proszę go anulować i wysłać w zamian dwanaście GBU-12.

– Sir, jaki priorytet ma ta sprawa? Pracuję jednocześnie nad siedmioma innymi, które powinny być załatwione na wczoraj i...

– Za co panu płacę, do cholery? – uciął Mado.

– Niech pan lepiej się zastanowi, czego chce – mruknął cicho major za odchodzącym generałem. Zanotował sprawę i pomyślał na głos:

– Wygląda na mało pilne.

Major zdecydował, że najprościej będzie dać spokój tym dziewięćsetkilowym GBU-15; niech sobie lecą do Turcji. Zamówi po prostu do tego dwanaście dwustudwudziestopięciokilogramowych GBU-12, kiedy będzie miał wolną chwilę. Nie miał zamiaru rozchorować się z powodu jakichś tam ćwiczeń i pewnego rozzłoszczonego generała, którego nastroje zmieniały się wraz z pogodą.

Rozdział dwudziesty

Dzień D minus 15

Kermanshah, Iran

Wykonanie każdego ruchu sprawiało Nesbitowi ból. Nawet mruganie oczami. Słyszał strażników, wydobywających z Pudełka ciało Jeffersona. Mokhtari rozkazał pozostawić obydwa trupy – Jeffersona i strażnika – na podłodze piwnicy. Po paru godzinach zeszywniały. Wtedy wszyscy strażnicy musieli przejść przez piwnicę i zobaczyć na własne oczy, jaka jest kara za nieposłuszeństwo. Nesbit przez cały czas wisiał na linach.

– Sierżancie – odezwał się zza jego pleców Mokhtari. – Zaczyna mnie to męczyć. Skończymy teraz albo dołączysz do nich. – Wyciągnął pistolet i przeładował.

Nesbit wziął sobie do serca ostatnie słowa Jeffersona – wiadomość, dla przekazania której chłopak oddał życie. A jednak tak bardzo nie chciał zrobić wrażenia, że się załamuje...

– Byłem kontrolerem na stanowisku dowodzenia – wydobył z siebie. – Opiekowałem się sprzętem elektronicznym, za pomocą którego porozumiewaliśmy się z dowództwem wyższego szczebla...

Mokhtari włączył magnetofon. Kiedy już poczuł się usatysfakcjonowany tym, co powiedział sierżant, wyłączył nagrywanie i skinął na strażnika, żeby szarpnął za linę, na której wisiał Nesbit.

– Będziemy kontynuować jutro – oznajmił naczelnik więzienia, pozostawiając sierżanta omdlewającego z bólu. Mokhtari przeszedł bezpośrednio do piwnicy budynku administracyjnego i zwołał na odprawę strażników zajmujących się przesłuchaniami. Był przekonany, że Hauser także zacznie tego dnia mówić i wtedy jego conocny raport, jaki przekazywał Radzie Strażników Rewolucji, okaże się nad wyraz bogaty.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

– Panie pułkowniku, nie wiem czy... – Mallard urwał, patrząc na stojącego przed nim kapitana. Stansell poprosił młodego oficera, aby zaczekał na zewnątrz, nie chcąc dyskutować pewnych spraw w jego obecności. Mężczyzna zaszalutował i opuścił

przyczepę.

– W porządku, Kaczka, co pana niepokoi? – zachęcił Rupert.

– Rozumiem, że możemy wykorzystać AC-130, panie pułkowniku – zaczął Mallard. – Taki samolot szturmowy daje nam potężną siłę ognia... Jednak dowodzi nim Całus, Hal Beasely.

– To dobry pilot?

– Najlepszy z możliwych, ma naturalne zdolności. Znałem go jako porucznika, jeszcze zanim przeszedł na AC-130. Ale miał wtedy złą sławę i ma ją nadal...

– Na czym polega kłopot?

– Lata za spódniczkami, to kobieciarz pierwszej wody. Pieprzyłby wszystko, co się rusza. A nawet stos drewna, gdyby zdawało mu się, że coś w nim siedzi. A jeśli chodzi o alkohol, to tylko „Pijak” Dunkin mu dorównuje.

– To po co trzyma go pan w swojej załodze?

– Bo to najlepszy nawigator w całych Siłach Powietrznych.

– Skoro Beasely jest świetnym pilotem, to go zatrzymujemy. Zamierzam użyć AC-130 jako latającego stanowiska dowodzenia i kontroli oraz posadzić na jego pokładzie generała Mado i Groma. – Mallard pokręcił głową. – Czy to stwarza problem? – zdziwił się Stansell.

– Panie pułkowniku, chcę tylko, żeby wiedział pan, jak się sprawy mają. Otóż Całus zupełnie nie szanuje tak zwanej władzy stanowionej. – Rupert nawet nie mrugnął okiem. – No to dobrze, zatrzymajmy go; to najsympatyczniejszy sukinsyn, jakiego pan w życiu pozna. Będzie pasował do tej gromady pomyleńców.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dzień D minus 14

Kermanshah, Iran

Doktor Landis usłyszał, że strażnik chrapie. Znowu zaczął zapadać w poranną drzemkę.

– Mary, porozmawiaj ze mną – szepnął pod drzwiami, przyciskając policzek do wilgotnego betonu. Usłyszał biegnącego gdzieś w ciemności szczura. – Mary?

– Potrzebuję pomocy, doktorze... – odezwała się Hauser słabym głosem. – To było okropne, najgorsze od początku... Cały czas krwawię. O Boże, mieli nawet kamerę, sfilmowali to. Potem jeszcze musiałam to oglądać. Nie wiem, ile jeszcze zdołam...

– Co im do tej pory pani powiedziała? – Nic. Jeszcze nic.

– Niech pani zacznie mówić. Niech nie dochodzą do fazy bicia. Lepiej dawać im za każdym razem trochę informacji. Spróbuje je pani przehandlować za odrobinę ulgi. Zobaczymy, czy pozwolą mi panią leczyć.

– Ale..

– Żadnych „ale”. Proszę tak zrobić.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Szef mechaników, sierżant sztabowy Raymond Byers usunął spod kół kliny, uwalniając myśliwiec. Pokazał pilotowi, żeby ruszył naprzód, a później, żeby się zatrzymał. Byers pobiegł pod skrzydła i przejechał dłońmi po oponach, upewniając się, że są czyste i nie mają nacięć. Obrzucił F-15 swoim wyćwiczonym wzrokiem, sprawdzając go po raz ostatni. Ptaszek był gotowy. Byers wybiegł więc przed maszynę z jej lewej strony, pokazał pilotowi uniesione kciuki i wycofując się dał znak, żeby oficer zaczął kołować w stronę ścieżki, po której posuwał się już szereg samolotów.

Sierżant musiał niechętnie przyznać, że odrzutowiec jego długoletniego kolegi, Tima Wehra, wygląda równie dobrze. Timmy zdołał odprawić swojego F-15 w równie krótkim czasie. Dwaj sierżanci utrzymywali dwa najlepsze myśliwce w całej stacjonującej w Holloman jednostce.

– Sie manko, Timmy! – rzucił donośnie Raymond. – Glanc wygląda. Nasi piloci

dadzą popalić tym gówniarzom z Luke.

Timmy dołączył do niego i spytał:

– Widziałeś kapitana Locke'a? Siedział w tym E, który wyleciał przed chwilą. Ty, co powie Stansell, jak nas zobaczy?

– A co mnie to obchodzi?

Locke obserwował cztery F-15 z bazy Luke, wykonujące bojowy patrol powietrzny na małej wysokości, osłaniając szereg herculesów, lecących tuż nad pustynią środkowej Nevady. Oficer uzbrojenia, Ambler Furry, komentował na bieżąco wydarzenia z tylnego fotela samolotu Jacka:

– C-130 są dokładnie na kursie. Pierwszy trzyma się tak równiutko, jakby wykonywał lądowanie precyzyjne.

– To ten „Pijak” Dunkin z załogi Mallarda. Nawigator, o którym ci opowiadałem.

– Locke ogarnął wzrokiem cały zespół samolotów, oceniając, jak idzie współpraca załóg transportowców i myśliwców. Wypatrywał też na niebie czwórki maszyn z bazy Holloman, które miały za zadanie zaatakować zmierzającą do celu wyprawę.

– Mam ich na TEWS – poinformował Furry. – Są na naszej dziewiątej.

Locke skręcił w stronę zbliżających się przeciwników. Jego radar APG-70 wykrył cztery F-15 już pierwszą wysłaną wiązką. W radiu odezwał się głos Housermana, wzywającego swoich pilotów do ataku na maszyny z Holloman. Cztery „Orły” opuściły C-130, wznosząc się stopniowo.

Locke zdenerwował się.

– Waż potrafi reagować lepiej. Osłona myśliwska miała zachowywać ciszę radiową i pozostać z herculesami do czasu, aż chłopcy z Holloman odnajdą ich i zobaczą gołym okiem. A F-15 z Holloman miały zachowywać się jak samoloty irańskie i nie wykorzystywać swoich możliwości.

– No tak – mruknął Furry. – Ale na pewno o tym zapomnieli. Czterdzieste Dziewiąte użyło wszystkiego, żeby tylko nas znaleźć. Patrz, dobierają się do siebie. – Furry patrzył na osiem krążących wściekle niczym chmara os F-15.

– Zostaniemy z C-130 – zdecydował Locke.

Kontroler poligonu siedzący w przyczepie służącej za wieżę kontrolną wcisnął guzik mikrofonu.

– Zezwalam na atak – powiedział, starając się dostrzec F-111 nadlatujący w stronę służącego za cel wraku czołgu.

– Tam – odezwał się Stansell, pokazując na południe. Ze szklanej wieżyczki na dachu przyczepy widać było przesuwający się tuż nad powierzchnią pustyni

samolot. – Wzbija pył – dodał. Istotnie, za F-111 ciągnęło się pasmo poderwanego zaburzeniami powietrza piachu.

– Jesteś na zielonym – poinformował naziemny kontroler. F-111 podniósł się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, odległy początkowo od celu jeszcze o osiem kilometrów. Przez dwie sekundy samolot został poddany przeciążeniu czterech g. Manewr został wykonany perfekcyjnie.

– Bomba za burtą – odezwał się przez radio głos Doucette'a.

– Tym razem nie posługują się sterownikiem laserowym – powiedział do Stansella kontroler. – Bombardują wyłącznie przy użyciu radaru i komputera. Radar APQ-146 zF-111F to urządzenie o kosmicznych możliwościach. Oficer uzbrojenia nie powinien mieć kłopotów ze zniszczeniem naszego dzisiejszego celu.

– Potrafią odróżnić ten czołg od budynku, koło którego stoi? – zapytał Rupert, będąc pod wrażeniem słów kontrolera.

– Tak. Oficer naprowadza kursor na cel, uruchamia system, a komputer sterujący uzbrojeniem i nawigacją razem z INS wykonują całą resztę. System nawigacji bezwładnościowej wprowadza do komputera podczas wznoszenia dane o wietrze, prędkości względem ziemi, znoszeniu. Komputer ma w pamięci balistykę bomb, których używają, bierze pod uwagę przeciążenie i trzydzieści dwa razy na sekundę wylicza punkt wypuszczenia bomby. We właściwym momencie wyrzuca ją automatycznie. – Kontroler mówiąc obserwował przez lornetkę lecącą jeszcze bombę.

Czołg zniknął w chmurze dymu.

– Trafiony! – nadał kontroler.

– Po co im sterowanie laserowe, skoro i tak mają celność takiego rzędu? – zapytał Stansell.

– Daje im większą elastyczność i pozwala precyzyjnie korygować teoretyczne położenie celu. Poza tym pozwala pilotowi podejść z większym błędem. Kiedy leci się z prędkością prawie jednego macha, a nieprzyjaciel odpala w kierunku pilota wszystko co ma, nie zawsze daje się wykonać tak wzorowy manewr. Czasami trzeba zanurkować, a na pewno zygzakuje się, jak tylko się da. Na sto procent... – Kontroler patrzył ponad pustynią, przypominając sobie nalot na Libię z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, w którym brał udział.

Zgłosił się drugi F-111, pilotowany przez Von Drexlera. Stansell nasłuchiwał radia, podczas gdy maszyna nadleciała i zaczęła się wznosić.

– Leci pod ostrzejszym kątem niż Doucette – zauważył pułkownik.

– I to znacznie. – Kontroler pokręcił głową. – V.D. za mocno ciągnie za drążek – jest zbyt agresywny. Nie mieści się już w tej chwili w obszarze wypuszczenia bomby.

Komputer nie znajdzie żadnego rozwiązania. Nic z tego nie będzie.

– Kończę bez zrzutu – zameldował Von Drexler. – Awaria systemu.

– Akurat, awaria systemu – mruknął kontroler. – Nie zmienił się od czasu, kiedy latałem w Czterdziestym Ósmym. Nigdy nie przyznaje się do błędu.

– Nie zaskoczył mnie – przyznał Stansell, zastanawiając się, jakiej wymówki użyje „V.D.” składając raport z misji.

– Pewnie wrzeszczy teraz na swojego oficera uzbrojenia – dodał kontroler. – Von Drexlera nie obchodzi, czy bomba trafi w cel. On przejmuje się tylko tym, żeby wyjść cało i dobrze wyglądać.

Rozdział dwudziesty drugi

Dzień D minus 13

Irbil, Irak

Wyjeżdżający z dowództwa irackiej dywizji konwój nabierał szybkości, opuszczając granice miasta. Posuwał się w stronę pierwszego niewysokiego pasma wzgórz, leżących sześć kilometrów na północny wschód. Bill Carroll siedział na platformie rozklekotanej ciężarówce, na którą Kurdowie załadowali warzywa i dwie kozy, aby je sprzedać na targu w Irbil. Liczył mijające go z naprzeciwka wojskowe pojazdy. Ciężarówka musiała zjechać na bok, kiedy zbliżył się jadący na przedzie kołowy transporter opancerzony produkcji radzieckiej, BTR-60. Przejechało jeszcze pięć ośmiokołowych, ważących po dziesięć ton transporterów. Ostatni wycelował na wszelki wypadek w ciężarówkę swoje zamontowane w wieżyczce karabiny maszynowe kalibru 14,5 oraz 7,62 mm.

– Naliczyłem sześć transporterów – oznajmił Sindi.

– Prawdopodobnie w każdym znajduje się czternastu żołnierzy – stwierdził Amerykanin. Niepokoił się o zaplanowany i zorganizowany przez siebie atak. Podejrzywał, że w przypadku klęski Kurdowie obwiniają jego. – To dobry wóz pancerny, trzeba na nie uważać – pouczył. Mustafa wzruszył tylko ramionami. Jak wszyscy Kurdowie, członkowie Pesh Merga rzadko zastanawiali się, czy mają szanse w toczącej się bitwie.

Dwaj mężczyźni naliczyli jeszcze dwadzieścia cztery ciężarówki ZIL-157. Wewnątrz każdej z nich pełno było żołnierzy.

– W jednej ciężarówce jest około dwudziestu – dwudziestu pięciu ludzi – ocenił Sindi. – To dobre ciężarówki, mogłyby nam się nadać. – Przejechały dwa kolejne BTR-y. Jeden z nich był pojazdem dowódcy. Później pojawiło się jeszcze dwanaście ciężarówek, pękających w szwach od zapasów. Na samym końcu jechały cztery transportery.

– Rozdzielają personel i zapasy – skomentował Carroll. – Musimy zmienić taktykę. Zanim zaatakujemy, Irakijczycy powinni wysłać stąd więcej żołnierzy. – Wyszukał małe, polowe radio produkcji izraelskiej ukryte w worze warzyw i zaczął nadawać. Mustafa postukał w dach kabiny i zawołał do kierowcy, żeby wjeżdżał do miasta.

Ghalib al-Otaybi siedział w fotelu dowódcy sztabowego BTR-60, nasłuchując radia. Jego słuchawki tłumiły hałas dwóch silników GAZ-49B. Świeżo mianowany *muqaddam*, czyli podpułkownik, prowadził swoją pierwszą w życiu operację jako dowódca batalionu. Zarówno do stopnia wojskowego, jak i pełnionej funkcji doszedł dzięki koneksjom rodzinnym i przyjaciółom, którzy wcześniej zadbali o to, żeby doświadczenie bojowe Ghaliba w wojnie iracko-irańskiej ograniczyło się do czuwania nad bezpieczeństwem dowództwa.

Ruch na drodze wiodącej na targ w Irbil był taki sam, jak zwykle, a może nawet nieco mniejszy. Ustał zupełnie, jeszcze zanim konwój dojechał do pierwszego pasma niewysokich wzgórz. Następne jedenaście kilometrów dzielące Irakijczyków od leżącej u stóp stromej zbrocza wioski zostało pokonanych w założonym czasie. Otaybi nie zauważył niczego, co wskazywałoby na jakąkolwiek aktywność kurdyjskich partyzantów. Jednak wywiad podpułkownika mylił się, a więźniów skłamał. Ghalib dowie się tego, kiedy konwój powróci do bazy. Włączył nadawanie i rozkazał pojazdowi zmniejszyć odstęp, kiedy dowódca pierwszego BTR-a zameldował o dostrzeżeniu wioski.

Przed nimi kryło się ponad trzystu kurdyjskich bojowników, zmieniających pozycje po ostatnim meldunku radiowym Carrolla.

Kiedy tylna straż Otaybiego wyjechała z wioski, konwój został zaatakowany.

– Broń ręczna – zameldował przedni strzelec, zamykając właz i zajmując miejsce w wieżyczce. W aluminiowy pancierz wozu zabębnił grad kul kalibru 7,62 mm. Wszystkie odbiły się w powietrze, nie robiąc nikomu krzywdy. Strzelec omiótł wzgórze serią z cekaemu, podczas gdy kierowca przyspieszał. Trzy BTR-y ruszyły za dowódcą batalionu, a dwa następne zatrzymały się, tworząc dla niego osłonę. W ten sposób zatrzymały szereg podążających z tyłu ciężarówek. Wysypali się z nich ludzie, szukając w popłochu kryjówek.

Ostatni transporter konwoju znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów za wioską, kiedy zza skały wyskoczył szesnastoletni chłopak w turbanie, dźwigając ciemnozieloną rurę – amerykańską rusznicę przeciwpancerną, dostarczoną przez Izrael. W stronę odległego o trzydzieści parę metrów BTR-a poleciała mała rakietka. Irakijczycy nie zdążyli jeszcze zauważyć chłopca, kiedy pocisk przebił aluminiowy pancierz i zabił strzelca. Chłopak rzucił się do ucieczki, podczas gdy w transporter trafiły jeszcze dwie rakietki. Ostatnia wyrwała zawieszenie z lewej strony i toczący się wciąż dziesięciotonowy wóz obrócił się, blokując drogę.

Otaybi, ukryty bezpiecznie w pancernym pojeździe znajdującym się w środku konwoju, wydał rozkaz, aby żołnierze oczyścili teren w stronę wioski i samą wioskę, zabijając każdego zauważonego Kurda, uzbrojonego czy nieuzbrojonego, mężczyzn,

kobiety i dzieci.

Żołnierze przeczesujący wieś zameldowali, że nie zauważyli jakiegokolwiek podejrzanej aktywności. Wioskę zamieszkiwali „swoi” i nie znaleziono żadnych Kurdów. Dowódca batalionu ocenił, że to krótki, przypadkowy atak, który nie będzie w stanie go powstrzymać. Otaybi nabrał w ciągu lat służby przekonania, że Kurdowie nie są tak szaleńczo odważni jak Afgańczycy oraz zbyt słabi i mało zorganizowani, aby byli w stanie stawiać jakikolwiek zdecydowany opór. Podpułkownik polecił przez radio dwóm pędzącym naprzód BTR-om wracać, a pozostałym patrolować drogę. Większość żołnierzy powróciła do ciężarówek. Ciało zabitego strzelca ze zniszczonego transportera umieszczono w plastikowym worze. Udzielono pierwszej pomocy trzem lekko rannym i zabrano ich do wioski. Ciężko rannych nie było. Otaybi przekazał dowództwu dywizji w Irbil prośbę o karetkę. Jeden z BTR-ów zepchnął na bok blokując drogę wrak i konwój ruszył dalej.

Kurdowie, którzy pilnowali tyły konwoju, widzieli jeszcze ciągnący się za ostatnimi ciężarówkami tuman, kiedy zaczęli wyładowywać zniszczony transporter materiałami wybuchowymi. W pojeździe wciąż czuć było zapach krwi. Dopiero kiedy skończyli, przekazali Carrollowi, że można odciąć drogę.

Dwa posłane naprzód BTR-y dotarły w pół godziny później do odległego o dwadzieścia kilometrów mostu. Kiedy zameldowały o swojej pozycji, rozkazano przewożonym przez nie żołnierzom zabezpieczyć most oraz czekać na resztę konwoju. Pierwszy z transporterów przejechał brodem przez rzekę i wspiął się na drugi brzeg. Trzy kurdyjskie patrole obserwujące teren z różnych punktów wysłały tymczasem na tyły pieszych posłańców.

Kiedy reszta konwoju dojechała na miejsce, Otaybi posłał saperów, żeby sprawdzili most. Odnaleźli dwa duże ładunki przymocowane do dźwigarów środkowego przęsła; stwierdzili, że zapalniki są podłączone do małego nadajnika, i wycofali się. Dowódca batalionu posłał ich natychmiast z powrotem, aby rozbili ładunki. Dwie godziny później zdetonowali je kilometr dalej, w wąwozie, jaki tworzyła rzeka. Wówczas Otaybi uznał teren za dość bezpieczny, aby posłać ciężarówki przez most na drugą stronę, a nawet wyjść ze swojego transportera.

Nagle rozległ się gwizd nadlatujących pocisków mózdzierzowych. Wąwozem wstrząsnęły eksplozje, które zagłuszyły komendy Otaybiego. Wskoczył więc do wozu i zatrzasnął właz, pozostawiając swojego kierowcę na zewnątrz. Tymczasem most zniknął w chmurze dymu. Iraccy saperzy nie zauważyli stukilogramowego ładunku, który Kurdowie zakopali u podstawy dalszego filaru. Atak zakończył się nagle, równie szybko, jak się rozpoczął. Dowódca batalionu mógł teraz przyglądać się do woli ruinom mostu oraz większej części swojej jednostki znajdującej się

w ciężarówkach po drugiej stronie rzeki, razem z sześcioma BTR-ami, stanowiącymi przednią straż.

Otayabi złapał mikrofon i wydał żołnierzom rozkaz porzucenia ciężarówek i przeprawienia się z powrotem, brodem. Kiedy jadący na czele powracających BTR zaczął zjazd ku rzece, w jego uniesiony tył trafiła rakietą przeciwczołgowa Karel Gustav, kalibru osiemdziesiąt cztery milimetry, wybijając dziurę w przedziale silnikowym. Otaybi zobaczył strzelającą z pojazdu strugę ognia, a następnie usłyszał stłumioną eksplozję i dostrzegł, jak otwierają się oba włazy i ze środka wysypują się ludzie. Irackich żołnierzy owiała nowa seria kul, zmuszając ich do krycia się. Spadały pociski moździerzowe. Dowódca batalionu zaklął, sfrustrowany, kiedy spostrzegł znikającą za szczytem pagórka dwuosobową drużynę, która odpaliła raketę.

Nagle po raz kolejny zapadła cisza. Potem z tyłu odezwała się seria eksplozji, odbijając się echem od ścian wozu, aż zadygotał aluminiowy pancierz wozu Otaybiego. Podpułkownik krzyknął w panice do mikrofonu, próbując odzyskać kontakt z tylną strażą. Nie usłyszał jednak niczego. Otworzył więc przedni właz i rozkazał kierowcy wysłać drużynę, która sprawdzi, co dzieje się z tyłami. Nikt mu nie odpowiedział. Strach pozostał jego jedynym towarzyszem. Otayabi przełączył radio i nadał do Irbil błaganie o pomoc.

Zakia Sindi siedziała w budynku sąsiadującym z bazą w Irbil i prowadziła nasłuch radiowy, szukając komunikatów na różnych częstotliwościach taktycznych, używanych przez Irakijczyków. Usłyszała przerażony głos proszącego o pomoc Otaybiego. Przekazała wiadomość Carrollowi.

– Teraz musimy zobaczyć, jak zareaguje dowództwo dywizji – powiedział Amerykanin. – Jeśli nie wyślą mu wsparcia, kończymy atak i wycofujemy się. – Wolałby jednak mieć pewność. Trudno dowodzić opierając się na zgadywaniu...

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Pomieszczenie wypełnił delikatny, rytmiczny szum plottera. Dewa i Bryant odsunęli się, pozwalając Stansellowi przyglądać się, jak powstaje wydruk komputerowej mapy.

– Skąd wzięliście ten program? – zdziwił się pułkownik.

– To dzięki uprzejmości Agencji Map Departamentu Obrony – wyjaśnił Bryant – a także pracy panny Rahimi.

Rupert zobaczył, że drukuje się trasa z Turcji do Iranu, skracająca pośród gór Zagros.

– Największy problem to stacja radarowa w Maragheh – powiedział Bryant. – Trzeba jeszcze to rozpracować. – Wtedy Stansell zobaczył mapę stanu Nevada, na której narysowane były trasy podobne do założonej. Wyglądało na to, że załogi transportowców poradzą sobie, przynajmniej jeśli pogoda okaże się przychylna.

Do pomieszczenia zajrzał Jack Locke.

– Sir, muszę z panem porozmawiać. – Rupert skinął na niego, żeby wchodził. – Nie jestem w stanie zainteresować pilotów F-15 scenariuszem misji. Wolą walczyć przeciwko sobie niż eskortować herculesy.

– Za bardzo pokazują kły?

– Coś w tym rodzaju. Osłona wie, że ma pozostawać przy transportowcach, dopóki napastnicy nie zobaczą ich gołym okiem. Mówiłem tym atakującym, że do odnalezienia zgrupowania mogą posługiwać się tylko wskazówkami Centrum Kontroli Obszaru – tak jak jest w lotnictwie irańskim. Ale jedni i drudzy najwyraźniej zapominają o tym i używają wszystkiego, w co wyposażone są ich samoloty, żeby się znaleźć. Waż zostawił wczoraj herculesy bez osłony, zanim napastnicy znaleźli się w zasięgu wzroku. Niedobrze.

– Czy wymusiłeś jakieś rozwiązanie?

– Inne niż powiedzenie im, po co tak naprawdę tu są? Nie.

– Nie mogę tego zrobić. Wystarczy jedna zdawkowa rozmowa przy barze. Naciskaj ich, a ja spróbuję się tym zająć.

– Wiadomość z Texas Lake, sir – odezwał się Bryant. – Zdaje się, że wywiązała się bójka pomiędzy dwójką rangersów i parą dowódców ładowni herculesów. Pan pułkownik Gregory ucieszyłby się, gdyby pan przyleciał.

Texas Lake, stan Nevada

Kiedy śmigłowiec ze Stansellem wylądował w Texas Lake, Kamigami czekał na niego z jeepem i kierowcą. Dopiero kiedy pułkownik zajął miejsce w samochodzie, olbrzymi sierżant wskoczył na tylne siedzenie z zadziwiającą lekkością mimo to nieduży samochód aż przechylił się na bok. Kierowca ruszył w stronę namiotu dowództwa batalionu.

Kiedy Rupert wszedł, przy ścianie stało na baczność czterech mężczyzn. Siny ze złości Mallard oraz „Szynka” Gregory czekali razem. Gregory opowiedział Stansellowi o bójce, jaka rozegrała się przed namiotem mesy między dwoma członkami drużyny „Romeo” i dwoma dowódcami ładowni.

– Jeśli pan pułkownik sobie życzy, natychmiast budujemy szubienicę – zakończył.

– Jeżeli pan pozwoli, sir, zajmę się tym – odezwał się zza pleców Ruperta

delikatny głos. Należał do Victora Kamigamiego.

– Proszę bardzo, sierzancie – odparł Gregory. Kamigami pokazał na wyjście.

– Baulck, Wade – na dwór. – Dwaj mężczyźni wypadli przed namiot. „Kaczka” Mallard popatrzył na swoich lotników.

– I co wy sobie, do cholery, myślicie?

– Sir, jeden z tych palantów powiedział, że muszę być patentowanym pedałem, skoro latam z załogą złożoną z dziwek i...

– Petrowicz, nie obchodzi mnie, co oni powiedzieli. Mam ochotę przekazać was panu sierżantowi...

– Rozwiążę ten problem, sir – zaofiarował się Kamigami.

– Niech pan ich bierze.

Szef batalionu znowu pokazał na wyjście i powiedział:

– Tam zaczekajcie. – Lotnicy wybiegli z taką samą prędkością, jak ich poprzednicy.

– Przypuszczam, że woleliby raczej szubienicę – skomentował Stansell. – Jak postrzegacie panowie morale żołnierzy?

– To już druga bójka – przypomniał Mallard. – Pośród ludzi panuje za duże napięcie, nie ma poczucia zbiorowego wysiłku i współpracy.

– Jak, u licha, mamy to zmienić? – rzucił Rupert. Nie rezygnując z bezpieczeństwa operacji, dodał w myśli.

– Niech zagrają w futbol amerykański – zaproponował Kamigami na odchodnym.

– Kto zdoła przetrwać na boisku, ten wygra.

Irbil, Irak

Dowódca dywizji piechoty zmotoryzowanej trzasnął słuchawką. Czego ci idioci w Bagdadzie się spodziewają? Dysponował dywizją tylko na papierze. W rzeczywistości siły stacjonujące w Irbil mogłyby utworzyć niewiele ponad pół solidnego pułku. Wycofywali batalion po batalionie, żeby wzmacniać granicę z Iranem, a teraz oczekują, że odpowie jak dywizja radziecka, według modelu której Irakijczycy zorganizowali swoje wojsko. Gdyby to był ktokolwiek inny niż idiota Otaybi, ci politykierzy, te dupki, których Hussein i jego rada powybiali na generałów, zignorowałiby fakt, że batalion znalazł się w pułapce i wydaliby jego dowódcy rozkaz wywalczenia sobie drogi odwrotu. Atak on, dowódca garnizonu, musi przeprowadzić operację wsparcia na dużą skalę. Wszystko przez koneksje rodzinne Otaybiego.

Mimo to, nie warto było stracić życia tylko dlatego, że pozwoliło się, żeby Ghalib

al-Otaybi wpadł w ręce Kurdów.

Mustafa Sindi wskazał sylwetkę poruszającą się wzdłuż muru otaczającego budynku dowództwa dywizji. Reszta zgrupowania udzielającego wsparcia batalionowi przy moście opuściła bazę dwadzieścia minut wcześniej. Wieczór szybko ustępował miejsca mocy. Z początku Carrolla niepokoiło zuchwałe zachowanie się Kurdów. Wyglądali, jakby zupełnie nie przejmowali się ryzykiem, i zajmowali pozycje nie troszcząc się o irackich wartowników. Bill uspokoił się jednak, widząc, jak szybko mężczyźni znikają w ciemności.

Niewyraźna sylwetka przemieszczała się.

– Wszyscy są już na miejscu – zameldował Mustafa Sindi, trzymając nadajnik, który miał przekazać sygnał zdetonowania ładunków wybuchowych z "plastiku" – C4. Jeżeli wszystkie zadziałają, w murze powstaną wyłomy w wielu miejscach naraz. Pozostawało tylko czekać...

Trzydzieści siedem kilometrów dalej na południowy wschód tył kolumny irackich pojazdów minął wioskę i przejeżdżał właśnie obok zniszczonego BTR-a. Kurd, który pozostał we wsi, żeby zdetonować ładunki, we właściwym momencie wcisnął guzik nadajnika. Wyładowany materiałami wybuchowymi pojazd eksplodował, zabijając żołnierzy jadących na końcu oddziału wsparcia.

Głuchy odgłos poniósł się echem przez dolinę, docierając aż do Irbil.

– Zaczyna się – powiedział Sindi. Wesoły sposób bycia młodego Kurda gdzieś znikł. Teraz Mustafa był poważnym partyzantem.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł głos rozmawiającej przez radio Zakii. Po chwili weszła i oznajmiła:

– Dwie ciężarówki i ostatni transporter opancerzony zniszczone, w drodze powstał lej. Kolumna została zatrzymana po drugiej stronie wioski.

– Przekaż naszemu człowiekowi, żeby wiał stamtąd, gdzie pieprz rośnie – polecił Carroll. Spodziewał się, że irakijscy żołnierze przeczeszą wieś i zabiją sporą część mieszkańców, z których większość stanowili lojalni Irakijczycy. – Niech zaatakują jeszcze raz batalion przy moście. Chcę, żeby ten jego dowódca krzyczał o pomoc, podczas kiedy my będziemy zajmowali się dowództwem dywizji. Na końcu wycofamy się wszyscy równocześnie. – Zakia wróciła do nadajnika i przekazała instrukcje Amerykanina. Bill odwrócił się. – Mustafa, teraz!

Sindi nacisnął guzik i wokół muru rozbłysnęła seria eksplozji. Nie czekając ani chwili, Carroll, Sindi i dziewięćdziesięciu pozostałych Kurdów ruszyli prosto w dym. Mustafa potknął się o gruz i niemal upadł. Nie wyzdrowiał jeszcze zupełnie

po biciu, jakie sprawili mu Irakijczycy, uparł się jednak, że chce wziąć udział w ataku. Carroll zdążył złapać go za koszulę i razem dopadli muru. Ładunek z materiału C4 wybił w murze wyłom o szerokości dwóch i pół metra. Obaj mężczyźni wpadli na teren garnizonu; za nimi podążyło czterech następnych.

Teraz Bill i Mustafa rzucili się biegiem do niskiego budynku po lewej. Ze znajdującego się na wprost dwupiętrowego budynku rozlegały się pojedyncze serie i wystrzały. Czterej Kurdowie skierowali się w tamtą stronę. Teraz z tyłów garnizonu odezwało się gdakanie cekaemu. Było to ostrzeżenie, że znajdujący się na miejscu Irakijczycy zaczynają się bronić.

Ostra eksplozja zlikwidowała zagrożenie.

Carroll przycisnął się do ściany przy oknie. Na skinienie głową Sindiego wybił szybę i oczyścił krawędzie okna ze zwisających kawałków szkła. Mustafa omiótł pomieszczenie krótką serią z uzi. Strażnik znajdujący się w hallu usłyszał brzęk szyby i wpadł do sali, wprost pod kule Sindiego. Ten wskoczył przez okno do środka. Amerykanin przeszedł nad ciałem Irakijczyka i wbiegł do bloku więziennego.

Wzdłuż korytarza znajdował się długi szereg ciężkich, stalowych drzwi. Wszystkie były zamknięte. Bill przeszukał kieszenie zabitego szukając kluczy. Nic z tego. Sindi biegł tymczasem, krzycząc pod drzwiami każdej celi, żeby zorientować się, gdzie siedzą Kurdowie. Carroll i Mustafa mieli ze sobą tylko dwa ładunki, za pomocą których mogli wysadzić drzwi. Oczywiście lepiej byłoby otworzyć. Eksplozje mogłyby uszkodzić bębny w uszach więźniów.

Bill pobiegł więc do pokoju straży. Jak na razie narysowany przez starego Kurda plan budynku okazał się zgodny z rzeczywistością. Wedle jego słów powinno dyżurować dwóch strażników. Znaczyło to, że gdzieś jest jeszcze jeden. Kapitan otworzył drzwi kopniakiem i przykucnął. Nic się jednak nie wydarzyło. Wpadł więc do małego pomieszczenia i zobaczył kryjącą się w kącie postać. Błyskawicznie wypuścił serię z karabinu, zapalił światło i... zobaczył, co zrobił. Na podłodze leżał może szesnastoletni chłopak w mundurze. Obok niego upadł pęk kluczy. Carroll pokręcił głową, złapał klucze i wybiegł na korytarz, starając się nie myśleć o zagubionych i przerażonych nastolatkach, którzy chowają się po kątach.

Sindi umocowywał właśnie ładunek do drzwi jednej z cel. Bill wsadził klucz do zamka i przekręcił. Wewnątrz znajdował się Rashid Shaban. Nie mógł chodzić, ponieważ miał spalone stopy. Użyto elektrycznej wypalarki. Carroll przerzucił sobie nieszczęśnika przez ramię i ruszył korytarzem. Mustafa otwierał tymczasem inne cele. Wprawdzie Shaban był jedynym Kurdem przetrzymywanym w budynku, jednak Bill powiedział Sindiemu, żeby wypuścił jak najwięcej więźniów, aby

zwiększyć dodatkowo zamieszanie.

Na zewnątrz odgłosy walki ucichły. Na terenie garnizonu pozostali już tylko ci Kurdowie, którzy zakładali w słabo widocznych miejscach ładunki z zapalnikami czasowymi. Atak trwał już dziewięć minut – trzeba się było spieszyć. Dwaj mężczyźni przejęli Shabana i zanieśli go do rozklekotanej ciężarówki, którą wjechał rano do miasta Carroll. Teraz platformę wypełniali ludzie i broń. Kapitan skinął na Zakię, po czym podniósł prawą rękę do ust. Na ten znak kobieta wyciągnęła policyjny gwizdek i wydała jeden długi i dwa krótkie gwizdy. Po krótkiej przerwie powtórzyła sygnał. Z terenu dowództwa wysypali się partyzanci. Niektórzy poznawali w ciemnościach, inni wypełnili czekające samochody osobowe i ciężarówki. Wszyscy dźwigali zdobyczną broń i skrzynki z amunicją.

Ostatni dwaj nieśli rannego towarzysza. Pospieszyli z nim do Zakii. Z trudem uruchomiono silnik ciężarówki. Cholera, kierowca nie powinien był w ogóle go wyłączać, pomyślał Amerykanin. Zakia nachyliła się nad leżącym na drodze człowiekiem. Ranny coś jej powiedział. Skinęła głową i wyciągnęła z uczonej do pasa sakwy strzykawkę w plastikowym pudełeczku. Zrobiła szybko zastrzyk w lewe ramię mężczyzny, który schował prawą dłoń pod ubranie i obrócił się na brzuch. Potem podniosła się i pobiegła do kabiny ciężarówki. Wskoczyła i kazała kierowcy ruszać. Odjechali szybko, pozostawiając rannego na ziemi.

– A niech to! – warknął Carroll. Zeskoczył z pojazdu i pobiegł w stronę leżącego.

Ciężarówka zatrzymała się z poślizgiem. Zakia zawołała za Amerykaninem:

– Nie! On nie żyje!

Bill zawahał się, po czym wrócił do samochodu. Mężczyźni wciągnęli go na platformę i pojazd ruszył gwałtownie.

– On teraz stał się pułapką – odezwał się jeden z Kurdów. – Gdybyś go ruszył, granat urwałby ci głowę.

Carroll nie podnosił wzroku na Zakię. Przypomniawszy sobie, że ci ludzie walczyli o swoje przetrwanie na długo przedtem, zanim przybył dzielny amerykański kapitan. Cały kurdyjski naród był jeńcem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dzień D minus 12

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

– Czy to, co robimy, zostało pomyślane jako ćwiczenia? – zapytał dowódca drużyny „Romeo”, kapitan Trimler. Chodził w tę i z powrotem po pokoju Dewy, wyraźnie niezadowolony z wykonania przez jego oddział zadania wzięcia szturmem więzienia, w którym przetrzymywano dużą liczbę zakładników. Domyślił się prawdy.

– Nie – odpowiedział Stansell. – Jest duża szansa, że zrobimy to w rzeczywistości.

– To się nie uda – skwitował kapitan, przyglądając się modelowi obiektu. – Podczas każdego zrzutu jesteśmy wystawieni na największe ryzyko podczas lądowania. Potrzebny nam wyznaczony punkt, w którym mamy sformować oddział, przygotować broń, zorganizować się. To wszystko zajmuje czas. Tu – pokazał na model – mamy może minutę na znalezienie się wewnątrz i zneutralizowanie obrońców, po tym jak F-111 rozwałą mur. Jeśli ten fragment akcji będzie trwał choćby trochę dłużej, Irańczycy będą mieli czas na zareagowanie; prawdopodobnie zaczną zabijać zakładników. Żeby dostać się do jeńców tak szybko, musimy być na ziemi, z gotową, przeładowaną bronią, jeszcze zanim spadną bomby. Tak żeby wbiec przez mur, zanim opadnie kurz.

– Pułkownik Gregory już to oglądał – wtrąciła Dewa. – I nie wspomniał o żadnych problemach.

Trimler pokręcił tylko głową.

Stansell rozumiał, o co chodzi. Pułkownik rangersów miał zbyt zawadiacki charakter. Wystarczyło pokazać mu, co należy zrobić; dalej lepiej było się nie wtrącać. Przed Gregorym pojawiła się jedyna w życiu szansa poprowadzenia ludzi do śmiałej, historycznej misji. Po pokornej rozmowie ze Stansellem Gregory nie przedstawił żadnych więcej wątpliwości, kto powinien być dowódcą działań naziemnych. Rupertowi przypomniały się słowa generała Eichlera, który przykazał znaleźć eksperta od operacji specjalnych i słuchać jego opinii. Pułkownik miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. O czym jeszcze zapomniał z tego, co mówił Brygadier?...

– Niech pan wezwie Locke’a i Bryanta – polecił Stansell. – Czas na „burzę

mózgów”. Kapitanie, przez najbliższe parę dni będzie pan moim bliźniakiem syjamskim.

Północno-wschodni Irak

Mulla Haqui był naprawdę zadowolony. Pomarszczony przywódca Pesh Merga chodził wokół czternastu zdobycznych ciężarówek typu ZIL-157, wymachując rękami i mówiąc. Na tyle platformy jednego z samochodów siedział zmęczony Bill Carroll – zdawało mu się, że wszyscy rozmawiają jednocześnie. Przyglądał się, jak Kurdowie sortują zdobyczne zapasy, broń i amunicję.

Nadszedł jeden z członków ochrony Haquiego i powiedział, że Mulla chce mówić z Billem. Otaczający przywódcę mężczyźni rozstąpili się, przez cały czas uważnie obserwując jednak Amerykanina.

– Nieuszkodzone! – stwierdził Mulla, pokazując szerokim gestem pojazdy. – Dzisiaj w nocy ruszamy w drogę. Te ciężarówki nam w tym pomogą. Do świtu musimy wszyscy opuścić wioskę. Irakijczycy będą nas szukać z samolotów, ale my schowamy się w Iranie. – Haqui zbliżył się do kapitana i klepnął go w ramię. – Pomogłeś nam. – Bill zdawał sobie sprawę, że tuż za nim stoi Kurd, nie wiedział jednak, że trzyma on przy jego prawej nerce nóż. – A odpowiedź Irakijczyków na nasz atak na oddział wsparcia...! Sprytne... Skąd wiedziałeś, że w zemście zniszczą własną wioskę?

– Insz Allah – odpowiedział Carroll, mając nadzieję, że jego wymowa nie wzbudzi wrogiej reakcji. Haqui popatrzył na niego.

– Czy ty jesteś...? Bill potrząsnął głową.

– Nie, jestem innej wiary, z ludu Księgi. – Amerykanin powiedział to przekonującym tonem, jednak stary Kurd ciągle miał wątpliwości.

– Więzień! – rozkazał nagle. Dwaj z jego ludzi zniknęli we wnętrzu lepianki i wyciągnęli z niej Ghaliba al-Otaybiego. – Zostawimy go tu – oznajmił Haqui. Iracki podpułkownik był dokładnie w wieku Carrola. Obaj mieli po dwadzieścia siedem lat.

Mulla patrzył na Amerykanina.

– Zabij go – powiedział bez mrugnięcia. Pod Otaybim ugięły się nogi. Dwaj pilnujący go mężczyźni podnieśli go i cofnęli się. Nieustanne rozmowy wokół zamilkły. Była to ostatnia próba Carrola.

Bill wiedział, że nie może się zawahać. Ruszył prosto w stronę Otaybiego, potem minął go. Ghalib odwrócił się, ale jeden z Kurdów wymierzył mu policzek, prostując jego głowę z powrotem. Wtedy Carroll szybko wyciągnął pistolet, odbezpieczył,

przeładował, odwrócił się i zabił Irakijczyka strzałem w tył głowy.

Jeden ze strażników splunął.

– Byłeś zbyt miłosierny – powiedział. – On by cię torturował, zanim by zabił. Tak jak Shabana.

– On – Carroll pokazał ciało końcem buta – nie jest moim nauczycielem. – Odszedł szybko, żeby Kurdowie nie widzieli, jak cały się trzęsie.

Zakia odnalazła go opartego o tylną ścianę chaty. Drżał. Usiadła obok niego, objęła za szyję i przytuliła do ramienia.

– Najpierw głupi chciwy mężczyzna z autobusu i zgorzkniała kobieta, która straciła na wojnie rodzinę i żyła już tylko nienawiścią – zaczął Bill – potem nastolatek w mundurze, który znalazł pracę jako strażnik więzienny; teraz... Ja nie jestem jakimś mordercą...

– Cicho, my tu wszyscy jesteśmy żołnierzami. Starzy i młodzi, kobiety i dzieci. Robimy rzeczy, z którymi nie powinna potem żyć żadna cywilizowana ludzka istota. Tego człowieka na placu zabiłam, bo nie mogłam go uratować. – Oparła głowę Carrolla o swoje piersi.

Po chwili wstała i zaprowadziła go do swojego łóżka. Oboje potrzebowali ukojenia.

Baza Sił Powietrznych Nellis, Las Vegas

Nadeszła wiadomość.

– Tego nam tylko brakowało!... – mruknął Stansell, przeczytawszy. – Dzisiaj późnym wieczorem przylatuje generał Mado. Cunningham rozkazał mu przeprowadzić się do nas. Chcę mieć odpowiedź na nasz problem, zanim powiemy generałowi, że rangersi muszą znajdować się w pogotowiu przed atakiem F-111 na więzienie. Szefie, będzie pan musiał znaleźć mu biuro. Trzeba będzie zajmować go przez cały czas, zanim rozwikłamy zagadnienie. – Instynkt mówił Rupertowi, żeby uważał na generała Mado. Po prostu Stansell nie ufał w pełni swojemu dowódcy. Czy to z powodu ostatniego spotkania z Cunninghamelem?

– Jutro mamy mecz futbolowy – przypomniał Pullman.

– Potrzebujemy czegoś więcej.

– Barbara Lyon – wypaliła Dewa. – Właścicielka naszych mieszkań lubi bawić się w panią oficerową. Porozmawiam z nią i zapytam, czy nie urządziłaby w sobotni wieczór małego przyjęcia.

– Zostaje jeszcze niedziela – ciągnął Rupert. – Na obmyślenie naszej zmiany planu potrzeba czasu.

– Jeśli wystarczająco znam Barbarę – odparła Rahimi – to niedziela także jakoś upłynie. – Co rozwiązuje dwa problemy, pomyślała. Po pierwsze, zajmie Mado; po drugie – odsunie tę gorącą panią od ciebie, pułkownika.

Dewa postanowiła już rozpocząć własną operację – operację zdobycia tego samotnego człowieka, o którego, jak uznała, warto było walczyć.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dzień D minus 11

Texas Lake, stan Nevada

Generał Mado wyglądał na zirytowanego, kiedy przyglądał się przygotowaniom do rozpoczęcia meczu. Pullman wyrysował kredą linie wyznaczające boisko wprost na twardym, idealnie płaskim dnie wyschniętego jeziora.

– Rangersi są od nas potężniejsi, a w tym momencie naprawdę nie potrzebujemy nam żadnych rannych – podsumował. – I kto, u licha, pozwolił grać kobietom?

– To jest kapitan Kowalski, pilot C-130 – wyjaśnił Stansell z pewnym wysiłkiem. – Ustaliliśmy wersję gry ze wstążkami, przy której nie mogą się chwytać ani blokować stopami. Mogą złapać po parę siniaków, ale nikt nie zostanie tu ranny.

Mado patrzył z powątpiewaniem wypisanym na twarzy.

Rozległ się gwizdek i rozpoczęła Armia USA. Porucznik Don Larson, drugi pilot Mallarda, złapał piłkę tuż przed linią dziesięciu jardów i rozpoczął bieg. Skierował się w ślady Doucette'a, który torował mu drogę pomiędzy przeciwnikami. Starali się złapać jedną z dwóch półmetrowych wstążek uczepionych u boków pasa Larsona; w ten sposób zasygnalizowałyby zatrzymanie go. Udało mu się dotrzeć z piłką do linii czterdziestu pięciu jardów.

– Ten czarny dzieciak potrafi biegać... – skomentował Gregory, stojący na linii bocznej w towarzystwie Kamigamiego. – Zobaczmy, jak podają.

Spośród stłoczonych zawodników wydostała się jako pierwsza Lydia Kowalski, zajmując pozycję przy prawej linii bocznej.

– Podobno zdaje ci się, że można mnie tanio dostać – rzuciła stojącemu naprzeciw niej rangerowi.

Andy Baulck wyskoczył jak z procy, żeby zablokować panią kapitan. Kowalski zrobiła jednak unik i pobiegła wzdłuż boiska. Ranger biegł za nią, ile sił. Larson przekroczył linię i po podaniu od quarterbacka drużyny Sił Powietrznych, Hala Beasely'ego, kierował się do linii gola. Kiedy jakiś szybki kapral złapał za wstążkę Larsona i sędzia gwizdnął, Baulck, nie zważając na to, wpadł jeszcze ramieniem na plecy Lydii, niby to ją blokując. Kobieta runęła na ziemię.

– Kutas – skomentował Kamigami zza linii bocznej.

Przy następnym wznowieniu pani kapitan przyjęła jak wszyscy postawę

i wydawała się w ogóle nie zwracać na Baulcka uwagi. Po wykopaniu piłki rosła kobieta rzuciła się jednak w jego stronę, przyblokując go z impetem. Następnie uderzyła go z całych sił kolanem w krocze, uśmiechając się niewinnie. Mogło zdarzyć się coś jeszcze mniej przyjemnego, jednak Kamigami włączył się szybko do gry, pokazując palcem na Baulcka, co wystarczyło krewkiemu rangerowi.

Teraz, gdy Kamigami blokował całe swoje skrzydło boiska, ataki lotników się kończyły. Gigantyczny sierżant wybijał dziury w szeregach Sił Powietrznych niemalże w dowolnym miejscu i momencie. Rangersi wbiegali przez wyłomy i złapali Całusa, zanim zdążył podać Larsonowi. Po pierwszej kwarcie wynik był bezbramkowy. Zniesiono natomiast z boiska Doucette'a, po tym, jak spróbował zablokować Kamigamiego. Trenerem drużyny Sił Powietrznych Stansell mianował Groma, ponieważ ów potężny mężczyzna był świetnym zawodnikiem w lidze uniwersyteckiej, podczas studiów w UCLA. W końcu jednak przerzucił się z futbolu na naukę.

– Teraz pan ich poprowadzi, a ja będę krył Kamigamiego – powiedział Bryant, przekazując swój trenerski notatnik Mallardowi.

Przyszła kolej na atak Armii. Przy wznowieniu Bryant i Kamigami starli się ze sobą. Mimo że nie mieli na sobie kasków ani ochraniaczy, na całym boisku słychać było ich zderzenie, jak gdyby na pustynnym dnie wyschniętego jeziora walczyły ze sobą dwa byki. Po kolejnym wznowieniu, pomiędzy Kamigamiego i Bryanta dostał się niechcący Petrowicz, dowódca ładowni samolotu Lydii, który brał udział w bójce z rangersami. Zniesiono go z boiska nieprzytomnego.

Po pierwszej połowie nadal był zero do zera, jednak lotnicy zaczęli być już wyczerpani starciami z rangersami. W którymś momencie Mallard powiedział panie Kowalski, żeby zeszła już z boiska i nie usłyszał żadnego sprzeciwu. Bryant leżał na ziemi, starając się nie jęczeć na głos. Po wznowieniu piłkę przejęła Armia, ale Bryant i Kamigami blokowali skutecznie wszystko.

Baulck, który także już nie grał, ruszył na stronę Sił Powietrznych z dwoma piwami w rękach. Usiadł koło Lydii i zaproponował jej jedno. Wzięła.

– Wie pani, przepraszam za to, co mówiłem i... zrobiłem na boisku. – Kapitan popatrzyła na niego i pociągnęła łyk. – Zawsze się tak odzywam i... tego... polecałbym pani samolotem wszędzie.

– Dziękuję, cieszę się, że pan tak mówi. – Lydia wypijała następnych kilka łyków i pokazała na grających. – Czy będziemy musieli znowu tam się zetrzeć?

– Nie ma mowy! – odparł ranger ze śmiechem i ruszył po kolejne dwa piwa. Mecz zakończył się wynikiem trzynastcie do zera dla Armii. Kamigami i Bryant poszli na piwo razem. Sierżant rangersów stawiał.

– Cały jestem obolały, panie kapitanie – powiedział na tyle głośno, żeby wszyscy słyszeli. Żołnierze batalionu zobaczyli, jak jego szef się uśmiecha, a nie był to częsty widok. Bryant jednak nie dał się oszukać. Cieszył się, że uszedł z życiem.

Las Vegas, stan Nevada

Generał Mado czuł w sobie narastającą moc. Obiad był wspaniały. Jeśli przyrządzony po francusku kogut w winie mógł dać jakieś wyobrażenie o gotowaniu Barbary Lyon, to była nie byle jakim kucharzem. Simon Mado sączył teraz wino, podziwiając piękne kobiety. Dewa Rahimi zdawała się aż błyszczeć w swojej prostej, czarnej sukience. Natomiast Barbara... Simon nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona.

Bystry umysł generała przetwarzał także wrażenia z minionego dnia. Z tego, co działo się przed meczem, Mado wnioskował, że Stansell przygotowuje operację z prawdziwego zdarzenia. Wspólne piwo po futbolowym szale wskazywało na to, że morale żołnierzy jest teraz wysokie, a Task Force Alpha to zgrana drużyna. Leachmeyerowi za bardzo się to nie spodoba. Nagle generałowi wpadł do głowy pomysł, od razu konkretny i gotowy, ze szczegółami – w swojej pracy Mado zazwyczaj takie właśnie znajdował rozwiązania. Można posłużyć się panną Rahimi, żeby wzbudzić wokół operacji aurę podejrzeń. Przecież mówił Stansellowi, żeby pozbył się tej kobiety. A tymczasem ona była z pochodzenia Iranką, i to do tego cywilem – a zatem stanowiła niejako wbudowany integralnie w Task Force Alpha czynnik ryzyka...

Trzeba jednak rozegrać to ostrożnie, myślał generał. Jasne było, że Cunningham śledzi jego poczynania. Gdyby ktokolwiek spytał, dlaczego Stansell nie odesłał Rahimi, Simon wskaże na oczywisty powód – pułkownik i pani analityk wywiadu podobają się sobie, co zresztą widać. Nawet Barbara zwróciła na to uwagę generała. Barbara... widać, że można od niej to i owo uzyskać; chyba że jest się małym pułkownikiem Stansellem.

– Może napijemy się wina w saunie? – zagadnęła gospodyni.

Uczucie błogości, jakiego doznawał Mado, zostało przerwane przybyciem Gillian Locke. Kuliła się, gdyż wieczór był już chłodny; widać było nieznacznie jej ciążę.

– Właśnie zadzwonił Jack – powiedziała. – Jeszcze pracuje i chciał zapytać, czy nie mogłaby przyjść tam Dewa. Mówił coś ojej magicznych palcach do komputera.

– Obowiązki wzywają – westchnęła panna Rahimi; ucieszyła się jednak, że pojawiła się okazja, żeby pozostawić Barbarę i Mado samych. – Panie pułkowniku – powiedziała – wiem, że to nieodpowiedni moment na taką prośbę, ale mój samochód

zachowuje się jakby... – Samochód spisywał się znakomicie.

– W porządku, podwoję panią – odparł Stansell.

– A ja przyniosę następne wino – oznajmiła Lyon, wychodząc z Rupertem i Dewą. Mado nie mógł się doczekać, aż kobieta wróci. Barbara, wypuściwszy dwoje gości, zamknęła wejście na klucz. Simon ledwie był w stanie opanować oddech, kiedy ukazała się jego oczom w szlafroku, który następnie szybko zrzuciła.

– To jedyny sposób, żeby skorzystać z sauny – wyjaśniła, wchodząc do środka. – Niech się pan rozbierze, panie generale, i dołączy do mnie. Uwielbiam masaż – poinformowała, kiedy Mado znalazł się koło niej. – A najbardziej, kiedy ja masuję...

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Dewę aż zatkało, kiedy zobaczyła swoje biuro. Jack przypiął do ściany nową mapę, a na podłodze wałały się najrozmaitsze książki i papiery. Szuflady były powyciągane, a sejf z supertajnymi dokumentami wywiadu szeroko otwarty. Dewa zawsze bardzo poważnie traktowała swoją odpowiedzialność za ochronę tajnych informacji... Na kanapie spał Trimler, Locke natomiast wyglądał na wymizerowanego pracą, do tego był nieogolony. Dwaj młodzi oficerowie praktycznie nie opuszczali pokoju od piątkowego wieczoru.

– Chyba mamy – wymamrotał Jack, idąc w stronę dzbanka z kawą. – Bob – pokazał na śpiącego Trimlera – mówi, że jego ludzie muszą być gotowi do szturmowania jeszcze przed atakiem bombowym. Zrzucimy ich wcześniej...

– Mado rozważał takie rozwiązanie, już kiedy tworzył pierwotną wersję planu – przerwał Stansell. – Odrzucił je, ponieważ pojawienie się spadochroniarzy ostrzegłoby Irańczyków i zniweczyło wszystko. Trudno ich nie zauważyć. Musimy dostarczyć tam rangersów jakoś inaczej.

– Nie trzeba, jeżeli dobrze to rozegramy – nie ustępował Locke. – Bob powiedział, że batalion szkoli się na spadochronach MT-1X. To z wyglądu prostokątny, podobny do materaca spadochron, ale tak naprawdę to miękka, zwijana lotnia. Panie pułkowniku, one mają prędkość poziomą czterdziestu kilometrów na godzinę. Jeżeli wykonamy zrzut z dużej wysokości, przy odpowiednim wietrze w plecy, spadochroniarze mogą lecieć nawet przez godzinę i pokonać dużą odległość. Przy zrzucie nocnym nikt ich nie zauważy, a ludzi ledwo widać na radarze.

– No dobrze, to zrzucimy ich daleko od więzienia. Ale jak wlecimy z nimi w irańską przestrzeń powietrzną na dużej wysokości, żeby nieprzyjaciel nie wykrył herculesa?

– Schowamy się tuż za samolotem pasażerskim.

– Chyba żartujesz, człowieku.

– Zaraz panu pokażę. Dewa, to jest mapa irańskich korytarzy powietrznych. Czy możesz wejść do jakiejś bazy danych, żeby sprawdzić ich rozkład lotów krajowych? Potrzebny nam samolot, który startowałby z Rezayieh po ciemku – pokazał palcem lotnisko, na którym lądował siedemnaście dni wcześniej Carroll – i leciał na południe albo południowy wschód.

Rahimi zabrała się do pracy i dwadzieścia minut później miała już potrzebną informację.

– Jest samolot do Bandar Abbas, który startuje z Rezayieh późnym wieczorem, w poniedziałki, środy i soboty. To F-27.

– Świetnie. W takim razie wlecimy za tego F-27, kiedy wystartuje, i będziemy się za nim trzymać. Kiedy dolecimy mniej więcej o, tutaj – Locke pokazał na mapę – nasza drużyna wyskoczy. C-130 z łatwością utrzyma prędkość i wysokość F-27. Odłączy się od niego dopiero, kiedy Irańczyk będzie schodził do lądowania, i wyleci z Iranu na minimalnej wysokości. Ich sieć radarowa w żaden sposób nie jest w stanie odróżnić nas od poprzedzającego samolotu.

Jack zaczął mierzyć na mapie odległości.

– Tylko że ten korytarz powietrzny przebiega w najbliższym punkcie sto czterdzieści kilometrów na północny wschód od Kermanshah. – Obudził Trimlera. – Bob, przyjrzyj się temu.

Zaspany kapitan popatrzył przez chwilę na mapę.

– Potrzebny jest wiatr północno-wschodni o prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę – oświadczył, po czym położył się z powrotem.

– Jack, o tej porze roku na tej wysokości nad Iranem więcej głównie zachodnie wiatry – powiedział Stansell. – Dewa, czy może pani dostać się do komputera Narodowego Centrum Badań Atmosfery?

– Jakiego typu komputer mają i gdzie?

– To Cray. Koło Boulder.

– Mój generał z Centrum Działań Specjalnych wścieknie się, kiedy dostanie za to rachunek – stwierdziła Rahimi. – Ktoś będzie musiał zapłacić za czas korzystania z komputera, a ja podaję kod naszego Centrum jako użytkownika. Czy wie pan pułkownik, ile kosztuje sekunda korzystania z Craya? Niech pan nawet lepiej nie pyta.

– No dobrze, dostałam się – oznajmiła po chwili. – Połączyłam się z IBM-em, który z kolei porozumiewa się z Crayem. Co nam potrzebne?

– Narodowe Centrum Badań Atmosfery prognozuje pogodę z dużą trafnością, zwłaszcza na najbliższe dwadzieścia cztery godziny – zaczął Stansell. – Proszę

jednak zobaczyć, jakie wiatry przewidują nad Iranem na poziomie pięciuset milibarów – to będzie około pięciu i pół kilometra – za, powiedzmy, dziesięć dni.

Rahimi zastukała palcami w klawiaturę. Czekali. Niecałą minutę później na ekranie pojawiła się mapa. Wyż nad Iranem miał przemieścić się nad wschodnią część Morza Śródziemnego, natomiast jet stream miał skrócić na południe. Przewidywano powstanie dużego gradientu ciśnienia, który spowoduje silne, północne wiatry trwające przez około siedemdziesięciu dwóch godzin.

– No to bardzo dobrze – skomentował Jack. – Wydrukuj to. Północne wiatry zawieją nas na miejsce.

– A jak przewidujecie dołączenie do tego irackiego samolotu pasażerskiego?

– Zaraz – wtrąciła Dewa. – Widziałam któregoś dnia wiadomość o tym, że w przyszłym tygodniu zaczynają się wspólne, turecko-amerykańskie ćwiczenia obrony powietrznej, z użyciem AWACS-a i EC-130. – Zabębniła w klawisze. – Porozumiem się z kimś z Centrum Obserwacyjnego z Pentagonu. – Po pięciu minutach poinformowała: – Cunningham przesunął zaplanowane już ćwiczenia o dwa tygodnie wcześniej; zaczynają się w poniedziałek. Będą się odbywać w pobliżu zbiegu granic Turcji, Iranu i Iraku.

– A to sprytny sukinsyn... – wyrwało się Stansellowi.

– Sądzi pan pułkownik, że generał zrobił tak specjalnie? Wyraz twarzy Ruperta starczył za odpowiedź.

Rozdział dwudziesty piąty

Dzień D minus 10

Kermanshah, Iran

Mary Hauser stała przed biurkiem Mokhtariego i patrzyła na swego oprawcę. On tymczasem spoglądał sobie w kąt pomieszczenia. Kapitan podążyła za jego wzrokiem i poczuła skurcz w żołądku. Oblesny mężczyzna siedział, gapiąc się w podłogę; ubranie leżało obok niego. Kiedy wydała z siebie nieartykułowany dźwięk, nie podniósł nawet oczu.

Komendant zadał pierwsze pytanie, rozpoczynając przesłuchanie. Wiedziała, co będzie dalej – kolejne pytania, potem bicie, rozbieranie i...

– Jakie urządzenia wykorzystywałeś w Ras Assanya do zabijania naszych pilotów?

Hauser zapłonęła gniewem i już chciała odpowiedzieć: „Urządzeniami, które zabijały waszych pilotów, były ich wykazy czynności przedstartowych. Dzięki nim wydawało im się, że są gotowi do lotu”. Wiedziała jednak, jakie będą konsekwencje takiej wypowiedzi. Mężczyzna w kącie czekał...

– Posługiwałam się systemem AN/TPS/59...

Mokhtari uniósł dłoń i spróbował, bez rezultatu, włączyć magnetofon. Jeden ze strażników podszedł, żeby mu pomóc, a Mary wykorzystała tę chwilę na zastanowienie się. Musiała pójść za radą doktora Landisa – trzeba było zacząć mówić, żeby Irańczykom zależało na jej życiu... Choć jej uparty duch odezwał się znowu:

– Nie, nie poddam się tej kreaturze!... Komendant więzienia dał znak i Hauser zaczęła:

– Czy już jest włączony? System 59... Na pewno już chodzi? – Odetchnęła głęboko.
– Jest to radar pracujący w paśmie D, używany do kontroli obszaru powietrznego. Ma antenę łamaną, a nie zwykłą, paraboliczną. Dziwiło mnie to od początku, ponieważ klasyczna antena, jaką miał radar systemu AN/FPS/8, dawała dużo bardziej wyraziste echo... – Mary nie mogła się powstrzymać przed nakarmieniem Irańczyków fałszywymi informacjami. Miała nadzieję, że nie będą w stanie ich zweryfikować. Zaczęła teraz opowiadać historię o tym, jak to zwróciła na wspomniany problem uwagę przełożonych, a ci wytknęli jej, że nie potrafi

posługiwać się sprzętem, na którym przecież została przeszkolona. Za karę wysłano ją do Ras Assanya...

Do piwnicy zbiegł wartownik, przerywając kapitan:

– Panie komendancie, generał przyjechał! Mokhtari zerwał się na równe nogi.

– Dlaczego mnie o tym nie uprzedzono? – wybąkał. Poczłł strach. Z krótkiej rozmowy Mary zrozumiała, że do więzienia powrócił generał, dowódca Ludowego Wojska Islamu, ten, który stracił oko i nogę w ataku przeprowadzonym przez Muddy-'ego Watersa.

Las Vegas, stan Nevada

W niedzielny poranek na ulicach nie było prawie żadnego ruchu. Rupert wracał samochodem do kamienicy Barbary.

– Jak tam Jack? – zapytał cicho. Siedząca obok Stansella Dewa odwróciła się i popatrzyła na pilota.

– Śpi jak niemowlę.

– Zasłużył sobie na to. – Zatrzymali się na czerwonym świetle. – Być może ocalił naszą misję; ciągle jednak mamy naszą piętę achillesową. ...Trzeba będzie powiadomić Cunninghama.

– Transport naziemny – skwitowała Dewa. Stansell popatrzył na nią, zdumiony, z jaką łatwością nadaża za jego myślami.

– Światło, panie pułkowniku. Mamy zielone.

Ruszyli. Przez chwilę w aucie panowała cisza. W pewnym momencie odezwał się głos:

– Panie pułkowniku? – To był Locke, z tylnego siedzenia. – Chciałbym spędzić odrobinę czasu z Gillian i polecieć jutro do bazy March, koło Riverside. Nadarza się okazja, żeby pokazać Gromowi, co potrafi Atakujący Orzeł.

– Co pan wymyślił?

– Muszę zwrócić na siebie uwagę pilotów F-15. Potrzebna mi będzie pomoc Gwardii Narodowej. Jeżeli dobrze odczytuję naszą sytuację, to mamy około tygodnia na nauczenie ich, że kiedy jest się na terytorium wroga, reguły gry się zmieniają. Oni muszą wykonywać zadanie w taki sposób, jakiego od nich wymagamy.

– Więc niech się pan tym zajmie; ja tymczasem zabiorę się do wprowadzania w życie pańskich zmian planu operacji. Powiem Mado, w czym rzecz, i porozumiem się także z Cunninghame. Muszę polecieć do „Fortu Fuszerka” po jego błogosławieństwo... Wrócę najpóźniej w środę. – Rupert użył potocznej nazwy Pentagonu.

Kiedy dojechali na miejsce, pułkownik popatrzył za Jackiem zdążającym do swojego mieszkania, gdzie czekała jego ciężarna żona. Sam ruszył po cichutku z Dewą w stronę jej mieszkania, chcąc przedłużyć miłą chwilę. Weszli po zewnętrznych schodach na pierwsze piętro. Nie przerywając rozmowy, zatrzymali się i oparli o barierkę. Tymczasem otworzyły się drzwi mieszkania Barbary i wyszła z nich właścicielka, ubrana w obcisłe džinsy i krótką džinsową kurtkę, odsłaniającą opiętą koszulę. Za panią Lyon wyszedł generał Mado. Przez podwórze przetoczył się stukot wysokich obcasów Barbary. Po chwili oboje zniknęli za bramą, nie wiedząc, że są obserwowani.

– Myślę, że pan generał będzie dziś zajęty – oceniła Rahimi, zachowując poważny wyraz twarzy. – Może zje pan śniadanie?

Otworzyła drzwi, wiedząc, że już za parę godzin powrócą do pracy. Jednak przez najbliższych parę minut...

Kermanshah, Iran

Mokhtari rozejrzał się nerwowo po dziedzińcu, podczas gdy samochód generała wjechał przez wewnętrzną bramę tunelu. Nie powinno być niczego, co wzbudziłoby krytykę ze strony przybysza. Zakurzony szary mercedes zatrzymał się przed wejściem do budynku administracyjnego. Z samochodu jadącego z tyłu wyskoczył pułkownik i otworzył prawe tylne drzwi mercedesa. Widać było kruchą postać siedzącą na kanapie.

– Proszę – odezwał się do Mokhtariego pułkownik, wskazując wewnątrz wozu. Naczelnik więzienia podbiegł, ale został powstrzymany, gdy próbował usiąść koło generała. Wyprężył się więc na baczność.

– Jesteśmy zadowoleni z pańskich raportów – odezwał się generał. – Zrobił pan postęp od czasu mojej ostatniej wizyty.

– Dziękuję, wasza ekscelencjo. Sierżant Nesbit to dobre źródło informacji. Nawet ta kobieta zaczęła teraz współpracować. Wkrótce wyschnie na wiór, jak cycek czarownicy. Oboje umrą... na zapalenie płuc... kiedy skończę.

– Nie, będziemy ich wkrótce potrzebować.

– Czy mają zostać przekazani Amerykanom?

– Niech pan nie będzie głupi. Oddamy połowę z nich naszym słabym braciom, którzy chcą dzielić z nami władzę. Oczywiście, pan wybierze, których.

– Rozumiem. Jeden z więźniów jest lekarzem. Czy powinienem pozwolić mu ich leczyć?

– Nie. Ale na razie nie chcę więcej śmierci. Poza tym... Potrzebuję tych starych

baraków za więzieniem.

– Tak jest. Zagnieżdżiło się tam parę kurdyjskich rodzin, ale jeszcze dzisiaj zostaną usunięte.

– Usunąć ich w ciągu najbliższej godziny. Moi ludzie muszą natychmiast się ukryć. – Drzwi mercedesa zatrzasnęły się, a koła zabuksowały na piachu. Kierowca szybko podjechał do bramy.

Mokhtari błyskawicznie wydał kapitanowi warty rozkaz oczyszczenia baraków.

– Ilu żołnierzy generała czeka? – zapytał.

– Przed wjazdem stoi osiem ciężarówek i platforma z czołgiem – odparł kapitan. – Kiedy do nich podszedłem, kazano mi odejść.

– Jakiego typu czołg przywieźli?

– Był przykryty brezentem, panie komendancie. Wyglądał na mały, być może PT-76. Jednak nie miał lufy. To może być Shilka.

Mokhtari wzruszył ramionami i wrócił do swojego gabinetu, nie przejmując się jakąś tam Shilką. Trzasnął drzwiami, niezadowolony, że Mary Hauser będzie musiała pożyć trochę dłużej.

Odgłos przekręcanego w zamku klucza był wystarczającym ostrzeżeniem. Kiedy drzwi się otworzyły, Mary miała już na głowie worek. Podejrzewała, że strażnicy wiedzą, że zakłada worek tylko wtedy, kiedy otwierają drzwi. Po co w innym razie tak długo gmeraliby kluczami i pozostawialiby zapalone światło? Pod dolnym brzegiem worka zobaczyła wojskowe buty.

– Masz – odezwał się znajomy głos i u stóp kapitan wylądował kłęb ubrań. – Załóż to pod szatę. – Po chwili drzwi zamknęły się i klucz szczęknął znowu. Hauser zerwała z głowy worek i podniosła ubranie. Był to jej mundur, w dodatku – uprany!

„CZY MAMY PRZYJACIELA” – wystukała w ścianę.

„CHYBA TAK” – odpowiedział doktor Landis.

Rozdział dwudziesty szósty

Dzień D minus 9

Maragheh, Iran

Wielka antena radaru omiatała horyzont w jednostajnym rytmie. W sąsiedztwie stacji radarowej nieustannie wiały wiatry, przekraczające pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Były one zawsze zimne, gdyż stacja została zbudowana na wysokości dwóch tysięcy stu metrów, koło wierzchołka góry, u stóp której założono niegdyś miasto Maragheh. Radar został postawiony przez Amerykanów w późnych latach siedemdziesiątych, kiedy przy władzy znajdował się jeszcze szach. Ponieważ antena znajdowała się osiemset metrów nad dnem doliny, zasięg radaru był bardzo duży.

Wewnątrz budynku stacji siedziało czterech operatorów. Mieli zapewnione odpowiednie ogrzewanie. Nie można jednak powiedzieć, żeby byli bardzo czujni. Od czasu zakończenia wojny iracko-irańskiej wyglądało na to, że nie ma specjalnej potrzeby użytkowania obiektu. Czterej mężczyźni czekali w zasadzie tylko na kolejną zmianę, która miała przybyć za sześć godzin.

Operator siedzący przy głównym ekranie czytał gazetę i dlatego z początku w ogóle nie zauważył słabych błysków. Dopiero po ósmym obrocie anteny opuścił gazetę i zobaczył migające strumienie światła, które wskazywały na to, że nadaje jakaś zagłuszarka. Wrzucił gazetę do szuflady i uruchomił pedałem silny mikrofon.

– Melduję zagłuszanie! – powiedział. Jak się spodziewał, nie padła żadna odpowiedź. Najechał więc kursorem na źródło impulsów i odczytał kąt. Jednocześnie zmierzył odległość. – Z Turcji – dodał sam do siebie. Ponownie spróbował skontaktować się z przełożonym. Tym razem oficer odezwał się i operator radaru złożył konkretny meldunek: – Mam błyski światła, zagłuszanie o umiarkowanym natężeniu, kierunek dwa osiem zero, odległość sto siedemdziesiąt osiem kilometrów. To jest Turcja, dwadzieścia kilometrów od naszej granicy. – Wcisnął przycisk pozwalający mu pytać NATO-wskie identyfikatory IFF, czyli „swój-obcy”, w trybie numer jeden. Na ekranie pojawiło się sześć punktów.

– Mam także sześć ech z IFF, tryb numer jeden, podają dwa jeden.

– Czy brak konkretnych danych?

– Szukam. – Operator przekręcił gałkę wzmocnienia, wysyłając impulsy o większej energii. Echa samolotów błysnęły tak mocno, że aż zamrugał oczami.

Uruchomił tryb drugi i trzeci identyfikacji. – Wszystkie podają poprawne kody. Nie mam żadnych niezidentyfikowanych ech.

– Czytajcie biuletyny, które wam posyłam! – rzucił zniecierpliwiony oficer. – To są zapowiedziane wspólne ćwiczenia tureckiej i amerykańskiej obrony powietrznej. Wykorzystują AWACS-a i EC-130, startują z Incirlik. Za parę minut cztery z tych samolotów, które śledzisz, oderwą się na zachód. To są myśliwce, którymi kieruje AWACS. Powinieneś zaobserwować tankowania w locie i od czasu do czasu więcej myśliwców. Ćwiczenia będą trwać przez trzy tygodnie. Melduj tylko o aktywności, która różni się od zwykłej. Tak jak przykazałem w ostatnim biuletynie.

Jedenaście minut później operator zobaczył, że cztery cele przestają krążyć po „torze wyścigowym” i kierują się na zachód. Był pełen podziwu dla zdolności przewidywania, jakimi wykazał się jego dowódca. Zmniejszył z powrotem wzmocnienie sygnału, żeby echa nie świeciły mu w oczy, i znów wyciągnął gazetę.

Zmierzch rozwinął swoją zasłonę dla operacji „Wojownik”.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Wezwanie od generała dywizji O'Briana, dowódcy Centrum Myśliwców Taktycznych, przyszło o dziewiątej dwie w poniedziałek rano. O dziewiątej dziewięć Stansell był już w gabinecie generała. Zdziwił się, zobaczywszy tam kapitana Hala Beasely'ego. Zanim miał szansę domyślić się, dlaczego zawezwano Całusa, O'Brian zaczął mówić:

– Mam interesujące meldunki z poligonu strzeleckiego – powiedział, poprawiając okulary. Trzymał przed nosem otrzymany raport. – Zdaje się, że pański kapitan Beasely dokonał godnych podziwu wyczynów swoim AC-130. Oficer kontrolny poligonu mówi, że kapitan potrafi strzelać z tego swojego działka 105 mm w tempie czterech, a nawet pięciu strzałów na minutę. I z dużą celnością. Jeszcze nigdy nie widziałem tak dobrych wyników strzeleckich latającego działka – oświadczył generał. Spojrzał na Całusa znad okularów. Stansell był zaskoczony. Był pewien, że jednak O'Brian wezwał ich na dywanik. Co się stało?

– Szkoda tylko, że kapitan nie uznaje bezpiecznego seksu – dodał generał, tym razem groźnym tonem.

– Przepraszam, sir, ale o niczym nie wiem... – przyznał szczerze Rupert.

– Pułkowniku, pański kapitan i jego załoga urządziła w sobotni wieczór, a właściwie w niedzielę rano w kwaterach kawalerskich niezłą popijawę. Sprowadzili sobie panienki z miasta... z agencji „Błyskawiczne Uda”. – Generał

wstał. – Nie będziecie zamieniać kwater kawalerskich mojej bazy w burdel. Czy wyrażam się jasno? Beasely, zjeżdżaj stąd, to zajmę się twoim dowódcą.

Całus zasalutował i wyszedł.

– Pułkowniku – ciągnął O'Brian, siadając z powrotem – proszę kontrolować, co robią pańscy ludzie. Rozmawiałem w weekend z generałem Cunninghamem i rozumiem, że potrzebny wam ten samolot szturmowy z działem. Beasely jest, bez dwóch zdań, najlepszym z pilotów tych samolotów. Jednak nie może pan dopuścić, żeby coś takiego zdarzyło się po raz drugi. – Skłonił głowę na znak, że już skończył. Stansell zasalutował i zebrał się do wyjścia. O'Brian spytał jednak jeszcze:

– Pułkowniku, po co, u licha, te „Błyskawiczne Uda” kazały Całusowi nasmarować sobie uszy?...

Rupert pospiesznie opuścił gabinet. Generał był najwyraźniej, pod pewnymi względami, niewinnym człowiekiem. Całus czekał na korytarzu.

– Tym razem wdepnąłeś w gówno – poinformował Stansell. – Czas dorosnąć. Proszę ze mną.

Godzinę później obaj siedzieli w śmigłowcu, krążącym nad makietą, którą sierżant Pullman zbudował w dolinie Tikaboo. Pułkownik wręczył kapitanowi zdjęcie więzienia, które zabrał z biura Dewy.

– Przypomina to panu coś? – zapytał, przekrzykując łoskot maszyny. Beasely przyjrzał się uważnie fotografii i makiecie. – Wie pan, kto tam naprawdę siedzi? – Stansell pokazał na zdjęcie. Beasely skłonił głowę. – To jest pana następny cel ćwiczebny – powiedział pułkownik, wskazując teraz makietę.

Kiedy znaleźli się z powrotem w Nellis, Całus miał poważną minę, nie żartował, jak to miał w zwyczaju.

– Przepraszam, panie pułkowniku – wydobył w końcu z siebie – czy mogę powiedzieć mojej załodze, co mi pan pokazał? – Rupert pokręcił głową. – Może mi pan zaufać, sir. Teraz nie będę się już wygłupiał. Ma pan najlepszą załogę latającego działła w całych Siłach Powietrznych. Może pan na to, kurwa, liczyć, sir.

Kermanshah, Iran

Wrzaski z Pudełka docierały na parter i oba piętra więzienia. Strażnicy pozamykali grube, stalowe drzwi oddzielające piętra, jednak krzyki i tak odbijały się przykrym echem po korytarzach. Był to pierwotny, nieartykułowany ryk, wydobywający się z oszalałego człowieka. Zakłócał on równowagę psychiczną wszystkich, którzy go słyszeli. Przeżywali realną obecność totalnej desperacji, jakiej doświadczyła ludzka istota.

W końcu czterej strażnicy zbiegli na dół i stłoczyli się wokół Pudełka.

– Jak długo tu siedzi?

– Cztery dni.

Irańczycy napięli się. Jeden z nich przekręcił klucz w kłódce i odsunął zasuwę. Drzwiczki otworzyły się z trzaskiem i z pomieszczenia wypadł amerykański sierżant techniczny. Złapał jednego ze strażników za nogę i ścisnął ją ze wszystkich sił. Mężczyźni spróbowali oderwać go od swojego towarzysza, ale kiedy ramię kolejnego z nich znalazło się zbyt blisko głowy sierżanta, ten ugryzł je z całą mocą i zaczął szarpać głowę, nie puszczając, niczym jakieś zwierzę.

Dwaj pozostali strażnicy wyciągnęli pałki i zaczęli metodycznie okładać nimi więźnia, żeby stracił przytomność. Stwierdzili, że Amerykanin zwariował.

Po schodach zszedł jeszcze jeden strażnik i zobaczył, co się dzieje. Zdruzgotany, odwrócił wzrok. Poprzysiągł sobie, że agent CIA, z którym się kontaktował, dowie się o wszystkim w ciągu godziny.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny później meldunek strażnika zdążył przejść już przez kolejne punkty sieci „Głębokiej Bruzdy” i leżał na biurku Camma.

Rozdział dwudziesty siódmy

Dzień D minus 8

Langley, stan Virginia

Allen Camm musiał porozmawiać z Susan Fisher, która kierowała sprawą jeńców. Podejrzał, że to oni będą tematem spotkania, jakie nagle zwołał na późne przedpołudnie dyrektor Burke. Camm poprosił przez interkom sekretarkę, żeby wezwała Susan.

– Czy wiemy coś nowego o naszych jeńcach? – zapytał wicedyrektor CIA, kiedy Fisher weszła.

Podawała mu grubą teczkę.

– Jeden z naszych agentów „Głębokiej Bruzdy” zameldował, że ostatniej nocy jeden z jeńców – nie podał nazwiska – oszalał. A także, że w niedzielę więzienie odwiedził wysokiej rangi generał z Ludowego Wojska Islamu. Wszystko wskazuje na to, że w opuszczonych barakach na zewnątrz murów kompleksu instaluje się zapasy lub ludzi. Jeszcze nie wiemy co, czy kogo, ani w jakiej liczbie.

– Co z planem uwolnienia jeńców?

– Człowiek z Teheranu podaje, że pakt pomiędzy partiami IPR a ILPR został właśnie podpisany i opieczętowany. Połowa jeńców zostanie przewieziona samolotem do siedziby ILPR w Teheranie. – Na twarzy Susan pojawiło się zadowolenie.

– Trzej agenci „Głębokiej Bruzdy” mają lecieć tym samolotem jako strażnicy. Planujemy, że porwą samolot do Algierii. Tam, na ziemi będą czekać następni agenci. Powinno to wyglądać na dzieło rozłamowej grupy IRP.

– Połowa to lepiej niż nic – zauważył Camm – zwłaszcza po nieudanej próbie wyzwolenia ich przez wojsko. Nasze notowania u prezydenta pójdą pod niebo, kiedy uratujemy część narodowego honoru. Opinia publiczna i Kongres będą bardzo zadowolone, że udało się ocalić połowę z tych ludzi. Jednak tylko w wypadku, o którym mówię. Czy Delta Force jest gotowa?

– Tak, sir, ale operacja się wydała. Pewien sierżant... poleciał do domu na przepustkę z powodu wyjątkowych okoliczności rodzinnych, upił się i zaczął chwalić w barze...

– Nasze źródło?

– Ta agentka Dżihadu, którą zwerbowaaliśmy. Po zakończeniu przesłuchiwania Askariego, bojownika Dżihadu, który próbował porwać Stansella, nasłaliśmy ją na albańskiego dyplomatę, który był łącznikiem Askariego. Ów dyplomata wydaje się być na nią napalony i lubi robić na niej wrażenie.

Rozbicie szeregów islamskiego Dżihadu zaczynało przynosić rezultaty.

– A co z Task Force Alpha Sił Powietrznych?

– Ciągłe pozostają czysti, chociaż kto wie, co oni tam robią na pustyni... Panie dyrektorze, nie przekazaliśmy dotąd informacji o zdobyciu przez wywiad nieprzyjaciela wiadomości o operacji Delta Force ani o tym, co ma się stać z jeńcami.

Camm oparł się wygodnie i zaczął się zastanawiać nad następnym posunięciem. Uważał siebie za lojalnego, pełnego poświęcenia człowieka, który interesy swojego kraju przedkłada ponad wszystko. Wierzył także, że długofalowe interesy Stanów Zjednoczonych będą lepiej zabezpieczone, jeśli CIA będzie potężna i skuteczna oraz zdolna prowadzić tajne operacje bez, jak to uważał, nieprzemyślanego mieszania się w jej sprawy przez polityków. Gdyby akcja „Głębokiej Bruzdy” doprowadziła do wyzwolenia połowy jeńców oraz do przekonania prezydenta, że powinno się pozwolić takim lojalnym i pełnym poświęcenia zawodowcom jak on, Allen J. Camm, swobodnie prowadzić tajne operacje... Cóż, byłby to olbrzymi krok w kierunku osiągnięcia ostatecznego celu, jakim było bezpieczeństwo USA. Gdyby ktoś przycisnął go do muru i zapytał, Camm zgodziłby się ze zdaniem, że w trudnej działalności wywiadowczej nieuniknione było przyjęcie zasady, iż cel uświęca środki...

– Trzeba poinformować prezydenta o przecieku na temat operacji Delta Force – powiedział Camm. – Proszę wymyślić stosowne źródło, żebym mógł przekazać panu Burke wiadomość bez ujawniania, skąd ją mamy. Może podsłuchaliśmy rozmowę telefoniczną pomiędzy Albańczykami a Irańczykami? – Czy powinien także przekazać to, czego „Głęboka Bruzda” dowiedziała się o dalszych losach jeńców? – Pozostałe informacje z Kermanszah pochodzą tylko z jednego źródła? – upewnił się wicedyrektor CIA. Panna Fisher pokiwała głową. – Lepiej zaczekajmy z nimi do czasu, aż będziemy w stanie je potwierdzić. – Camm nie życzył sobie usłyszeć żadnych pytań, które mogłyby doprowadzić do wykrycia jego operacji „Głęboka Bruzda”.

Texas Lake, stan Nevada

Pierwszy sierżant Victor Kamigami zdumiał się, kiedy usłyszał, że drużyna „Romeo” wymienia spadochrony na MT-1X. Chciał wiedzieć, skąd taka nagła

zmiana planów. Jego ciekawość wzrosła, kiedy usłyszał, że mają używać butli tlenowych. Oznaczało to zrzut z dużej wysokości. Kiedy jeden z rangersów drużyny „Romeo” pochwalił się, że wykorzystają także sprzęt do otwierania spadochronów na dużej wysokości, szef batalionu postanowił zbadać sprawę. Zamiast wypytywać oficerów – a na przykład Gregory potrafił unikać udzielania podobnego typu informacji – Kamigami zrobił to, co zrobiliby każdy pierwszy sierżant na jego miejscu – poszedł do swojego odpowiednika, to znaczy szefa obsługi technicznej, Pullmana.

Kiedy Pullman wyjaśnił mu wszystko, Kamigami wpadł w prawdziwy gniew, choć nie dał tego po sobie poznać. Co oni wszyscy próbowali robić, nie informując go?! Pullman wyczuł mimo wszystko jego złość, wiedząc, jak sam by się czuł w podobnej sytuacji.

– Przepraszam – odezwał się. – Myślałem, że pańscy oficerowie powiedzieli panu o wszystkim. Gdybym wiedział, że nie, zrobiłbym to za nich.

– Ruszam dalej, czy mógłby pan podwieźć mnie swoim jeepem? – spytał Victor. Jak na siebie, odbył bardzo długą rozmowę. Pullman pojechał z nim do herculesów. Zdążyli akurat na końcowe stadium przygotowań do zrzutu z użyciem MT-1X, przy otwarciu spadochronów na dużej wysokości.

Trimler przyglądał się, jak dowódca zrzutu organizuje spadochroniarzy. Kamigami ruszył do przyczepy ze spadochronami i wybrał jeden dla siebie.

– Zdaje się, że on też chce skoczyć – skomentował Pullman. Trimler zerknął na niego z ukosa.

– Sierżant uczy nawet dwustukilowe goryle, jak lecieć w zamierzonym kierunku – wyjaśnił.

Po założeniu całego sprzętu Kamigami ustawił się w kolejce do kontroli bezpieczeństwa. Znajdujący się przed nim szybko wypadli z kolejki z powodu jakiegoś mało istotnego szczegółu i olbrzymi sierżant znalazł się szybko na początku. Dowódca zrzutu obejrzał dokładnie wyposażenie Victora i jego umocowanie, poczynając od hełmu, a na linie do opuszczania plecaka kończąc.

– Kto jest nawigatorem drużyny „Romeo”? – zapytał szef batalionu. Dowódca skoku pokazał w stronę Baulcka, który rozmawiał właśnie z „Pijakiem” Dunkinem. Wyjaśniał mu zasadę działania urządzenia nawigacyjnego KNS-81, które miał uciepione do uprząży spadochronu. Kamigami pokiwał głową z aprobatą. Baulck miał być pierwszym, który wyskoczy. Nastawi niewielkie oliwkowobrunatne pudełeczko na odbiór sygnałów wskazujących kierunek do przenośnej stacji nadawczej umieszczonej zawczasu w strefie lądowania.

Victor rozejrzał się. Wszystko szło gładko, zgodnie z obowiązującymi procedurami i regulaminem. Jednakże żołnierze robili wrażenie, jakby odbywali

rutynowe ćwiczenia. Brakowało zapachu, który Kamigami pamiętał z października 1983, kiedy to szykowano się do operacji „Nagła Furia” – lądowania na Grenadzie. Szef batalionu musiał to zmienić.

– Szybciej! – warknął.

Pentagon, Waszyngton

– Czuję się tu potrzebny jak wrzód na dupie – mruknął Stansell. Kapitan Don Williamson zdecydował, że najlepiej będzie nie komentować tej wypowiedzi i dalej robić swoje. Williamson pracował w Centrum Obserwacyjnym, w Pentagonie. Rupert kręcił się po różnych mniej reprezentacyjnych biurach budowli już od poniedziałkowego wieczora. Śledził na bieżąco sytuację w Iranie i czekał na telefon z sekretariatu Cunninghama. Williamson lubił małego pułkownika i jego pełne ironii poczucie humoru.

– Panie pułkowniku – odezwał się kapitan – nadeszły interesujące wiadomości z Teheranu. IPR – Islamska Partia Republikańska – sprzymierzyła się z Islamską Ludową Partią Republikańską. Wygląda na to, że szykują się do przekazania im części jeńców. – Williamson podał Stansellowi wydruk przechwyconego komunikatu wysłanego z siedziby ILPR w Teheranie. Rupert został zaalarmowany.

– Don, czy może pan połączyć mnie z Nellis na bezpiecznej linii? Muszę porozumieć się z moimi ludźmi. – Dwanaście minut później w słuchawce kodującego telefonu, znajdującego się w przeszklonej kabinie dowodzenia, dał się słyszeć chropowaty głos Locke’a.

– Jack, muszę pomówić z Dewą.

– Za moment, sir. Jestem w centrum dowodzenia bazy Nellis. Chwileczkę... – Locke szybko odezwał się znowu. – Dewa będzie tu za kilka minut. Panie pułkowniku, chciałbym przeprowadzić lot z osłanianiem przez F-15 szeregu lecących na małej wysokości C-130, który dostanie się prosto pod bojowy patrol powietrzny F-4, znajdujący się wyżej. Zasady podejmowania walki będą takie, że phantomy mogą atakować, kiedy piloci zobaczą zgrupowanie, a F-15 dopiero wtedy, kiedy sami zostaną zaatakowani. F-4 będą korzystać z analogicznych systemów jak te, którymi posługują się Irańczycy.

– Po co to panu, Jack?

– Założę się, że F-15 i herculesy zdołają przelecieć pod nosem F-4 niewykryte, ale piloci F-15 nie wytrzymają i tak przebiją powłokę chmur, żeby uderzyć na phantomy. Pozostawią transportowce bez opieki. Wtedy ja zaatakuję je pojedynczym F-4. Nagram to na wideo przez HUD. To powinno ich chyba czegoś nauczyć.

Stansell zawahał się. To, co proponował kapitan, mogło być niebezpieczne. Pułkownik wiedział z własnego doświadczenia, że tak zwana niesymetryczna taktyka walki powietrznej jest z założenia ryzykowna. Miał ochotę przemyśleć zagadnienie, nie miał jednak na to specjalnie czasu. Opóźnianie podjęcia decyzji nie byłoby dobre ze względu na morale. Musiał więc zaufać swoim ludziom.

– Zważywszy, że Irańczycy latają na F-4, pomysł jest dobry. Jeżeli dasz sobie z tym radę, zorganizuj to.

– Dziękuję. Przyszła Dewa.

– Dewa, przeczytałem tu wiadomość, z której wynika, że być może przeniosą część jeńców...

– Ja też ją czytałam. Rupe, to się stanie bardzo niedługo. – Rahimi była wyraźnie zaniepokojona, co dało się słyszeć nawet pomimo zniekształcenia głosu powodowanego przez urządzenia kodujące. – Myślę, że w ciągu najbliższych kilku dni.

– Masz jakieś konkretne podstawy do takiej oceny?

– Nie, ale to nie tylko intuicja. W Iranie wykonuje się wszystko w pewnym rytmie. To ma związek z tradycją. Wymienią jeńców bardzo szybko. Jeżeli się nie pospieszymy, już ich nie będzie, kiedy tam wylądujemy.

– No dobrze, zacznę wobec tego naciskać tutaj. A jak tam Mado? Nie daje się ludziom we znaki?

– Zdaje się, że ostatnio więcej czasu spędza w pozycji poziomej niż pionowej. Nie widzimy go zbyt często.

– No, proszę. W takim razie będziemy w kontakcie.

Wezwanie z sekretariatu Cunninghama nadeszło pięć godzin później, czyli o wpół do dziewiątej wieczorem. Stansell wypadł z podziemnej części Pentagonu i pospieszył długimi korytarzami do sekcji E. Szef Sztabu Sił Powietrznych siedział z filiżanką kawy w dłoni i popijał gorący napój. Obrazek ten jakoś nie pasował do generała.

– Przepraszam pana za to opóźnienie, Rupe. Likwidowałem dzisiaj cały dzień wielkie zagrożenie – niektórzy kongresmani w ogóle nie rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi. No dobrze, Dick mówi, że wprowadziliście do planu operacji poważną zmianę.

Cunningham był rozluźniony, a jednocześnie zwracał uwagę, co ma do powiedzenia Stansell. Generał porzucił swoje zwyczajowe groźne miny i sposób bycia. Był to znak, że przyjął Ruperta do najbliższego kręgu swoich oficerów. Pułkownik zarysował zmiany proponowane przez Locke'a i Trimlera, wspominając

także o niepokojach Dewy związanych z dalszym losem jeńców.

– Ufa pan jej ocenie? – spytał Cunningham. – Stansell skinął głową. – Czy ktoś jeszcze jest tego samego zdania?

– Analityk z Centrum Obserwacyjnego, kapitan Don Williamson.

– Znam Williamsona. – Generał zauważył zdziwienie na twarzy pułkownika. – Jednym z moich zadań jest wyławianie dobrze zapowiadających się oficerów i dbanie o to, żeby znaleźli się w miejscu gwarantującym szybkie awanse. W Siłach Powietrznych pełno ludzi typu Simona Mado – cholernie kompetentnych; w wielu przypadkach ich pracy nie wykonałby nikt inny. Sposób, w jaki Task Force Alpha znajdzie się w Turcji, zorganizował naprawdę błyskotliwie; to był znakomity pomysł. Jednak oficerowie w jego typie bardziej przejmują się zapewnieniem sobie kolejnych awansów oraz gierkami biurokratycznymi niż rzeczywistymi zadaniami do wykonania.

– Poza tym generał Mado wybrał sobie na bazę polityczną JSOA.

– Właśnie. Rupe, dość już mam rozsądnych, zrównoważonych pułkowników, którzy wykoleją się w chwili, kiedy przypinają im gwiazdkę generała. Wnioskuje z tego, że awansujemy nie tych, co trzeba. Pamiętam stare powiedzenie, że najlepsi pułkownicy nigdy nie zostają generałami. Chcę to zmienić. Dlatego właśnie szukam ludzi takich, jak Williamson. Na razie jednak Mado jest najlepszym oficerem, jakiego mam do tej funkcji. Tak jak mówiłem, zrobił tu w Pentagonie dla Task Force Alpha bardzo dużo. Może to i zwierzę biurokratyczne, jednak nadaje się na dowódcę i zasłużył sobie na tę szansę.

Zmierzch nie wspomniał, że mianowanie Mado dowódcą połączonych sił operacyjnych także było zagrywką „polityczną”. Odpowiadało Leachmeyerowi, a jednocześnie on, Cunningham miał dostęp do tego, co dzieje się z Task Force Alpha i niejaką kontrolę nad nią. Szef Sztabu Sił Powietrznych również musiał rozgrywać własną partię szachów, w której Mado był jedną z figur. Stansell wiedział, że Mado jest naprawdę inteligentnym i kompetentnym człowiekiem, wolałby jednak, żeby jego dowódca brał już wcześniej udział w jakiejś walce, w której strzelano doń prawdziwymi kulami.

– Starczy tego – skwitował Cunningham – przedstawmy sobie rzetelny obraz całej sytuacji.

Godzinę później szef Sztabu Sił Powietrznych wcisnął guzik interkomu i przekazał swojemu adiutantowi:

– Dick, musimy ustawić na jutro spotkanie z prezydentem na temat jeńców. Niech Mado przyleci tu jeszcze tej nocy. Proszę się też skontaktować z Benem Yuridenem

i powiedzieć mu, że musimy się jak najszybciej zobaczyć w pilnej sprawie.

Generał obrócił się z fotelem i wyjrzał przez okno.

– Dość się już nabawiliśmy w ciuciubabkę. Chcę, żeby jeńcy zostali uwolnieni i nie obchodzi mnie, kto tego dokona. Ale Task Force Alpha będzie teraz poważną opcją do wyboru przez prezydenta.

Rozdział dwudziesty ósmy

Dzień D minus 7

Saqquez, Iran

Bill chodził po otoczonym murem placu na przedmieściach irańskiego miasta Saqquez. Wokół Amerykanina biegały dzieci. Na dziedzińcu zaparkowane były to tu, to tam ciężarówki ZIL-157; większość z nich stała przy tylnym odcinku muru. Nikt z Kurdów nie czynił specjalnych starań, żeby zorganizować jakoś obozowisko. Kobiety powynajdywały sobie potrzebną przestrzeń i porozpalały ogniska do gotowania. W dużym, parterowym budynku, który służył za garaż, magazyn i parking, rozkwitło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki życie plemienne.

Carroll oceniał, że mniej więcej połowa Kurdów z tymczasowej wioski pozostawała we wsiach i oddzielnych farmach, mijanych po przekroczeniu granicy z Iranem. Mustafa mówił, że jego grupa zostanie w Saqquez do czasu, kiedy powrót do Iraku będzie już bezpieczny. Wtedy pozbierają resztę ludzi i broni. Kurdowie nie przejmowali się zupełnie sytuacjami, w których musieli dokonać czegoś niezwykłego – na przykład, prześlizgnąć się przez granicę przejeżdżając w nocy ciężarówkami przez rzeczny wąwóz, który wydawał się niemożliwy do przebycia. Oczywiście, przez cały czas przy tym gadali. Ten naród zaczął wydawać się Billowi sympatyczny.

A jeśli chodzi o Zakię... Wyglądało na to, że cieszy się jakimś specjalnym statusem, niezależnością. Nie przynależała jak gdyby do normalnego życia plemiennego. Być może to dlatego, że była lekarzem. Carroll poszedł do pomieszczenia, które zaadaptowała jako tymczasową izbę przyjęć oraz miejsce zamieszkania. Zobaczył, że kobieta bandażuje rękę człowiekowi, którego nigdy przedtem nie widział. Niby nie był to powód do jakichś podejrzeń; Zakię leczyła po drodze niejednego Kurda. Ten jednak mężczyzna wydawał się spieszyc. Kiedy tylko skończyła, zebrał się do odejścia, nie wdając w rozmowy z innymi.

Amerykanin rozejrzał się po pomieszczeniu, które było największe ze wszystkich. W narożnym palenisku płonął węgiel drzewny.

– Traktują cię inaczej – powiedział do Zakii. Zignorowała tę uwagę.

– Jeżeli jesteś głodny, zostań – powiedziała. – Już niosą jedzenie. – Parę minut później przyszła kobieta z dwoma szpikulcami z kebabem i płaskim, okrągłym chlebem, przypominającym pizzę. Carroll uwielbiał go, kiedy był świeżo

wypieczony.

Ściągnął mięso na chleb i zawinał je. Zakia uczyniła podobnie i po chwili jedli w milczeniu. W końcu kobieta powiedziała:

– Bill, przyjdź do mnie później, kiedy zrobi się ciszej...

Kiedy większa część Kurdów zaczynała układać się już pomału do snu, Carroll wrócił do zajmowanego przez Zakie kąta. Zobaczył, że siedzi na dywaniku, oparta o skrzynię, przed dogasającym ogniem. Rozczesała włosy. Połyskiwały od pełgających płomieni. Kobieta klepnęła dłonią w miejsce koło siebie i użyczyła Billowi koca, którym osłoniła się przed zimnem.

– Ty nie jesteś jedną z nich – oświadczył Carroll.

– Dlaczego tak uważasz?

– Kobiety są tu otwarte i miłe, ale jednak cały czas widać, jak silnie przynależą do rodziny. Gdybyś była kuzynką Mustafy albo chociaż członkinią tego plemienia, nigdy nie pozwoliliby nam zostać sam na sam.

– Potrzebowałeś dużo czasu, żeby do tego dojść. Czasami potrafisz być bardzo powolny.

– Zakia, jeśli chodzi o tamtą noc, to...

– Wiem – przerwała mu po angielsku, zaskakując go. – To była chwila. Oboje czuliśmy tę samą potrzebę. Wątpię, żeby kiedykolwiek się to powtórzyło. – Ogień rozbłysnął nagle na nowo, przyciągając na moment ich uwagę. – Billu Carrollu, co ty tu właściwie robisz?

– To długa historia... – Kapitan patrzył w ogień. Jak mógł jej wytłumaczyć? Czy zrozumiałaby, co nim kieruje? Kto zresztą uwierzyłby, że poczucie obowiązku i szczytny cel może iść w parze z głodem zemsty, a także – miłości.

– Mój dowódca z Ras Assanya, pułkownik Waters rozkazał mi podczas ewakuacji opuścić bazę... – Stopniowo Carroll opowiedział Zakii o tym, co stało się w Ras Assanya. – Kiedy w końcu dotarłem w bezpieczne miejsce, cały czas starałem się realizować ostatni rozkaz, jaki wydał mi Waters. Robiłem wszystko, żeby tylko pomóc jeńcom...

– Co może samotny człowiek? Amerykanin wzruszył ramionami.

– Byłem oficerem wywiadu. Widziałem, jak moja jednostka zostaje pozostawiona samej sobie ze względu na rozgrywki polityczne. Nie podobało mi się to. – Przełknął, jak gdyby chciał zamknąć w sobie napelniające go uczucie goryczy. – Jeśli zdołam zrobić cokolwiek, to już będzie coś. Poza tym, niektórzy z tych jeńców to moi przyjaciele. Doktor Landis...

– I ta kobieta.

Bill popatrzył na nią, zdumiony.

– Mówisz przez sen... Nieważne. Mam dla ciebie wiadomość od twojego rządu.

– Co?

– Posłuchaj mnie. Jest coś, co możesz zrobić. Chcą wyzwolić jeńców i potrzebne im ciężarówki lub autobusy czekające koło więzienia w Kermanshah dla przewiezienia uwolnionych. Kurdowie ci pomogą – bo ty im pomogłeś. Ja mogę zorganizować pieniądze, złoto...

– Kurdowie popadliby w tarapaty także w Iranie.

– Nie wiesz, co się stało. Kurdowie mają jeszcze inny motyw, nie tylko pomoc tobie. Naczelnik więzienia chciał oczyścić stare baraki stojące za murami. Mieszkało w nich pięć kurdyjskich rodzin. Byli biedni i tam znaleźli sobie schronienie na zimę. Straż więzienna ustawiła ich wszystkich w szeregu i rozstrzelała – mężczyzn, kobiety i dzieci. Mulla Haqui na pewno ci pomoże. Czuje potrzebę zemsty.

– Ja też – przyznał sam przed sobą Carroll. – Mamy ciężarówki – zauważył. – Skąd dostałaś tę wiadomość od amerykańskiego rządu?

– Ten mężczyzna, którego widziałeś wieczorem, to mój łącznik. Zobaczysz go jeszcze.

– Zakia, dla kogo ty pracujesz?

Kobieta potrząsnęła głową, odwróciła się i poszła spać.

Biały Dom, Waszyngton

– Mike, dlaczego się niepokoję? – rzucił prezydent Stanów Zjednoczonych, schodząc do pomieszczenia sytuacyjnego znajdującego się w podziemiach Białego Domu. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Michael Caligari, i szef gabinetu, Andy Wollard, podążali z tyłu.

– Sytuacja jest niestabilna – odpowiedział Caligari. – Czasami trzeba czytać między wierszami Dziennego Raportu Prezydenckiego. Ale wszystko tam jest. – Michael postanowił dobrać się do skóry Bobby'emu Burke w sprawie raportu, który miał streszczać wszystkie najważniejsze dane amerykańskiego wywiadu. Do drukowanego codziennie dokumentu miały zawsze dostęp jedynie cztery osoby. Zaczynał on jednak wyglądać jak zwykłe pismo urzędowe, w którym ktoś usiłuje ukryć to, że niczego nie dokonał.

Wartownik w mundurze marines otworzył prezydentowi drzwi. Rozległ się szmer wstających ludzi, którzy zgromadzili się w niewielkim pomieszczeniu. Żołnierz zamknął drzwi za wchodzącymi. Prezydent zerknął na admirała Scovilla – przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabu, po czym usiadł i rozejrzał się po twarzach zebranych. Za Bobbym Burke – dyrektorem CIA i Charliem

Leachmeyerem zobaczył nieznanego sobie człowieka. Również koło Simona Mado siedział mężczyzna, którego prezydent nigdy nie widział, sporo jednak o nim słyszał – pułkownik Rupert Stansell.

– Cóż, Terry – odezwał się prezydent – co dla nas przygotowałeś na tak późne popołudnie?

Scovill znał zwyczaje prezydenta. Odezwał się:

– Sir, chciałbym przedstawić Allena Camma, wicedyrektora CIA do spraw wywiadu. – Prezydent skinął głową. Nigdy nie zapominał nowo poznanych twarzy ani nazwisk, czym zawsze zdumiewał swoich podwładnych. Była to jego bardzo korzystna cecha.

– Pułkowniku Stansell, cieszę się, że również mamy sposobność wreszcie się poznać – dodał prezydent.

Scovill rozpoczął merytoryczną część narady:

– Panie prezydencie, będzie nam potrzebny rozkaz wykonania misji uwolnienia jeńców.

– Proszę przedstawić mi obecną sytuację.

– Oczywiście, sir, po to właśnie jest tu pan Camm. – Camm wstał i podszedł do stojącego obok prezydenta stojaka na mapy. Zawiesił na nim różne schematy i rysunki opatrzone od góry i dołu okazałymi napisami ŚCIŚLE TAJNE. Wprowadził zebranych w sytuację korzystając z tablic poglądowych. Starannie unikał wszystkiego, co mogłoby sprowokować pytanie, na które odpowiedź ujawniłaby istnienie „Głębokiej Bruzdy”. Na sam koniec Camm zostawił swoją rewelację:

– Wreszcie, sir, jeden z agentów zameldował wczoraj, że albańska ambasada w Teheranie poinformowała irański rząd o tym, iż Delta Force przygotowuje operację uwolnienia jeńców i że wyruszy z terytorium Iraku. – Było to zmyślane przez Susan Fisher wytłumaczenie, skąd CIA wie o związkach Albańczyków z islamskim Dżihadem.

– Skąd, u licha, zamieszali się w to wszystko Albańczycy?

– Nasze informacje wskazują na to, że ambasada albańska w Waszyngtonie wspiera działania islamskiego Dżihadu na terenie Stanów Zjednoczonych – wyjaśnił.

– Albańczycy są łącznikami agentów Dżihadu z Bliskim Wschodem. Oczywiście działalność kontrwywiadowcza w USA leży w kompetencjach FBI, ale chyba nie udało im się namierzyć islamskiej siatki. W związku z tym nie wiemy, jak Dżihad dowiedział się o tym, co robi Delta Force. – Wicedyrektor CIA zbierał polityczne punkty za krytykowanie pracy FBI, a jednocześnie ukrywał swoje źródła.

Na ostatniej z przygotowanych tablic widniała mapa z zaznaczoną bazą na terenie Iraku oraz Kermanshah.

– Ponieważ Agencja nie jest wtajemniczona w obecne plany uwolnienia jeńców, nie jesteśmy w stanie ocenić, do jakiego stopnia Irańczycy zdołają zapobiec powodzeniu naszej misji. Wiemy jednak, że zostali ostrzeżeni i śledzimy ich reakcję.

Camm rozejrzał się po milczących twarzach zebranych. Burke skinął nieznacznie głową w jego stronę na znak pochwały.

– Ile źródeł potwierdza to, co nam pan powiedział? – odezwał się Leachmeyer. – Informacja, którą przekazali Albańczycy, dotyczyła naszego pierwotnego planu. Obecnie zamierzamy wyruszyć z Arabii Saudyjskiej, a w drodze powrotnej uzupełnić paliwo w Turcji.

– Tylko jeden agent w Teheranie – skłamał Camm. – Jednak do tej pory zawsze był wiarygodny. – Trzeba było utrzymywać, że to agent CIA w Teheranie odkrył, iż operacja Delta Force się wydała. Burke byłby wyjątkowo niezadowolony, gdyby zaczął podejrzewać, że Camm prowadzi operacje kontrwywiadowcze na terenie Stanów.

– Ironia losu... – mruknął prezydent. – Przecież zorganizowaliśmy operację pozorowaną, jako osłonę dla przygotowań Delta Force. Tymczasem nasza pierwsza drużyna została spalona, podczas gdy ta pozorowana – jak ją panowie nazwali? – jest bezpieczna.

– Task Force Alpha, sir – pospieszył z odpowiedzią Mado. – Jednak nie możemy być całkowicie pewni, że nasza operacja się nie wydała – dodał.

Cunningham opanował się siłą woli, nie pokazując niczego po sobie. Sukinsyn, pomyślał. Patrzył na reakcję Leachmeyera. Ulga była wręcz wypisana na jego twarzy. Nic dziwnego, że prezydent lubi grać z tobą w pokera, pomyślał Zmierzch.

– Panie prezydencie – powiedział – moje Biuro Dochodzeń Specjalnych czuwa nad Task Force Alpha i do tej pory nie zameldowali o niczym niepokojącym.

Prezydent wyciągnął cygaro.

– Co powie CIA?

– Nie mamy nic, co wskazywałoby na spalenie Task Force Alpha – odparł Camm. Przynajmniej raz w ciągu tej narady odpowiedział całkowicie szczerze.

– Simonie – odezwał się prezydent – rozumiem, że jest pan dowódcą polowym i widzi rzeczy, których my nie możemy dostrzec. Dlaczego jednak zastrzegł pan, że nie można być pewnym bezpieczeństwa operacji Task Force Alpha? – Zapalił cygaro. Nikt inny by się w tym momencie na to nie ośmielił.

– Sir, nasza specjalistka do spraw wywiadu jest Amerykanką pochodzenia irańskiego. To dobry analityk i mówi płynnie farski. Jednak ostatnio nabrałem w jej sprawie wątpliwości, które mogę wymienić. Uważam, że to ostrzeżenie, jakiego nie wolno zignorować...

– Panie prezydencie – wtrącił Stansell. – Ta analityk nazywa się Dewa Rahimi. Została wszechstronnie sprawdzona i pracowała dotychczas w Centrum Działań Specjalnych Sił Powietrznych USA. Urodziła się i wychowała w Ameryce i nigdy w życiu nie była w Iranie. Jej irańska rodzina została praktycznie wytrzebiona przez ajatollahów. Nigdy nie miałem względem panny Rahimi najmniejszych wątpliwości...

– Panowie – odezwał się prezydent spokojnym głosem, przerywając dalszą dyskusję. Zgasił cygaro. – Działajcie wspólnie!... Czy Delta Force jest gotowa?

– Tak jest, sir – odpowiedział Leachmeyer.

– A Task Force Alpha?

– Już prawie, sir – odparł Cunningham. – Rangersi są gotowi. Organizujemy transport naziemny dla jeńców i dostarczamy na miejsce przenośną radiolatarnię dla spadochroniarzy...

– A kto udziela wam wsparcia na terytorium Iranu? – wtrącił Burke.

– Udało nam się skontaktować z kapitanem Williamem Carrollem. Przebywa wśród członków Pesh Merga, kurdyjskiej organizacji wyzwolenczej – odpowiedział szybko Zmierzch.

– Ale jak go odnaleźliście? I nawiązaliście kontakt? – Burke był zdumiony.

– Poprzez Izraelczyków – wyjaśnił Cunningham, patrząc Burke'owi prosto w oczy. – Sami musieliśmy poprosić ich o informacje. – Ty dupku, dodał w myśli.

– Panowie... – Prezydent nachylił się naprzód, składając przed sobą dłonie, oparte na stole. – Obawiam się, że sytuacja jest tak popierdolona – znacie takie słowo – że nie da się stwierdzić, o co chodzi. Mam wrażenie, że żadna z operacji ani nie jest bezpieczna, ani się nie wydała. Ale chcę, żebyście tych jeńców uwolnili! – Popatrzył na Leachmeyera. – Charlie, niech pan przewozi Deltę przez ocean, kiedy tylko wszystko będzie przygotowane. Niech pan ich ukryje, przeniesie gdzieś i przerzuci na miejsce tak, żeby nikt tego nie widział... Generale Cunningham – chcę, żeby Task Force Alpha była gotowa tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, i stała się rzeczywistą opcją do wyboru. Proszę mnie poinformować, kiedy tak się stanie. Uwaga wszyscy – żadnych przecieków więcej. Nawet gdybyście musieli zamknąć każdego lubiącego wypić żołnierza, który o niej wie.

– Cholera, Mado!... O czym pan, u licha, myślał na naradzie? – Stansell i Mado stali przed biurkiem Cunninghama. Cygaro szefa sztabu Sił Powietrznych USA paliło się. – Tylko dlatego nie wypadliśmy z gry, że pułkownik Stansell zdołał zweryfikować negatywnie pańskie odczucia. Czy pan zupełnie zgłupiał?

– Chciałby pan generał, żebym kłamał prezydentowi? – odparł Mado.

– Nie. Ale nie chciałbym też, żeby pan mu opowiadał o swoich niepotwierdzonych wątpliwościach!... – W każdym innym wypadku Zmierzch zwolniłby natychmiast Mado z pełnionej funkcji. Jednakże w tej chwili nie pozwalał mu na to brak czasu. – Nasze wątpliwości i różnice zdań rozważamy na głos tutaj. Prezydentowi przedstawiamy się jako jednolita siła. On ma za dużo spraw na głowie, żeby jeszcze musiał rozsądzać nasze sprzeczki. To należy do mnie. Stansell, niech pan wraca do Nellis. Mado – pan niech zostanie tu. – Obaj oficerowie wyszli.

W drzwiach pojawił się adiutant Cunninghama.

– Narada Połączonych Szefów Sztabów za pięć minut, panie generale – przypomniał. – W Zbiorniku.

– Dick, niech pan pilnuje Mado, dobrze? Nie ufam temu sukinsynowi.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Sześciu mężczyzn siedziało w małej sali odpraw budynku „Czerwonej Flagi” i oglądało nagranie wideo. Pochodnia przewinał kasetę, kiedy się skończyło.

– Obejrzyjmy jeszcze raz – powiedział pozostałym pięciu członkom załóg F-111. Ramon Contreras, oficer uzbrojenia Doucette’a, chciał już uciec z pomieszczenia. Widział zawstydzenie na twarzy swojego odpowiednika latającego z Von Drexlerem, kiedy oglądano nagranie z ich ostatniej misji. Załoga trzeciego F-111 miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Pochodnia puścił nagranie od nowa i po krótkim czasie nacisnął pauzę.

– O, w tym momencie, pułkowniku – powiedział Von Drexlerowi – kiedy zaatakowały pana dwa F-16 i znalazły się na pańskiej szóstej, powinien pan być zejść trochę niżej i zasymulować zrzućnięcie pojedynczej bomby o dużej sile.

– Iw czym by mi to pomogło? – sapnął Von Drexler. – Te bomby mamy zrzucić na cel.

– W rzeczywistym świecie – nie ustępował Doucette – bomba eksplodowałaby za panem. Ponieważ ma opóźniony zapłon, uciekłby pan odłamkom, ale bandyci być może zostaliby przez nie akurat trafieni. A przynajmniej gdyby nagle zobaczyli wybuchającą im przed nosem bombę, ścigając pana pomiędzy skałami, zdekoncentrowaliby się trochę.

Von Drexler pokręcił głową.

– Dałbym im znak, że się boję... – zaprotestował.

Contreras słyszał w głosie Doucette’a protekcyjalny ton. Była to klasyczna rozmowa pomiędzy najlepszym pilotem skrzydła, który wiedział, jak się lata samolotem bojowym, oraz najgorszym pilotem skrzydła, który wiedział, jak się

dostaje awanse.

Taśma ruszyła.

– Przeleciał pan ten kanion na wysokości dwustu czterdziestu metrów – ciągnął Pochodnia. Sarkastyczna nuta w jego głosie wyjaśniała dobitnie, co myśli o lataniu na tak dużej wysokości.

– Nie ufam radarowi do śledzenia terenu w 399. – spróbował kolejnego kłamliwego wykrętu Von Drexler. Trzeci z pilotów przygryzł język. Poprzedniego dnia prowadził ten sam samolot, numer 399, i radar APQ-146 działał idealnie.

– Pułkowniku – Doucette mówił teraz z udawaną słodyczą – radar do śledzenia terenu to podstawowe urządzenie, jakim się posługujemy. Albo nauczy się go pan używać, albo prowadzić samolot pomiędzy skałami bez żadnego wspomagania.

– Gdyby podczas lotu na wysokości, jaką pan sugeruje, zdarzyła się jakaś awaria, nie miałbym dość czasu na podjęcie odpowiednich kroków – nie ustępował Von Drexler.

– No, to miałby pan pecha. Latanie na małej wysokości i korzystanie z nierówności terenu to to, za co nam płacą.

– O tej porze roku przelatuje tędy za dużo ptaków – skarżył się Von Drexler. – Niepotrzebne mi zderzenie z ptakiem.

– Wszystkim ptakom wydano instrukcję nurkowania w dół – odpowiedział Pochodnia zachowując poważną minę. Przypomniał w ten sposób, że naturalnym odruchem ptaka, kiedy widzi, że grozi mu zderzenie, jest właśnie nurkowanie. – Pan podciąga w górę; taka jest umowa z ptakami.

Teraz na ekranie pojawił się mur makiety więzienia, zbudowanej przez Pullmana na pustyni.

– Szybko zidentyfikował pan cel, ponieważ leciał pan wysoko. W rzeczywistości nie zobaczyłby pan nic na Pave Tacku, dopóki nie znalazłby się pan dziesięć kilometrów od celu.

Później, kiedy zrzucił pan bombę i odleciał z wiatrem, skończył pan za szybko. Bomba leci około trzydziestu sekund i musi pan tak wymierzyć odwrót, żeby pański oficer operacyjny mógł przez ostatnie osiem – dziesięć sekund wskazywać laserem cel. Poza tym, trzeba wykonać ocenę skutków własnego bombardowania, żeby stwierdzić, czy nie należy zaatakować ponownie.

– Symulowałem środowisko wysokiego zagrożenia...

– Po to właśnie mamy urządzenia do walki elektronicznej – wtrącił oficer uzbrojenia Von Drexlera – żeby likwidowały te zagrożenia. – Poczuję, że też musi się wypowiedzieć. – Panie pułkowniku, pana zadaniem jest prowadzenie wozu, a moim – doręczanie nieprzyjacielowi przesylek. Musimy pokręcić się wokół celu

dostatecznie długo, żebym miał szansę to zrobić.

– Myślę, że to streszcza mniej więcej wszystko – zakończył Doucette.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dzień D minus 6

Pentagon, Waszyngton

Odcinek korytarza sekcji E Pentagonu w pobliżu biura sekretarza obrony był dobrze strzeżony, a wstęp do niego mieli tylko nieliczni, posiadający odpowiednie przepustki. Cunningham przechodził zwykle obojętnie koło stanowiska wartowniczego, licząc, że pełniący służbę żołnierze znają go i nie będą próbowali zatrzymać. Tego jednak dnia na posterunku czuwał dziewiętnastoletni kapral, który dopiero co rozpoczął służbę w Pentagonie i nie potrafił rozpoznać, jak wygląda szef sztabu Sił Powietrznych.

– Sir, czy mogę prosić pana o okazanie przepustki? – odezwał się chłopak. Zmierch popatrzył na niego.

– Jak się nazywasz?

– Kapral Thomas Naylor, sir.

– Służysz tu dzisiaj pierwszy dzień, prawda, Naylor?

– Tak jest.

– Synu, kilku z nas jesteście obowiązani rozpoznawać po twarzach. Należę do tej grupy – wyjaśnił Cunningham. Rozejrzał się, żeby się upewnić, że nikt poza jego adiutantem nie słyszy, i powiedział: – Do moich obowiązków należy wyciąganie konsekwencji wobec tych, którzy źle wykonują swoje zadania. – Wyjął jednak swoją przepustkę i pokazał ją kapralowi.

– Dziękuję, sir – odpowiedział tamten, przepuszczając go.

– Dick, czy ja na starość łagodnieję? – zapytał Cunningham adiutanta.

– To niewykluczone – odparł pułkownik. Stevens był wobec swojego szefa absolutnie lojalny i oddany. Szybko odkrył, że prestiżowe stanowisko, jakie piastował Zmierch, nie przewróciło mu w głowie i że Cunningham zachował zwykłą, ludzką skromność. Było to rzadkie zjawisko w sekcji E. Teraz Stevens przytrzymał generałowi drzwi Zbiornika – sali konferencyjnej, gdzie zbierał, a raczej spierał się, Połączony Komitet Szefów Sztabów. Cunningham chrząknął i przybrał swoją zwyczajową, surową minę.

Za nim do sali wszedł admirał Scovill i zajął miejsce u szczytu stołu.

– Witam panów – odezwał się, skłoniwszy głowę w stronę Leachmeyera

i Cunninghama. – Prezydent zażądał codziennego raportu o sytuacji jeńców oraz naszych postępach. Nie chcę powtórki z wczoraj i dlatego ja będę składał te raporty. Zanim pojedę na drugą stronę rzeki, będziemy zbierali się tutaj. Co mam powiedzieć prezydentowi dzisiaj?

– Dziś w nocy przetrzucamy Delta Force do Bazy Sił Powietrznych Howard w Strefie Kanałowej – odpowiedział Leachmeyer. – Będziemy ich tam trzymać przez tydzień i udawać, że uczestniczą w ćwiczeniach z siłami Południowego Dowództwa. W przyszłym tygodniu będziemy mieli na miejscu sześćdziesiąt śmigłowców i przeniesiemy Delta Force jeszcze raz, zanim wyślemy ich do Arabii Saudyjskiej. Będziemy gotowi na przeprowadzenie misji w ciągu mniej więcej dziesięciu dni.

– Sześćdziesiąt śmigłowców, Charlie? – Scovill wydawał się zaniepokojony. – To dużo, jak na siły wlatujące nad terytorium wrogiego państwa.

– Potrzebujemy ich tyle do przetransportowania jeńców i zablokowania pułku pancernego, stacjonującego sześćdziesiąt kilometrów od Kermanshah, gdyby ten zareagował na nasz atak.

– To będzie wyglądało jak inwazja – mruknął Cunningham. – Liczy się jakość, a nie ilość.

– Ilość wiąże się bezpośrednio z jakością – odparł Leachmeyer. – Jesteśmy gotowi uderzać.

– I tak zostaniecie spaleni w ciągu tych dwóch tygodni.

– A kiedy będzie gotowa Task Force Alpha? – zapytał Scovill.

– Transport naziemny powinien być dostępny od soboty – odpowiedział Cunningham. – Ciągłe jeszcze musimy dostarczyć do Kermanshah przenośną radiolatarnię, żeby wskazywała drogę naszym spadochroniarzom. Powinno to dojść do skutku w niedzielę. Także w niedzielę przeprowadzamy ostateczną próbę misji.

– Jesteście zależni od Izraelczyków i zakładacie, że jeszcze coś się uda – mruknął Leachmeyer. – Daleko wam do gotowości i prezydent powinien o tym wiedzieć.

– Niech się pan liczy z faktami – upomniał Cunningham.

– Liczę się.

Zmierzch nie odcinał się już, tylko pomyślał: Dlaczego on jest tak pewny siebie? Z kim rozmawiał? Z Mado?

– Cóż, kto to powiedział, że dobry plan wykonany na siłę teraz jest lepszy niż idealny plan na przyszły tydzień? – zapytał w końcu Cunningham.

– Patton – odparł Leachmeyer.

– Właśnie. I myślę, że prezydent powinien to usłyszeć. Task Force Alpha będzie gotowa do akcji od niedzieli.

Saqqez, Iran

Garaż – czy magazyn – wypełniał hałas. Kurdowie ładowali ciężarówki. Przemalowano je starannie i ZIŁ-y 157 miały teraz wygląd rozklekotanych ciężarówek, używanych przez rolników na Bliskim Wschodzie.

– Dokąd teraz? – spytał Carroll Mustafę.

– Do Kermanshah – odparł Kurd. Jego pogodna zwykle twarz przybrała surowy wyraz. – Żeby wyrównać pewne długi.

– Gdzie jest Zakia?

– Wyjechała wcześniej, żeby znaleźć miejsce podobne do tego, po północnej stronie Kermanshah – wyjaśnił Sindi. – Będzie tam czekać. – Pierwsza z ciężarówek zawarczała i ruszyła środkiem magazynu. Dwaj chłopcy otworzyli duże wrota hali i ciężarówka wyjechała. – Tym razem ruszamy oddzielnie i przede wszystkim w nocy – tłumaczył Mustafa. – Mamy około dwustu osiemdziesięciu kilometrów do przejechania. W sobotę wieczorem powinniśmy być wszyscy na miejscu. – Carroll pomyślał sobie, że to długo jak na przebycie dwustu osiemdziesięciu kilometrów, i dał temu wyraz. – Gdybyśmy wszyscy przyjechali w piątek, wzbudziłoby to podejrzenia – wyjaśniał młody Kurd. – Wiesz, co mówią mułowie o dniu wypoczynku i modlitwy. Poza tym nasi ludzie będą mieli okazję odwiedzić krewnych, którzy mieszkają po drodze.

Carroll pokręcił głową na te ustalenia, wzruszył ramionami i poszukał sobie ciężarówki, którą sam pojedzie. Trzeba ruszać z nimi, pomyślał. Zresztą, jak inaczej?

Rozdział trzydziesty

Dzień D minus 5

Baza Sił Powietrznych March, stan Kalifornia

Jack Locke chodził dookoła F-4E. Miał ochotę głaskać ten samolot, poklepywać go, mówić do niego. Był to jego stary przyjaciel. Locke przesunął dłonią koło lufy działka zamontowanego pod wydłużonym dziobem maszyny. Przypomniało mu się, jak pilotując ten konkretny egzemplarz samolotu, numer 512, zestrzelił libijskiego MiG-a. Kontynuował czynności przedstartowe. Uśmiechnął się, zobaczywszy namalowaną na lewym wlocie powietrza małą czerwoną gwiazdkę. Był to znak, że phantom stracił maszynę nieprzyjaciela.

– A niech cię, Byers ucieszyłby się, gdyby cię zobaczył...

Mechanicy ze 163. dywizjonu Gwardii Narodowej pracowali ciężko nad samolotem, tak że wyglądał teraz prawie jak nowy. Nie pozostał żaden ślad walk z Ras Assanya. Maszyna połyskiwała w różowym świetle poranka. Staruszek gotów był znowu latać.

– A niech cię... – powtarzał tylko Jack, nie chcąc zdradzać wszystkich swoich uczuć przed Gromem, który właśnie wspinał się do kabiny, żeby zająć miejsce w tylnym fotelu.

Obaj oswajali się stopniowo z nowym uczuciem. Maszyna, jaką dostali, była tak integralną częścią ich życia, że sama zdawała się żyć przy pomocy jakiejś nieopisanej magii. Mogli w niej ciągle na nowo przeżywać dawne sytuacje. Weterani innych wojen czują to samo, kiedy widzą okręt albo samolot, na którym kiedyś walczyli. Teraz przyszła kolej na Locke'a i Bryanta.

– Nie podniosę cię tu automatycznie – odezwał się Grom. – Musisz mimo wszystko wejść po drabince. – Chciał już ruszać. Piloci pozostałych dwunastu F-4 uruchamiali silniki. – Musimy zatankować, jeżeli mamy atakować C-130 – dodał. Locke wspinał się do kabiny i zapiął pasy. Czuł, jakby na nowo zjednoczył się ze swoją starą maszyną.

Pentagon, Waszyngton

– Prezydent był pod wrażeniem pańskich wiadomości o Task Force Alpha –

powiedział Cunninghamowi Scovill. – Ciągłe jednak ma pewne wątpliwości i chciałby osobiście obejrzeć niedzielne ćwiczenia.

– To nadzwyczajne...

– W sobotę wieczorem będzie przemawiał w Las Vegas, więc ćwiczenia pasują mu do kalendarza – wyjaśnił admirał. – Poza tym zdarzył się jeszcze jeden kłopot. Camm zameldował, że nasi lojalni sojusznicy, Panamczycy, poinformowali Kubę, że jest u nich Delta Force. CIA wykryła już dwóch Kubańczyków szpiegujących Deltę. Niedobrze.

Zależy, z której strony, pomyślał Cunningham.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Sierżant sztabowy Raymond Byers czekał koło swojego F-15. Nadjechała furgonetka rozwożąca załogi. Uśmiechnął się, zobaczywszy wysiadającego z niej Stansella.

– Dzień dobry, panie pułkowniku – powiedział.

– Byers, co pan tu, u licha, robi?

– Opiekuję się moim samolocikiem, panie pułkowniku – odparł sierżant. – Timmy też tu jest. Teraz dali mu Orła pod jego własne skrzydła. No, ale nie jest taki dobry jak mój.

Rupert pokręcił głową i szybko wykonał regulaminowe czynności kontrolne. Tak jak się spodziewał, maszyna, której obsługą kierował Byers, była przygotowana w każdym calu. Pomimo mieszanych uczuć, jakich doznał Stansell ponownie widząc sierżanta, musiał przyznać, że mało który samolot był pieszczony tak starannie jak ten. Pułkownik wspiał się po drabince, przeprowadził czynności przewidziane do wykonania przed wejściem do kabiny, po czym usadowił się i dokonał pozostałej części kontroli. Wszystko ściśle według wykazu, który miał w kieszeni na nodze zewnętrznego kombinezonu. A jednak Rupert robił wszystko automatycznie. Włożył kasetę do magnetowidu. Teraz wszystko, co usłyszy i powie oraz wszystko, co zobaczy przez szybę, zostanie nagrane.

Kilka minut później koło stojącej jeszcze maszyny Stansella przeokołowały cztery F-15 mające stanowić osłonę myśliwską herculesów. Kluczem dowodził Houserman. Pułkownik odczekał, aż Wąż i jego załogi dojadą na koniec pasa, i dopiero wtedy uruchomił silniki. Miał polecieć jako obserwator. Prawe ucho swędziało go przez całe rano.

– Przestań – powiedział na głos. – Uszy, których nie ma, nie swędzą.

– Mam na wyświetlaczu sytuacji pionowej C-130 i F-15 – powiedział Stansell na potrzeby nagrania. – Są na mojej dwunastej, czterdzieści kilometrów nad polami, poniżej powłoki chmur. Powłoka chmur zmienia się w pojedyncze chmury na wysokości tysiąca pięciuset metrów. Ja znajduję się na trzech tysiącach siedmiuset. Cztery C-130 lecą na małej wysokości; długość szyku – trzy kilometry. Zachowują wyznaczony kurs oraz ciszę radiową. Dobrze. Dwa F-15 latają z przodu po „torze wyścigowym”, dwa pozostałe robią to samo z tyłu. Myśliwce zmieniają prędkość.

Teraz w radiu Stansella odezwał się dowódca klucza F-4 z bazy March, który meldował się „Oczku”, czyli centrum kontrolnemu poligonu. Oczko podało phantomom kierunki i odległości, ustanawiając obszar poszukiwania nieprzyjaciela ponad powłoką chmur. Tak zapewne zrobiliby irańscy kontrolerzy przestrzeni powietrznej. Rupert skrzył leniwie, nie chcąc, żeby jego pozycja ułatwiła załogom F-4 odnalezienie przeciwników.

– Sto sześćdziesiąte trzecie utworzyło bojowy patrol powietrzny na dużej wysokości – nagrał. – Brak kontaktu z Jokerem. – Tak oznaczono Locke’a. Jack leciał samodzielnie i miał zaatakować transportowce, jeśli F-15 je opuszczą. No i jeżeli zdoła je znaleźć pod powłoką chmur, co wcale nie było pewne.

– Zgrupowanie powinno znaleźć się pod phantomami za około dziesięciu minut. – Pułkownik wyobraził sobie trójwymiarową mapę i na bieżąco podawał dane o pozycji uczestników ćwiczeń. Tylko Locke krył się nie wiadomo gdzie. Rupert zaczął krążyć po „torze wyścigowym”, usiłując odnaleźć Jacka za pomocą radaru.

– Brak kontaktu z Jokerem. Musi kryć się wykorzystując nierówności terenu. – Pułkownik komentował na głos sytuację dla odtworzenia przy zdawaniu raportu z misji.

– Uwaga, lot Karciarz – odezwał się Wąż na częstotliwości ustalonej dla F-15 stanowiących osłonę herculesów. – Dwanaście strasydeł na drugiej, osiemdziesiąt kilometrów. Rozdzielamy się, już.

– Dowódca Karciarzy ustawia klucz do walki, przemieszcza się pomiędzy zagrożenie a C-130 – skomentował Stansell. – Dobre posunięcie defensywne. Cholera, opuszczają transportowce!... – Na radarze Ruperta widać było, jak F-15 oddalają się od herculesów. Każda z par sunęła po prostej pod nieco innym kątem, jak gdyby piloci tworzyli kleszcze, w które wezmą czające się phantomy. – Połknęli przynętę i będą atakować F-4 – kontynuował pułkownik, opisując szczegółowo, jak lot Karciarz łamie Zasady Podejmowania Walki, według których F-15 miały jedynie odpowiadać na atak ze strony bandytów. – Teraz F-4 was znajdują! – warknął z wściekłością Stansell.

Skierował się w stronę rozpoczynającej się walki powietrznej i zobaczył

przebijające powłokę chmur cztery F-15. Houserman kazał swoim ludziom przejść na częstotliwość phantomów. Rupert zrobił to samo. Rozległa się burza głosów.

– Lis jeden na F-4 na południe na pięciu i pół tysiącach – zameldował Wąż.

– Lot Lobo, dwaj bandyci na czwartej, nisko, trzynaście kilometrów, atakują nas. Wylatują z chmur. Co stało się z cholernymi ZPW? Lot Piwowar, przejdź na drugi CAP. – Dowódca phantomów zachowywał ciągle dyscyplinę zawodowca i odesłał klucz czterech maszyn, żeby nie mieszały się w walkę, tylko utworzyły bojowy patrol powietrzny w innym miejscu, w celu dalszego poszukiwania transportowców.

– Skid, uciekaj w prawo! – To z F-4.

– Ma mnie! Boomer wracaj w lewo. – Kolejny pilot phantoma był w opałach.

– Gdzie on się podział?

– Dymek, zachodzi twoją szóstą! – Teraz pilot F-15 ostrzegał swojego kolegę. Stansell zacisnął usta widząc, że cztery F-15 atakują ósemkę phantomów. Skierował się ku herculesom, zmieniając częstotliwość.

– Znalazłem C-130 na drugiej, trzydzieści pięć kilometrów – nagrał. – Ciągłe na kursie; nie ma śladu Jokera. Przebijam powłokę chmur. – Nagle odezwał się system TEWS. – Ktoś przeszukuje obszar radarem. Podstawa chmur na tysiąc czterystu metrach. Mam straszdyło na VSD. Straszdyło kieruje się na C-130. – Sprawdził, czy się nagrywa.

Cztery herculesy posuwały się mozolnie do przodu, zbliżając ku makiecie więzienia.

– Tallyho – mruknął Stansell, kiedy ich zobaczył. To słowo kodowe, oznaczające dostrzeżenie danego samolotu czy grupy samolotów. – Widzę Jokera. – Patrzył, jak Locke pikuje ku pierwszemu C-130, chcąc znaleźć się na pozycji umożliwiającej odpalenie rakiety od tyłu.

– Loko Jeden Jeden, masz bandytę na siódmej – ostrzegł pilot drugiego transportowca. – Atakuje cię.

– Potwierdzam – odpowiedział głos Mallarda. – Tylko kontrolne ruchy. Nie róbcie nic głupiego. Siedem minut do celu.

Stansell patrzył, jak pierwszy hercules skręca o dwadzieścia stopni w lewo, a potem powraca na kurs. Manewr ten stworzył pewną trudność Locke'owi, uniemożliwiając celne odpalenie rakiety. Przerwał atak, zanim znalazł się pomiędzy pierwszym i drugim C-130. Zszedł poniżej stu pięćdziesięciu metrów odległości w pionie, czego zabraniały Zasady Podejmowania Walki.

Teraz ustawił się do drugiego ataku, pozostając poniżej powłoki chmur. Odwrócił maszynę na plecy, skierował dziób ku ziemi i poleciał w stronę ostatniego „Charliego” niczym drapieżny ptak. W radiu odezwał się nowy głos:

– Loko Jeden Cztery, bandyta cię atakuje!

– Potwierdzam – odparł pilot pełnym napięcia głosem. Wielki transportowiec szarpnął się w lewo, potem opuścił dziób i kontynuował ostry zwrot, zniżając się coraz bardziej.

– Loko Jeden Cztery próbuje zwrot na Jokera, żeby przestrześlić – komentował Stansell. Nagle wrzasnął przez radio: – Loko Jeden Cztery, w górę!!!

Było już jednak za późno. Lewe skrzydło herculesa uderzyło w ziemię i potężna maszyna roztrzaskała się w kuli ognia. W niebo wzniósł się gęsty, czarny dym, zaznaczając miejsce katastrofy Loko Jeden Cztery.

– Hej, Byers – zawołał Timmy Wehr – to nasz stary ptaszek, pięćset dwunastka! – Dwaj szefowie mechaników pobiegli w miejsce, gdzie stał sierżant z obsługi przejściowej, czekając na kołującego F-4.

– Patrz. Jaki on piękny!... – zachwycił się Byers, podczas gdy silniki zatrzymywały się. Podoficerowie patrzyli, jak otwiera się osłona kabiny i pilot zdiera swój hełm. Rzucił go na płytę, tak że aż szyba hełmu roztrzaskała się o beton. – To Locke i Bryant!... – wydobył z siebie zdumiony Byers. Patrząc na dwóch wychodzących z myśliwca mężczyzn sierżanci wyczuli, że stało się coś bardzo złego. Locke pognął szybkim, nerwowym krokiem w stronę budynku 201, porzucając uszkodzony hełm; Bryant podążał tuż za pilotem.

Wehr tylko szepnął:

– Ty, Locke płakał...

Pentagon, Waszyngton

Telefon odebrał Dick Stevens, adiutant Cunninghama. Wiedział, że jakiegokolwiek wahanie w tym momencie byłoby idiotyzmem. Wszedł więc prosto do gabinetu szefa sztabu i zameldował:

– Panie generale, Task Force Alpha straciła przed chwilą C-130. Cała pięcioosobowa załoga zginęła.

Cunningham odwrócił się i po chwili wydusił z siebie:

– Niech pan woła Mado. Lecimy do Nellis.

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Dewa zatrzymała samochód na parkingu przed budynkiem 201. Zobaczyła światło w przyczepie służącej za biuro Stansellowi oraz Pullmanowi. Przed przyczepą stał samochód Ruperta. Trudno cię znaleźć, skwitowała w myśli. Poszła

do tylnego pomieszczenia i skierowała się w stronę ekspresu do kawy, ignorując obecność pułkownika. Była już prawie północ; Rahimi czuła zmęczenie i potrzebowała porcji kofeiny. Wzięła parujący kubek i czekała, aż Stansell pierwszy zacznie mówić.

Jeśli będzie trzeba, to mogę rozmawiać z tobą całą noc, pułkowniku, pomyślała.

– To moja wina – mruknął. – To wszystko moja wina!...

– Rzeczywiście? – odparła neutralnym tonem. – Powinieneś powtórzyć to Jackowi. Gillian ledwie daje sobie z nim radę.

– To ja podjąłem decyzję o przeprowadzeniu tego ćwiczenia. Za bardzo naciskałem ludzi. Chciałem, żebyśmy byli gotowi, i zabiłem pięciu własnych żołnierzy. Rano będzie tu Cunningham; prezydent chce oglądać w niedzielę naszą próbę generalną; razem z samolotami z Holloman pojawili się Byers i Wehr... Chyba jestem jakimś pierdolonym, wspaniałym dowódcą!...

Rahimi chciała krzyknąć na pułkownika, żeby przestał się nad sobą użalać.

– Przynajmniej nie martwiłabym się o obecność tych dwóch sierżantów – powiedziała jednak spokojnie. – Piloci z Holloman przylecieli na ćwiczenia „Czerwonej Flagi” i mechanicy razem z nimi. A prezydent zapowiedział przemówienie w Vegas już trzy miesiące temu.

– Dewa, ja zabiłem pięciu ludzi, którymi dowodziłem...!

– Pierwsze słyszę.

– Patrz. – Rupert włączył magnetowid. – To jest nagranie z lotu. Oryginał poszedł do Komisji do spraw Wypadków. Pullman zrobił mi po cichu kopię.

Dewa patrzyła, jak rozwijała się sytuacja. W pewnym momencie zerknęła na licznik magnetowidu, zapamiętując miejsce, które chciałyby obejrzeć po raz drugi. Widok prawdziwego C-130 z żywą załogą znikającego w chmurze dymu był dla niej szokujący.

– O, Boże!... Nic dziwnego, że ty i Jack...

Nagranie zakończyło się. Dewa cofnęła taśmę do wybranego miejsca i usadowiła się na kanapie koło Ruperta.

– Opowiedz mi o Byersie i Wehrze... Jak uwolnili cię z Ras Assanya.

– Co?! Jaki to ma związek z tym nieszczęściem, do cholery?!

– Proszę cię. Opowiedz mi. – Rahimi musiała jakoś wypędzić z wyobraźni Ruperta obraz rozbijającego się herculesa.

Powoli Stansell zaczął opisywać, jak Irańczycy przesłuchiwali go po tym, kiedy poddał bazę.

– Po około dwunastu godzinach wymęczyli mnie już, ciągle pytając, co stało się z Watersem. Nic, co mówiłem, ich nie satysfakcjonowało. Dwóch zaprowadziło mnie

do bunkra, gdzie zginął Waters. Było ciemno i nie byłem w stanie zidentyfikować niczego. To rozgniewało ich jeszcze bardziej. Jeden darł się ciągle: „Śmierć Ameryce! Śmierć temu! Śmierć tamtemu!” Miałem już tego dosyć, więc krzyknąłem: „Śmierć Chomeiniemu!” Pomyślałem sobie, że ten stary sukinsyn i tak już nie żyje, więc co to szkodzi?

– To był poważny błąd, Rupe. – Dewa chciała dotknąć ręki pułkownika. – Takie przekleństwo dla nas nic nie znaczy, ale dla Irańczyka...

– Wiem. Oszaleli. Jeden rzucił mnie na ziemię i usiadł mi na piersi, a drugi ściągnął bagnet i zaczął obcinać mi ucho. Krzyczałem i krwawiłem, jak zarzynana świnia. Tak czy owak, Byers i Wehr chowali się w rozwalonym bunkrze, jakieś dziesięć metrów ode mnie. Wokół nie było nikogo więcej. Nadbiegli i zabili tych dwóch, którzy obcięli mi ucho. Potem zaciągnęli mnie do łodzi, której używaliśmy do stawiania wokół bazy min, i Byersowi udało się wypłynąć na bezpieczną wodę; sterował na północ zamiast na południe. To był dobry pomysł.

– Dlaczego sierżanci podjęli takie ryzyko, żeby cię uratować? – Dewa czytała raporty obu podoficerów i znała odpowiedź.

– Zadałem później Byersowi to samo pytanie. Odmruknął coś, że wydawało im się, że tak należy zrobić. Doprawdy, oryginalne.

– Słuchaj teraz uważnie – poleciła Rahimi i puściła nagranie. Stanęli przed telewizorem i patrzyli, jak tragiczna scena rozgrywa się na nowo.

Ledwie słyhać było głos Mallarda, podczas gdy na ekranie pojawił się phantom Locke'a, a pierwszy hercules skręcił o dwadzieścia stopni w lewo.

„Potwierdzam. Tylko kontrolne ruchy. Nie róbcie nic głupiego. Siedem minut do celu.” Dewa zatrzymała taśmę.

– Czy Mallard zachował się prawidłowo? – zapytała. Rupert skinął głową. – A Jack? – Pułkownik skinął głową ponownie, rozumiejąc, o co kobiecie chodzi. Loko Jeden Cztery rozbił się, ponieważ pilot w chwilowym stresie podjął błędną decyzję. Nie było trudno to zrozumieć, jednak Stansell w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy, zanim Dewa nie uświadomiła mu prawdy, łagodząc siłę trawiących go emocji.

– Rupe, musisz odłożyć tę sprawę na półkę, tak jak i parę innych, i nie oglądać się wstecz, tylko robić to, co w danej chwili wydaje się najlepsze. W naszym biznesie nie mamy żadnych gwarancji. Nagrody dostajemy później, a konsekwencji porażek doświadczamy od razu. – Zmusiła się do uśmiechu. – Koniec wykładu, pułkownika. – Starła się nie patrzeć na bliznę znajdującą się tam, gdzie kiedyś było prawe ucho Ruperta.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Dzień D minus 4

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

Stansell stanął przed drzwiami głównej sali odpraw w budynku 201 z zaciśniętymi pięściami. Dewa siedziała w pierwszym rzędzie w towarzystwie Locke'a i Bryanta. Rupert nie mógł oderwać wzroku od jej pleców. Żołnierze Task Force Alpha wchodzili grupami, siadając w milczeniu w swoim gronie. Jako pierwsi weszli lotnicy z herculesów, prowadzeni przez „Kaczkę” Mallarda i jego poruszającego się niezdarnie nawigatora, „Pijaka” Dunkina. Za nimi wkroczył Gregory ze swoimi oficerami i sierżantami, którzy dowodzili poszczególnymi plutonami. Następnie pojawiły się załogi F-111, zajmując miejsca w pewnej odległości od samotnego Von Drexlera. Na końcu weszli piloci F-15, siadając w pobliżu załóg transportowców. Stansell skinął na Pullmana, który stał z Kamigamim tuż za drzwiami.

– Sala, baa-czność!

Wszyscy podnieśli się z miejsc, podczas gdy Rupert wkroczył do pomieszczenia i wszedł na katedrę.

– Siadajcie, proszę. – Odczekał, aż przestaną szurać. Serce zamarło mu na chwilę w piersi, kiedy zobaczył, że umieszczonymi z tyłu drzwiami wchodzi po cichu Cunningham i Mado. Pullman chciał znowu podnieść wszystkich na „baczność”, ale szef sztabu pokazał mu dłonią, żeby tego nie robił. Zajął jedno z tylnych miejsc.

– Wczoraj ponieśliśmy naszą pierwszą stratę – zaczął Stansell. Przygasło światło i na ekranie po lewej pojawił się nieruchomy obraz płonącego wraka C-130. – Musimy wiedzieć, co poszło źle, żebyśmy mogli kontynuować działania i nie powtarzać tych samych błędów... To, co się stało, zdarzyło się, ponieważ nie zachowujemy się jak jedna drużyna i nie robimy tego, co ćwiczyliśmy. F-15 dały się zrobić i pozostawiły C-130 bez osłony, przez co mógł je zaatakować samotny F-4. Posłuchajcie. – Włączył nagranie i zebrani usłyszeli jego komentarze, a później polecenia Węża i pilota, który dowodził dywizjonem phantomów. Wcisnął pauzę. – Dowódca F-4 przez cały czas starał się postępować zgodnie z Zasadami Podejmowania Walki. To zdyscyplinowany profesjonalista – skomentował. Uruchomił nagranie ponownie. Większa część zebranych nie widziała dokładnie, co

dzieje się na ekranie, jednak słyszeli dobrze dźwięk. Stansell zatrzymał ponownie taśmę po tym, jak Mallard kazał nie robić niczego głupiego. Puścił to miejsce po raz drugi.

– Loko Jeden Cztery rozbił się, ponieważ pilot próbował wykonać manewr ucieczki na zbyt małej wysokości. Komisja do spraw Wypadków prawdopodobnie stwierdzi, że bezpośrednią przyczyną katastrofy był błąd pilota. Jednak to nie była wina jednej, konkretnej osoby. Obciąża ona wielu z nas, a na początek mnie. – Na sali panowała głucha cisza.

Houerman siedział bezwładnie na swoim miejscu, nie mogąc podnieść oczu na ekran.

– Wszystko to dla zwykłych, głupich ćwiczeń!... – mruknął na tyle głośno, że usłyszeli go wszyscy zebrani.

Cunningham także słyszał. Wstał i pokazał na Pullmana:

– Teraz! – rzucił.

Większa część zgromadzonych usłyszała go i podwracała głowy. Generał wypowiedział to krótkie słowo tonem charakterystycznym dla dowódcy. Pullman i Kamigami zerwali się na nogi i szef obsługi technicznej rozkazał tubalnym głosem stanąć zebranych na baczność.

Wszyscy wyprężyli się w postawie zasadniczej. Wszyscy, oprócz Housermana. Ten opuścił się na krzesło jeszcze niżej, ciągle trawiony słowami Stansella.

– Wstawaj, dupku – rzuciła Lydia Kowalski. Wąż podniósł się więc, podczas gdy Cunningham zajmował już miejsce na katedrze.

– To nie są rutynowe ćwiczenia – oznajmił dobitnie. – Task Force Alpha została sformowana na rozkaz prezydenta jako część operacji wyzwolenia naszych jeńców przetrzymywanych w Iranie. Początkowo celem waszego istnienia było odwracanie uwagi nieprzyjaciela od rzeczywistych sił operacyjnych, które miały przeprowadzić misję. Jednakże wydarzenia przybierają czasem niespodziewany obrót. Obecnie prezydent rozważa wykonanie operacji przez was. Jutro macie przeprowadzić ćwiczenia. Prezydent będzie obecny tu, na miejscu, żeby was obserwować i ocenić, czy rzeczywiście jesteście, jak ktoś mu powiedział, „drugą drużyną”, czy też – wypowiedział te dwa słowa bardzo głośno – jesteście tą drużyną, która dostanie od niego rozkaz wykonawczy.

Zwrócił się teraz do Stansella.

– Pułkowniku, jeżeli Task Force Alpha ma wyzwolić jeńców, to jutro wszystko musi odbyć się perfekcyjnie. I żadnych przecieków. – Generał zszedł z katedry i opuścił salę.

– Chcę tego... – odezwał się Kamigami swoim łagodnym głosem.

– Powrócimy do oryginalnego planu i zrzucimy rangersów, kiedy F-111 zrobią wyłomy w murze – oznajmił Mado. Stansell stał przy ściennej mapie w pokoju Dewy Rahimi. – To będzie bardziej spektakularne i przekona prezydenta – dodał.

– W tej chwili to tylko opcja na wszelki wypadek – zaproponował pułkownik. – Rangersi muszą być na miejscu, gotowi do walki, jeśli mają wykorzystać zamieszanie po zbombardowaniu muru.

Mado podszedł do Ruperta i stanął koło niego.

– Być może ma pan rację – powiedział – ale obaj wiemy, że mamy obowiązek pokazać to „szefowi” tak, żeby wyglądało fantastycznie. Zrobić takie przedstawienie, żeby wybrał naszą opcję.

– Przyleci także Leachmeyer – przypomniał Stansell. – On zauważy, co będzie źle, i nie omieszka powiedzieć prezydentowi. Rangersi muszą być na ziemi w porę.

Mado, którego umysł nieustannie coś analizował, rozważał własne „opcje”. Jeśli krążące ostatnio plotki były prawdziwe, prezydent miał zamiar ruszyć z siekierą na Pentagon i zreformować Departament Obrony. Miało powstać zjednoczone dowództwo wszystkich rodzajów wojsk. Leachmeyer był uważany za jednego z architektów takiego typu dowództwa, a zatem zadowolenie Leachmeyera było istotne, jeśli on, Simon Mado, miał kiedyś dostać cztery gwiazdki generała armii. Jeśli jednak *status quo* zostanie zachowane? Wtedy, aby otrzymać dalsze awanse, będzie musiał bazować na poparciu Cunninghama. Ponieważ Mado znajdował się gdzieś pomiędzy obydwoma szefami sztabu, powinien rozegrać to tak, aby obaj byli zadowoleni. Z jednej strony będzie ciężko pracował nad Task Force Alpha, żeby operacja i on sam przedstawiała się dobrze; z drugiej będzie jednak dawał wyraz swoim wątpliwościom, aby usatysfakcjonować Leachmeyera.

Klepnął Stansella w ramię i powiedział:

– Niech pan zrobi to po mojemu, Rupe. Poskutkuje.

Dewa, której niemalże zrobiło się niedobrze, spojrzała na zegarek i wstała.

– Przepraszam, zaraz wrócę – powiedziała. Po paru minutach była z powrotem, słuchając ostatecznych ustaleń obu oficerów w sprawie niedzielnych ćwiczeń.

W pewnym momencie do drzwi zapukał Pullman, wsadzając do pomieszczenia swoją dużą głowę.

– Panie generale, telefon do pana. Dzwoni niejaka Barbara Lyon.

– Odbiorę sam. To prywatna rozmowa – powiedział Mado do Stansella i Rahimi. Wyszli więc, pozostawiając generała w pokoju.

– To zaproszenie na wieczorny obiad, jeszcze dzisiaj – poinformowała Dewa. – Powinno go na jakiś czas zająć.

– Dewa, czy to ty...? Mado wyszedł z pokoju.

– Dobrze się zapowiada – oznajmił. – Prezydent będzie tu jutro o ósmej trzydzieści rano. Ja będę o piątej. Niech pan zadba o wszystko, Rupe. – Złapał czapkę i wypadł szybko na korytarz.

– Cóż, chyba temu panu dokądś się spieszy – skomentowała Dewa. – Musimy podjąć parę decyzji. Wydaje mi się, że powinieneś przeprowadzić ćwiczenia dokładnie tak, jak założyliście w planie operacji „Wojownik”. – Czekala. Rupercie Stansell, pomyślała, jesteś tak prostoliniowym człowiekiem, w niektórych sprawach nawet naiwnym. Może dlatego mi się podobasz. Gdybym tylko mogła cię obudzić..

– Dobrze. – Pułkownik podniósł słuchawkę i połączył się z przyczepami.

– Grom, dzisiaj wieczorem zaczynamy odliczać czas ćwiczeń – powiedział. – Godziną Zero będzie dwudziesta trzecia zero zero czasu miejscowego. Wszystko zgodnie z planem. Żadnych proponowanych opcji. – Rozłączył się. O godzinie Zero plus 10, to znaczy w dziesiątej godzinie operacji, albo o dziewiątej rano w niedzielę, rangersi będą czekać w sąsiedztwie makiety, aF-111 wybiją dziury w murach „więzienia”. Prezydent Stanów Zjednoczonych będzie obserwował to wszystko. Rupert podniósł słuchawkę jeszcze raz.

– Gillian? Jest tam Jack? To dobrze. Niech pani mu powie, żeby był tutaj najpóźniej o czwartej rano.

Szczerze zazdrościł Jackowi takiej żony jak Gillian. Zawsze była na miejscu, kiedy najbardziej jej potrzebował.

Rozdział trzydziesty drugi

Dzień D minus 3

Kermanshah, Iran

Mokhtari cofnął się, podczas gdy strażnik otworzył pierwsze drzwi w głównym bloku więziennym. Naczelnika uderzył w nozdrza ostry odór. Był gorszy niż na trzecim piętrze. Mokhtari polecił czekającemu doktorowi zbadać więźniów.

Irański lekarz sięgnął do torby i zanim wszedł do celi, założył maskę na twarz. Po paru minutach wyszedł i zakomunikował, że wszyscy trzej więźniowie są bardzo chorzy.

– Ten – pokazał palcem na pierwszego sierżanta, który starał się siedzieć na „bacznosc” zgodnie z regulaminem – jest bliski śmierci. Jeżeli w ciągu tygodnia nie zostanie poddany opiece lekarskiej, umrze.

– W takim razie wyślemy go ILPR – postanowił Mokhtari, przypominając sobie instrukcje generała. – Jego numer?

– Jeden-osiem-dziewięć – podał strażnik.

– Zaznacz to. – Podwładny Mokhtariego zatrzasnął drzwi i zapisał na nich kredą numer więźnia. Ruszyli do następnej celi.

Tikaboo Valley, stan Nevada

Prezydent stał koło jeepa wyładowanego urządzeniami telekomunikacyjnymi. Rozmawiał z Pullmanem.

– Jak rozumiem, sierżancie, to pan to zbudował... – Pokazał na stojącą półtora kilometra dalej dziwną konstrukcję, która składała się z przedniego odcinka muru, czterech wieżyczek wartowniczych wyznaczających wierzchołki kompleksu, szeregu palików obrysowujących kontur budynku administracyjnego oraz fasady głównego budynku więzienia. Po lewej stronie owej ściany frontowej znajdowały się schody biegnące na długie balkony, reprezentujące poszczególne piętra. Z lewej, na każdym z balkonów znajdowała się wartownia oraz ciągnące się na prawo szeregi cel, po trzynaście z każdej strony.

– Po prostu zaangażowałem odpowiednich ludzi, sir – odpowiedział skromnie szef obsługi technicznej.

– Tak jak w Ras Assanya, kiedy zorganizował pan C-130 do ewakuacji żołnierzy? – Ludzie prezydenta opowiedzieli mu wczesnym rankiem, kogo pozna w ciągu tego dnia.

– Sir, skąd...?

– Szefie, jest pan niemal legendą Sił Powietrznych, a ja jestem pana naczelnym dowódcą. Doceniam pańskie dokonania.

– Ale... ale...

– Co za „ale”?

– Muszę się do czegoś przyznać, sir. Głosowałem na pana konkurenta. Serdeczny śmiech prezydenta zdumiał stojących obok, niespokojnych generałów.

– Szefie, kogo powinienem słuchać podczas całego tego pokazu?

– Pułkownika Stansella, sir – wyjaśnił Pullman. – Tylko on jeden wie, o co tu chodzi.

Prezydent ruszył więc po swojego szefa gabinetu. Odciągnął go na bok i polecił mu przyprowadzić Stansella, a wszystkich innych trzymać z dala.

– Drużyna „Romeo” dowodzona przez kapitana Boba Trimlera i podporucznika George’a Jamisona uwolni jeńców – opowiadał Stansell. – Zostali zrzućeni na spadochronach w nocy i jeśli popatrzy pan tam – pokazał na znajdujący się trzysta metrów przed murem więzienia rów – powinien ich pan zobaczyć.

Prezydent popatrzył przez lornetkę we wskazanym kierunku.

– To cholernie blisko jak na prawdziwe bomby... – skomentował.

– Jeżeli nie uda nam się tutaj, to nie uda się i w Iranie – zauważył pułkownik. – Tam... – pokazał na lecącego doliną pierwszego F-111, mijającego nadlatujący AC-130 Beasley’ego. – Rangersi będą wskazywać laserami punkty, w których chcą, żeby bomby zrobiły wyłomy w murze. – Prezydent patrzył, jak F-111 pikuje i wypuszcza „inteligentną” bombę. Widać było drugiego F-111, lecącego minutę za pierwszym. – Drugi F-111 rzucił dwie bomby – poinformował Stansell. – Pierwszą w mur, drugą w budynek administracyjny, zaraz za murem. Drużyna „Romeo” jest w stanie wskazywać laserem tylko mur, dlatego załoga musi być naprawdę dobra, żeby trafić drugą bombą w ten budynek. Używamy bomb dwustudwudziestopięciokilogramowych, dla ograniczenia zniszczeń ubocznych. Dziewięćsetkilogramowa mogłaby pozabijać jeńców.

– Kto dostarczy przesyłki? – zapytał prezydent, zdumiewając Stansella i Pullmana swoją znajomością operacji F-111 oraz slangu wojskowego.

– Kapitan Ramon Contreras. – Patrzyli przez lornetki, jak atak się rozwija. Po zrzućeniu pierwszej bomby Von Drexler skręcił w lewo. Nadleciał Doucette. Za nim

zbliżał się AC-130. Bomby eksplodowały, jedna po drugiej.

– Wszystkie trzy trafiły – skomentował Rupert.

AC-130 nadlatujący nad rumowisko przekreślił lewą gondolę i wytrysnęła z niej struga ognia. Wszystkie cztery wieżyczki wartownicze zniknęły w gradzie pocisków wylatujących z dwóch działek czterdzieści milimetrów firmy Bofors.

– Dowódca AC-130, kapitan Beasely, używa w tym przelocie jedynie działek czterdzieści milimetrów – wyjaśniał Stansell. – Nie korzysta z działek dwadzieścia milimetrów Gatlinga ani armaty kalibru sto pięć milimetrów.

– Rozumiem, dlaczego nazywają go „Całus”. To wyjątkowe przezwisko. – Pułkownika nie zaskakiwała już szczegółowa wiedza prezydenta.

– AC-130 i pozostałe samoloty będą krążyć w odpowiednim oddaleniu od więzienia – opowiadał Rupert – podczas gdy drużyna „Romeo” przeprowadzi szturm.

Prezydent przyglądał się, jak rangersi biegną w stronę dwóch wyłomów, jakie powstały w murze.

– Szturmowy AC-130, jest także naszym latającym stanowiskiem dowodzenia i kontroli obszaru – ciągnął Stansell. – Na jego pokładzie znajdują się generał Mado i kapitan James Bryant. Będą koordynować atak oraz nawiążą łączność z Centrum Dowodzenia w Pentagonie. Po zabezpieczeniu lotniska wylądują na nim i dalej będą działać stamtąd.

Pułkownik pokazał na C-130, który przelatywał nad strefą zrzutu odległą o dwa i pół kilometra na wschód. Za herculesem wykwitły czasie spadochronów.

– Zrzucimy drużynę z kompanii „Bravo” dla opanowania lotniska. Razem z rangersami wyląduje dwóch bojowych kontrolerów lotów. Po zabezpieczeniu lotniska dadzą C-130 zezwolenie na lądowanie. Na pokładzie pierwszego transportowca będę ja, razem z dowódcą działań naziemnych, podpułkownikiem Gregorym. Kiedy znajdziemy się na ziemi, drużyny na jeepach zabezpieczą drogę do więzienia. Zadaniem pułkownika Gregory’ego jest bezpieczne dowiezenie drużyny „Romeo” i jeńców na pokład C-130.

Mężczyźni patrzyli, jak do więzienia zbliżają się ciężarówki. Wkrótce od strony lotniska nadjechały trzy jeepy i motocykl.

– Dwa z tych jeepów muszą jechać dalej i zablokować skrzyżowanie z główną szosą, czyli Cel Czerwony. Znajduje się półtora kilometra na zachód od więzienia i umożliwi dojazd do niego z tamtej strony.

– Kto podejmuje decyzję o starcie samolotów?

– Generał Mado.

– Dlaczego pana w tej chwili tam nie ma?

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nie będę potrzebny. Robiliśmy to już sześć razy. Również generał Cunningham chciał, żeby tym razem w akcji uczestniczył generał Mado. W tej chwili podjeżdżają na miejsce ciężarówki. – Prezydent patrzył, jak rangersi wybiegają z za muru, dźwigając manekiny. – Ćwiczymy z założeniem, że będziemy musieli wynieść dużą część jeńców. – Na lotnisku lądował ostatni C-130. Ciężarówki zaczynały już ruszać w stronę lotniska.

– W tym samotnym F-15E, który krąży nad AC-130, znajduje się kapitan Jack Locke. Model E tego myśliwca zabiera dość paliwa, a przy tym ma uzbrojenie pozwalające zniechęcić nieproszonych gości, takich jak czołgi, transportery opancerzone, bandyci... To nasz as w rękawie, specjalista od wszystkiego, jeśli można tak powiedzieć.

Prezydent wspaniałomyślnie zezwolił na takie określenie i patrzył, jak mały konwój posuwa się drogą.

– Jak przypuszczam, trasa, którą zaznaczyliście, odpowiada rzeczywistości.

– Tak jest, sir – odpowiedział Pullman. – A także trasy zastępcze, gdyby musieli zjechać z tej zasadniczej.

– Jeśli się nie mylę, teraz pozostaje jeszcze wezwanie jeepów, załadowanie C-130 i start?

– Zgadza się, sir.

– Czy może pan opóźnić start i sprowadzić tu rangersów z powrotem? Chcę poznać ludzi, którzy będą musieli to zrobić naprawdę, a także przyjrzeć się z bliska makiecie. – Zarówno Stansell, jak i Pullman usłyszeli w głosie prezydenta rezerwę, a przynajmniej troskę. Sierżant szybko przekazał przez radio prośbę prezydenta.

– Panie prezydencie, to jest podpułkownik Gregory, który dowodzi rangersami – oznajmił generał Leachmeyer.

Prezydent potrząsnął wielką dłonią Gregory'ego i zaczął rozmawiać z żołnierzami, którzy wysypywali się z ciężarówek i ustawiali plutonami.

– Pułkowniku, chciałbym przejść przez makietę z paroma członkami drużyny „Romeo” – powiedział prezydent. Gregory zawołał więc Trimlera, Jamisona, Kamigamiego i czterech dowódców drużyn.

Prezydent pierwszy przeszedł przez wyłom w murze. Na ziemi leżał sponiewierany manekin. Trimler przyjrzał mu się z bliska.

– Dwa strzały w głowę – oznajmił. – Za każdym razem ustawiamy manekiny w innych miejscach. Niektóre z nich wyglądają inaczej, tak żeby przypominały jeńców. Ćwiczymy powalanie strażników na ziemię pierwszą serią, a potem dobijanie ich strzałami w głowę.

Prezydent rozejrzał się po otaczającej go grupce. Ci ludzie nie wyglądali jak oficerowie sztabowi, których przywykł oglądać. Byli brudni, zmęczeni, przepoceni, mieli kamuflaż na twarzach. Jednak prawdziwą różnicę widać było w ich podejściu do wykonywanych zadań... To byli wojownicy, a nie umundurowani eleganccy biurokraci, którzy wypełniali korytarze Pentagonu. Prezydent wyobraził sobie, jakie poruszenie wywołałby pierwszy sierżant Kamigami, gdyby przeszedł przez sekcję E Pentagonu wyglądając tak, jak w tej chwili. Spodobało mu się to wyobrażenie.

Teraz grupa wkroczyła do głównego bloku więziennego. Prezydent zajrzał do wartowni na parterze. Leżały tam na podłodze dwa poszarpane manekiny. Dwa stały nieporuszone.

– Kto oczyszczał to pomieszczenie?

– Ja, sir – zameldował Kamigami.

– Skąd pan wiedział, że te dwa manekiny to jeńcy?

– Najpierw patrzymy na ręce – wyjaśnił Kamigami. – Jeśli trzymają cokolwiek, strzelamy. Potem patrzymy na mundury i buty. Jeńcy nie mają butów. – Pierwszy sierżant nie był przyzwyczajony do takich długich wypowiedzi.

Na pierwszym piętrze prezydent obejrzał sześć wysadzonych w powietrze drzwi do cel. W końcu zszedł po drewnianych schodach i rozejrzał się po naruszonej atakiem makiecie.

– Pułkownik Gregory – powiedział – to, co widziałem, zrobiło na mnie prawdziwe wrażenie. Mam jednak parę pytań. Czy pańscy ludzie są gotowi?

– Tak jest, sir.

– Kapitanie Trimler, czy ma pan jakieś obawy w związku z misją?

– Żadnych, sir.

– Sierżancie Kamigami, czy ludzie poradzą sobie z prawdziwym atakiem? – Olbrzym skinął głową. Prezydent czekał na konkretną odpowiedź słowną. Kiedy jej nie otrzymał, zadał pytanie pomocnicze: – Skąd jest pan tego taki pewny?

Sierżant wyglądał na wzburzonego. Usiłował znaleźć odpowiednie słowa. Odpowiedział w końcu:

– Sir, to tak, jakbym pilnował dwustu dobermanów przywiązanych za kuśki do tego samego drzewa!

Rozdział trzydziesty trzeci

Dzień D minus 2

Pentagon, Waszyngton

– Doceniam, że będąc tak zajęci znajdujecie panowie czas na te codzienne spotkania – powiedział prezydent zgromadzonym w Gabinetcie Owalnym mężczyznom. Admirał Scovill i Michael Caligari uspokoili się nieco. – Miło pana znowu widzieć, panie Camm. – Prezydent dziwił się, po co Burke przyprowadził ze sobą swojego zastępcę do spraw wywiadu. – Charlie, musimy się w końcu zebrać i pograć trochę w pokera. – Leachmeyer uśmiechnął się w odpowiedzi zdawkowo i usiadł.

– Jaka jest obecna sytuacja jeńców, panowie? Pierwszy odezwał się Burke:

– Dostajemy z Iranu niepokojące sygnały. Wszystko wskazuje na to, że jeńcy zostaną wkrótce rozdzieleni. Pan Camm i jego ludzie odkryli także inne rzeczy... – Camm szybko przejął pałeczkę:

– Panie prezydencie, jesteśmy przekonani, że jeńców rozdziela jeszcze w tym tygodniu. Nie wiemy, którego konkretnie dnia. Poza tym otrzymujemy meldunki, że pewne grupy wewnątrz IPR sprzeciwiają się oddaniu połowy jeńców ILPR i powodują zamieszanie. Oznacza to, że sytuacja jeńców nie jest bezpieczna.

– Pańskie źródła?

– Współpracownicy i agenci w Algierii, którzy wspierają dysydentów wewnątrz Islamskiej Partii Republikańskiej. – Sprawy szły Cammowi lepiej, niż przypuszczał. Zorganizował teraz „Algierskich łączników”. Jeśli, zgodnie z planem, agenci „Głębokiej Bruzdy” zdołają doprowadzić do wylądowania porwanego samolotu z połową jeńców w Algierze, cała zasługa spocznie na CIA, a zwłaszcza jej agentach, którzy dokonają precyzyjnego, chirurgicznego cięcia wykorzystując sytuację, którą tylko oni – a nie wojsko – będą w stanie przeanalizować i szybko rozwiązać.

Prezydent zabębnił palcami w biurko. Z jakichś niejasnych powodów Camm drażnił go. Zbyt gładko odpowiadał? Zbyt pewnie? A może chodziło tylko o kontrast pomiędzy wyglądem członka establishmentu ze Wschodniego Wybrzeża, jaki prezentował sobą Camm, a twardymi mężczyznami z linii frontu, jakich prezydent poznał poprzedniego dnia? Przypomniawszy sobie spokój Stansella i sam poczuł się spokojniejszy.

– Wczoraj, kiedy obserwowałem Task Force Alpha, pułkownik Stansell wspomniał o pułku pancernym stacjonującym sześćdziesiąt kilka kilometrów stamtąd – powiedział. – Czy to będzie problem dla naszych ludzi? Jedyne zagrożenie? Czy jest tam jeszcze coś, co czai się w krzakach?

Przyszła kolej na Leachmeyera.

– Delta Force wzięła to pod uwagę, sir. W połowie drogi do miejsca stacjonowania pancernego pułku znajduje się most. Umieścimy tam siły blokujące drogę, a most wysadzimy. Jeśli pułk pancerny zacznie się przemieszczać, wystarczy, że opóźnimy go na czas wystarczający do uwolnienia jeńców. Później wycofamy się i odlecimy.

– Nic nie wskazuje na jakiegokolwiek inne zagrożenia – odezwał się Camm. Nie była to do końca prawda, jednak tłumaczył sobie, że doniesienia o aktywności w przylegających z tyłu do więzienia barakach nie zostały potwierdzone przez żadne dodatkowe źródło.

– Widzieliśmy zdjęcia, z których wynika, że w starych barakach za więzieniem znajdują się ludzie – odezwał się tymczasem Caligari.

– Moi podwładni zajęli się tą sprawą – powiedział Burke. – Tam są tylko Kurdowie – biedacy, którzy nie mieli gdzie spędzić zimy.

Camm już prawie przerwał. Chciał wyjaśnić, że według jednego raportu, jaki otrzymał, było wręcz przeciwnie – baraki zajmowali żołnierze. Zawahał się jednak... Wprawdzie nie chciał wystawiać niepotrzebnie życia Amerykanów na ryzyko, ale postanowił ostatecznie nie wspominać o raporcie. W końcu wywołałby on tylko zamieszanie, a przecież naprawdę był niepotwierdzony, tłumaczył sobie. Camm odnajdował usprawiedliwienie dla swoich poczynań w wierze, że to, co robi, jest słuszne i że długofalowe interesy Stanów Zjednoczonych będą najlepiej zabezpieczone, jeśli kwitnąć będą takie tajne operacje, jak „Głęboka Bruzda”. Służąc wszystkiemu innemu...

– Czy Delta Force jest gotowa? – zapytał prezydent.

– Tak jest, sir – odparł Leachmeyer. – Kiedy tylko zdołamy ich przerzucić w miejsce wolne od szpiegów.

Prezydent był przekonany, że Delta Force była najlepiej wyszkoloną jednostką, jaką dysponował, jednakże atak musiał nastąpić z zaskoczenia. Przypomniały mu się znowu słowa admirała Scovilla o tym, że dobry plan wykonany na siłę teraz jest lepszy niż idealny plan na przyszły tydzień. A siłę Task Force Alpha właśnie wczoraj poznał...

Na stole pod oknami Gabinetu Ovalnego znajdowała się replika słynnej tabliczki Harry’ego Trumana z napisem: „Dolar zatrzymuje się tutaj”. Prezydent gapił się w nią teraz – nadszedł czas podjęcia decyzji.

Wcisnął guzik interkomu łączący go z szefem gabinetu.

– Andy, wezwij tu sekretarza obrony. Natychmiast. – Założył ręce i popatrzył na zebranych. – Przerzucić za ocean Task Force Alpha.

Leachmeyer był oszołomiony.

– Panie prezydencie, czy mogę zapytać, dlaczego?

– Oczywiście, Charlie. – Prezydent lubił Leachmeyera i miał względem niego plany na przyszłość, kiedy zreorganizuje Departament Obrony. – Skoro decydujemy się ich użyć, musimy rozmieścić ich na pozycjach. A w tej chwili umożliwiają nam szybkość działania i zaskoczenie. Nie sędzę, żebyśmy mogli dużo dłużej zwlekać. – Nie wspomniał o swoich odczuciach, które opierały się właściwie na pojedynczych wrażeniach – spokoju Stansella, widoku dwóch F-111 wybijających dziury w więziennym murze, z maltretowanych „wrogich” manekinach i tych „dobermanach”...

Baza Sił Powietrznych Nellis, stan Nevada

U góry i u dołu trzymanej przez Stansella kartki wydrukowano słowa „ŚCIŚLE TAJNE”. Pułkownik odczytał obecnym wiadomość:

**TO JEST ROZKAZ ROZŁOKOWANIA WYDANY
PRZEZ SEKRETARZA OBRONY
JEDNOSTKA: TASK FORCE ALPHA
ROZMIEŚCIĆ: ZGODNIE Z PLANEM OPERACJI WOJOWNIK
START: W CIĄGU DWUNASTU (12) GODZIN OD MSG DTG
OPCJE: ŻADNYCH
INSTRUKCJE SPECJALNE: ŻADNYCH**

– Mój Boże – westchnął Pullman – będziemy ich wyzwalać. Wiedziałem, wiedziałem to...!

Stansell podał rozkaz Mado, który przeczytał go i pokręcił głową. Sprawdził „MSG DTG”, czyli datę i godzinę przesłania rozkazu.

– Musimy stąd wylecieć za jedenaście godzin i parę minut – stwierdził. – Czy mamy jakieś problemy?

W sali rozległ się chór odpowiedzi „nie” oraz „żadnych”. Gregory przeczytał wiadomość dwukrotnie, nie dowierzając własnemu szczęściu, potem podał ją Dewie. Rahimi odczytała tekst bez komentarzy. Pomieszczenie szybko opustoszało, pozostali tylko Stansell, Pullman i Rahimi.

– Dewa, szefie, zdajecie sobie sprawę, że... nie leciecie z nami. Jesteście potrzebni tutaj, żeby po nas pozamiatać.

Pullman wrócił do przyczepy, rozejrzał się, podjął szybką decyzję, zamknął drzwi na klucz i ruszył do swojej kwatery pakować się.

– Panie pułkowniku – mruknął – nie przyjechałem na to przyjęcie po to, żeby zostać wyrzuconym, kiedy zaczyna grać muzyka.

Rahimi zaczęła zdejmować mapy ze ścian i przygotowywać tajne materiały do zniszczenia, zgodnie z regulaminem. Kiedy skończyła, stanęła pośrodku dużego stosu zaklejonych worków do spalenia, sprawdzając, czy któryś nie jest źle zamknięty. Zaciśnęła dłonie w pięści.

– Cholera, cholera...! – zaklęła. Podeszła do regału i wyciągnęła stamtąd podręcznik prawa dotyczącego konfliktów zbrojnych. Usiadła na kanapie, podciągnęła nogi i zaczęła przeglądać rozdział dotyczący jeńców wojennych. Znalazła, czego szukała.

Popatrzyła na pustą ścianę i zaczęła zastanawiać się, co robić. Podręcznik jasno rozróżniał status jeńca, który zbiegł z niewoli, od żołnierza, który stara się uniknąć schwytania. Kiedy dostanie się on do niewoli, zostaje jeńcem i wtedy nie może nikogo zabić, żeby pomóc sobie w ucieczce. To klasyfikowano już jako morderstwo i jeńiec mógł być za nie sądzony, a nawet skazany na śmierć. Wprawdzie Dewa nie była prawnikiem, jednak rozumiała, że Rupert Stansell był swego czasu jeńcem, który zbiegł z niewoli, a nie żołnierzem, który jej uniknął. Podczas jego ucieczki zabito dwóch żołnierzy. Rahimi знаła Irańczyków bardzo dobrze – w końcu sama była Iranką. Wiedziała, że jeśli ponownie schwytają Ruperta, skazą go na śmierć i zabiją...

Wybór należał do niej. Wystarczyło, że poinformuje o sprawie generała Mado i wtedy mężczyzna, którego chciała poślubić, nie poleci za ocean. Za to, oczywiście, nigdy jej tego nie wybaczy. Ale jednak... Sięgnęła po słuchawkę i zaczęła wystukiwać numer. W połowie potrząsnęła głową i odłożyła słuchawkę z trzaskiem. Gapiła się w ścianę i nie przejmowała tym, że łzy niszczą jej makijaż.

Rozdział trzydziesty czwarty

Dzień D minus 1

Maragheh, Iran

Operator irańskiego radaru usadowił się w ciepłym jeszcze fotelu, zwalnając schodzącego z dyżuru sierżanta.

– Czy Amerykanie robią coś nowego? – spytał go. Sierżant chrząknął tylko w odpowiedzi, wybiegając z budynku, żeby nie odjechała mu ciężarówka. Zwiozła go z góry do jego wygodnej kwatery w mieście.

Operator z rezygnacją rozpoczął dwunastogodzinną zmianę. Pogmerał w szufladach, żeby odszukać szczegółową listę czynności kontrolnych, którą dostarczyli Amerykanie wraz z wyposażeniem stacji. Ten operator był jedynym, który ciągle wykonywał tę instrukcję. Odnalazł gruby notatnik zakopany w stosie gazet w kącie pomieszczenia i przekartkował go, aż doszedł do listy czynności, jakie powinien wykonać obejmując dyżur. Starannie wykonał każdą, odhaczając je po kolei na kartce tępyym ołówkiem. Wyregulował wzmocnienie sygnału, stwierdziwszy ze zdumieniem, że było nastawione na minimalną moc.

– Ciekawe, czy od dawna? – mruknął sam do siebie. Kiedy sprawdził obwody wywołujące identyfikatory IFF, aż wstrzymał oddech. Zobaczył dwanaście celów krążących w pobliżu granicy. Sprawdził jeszcze raz – rzeczywiście, wszystkie samoloty znajdowały się nad terytorium Turcji, jednak w obrębie strefy buforowej, którą NATO ustaliło w sąsiedztwie granicy z Iranem.

Przejrzał dziennik stacji szukając zapisów z ostatniej zmiany i znalazł tylko dwa – sierżant wpisał godziny swojego przyścia i wyjścia. Operator powrócił do listy czynności kontrolnych, a kiedy doszedł do sprawdzenia urządzeń łączności, wcisnął guzik mikrofonu i wywołał ośrodek w Maragheh. Po kilku próbach odpowiedział mu niezadowolony głos.

– Kontrola łączności, panie kapitanie – poinformował operator. – Poza tym, w pobliżu zbiegu trzech granic widzę wzmózoną liczbę celów.

– Masz bardzo krótką pamięć – odparł chłodno oficer. – To wspólne, turecko-amerykańskie ćwiczenia obrony powietrznej. Może przypominasz sobie, że poleciłem ci meldować tylko w przypadku jakiejś niezwyklej aktywności? Wzywaj mnie tylko, kiedy zaobserwujesz coś ważnego. A może chcesz posiedzieć tam na

górze czterdzieści osiem godzin, żeby nauczyć się słuchania rozkazów?

– Przepraszam, że panu przeszkodziłem... Oficer wyłączył się, a operator odetchnął z ulgą.

Baza lotnicza Incirlik, Turcja

Sierżant Pullman podniósł się z obciążonej czerwonym płótnem ławy dla spadochroniarzy, ciągnącej się wzdłuż burty C-141, i wyjrzał przez jeden z małych iluminatorów.

– Nie widzę za dużo! – krzyknął do siedzącego obok Kamigamiego. Dowódca ładowni potwierdził przez mikrofon odebranie polecenia pilota. Podszedł do dwóch sierżantów i polecił im zapiąć pasy. Wkrótce maszyna miała wylądować w bazie Incirlik, w południowej Turcji.

– Był pan kiedyś w Turcji? – zagadnął Kamigamiego. Olbrzymi sierżant pokręcił głową.

– Ciekawy kraj – stwierdził Pullman.

Sierżant obsługujący pasażerów, który oczekiwał na wielki transportowiec, zdziwił się, że nie jest to zwykły C-141, który przylatywał ze Stanów co wtorek.

– Szefie – poinformował – nie ma pan zezwolenia na wjazd do tego kraju. To poważna sprawa. Nie mogę pozwolić panu zejść z tego samolotu. – Pullman powiedział mu coś cicho na boku. Sierżant wskoczył do swojej półciężarówki i szybko odjechał.

– Za kilka minut powinniśmy mieć transport i oficera – poinformował Pullman Kamigamiego. Podczas oczekiwania Pullman poderwał żołnierzy do pracy i rozładował przy ich pomocy samolot, sprawdzwszy uprzednio ładunek umocowany na sześciu paletach. Jak można było oczekiwać, pojawił się wkrótce groźny podpułkownik i zażądał od sierżantów okazania rozkazów. Pullman sięgnął do teczki i podał oficerowi rozkaz sekretarza obrony. Zwrócił uwagę, że Incirlik było jednym z wymienionych na kartce adresów.

– Nigdy nie słyszałem o żadnej operacji „Wojownik” – stwierdził podpułkownik.

– I nie usłyszy pan, chyba że będzie miał pan taką potrzebę, sir. Dowódca i jego oficer planista powinni byli słyszeć. Sugerowałbym rozmowę z nimi. Poza tym, potrzebna mi na parę dni wasza sala gimnastyczna i jeden hangar. Przydałby się też jakiś transport. Oczywiście wszystko zgodnie z planem operacji „Wojownik” – wyjaśnił.

Podpułkownik przeczytał rozkaz jeszcze raz, popatrzył na datę i godzinę jego przesłania i odjechał z zamiarem dowiedzenia się, dlaczego ci ludzie wylądowali

w jego bazie. Zanim przejechał trzydzieści metrów, minęły go dwa jadące w przeciwnym kierunku pikapy.

– To dla nas – poinformował Pullman.

– Nie wiedziałem, że w planie jest mowa o pikapach – przyznał Kamigami.

– Nie ma. Nie wiem jak pan, ale ja nie mam zamiaru chodzić piechotą. Zanim ci oficerowie dojdą do słusznych wniosków, już dawno nas tu nie będzie. Niech sobie sami łążą na piechotę. – Kamigami rzucił wobec tego swoje wyposażenie na platformę jednego z samochodów i przejął od kierowcy kluczyki. – Gdyby zdołał pan przetransportować to do hangaru – powiedział Pullman, pokazując na palety – ja zająłbym się amunicją. Będzie gotowa, kiedy przylecą nasze ptaszki.

Sześć godzin później Pullman chodził nerwowym krokiem przed hangarem, który im udostępniono. Czekał, aż pierwszy C-130 zakończy kołowanie. Stansell zszedł na płytę lotniska i popatrzył groźnie na potężnego sierżanta.

– Szefie, przecież kazałem panu zostać...! – rzucił. Pullman zsalutował pospiesznie i powiedział:

– Mamy wielki problem, sir. W bazie nie ma GBU-12. Przysłali tylko GBU-15, dziewięćsetkilowe. – Pullman wiedział, jak odwrócić uwagę pułkownika od swojej niesubordynacji.

Rupert opanował gniew i odparł:

– Tym razem ktoś nieźle dał dupy. Znajdźmy generała Mado i spróbujmy to rozwiązać. Co jeszcze?

– Reszta pod kontrolą, sir. Większość rangersów zakwaterujemy w sali gimnastycznej, dla oficerów mamy kwatery dla gości, a mesa ustawi w tamtym hangarze stoły do wydawania żywności. Żołnierze będą cały czas ukryci pod dachem.

Generał stał w pobliżu ogona herculesa i rozmawiał z dowódcą stacjonującego w Incirlik skrzydła.

– Panie generale, mamy problem – zameldował Stansell. – Nie ma GBU-12. Przewieziono tylko GBU-15...

– Ale ktoś spartolił robotę – mruknął Mado. – Potrzebujemy natychmiast tuzina GBU-12, w ciągu najwyżej dwunastu godzin – powiedział dowódca skrzydła.

– Nie mogę tego zrobić, panie generale – odparł tamten. – Turcy są bardzo wrażliwi na broń, jaką się do nich wwozi, a tego rodzaju awaryjny przerzut byłby zbyt publiczną sprawą, zbyt łatwo wypłynąłby na światło dzienne.

– Pułkowniku, nie przylecieliśmy tu po to, żeby zatrzymali nas jacyś Turcy swoimi głupimi regulaminami. Proszę szybko wykonać moją prośbę.

– Sir – oponował dowódca – wiem, po co tu przylecieliście, jednak nie mogę

sprowadzić tych bomb tak szybko, chyba że chcemy, żeby wyrzucili nas z Turcji.

Mado popatrzył na pułkownika z wściekłością. Generała zaszokowało jednak to, że w pewnym stopniu odczuł także i ulgę. Zrozumiał dlaczego. Pragnął wyzwolenia więźniów i zrobiłby wszystko, żeby do niego doszło. Oczywiście... Jednak był w końcu ekspertem od operacji specjalnych i znacznie bardziej ufał Delta Force niż zorganizowanej przez Stansella naprędce Task Force Alpha. Poza tym Mado czuł wciąż na plecach oddech Leachmeyera. Odsunął jednak na bok niemądre rozważania na temat tego, czy jego własna kariera potoczy się lepiej, jeśli sukces odniesie Delta czy też Alpha. W każdym razie nie zamierzał się i płakać z tego powodu, że wysłano nieodpowiednie bomby.

– Użyjemy GBU-15... – zaczął.

– Nie ma mowy – przerwał Pullman. – Zbyt duże zniszczenia uboczne. Pozabijalibyśmy przynajmniej część jeńców, gdybyśmy zrzucili na ten mur dziewięćsetkilowe bomby.

– Czy jest pan tego pewien, szefie?

– Zbudowałem te cholerne mury tak samo, jak Irańczycy – odpowiedział pierwszy sierżant. – I widziałem, co zrobiły nawet te mniejsze bomby. Jestem pewien, panie generale.

– Powiadomię dowództwo w Pentagonie, niech oni rozwiążą problem – zdecydował Mado i ruszył do samochodu, kończąc w ten sposób dyskusję.

– Nie ma mowy, generale – warknął Stansell za odchodzącym. – Szefie, na ten miesiąc wypracował już pan chyba całą swoją pensję... Pogadajmy z Doucette'em i sprawdzimy, gdzie można znaleźć GBU-12 w Europie. Zarekwiruje je pan bez zezwolenia.

– Jak mam zrobić coś takiego? – zdumiał się Pullman.

– Najpierw odszukajmy Doucette'a. – Mężczyźni ruszyli do hangaru, gdzie zebrała się już większość załóg. Pochodnia i Contreras rozmawiali o swojej maszynie z mechanikiem. Stansell poinformował Doucette'a, o co chodzi. Ten odpowiedział, że w bazie RAF-u Lakenheath mieli na składzie GBU-12; wątpił jednak, czy pułkownik Billy Joe Barker zgodzi się je wysłać, ponieważ plan operacji „Wojownik” domagał się od Czterdziestego Ósmego jedynie F-111 z załogami. Barker miał już do czynienia z Turkami i dlatego, żeby go zmiękczyć, potrzebna byłaby zgoda dowództwa wyższego szczebla. Organizacja wszystkiego zajęłaby zapewne parę dni.

– A czy w ogóle poinformowano by go tym, gdyby na przykład bomby zostały posłane do Stonewood na ćwiczenia, powiedzmy, szybkiego gromadzenia amunicji? – zapytał Pullman. Doucette pomyślał, że wyglądałoby to na rutynowe ćwiczenia obsługi technicznej, którymi Barker specjalnie by się nie przejmował. Sierżant

zatelefonował więc do znajomego z Dowództwa Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie, znajdującego się w Niemczech. Znajomy ów był Pullmanowi winien przysługę.

– GBU-12 będą czekać na nas w Stonewood – poinformował po paru minutach sierżant. – Ale, panie pułkowniku, jak my je przewieziemy tutaj? Trudno przemycić dwanaście kierowanych laserem bomb. Amunicja podlega ścisłej kontroli...

– Może po prostu ja je przywiozę – zaofiarował się Doucette.

– Dopiero przyprowadził pan maszynę z Nellis – zaoponował Stansell. – Powinien pan teraz odpocząć.

– Tylko pan i ja o tym wiemy, panie pułkowniku – nie ustępował Pochodnia. – Von Drexler jeszcze nie wylądował. Poza tym, lot prosto przed siebie na dużej wysokości to nie jest coś, co bardzo męczy. Czuję się świetnie, a większą część drogi przespałem, podczas gdy pilotował Ramon. Ramon, niech pan wypełni plan lotu i startujemy.

– Co? – zdziwił się Pullman. Sprawy potoczyły się za szybko nawet dla niego.

– Latanie to zasadnicze zadanie Sił Powietrznych – wyjaśnił Doucette. – Szefie, możemy przeskoczyć stąd prosto do Stonewood, bez uzupełniania paliwa. Ale w drodze powrotnej, kiedy będziemy wieźli bomby, trzeba będzie po drodze zatankować. Mógłby pan załatwić nam KC-135? – Sierżant skinął głową, zadowolony, że ma następne zadanie. Ruszył do telefonu, mrużąc coś pod nosem o "wolnych strzelcach". Był jednak pod wrażeniem.

– Poinformuję Cunninghama i zanim doleciecie do Stonewood, załatwię, żeby wydano wam te bomby – odezwał się Stansell. – Przywieźcie je najszybciej, jak to tylko możliwe. – Popatrzył za odchodzącym do F-111 Pochodnią. Postanowił, że nie będzie informował Mado o potajnym zarekwirowaniu bomb, do czasu aż znajdą się w Incirlik. Odnalazł samochód i ruszył do budynku łączności, żeby wysłać wiadomość Cunninghamowi. Gramy nadal, panie generale – pomyślał.

Maragheh, Iran

Nagły skok mocy uruchomił obwody bezpieczników radaru AN/FPS-8 i obracająca się leniwie wiązka zniknęła z ekranu. Urządzenie wyłączyło się. Operator natychmiast złapał instrukcję i odnalazł odpowiednią stronę.

– Niech się najpierw ostudzi – burknął mechanik, nie przejmując się tym, czy radar akurat pracuje czy nie. Operator zignorował tę wypowiedź i sprawdził zgodnie z instrukcją napięcie we wszystkich wskazanych obwodach. Już po trzech minutach stacja znowu śledziła obszar powietrzny.

– O co chodzi Amerykanom? – westchnął operator, ustawiając wzmocnienie i kąt pochylenia anteny tak, żeby odbiór był jak najlepszy. Widział teraz cztery samoloty, które nie odpowiadały na sygnał IFF. Kiedy znikły z ekranu, wyprostował antenę z powrotem i zobaczył, że cztery cele przemieszczają się w głąb Turcji, na mniejszej wysokości niż przedtem. Chciał już informować swojego przełożonego z miasta, ale rozmyślił się. Dwanaście minut później zaobserwował cztery samoloty lecące na małej wysokości w stronę Iranu. Poruszały się szybko i nie odpowiadały na sygnał identyfikacji. Patrzył, jak znikają po raz kolejny. Był to znak, że zeszyły tuż nad powierzchnię ziemi. Wpatrywał się w ekran, bojąc się, czy wrogie maszyny nie przekroczą granicy.

W końcu operator miał już dość tej sytuacji. Połączył się ze swoim dowódcą i opisał, co się dzieje. Oficer milczał. Znaczyło to, że nie chce o niczym słyszeć. Nagle cztery cele pojawiły się, wciąż na terenie Turcji. Piloci wznieśli się wyżej i włączyli IFF-y. Ociągając się, operator zameldował o tym.

– Ty jesteś głuchy. I niewyuczalny – stwierdził w końcu oficer. – Czterdzieści osiem godzin na służbie powinno dać ci do myślenia. Twój zmiennik przyjedzie we wtorek, w południe – oznajmił i rozłączył się.

Operator przeklinał własną dokładność. Zmniejszył wzmocnienie, ustawił antenę pod innym kątem zwiększając zasięg wiązki i ruszył do stojącej w kącie pryczy, żeby się trochę przespać. Popatrzył na zegarek. Do czasu zakończenia dyżuru miał jeszcze czterdzieści dwie godziny.

Rozdział trzydziesty piąty

Dzień D

Pentagon, Waszyngton

Pułkownik Richard Stevens spojrział na jeden z zegarów wiszących nad główną tablicą sytuacyjną Centrum Dowodzenia. Było dwanaście minut po północy czasu miejscowego. Pełnił służbę już od szóstej rano i czuł się bardzo zmęczony. Próbował zapomnieć jakoś o wyczerpaniu i dokończyć przygotowania do zbliżającej się operacji. Zazwyczaj podobnymi sprawami zajmowała się Połączona Agencja Operacji Specjalnych. Jednakże Cunningham poprosił swojego adiutanta o nadzór nad wszystkim.

Stevens musiał przyznać, że generał Mado zadbał o każdy szczegół. Grube księgi operacyjne opisujące operację „Wojownik” były gotowe. Na każdym stanowisku w Centrum Dowodzenia leżał egzemplarz. Spisano wszystkie wiążące się z misją fakty, nawet imiona i nazwiska każdego jej uczestnika. Mado dodał też na końcu księgi rozdział zawierający pytanie i odpowiedzi, przewidując, jakie pytania może zadać prezydent czy inna ważna osoba.

To będzie długi dzień.

– Kiedy regulowano ostatni raz główny zegar? – zapytał Stevens pomagającego mu sierżanta.

– Porównałem go z zegarem WWV w forcie Collins o dwudziestej, panie pułkowniku. Szedł idealnie. Jest niemiłosiernie dokładny, prawie jak cezowy zegar w WWV.

– A zegar misji? – Stevens pokazał na znajdujący się poniżej głównego cyfrowy zegar opatrzony napisem: „Godzina Zero Plus”.

– Uruchomiłem go na godzinę, kiedy ustawiałem główny. Pracuje perfekcyjnie. Nadszedł major i podał Stevensowi teczkę.

– Dwie wiadomości od Task Force Alpha – poinformował.

Pułkownik podpisał ich odbiór i usiadł, żeby przeczytać. Sierżant poszedł tymczasem zaparzyć kawy.

– O Boże, co się tam dzieje?... – westchnął Stevens. Autorem pierwszej wiadomości był Mado. Informował, że wysłano do Incirlik niewłaściwe bomby i niezbędne jest uzgodnienie z rządem tureckim awaryjnego przerzutu GBU-12. Tak pośpieszna akcja

prawdopodobnie zwróci uwagę. Groziło to spalaniem całej operacji, a także zerwaniem przez Turków umowy na korzystanie z bazy. Mado obarczył rozwiązaniem problemu naczelne dowództwo.

Oznaczało to tyle, że misja Task Force Alpha była na razie wstrzymana. Stevens spojrzął na drugą wiadomość. Napisał ją Stansell. Prosił o wydanie podpułkownikowi Doucette dwunastu bomb GBU-12 w bazie RAF-u w Stonewood, aby mógł załadować je natychmiast do F-111. Bomby zostaną przewiezione do Incirlik jako część sprzętu Task Force Alpha. Nie było ani słowa o uzgodnieniu sprawy z Turkami.

Pułkownik zerknął na główny zegar, a potem znowu na otrzymane wiadomości. Bomby musiały być przygotowane do zabrania przez F-111, kiedy tylko samolot wylądjuje. Nie było czasu na szukanie generała Cunninghama w jego kwaterze, budzenie go, wyjaśnianie sytuacji, i po uzyskaniu zgody, przesyłanie polecenia do Stonewood. Stevens zdecydował, że sam odpowie na prośbę Stansella, a wiadomości pokaże Cunninghamowi, kiedy generał przyjdzie. Może bomby będą już w tym czasie w Turcji...

Pułkownik napisał więc polecenie do Stonewood w imieniu swojego szefa.

– Za takie podejmowanie za kogoś decyzji bez jego zezwolenia urywają głowy... – mruknął do siebie. Przypomniawszy sobie, że gdyby zamknęli go w więzieniu w Leavenworth, jego żona miałaby prawo odwiedzać go, kiedy by tylko chciała.

Maragheh, Iran

Operator radaru odrzucił koc i przeciągnął się. Czuł się wypoczęty. Wstał, żeby zobaczyć, co dzieje się na ekranie. Z przerażeniem zobaczył, że radar nie pracuje. Spojrzął przez ramię na pozostałych pracowników. Spali. Usiadł więc i założył słuchawki, sprawdzając jednocześnie napięcia w poszczególnych obwodach.

Nie jest trudno przywrócić radar do działania, pomyślał operator, wykonując kolejne kroki procedury restartowej. Jednakże obwody nie uruchomiły się. Operator zaczął więc sprawdzać według listy następne punkty, kiedy nagle w radiu trzasnęło i odezwał się głos dowódcy:

- Kontrola łączności.
- Potwierdzam – odpowiedział szybko operator.
- Masz jakieś pytania w sprawie procedury meldowania?
- Żadnych, panie kapitanie. – Oficer rozłączył się. A więc chcesz na chwilę zniknąć. Pewnie zajmiesz się swoją kochanką, pomyślał operator. Wszyscy wiedzieli o brzydkiej kobiecie, którą kapitan trzymał w sąsiedztwie centrum kontrolnego.

Żartowali z niego, ponieważ miał piękną żonę. Ich przełożony nie cieszył się dobrym gustem. Operator zakończył czynności kontrolne, upewnił się, że antena cały czas się obraca – na wypadek gdyby ktoś chciał przyjrzeć się jej z dołu przez lornetkę – i wyłączył, co jeszcze pozostało do wyłączenia. – Niech ostygnie – burknął, sięgając po gazetę, której dotąd nie czytał.

Pentagon, Waszyngton

Cunningham bębnił palcami w stół, przeczytawszy dwie wiadomości od Task Force Alpha.

– Obecna sytuacja? – spytał, patrząc na swojego adiutanta. Napięcie, jakie odczuwał Stevens, nieco zelżało. Był prawie pewien, że generał zaakceptuje wysłanie przez niego polecenia wydania bomb. Jednak zupełnie pewien nie był. Nikt w Pentagonie nie wiedział, jak naprawdę zareaguje na tę czy inną sytuację Cunningham, który lubił trzymać ludzi w niepewności.

– GBU-12 są w drodze do Incirlik. Powinny się tam znaleźć za cztery godziny.

– To wystarczy. Niech pan umieści te wiadomości w dokumentach przychodzących. Proszę dopilnować, żeby Leachmeyer zobaczył je dopiero wtedy, kiedy bomby będą już lądować w bazie. W ten sposób bieg wydarzeń uprzędzi go. – Dwaj oficerowie od dawna musieli radzić sobie z machiną biurokratyczną Pentagonu. Cunningham był zadowolony z tego, że jego adiutant nie zawahał się i zrobił, co należało. Zbyt wielu na jego miejscu zaczęłoby zadawać nieodpowiednie w tym momencie pytania, tłumaczyć wszystkim, że to, co się stało, nie wynikało z ich winy. Zmierzch będzie martwił się o znalezienie winnego później, nie teraz. – Co mamy na dzisiaj? – spytał.

– Narada Sztabu Bitewnego o ósmej zero zero. Na początek najnowsze dane wywiadu.

– Kto dyryguje całym przedstawieniem?

– JSOA. Dowódcą jest generał Leachmeyer – wyjaśnił adiutant. Pożałował, że dodał ostatnie zdanie. Cunningham nie znosił, kiedy tłumaczyło mu się rzeczy oczywiste.

– Dick, ja jeszcze nie mam sklerozy – skwitował, nie gniewając się niepotrzebnie na pułkownika, który pracował od ponad dwudziestu czterech godzin. – Za to mam problem. Leachmeyer ciągle nie ustępuje i chce, żeby misję wykonało Delta Force. To dobry człowiek, tyle że w końskich okularach. Muszę go przekonać, że czas nam się skończył i musimy atakować teraz.

Na ustach Stevensa zagościł nieznaczny uśmiezek.

– Sprowadziłem argumenty, żeby łatwiej było do niego przemówić – powiedział pułkownik. Cunningham uniósł brwi. Jego adiutant może i był zmęczony, ale jego umysł cały czas pracował. – Za drzwiami czeka oficer wywiadu Task Force Alpha. Pomyślałem, że być może będzie pan chciał z nią porozmawiać. – Generał patrzył na Stevensa, zdumiony. – Sprowadziłem w nocy z Nellis pannę Rahimi. Doszedłem do wniosku, że może się nam przydać.

Cunningham starał się jak mógł, jednak zupełnie nie potrafił zaaprobować kobiet w wojsku, a już szczególnie cywilnych specjalistek, choć to nastawienie nie powstrzymało go przed korzystaniem z ich pracy.

– Niech pan ją wprowadza – polecił. – I poprosi DIA, żeby także kogoś przysłali. Chcę, żeby niezależnie przedstawili mi najnowsze dane jeszcze przed zebraniem się Sztabu Bitewnego. I niech pan jeszcze wezwie Bena Yuridena; chciałbym z nim pomówić.

Godzinę później Cunningham rozmawiał jeszcze z Dewą Rahimi oraz generałem brygady, który przybył z DIA. Siedzieli tuż koło siebie, przystawiwszy fotele do obrotowego fotela szefa sztabu.

– Przepraszam, panie generale – przerwał w pewnym momencie Stevens. – Stanowisko dowodzenia... – Pokazał nieznacznym ruchem przeszklone pomieszczenie, znajdujące się po prawej. Stał tam prezydent, sekretarz obrony, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, dyrektor CIA Burke i admirał Scovill. – Przyjechali wcześniej – wyjaśnił adiutant.

– Nie dziwię się im – odparł Zmierzch. Wszystko, co usłyszał przed chwilą od Rahimi i generała z DIA, wskazywało, że albo misja rozpocznie się w ciągu najbliższych godzin, albo połowa jeńców zostanie wywieziona z Kermanshah. Doradcy prezydenta oczywiście także musieli zdawać sobie z tego sprawę. Prezydent usiadł, a Scovill nachylił się nad mikrofonem.

– Generale Leachmeyer... – zaczął. Jego głos uciszył wszelkie rozmowy w Centrum Dowodzenia. Wszyscy czuli panujące w sali napięcie. – Proszę zaczynać.

Leachmeyer wszedł na stojące na środku podium i przedstawił pułkownika US Army, który streścił najnowsze dane wywiadu. Były to standardowe wiadomości, których spodziewał się Cunningham. Nic, na czym można by oprzeć decyzję. Podczas wystąpienia pułkownika Stevensowi podano kolejną wiadomość. Podał ją swojemu szefowi, ten przeczytał i oddał kartkę Dewie.

– Dlaczego to takie ważne, że stacja radarowa w Maragheh przestała pracować? – spytał. Rahimi odparła:

– To oznacza, że mamy wolny korytarz do Kermanshah. – Zdawała sobie sprawę,

że Rupert znalazł się teraz jeszcze bliżej czekających go w Iranie niebezpieczeństw.

– Charlie, niewiele dają mi te informacje – skwitował prezydent. – Myślę, że już czas przestać ostrzyć zęby i wreszcie ugryźć.

– Sir, to nasze najnowsze dane – odpowiedział Leachmeyer spokojnym głosem. Ty sukinsynu, pomyślał Cunningham, ciągle grasz na czas. Tak bardzo chcesz, żeby operację wykonała Delta, że wstrzymujesz atak za wszelką cenę. Pora włączyć się do tego.

– Najlepsze warunki do przeprowadzenia misji wystąpią tej nocy – odezwał się do swojego mikrofonu.

– Żadne dane tego nie potwierdzają – zaprotestował Leachmeyer. Dwaj szefowie sztabu patrzyli na siebie morderczym wzrokiem, podczas gdy głowy pozostałych obracały się to w te, to wewte.

Admirał Scovill nachylił się nad mikrofonem, żeby zakończyć spór. Prezydent zasłonił jednak mikrofon dłonią i pokręcił głową. Tym razem chciał usłyszeć, co każdy z dwóch generałów ma do powiedzenia. W gorącej kłótni często ujawnia się prawda.

– Właśnie otrzymałem wiadomość, że stacja radarowa w Maragheh nie pracuje – powiedział Cunningham. – To otwiera nam korytarz do Kermanshah.

– Gdybyście byli gotowi startować – odciął się Leachmeyer. – Jak rozumiem, nie macie odpowiedniej amunicji, żeby zrobić wyłomy w murze więzienia. – Mało brakowało, a dodałby komentarz, że planowanie w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych poważnie kuleje. Tak czy owak, jeden – zero dla Armii, pomyślał.

Skąd on się o tym dowiedział, zdumiał się Cunningham. Przecież to Stevens trzymał te wiadomości. Czy ktoś przesłał nieoficjalnie kopie także Leachmeyerowi? Może Mado?

– Potrzebne nam GBU-12 będą w Incirlik za niecałe – Zmierzch popatrzył demonstracyjnie na zegarek – dwie godziny. To żaden kłopot. – Przewaga Sił Powietrznych, dzięki Stevensowi.

– Żebyście mogli zrzucić drużynę naziemną, potrzebny wam północny wiatr. – Leachmeyer nie ustępował. – Jeszcze dwadzieścia minut temu nie było go. – Szef sztabu Armii przygotował się na dzisiejszy dzień.

– W nocy, kiedy będzie potrzebny, pojawi się. Nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego rozbudowuje się wyż, zgodnie z przewidywaniami. – Remis.

– Panowie, nie ma czasu – wtrącił się prezydent. – Chcę usłyszeć w skrócie, jaki jest obecny status Task Force Alpha i jaki będzie szczegółowy przebieg misji. Proszę bardzo...

Na podwyższeniu stanęło dwóch pułkowników Sił Powietrznych podległych

Mado. Zaczęli wyluszczać szczegóły planu operacyjnego. Stevens poinformował tymczasem Cunninghama, że przybył Ben Yuriden. Zmierch wyszedł z Centrum Dowodzenia i ruszył do małego pomieszczenia, gdzie siedział Izraelczyk.

– Dziękuję, że przyjechał pan tak szybko, Ben – powiedział. – Czy ma pan dla mnie jakieś nowe wiadomości?

Twarz pułkownika nie zdradzała niczego.

– Ciężarówka i radiolatarnia są w Kermanshah – poinformował. – Nasz agent jest z Carrollem i umie obsługiwać urządzenie. – Zastanowił się, czy powinien powiedzieć, co jeszcze wie. – Panie generale, na lotnisku w Kermanshah czeka samolot pasażerski. Przyleciał po połowę jeńców... – Po tych słowach pułkownik wstał i wyszedł. Cunningham popatrzył na drzwi. Yuriden powiedział mu właśnie coś, czego nie powinien był mówić. Izraelski wywiad nie miał w rejonie Bliskiego Wschodu równych sobie, a jak wszystkie wywiady, Mossad bardzo ostrożnie przekazywał posiadane informacje, uważając, żeby nie doprowadziło to do spalenia ich źródeł. Cunningham dobrze to rozumiał i zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego, czego dokonał Yuriden. Izraelczyk ufał, że amerykański generał nie powie nikomu, skąd dowiedział się o tym samolocie.

Cunningham wrócił szybko do Centrum Dowodzenia. Dwaj pułkownicy kończyli właśnie swoje wystąpienie.

– Panno Rahimi – odezwał się Zmierch, przysuwając się do Dewy – właśnie otrzymałem informację, że Irańczycy sprowadzili już do Kermanshah samolot pasażerski dla przewiezienia jeńców. Nie mogę ujawnić swojego źródła. Czy osłoni mnie pani? Jeżeli mamy wyzwolić tych jeńców, prezydent musi wydać dzisiaj rozkaz wykonania misji.

Dewa zamarła. Niebezpieczeństwo zbliżyło się do Ruperta jeszcze bardziej.

Langley, stan Virginia

Camm chodził po swoim gabinecie, ignorując obecność Susan Fisher. Przeczytał po raz drugi najnowsze doniesienia z Iranu. Oto samolot, który miał przewozić połowę jeńców, znajdował się już na lotnisku w Kermanshah. Na jego pokładzie byli agenci CIA udający strażników więziennych, gotowi porwać maszynę zaraz po starcie. Przewóz jeńców był spodziewany tego lub następnego dnia. W barakach za więzieniem znajdowali się irańscy żołnierze w sile kompanii.

– Pan dyrektor Burke jest w tej chwili z prezydentem – odezwała się Fisher. – Podejrzewam, że omawiają sprawę jeńców. Czy powinniśmy poinformować dyrektora o tym samolocie i żołnierzach? Zawsze możemy udać, że podsłuchaliśmy

rozmowę telefoniczną.

– Musimy wyzwolić jeńców... – zaczął Camm. – Te wiadomości z więzienia o stacjonujących w barakach żołnierzach... Czy dostaliśmy chociaż raz potwierdzenie z jakiegoś innego źródła? – Fisher pokręciła głową. – A więc żołnierzy może wcale tam nie być... A Departament Obrony wie o pułku pancernym w Shahabadzie... – Susan przytaknęła. Camm pomyślał sobie: oczywiście, nie chcemy narażać niepotrzebnie Amerykanów na śmierć, ale skoro nasze siły wiedzą o pułku pancernym, to z pewnością są przygotowane na natychmiastowe wycofanie się w przypadku napotkania zdecydowanego oporu. A więc...

– Biorąc pod uwagę, jakie jest źródło naszych informacji, myślę, że nie powinniśmy na razie niczego mówić – odezwała się Fisher, mówiąc swojemu dyrektorowi właśnie to, co bardzo chciał usłyszeć.

Kermanshah, Iran

Mokhtari schodził do piwnicy, tupiąc z wściekłością. Zmieniono wybrany przez niego skład jeńców, którzy mieli zostać oddani. Teraz Mary Hauser miała zostać przekazana ILPR. W szczególności nienawidził właśnie tej kobiety, która niezależnie od tego, co kazał z nią robić, w jakiś sposób potrafiła mu się wciąż przeciwstawiać. Miał wprowadzić jeszcze Landisa...

– Sprowadzić ich na salę przesłuchań – rzucił i opadł na krzesło. Złapał za słuchawkę i połączył się z głównym blokiem więziennym, żeby wezwać mężczyznę, który znęcał się nad Hauser w szczególny sposób... Mokhtari zaczynał uspokajać się nieco, planując ostatnią „rozmowę” z panią kapitan.

– Co to jest? – spytał Carroll, zaglądając na platformę ciężarówki. Siedział z Zakią i jej łącznikiem w jednym z licznych magazynów, znajdujących się na przedmieściach Kermanshah.

– Przenośna radiolatarnia – wyjaśnił mężczyzna, pokazując palcem antenę i jednostkę zasilania. – Ma pan ustawić ją na północ od miasta i uruchomić na najbliższe trzy noce.

– A po co nam radiolatarnia?

– Dla zrzutu spadochroniarzy – poinformowała kobieta.

– Zakia, kim ty, u licha, jesteś?...

Amerykaninowi odpowiedziało milczenie. Pod żadnym pozorem nie mogła powiedzieć mu, że jest agentką Mossadu.

Pentagon, Waszyngton

– Panno Rahimi, zatem nie ma pani rzetelnych dowodów na to, że przeniesienie części jeńców nastąpi w najbliższej przyszłości? – spytał dyrektor central wywiadowczych, Burke. Dewa stała na podwyższeniu z mikrofonem w dłoni. Kiedy tylko w Narodowym Centrum Dowodzenia Wojskowego znajdowali się członkowie Komitetu Szefów Sztabu albo prezydent, nagrywano każde słowo, na wypadek powstania wątpliwości, kto co powiedział. W związku z tym Burke wyrażał się w formalny sposób, aby wypaść bardziej fachowo na nagraniu. Robił jednak przez to wrażenie, iż mówi sztucznie i pompatycznie.

– Nie, sir. – Rahimi musiała osłaniać źródło Cunninghama. – Jednak wydarzenia w Iranie następują zawsze w pewnym rytmie. Islamska Partia Republikańska i ILPR finalizują swój układ; być może już do tego doszło. Opieczętowaniem umowy będzie przekazanie połowy jeńców w gestię ILPR. Stanie się to bardzo niedługo, najdalej w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Z pewnością przed piątkiem, który jest u muzułmanów dniem modlitwy i odpoczynku.

– Wybaczy pani, panno Rahimi – odezwał się Burke wyraźnie protekcyjnym tonem – ale moi analitycy nie zgadzają się z panią.

Dewa odparła coś w farsy i zeszła z podium, podając mikrofon Leachmeyerowi.

– Dobrze pani mówiła – pochwalił Cunningham.

– Panno Rahimi, nie zrozumieliśmy pani ostatniego komentarza – upomniał zza szklanej ściany admirał Scovill.

Cunningham podał młodej kobiecie mikrofon.

– Wybaczą panowie, odezwałam się w farsy. Powiedziałam: „To wstyd, ponieważ wkrótce okaże się, że się mylą”. – Zmierch uśmiechnął się nieznacznie.

Prezydent zwrócił się do swoich doradców:

– Wszystko sprowadza się do pytania: atakujemy dzisiaj czy nie?

– Poczekajmy, aż znajdzie się na miejscu Delta i posłużmy się nimi – odparł Scovill.

– Wstrzymajmy się i poczekajmy na rozwój wydarzeń – poradził Burke, patrząc przed siebie.

– Atakujmy Delta Force – dorzucił sekretarz obrony.

– Spuśćmy z łańcucha Task Force Alpha, dzisiaj – powiedział niezależnie od poprzedników Michael Caligari, doradca do spraw bezpieczeństwa.

– Wiemy, co powiedzą Leachmeyer i Cunningham – zakończył prezydent. – Jednak to nie jest sprawa, którą rozstrzygniemy przez wspólne głosowanie. – Wyjrzał przez szybę i popatrzył na czekających na jego rozkazy ludzi. Instynkt

mówił mu, żeby działać już, użyć Task Force Alpha. Podobało mu się to, co oglądał w Nevadzie... A jednak była to druga drużyna.

– Kiedy Delta Force będzie na miejscu, gotowa do ataku? – zapytał jeszcze.

– Pojutrze – odparł Scovill.

Żadna z decyzji nie miała gwarancji trafności. Prezydent rozejrzał się po sali po raz kolejny. Na końcu popatrzył na Dewę. Ona ma rację, pomyślał. Powiedział:

– Atakujemy dzisiaj, przy pomocy Task Force Alpha. Wykonać rozkaz. Chcę być tutaj, kiedy zacznie się rajd samolotów.

Kermanshah, Iran

Hauser i Landis stali na baczność przed biurkiem Mokhtariego. Landis złapał się na tym, że stara się sklasyfikować psychikę naczelnika więzienia, jakby oceniał szalejącego chorego, którego przywieziono na ostry dyżur. Mokhtari przerwał tę sytuację.

– Wprowadzić go – polecił. Jeden ze strażników otworzył drzwi i w pomieszczeniu znalazł się gwałciciel Mary Hauser. Popchnięto go w ten sam kąt, co zawsze. Na rozkaz Mokhtariego irański więzień rozebrał się, usiadł i zwiesił głowę. Nie podnosił oczu.

– Nie będziesz więcej kłamać, przeklęta kobieto – warknął komendant. – Dlaczego wysłano cię do Ras Assanya?!

– Sir – zaczęła Mary, próbując po raz kolejny przekonać Mokhtariego, że mówi prawdę – znalazłam się tam, ponieważ przełożeni mieli dość moich skarg i postanowili mnie ukarać...

– Cały czas tak mówisz. Nie uwierzyłem ci i do tej pory nie wierzę... – Komendant pokazał palcem na jednego ze strażników, a ten ściągnął z Landisa koszulę. – Widziałas kiedyś coś takiego? – Wyjął zza biurka elektryczną różgę do poganiania bydła. Zaszedł doktora od tyłu, przyłożył końcówkę pręta do jego pleców i nacisnął przycisk. Landis szarpnął się i jęknął. Mokhtari przekręcił gałką. – Była nastawiona na małą moc. A teraz odpowiedz, dlaczego wysłano cię do Ras Assanya?

– Powiedziałam prawdę. Czy muszę panu kłamać?

Padł niezrozumiały rozkaz i strażnik wyciągnawszy nóż rozciął Landisowi spodnie. Mokhtari dotknął różgą genitaliów doktora i nacisnął przycisk. Podpułkownik osunął się na podłogę.

Mary musiała to powstrzymać.

– ...Miałam sprawdzić, czy stacja radarowa nadaje się także na centrum nasłuchu komunikatów radiowych.

– A teraz wierzę ci, ale się zawahałaś. Powiedz mi natychmiast, co dokładnie robiłaś i czego się dowiedziałaś. – Kapitan tym razem bez wahania opowiedziała wszystko, co wiedziała, wyrzucając z siebie informacje tak szybko, jak tylko mogła. Wreszcie Mokhtari uniósł dłonie.

– Szkoda, że od razu o tym nie pomyślałaś – powiedział. – Dług musi zostać spłacony. Niestety, nie przez ciebie. – Mokhtari przeszedł na farsy, rzucając surowym tonem rozkazy. Jeden ze strażników złapał Mary za bluzę i wyprowadził za drzwi. Kiedy się obejrzała, zobaczyła nachylonego nad biurkiem doktora Landisa i irańskiego więźnia, który go gwałcił.

Incirlik, Turcja

TO JEST ROZKAZ WYKONAWCZY WYDANY
PRZEZ SEKRETARZA OBRONY
JEDNOSTKA: TASK FORCE ALPHA
WYKONAĆ: OPERACJĘ WOJOWNIK
GODZINA ZERO: NIE PÓŹNIEJ NIŻ 2400Z DZISIAJ
OPCJE: ŻADNYCH
SPECJALNE INSTRUKCJE: DOWÓDCA POŁĄCZONYCH SIĘ OPERACYJNYCH
ROZPOCZNIE MISJĘ, KIEDY OSĄDZI, ŻE SPEŁNIONE SĄ WSZYSTKIE
NIEZBĘDNE DO TEGO WARUNKI.

Gregory pierwszy przerwał ciszę, jaka zapadła na stanowisku dowodzenia w bazie Incirlik.

– Rozkaz ataku. Dostaliśmy rozkaz ataku... – Wymówił te słowa niemal szeptem. – Czy będziemy mieli ten północny wiatr?

Mado wzięła kartkę do ręki z poważną miną.

– Meteorolog mówi, że wiatry na dużej wysokości skręcają stopniowo na północ, a ich prędkość rośnie. Tego właśnie nam trzeba; ciągle jednak niepokoję się o pogodę. Zdjęcia satelitarne pokazują nad górami Zagros nisko zawieszoną powłokę chmur.

– W tej chwili wysokość podstawy chmur oraz widzialność są wystarczające, żebyśmy przelecieli przez góry na małej wysokości – odpowiedział Stansell. Zwrócił się do pozostałych: – Wymagana w planie operacyjnym minimalna wysokość podstawy chmur wynosi sześćset metrów, a widzialność w poziomie – osiem kilometrów. Czy zdołacie przelecieć przy jeszcze niższych wartościach, w razie pogorszenia pogody? – Pułkownik patrzył na twarze oficerów. Większość z tych ludzi miała po raz pierwszy wkroczyć na nieznane sobie dotąd terytorium – odbyć prawdziwą misję bojową. Doświadczenie nauczyło Stansella, że z chwilą rozpoczęcia

walki ludzie zmieniają się. I nie da się przewidzieć, kto w jaki sposób.

– C-130 mogą lecieć przy pułapie chmur na trzystu metrach i widzialności pięć kilometrów – odezwał się Mallard – jeżeli nawigatorem szyku będzie Dunkin. Jeśli nie, to potrzebne nam sześćset metrów i osiem kilometrów.

Poradzą sobie, zdecydował Stansell.

– My możemy lecieć trochę niżej – stwierdził Beasley z AC-130. – Wystarczy, żeby chmury nie zeszły poniżej stu pięćdziesięciu metrów. Ale widzialność musi wynosić pięć kilometrów. – Grom mówił już, że młody kapitan jest niewzruszony jak skała. Rupert był tego samego zdania.

– F-15 potrzebne jest sześćset metrów i osiem kilometrów widoczności, jeżeli mamy osłaniać ich na małej wysokości – powiedział Jack Locke. – Chyba że będziemy lecieć wyżej. Ja sam mogę pilotować swojego F-15E z radarem do śledzenia terenu nawet bez żadnej widoczności – dodał. Stansell zgodził się z tą oceną.

Von Drexler milczał. Jego twarz nabrała podobnego wyrazu, co oblicze Mado. Kiedy Rupert spojrział na niego, pilot wiedział, że musi się odezwać.

– Potrzebne nam sześćset metrów i osiem kilometrów – oznajmił. – Radar do śledzenia terenu w naszych maszynach nie jest tak dobry, jak powinien być.

Stansell spojrział na Jacka. Co działo się z Von Drexlerem? Locke nie przyszedł mu jednak z pomocą.

– Pułkownik Doucette powiedział, że jest w stanie lecieć przy minimach niezbędnych do startu – stu metrach podstawy chmur i półtora kilometra widoczności – odpowiedział Rupert, chcąc dowiedzieć się, dlaczego Von Drexler tak się zabezpiecza.

– Doucette jest nieodpowiedzialny – burknął podpułkownik.

– Przerwywamy misję, jeśli pułap chmur zejdzie poniżej sześciuset metrów, a widoczność spadnie poniżej ośmiu kilometrów – zdecydował Mado, kończąc dyskusję. – Mamy inne sprawy, którymi trzeba się zająć. Po pierwsze, kapitan Kowalski i jej załoga nie lecą. Nie wolno posyłać kobiet do walki. Po drugie, zdecydujcie, które cztery F-15 będą osłaniać transportowce, a które cztery pozostaną razem z tankowcem jako wsparcie. Po trzecie, trzeba wybrać dwa F-111 do ataku na więzienie i jednego, który zostanie przy tankowcu.

– Panie generale, od czasu katastrofy mamy jednego C-130 za mało – zaproponował Stansell. – Musimy wysłać do ataku sześć. Zamierzałem posłać kapitan Kowalski z drużyną „Romeo”. W ten sposób będziemy mieli sześć wypoczętych załóg C-130 gotowych do lotu, a po powrocie kapitan Kowalski możemy użyć jej samolotu jako zapasowego.

– Dlaczego wybrał pan akurat ją?

– Być może to najlepszy z moich pilotów – odpowiedział Mallard. – Na pewno jest o wiele lepsza ode mnie. I ma drugiego w kolejności nawigatora.

– Poza tym to dobre maskowanie, na wypadek gdyby coś się nie udało – dorzucił Rupert. – Dewa mówiła, że mogą udać, że brały udział w ćwiczeniach obrony powietrznej i zgubiły się. Ponieważ są kobietami, Irańczycy uwierzą im.

– A rangersów miały zrzucić w Turcji, podczas nocnych ćwiczeń – dokończył Mado. Nawet on przekonywał się do tego pomysłu. – Ten typ misji nie zalicza się bezpośrednio do walki. W porządku, kupuję to.

– Planuję posłać F-15 i F-111 tak, jak podczas ostatniej próby – kontynuował Stansell. – Tuż przed opuszczeniem tankowca skontrolujemy wszystkie systemy i ewentualnie zweryfikujemy tę decyzję.

– Chcę zmienić podział zadań F-111 – odezwał się Von Drexler. – Doucette i Contreras zostają z tankowcem.

Rupert nie wierzył własnym uszom.

– Po co? – spytał tylko.

– Tak jak powiedziałem, Doucette jest nieodpowiedzialny. Udowodnił to ten lot do Stonewood. Minał wtedy czas jego dyżuru i powinien był odpoczywać. A on jeszcze wrócił tutaj. Nie ufam ludziom, którzy rozgrywają sprawy tak szybko i niezgodnie z regulaminem. – Sposób, w jaki Von Drexler patrzył na Stansella, wskazywał, że jego także oskarża.

– Pułkowniku – odpowiedział Rupert – to ja podjąłem decyzję, a nie Doucette. Pomysł okazał się skuteczny. A w tej chwili Doucette odpoczywa i na czas misji będzie znów gotowy. Podejmuję dobrze skalkulowane ryzyko, kiedy mam ludzi zdolnych do wykonania pewnych...

– Doucette zostanie przy tankowcu – zdecydował Mado, pokazując dłonią, że ucina wszelką dyskusję w omawianej sprawie.

– Panie generale, są dobre wiadomości – odezwał się Grom, przerywając powstałe napięcie. – AWACS kontrolujący ćwiczenia obrony powietrznej melduje, że irański radar wczesnego ostrzegania w Maragheh nie pracuje. To pozwala nam lecieć swobodnie.

Mado z początku nic nie odpowiadał. W końcu odparł:

– Dobrze, miejmy nadzieję, że nie włączą go z powrotem. – Stał, gapiąc się na tablice stanu akcji, wiszące na ścianach stanowiska dowodzenia. Wreszcie polecił: – Pułkowniku Gregory, proszę poinformować pańskich żołnierzy o rzeczywistym celu ich misji tuż przed wejściem na pokład samolotów. Pułkowniku Stansell, niech pan śledzi stan pogody i zawiadamia mnie natychmiast, gdyby powstały jakiegokolwiek

kłopoty. Godzina Zero będzie w momencie, kiedy wyśle kapitan Kowalski na C-130. Personel stanowiska dowodzenia ma być gotowy, AWACS krążyć w ustalonym miejscu, a maszyna z załogą kapitan Kowalski oraz drużyną „Romeo” gotowa do startu o siedemnastej zero zero dzisiejszego popołudnia. Reszta Task Force Alpha ma być gotowa do startu o pierwszej w nocy czasu miejscowego. Czy są jakieś pytania? – Nie było. Mado skinął na Von Drexlera i we dwóch opuścili stanowisko dowodzenia.

– Nie rozumiem tego człowieka – skomentował Jack, mówiąc bardziej do siebie samego niż do Stansella. – Udaje się z Kowalski, nie udaje się z Doucette’em. Tak jakby starał się zadowolić wszystkich, dać Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Rupert nie odpowiadał. Spotykał już dowódców szczególnie ostrożnych, a jednocześnie ambitnych, którzy postępowali właśnie w ten sposób. Parli ku realizacji misji, a jednocześnie starali się zachować wszystkie możliwe opcje na wszelki wypadek. Pułkownik zastanawiał się, jak zachowa się Mado, kiedy będą znajdować się na lotnisku w Kermanshah, a on będzie musiał podjąć szybką decyzję, niezależnie od konsekwencji...

Rozdział trzydziesty szósty

Godzina Zero

Incirlik, Turcja

Przez chwilę Stansell miał trudności z oddychaniem. Doświadczał już tego wszystkiego – tych słów, napięcia, całej atmosfery... Nie znajdował się na stanowisku dowodzenia bazy Incirlik, tylko w Ras Assanya. Czekał, aż wroga flota ruszy przez Zatokę Perską. Odwrócił się, na wpół oczekując, że zobaczy siedzącego za nim Muddy'ego Watersa, który czeka na śmierć...

– Cholera jasna...! – westchnął, widząc ku swojej uldze Groma, a nie Watersa.

– Jak w starych czasach – mruknął Bryant, doświadczając tych samych uczuć, co Rupert. – Panie pułkowniku, do tej pory nie podziękowałem panu za to, co pan zrobił w tamten piątek, w klubie oficerskim. Byłem naprawdę rozstrojony tym całym rozwodem i o mało co nie zrobiłem czegoś głupiego. Utrzymał mnie pan przy zdrowych zmysłach. – Stansell skinął tylko głową. – I jeszcze coś. – Bryant zawahał się. – Nie powinien pan lecieć w tę misję – wypalił.

Rupert popatrzył na kapitana.

– A dlaczego? Dlatego, że jestem zbiegłym jeńcem, a nie żołnierzem, który uniknął schwytania i jeżeli znowu dostanę się do irańskiej niewoli, to mnie rozstrzelają? Niech pan da spokój, za daleko zaszliśmy, żeby teraz urządzać takie historie. I bardzo proszę, niech pan nikomu o tym nie wspomina, a już zwłaszcza Mado. Natychmiast pozostawiłby mnie w bazie... Widzi pan, Bryant, Waters obarczył mnie zadaniem wydostania Czterdziestego Piątego z Ras Assanya. I muszę dokończyć robotę. Kiedy poddałem bazę, widziałem, jak zabili czterech rannych na stanowisku dowodzenia. Nie wiem, kto pierwszy powiedział, że zemsta jest słodka, ale mam zamiar jej popróbować. Rozumie pan?

Grom skinął głową.

– Dobrze, panie pułkowniku. Zrobmy to, jak należy.

Meteorolog, chudy podporucznik o twarzy podobnej do łasicy, uaktualniał wiszącą na ścianie mapę pogody. Silny, północny wiatr na dużej wysokości był już prawie w rejonie, gdzie powinien wiać.

– Ile wynosi prędkość wiatru? – spytał Stansell.

– Osiemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę i rośnie – odpowiedział synoptyk.

Była to zachęcająca odpowiedź.

– Jaka jest wysokość podstawy chmur i przejrzystość powietrza w górach Zagros?

– Ostatnie zdjęcia satelitarne wskazują na nisko położone chmury w dolinach.

Przewiduję pułap chmur od stu pięćdziesięciu do trzystu metrów oraz widoczność w poziomie rzędu trzech do pięciu kilometrów. Po północy podstawa chmur powinna zacząć się podnosić. Iran nie podaje prognoz, a następne dane z satelity będziemy mieli dopiero rano.

To nie była odpowiedź, którą chciał usłyszeć pułkownik. Powiedział więc:

– To ważna sprawa, poruczniku. Proszę być na bieżąco.

Na stanowisko dowodzenia wkroczył Mado. Popatrzył na mapę i oznajmił:

– Niedobrze. Dopóki pogoda się nie poprawi, nie ruszamy.

– Panie generale, porucznik mówi, że podstawa chmur się podniesie. Nie będzie miał żadnych nowych danych aż do rana. Jeżeli mamy wysłać drużynę „Romeo”, musi pan podjąć decyzję teraz. Trzeba zdążyć na ten irański samolot i na wiatry.

– Nie podejmuję decyzji opartych na prognozach poruczników...

– Sir, dowiedzmy się, jak sprawdzały się dotychczasowe prognozy porucznika. Spytajmy pilotów uczestniczących w ćwiczeniach obrony powietrznej.

Mado nie odpowiadał, ale Grom rozmawiał już przez telefon z centrum operacyjnym ćwiczeń. Odłożył słuchawkę i oznajmił:

– Mówią, że porucznik jest świetny.

Zapadła pełna napięcia cisza. Stansell przypomniał sobie lekcję, jakiej nauczył go Waters – trzeba słuchać, co mówią młodzi oficerowie i ufać, że dobrze wykonują swoją pracę. Musiał jednak przekonać Mado.

– Sir, czy możemy porozmawiać prywatnie?

Kermanshah, Iran

Mary usłyszała zbliżające się korytarzem kroki strażników.

– Przestań się trząść – nakazała sobie na głos. – Nie pozwól Mokhtariemu posługiwać się strachem... – Usłyszała, jak otwierają się drzwi celi doktora. Czy ona miała być następna? Usłyszała głuchy odgłos rzucanego na ziemię ciała i skrzyp zamykanych drzwi.

Skuliła się i przycisnęła ucho do ściany. Po chwili wystukała wiadomość. Odpowiedź nie nadeszła, ani od razu, ani później.

Baza lotnicza Incirlik, Turcja

– To ja jestem dowódcą połączonych sił operacyjnych, pułkowniku – przypomniał

Mado. – Do mnie należy podjęcie decyzji o rozpoczęciu misji lub jej wstrzymaniu. – Generał chodził w tę i z powrotem po małej sali odpraw na tyłach stanowiska dowodzenia.

Rupert jeszcze nigdy nie widział Mado w takim stanie. Do tej pory był on zawsze co najmniej spokojny.

– Wiem o tym, sir – odpowiedział pułkownik. – Jednak jako dowódca misji mam ją dla pana przeprowadzić i oszczędzić panu zajmowania się szczegółami. W tej chwili niektóre z owych szczegółów zmieniły się, co znaczy, że musimy na nowo ocenić sytuację. Powodem przelotu przez góry na małej wysokości miało być krycie się przed nieprzyjacielskim radarem. Jednak stacja radarowa w Maragheh nie pracuje, co otwiera nam wolny korytarz. Nie musimy lecieć nisko, żeby się przed nią kryć. Możemy równie dobrze lecieć ponad powłoką chmur, jeżeli zajdzie taka konieczność, a mimo to cały czas wykorzystywać góry jako zasłonę terenową...

– Pułkowniku, nie niszczyć planu, który został już dawno starannie opracowany i zaaprobowany przez mojego dowódcę.

Stansell tłumaczył sobie jednak postawę Mado inaczej – generał nigdy nie brał udziału w walce; nigdy nie doświadczył bitewnego zgiełku i chaosu, jaki potrafił zrujnować najlepsze z planów i który powodował nieustanne zmiany sytuacji oraz wymuszał nowe decyzje. Mado stał się typowym oficerem sztabowym, biurokratą grającym w polityczne gierki na korytarzach i w gabinetach Pentagonu. Cóż, w tej chwili to Stansell musiał rozegrać polityczną grę, bo inaczej Task Force Alpha pozostanie na lotnisku w Incirlik.

– Sir, wie pan, że niezależnie od tego, co zrobimy, będą prowadzone przesłuchania w Kongresie. – Rupert mówił z absolutną pewnością w głosie. – Jak to będzie wyglądało dla gromady niekompetentnych senatorów, kiedy stwierdzą, że nie zareagowaliśmy na lukę w sieci radarowej irańskiej obrony powietrznej? – Mado już go słuchał. – Im agresywniej się zachowamy, tym lepiej to odbiorą. Gdy próbowaliśmy uwolnić zakładników z ambasady w Teheranie w 1980, misja się posypała, kiedy wylądowali na tym pustynnym irańskim pasie startowym. A jednak większość jej uczestników wyszła na bohaterów, dzięki temu, że przynajmniej próbowali. Całą złość opozycji przejął na siebie Carter...

– Tak, ale teraz sytuacja jest inna. Czyżby Mado słabł?

– A który to zrozumie? – naciskał Stansell. – Do licha, przecież Eisenhower znał się na rzeczy, podejmując w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym decyzję o inwazji Normandii na podstawie przewidywanej zmiany pogody. Wiedział, że porażka przyniesie mu osobistą krzywdę, jednak gdyby siedział i nie spróbował, byłby to jego koniec. I koniec inwazji. Zebrał się na odwagę i okazało się, że postąpił

słusznie. A później został prezydentem Stanów Zjednoczonych...

Wyraz twarzy Simona Mado powiedział Stansellowi, że uderzył w odpowiednią strunę. Pułkownik kontynuował więc presję.

– Proszę pomyśleć, jak to będzie wyglądało, kiedy się wycofamy, pan stanie przed komisją Kongresu, a pogoda się poprawi zgodnie z prognozą zdolnego podporucznika; w dodatku ja mu zawierzyłem. Czy to nie ironiczne, panie generale?

– Wprawdzie pogoda nie jest tu decydującym czynnikiem dzięki temu, że stacja radarowa nie pracuje, jednak oni nie będą tego wiedzieć. Tego nie rozumieją.

Mado odwrócił się i ruszył na stanowisko dowodzenia. Nadeszła jego chwila i zagrał swoją rolę tak dobrze, jak tylko mógł.

– Sprowadzimy naszych jeńców do domu – oznajmił. – Status AWACS-a?

– Czuwa w założonym rejonie. Melduje, że radar w Maragheh nadal milczy – padła odpowiedź.

– Dobrze. Kiedy irański samolot ma wylądować w Rezayieh? – To za tym samolotem miała polecieć Kowalski z rangersami na pokładzie.

– Za godzinę, sir.

– Pogoda?

– Bez zmian.

– Panowie, wykonujemy misję. Proszę przekazać C-130 rozkaz startu. – Generał stał wyprostowany, niemalże na baczność. Stansell zauważył, że Mado lekko trzęsą się ręce. Ale co w tym niezwykłego?

Rangersi w pełnym rynsztunku bojowym czekali już w dwóch liniach, gotowi wmaszerować na pokład czekającego przed hangarem C-130. Każdy z nich dźwigał około pięćdziesięciu dodatkowych kilogramów. Gregory z Bryantem nadjechali jeepem. Dowódca batalionu wyskoczył, pokazując palcem na Trimlera. Grom pokazał kapitan Kowalski i jej załodze, żeby wsiadały wraz z nim do kabiny pilotów.

– Bob – odezwał się Gregory, odpowiadając Trimlerowi na salut – wykonujemy misję. Jednak najpierw chcę przemówić do żołnierzy. – Uśmiechnął się do młodego kapitana. – Niech pan się nie przejmuję, nie będę mówił długo. – Podpułkownik wspiął się na opuszczoną z tyłu C-130 rampę, żeby wszyscy go widzieli i słyszeli. – Jeżeli do tej pory tego nie wydedukowaliście – odezwał się donośnie, możliwie niskim głosem – to macie trociny w głowach. Mamy wyzwolić naszych jeńców przetrzymywanych w Iranie. My, Trzeci Batalion Siedemdziesiątego Piątego Pułku. To nie będzie łatwe ani nie przebiegnie dokładnie tak, jak ćwiczyliśmy. Walka nigdy taka nie jest. Najprawdopodobniej wszystko zamieni się w wielkie gówno i właśnie wtedy będziecie mieli okazję udowodnić, kim jesteście. Ale obiecuję wam jedno:

będę tam, żeby was stamtąd wydostać. Atakujemy jak przystało na rangersów i wycofujemy się, jak przystało na rangersów. Powodzenia i – dobrego polowania. – To powiedziawszy, Gregory zeskoczył z rampy, a jego żołnierze zaczęli wchodzić na pokład transportowca.

Grom siedział już w kabinie pilotów herculesa i rozmawiał z załogą.

– Żadnych zmian, zróbcie to tak, jak ćwiczyliśmy. Wasze oznaczenie kodowe – „Łotr Jeden Jeden”. AWACS, który będzie was śledził, to „Promień Pięć Jeden”. Częstotliwości takie, jak podano na odprawie. – Bryant popatrzył na cztery kobiety. – Uruchamiacie silniki za piętnaście minut, start o pełnej godzinie.

– Grom, niech pan wezwie tu Hanka – poprosiła Kowalski. – Sierżant sztabowy Hank Petrowicz był dowódcą ładowni herculesa. – Przekażę mu wszystko.

Bryant zszedł do ładowni i powiedział Petrowiczowi, że jego dowódca go wzywa. Popatrzył na siedzących w dwóch rzędach rangersów, po jedenastu wzdłuż każdej burty samolotu. Dowódca zrzutu i Trimler stali jeszcze na tylnej rampie i rozmawiali z podporucznikiem Jamisonem. Wtedy po rampie wspięła się olbrzymia postać, uzbrojona po zęby, z plecakiem objającym się z przodu o kolana. Kamigami. Skłonił głowę w stronę oficerów i zajął ostatnie wolne miejsce z prawej strony, najbliższej kabiny pilotów.

Grom, kiedy go zobaczył, od razu poczuł się spokojniejszy.

Stansell siedział na stanowisku dowodzenia koło Mado. Czekali. Zamontowany przed nimi głośnik odezwał się:

– Ziemia – tu Łotr Jeden Jeden, uruchamiam silniki. – Mówiła kapitan Lydia Kowalski.

– Potwierdzam, Łotr Jeden Jeden – odparł kontroler. – Masz pozwolenie na uruchomienie silników. Kołuj, kiedy będziesz gotowa.

– Potwierdzam, Ziemia.

– Dobrze – skomentował Stansell. – Mówią jak na ćwiczeniach. – Nerwy Mado dawały o sobie znać – zaczęły mu drżeć kąciki ust.

– Wieża, tu Łotr Jeden Jeden. Zatrzymałam się przed pasem.

– Potwierdzam, Łotr Jeden Jeden. Kołuj na pozycję i czekaj. Mado pokręcił głową.

– Dlaczego to idzie tak wolno? – zapytał.

– Na razie wszystko o czasie – uświadomił mu Stansell. Z wieży:

– Łotr Jeden Jeden – masz pozwolenie na start.

– Ruszam. – Kowalski znowu odpowiedziała zwykłym tonem, jak gdyby wykonywała jeden z rutynowych lotów.

– Uruchomić zegar – polecił Rupert. – Dokładnie o pełnej godzinie, o szesnastej

Zulu.

Nastąpiła godzina Zero – rozpoczęcia misji.

Rozdział trzydziesty siódmy

Godzina Zero plus 1

Pentagon, Waszyngton

– Proszę o uwagę – odezwał się głośnik w Narodowym Centrum Dowodzenia Wojskowego w Pentagonie, uciszając liczne prywatne rozmowy. – Operacja „Wojownik” rozpoczęła się o szesnastej Zulu.

Cunningham zobaczył, jak zegar mający odmierzać czas misji miga szybko cyframi, aż ustawił się na właściwej godzinie. Na głównym zegarze była siedemnasta jeden Zulu, to znaczy czasu Greenwich. Na cyfrowym zegarze misji pojawiło się 01:01, czyli godzina Zero plus jedna godzina i jedna minuta. A zatem, system dowodzenia i kontroli spóźnił się o sześćdziesiąt jeden minut w stosunku do rzeczywistości – pomyślał generał. A przecież nie wystąpiły żadne problemy; nie było też nadzwyczajnego przeciążenia łącz telekomunikacyjnych. Odkąd tylko Task Force Alpha rozpoczęła korzystanie z dostępnego jej satelitarnego systemu łączności, szef sztabu Sił Powietrznych będzie znajdował się w ciągłym kontakcie z Mado i wszystko powinno nabrać odpowiedniego tempa. Ciągłe musimy polegać na ludziach i liczyć na to, że dobrze wykonają powierzoną im pracę, myślał Cunningham. Ale czy wybrałem odpowiednich ludzi? Czy są w stanie wywiązać się ze swoich zadań? Cóż, w tej chwili już za późno na takie rozważania.

Zmierzch rozejrzał się po sali. Głowy nachyliły się nad przygotowanymi przez Mado grubymi księgami opisującymi szczegółowo planowany przebieg misji. Dokumenty pootwierane były na stronie dotyczącej godziny Zero, na której wymienione były cele do osiągnięcia, podejmowane dla ich realizacji działania, uczestnicy. W założeniu. Od razu pokazują swoją niekompetencję, pomyślał generał. Obejrzał się jeszcze dalej i zajrzał do przeszklonego stanowiska dowodzenia. W fotelu swojego szefa siedział tam samotnie prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Rozmawiał przez telefon. Pewnie informował Biały Dom, że już się dawno zaczęło.

Cóż, prezydent miał rację – w tej chwili obecność Cunninghama nie była do niczego potrzebna. Skinął więc na adiutanta.

– Dick, niech generał Sims śledzi za mną przebieg operacji – polecił. Wyszedł z sali, kierując się do swojego gabinetu. To będzie długi dzień, pomyślał. Mado,

sprawdzimy ostatecznie, czy masz wszystko, czego potrzeba prawdziwemu dowódcy.

Dziwne, że podobna myśl nawet nie przyszła mu do głowy w związku z pułkownikiem Rupertem Stansellem.

Południowo-wschodnia Turcja

– Promień Pięć Jeden, tu Łotr Jeden Jeden. Jak mnie słyszysz? – odezwała się przez radio drugi pilot samolotu Lydii Kowalski, podporucznik Brenda Iverson.

– Pięć na pięć – odparł Promień, czyli AWACS. – Powinniśmy mieć twój cel za dwadzieścia minut. – Komunikaty brzmiały jak podczas zwykłej służby w obronie powietrznej.

– Sue, za ile punkt początkowy? – spytała Lydia przez interkom. Nawigator, Sue Zack, odpowiedziała, że za siedemnaście minut. – Powinno być dwadzieścia. Oni zbyt długo zastanawiali się nad decyzją i o mało nie pokpili sprawy. – Mówiąc o "onych" kapitan miała na myśli generała Mado. Nie uważała go za godnego szacunku przełożonego.

Cel, ku któremu kierował ich AWACS, był irańskim samolotem pasażerskim. Kiedy wystartuje on z Rezayieh, hercules Lydii miał wlecieć za niego. Plan zakładał krążenie w pobliżu granicy irańskiej sześćdziesiąt pięć kilometrów od Rezayieh. AWACS śledził ruch na tamtejszym lotnisku już od dziesięciu dni i wiedział, co kiedy startuje i ląduje. Kiedy kontroler na pokładzie E-3 C – zmodyfikowanej wersji Boeinga 707 zaprojektowanej dla potrzeb Powietrznego Ostrzegania i Kontroli – Airborne Warning And Control, skąd skrót AWACS – stwierdzi, że nadeszła odpowiednia chwila, poprowadzi C-130 nad terytorium Iranu. Tak żeby spotkał się on ze startującym z Rezayieh samolotem pasażerskim. Ponieważ załoga herculesa nie ćwiczyła tego z kontrolerami AWACS-a, zadanie nie było proste.

– Łotr, twój cel zajmuje pozycję – zameldowano z AWACS-a. – Czy możesz ją osiągnąć w ciągu ośmiu minut? – Na pokładzie AWACS-a znajdował się także i tłumacz, który śledził rozmowy radiowe prowadzone z lotniska w Rezayieh. Pilot irańskiego samolotu poprosił o zezwolenie na start do Bandar Abbas.

Kowalski spytała przez interkom:

– Sue, jak daleko?

– Sto dziesięć kilometrów. Dwanaście, dwanaście i pół minuty.

Kapitan odpowiedziała kontrolerowi AWACS-a spokojnym głosem, jak gdyby była pilotem pasażerskiego samolotu lecącego, dajmy na to, z Kansas City do St. Louis.

– Nie ma problemu, Promień. Może trochę się spóźnimy. Rozpoczynam wcześniejszą redukcję wysokości. – Kowalski popchnęła drążek sterowy do przodu i zwiększyła obroty silników. – Ile jeszcze, Sue?

– Dziesięć i pół minuty – odparła nawigator. – Ponad dwie minuty opóźnienia. Te dupki wysłały nas za późno!

– Jeszcze nie wypadliśmy z gry – uspokoiła Lydia. – Ile czasu możemy nadrobić nie skręcając za nim nad Rezayieh?

Sue przekręciła swoim komputerem, czyli tarczą współpracującą z suwakiem.

– Nieco ponad minutę. I tak będzie o pięćdziesiąt sekund za późno. Nie zdążymy na ten samolot!

Pilot miała jednak inne zdanie w tej sprawie. Pędziła swoją maszyną na maksymalnej prędkości ufając, że nie odpadną skrzydła. Osiągnęli sześćset trzydzieści kilometrów na godzinę. Kowalski musiała schodzić pod takim kątem, żeby dolecieć do celu. Miała zamiar przelecieć nad „punktem rozpoczęcia” ciągle się zniżając, i wy poziomować lot tuż nad wierzchołkami gór, kiedy wleczą nad terytorium Iranu. Cofnęła odrobinę dźwignie przepustnic, kiedy stary transportowiec zaczął dygotać. Hercules kapitan Kowalski, wyprodukowany przez firmę Lockheed, rozpoczął służbę w 1966 roku w Wietnamie. Był starszy od wielu żołnierzy, którzy lecieli na jego pokładzie. Przez długie lata transportowiec służył dzielnie w Siłach Powietrznych, wożąc ładunki i zrzucając niezliczone ilości spadochroniarzy podczas najrozmaitszych ćwiczeń. Teraz brał udział w rzeczywistej misji i jego pilot domagała się od niego, żeby nie rozpadł się jeszcze ten jeden raz.

– Leć, ptaszku... – ponagliła go.

Rangersi siedzący w tyle samolotu rozejrzeli się niepewnie, słysząc dziwne dźwięki, jakie wydawał z siebie płatowiec.

– Chyba usłyszałem, jak zaczyna się rozlatywać... – odezwał się jeden z żołnierzy, na tyle głośno, że doszło to do uszu Baulcka.

– Zamknij się! – warknął. – Kowalski wie, co robi. – Kapitanie! – zawołał. – Czy nie czas nakładać kamuflaż?! – Trimler uniósł kciuki i rangersi szybko przekazali sobie polecenie. Powyciągali grube sztyfty farby i zaczęli malować się na zielono i czarno.

– Facet, świetnie wyglądasz w kolorze! – odezwał się zadziorny, czarny sierżant do siedzącego koło niego białego kaprala.

– Lepiej tak niż czarno na białym!... – odciął się kapral.

– Łotr – odezwał się kontroler z AWACS-a. – Zawracaj, osiągnęłaś punkt początkowy. Kierunek dwa-siedem-dwa. Cel będzie przed tobą, sześćdziesiąt pięć kilometrów.

– Potwierdzam – odpowiedziała drugi pilot. Ostatni komunikat był zaplanowanym fałszerstwem, mającym na celu zmylenie ewentualnego nasłuchu nieprzyjaciela. Udali, że skręcają na zachód, z powrotem w głąb Turcji. Kowalski wyciągnęła rękę i wyłączyła identyfikator IFF. Od tej pory Irańczycy będą mogli wykryć herculesa tylko, jeśli złapią odbicie wiązki od płatowca, bez żadnego wspomaganie. C-130 pędził przed siebie, zachowując dotychczasowy kierunek, już nad terytorium Iranu.

Incirlik, Turcja

Mado wisiał nad głową Kontrolera Działań Nadzwyczajnych stanowiska dowodzenia. Dwudziestoletnia dziewczyna przyszyła sobie tydzień wcześniej naszywki starszego kaprała i jeszcze nigdy w życiu nie widziała generała, nie mówiąc już o rozmowie z kimś takim. A teraz mężczyzna noszący na naramiennikach polowego munduru po dwie gwiazdki generała dywizji poświęcał jej całą swoją uwagę, podczas gdy deszyfrowała meldunek z krążącego sześćset pięćdziesiąt kilometrów na wschód AWACS-a. Palce kaprała przesuwaly się po kartce, odnajdując grupę kodową, a następnie, w kolumnie po prawej, właściwe znaczenie tekstu.

– Potrzebny mi ten meldunek!... – ponaglił Mado.

– Panie generale, zapewne chciałby pan to zobaczyć – odezwał się Stansell, odciągając jego uwagę. Pułkownik odnalazł w teczce mapę alternatywnej trasy, którą narysował Grom na wypadek zmniejszonej aktywności radarowej ze strony Irańczyków. – Ta trasa pozwoli nam zaoszczędzić prawie trzy minuty...

Generał przyjrzał się uważnie mapie i odpowiedział:

– Nie. Zostajemy przy oryginalnej wersji planu. Pozwoli nam to kryć się za nierównościami terenu w przypadku uruchomienia stacji radarowej w Maragheh. Wiele nie zyskamy na tych trzech minutach. – Kontroler zdążyła przez ten czas zakończyć dekodowanie wiadomości z AWACS-a i sprawdzić, czy się nie pomyliła. Podała kartkę Mado, ciesząc się, że się od niej odczepi.

– Niedobrze – mruknął generał. – Kowalski przeleciała nad punktem początkowym o dwie minuty za późno. Może powinniśmy wydać jej rozkaz odwrotu...

Stansell przeczytał wiadomość i popatrzył na zegarek.

– Myślę, że jest już za późno, panie generale. Zanim odbierze rozkaz odwołujący ją, albo będzie już w towarzystwie tego samolotu pasażerskiego, albo z powrotem nad Turcją z powodu samodzielnego przerwania misji. – Widać było, że Mado nie

jest w stanie podjąć decyzji.

– Sir, proszę sprawdzić czas i przeliczyć. Kowalski minęła punkt początkowy siedem minut temu. Leży on sześćdziesiąt pięć kilometrów od Rezayieh. Za jakieś dwie minuty osiągnie samolot pasażerski. Rozkaz odwoławczy musimy przekazać za pośrednictwem AWACS-a. Jakikolwiek rozkaz pan wyda w tym momencie, zostanie on wyprzedzony przez bieg wydarzeń.

Mado gapił się jednak na Stansella, ciągle się wahając.

– Nasz system dowodzenia i kontroli nie umożliwia nam podejmowania decyzji w czasie rzeczywistym ani nawet zbliżonym do rzeczywistego. – Pułkownik mówił dalej, walcząc o każdą sekundę opóźnienia. – Znowu powraca odwieczny problem, sir. Dowódca musi polegać na swoich ludziach i liczyć na to, że podejmują właściwe decyzje, ponieważ po prostu nie ma możliwości kontrolowania tego, co każdy robi. – Generał tylko patrzył. – Panie generale, jeśli pan pozwoli, spytam AWACS-a o aktualny status misji, podczas kiedy kontroler zaszyfruje rozkaz odwoławczy. – Stansell wpadł na pomysł. – Jeśli nie spodoba się panu to, czego się dowiemy, podpisze pan rozkaz i wtedy prześlemy go.

Mado nie miał najmniejszej ochoty, żeby jego podpis na rozkazie odwołującym misję udowodnił komisji Kongresu, kto go wydał. Ani Cunninghamowi. Rupert nachylał się już tymczasem nad mikrofonem. Wywołał AWACS-a:

– Promień Pięć Jeden, podaj status ostatniej misji...

Północno-zachodni Iran

– Łotr Jeden Jeden, skreć w prawo dziesięć stopni, cel na twojej jedenastej, trzynaście kilometrów. – Kontroler z AWACS-a podał załodze herculesa kierunek, po którym szła najkrótsza droga do miejsca, gdzie znajdzie się pasażerski samolot. Dopiero później C-130 skreśli w stronę jego ogona. Brenda Iverson, nawigator, potwierdziła odebranie nowego kierunku. Kobiety ćwiczyły w bazie Nellis odnajdywanie drugiego herculesa przy pomocy AWACS-a „Czerwonej Flagi”. Wielokrotnie zbliżały się do celu, zgodnie z otrzymanymi zamiarami, a po dostrzeżeniu go same manewrowały tak, aby znaleźć się za jego ogonem. Zazwyczaj ćwiczyły zbliżanie się do celu od tyłu. Prosto było to zrobić, mając większą od niego prędkość i lecąc pod odpowiednim kątem. Teraz jednak miało być inaczej, o wiele trudniej. Zbliżały się bowiem do irańskiego samolotu od przodu.

Kowalski wyciskała z C-130 czterysta dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę – o wiele więcej niż w czasie ćwiczebnych spotkań. Nigdy nawet nie leciały z taką prędkością na małej wysokości. Stary hercules protestował.

– Temperatury wlotów turbin są za wysokie – poinformowała mechanik. Wskazówki termometrów minęły już liczbę 500. – Przegrzewamy się. Trzeba będzie się wycofać.

– Jeszcze nie – odparła Kowalski.

Lydia i Brenda wypatrywały w ciemności świateł pozycyjnych lub ostrzegawczych irańskiej maszyny.

– Brak kontaktu radarowego – poinformowała nawigator. Sue Zack próbowała znaleźć transportową wersję samolotu fokker fiendship przy pomocy swojego APN-59. Miała nadzieję, że śmigła dwusilnikowego górnopłata będą odbijać wystarczającą część padającej na nie wiązki radarowej. Na razie jednak bez rezultatu.

– Widzę go! – zawołała kapitan przez interkom. Zobaczyła migające w ciemności czerwone światło antykolizyjne. – Szukaj ich dalej, Sue – poleciła. – Potrzebna mi odległość. Sprawdź jeszcze raz wszystkie światła. Mamy być zaciemnieni. – Wydając komendy, Kowalski czekała na informacje z AWACS-a.

– Cel na twojej dziewiątej, dziewięć kilometrów – podano z Promienia. – Skręć w lewo czterdzieści stopni.

– Co jest? – odezwała się drugi pilot, zaniepokojona kierunkiem, jaki miały obrać. – Lecimy prosto na niego. – Czekały na następne polecenie.

– Kontakt – odezwał się powietrzny kontroler. – Sześć i pół kilometra. – Teraz hercules znajdował się w takim położeniu, że jego zamontowany na dziobie radar wykrył cel.

– Podawaj mi na bieżąco odległość, Sue – powiedziała Kowalski. – Zdaje mi się, że AWACS prowadzi nas w maliny. Przelecimy Irańczykowi przed nosem. – Próbowała sobie wyobrazić całą sytuację z góry.

– Straciłam go po lewej stronie ekranu, przy czterech i pół kilometra – zameldowała Sue.

– Łotr, skręć dwadzieścia stopni w lewo – polecił kontroler. Wezwanie to przyszło za późno, a podany kąt był zbyt mały. Źle je naprowadzono.

Kowalski podjęła decyzję. Oceniała odległość od fokkera i obserwowała migające, ostrzegawcze światło maszyny. Znajdowało się ciągle na lewo od C-130, na jego dziesiątej. Żeby znaleźć się za Irańczykiem, potrzebowały miejsca. Skręciła więc bardziej w lewo, pochylając samolot na skrzydło i odwracając się od celu.

– Judy! – zawołała przez radio. Imię to oznaczało w tym wypadku, że pilot przejmuje inicjatywę i manewruje na własną rękę, żeby dopaść celu.

Była to słuszna decyzja. Niemal natychmiast Lydia skręciła z powrotem w prawo, dodając gazu. Temperatury wlotów turbin przekroczyły pięćset pięćdziesiąt stopni. Teraz hercules kierował się łukiem ku ogonowi fokkera, szybko zmniejszając

odległość. Kowalski zamierzała zacieśnić zakręt jeszcze bardziej, przeciążając maszynę siłą ponad dwóch g. Obawiała się jednak, że leciwy płatowiec może tego nie wytrzymać.

– Dawaj, staruszkule – ponagliła go.

Mały transportowy fokker ciągle przesuwiał się z lewa na prawo, znajdując się wprost przed C-130. Kowalski oceniała, że leciał z prędkością około dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę i był wciąż ustawiony pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni do ich kierunku. W tej chwili pilot leciała w zasadzie zupełnie na oślep. Musiała zaufać swoim instynktom.

– Mam kontakt radarowy! – zawołała Sue. Nie była w stanie zachować takiego spokoju, jak jej dowódca. – Kilkaset metrów!

Okna wypełnił ciemny kształt, przelatując tuż przed nimi.

– Minęliśmy go! – zawołała Lydia. Teraz zamierzała znaleźć się wreszcie prosto za ogonem fokkera. Pociągnęła za drążek, unosząc wysoko dziób samolotu. Leciwała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do Irańczyka. Skręciła o sto dziesięć stopni w prawo, opuszczając dziób. Teraz miała gonić fokkera. C-130 zbliżył się już do punktu, w którym nie mógłby się wyżej wznosić i zwałiłby się w dół.

Rangersi siedzący w ładowni pozostali na miejscach tylko dzięki pasom, jakimi byli cały czas przypięci. Czuli, że samolot kładzie się to na to skrzydło, to na tamto. Nigdy jeszcze przedtem nie doświadczali czegoś podobnego. W ładowni poderwał się kurz, a wszystko, co nie było przymocowane, zaczęło turlać się po podłodze i wpadać na ludzi. Tylko Hank Petrowicz nie miał zapiętych pasów i trzasnął w ściankę, rozbijając sobie czoło. Nagle hercules zaczął lecieć prosto i poziomo. Znajdował się poniżej trzystu metrów od fokkera. Udało się na styk.

Dwaj irańscy piloci nie zauważyli czarnego widma, które leciało wprost na nich, z prawej strony. Kamuflaż herculesa wtapiał się w nocne niebo, a wszystkie światła samolotu zostały wyłączone. Świeciły się tylko delikatnie na czerwono przyrządy pokładowe w kabinie pilotów. Trudno przewidzieć, jaka byłaby reakcja Irańczyków, gdyby widzieli, jak za ich ogonem zajmuje miejsce potężny C-130, pędzący z prędkością prawie pięćset kilometrów na godzinę. To powoli w porównaniu z myśliwcami, ale i tak za szybko i za blisko dla pilota, który ostatni raz manewrował w podobny sposób, kiedy jeszcze się uczył.

Dowódca zrzutu odpiął pas i pobiegł, żeby sprawdzić, co stało się z dowódcą ładowni. Krew lała się po twarzy Petrowicza. Hank ciągle był oszołomiony uderzeniem. Dowódca zrzutu zerwał z burty zestaw pierwszej pomocy i powstrzymał krwawienie.

– Bandaż elastyczny powinien wystarczyć – powiedział, opatrując sierżanta.

Dowódca ładowni usiadł na ławie dla spadochroniarzy, założył słuchawki i zameldował się:

– Tutaj wszystko w porządku, pani kapitan. Nie wiedziałem, że nasz ptaszek potrafi takie rzeczy.

– Tym starym pudłem daje się dobrze manewrować – odpowiedziała Kowalski. – To czterosilnikowy myśliwiec – zażartowała. – Słyszałyśmy, że puknąłeś się w główkę? Na pewno nic ci nie będzie?

– Nic. Nie rozbiła mi pani jaj, a to już dobrze. Wyglądam gorzej, niż się czuję. Kapral siedzący obok Baulcka sapnął:

– A pan powiedział, że ona wie, co robi.

– Lepiej, żebyś na to liczył – warknął Baulck.

Powoli napięcie w kabinie pilotów opadło. Kowalski ustawiła maszynę sześćdziesiąt metrów za irańskim fokkerem i odrobinę poniżej niego. Temperatury wlotów turbin opadły do standardowych. Pilot włączyła interkom.

– Przechodzimy na tlen. Czas trochę pooddychać i wypuścić gazy. – Kiedy nastąpi dekompresja kabiny na dużej wysokości, we krwi żołnierzy nie powinno być azotu. Nie było także sensu ryzykować nagłego przypadku kolki.

– Dziękuję, panie Lockheed – dodała jeszcze Lydia sama do siebie.

Incirlik, Turcja

Mado gapił się na Stansella. AWACS nie odpowiedział na pytanie pułkownika o status Łotra Jeden Jeden; kazał jedynie czekać. W tej chwili kontroler odszyfrowywała kolejny komunikat z AWACS-a.

– Przesłać rozkaz odwoławczy – warknął Mado, podjąwszy wreszcie decyzję. Podpisał rozkaz imieniem i nazwiskiem.

– Lepiej zaczekajmy, aż kapral rozkoduje tamto – zaproponował Stansell, ciągle grając na czas. Generał znowu nachylił się nad dziewczyną, chcąc, żeby się pospieszyła. Nie miała jednak zamiaru się pomylić.

W końcu wiadomość została odszyfrowana. Mado wyrwał młodej kobiecie kartkę z ręki. Odwrócił się i przyjrzał uważnie tablicy stanu misji, na której wypisane były wszystkie samoloty Task Force Alpha. Każdy z nich nadawał się do wykonania zadania i był gotowy do startu.

– Przepraszam, sir – odezwała się dziewczyna. – Muszę wrzucić tę kartkę do torby do spalania, kiedy pan skończy – przypomniała. Mado oddał wiadomość i odszedł. Kapral wygładziła papier i podała go Stansellowi. Pułkownik przeczytał jednowersowy meldunek:

SAMOLOT – CEL OSIĄGNIĘTY O 1738 ZULU

Ledwo się udało, pomyślał Rupert, oddając wiadomość dziewczynie, wraz z rozkazem odwołania misji, którego Mado omal nie wysłał.

– Proszę przekazać meldunek o osiągnięciu celu Centrum Dowodzenia w Pentagonie – polecił Stansell i wyszedł za generałem. Odnalazł go przy ekspresie do kawy. – Sir, teraz będziemy czekać – powiedział pułkownik. – Minie co najmniej pięć godzin, zanim dowiemy się czegokolwiek nowego. Sugerowałbym, żeby spróbował pan trochę odpocząć... W tym pomieszczeniu z tyłu są prycze. Zawiadomię pana, kiedy tylko nadejdzie jakakolwiek wiadomość.

Mado zaprzeczył ruchem głowy.

– Muszę trzymać rękę na pulsie.

Stansell poszedł więc ku pryczom, kręcąc głową. Był przekonany, że zanim znajdą się na ziemi, w Iranie, generał dostanie rozstroju żołądka. Obejrzał się przez ramię. Mado chodził nerwowo w tę i z powrotem, wydeptując ścieżkę w podłodze.

Rozdział trzydziesty ósmy

Godzina Zero plus 2

Zachodni Iran

Sue Zack pochylała się nad stołem nawigacyjnym umieszczonym po prawej stronie. Zaciągnęła wokół siebie zasłonę służącą do zaciemnienia i zapaliła lampę, żeby móc pracować w pograżonej w ciemności kabinie. Przy każdym ruchu przeszkadzał jej przewód tlenowy; odpychała go na bok.

– Pilocie, tu nawigator – odezwała się przez interkom, jak zawsze, zgodnie z regulaminem. – Są kłopoty.

– Mów – odebrała Kowalski.

– Nie ma wiatru wystarczającego do zrzutu rangersów zgodnie z planem. Wieje z północy, jednak ze zbyt małą siłą. Gdybyśmy byli wyżej, może na dziesięciu i pół tysiącach, a nie na ośmiu i pół...

– Hank – odezwała się Lydia. – Słyszysz? – Dowódca ładowni odchrząknął. – Sprowadź tu do nas kapitana Trimlera i sierżanta Baulcka.

– To potrwa parę minut; muszą pozdejmować wyposażenie.

Kilka minut później dwaj mężczyźni nachylali się nad panią nawigator. Tłumaczyła im, że siła wiatru nie jest wystarczająca do przeprowadzenia zrzutu zgodnie z planem.

– Jak blisko musielibyśmy podlecieć, żeby udało wam się osiągnąć strefę lądowania? – zapytała.

Trimler przyjrzał się mapie, próbując obliczyć, jak daleko zalecą przy obecnej sile wiatru. Umysł Baulcka pracował znacznie szybciej.

– Osiemdziesiąt kilometrów na północ stąd – odpowiedział. – Przy tej wysokości możemy pozostawać w powietrzu przez około godziny, a nasze spadochrony lecą z prędkością poziomą czterdziestu kilometrów na godzinę. Musimy jednak przelecieć nad wysokimi górami, a w miarę naszego opadania wiatr będzie coraz słabszy. – Popatrzył na wiszący nad głową nawigator wskaźnik termometru.

– Czy to jest temperatura na zewnątrz?

– Tak, trzydzieści pięć stopni Celsjusza poniżej zera – odpowiedziała Zack.

Podła Trimlerowi dodatkowe słuchawki i wyjaśniła Lydii całą sytuację. Kowalski pomyślała chwilę, chcąc podjąć właściwą decyzję. To ona, jako dowódca samolotu,

musiała to zrobić.

– Bob, możemy przewieźć was na odpowiednie pozycje, ale wtedy musimy opuścić ten samolot, za którym się chowamy – oznajmiła. – To znaczy, że irański radar obrony powietrznej może nas znaleźć. Nie będę przewidywać, co stanie się dalej.

– W takiej sytuacji jak teraz nie możemy skakać – odpowiedział Trimler. – Jesteśmy po prostu za daleko. – Kowalski wywołała AWACS-a:

– Promień, tu Łotr. Jak tam ruch w interesie? – Miała nadzieję, że kontroler będzie na tyle bystry, żeby zrozumieć, że pytają go o status irańskiej obrony powietrznej.

– W tej chwili nie ma żadnego ruchu – odpowiedział zdumiony głos. Kapitan wzięła głęboki oddech i poświęciła swoich ludzi:

– Podaj zagrożenie – powiedziała. Było to już inaczej brzmiące pytanie i każdy, kto ewentualnie prowadzi nasłuch ich częstotliwości, zwróci na nie uwagę. Jeśli nie dojdzie od razu do trafnych wniosków, to przynajmniej zrozumie, że dzieje się coś niezwykłego. Pauza, jaka nastąpiła w tym momencie, zdawała przeciągać się w nieskończoność.

– W tej chwili nie ma zagrożenia – odparł kontroler.

– Mam nadzieję, że to znaczy, że wszyscy Irańczycy śpią – skomentowała pilot przez interkom. – Zrzucimy was osiemdziesiąt kilometrów na północ od Kermanshah. Sue, znajdź punkt, w którym możemy odłączyć się od tego fokkera i skrócić na zachód, do nowego punktu wypuszczenia spadochroniarzy. Po dokonaniu zrzutu polecimy prosto na zachód, do granicy. Zejdziemy tuż nad ziemię i wymkniemy się na małej wysokości na terytorium Iraku. Iracka obrona powietrzna jest pewnie nie lepsza niż irańska. Jeżeli Irańczycy nas wykryją, pomyślą, że jesteśmy z Iraku i wracamy do domu.

– Potwierdzam – odparła nawigator, przysuwając sobie mapę. – Dowódco ładowni, ostrzeżenie dziesięciu minut – powiedziała. Następnie dodała: – Punkt skrętu za jedną minutę.

– Hank, upewnij się, że wszyscy są na tlenie, żebym mogła rozhermetyzować samolot – powiedziała Kowalski.

Zack pracowała dalej przy mapie. Kobiety poczuły, że w ładowni rangersi zaczynają się przemieszczać. Przygotowywali się do skoku.

– Pilocie, dowódco ładowni. Macie pozwolenie na rozhermetyzowanie kabiny.

– Dekompresja kabiny, teraz – oznajmiła kapitan. – Hank, patrz, czy nie wykazują oznak niedotlenienia. – Wiedziała, że na wysokości ośmiu i pół kilometra można mieć zawroty głowy, a nawet zemdleć z powodu niedostatku tlenu. Mechanik pokładowy, sierżant sztabowa Marcia MacIntrye, przełożyła przełącznik na tablicy

umieszczonej nad jej głową.

– Skręcaj w prawo, kierunek dwa trzy zero.... teraz! – zawołała Zack. Kowalski przyjęła nowy kierunek i popatrzyła za znikającym w ciemności irańskim samolotem rejsowym. Zachowywała tę samą prędkość i wysokość co on, mając nadzieję, że może w ten sposób zmylić ewentualny śledzący ich radar.

– Dowódcu ładowni, tu nawigator. Ostrzeżenie sześciu minut.

– Potwierdzam – odparł Petrowicz. – Są gotowi. Wyglądają nawet, jakby zrobiło im się źzej.

– To właśnie komandosi – skomentowała Kowalski. – Uczą ich w szkole spadochroniarzy, że lądowanie na pokładzie samolotu jest niebezpieczne. Dobrze, kabina rozhermetyzowana. Masz pozwolenie na podniesienie wrót i opuszczenie rampy. – Interkom zamilkł na parę chwil.

– Hank – odezwała się znowu pilot – przekaz sierzantowi Baulakowi, że odbieramy sygnały radiolatarni. Wygląda to dobrze, kierunek sto osiemdziesiąt stopni, odległość osiemdziesiąt kilometrów. I życz mu szczęścia. – Lydia zwolniła maszynę do prędkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, przy której wypuszczali spadochroniarzy.

– Baulck mówi, że ma radiolatarnię na swoim odbiorniku i dziękuje.

– Ostrzeżenie jednej minuty – powiadomiła Zack. Czekali. – Trzydzieści sekund... Uwaga, uwaga, uwaga, zielone światło!

Znajdujący się na ogonie herculesa Baulck po prostu wyszedł po rampie w ciemność. Dwudziestu czterech mężczyzn podążyło za nim, w jednosekundowych odstępach. Ostatnim był Kamigami, który odwrócił się jeszcze na moment i pokazał uniesione kciuki.

Wschodnia Turcja

Zgromadzeni na pokładzie AWACS-a kontrolerzy wpatrywali się w poruszający się powolutku po zielonym ekranie radaru punkt, oznaczający Łotra Jeden Jeden i irański samolot cywilny. Dyrektor taktyczny, podpułkownik Leon Nelson, który dowodził częścią załogi znajdującą się w tylnej kabinie E-3C, próbował zachować pewien dystans wobec sprawy i pilnować pozostałych obowiązków. Jednak kiedy wyłączył się panel interkomu na jego konsoli, wyrzucił z fotela pewnego pierwszego sierżanta i zajął jego miejsce. Chciał obserwować przebieg misji, podczas gdy technik będzie naprawiał jego konsolę. Sierżant stanął więc za dobrze zbudowanym Murzynem, który siedział teraz na jego stanowisku. Podoficer nauczył się już, że Nelson jest rozsądnym oficerem oraz że nie gustuje w długich dyskusjach. Sierżant

podłączył swoje słuchawki do długiego kabla prowadzącego do innego gniazda interkomu i z nie słabnącym zainteresowaniem wpatrywał się w ekran.

– Rozłączenie celów – zameldował jeden z kontrolerów. – Łotr Jeden Jeden najwyraźniej oddala się od samolotu-celu i skręca na południowy zachód. – Mężczyźni uważali, co mówią, ponieważ wszystko było nagrywane i odtwarzane po zakończeniu misji wraz z obrazem z ekranu radaru.

– Łotr Jeden Jeden musiał znaleźć się w jakiejś nadzwyczajnej sytuacji, skoro zbacza z zaplanowanej trasy – ocenił Nelson. – Obserwujcie uważnie. – Nelson był dawnym pilotem F-4, podległym Dowództwu Lotnictwa Taktycznego. Przeniesiono go do AWACS-ów, kiedy wycofywano starzejące się myśliwce. Teraz podpułkownik przypomniał sobie ostatnią wymianę zdań z Łotrem i wezwał nawigatora, który śledził pokładowe przyrządy walki elektronicznej. – Czy nastąpiły jakieś zmiany w statusie irańskiej obrony powietrznej? – zapytał Nelson.

– Żadnych. Maragheh nadal wyłączona.

Podpułkownik połączył się teraz z technikami radiowymi prowadzącymi nasłuch irańskiej sieci obrony powietrznej. Ci także nie usłyszeli niczego nowego.

– Panie pułkowniku – odezwał się kontroler – Łotr Jeden Jeden zwolnił do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę i kieruje się teraz prosto na zachód, w stronę Iraku. Och, wygląda na to, że schodzi niżej i nabiera prędkości.

Nelson nastawił interkom na połączenie konferencyjne.

– Uwaga, wszystkie stanowiska – powiedział. – Zachowując obrany kierunek, Łotr wleci w iracką przestrzeń powietrzną. Chcę mieć wszelkie dane zarówno o irańskiej, jak i irackiej sieci obrony powietrznej. – Wyłączył interkom. – O, Boże, macie kłopoty!... – westchnął. Wiedział, że Irakijczycy czuwają.

Zachodni Iran

Łoskot i ostre szarpnięcie czaszy spadochronu podziały uspokajająco. Maski tlenowa, którą miał na twarzy Trimler, przekręciła się nieco i musiał ją naprostować, żeby móc sprawdzić spadochron. Grube rękawice chroniące przed zimnem utrudniały manipulowanie palcami. Czasza była w porządku, kapitan skontrolował więc przewód tlenowy. Dobry. Widział dwa małe światełka pozycyjne na czaszy spadochronu Baulcka, zielone z prawej i czerwone z lewej. Były nieco z przodu, po lewej i poniżej Trimlera. Ściągnął linki służące do manewrowania i uważał, żeby nie podnosić rąk ani dłoni powyżej serca. Zachowanie krążenia w kończynach było w mroźnym powietrzu kwestią zasadniczą. Kapitan wyglądał trochę jak lalkarz, manipulujący wielką marionetką za pomocą sznurków. Formował szyk z Baulakiem,

który będzie leciał pierwszy, prowadząc nawigację dla spadochroniarzy. W końcu, Trimler znalazł się w takim położeniu jak powinien, za i powyżej sierżanta.

– Kontrola stanu – odezwał się Baulck. Każdy z rangersów miał przymocowane do lewego ramienia radio typu MX-360.

Trimler znowu niezdarnie sięgnął do przełącznika. Nie miał zamiaru ryzykować zdjęcia rękawicy i upuszczenia jej. Zameldował się jako pierwszy:

– Romeo Jeden w porządku. – Dwójka nie odzywała się. – Romeo Trzy, kontrola stanu! – ponaglił Trimler. – Czy widzisz porucznika Jamisona? – Kapitan skarcił się w myśli za złamanie dyscypliny radiowej. Nie powinien był pod żadnym pozorem używać nazwiska porucznika.

– Romeo Trzy w porządku. Nie widzę Romeo Dwa. – Trójka zachowała pomimo wszystko dyscyplinę. Następni spadochroniarze zgłaszali się kolejno.

Ponieważ Kamigami skakał jako ostatni, znajdował się teraz najwyżej. Widział przed sobą długą, schodzącą w dół linię światełek. Baulck skręcił nieco w lewo i kolejni rangersi powtarzali manewr w dobrze wyćwiczony sposób. W dole widać było powłokę chmur, urywającą się w pewnym miejscu, oświetloną przez róg księżyca. Kamigami czuł się jak mknący po niebie orzeł. W pewnym momencie z prawej, w dole, mignęły mu dwa samotne światełka. To musiał być Jamison. Sierżant pociągnął za linki, zmniejszając prędkość poziomą lotu oraz szybkość opadania. Sznur światełek zaczął się oddalać.

– Tu Romeo Dwa Pięć, widzę Dwójkę – zameldował Kamigami. Wszyscy rozpoznali jego głos.

– Nie spuszczań go z oczu – polecił przez radio Trimler.

– Prawdopodobnie złe połączenie z tlenem – ocenił pierwszy sierżant. Zidentyfikował problem. Wstrząs spowodowany otwarciem spadochronu Jamisona spowodował odłączenie się przewodu tlenowego od dwóch zielonych butli ze wzbogaconym tlenem powietrzem. Zanim podporucznik zdołał podłączyć przewód na nowo, dostał objawów niedotlenienia. Nie udusił się ani nawet nie stracił do końca świadomości, jednak był półprzytomny i nie mógł racjonalnie działać. Jego umysł stał się otępiały; ogarnęła go dojmująca senność.

– Ocknie się, kiedy zejdziemy niżej – ocenił Kamigami. – Sprowadzę go na właściwy kierunek, kiedy odzyska przytomność.

– Za kilka minut będziemy przelatywać przez chmury – zauważył Baulck. – Zachowajcie kierunek sto sześćdziesiąt pięć stopni, aż wylecicie z chmur. W chmurach hamulce aerodynamiczne na pięćdziesiąt procent.

– Zgubimy Romeo Dwa podczas przelotu przez chmury – stwierdził Kamigami. – Podaj kierunek i odległość od strefy lądowania. – Wyciągnął kompas, jednak przy

próbie otwarcia wieczka przez rękawice upuścił go. Podciągnął kompas na lince, która mocowała go do kieszeni i wreszcie otworzył. Słabe światło księżyca wystarczało, żeby odczytać wskazania na luminescencyjnej podziałce.

– Kierunek jeden siedem pięć stopni, siedemdziesiąt osiem kilometrów – odpowiedział Baulck. Jego odbiornik cały czas otrzymywał dane od radiolatarni.

Kamigami podjął decyzję i powiedział:

– Pozostanę z Dwójką i dołączę do was na ziemi. Nie powinno go znieść z kursu zbyt daleko.

– Będziemy czekać tak długo, jak będzie to możliwe – odpowiedział Trimler. – Jeżeli nas nie będzie, kieruj się na lotnisko. Zachowaj kontakt radiowy.

– Wlatuję w chmury – zameldował Baulck.

Kamigami skręcił ku Jamisonowi. Widział, jak szereg światełek znika jedno po drugim w chmurach. Dopiero będzie ze mnie orzeł, jak się zgubię – pomyślał pierwszy sierżant.

Wschodnia Turcja

– Panie pułkowniku! – zawołał przez interkom jeden z techników radiowych AWACS-a. – Iracka sieć obrony powietrznej namierzyła Łotra Jeden Jeden i zaalarmowała dwie wyrzutnie rakiet ziemia – powietrze. Na razie nie porozumiewali się z lotniskami myśliwskimi.

– Melduję aktywność radarową na terytorium Iraku – odezwał się nawigator czuwający przy systemie walki elektronicznej.

– Czy jest jakaś aktywność po stronie irańskiej? – spytał Nelson. Padły negatywne odpowiedzi. Podpułkownik patrzył, jak radarowe echo oznaczające Łotra Jeden Jeden zbliża się do granicy Iraku. – Długo nad Irakiem nie pożyjecie – pomyślał na głos. – Sierżancie! – krzyknął do stojącego za nim mężczyzny – Wyświetl na ekranie granicę iracko-irańską. – Podoficer nachylił się i wstukał polecenie na klawiaturze. Na ekranie pojawiła się linia wyznaczająca granicę. Nelson sprawdził odczyt prędkości Łotra. – Jeszcze dwadzieścia sześć kilometrów, czyli trzy minuty życia... – ocenił.

– Dowódcy zamordują mnie chyba, jeżeli spieprzę przez to ich plan – mruknął. – Włączył nadawanie i powiedział: – Łotr Jeden Jeden, tu Promień Jeden Pięć. – Zachowywał się jak któryś z kontrolerów. – Mamy dla was interes.

– Potwierdzam, Promień – odparła Kowalski głosem, w którym słychać było nutę wątpliwości.

– Proszę cię, zaufaj mi... – rzucił do siebie pod nosem Nelson. Włączył nadajnik. –

Potwierdzam. Łotr, skręć w prawo na kierunek zero trzy zero. Cel będzie przed tobą, odległość pięćdziesiąt. – Podał kierunek północno-wschodni, przy którym C-130 leciałby wzdłuż granicy, ciągle pozostając na terytorium Iranu. Napięcie, jakie odczuwał, zelżało, kiedy zobaczył, że echo skręca, mniej więcej jeden kilometr przed granicą.

– Promień, tu Łotr. Odpowiedz alfa lima.

Grzeczna dziewczynka, pomyślał podpułkownik. Najpierw słucha poleceń, a potem weryfikuje je. Popatrzył na obowiązującą tabelę odpowiedzi i odnalazł dwuliterową kombinację odpowiadającą „AL”.

– Odpowiedź: papa tango. Twój cel manewruje, oczekuj nowych namiarów za cztery minuty. – Patrzył, jak świecący punkt przesuwa się wzdłuż granicy. – Domyślcie się – mruknął do siebie. Miał nadzieję, że załoga C-130 zrozumie, że chce powstrzymać ich przed naruszeniem przestrzeni powietrznej Iraku. Uruchomił połączenie konferencyjne. – Uwaga wszyscy. Założę się, że Irakijczycy biorą Łotra za Irańczyka badającego ich sieć obrony powietrznej i nie będą atakować, jeśli Łotr nie przekroczy granicy. Zamierzam trzymać go po stronie irańskiej, tuż przy granicy. Nie zapomnijcie, na litość boską, uważać na reakcje Irańczyków. Jeśli będziemy mieć szczęście, to ich wydostaniemy.

– Panie pułkowniku – odezwał się technik radiowy – Irakijczycy podnoszą w powietrze myśliwce.

Zachodni Iran

Głos był donośny i uporczywy. Penetrował mgłę, wirującą w umyśle Jamisona. „Jamison, czy mnie słyszysz?” Było w nim coś takiego, co domagało się jakiejś reakcji. Jednak pragnienie drzemki było silniejsze. Jamison, ty czarny skurwysynu, odpowiedz!” Słyszając tak obraźliwe słowa, podporucznik poczuł gniew, który przywrócił go do stanu pełnej świadomości. Jamison zorientował się, że wisi na uprząży spadochronu i dryfuje w nieznane. A ktoś się na niego drze.

– Pierwszy sierżancie?...

– Witam w Iranie, panie poruczniku. Wystraszył mnie pan. Przepraszam za te wyzwiska, ale musiałem jakoś zwrócić na siebie pana uwagę.

Jamison jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Kamigami za coś kogokolwiek przeproszał. Musiało się stać coś bardzo niedobrego.

– Przepraszam, odłączył mi się przewód tlenowy – powiedział podporucznik. – Dostałem wypieków i w ogóle nie mogłem myśleć. ...Gdzie pan jest? – Rozejrzył się.

– Nad panem i za panem. Proszę przyhamować i lecieć za mną. – Jamison postąpił

zgodnie z sugestią szefa batalionu. Uczucie strachu ustąpiło miejsca uldze, kiedy zobaczył opadającego z jego prawej strony Kamigamiego, który łączył się z pozostałymi przez radio.

– Mam Romeo Dwa, podaj pozycję – powiedział.

– Na północ od celu – odparł głos Baulcka. – Sześćdziesiąt jeden kilometrów.

– Sierżancie, czy wszystko z nami w porządku? – spytał Jamison, możliwie spokojnym głosem.

– Zgubiliśmy się tylko. Niech pan szuka drużyny i leci za mną. Tylko się zgubiliśmy... Świetnie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Godzina Zero plus 3

Północno-zachodni Iran

– Granica za dwie minuty. – Wszyscy znajdujący się w kabinie pilotów herculesa usłyszeli ulgę w głosie Sue Zack. – Nie podoba mi się takie latanie wzdłuż granicy Iranu.

– Skoro podali odpowiedź, to pewnie mieli swoje powody – odparła Kowalski. – A poza tym, przecież poskutkowało, czy nie?

– Łotr, tu Promień – odezwało się radio. – Skręć w lewo trzy zero zero. – Pilot ustawiła maszynę na nowym północno-zachodnim kursie. – Łotr, włącz bramę, teraz! – Kontroler wołał głosem pełnym napięcia i zdecydowania.

– Co to jest „brama”? – burknęła Iverson, drugi pilot.

– Dopalacze. – Kowalski pokręciła głową. – Których nie mamy. – Dała maksymalny gaz i popchnęła drążek, zniżając się i nabierając prędkości. – Za to mamy przyciąganie ziemskie. Ile jeszcze możemy się zniżyć?

– Sto metrów – odparła Zack. – Jeżeli pani skręci o pięć stopni w prawo, to znajdziemy się nad doliną rzeki; wtedy da się zejść jeszcze trochę niżej. – Prędkość herculesa wzrosła do pięciuset dziesięciu kilometrów na godzinę. Światło księżyca pozwalało wyodrębnić wzrokiem zarys górskiej doliny.

– Łotr, skręć o pięć stopni w prawo – nadał AWACS.

– Przynajmniej wszyscy jesteśmy tego samego zdania – skomentowała Lydia.

– Granica za jedną minutę – poinformowała Sue Zack.

Wschodnia Turcja

Po twarzy Leona Nelsona spływał pot, jednak jego głos pozostawał ciągle opanowany. Pierwszy sierżant stał za plecami dowódcy i z podziwem śledził, jak prowadzi on Łotra Jeden Jeden wzdłuż granicy, każąc mu zmieniać kierunki, dla wykorzystania maskujących właściwości terenu i utrzymania samolotu na jak najmniejszej wysokości pomiędzy górami.

Obaj mężczyźni obserwowali także dwa echa, pochodzące od irackich MiG-ów 23, zbliżające się do echa C-130.

– A niech to; nie wiedziałem, że będą ścigać Łotra nawet, kiedy nie przekroczy granicy – mruknął Nelson, nie przejmując się tym, że wszystko się nagrywa. – Cóż, mamy jeszcze jedną kartę do zgrania. Mam nadzieję, że prowadzicie nasłuch, sukinsyny...

Pstryknął przełącznikiem pozwalającym nadawać na międzynarodowym kanale awaryjnym, zarezerwowanym dla nagłych wypadków.

– Uwaga, dwa irackie samoloty, poruszające się szybko w kierunku zero trzy pięć. Zbliżacie się do tureckiej przestrzeni powietrznej i jeśli przekroczycie granicę, zostaniecie zaatakowani. Powtarzam: zostaniecie zaatakowani, jeżeli przekroczycie granicę.

– Ten blef nie działa, panie pułkowniku – odezwał się pierwszy sierżant. – Nie zmienili parametrów lotu.

Nelson trzasnął pięścią w pulpit, widząc, że dwa myśliwce zbliżają się do bezbronnego herculesa. Wcisnął guzik interkomu, łącząc się z oficerem walki elektronicznej.

– Zagłusz tym myśliwcom wszystko. Niech oślepną i ogłuchną.

– Sir – zaoponował oficer – nie wolno mi tego zrobić podczas pokoju. Urządzenie jest strzeżone ze względu na możliwość wydania się jego...

– Rób, co mówię!!!

Wszystkie częstotliwości, na jakich prowadził nasłuch Nelson, wypełniły się brutalnym, zgrzytliwym łoskotem o ogromnym natężeniu. Podpułkownik jednym ruchem zerwał słuchawki i wyłączył poszczególne kanały. Bolały go uszy. Ekran zaczął intensywnie błyskać, ponieważ AWACS zagłuszał sam siebie oraz wszystkie inne radary i radia znajdujące się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od niego. Po chwili powrócił normalny obraz.

– Mój Boże!... – wymamrotał Nelson. Dwa myśliwce skrzyły w prawo i kierowały się na południowy zachód, z powrotem do Iraku, oddalając od C-130.

– Sukinsyny potrafią blefować – skomentował Nelson, opierając się w fotelu. – Łotr Jeden Jeden – nadał na tej samej częstotliwości, co przedtem – masz zezwolenie na natychmiastowe wzniesienie się i powrót do bazy. Nie mamy do ciebie więcej spraw.

Głos kapitan Kowalski był równie spokojny jak komunikat podpułkownika.

– Dzięki, Promień – odpowiedziała. – Postawię ci parę kolejek.

– Nie omieszkać skorzystać. – Nelson wiedział, że ostatnie wypowiedzi nie spodobają się w dowództwie podczas odtworzenia, ze względu na to, iż były wysoce nieprofesjonalne. Podpułkownika nie obchodziło to jednak.

Zachodni Iran

Rangersi wisieli na uprzężach spadochronów już ponad godzinę i podrętwieli z zimna. Niektórzy wymachiwali rękoma, żeby wyzwolić trochę ciepła.

– Przelatuję nad radiolatarnią – poinformował Baulck, znajdujący się jeszcze na wysokości trzystu metrów. Kiedy ocenił, że już cały szereg spadochroniarzy minął radiolatarnię, rozpoczął zakręt z powrotem ku północy, aby zejść po spiralnym torze i wylądować w zaplanowanej strefie. – Uwaga, lądujemy – ostrzegł. Natychmiast zobaczył trzy błyski latarki z ziemi. – Lądujcie koło tych świateł albo tam, gdzie ja – powiedział na zakończenie.

Rangersi zaczęli zakręcać, tworząc wielką spiralę. Żołnierze wypuszczali teraz plecaki i zasobniki z bronią na specjalnych linach, tak aby wisały pięć metrów pod ludźmi. Ciężkie wyposażenie będzie uderzać w ziemię pierwsze, a żołnierze będą opadać za nim, lżejsi o prawie pięćdziesiąt kilogramów każdy.

Bill Carroll patrzył na schodzące spiralnie z nieba ciemne cienie. Zamigał latarką po raz drugi, żeby rangersi na pewno wylądowali koło niego, nie uderzając w dwie czekające ciężarówki ani w radiolatarnię.

– W porządku, nie potrzeba światła – odezwał się z góry głos. Obok Carrolla wylądowała jakaś postać, ciągnąc za linki. Mężczyzna nie przewrócił się nawet. Był nim Trimler. Jego zdrętwiałe stopy zaprotestowały, kiedy zetknęły się gwałtownie z ziemią. Rozległa się seria stęknień i jęków, w miarę jak lądowali poszczególni żołnierze.

Bill stał przez chwilę jak wmurowany. Widok spadających z nieba spadochroniarzy, a po chwili brzmienie cichych, amerykańskich głosów, wywołały w nim uczucie ciepła i spokoju. Jeńcy nie zostali opuszczeni. Nie byli pionkami na politycznej szachownicy, poruszonymi bezlitośnie przez starych graczy, siedzących wygodnie w skórzanych fotelach swoich gabinetów... Carroll schował latarkę i podszedł do najbliższego Amerykanina, który pozbywał się uprzęży i zwijał w kłęb spadochron.

– „Zachodni Wąwóz”! – rzucił Trimler, przykucając i celując w Billa z pistoletu.

– „Słodka Woda”! – padła odpowiedź. Trimler schował broń.

– To ty jesteś Carroll?

– Tak, to ja jestem Carroll.

– Nazywam się Bob Trimler. Pozdrowienia od Jacka i Groma. Kazali mi powiedzieć, że przylatują po twoją słodką, młodą dupę i zapytać, co ty tu właściwie wyprawiasz. – Żaden kod nie zabrzmiałby dla Billa bardziej przekonująco.

– Formujemy się koło mnie! – zawołał donośnie Trimler. Głos rozszedł się daleko nad pustym polem. Rangersi szybko poodczepiali broń, pozakładali plecaki, pozbierali spadochrony i pognali ku swojemu dowódcy.

– Czy ma pan wszystkich? – upewnił się Carroll.

– Nie. Zgubiliśmy dwóch podczas lotu. – Wcisnął guzik umocowanego do lewego ramienia radia. – Romeo Dwa Pięć, jesteś? – Nie było odpowiedzi. Trimler wyjaśnił sytuację Carrollowi. – Jak długo możemy tu czekać?

– A kiedy chcecie być na pozycjach koło więzienia?

– Atakujemy o świcie, tuż przed wschodem słońca, o szóstej dwadzieścia pięć czasu miejscowego.

– Jesteśmy szesnaście kilometrów na północny wschód od więzienia; liczę, że na przeniesienie się na pozycje wystarczy godzina. Możemy czekać maksymalnie sześć i pół godziny. Tam. – Bill pokazał na zabudowania gospodarskie, w których można było się schować. – Budynki są puste.

Dowódca drużyny „Romeo” wydał rozkazy i rangersi ruszyli w stronę farmy. Czterech pobiegło przodem, jako zwiad, aby upewnić się, czy nikogo nie ma i czy miejsce jest bezpieczne. Inna czwórka przeczesła pole, sprawdzając, czy nie pozostał na nim żaden sprzęt, oraz zacierając wszelkie ślady ludzi i ciężarówek. Carroll wskoczył do kabiny jednej z nich, usadowił się koło Zakii i polecił kierowcy jechać za rangersami.

Jeden z żołnierzy skierował ciężarówkę na miejsce postoju, koło szopy. Zaniemówił, kiedy zobaczył wysiadającą Zakie. W końcu wydobył z siebie:

– Proszę pani, może wejdzie pani do środka, razem z kapitanem Trimlerem. – Przybysze podążyli za wskazówkami rangersa i weszli do parterowego domu z niewypalanej cegły. Wewnątrz Bill przedstawił dowódcy drużyny „Romeo” Zakie i mężczyznę, który był jej łącznikiem.

– Zaplanowaliśmy skorzystać tu z telefonu – odezwała się Zacia.

– W takim miejscu jest telefon? – zdumiał się Trimler.

– Zainstalowaliśmy go, żeby powiadomić o waszym przybyciu – wyjaśniła kobieta. Przemówiła do łącznika w niezrozumiałym dla kapitana języku. Otworzyła szafkę, gdzie ukryty był aparat, i wykręciła numer. Mężczyzna zaczął rozmawiać przez telefon, a Zacia w tym czasie wyrzuciła z siebie potok słów wysokim, krzykliwym głosem. Bill pokazał Trimlerowi, żeby nic nie mówił, aż skończy.

– Co jest...?! – Kapitan był zdumiony.

– Opowiadał o swoim ojcu – wyjaśnił Carroll. – Zdaje się, że zdrowie staruszka podupada, jednak ostatnio mu się polepszyło. Musi leżeć w łóżku jeszcze dwa dni. To kod ustalony z ich radiooperatorem. Oznacza, że wyładowaliście i brakuje wam

dwóch ludzi. Zakia robiła po prostu tło dźwiękowe, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał rozmowę.

– Kim oni, u licha, są?

– Niech pan lepiej nie pyta – odparł Bill. – Sam nie wiem i panu też nie powiedzą. Trimler pokręcił głową i wyszedł. Skontrolował bezpieczeństwo zabudowań, po czym kazał połowie ludzi pójść spać, a połowie czuwać.

– Wade, Baulck, będziecie nasłuchiwać na drodze, sto metrów w tamtą stronę – polecił, pokazując na dojazd do farmy. Dwaj mężczyźni szybko zniknęli w ciemności.

Dowódca drużyny „Romeo” sprawdził jeszcze raz status swoich ludzi, nie dziwiąc się, że połowa z nich już śpi. Wiedział, że napięcie nerwowe, jakie towarzyszy prawdziwym operacjom bojowym, jest tak wielkie, że ludzie zasypiają, kiedy tylko ono minie. Dobrze, pomyślał, chcę, żeby byli wypoczęci. Odpiął radio od ramienia i oparł się o murek otaczający farmę z trzech stron.

– Romeo Dwa Pięć, jesteś? – nadał. Odpowiedź nie nadeszła. Przez chwilę wydawało mu się wprawdzie, że usłyszał cichy trzask, nie był jednak pewien...

– Ma pan jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy? – spytał Jamison.

Kamigami nie odpowiadał, tylko nasłuchiwał. Zdawało mu się, że usłyszał coś, odezwał się więc do mikrofonu. Nie nadeszła jednak żadna odpowiedź. Dał więc spokój radiu i wyciągnął mapę oraz latarkę. Przykucnął, żeby osłonić światło, i przyjrzał się mapie uważnie. Na ostatniej odprawie, bezpośrednio przed wymarszem do samolotu pokazano im, że strefa lądowania znajduje się szesnaście kilometrów na północny wschód od Kermanshah. Nie wiedział jednak, gdzie z Jamisonem wylądowali. Widział zabudowania jakiejś samotnej farmy, leżące na południe od miejsca, gdzie opadli w polu, przeleciawszy nad polną drogą. Sierżant wstał i popatrzył przed siebie, wyciągając całe swoje metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu. Wyregulowawszy okulary do działań nocnych zobaczył po drugiej stronie polnej drogi niewysokie wzgórze.

– Idziemy tam – powiedział, pokazując na wzniesienie. Miał nadzieję, że kiedy na nie wejdą, zdołają zorientować się, gdzie są. ...Bo jeśli nie, będą musieli zaczekać do świtu.

Wschodnia Turcja

Leon Nelson popatrzył na zegarek. Była 19:48 Zulu. Przeprowadził kolejną kontrolę stanu. Każdy z jego podwładnych zameldował, że nie widać żadnej

nadzwyczajnej aktywności, ani na terenie Iraku, ani też Iranu. Po odwołaniu dwóch MiG-ów Irakijczycy powrócili do rutynowej służby. Irańczycy najwyraźniej w ogóle niczego nie wykryli. Minęła kolejna godzina czuwania, a AWACS nie miał ani jednego samolotu, którym mógłby się opiekować. Nelson i jego ludzie krążyli tylko bezproduktywnie po niebie.

Podpułkownik rozsiadł się wygodnie i spróbował odpoczywać, jednak pracujący wciąż umysł nie dawał mu spokoju. Ciągłe myślał o odprawie, na jaką stawiał się ze swoimi kontrolerami na dzień przed rozpoczęciem operacji „Wojownik”. Wyjaśniono im tylko ich własną rolę w tej operacji, nie wskazano jednak zasadniczego jej celu. Prywatna teoria Nelsona potwierdziła się, kiedy C-130 oderwał się od zaplanowanej trasy i zbliżył na odległość niecałych stu kilometrów do Kermanshah. Zanim zszedł na małą wysokość, zwolnił do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Podpułkownik widział tylko jedno logiczne wytłumaczenie takiego przebiegu wydarzeń – transportowiec zrzucał spadochroniarzy i miało to coś wspólnego z jeńcami w Kermanshah. Jednak dlaczego potem pilot skierowała maszynę nad Irak? Powinni byli wracać na małej wysokości prosto do Turcji. Zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, żeby Nelson mógł zasnąć.

– Za to mi płacą... – mruknął pod nosem, po czym połączył się z własnym pilotem.
– Kierujmy się do bazy. – Instynkt podpułkownika podpowiadał mu, że jest potrzebny w Incirlik.

Rozdział czterdziesty

Godzina Zero plus 4

Maragheh, Iran

Czterej mężczyźni znajdujący się w budynku stacji radarowej siedzieli przed telewizorem, pochłonięci oglądanym programem. Ponieważ znajdowali się na samym szczycie góry, mieli znakomity odbiór i mogli sobie oglądać kanały tureckie i irackie. Oba te kraje oferowały dużo ciekawsze programy niż te, na które zezwalali ajatollahowie. Była to jedyna korzyść z pełnienia dyżuru w stacji.

Operator radaru westchnął, kiedy oglądany kanał skończył nadawanie. Była prawie północ; mężczyzna miał jeszcze przed sobą dwanaście godzin służby do przybycia jego zmiennika. Operator obiecał sobie, że już nigdy nie będzie się narażał kapitanowi z centrum kontrolnego w mieście. Powrócił do głównego pulpitu.

– Do tej pory już na pewno wystygł – mruknął i rozpoczął procedurę uruchamiania radaru. Operator został swego czasu dobrze przeszkolony i chciał porządnie wykonywać swoje zadania, tyle że ciągle przeszkadzały mu inne sprawy. Nie sprawdził łączności, żeby przypadkiem nie rozdrażnić kapitana. Poczł się usprawiedliwiony, kiedy jego sektor okazał się czysty. Nad wschodnią Turcją i Irakiem nie było żadnych celów.

Zadowolony, wstał i ruszył do stojącej w tyle pomieszczenia pryczy, żeby się przespacerować, idąc w ślady pozostałych. Radar nie wyłączał.

Baza lotnicza Incirlik, Turcja

– Kapitan Kowalski, chcę, żeby to było jasne – perorował Mado, chodząc po pokoju sekcji wywiadu stanowiska dowodzenia – zbacząc z zaplanowanego toru lotu stworzyła pani ryzyko dla całej naszej operacji! – Stansell słuchał znęcającego się nad kapitanem generała. Był zadowolony, że Grom obudził go na początek składania przez załogę raportu. – Jeżeli Irańczycy panią wykryli, zaczną stawiać sobie pytania; a wszystkie odpowiedzi wskażą im Kermanshah...

– Sir – przerwał Rupert – może pozwolimy dokończyć kapitanowi Bryantowi? Dewa zrobiła listę tematów do sprawdzenia. Wszystko jest wydrukowane w rozdziale planu dotyczącym wywiadu... – Wypowiedział właściwe słowa. Mado

uznawał każde słowo planu operacyjnego za świętość.

Grom cieszył się, że Stansell nie pozostał w kraju oraz że plan był dobrze przemyślanym dokumentem – dzięki pułkownikowi, a także dzięki Mado. Generał skinął głową, chodził jednak dalej, podczas gdy Bryant zaczął zadawać pytania. Przerwało mu pukanie do drzwi. Brenda Iverson, która była najbliżej, otworzyła je. Na korytarzu stał podpułkownik w lotniczym kombinezonie, w towarzystwie trzech innych ludzi.

– Jesteśmy z Promienia Pięć Jeden – oznajmił i wszedł. – Pomyślałem, że zechcą panowie spojrzeć na wyniki naszej misji.

– Mógł pan z tym poczekać – burknął Mado. – Mieliście pozostać na stanowisku aż do dwudziestej pierwszej Zulu.

Nelson, ani odrobinę nie zrażony, odparł:

– Biorąc pod uwagę, że Łotr Jeden Jeden zboczył z ustalonego kursu zdecydowałem, że bardziej będą panom potrzebne nasze raporty niż robienie przez nas dziury w niebie i zamienianie paliwa JP-4 na hałas. – Rozejrzał się i oparł wzrok na Lydii. – Pani jest dowódcą samolotu? – Kowalski skinęła głową. – Mało brakowało. Irakijczycy prawie was dopadli. – Nie czekając, podpułkownik opisał przebieg misji ze swojego punktu widzenia, podkreślając, że irańska obrona powietrzna zachowała absolutną bierność, podczas gdy iracka okazała się czujna i sprawna. – Mam jedno pytanie – zakończył – dlaczego skierowała się pani na Irak zamiast lecieć na małej wysokości przez Iran do Turcji? Irańska obrona powietrzna jest dziurawa jak sito.

– Byłam pewna, że Irańczycy wykryją nas, kiedy oderwiemy się od tamtego samolotu cywilnego. Chciałam, żeby pomyśleli, że jestem wracającym do domu Irakijczykiem. Sądziłam, że uda nam się prześlizgnąć przez Irak bez większych kłopotów. Podjęłam skalkulowane ryzyko.

– Zła decyzja – zgromił Mado. – Teraz mamy drużynę „Romeo” na ziemi i...

– Działalam według najlepszych posiadanych przeze mnie wówczas informacji – zaproponowała Kowalski.

– Przepraszam, sir – włączył się Stansell. – Myślałem, że o to właśnie chodziło... Żeby drużyna „Romeo” wylądowała. Może nie wszystko przebiegło ściśle według planu, a jednak osiągnęliśmy założony cel...

– Pułkowniku, nasz plan idzie w rozsypkę – oznajmił Mado. – Musimy poradzić Centrum Dowodzenia, żeby ponownie rozważyli naszą sytuację...

Gregory, który do tej pory cały czas milczał, siedząc w tyle pomieszczenia i słuchając, odezwał się teraz:

– Panie generale, muszę z panem porozmawiać! Na osobności. – Mado popatrzył

na podpułkownika Armii USA, zaskoczony ostrym tonem jego wypowiedzi. Skinął głową i poszedł z nim do pustego pokoju.

– Sir – zaczął Gregory – jestem dowódcą pańskich sił naziemnych i złożyłem moim ludziom obietnicę. Powiedziałem im, że ich stamtąd wydostanę. I zamierzam to zrobić!... Chciałbym postawić sprawę jasno. Jeżeli będzie mi pan przeszkadzał albo nie zrobi pan wszystkiego, co w pańskiej mocy, ogłoszę światu, że jest pan skończonym, pierdolonym idiotą, a potem osobiście złamię panu szyję!... – Generał nie mógł oderwać wzroku od olbrzymich dłoni podpułkownika rangersów. Gregory odwrócił się i poszedł, prosto do swoich żołnierzy.

Mado próbował odzyskać jakoś spokój, oddychając nerwowo. W końcu wrócił do pomieszczenia wywiadu.

– Pytanie, jakie przed nami stoi – odezwał się napiętym, jednak chłodnym głosem – brzmi: czy misja została spalona do takiego stopnia, że nie możemy jej kontynuować. Pułkownik Gregory zalecił dalsze postępowanie zgodnie z planem. Proszę o wasze rekomendacje.

– Ruszamy zgodnie z planem – odparł Stansell. Do cholery!, pomyślał, przecież już to przerabialiśmy. On znowu zaczyna się wahać. Co się musi stać, żeby ten człowiek podjął prawdziwą decyzję?

– Startujemy – rzucił Grom.

– Zgodnie z planem – dodała Kowalski. Było widoczne, że Mado przywiązuje zasadniczą wagę do wykonywania planów.

– Jeśli obawia się pan o Irańczyków, to nic nie wskazuje na to, żeby czuwali – odezwał się Nelson. – Jednak Irakijczycy prawdopodobnie wiedzą, że coś się dzieje, choć na pewno nie przekażą tego Iranowi.

Mado pokręcił nerwowo głową i ruszył z powrotem na stanowisko dowodzenia. Pozostali weszli za nim do sali. Kontroler Działań Nadzwyczajnych podała mu wiadomość.

– To z Centrum Dowodzenia w Pentagonie – poinformowała. – Drużyna wylądowała i nawiązała łączność.

Generał dywizji Simon Mado popatrzył na wiszące przed nim tablice stanu...

– Startujemy według planu... – powiedział. Ledwie było go słychać.

– Co robimy? – upewnił się Grom.

– Wylatujemy za trzy godziny – odparł Stansell.

– Na pewno? – dodała Kowalski. Popatrzyli wszyscy na Mado.

– To prawdopodobna możliwość – zakończył Rupert przez zaciśnięte usta.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Godzina Zero plus 5

Zachodni Iran

Wzgórze znajdowało się dalej, niż Jamison oceniał. Potężny Kamigami szedł szybkim krokiem, tak że młody podporucznik miał trudności z nadążeniem. Chciał zostawić trochę sprzętu, żeby zmniejszyć ciężki ładunek, pierwszy sierżant powiedział jednak, żeby niósł wszystko i nie zatrzymywał się. Jamisonowi ulżyło, kiedy wspięli się płytkim wąwozem do stóp pagórka i wtedy zwolnili tempo. Nagle Kamigami zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

– Kozy – powiedział cicho. Podporucznik także wyteżał słuch, nie słyszał jednak niczego.

Sierżant rozejrzał się i pokazał na znajdujący się z boku wąwozu cień. Była to jakaś jama. Kamigami zrzucił teraz wyposażenie i zaczął je sortować. Część rzeczy pozostawił w ukryciu. Jamison zrobił to samo. Schowawszy spadochron chciał dołożyć maskę przeciwgazową, jednak sierżant wyjął mu ją z ręki i oddał z powrotem. Kiedy skończyli, podporucznik przysypał sprzęt piaskiem i obłożył kamieniami. Sierżant przyniósł z wyschniętego łożyska strumienia duży kamień i zakrył nim jamę.

Teraz dwaj rangersi w ciągu kilku minut wspięli się na wzgórze. Było ono nagie; nie było na nim nic, za co można by się było schować. Mężczyźni położyli się na brzuchach, żeby odpocząć.

– Tam, na wschodzie – powiedział Kamigami. Za zgrupowaniem podobnych wzgórz zobaczyli światła znacznej wielkości miasta. – To musi być Kermanshah. – Sierżant rozłożył mapę i wyjął kompas.

– Teraz słyszę kozy – szepnął Jamison.

– Musi gdzieś być i pasterz.

Podporucznik dotknął ramienia Kamigamiego i wskazał na reflektory przejeżdżającego w dole samochodu.

– To musi być ta szosa biegnąca ze wschodu na zachód. Chyba jesteśmy trzy do pięciu kilometrów na północ od niej.

– Raczej siedem, może – osiem. Dobrze, mam już naszą pozycję. Jesteśmy piętnaście kilometrów prosto na zachód od Kermanshah. Na tym wzgórzu. –

Wskazał miejsce na mapie, ostrożnie osłaniając latarkę. – To około dwudziestu pięciu kilometrów od strefy lądowania. Idziemy w tamtym kierunku. – Pokazał grupę wzgórz, znajdujących się na wschód od nich. To za nimi świeciły się światła Kermanshah.

– Może spróbujemy nawiązać łączność radiową?

– Nie, odległość jest zbyt duża, a poza tym pasterz mógłby usłyszeć. – Kamigami schował mapę i ruszył z prędkością, która zdumiała Jamisona. Po chwili olbrzymi mężczyzna zniknął w ciemności. Podporucznik pognął za nim, potykając się o nierówności. Wielka ręka złapała go za bluzę.

– Czołgi mniej hałasują... – skarcił sierżant. – Niech pan nie zwalnia.

Rozdział czterdziesty drugi

Godzina Zero plus 6

Kermanshah, Iran

Klucz szczęknął. Strażnik musiał pokręcić nim w jedną i drugą stronę, żeby w końcu odsunąć zasuwę. Dało to Mary czas, żeby usiadła na baczność i założyła worek na głowę.

– Proszę, zdejmij worek – odezwał się po angielsku zwykłym tonem. Mary posłuchała go. Mężczyzna trzymał miskę. – Zjedz, proszę. – Podał jej posiłek; Hauser szybko włożyła do ust pierwsze trzy łyżki czegoś w rodzaju gulaszu, ale potem zwolniła.

– Czy to nie ciebie nazywają Amini? – spytała. Strażnik skinął głową. – Czy mogę zobaczyć się z doktorem Landisem? Bardzo się o niego martwię.

– Najpierw musimy porozmawiać. – Mężczyzna uchylił drzwi i rozejrzał się po korytarzu, nasłuchując. Panowała cisza – było wpół do drugiej w nocy. – Dzisiaj rano będziesz stąd przeniesiona razem z połową mężczyzn – powiedział. – Polecicie do Teheranu. Tam, jestem tego pewien, będą was lepiej traktować. – Mary była zdumiona płynną angielszczyzną Irańczyka. – Zostaniecie przekazani innej partii politycznej. Gdyby ktoś z ludzi, do których traficie, was pytał, proszę, nie mówcie im o mnie ani o jakichkolwiek oznakach lepszego traktowania, jakie was spotkały. Musicie mówić, że wszystko było źle, bo inaczej mnie wydacie. To równałoby się plutonowi egzekucyjnemu albo szubienicy. – Kapitan słyszała w głosie strażnika ślady amerykańskiego akcentu.

– To ty byłeś tu naszym przyjacielem... – Miała ochotę go dotknąć.

Mężczyzna skinął głową i sprawdził korytarz jeszcze raz, podczas gdy Mary skończyła jedzenie. W końcu zgasił światło i pokazał, żeby poszła za nim do celi Landisa. Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Mary zobaczyła leżącego na podłodze nagiego mężczyznę. Złapała koc i przykryła go.

– Niech pan przyniesie mój koc – poprosiła strażnika.

– Nie mogę tego zrobić.

– To proszę mi pomóc podnieść go na pryczę. – Dźwignęli doktora. Hauser spróbowała wyprostować ciało skulonego człowieka.

- Nie!... – wydobył z siebie cicho.
- Niech pan się napije trochę wody. – Strażnik wyszedł tymczasem z pustą miską.
- Wody nie – odpowiedział Landis. Ledwo było go słychać.
- To przynajmniej pana trochę umyję. Doktorze, niech pan się trzyma, dzisiaj nas przenoszą. Zrobimy coś, żeby pan trafił do szpitala.
- Trzeba się spieszyć... Krwotok wewnętrzny... Mokhtari zmiążdżył mi wnętrzności...
- Strażnik wrócił z miską pełną wody.
- Potrzebna mi jakaś szmatka do mycia – powiedziała Hauser. Mężczyzna podał jej chustkę. – Niech pan zdobędzie mu jakieś ubranie na drogę.
- On zostaje – wyjaśnił strażnik.
- To ja też zostaję.

Rozdział czterdziesty trzeci

Godzina Zero plus 7

Baza lotnicza Incirlik, Turcja

Ostatni z rangersów wsiedli do stojących na płycie lotniska w Incirlik herculesów. Ryczały generatory elektryczne i sprężarki, jeszcze głośniej odezwał się nabierający obrotów silnik odrzutowy. Grom szedł od strony szturmowego AC-130. AWACS rozpoczął kołowanie jako pierwszy z dwudziestu dwóch samolotów Task Force Alpha. Kapitan odnalazł w hangarze Stansella i Mado, którzy rozmawiali z Gregorym.

– Na AC-130 wszystkie systemy funkcjonują – poinformował. – Mają radio krótkofalowe do nawiązania łączności z rangersami, którzy już wylądowali, i system telekomunikacji satelitarnej. Nawiązali już łączność z Centrum Dowodzenia w Pentagonie.

Mado skinął głową i ruszył do AC-130, który miał mu służyć jako latające stanowisko dowodzenia i kontroli. Bryant popatrzył na Stansella i Gregory'ego, zasalutował i poszedł za generałem. Przejechały dwa latające tankowce KC-135. Będą krążyć wraz z AWACS-em w pobliżu granicy i napełniać paliwem F-111 i F-15. Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogły zatankować także i AWACS-a. Śmigło numer trzy AC-130 zaczęło się obracać.

– Wsiadajmy – odezwał się Rupert. Dwaj mężczyźni podążyli w stronę C-130 Mallarda. Przy wejściu dla załogi czekał na nich „Pijak” Dunkin, w swojej starej czapeczce baseballowej na głowie.

Stansell rozejrzył się po raz ostatni i wspiął do samolotu. Mallard przywitał go, a mechanik pokładowy podał słuchawki.

– Uruchamiam trójkę – Kaczka wcisnął guzik i przełożył dźwignię na „rozruch”. Wielkie, czterołopatowe śmigło zaczęło się obracać, a potem zatrzymało się.

– Zdaje się, że wał rozrusznika zrobił się łysy – mruknął Mallard. Mechanik zgodził się z tą diagnozą.

– Przekażcie Kowalski, żeby uruchamiała silniki, przesiadamy się do niej – rozkazał pułkownik. Zakotłowało się. W radiu słyhać było Groma potwierdzającego zmianę samolotów. Rupert miał nadzieję, że zdoła uspokoić jakoś Mado. Rangersi ściągnęli łańcuchy mocujące w ładowni trzy jeepy i dwa motocykle i wyjechali nimi

na płytę. Wszyscy pozbiali ekwipunek i pobiegli do herculesa Lydii Kowalski. Stansell rozejrzał się, czy coś nie zostało, i ruszył jako ostatni.

Dwaj szefowie mechaników F-15 czekali w hangarze. Za trzydzieści minut mieli pomagać pilotom uruchamiać silniki. Naliczyli sześć C-130 kołujących za szturmowym AC-130.

– Co się stało z ptaszkiem Mallarda? – odezwał się Ray Byers.

– Szef linii mówi, że poszedł im wał rozrusznika – wyjaśnił Timmy Wehr.

– Cholera, to nie mogą go wymienić?

– Chyba nie ma czasu – skwitował Timmy.

– Człowieku, ja zaczynałem na C-130. To proste jak drut. Zrobimy to za nich. – Byers pobiegł po skrzynkę z narzędziami, a Wehr zapchał pod silnik małe rusztowanie, służące do jego obsługi. Nadjechała furgonetka i szef linii mechaników zapytał, co dwaj sierżanci wyprawiają.

– Przywieź pan lepiej rozrusznik, szefie! – zawołał Byers. Podoficer krzyknął, że wróci za dziesięć minut, i odjechał w te pędy.

Po przejściu samolotu przez Mallarda, przygnębiona Kowalski i jej załoga wrócili do hangaru, gdzie zobaczyli naprawiających silnik Byersa i Wehra. Mechanik pokładowy, sierżant sztabowy Marcia MacIntyre, wspięła się na rusztowanie, żeby im pomóc.

– Pani kapitan, to tylko zużyty wał rozrusznika! – zawołała. – Naprawimy to w dwadzieścia minut, kiedy przywiozą nowy rozrusznik!

– Przepraszam, ale musimy odpalić nasze samoloty – odezwał się Byers. – Skończymy to, jak tylko polecą.

– Wielkie dzięki, chłopaki.

Rozdział czterdziesty czwarty

Godzina Zero plus 8

Zachodni Iran

Opasły cień idący przed podporucznikiem zniknął ponownie. Dwaj mężczyźni dotarli do wzgórz i zaczęli pokonywać je po wojskowemu, to znaczy po linii leżącej mniej więcej w dwóch trzecich wysokości wzgórza, w przybliżeniu równoległej do grzbietu. Jamison spieszył się, żeby dotrzymać kroku poruszającemu się w nieubłaganym tempie sierżantowi. Łatwiej było podążać za Kamigamim pośród nierówności terenu, kiedy świecił księżyc, teraz jednak podporucznik zaczął potykać się w ciemności, z trudem łapiąc oddech. Zaczął poważnie zastanawiać się, czy Kamigami jest w ogóle człowiekiem.

Jamison wpadł w panikę i zaczął biec – szefa batalionu nie było. Podporucznik bał się, że został sam. Poślizgnął się biegnąc, upadł i zaczął staczać się ze wzgórza. Zatrzymał się po chwili. Ekwipunek obijał się o skały i Jamison był pewien, że było go słyhać z odległości co najmniej dwóch kilometrów. Podniósł się i poprawił uprząż, do której przymocowana była większość sprzętu. Nagle przed nosem wyrósł mu jego własny hełm. Podawał mu go Kamigami. Podporucznik nie zdawał sobie sprawy, że zgubił hełm, ani nie słyszał podnoszącego go sierżanta.

– W porządku, panie poruczniku? – spytał szef batalionu. Czuł, że młody człowiek zaczyna wpadać w panikę. Widywał już takie rzeczy. – Ma pan wszystko? Musimy iść dalej. – Mówił, żeby uspokoić Jamisona. – Myślę, że minęliśmy już dawno połowę drogi, jeszcze z siedem kilometrów.

Siedem kilometrów, pomyślał podporucznik. Mieli dobry czas i pozostały im jeszcze trzy godziny ciemności na osiągnięcie celu.

– Radio! Zgubiłem radio. – Dwaj mężczyźni przyklękli i zaczęli szukać po omacku nadajnika. Jamison wyciągnął latarkę, ale Kamigami ścisnął mu rękę.

– Nie możemy świecić. Nie po tym łomocie. – Teraz pierwszy sierżant był już pewien, że młody oficer spanikował. Musiał nie zabezpieczyć radia, kiedy po wylądowaniu przełożył je z ramienia na pas.

– Trzeba iść dalej. Dajmy spokój radiu. Bliżej celu będziemy szli wolniej. – Kamigami będzie musiał tłumaczyć wszystko.

– Może powinniśmy sprawdzić, czy da się z nimi połączyć? – zapytał Jamison,

ciesząc się, że mieli jeszcze radio sierżanta.

– Nie. Cały czas jesteście poza zasięgiem. Chodźmy.

Baza lotnicza Incirlik, Turcja

– Dzieńdoberek, panie kapitanie. Miły dzień na mały lot – odezwał się Byers. F-15, którym opiekował się sierżant, stał koło F-15 E Jacka Locke'a. Zobaczywszy Locke'a, Byers zasalutował. Tego rodzaju grzeczność była u niego czymś wyjątkowym. – Ma pan zamiar wrócić tym głównem w jednym kawałku? – zapytał, pokazując na nowiutkiego F-15E, ciesząc się, że może podrażnić się z pilotem.

– Zawsze tak robię, sierżancie – odpowiedział Jack. Odbił już wcześniej kontrolę przedstartową jednak z przyzwyczajenia obszedł maszynę jeszcze raz. Wróciły dawne odczucia – głód, wątpliwości, ciepło na policzkach. Ile już razy przez to przechodził? Przez ostatnie minuty przed startem kapitan czuł się jak człowiek, który przepływa wodospad Niagara w beczce.

– Trzeba wsiadać – odezwał się oficer uzbrojenia Ambler Furry i wspinał się po drabince.

Locke ruszył za nim.

Procedura startu myśliwców przebiegła szybko. Trzy F-111 wyjechały na pas pierwsze. Von Drexler uniósł się w powietrze na samym początku, dwie pozostałe załogi w dwudziestosekundowych odstępach po nim. Następnie „Wąż” Houserman ustawił się na czele swoich F-15. Osiem myśliwców, którymi dowodził, wystartowało parami, w odstępach dziesięcioszekundowych. Na samym końcu startował Jack.

Dwaj sierżanci stali na płycie i patrzyli, jak samolot Locke'a wznosi się w powietrze. Na lotnisku zapanowała cisza nocy.

– Myślisz, że im się uda? – zagadnął Wehr.

– Wyzwolić jeńców? – Byers słyszał plotki i już dawno miał wyrobione zdanie w kwestii tego, po co sformowano Task Force Alpha. Niektórzy z jeńców byli jego osobistymi przyjaciółmi. Bardzo chciał się przyczynić do ich uwolnienia. – Uda się. Chodź, skończmy tego herculesa.

Sierżant MacIntyre siedziała na schodkach rusztowania; obok niej spoczywał zdemontowany rozrusznik. Kobiety wyjaśniły, że szef linii dotąd nie wrócił.

– Ponad dwadzieścia minut! – burknął Byers, spojrzawszy na zegarek. – Timmy, zobacz, czy uda ci się kopnąć w tyłek jakiegoś palanta z zaopatrzenia, żeby znalazł ten rozrusznik. – Młodszy z sierżantów zniknął w głębi hangaru, spiesząc do telefonu.

– Jeżeli uda wam się to naprawić – odezwała się Kowalski – to wystartuję. Może i będziemy maszyną pomocniczą, ale możemy czuwać w powietrzu.

Piętnaście minut później nadjechali szef linii i Wehr.

– Przepraszam, ale znacie tych z zaopatrzenia... – MacIntyre dźwignęła rozrusznik i wbiegła z nim pod silnik.

– Uważaj, Mac – zawołał za nią Byers – żebyś nie połamala paznokci!

– Rusz swoją leniwą dupę i przykręcaj! – odparła nie zrażona kobieta.

Byers wlaźł na rusztowanie.

– Timmy – powiedział cicho – ja jej pomogę. Skocz po moją torbę z częściami.

– A po co ci? – spytał Wehr. Zdziwił się, do czego Byersowi potrzebna płócienna torba, w której trzymał ukradzione przez siebie drobne części – śruby, nakrętki, złącza, zawory, uszczelki. Wartość zgromadzonych w torbie przedmiotów przekraczała prawdopodobnie dziesięć tysięcy dolarów. Sierżant mógł za tę kolekcję stanąć przed sądem wojennym. Jednak, kiedy szef mechaników potrzebował czegoś szybko, a zaopatrzenie jak zwykle się leniło...

Dwadzieścia minut później naprawa była zakończona, a silnik skrecony. Wehr pomógł Byersowi odsunąć rusztowanie. MacIntyre pobiegła do kabiny, żeby włączyć rozruch.

– Myślałem, że one mają czekać tu na wszelki wypadek, a nie startować – odezwał się Wehr.

– Jedno wiem na pewno, jak one lecą, to ja też – odpowiedział Byers. Podniósł skrzynkę z narzędziami i torbę z częściami i pobiegł w stronę ładowni transportowca.

Zachodni Iran

Trimler obudził dwóch żołnierzy i wysłał ich, żeby zmienili Baulcka i Wade'a.

– Czas na zmianę – powiedział Carrollowi. Ruszył po budynkach, zastępując czuwających innymi. Ci pierwsi mogli teraz coś zjeść i przespać się. Kiedy znowu nastał spokój, kapitan położył radio na murku i popatrzył w ciemność.

– Może sprawdzi pan, czy da się z nimi połączyć? – odezwał się Carroll.

– Prowadzimy tylko nasłuch. Sami się zgłoszą, kiedy będą w zasięgu. Znając Kamigamiego, zorientował się gdzie jest i idzie tu jak najszybciej. Mam nadzieję, że podporucznik jest na tyle bystry, że go słucha. – Trimler oparł się o mur, żeby trochę odpocząć.

– Jamison jest trochę tępy – odezwał się. – To nieprawda – zreflektował się. – Jest po prostu zielony. Ja też byłem.

– Zakia telefonowała – poinformował Carroll. – W mieście panuje spokój, a droga jest wolna... Za dwie godziny będziemy musieli ruszać. Nie możemy czekać dłużej.

– Wiem – odparł krótko Trimler, godząc się, że Kamigamiego nie będzie podczas szturm. – To nie do uwierzenia... Ci pańscy ludzie zwyczajnie telefonują, żeby przekazać informację. Przecież mogą nas spalić.

– Przez telefon rozmawiają w języku kirmanji, a nie farsi.

– A jeżeli ktoś podsłuchuje? Carroll pokręcił głową.

– Większość Irańczyków zna tylko farsi, nie chce im się uczyć kirmanji. To byłoby dla nich poniżające. Dlatego Kurdowie to wykorzystują.

– Czy my możemy tym Kurdom ufać?

– O, spokojnie. Zemsta to dla nich wielka rzecz.

Rozdział czterdziesty piąty

Godzina Zero plus 9

Wschodnia Turcja

„Upiór Zero Jeden”, czyli szturmowy AC-130, wykonywał łuk nad punktem początkowym, krążąc w wyznaczonym rejonie.

– Magellan, jesteś gotowy? – zapytał Beasely nawigatora. Mado nie podobał się brak radiowej dyscypliny i nieformalne zwracanie się do siebie członków załogi. Nic jednak nie mówił.

– Potwierdzam, Całus. Jeżeli będziesz wykonywał przeloty po trzy minuty w jedną stronę, to znajdziemy się nad punktem początkowym w samą porę. Jeszcze dziesięć minut. – Choć język nawigatora stał się odrobinę bardziej profesjonalny, niepokój, w jakim stopniowo pograżał się generał, nie zniknął. Mado odwrócił się i popatrzył na Bryanta. Potajemnie zazdrościł kapitanowi, że potrafi przyjmować wszystko z takim spokojem. Grom siedział na schodkach wejścia dla załogi. Notował to, czego dowiadywał się ze słuchawek. Generał stanął za pilotem, ze zdenerwowania nie będąc w stanie usiedzieć.

Kiedy skręcili, Beasely policzył zakręcające światła pozycyjne pozostałych maszyn.

– Panie generale, widzę za nami sześć samolotów. Lecimy w szyku. – Sześć herculesów sunęło, jeden za drugim, za Upiorem Zero Jeden.

– Niech się zameldują i podadzą status – polecił Mado przez interkom. Zanim drugi pilot zdążył zastosować się do rozkazu, Grom wtrącił się, mówiąc:

– Panie generale, podczas ćwiczeń zachowywaliśmy w tym momencie ciszę radiową. Gdyby coś się stało, wtedy sami się odezwą. – Mado nie odpowiedział, a drugi pilot zaniechał wywoływania innych. Beasely pochylił w odpowiedniej chwili dziób samolotu; piloci sześciu C-130 poszli w jego ślady.

Radio odezwało się teraz:

– Tu Łotr Jeden Jeden, lecę do was. – To był głos Lydii Kowalski.

– Łotr Jeden Jeden, tu Promień Pięć Jeden – odpowiedziano z AWACS-a. – Wchodź na stację na poziomie lotu siedem zero zero. – Nelson polecił Lydii, żeby krążyła na wysokości siedmiu tysięcy metrów.

– Co ona tam robi?! – rzucił groźnie Mado.

– Czuwa w zapasie – odpowiedział Grom. – Będzie krążyła razem z AWACS-em.
– Nie podoba mi się to. Przekażcie jej, żeby wracała do bazy.
– Musiała źle zrozumieć – uspokajał Bryant. – Ona donikąd nie leci. Lepiej zachowajmy ciszę radiową. Możemy się tym zająć później. – Generał zacisnął prawą dłoń i rozluźnił ją, zacisnął i rozluźnił...

W kabinie zapadła cisza. Czekano na sygnał z AWACS-a rozpoczęcia lotu przez góry. AC-130 skręcił w drogę powrotną do punktu początkowego i cały czas się zniżał.

– Król Przesłuchaj, Król Przesłuchaj, tu Promień Pięć Jeden. Wiadomość Romeo Tango. Nie potwierdzaj. Powtarzam: nie potwierdzaj.

Tej właśnie wiadomości wszyscy oczekiwali. Została ubrana w słowa zwykłego meldunku statusu. „Romeo Tango” mówiło jednak wszystko. AWACS poinformował teraz o bieżącym statusie irańskiej sieci obrony powietrznej:

– Sierra Hotel Lima, powtarzam: Sierra Hotel Lima. Grom popatrzył na listę słów kodowych.

– Sytuacja normalna, sir.

– Czy to znaczy, że radar w Maragheh pracuje?

– Tak, sir.

Mado zamilkł, rozważając ostatnią wiadomość. Czy wzięli pod uwagę wszystkie czynniki? Czy zagrożenie zmieniło się?

– To nie w porządku... – jęknął.

– Dlaczego? Przecież wszystko przebiega zgodnie z planem – zauważył Całus.

– Ale stan pogody na pewno jest poniżej ustalonego dla misji minimum.

– Sir, niech pan wyjrzy za okno. Niebo jest czyściutkie. No, prawie. – Generał wyjrzał. Z lewej wyprzedziły ich dwa F-15 i zaczęły krążyć po „torze wyścigowym” przed nimi, bez trudności omijając nieliczne, rzędzące chmury. Pogoda była dokładnie taka, jaką przewidział synoptyk. Mado myślał tylko o tym, żeby przerwać misję i wrócić do ciepłego Pentagonu. Wiedział jednak, że tak się nie stanie. Po raz pierwszy w życiu prowadził ludzi do walki.

– Punkt początkowy za trzydzieści sekund – odezwał się nawigator. Czekali. – Uwaga, punkt początkowy, teraz. Wyłączyć światła ostrzegawcze. – Drugi pilot postąpił zgodnie z poleceniem; w ten sposób dał C-130 znak, że minęli punkt początkowy. Jeden po drugim, herculesy pogasiły swoje światła ostrzegawcze i osiągnąwszy założony punkt, skręcały na południowy wschód, do Iranu.

– Punkt początkowy, teraz – poinformował przez interkom „Pijak” Dunkin. Wpatrywał się w ekran radaru, przekręciwszy czapkę do tyłu. – Nowy

kierunek jeden dwa sześć stopni. – Nie patrząc, wyciągnął rękę i uruchomił zegar mierzący czas misji od punktu początkowego. Lewą ręką włączył zwisający mu z szyi stoper. Jeżeli Dunkin wykona dobrze swoją pracę, wtedy Kaczka bezpiecznie powróci do domu.

– Wyłączam światło ostrzegawcze – powiedział Mallard. – Dowódco ładowni, sprawdź, czy na pewno nic się nie świeci. Zachowujemy od teraz zaciemnienie. Za ile granica, Dunk?

– Za sześć minut. Widzę na radarze Upiora. Jesteśmy dokładnie trzy kilometry za nim.

– No cóż, panie pułkowniku, zaczynamy – skomentował Mallard. – Zastanawiam się, jak sobie radzi Mado.

– Czuje brzemienie zupełnie nowego rodzaju odpowiedzialności – odpowiedział Stansell. Rozejrzał się. W słabej, czerwonej poświacie wydobywającej się z przyrządów pokładowych widać było twarze pilotów. Na ciemnym obliczu drugiego pilota, Dona Larsona, błysnął pot. Kaczka wydawał się spokojny. Prowadził ręcznie, nie chcąc włączać na małej wysokości automatycznego pilota. Stansell usłyszał w jego głosie pewne napięcie, jednak nie martwił się tym. Mallard potrafił panować nad emocjami. Mam nadzieję, że wszyscy inni też zachowują spokój, pomyślał Rupert. Nie wyłączając mnie.

Zachodni Iran

Silniki dwóch ciężarówek pracowały gładko na jałowym biegu. Ostatni rangersi wchodzili na platformy. Bill Carroll siedział przy pierwszym samochodzie i czekał na Zakie. Dwaj sierżanci przeczesali miejsce jeszcze raz, aby upewnić się, że nie pozostał żaden ślad po ich bytności. Zakia wyszła z budynku z telefonem w jednym ręku i maszynowym uzi w drugim. Za nią kroczył Trimler. Przemówił krótko do dwóch sierżantów i mężczyźni wspięli się na ciężarówkę. Kiedy wszyscy rangersi zajęli miejsca, Carroll wsiadł do kabiny pierwszej ciężarówki, a Zakia – drugiej.

Samochody wyjechały z farmy. Przystanąły przy wyznaczonym sto metrów dalej posterunku. Dwaj żołnierze wychynęli z ciemności i weszli na platformę ostatniej ciężarówki. Zostało ich dwudziestu trzech, z dwudziestu pięciu. Mały konwój skręcił po chwili na zwirowaną drogę prowadzącą ku szosie. Ta z kolei zawiedzie ich do Kermanshah.

Kamigami dał znak Jamisonowi, żeby się zatrzymał i zbliżył od tyłu do znajdującego się przed nimi budynku. Podporucznik położył się na ziemi,

zadowolony, że może chociaż przez moment odpocząć. Był już na krawędzi wyczerpania po trudnej drodze przez wzgórza, kiedy cały czas musiał się spieszyć za Kamigamim. Nigdy nie ufał dotyczącym szefa batalionu plotkom i zawsze uważał, że to żołnierze wymyślają różne historyjki, żeby straszyć młodych oficerów, takich jak on. Wieść niosła, że trzydziestokilometrowe szybkie marsze z pełnym wyposażeniem to dla pierwszego sierżanta pestka. Teraz Jamison zastanawiał się, ile jeszcze ze znanych mu nieprawdopodobnych opowieści było prawdziwych.

Podporucznik złapał jakiś oddech i próbował ustalić pozycję, w jakiej się znajdowali. Sądząc po odległych światłach i dźwiękach, powinni być na wzgórzu na przedmieściach Kermanshah. Brakowało im jeszcze najwyżej dwóch kilometrów.

Z drugiej strony budynku odezwały się jakieś głosy, a nad dachem pojawił się blask zapalonego światła. Jamison był pewien, że ktoś usłyszał sierżanta, wyciągnął więc swój pistolet maszynowy kalibru 9 mm. Chciał odnaleźć Kamigamiego, nic jednak nie widział. Nagle zza rogu wyszedł mężczyzna w zniszczonym palcie i wełnianej, robionej na drutach czapce, naciągniętej na uszy. Popatrzył dokładnie w miejsce, w którym podporucznik ostatnio widział szefa batalionu. Jamison schował się za beczką i obserwował. Odbezpieczył broń i szykował się do oddania serii.

Wtedy na plecy spadło mu coś ciężkiego, pozbawiając go oddechu, a czyjaś dłoń zasłoniła mu usta. Wykręcono mu rękę i pistolet wypadł na ziemię.

Wschodnia Turcja

Podpułkownik Leon Nelson był zadowolony ze swojej załogi. Po starcie z Incirlik wyjaśnił ludziom planowany przebieg lotu i to, w jaki sposób Promień Pięć Jeden będzie wspierał operację „Wojownik”. Wtedy wszyscy mężczyźni i kobiety obecni na pokładzie zaczęli zachowywać się inaczej niż dotychczas – wypełniali swoje zadania z dokładnością, jakiej Nelson jeszcze nigdy nie widział. Mysz przy konsoli numer trzy zawiesiła się i operator nie mógł sięgnąć kursorem lewej krawędzi ekranu. Po dosłownie kilku minutach technik usunął niesprawność. W miarę rozwoju misji, podpułkownik słyszał w głosach swoich podwładnych, że zależy im na operacji „Wojownik”.

Nelson przełączył na obraz taktyczny, którego zasięg wynosił czterysta pięćdziesiąt kilometrów. C-130 i cztery eskortujące je F-15 tworzyły linię, wijącą się pomiędzy górami. Podpułkownik najechał myszą na pierwszy z samolotów. Wcisnął guzik, wysyłając sygnał identyfikacji. Na ekranie zabłysnęła informacja: oznaczenie Kowboj 31, typ F-15, prędkość 520 kilometrów na godzinę, wysokość dwa tysiące

dwieście metrów. To było powoli i zaledwie sto dwadzieścia metrów nad powierzchnią ziemi. Nelson patrzył, jak dwa myśliwce krążą przed C-130. Przez chwilę poczuł zazdrość. Chciałby być gdzieś tam, wszystko jedno gdzie. Nawet w jednym z czterech F-15, które musiały pozostać w tyle.

Sprawdził status irańskiej obrony powietrznej. Cisza i spokój. Zmienił powiększenie i zobaczył, jak dwa F-111 przestają krążyć i ruszają przez góry. Znowu najechał kursorem na jedno z ech i przesłał sygnał identyfikacji. To były Kosiarka 21 i 22, F-111F, osiemset dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, dwa tysiące trzysta dwadzieścia metrów. Trochę wysoko – ocenił – musieli nastawić radar do śledzenia terenu na dwieście trzydzieści metrów. Jeżeli Irańczycy czuwają, to będą kłopoty.

Nagle w radiu trzasnęło i odezwał się głos:

– Kosiarka Dwa Dwa. Przerywam misję.

– Kosiarka Dwa Dwa, tu Kosiarka Dwa Jeden – odpowiedział Von Drexler. – Podaj przyczynę.

To głupie polecenie ze strony Kosiarki Dwa Jeden, pomyślał Nelson. Przecież i tak nic na to nie poradzi. Powinien po prostu wezwać czekającego w odwodzie trzeciego F-111 i zezwolić Kosiarce Dwa Dwa na powrót. Dlaczego się waha?

– Kontrolka wyważenia się świeci – odpowiedział przez zaciśnięte usta pilot Kosiarki Dwa Dwa. – Wracam natychmiast do bazy. – Zapaliła się lampka ostrzegająca załogę o awarii jednego z trzech kanałów kontroli lotu. Nie trzeba nawet było kontrolki. Lewe skrzydło opuściło się i załoga z trudem naprostowała drążek sterowy, aż wreszcie pilot wyłączył część systemu czuwającą nad wyważeniem. Teraz będzie im trudniej pilotować, a i lądowanie będzie ryzykowne.

Nelson zobaczył, że dwa echa na jego ekranie zawracają na zachód. Jak to, obaj przerywają misję?...

– Ramon, chłopie. Chyba obowiązki nas wzywają – odezwał się Pochodnia, usłyszawszy w radiu to samo, co Nelson. Byli akurat podłączeni do tankowca i uzupełniali paliwo. Doucette poprosił o rozłączenie się i jednym płynnym manewrem opuścił dotychczasowy tor lotu, pochylając maszynę w bok pod kątem stu trzydziestu pięciu stopni i nurkując. Wypoziomował i skierował się ku Iranowi. – Musimy nadrobić trochę czasu, jeżeli mamy ich dogonić – powiedział.

Dłonie Contreraza wywołały z komputera nawigacyjnego drogę.

– Musimy polecieć bardziej prosto – poinformował – wtedy oszczędzimy w stosunku do Von Drexlera trzy minuty. Jednak, żeby w porę dotrzeć do więzienia, trzeba pruć z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę.

– Nie ma sprawy – odparł Doucette. Nastawił wysokość radaru do śledzenia

terenu na sto dwadzieścia metrów i kontrolę lotu na „ostry”. – Będziemy schodzić niżej w dolinach – powiedział. – Ach, służba nie drużba.

– Lepiej niech pan przekaże Promieniowi nasze zamiary – poradził Ramon. Doucette zgodził się i włączył nadawanie.

– Promień Pięć Jeden, tu Kosiarka Dwa Trzy. Wchodzę, teraz. Odpowiedział mu głos Von Drexlera:

– Kosiarka Dwa Trzy, tu Kosiarka Dwa Jeden, krąż dalej, przerywamy misję.

– Sam przerywasz, dupku – mruknął Pochodnia przez interkom. Opanował złość i nadał: – Potwierdzam, Kosiarka Dwa Jeden, zrozumiałem, że mamy kontynuować w pojedynkę. – Rozłączył się. – Mam nadzieję, że zachowa spokój, inaczej narobi w gacie. Ramon, czy masz na liście czynności kontrolnych sprawdzenie, czy w kabine nie ma gówna? A może za bardzo go krytykuję, a on potrzebuje tylko trochę motywacji... – Włączył radio. – Kosiarka Dwa Jeden? Tu Kosiarka Dwa Trzy. – Wszyscy kontrolerzy na pokładzie AWACS-a słyszeli sarkazm w głosie Doucette'a: – Będziemy na czas. A ty? – zakończył lodowatym tonem.

W kabine AWACS-a rozległ się cichy okrzyk radości, kiedy echo oznaczające Kosiarkę Dwa Jeden zawróciło z powrotem na wschód. Nelson zanotował coś i spytał przez interkom:

– Czy nagraliśmy ostatnie rozmowy? Odpowiedź była uspokajająca.

– Potwierdzam, panie pułkowniku. Mamy wszystko.

Rozdział czterdziesty szósty

Godzina Zero plus 10

Pentagon, Waszyngton

Prezydent powrócił na stanowisko dowodzenia i wyglądał przez szyby na Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego. Cunningham obejrzał się przez ramię i zobaczył zatroskany wyraz twarzy swojego szefa.

– Ja też się niepokoję – rzucił, trudno powiedzieć, do kogo.

– Słucham, sir? – odparł pułkownik Stevens.

– Nic. Dick, jeżeli panna Rahimi jeszcze tu jest, niech pan ją spyta, czy nie zechciałaby ze mną posiedzieć.

– Widziałem ją jakieś dwadzieścia minut temu. Zaraz ją znajdę. – Stevens wyszedł, wiedząc, że generał coś wymyślił i nie woła Rahimi tylko przez grzeczność.

– Proszę o uwagę – rozległ się z głośników kobiecy głos. – Nawiązaliśmy łączność z jednostką dowodzenia i kontroli na pokładzie samolotu szturmowego AC-130, oznaczenie kodowe Upiór Zero Jeden, przez satelitę. Możecie państwo nasłuchiwać ich komunikatów albo rozmawiać z Łapanką na kanale pierwszym. – „Łapanką” oznaczono generała Mado. Wszyscy wyciągnęli ręce i uruchomili kanał pierwszy.

– ...mijamy rozproszone chmury, podstawa sto pięćdziesiąt do trzystu metrów. – Cunningham rozpoznał głos Bryanta. – Widzialność do przodu piętnaście kilometrów i rośnie...

Leachmeyer przerwał kapitanowi:

– Proszę mi pozwolić porozmawiać z Łapanką.

– Mówi Łapanka, słucham. – Mado odezwał się głosem pełnym napięcia.

– Podaj status – zażądał Leachmeyer.

To nie zabrzmiało spokojnie, pomyślał Cunningham. Na pewno nie tak, żeby zachwycić prezydenta.

– Wszystko o czasie. Jednakże zrobiliśmy zmianę w stosunku do planu... Kosiarka Dwa Dwa przerwała misję i została zastąpiona Kosiarką Dwa Trzy, która nadlatuje po innej trasie, żeby nadrobić czas. – Szef sztabu Sił Powietrznych bardziej martwił się z powodu tonu, jakim mówił Mado, niż tak nieznacznej zmiany planu. – Czekajcie, proszę, właśnie nawiązaliśmy łączność z drużyną „Romeo” – poinformował Mado i w Centrum Dowodzenia zapadła głucha cisza. – Drużyna

„Romeo” melduje, że są na miejscu. Jednak dwóch żołnierzy oddzieliło się i do tej pory nie ma z nimi kontaktu.

– Co to za żołnierze? – spytał prezydent.

– Porucznik Jamison i pewien sierżant.

– Nazwisko, do cholery.

Hmm, prezydent sam nie jest zbyt spokojny, pomyślał Zmierzch. Mam nadzieję, że nie zacznie próbować dowodzić misją tylko dlatego, że ma z nimi łączność.

– Niejaki sierżant Kamigami – odpowiedział generał.

Cunningham usłyszał, że ktoś za jego plecami wstrzymuje oddech. To była Dewa. Popatrzył na prezydenta, który podniósł się z miejsca, jak gdyby stawał na baczność.

Kermanshah, Iran

– Cicho. Nie ruszaj się. – To był głos Kamigamiego, tuż nad uchem Jamisona. Podporucznik poczuł, że wielka masa stacza się z niego, a dłoń usuwa z ust. Znowu mógł oddychać. Dwaj mężczyźni leżeli teraz obok siebie i patrzyli, jak Irańczyk znika z powrotem za rogiem.

– Co się stało? – zapytał Jamison cicho, niemal szeptem. Kamigami pokręcił tylko głową. Leżeli dalej. Z głośnika zawieszono nad miastem rozległ się odległy głos muezina nawołującego do modlitwy.

– Poranne modlitwy – skwitował sierżant. – Chodźmy. – Pokazał na lewo. Dwaj rangersi podnieśli się i podporucznik ruszył za szefem batalionu, zaskoczony tym, jak bezgłośnie potrafi poruszać się ten olbrzym. Ciemność, która była do tej pory ich osłoną, zaczęła powoli poddawać się delikatnym odcieniom świtu. Jamison widział już rozciągające się po prawej miasto. – Tam. – Kamigami przykucnął w łożysku wyschniętego strumienia za wielkim kamieniem, który niegdyś omywała woda. – Czekamy tutaj.

Oficer kucnął obok sierżanta i rozejrzał się ostrożnie. Znajdowali się w dolnej części stoku niewysokiego wzgórza. Miasto Kermanshah leżało na południe od ich kryjówki. Widać było więzienie, znajdujące się na przeciwległym końcu miasta, może trzy kilometry od nich.

– Jesteśmy po złej stronie miasta – odezwał się Jamison i schował się z powrotem. Kamigami zajął jego miejsce i stęknął, kiedy zobaczył, gdzie jest więzienie.

– Sierżancie, co tam się stało, koło tej chaty?

– Przestraszyłem szczura koło ściany. Wbiegł do domu. Posuwałem się dalej, kiedy usłyszałem hałas ze środka. Wtedy próbowałem pan zastrzelić tego biedaka. On tylko chciał sprawdzić, skąd wziął się ten szczur. Nie miałem czasu na dyskusję,

dlatego zabrałem panu broń. – Sierżant oddał Jamisonowi browninga. – Gdybyśmy wydali jakikolwiek hałas, musiałbym go zabić, a nie chciałem tego.

– Trudno nam będzie posuwać się za dnia. Jak dostaniemy się stąd do więzienia?

– Kiedy zaczną spadać bomby, a samolot szturmowy będzie strzelał, ludzie będą się kryć. Przejdziemy prosto przez miasto, może zorganizujemy jakiś samochód. Coś się zbliża – Kamigami uniósł głowę nad krawędź parowu, przez cały czas trzymając się w cieniu skały. Słońce już prawie wschodziło. – Niedobrze – mruknął.

Zobaczył dwunastoletniego chłopaka, prowadzącego stokiem stadko kóz. Trzymał w ręku kij i mruczał jakąś niewyraźną melodię. Kamigami wyciągnął duży czarny nóż, który nosił przy sobie, i patrzył na idącego wprost na nich chłopca.

Zachodni Iran

– Skręcamy za trzydzieści sekund – poinformował oficer uzbrojenia Von Drexlera.
– Za pięć minut Punkt Rozpoczęcia. – Oficer uzbrojenia słyszał przez interkom ciężki, urywany oddech podpułkownika. – Będziemy lecieć wzdłuż górskiej doliny. Wystarczy światła, żeby zejść kilkadziesiąt metrów.

Von Drexler nie odpowiadał. Próbował skoncentrować się na pilotowaniu, jednak jego świadomość wracała wciąż do jednego, oszałamiającego faktu – znajdowali się nad terytorium wroga. Nad krajem rządzonym przez ludzi, którzy nienawidzili Amerykanów i zabiliby podpułkownika, gdyby został schwytany. Pożałował, że na „sponsora” wybrał sobie Mado, i że to ten generał będzie dbał o jego awanse. Von Drexler pamiętał dobrze pierwszą prywatną rozmowę z Mado w Nellis... Generał obiecał mu, że Task Force Alpha nigdzie nie wyruszy, tylko będzie odciągać uwagę nieprzyjaciela od prawdziwej misji.

– Zakręć teraz – odezwał się oficer uzbrojenia. Komputer i automatyczny pilot zrobiły, co do nich należało. Von Drexler powinien był zejść na wysokość stu dwudziestu metrów i polecieć doliną, pomiędzy zboczami gór. Wystarczyło lekko korygować kierunek, utrzymywany w zasadzie przez komputer. W tym momencie Amerykanie znaleźli się poniżej jastrzębia, który szybował wysoko nad doliną w poszukiwaniu porannej zdobyczy.

Ptak wyczuł zbliżający się odrzutowiec, jeszcze zanim go zobaczył, złożył skrzydła i zanurkował ku ziemi. Zdążył opaść zaledwie o siedem metrów, kiedy nastąpiło zderzenie. Jastrząb był małą samicą i ważył zaledwie pół kilograma, jednak siła uderzenia była olbrzymia. Ptak został rozerwany na strzępy. Trafił w krawędź lewego skrzydła, tuż przy kadłubie. Większa część szczątków jastrzębia trafiła do lewego silnika maszyny.

Dwaj mężczyźni odczuli uderzenie i krótkotrwałe zawahanie się obrotów lewego silnika.

– Zderzenie z ptakiem – powiedział oficer uzbrojenia, ciesząc się, że wszystko wydawało się być w porządku.

Von Drexler sprawdził przyrządy, wziął głęboki oddech i podjął decyzję. Wcisnął guzik nadawania i oznajmił nie wiedzieć komu:

– Kosiarka Dwa Jeden, przerywam misję, powtarzam: przerywam misję.

– Podaj przyczynę – odezwał się głos Doucette’a.

– Zderzenie z ptakiem. Lewy silnik – odpowiedział Von Drexler.

– Potwierdzam – powiedział Pochodnia. – Wykonaj przewidziane czynności kontrolne i jeżeli obroty i ciśnienie oleju będą w normie, kontynuuj lot. – Próbował uspokoić pilota, jednak Von Drexler już zawrócił i zaczął się wznosić.

– Wracaj na dół! – wrzasnął oficer uzbrojenia, popychając lekko drążek sterowy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Pilot jednak nie reagował i F-111 wznosił się ponad szczyty gór. Odezwał się antyradar, informując, że zostali namierzeni przez wiązkę irańskiego radaru. Von Drexler siedział jak słup soli. – Cholera jasna! – jęknął oficer uzbrojenia i przejął stery; pochylił dziób samolotu i zaczął zniżać się z powrotem.

– Ty pieprzony tchórze!... – zawołał z wściekłością Doucette w zaciszu swojej kabiny. Był to jedyny sposób, w jaki zdołał się powstrzymać przed nadaniem swojego komentarza przez radio na cały świat.

Amerykanie mieli jednak nadal szczęście – operator w Maragheh wprawdzie nie spał, leżał jednak jeszcze w łóżku i rozmyślał o pewnej kobiecie z miasta. Lecz fortuna kołem się toczy.

Kermanshah, Iran

– Łapanka, tu Romeo Jeden – odezwał się Trimler, trzymając przy uchu słuchawki krótkofalowego radia PRC-77, tak aby jednocześnie słyszeć, co się wokół dzieje. Drużyna rangersów przemieściła się na założoną pozycję, jednak żołnierze ciągle siedzieli w ciężarówkach, zaparkowanych przy drodze równoległej do frontu więzienia. Zatrzymali się tak, że lewe boki ciężarówek były widoczne z wieżyczek wartowniczych, a prawe osłonięte.

Carroll zapewnił Trimlera, że Kurdowie będą kierować wszystkich ewentualnych użytkowników drogi w inną stronę oraz że pozostałe ciężarówki czekają nieopodal, gotowe podjechać, kiedy tylko więzienie zostanie zabezpieczone. Obok swojego dowódcy znajdowali się dwaj żołnierze z laserowymi wskaźnikami celu – urządzeniami o wyglądzie krótkich, pękatych strzelb, które wysyłały do przodu

promień lasera. Bomba kierowana laserem zmierzała we wskazany punkt, trafiając weń z dokładnością rzędu dwudziestu – trzydziestu centymetrów.

– No odpowiedz, do cholery!... – mruknął Trimler. Nie wiedział, że Mado był zajęty rozmową z prezydentem Stanów Zjednoczonych przez satelitę. Kapitan popatrzył na zegarek. Nie było już czasu na czekanie, dał więc rangersom znak, żeby zeszli z ciężarówek i zajęli indywidualne pozycje. Mężczyźni pozeskakiwali z samochodów i pochowali się w rowie. Trimler wraz z operatorem PRC-77 poszli w ich ślady. Ciężarówki odjechały. Widać było teraz więzienie, odległe o trzysta metrów. Nikt nie podnosił głowy. Tylko długie cienie rzucane przez krawędź rowu kryły Amerykanów przed wzrokiem czuwających na wieżyczkach strażników.

Trimler zgłosił się przez radio po raz drugi. Odpowiedział mu Grom:

– Słyszę cię dobrze, Romeo Jeden, twoje towarzystwo odległe o jedną minutę.

Kapitan spojrział na zegarek i podniósł jeden palec. Za jedną minutę atak. Pokazał dwoma palcami na oczy, a następnie na cel – był to znak dla tych, którzy trzymali lasery. Dwaj mężczyźni wystawili głowy ponad rów. Jeden obejrzał przez lornetkę wieżyczki wartownicze, żeby sprawdzić, czy ich nie wykryto, drugi szukał wzrokiem nadlatujących F-111.

– Strażnik patrzy prosto na mnie – poinformował żołnierz. – Zaraz... odwołuję. Obserwuje coś na horyzoncie. – Teraz słychać już było zbliżający się odgłos nadlatującego odrzutowca.

– Upiór Zero Jeden, tu Kosiarka Dwa Trzy – odezwał się Doucette. Punkt Rozpoczęcia teraz. – F-111 leciał z prędkością ponad tysiąc kilometrów na godzinę, minął Punkt Rozpoczęcia i skierował się na cel. Pochodnia mknął na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów. Byli na czas. Gondola z czujnikami celu Pave Tack wysunęła się już z komory bombowej. Contreras ustawiał bombę na cel.

– Potwierdzam, Kosiarka – odpowiedział Beasley – wchodź i atakuj.

– Upiór, Kosiarka Dwa Jeden przerwała misję z powodu zderzenia z ptakiem – poinformował Doucette. – Nadlatuję w pojedynkę. Uderzam w prawą stronę muru i budynek administracyjny w pierwszym przelocie. – Pochodnia sprawdził po raz kolejny nastawy na pulpicie uzbrojenia. Nie chciał być zmuszonym do powtarzania ataku z powodu błędnego ustawienia któregoś przełącznika. Planował za to drugi przelot i zbombardowanie lewej strony muru, czyli celu Von Drexlera.

Contreras potwierdził, że magnetowid jest włączony, i nachylił się nad ekranem radaru, gotów przełączać na Pave Tacka. Pstryknął lewą ręką przełącznikiem i na ekranie zamiast obrazu radarowego pojawił się widok z kamery wideo w Pave Tacku. Ramon skorygował ustawienie kursorów, przełączył na podczerwień,

skorygował ponownie i uruchomił system.

Na pokładzie AC-130 Bryant i Mado kłócili się zaciekle.

– Powinni bombardować najpierw lewą stronę muru! – wrzasnął generał.

– Nie. Już za późno na zmianę. Kosiarka Dwa Trzy musi zrzucić dwie bomby na budynek administracyjny, żeby wyeliminować strażników. Wezwijmy Jacka. On może wybić dziurę z lewej strony muru.

Mado podjął jednak decyzję. Przełączył interkom na nadawanie przez radio i rzucił:

– Kosiarka Dwa Trzy, uderzaj w lewą stronę muru.

– Pochodnia, wal w budynek administracyjny – sprzeciwił się Stansell, nasłuchujący w swoim samolocie. – Jack, wejdź za Kosiarkę i bombarduj lewą stronę.

– Potwierdzam – odpowiedział Doucette.

– Potwierdzam – powtórzył Locke. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział przez radio od samego początku lotu; cały czas zachowywał ciszę. Teraz przerwał krążenie na małej wysokości i skierował się ku Kermanshah. Zobaczył przed sobą F-111 Doucette'a.

Mado odezwał się słowami:

– Wymieńcie wasze oznaczenia kodowe i potwierdźcie ostatnie wypowiedzi. Powtarzam, potwierdźcie ostatnie wypowiedzi.

– Pieprzyć ten hałas – mruknął Contreras. Rozpoznał wcześniej głos Stansella. Przesunął kursory odrobinę w prawo, po raz ostatni. – Gotów, gotów... – Patrzył na licznik odległości od celu. Kiedy wskazywana liczba zeszła do siedmiu tysięcy metrów, a licznik czasu osiągnął zero, Ramon zawołał: – Ciągnij!!! – Doucette uniósł dziób maszyny pod kątem czterdziestu pięciu stopni, postępując zresztą zgodnie z komendą komputera nawigacyjno-celowniczego.

F-111 podskoczył, podczas gdy oderwały się od niego dwie bomby.

– Bomby za burta! – zawołał Pochodnia przez radio. Zakręcił w prawo pod kątem stu dziesięciu stopni i zaczął wyrównywać lot. Contreras obserwował cały czas cel za pomocą Pave Tacka. Bomby będą lecieć przez prawie trzydzieści sekund, zanim uderzą w cel...

– Romeo Jeden – odezwał się w radiu Trimlera głos Bryanta – wskazujcie laserem najpierw prawą stronę. Powtarzam: wskazujcie najpierw prawą stronę muru.

– Romeo Jeden potwierdza – odparł kapitan rangersów. – Prawa strona najpierw. – Pokazał na jednego z żołnierzy i rzucił: – Laser kieruj, prawa strona. – Mężczyzna wystawił głowę zza rowu i wycelował laserem w mur.

– Laser świeć – odezwał się głos przez radio. Trimler podgłośnił odbiór, żeby jego żołnierz słyszał komunikat. Teraz nie było już potrzeby zachowywania ciszy.

– Gadżet świeci – poinformował rangers, naciskając spust do połowy, żeby ustalić położenie celownika, a następnie dalej, uruchamiając laser.

– Gadżet świeci – powtórzył Trimler do mikrofonu. Żołnierz z lornetką zawołał:

– Strażnik zobaczył samolot, zbiega z wieżyczki, jakby się paliło. Widzę bomby.

– Obserwatorzy w dół! – warknął Trimler, nie chcąc, żeby któryś z żołnierzy został trafiony odłamkami...

Mary Hauser leżała skulona na pryczy, próbując zatrzymać tyle ciepła, ile tylko się dało. Po raz pierwszy cieszyła się, że ma irańską szatę, która mogła służyć za koc. Kiedy Amini – dobry strażnik – powiedział, że czas już wracać do celu, przykryła Landisa swoim kocem. Amini protestował, ale ona zaczęła podnosić głos. Poddał się w obawie, że ktoś ich usłyszy.

Z początku Mary nie słyszała stłumionego łoskotu. Nagle, kiedy odgłos się zbliżył, rozbudziła się zupełnie. Zorientowała się, że koło więzienia przelatuje z dużą prędkością odrzutowiec. Wiedziała, co to oznacza.

– Chodźcie, kochani, chodźcie! – zawołała. Zdała sobie sprawę, że słychać ją było na całym korytarzu. Miała nadzieję, że także na innych korytarzach budynku administracyjnego, a w szczególności, że usłyszał ją Mokhtari.

– Doktorze, na podłogę! – krzyknęła, staczając się z pryczy i chowając pod nią.

Dwie dwustudwudziestopięciokilogramowe kierowane laserem bomby leciały ku więzieniu. Bombardowanie zostało wykonane perfekcyjnie i głowice obu bomb wykryły odbitą od ścian laserową wiązkę. Zaczęły szarpać się w locie, korygując jego trajektorię. Pierwsza z bomb uderzyła w mur o sześćdziesiąt centymetrów w lewo od wskazywanego przez rangersa punktu i eksplodowała. Żołnierz widział, jak bomba trafia, i rzucił się do rowu. Rangersi poczuli na sobie podmuch eksplozji, usłyszeli straszliwy łoskot i zobaczyli błysk. Bywali już jednak w takich sytuacjach podczas ćwiczeń, dlatego nie powpadali w panikę.

Po pierwszej eksplozji odbierana przez drugą bombę wiązka znikła. Celownik ładunku bomby przełączył się więc na pamięć i bomba kontynuowała lot po ostatniej trajektorii. Przeleciała przez opadające jeszcze szczątki muru, w miejscu, gdzie jej poprzedniczka zrobiła wyrwę, i trafiła w budynek administracyjny, eksplodując od uderzenia.

F-15E mknął doliną z prędkością równo tysiąc kilometrów na godzinę. Cienie

i poranna mgielka ograniczały widoczność, jednak czujnik podczerwieni znajdujący się z przodu pod wlotem prawego silnika nadawał wyrazisty obraz do projektora HUD pilota. Zostało im jeszcze piętnaście kilometrów.

– Amb, zrzuć snakeye – poinformował pilot swojego oficera uzbrojenia. Snakeye była dwustudwudziestopięciokilogramową bombą.

Furry żałował, że nie mają GBU-15 z dziewięćsetkilową głowicą bojową. Miał ochotę nakierować na więzienie coś dużego. Wykonując swoją pracę nie wsadzał nosa w ekran, tak jak Contreras. Siedział prosto obserwując jednocześnie umieszczone przed nim cztery ekrany. Jego dłonie przygotowywały system do wypuszczenia bomby. Nakierował kursory na cel, w który zamierzał trafić Jack. Obraz radarowy zgadzał się idealnie z tym z kamery podczerwonej. Ambler uruchomił system.

– Masz sterowanie – rzucił Jackowi.

– Zobacz, czy nie da się poprawić obrazu – odparł pilot.

Furry zajął się znowu ekranem radaru. Powiększył obraz okolic więzienia i zamroził go.

– Ale czad! – zawołał Locke przez interkom. – Doucette trafił. Obie bomby prosto w celu. Amb, oceń zniszczenia. – Furry popatrzył nad prawym ramieniem kapitana. Widział dym i pył wydobywające się wciąż z prawej strony więzienia. HUD pokazywał Jackowi, że leci wprost na cel, a sterowanie jest ustawione, jak trzeba.

Na kasecie wideo, na której nagrywał się przelot, wszystko wydawało się łatwe. Jednak nowoczesne systemy nawigacyjne i celownicze, w jakie wyposażony był samolot, działały dzięki umiejętnościom siedzących w kabinie ludzi. Nie było lepszego pilota myśliwskiego niż Jack Locke, spokojny profesjonalista, który przeżył już prawdziwą walkę. Doświadczenie nauczyło go, jak radzić sobie ze straszliwym stresem pojawiającym się podczas lotu bojowego. Niewielu było w stanie poradzić sobie z panującym wokół chaosem i niezliczoną liczbą zadań, które musiały zostać podczas walki powietrznej wykonane błyskawicznie i poprawnie. Łatwe życie i kariera zawodowa nie były tym, czego doświadczał pilot myśliwski. Jego egzystencja była trudna, ale Locke taką wybrał. I wykonywał swój zawód po mistrzowsku.

Kiedy mijali otwartą przestrzeń przed więzieniem, Furry zobaczył przykucniętych w rowie rangersów i poczuł, jak bomba odrywa się od samolotu. Po chwili znajdowali się już nad kompleksem, biegnąc dalej prosto, aby umknąć odłamkom własnej bomby. Jack pochylił maszynę na prawo, żeby łatwiej się było przyglądać budynkom. Minęli stare baraki znajdujące się za więzieniem i Jack skręcił w prawo, żeby można było popatrzeć, gdzie trafiła bomba.

– W celu! – zawołał Furry, gdy zobaczył wyłom w murze. – Niewiele zostało z budynku administracyjnego. Doucette wywołał pożar, pewnie wszyscy strażnicy się usmażyli. Rangersi nie mają tam czego szukać.

– Nadlatuje Upiór – zauważył Jack. Szturmowy AC-130 był tuż za nimi. Lewy pylon maszyny obrócił się pod kątem trzydziestu stopni...

Mokhtari kończył już się ubierać, kiedy usłyszał głęboki odgłos nadlatującego nad więzienie F-111. Przez chwilę stał, nie mogąc rozpoznać narastającego dźwięku. Kiedy zrozumiał, że to samolot, dał nura pod łóżko. Poczł eksplozję pierwszej bomby, która trafiła w mur. Nie był przygotowany na potęgę wybuchu drugiej, która eksplodowała wewnątrz samego budynku. Łoskot i wstrząs oszołomiły go, jednak nie stracił przytomności. Jak gdyby w półśnie poczuł, że podłoga pod nim zawala się, a on spada piętro niżej.

Był półprzytomny, widząc zawalające się wokół ściany. Potem zobaczył ciemnoszarego F-15 Jacka Locke'a śmigającego tuż nad więzieniem. Mokhtari poczuł nienawiść. Miał ochotę pozabijać Amerykanów. Wtedy eksplodowała bomba Jacka i jej podmuch spowodował, że naczelnik więzienia stracił przytomność.

Dwa głuchoe odgłosy odbiły się echem ponad doliną Kermanshah. Młody pasterz odwrócił się, stojąc trzy metry przed parowem, w którym siedzieli Kamigami i Jamison. Jak większość dwunastoletnich chłopców, pastuszek wyobrażał sobie często bohaterskie czyny i niezwykle wydarzenia. Nagle poczuł się ogłupiały, odzyskując w brutalny sposób kontakt z rzeczywistością. Gapił się na unoszący się nad południowym krańcem miasta dym, próbując wykryć jego źródło. Zobaczył nadlatujący nad więzienie, a potem wznoszący się samolot Locke'a. Chłopak wyobraził sobie przez chwilę, że to on siedzi w kabinie myśliwca i zabija amerykańskich wrogów, o których słyszał w telewizji i w radiu.

Wtedy doliną wstrząsnęła eksplozja trzeciej bomby i chłopak wiedział już, co to oznacza. Znienawidzeni Amerykanie atakowali więzienie, bombardując jego mury. Puścił się biegiem do rodzinnej chaty, unikając czającej się trzy metry dalej śmierci. Zatrzymał się, żeby pozbierać kozy, jednak rozmyślił się, odwrócił po raz drugi i pobiegł dalej...

Kamigami odczekał, aż nie będzie już słyszał kroków chłopca, i wystawił głowę z parowu, trzymając się wciąż w cieniu skały. Upewnił się, że pozostali sami. Schował nóż i podniósł karabin M-16 z granatnikiem umieszczonym pod lufą.

– Czy naprawdę miał pan zamiar...? – Jamisonowi głos ugrzązł w gardle.

Sierżant poprawił pasek hełmu, nie odpowiadając. Pokazał tylko przed siebie

i mężczyźni ruszyli parowem.

Beasely opuścił odrobinę klapy, zwalniając do trzystu kilometrów na godzinę. Uniósł nieco dziób i AC-130 zaczął krążyć wokół więzienia.

– Mam cel w podczerwieni i na monitorze – odezwał się przez interkom operator urządzeń celowniczych, znajdujący się na pokładzie ładunkowym.

Oficer kierowania ogniem wyskoczył z fotela i popatrzył nad drugim pilotem, oceniając widoczność celu. Usiadł z powrotem.

– Przełącz na podczerwień, dym i pył trochę zasłaniają – powiedział. Nacisnął przyciski na pulpicie kierowania ogniem i wprowadził podczerwony obraz do komputera strzeleckiego.

– Widzę trzy wieżyczki wartownicze – odezwał się drugi pilot. – Czwartą, przy budynku administracyjnym, zawaliła się. Na terenie kompleksu nie widać żadnego ruchu. Wszyscy pewnie jeszcze się chowają.

– Potwierdzam – odpowiedział Beasely. – Najpierw likwidujemy wieżyczkę z przodu, a potem dwie tylne. Dajcie mi czterdziestki. – Oficer kierowania ogniem przełączył spust na dwulufowe działo firmy Bofors, wystające z kadłuba za osłoną lewego podwozia głównego. Operator urządzeń celowniczych siedzący w swojej gondoli naprowadził linie na ekranie na wieżyczkę. Kiedy uruchomił system, na monitorze pojawił się romb, obejmujący konturem cel. Taki sam romb ukazał się na HUD-zie pilota.

– Czterdziestki gotowe – poinformował siedzący z tyłu ładowniczy.

Drugi pilot zachowywał wysokość i prędkość samolotu, podczas gdy Beasely ustawiał promień skrętu. Aby uruchomić potężną siłę ognia, jaką dysponował AC-130, załoga musiała ściśle ze sobą współpracować, co wielokrotnie przedtem ćwiczyła. Beasely wyjrzał przez HUD zamontowany koło lewego okna kabiny i ustawił stery i drążek tak, aby umieścić świetlne koło na HUD-zie wewnątrz rombu, który obejmował sobą wieżyczkę. Kółko pokazywało pole rażenia działka. Pilot ściągnął spust i posłał w stronę wieżyczki krótką serię pocisków, która trwała mniej niż dwie sekundy. W tym czasie wieżyczka została rozerwana wybuchami ośmiu pocisków.

Beasely poruszył teraz sterami, aby zakręcić wokół drugiej wieżyczki. Widział machającego w jego stronę wartownika. Nacisnął spust po raz drugi, zmiatając górną część wieży.

– Chyba chciał się poddać... – mruknął, kierując się ku trzeciej wieżycze. Operator reflektora zamontowanego z tyłu pokładu ładunkowego wykonywał najważniejszą część swojej pracy – leżał na tylnej rampie. Zamiast spadochronu, przypiętą miał do

uprząży linę, która trzymała go wewnątrz samolotu, podczas gdy wystawiał nad końcem rampy górną część ciała. Kontrolował „godzinę szóstą” i marzył.

– Strzelają z wieżyczki! – zameldował przez mikrofon.

Beasely szarpnął samolot w prawo. Uważał, że żaden dowódca AC-130 nie może zignorować ostrzeżenia operatora reflektora.

– Czym? – rzucił.

– Tylko broń ręczna – odpowiedział sierżant. – Rangersi biegną do muru.

– Dajcie sto piątkę – rozkazał Beasely. Proces przygotowawczy powtórzył się i samolot zaczął krążyć po kolejnym torze. Po naciśnięciu spustu załoga usłyszała głuchy łomot, a potężna maszyna drgnęła od odrzutu działa kalibru sto pięć milimetrów zamontowanego w lewych drzwiach spadochronowych. Wieżyczkę ogarnęła kula ognia. Kiedy opadł dym i szczątki, na jej miejscu nie było nic.

AC-130 okrążył całe więzienie, pozwalając generałowi Mado i Bryantowi przyjrzeć się sytuacji przez lornetki.

– Pierwszy C-130 jest już nad lotniskiem – poinformował ich Beasely. – Czy mam zezwolić eskortującym F-15 na powrót do tankowca? – Mado zawahał się. Dopiero kiedy Grom wytłumaczył mu, że tak stoi w planie, generał udzielił swojej zgody. Beasely skręcił na północ. – Odsuwamy się z drogi i kierujemy na stanowisko kontrolne – powiedział. – Zdecydował, że będzie mówił generałowi, co w danej chwili robi, zamiast czekać na jego polecenia.

Grom patrzył, jak hercules Mallarda przelatuje nad położonym cztery kilometry na wschód lotniskiem. Nieustraszony wojownik Mado połączył się przez SatCom z Pentagonem, żeby przekazać aktualny obraz sytuacji.

Rozdział czterdziesty siódmy

Godzina Zero plus 11

Kermanshah, Iran

Pierwsza czwórka rangersów dobiegła do muru. Z olbrzymich wyrw wybitych przez bomby jeszcze się dymiło. Krzepki sierżant biegnący na czele zawahał się i obejrzał. Zobaczył nadbiegające kolejne trzy drużyny. Kapitan Trimler i jego radiooperator także wyskoczyli z rowu i pędzili przed siebie, a dwie obsługi cekaemów M-60 rozbiegały się na boki. Ustawiają się na końcach rowu, żeby zabezpieczać flanki więzienia i drogę.

Sierżant wskazał na mur i przekroczył wyłom, przykucając ze swoim ręcznym karabinem maszynowym MP5 kalibru dziewięć milimetrów. Najwyższy z czwórki skoczył tuż na nim, spoglądając nad ramieniem sierżanta. Trzeci z rangersów przypadł z prawej strony, czwarty przysunął się tyłem, obserwując, czy ktoś ich nie zajdzie od tamtej strony. Drużyna ruszyła biegiem, żeby pokonać trzydzieści trzy metry dzielące ich od wejścia do głównego budynku. Druga czwórka także przekroczyła mur. Na razie nie było żadnej reakcji ze strony strażników.

Drużyna zatrzymała się, żeby zmienić ustawienie. Sierżant zawiesił karabin z powrotem na ramieniu i odpiął granat ogłuszający. Najwyższy z żołnierzy wyciągnął pistolet. Pozostała dwójka czekała. Dowódca wyciągnął zawleczkę, otworzył drzwi na oścież, a sierżant wrzucił do środka granat, padł i wyciągnął berettę. Błysnęło i po korytarzach rozległo się echo. Czterej żołnierze wpadli do środka w taki sam sposób, w jaki przekraczali mur.

Dowodzący sierżant był najniższym z czwórki i to on wbiegł pierwszy po krótkich schodach wiodących na parter. Najwyższy posuwał się tuż za nim, spoglądając mu nad prawym ramieniem. Drzwi pomieszczenia straży były otwarte. Sierżant wpadł przez nie skosem, wyciągając przed sobą trzymaną obiema rękami maszynową berettę. Szarpnął się w prawo, potem ku środkowi, w tym czasie drugi zdążył już wpaść i rzucić się ku lewemu kątowi. W pokoju znajdowało się dwóch strażników. Jeden z nich przykucnięty na podłodze trzymał w prawym ręku słuchawkę telefonu. Sierżant zabił go, strzelając mu w głowę. Drugi stał na bosaka z rękami nad głową. Przeżył. Zabezpieczający wpadł przez drzwi i skrępował nadgarstki i kostki strażnika plastikowymi kajdankami. Najwyższy z drużyny zakleił mu tymczasem

usta szeroką taśmą. Rangersi wypadli z pokoju i pobiegli na drugie piętro, mijając drużynę, która oczyszczała pierwsze.

Na klatce schodowej rozległy się wystrzały. Druga drużyna natknęła się w wartowni na trzech Irańczyków czekających z wyciągniętą bronią. Pierwsza drużyna odczekała, aż dano im znak, żeby biegli wyżej. Usłyszeli z piwnicy pojedynczy wystrzał, po którym rozległy się cztery strzały z pistoletów kalibru dziewięć milimetrów. Na tym się skończyło.

Zanim dotarli do półpiętra, sierżant zobaczył nad sobą nieznacny ruch. Wystarczyło. Zatrzymał się i pokazał cień palcem wskazującym, jednocześnie opuszczając kciuk. Był to znak „nieprzyjaciel”. Zabezpieczający wypoziomował M-16 i na znak sierżanta ruszył na półpiętro. Potknął się jednak na ostatnim schodku i upadł. Przetoczył się i wypuścił serię w górę schodów. Pojedynczy strzał trafił go w łydkę, strzaskując kość strzałkową.

Cisza.

Sierżant schował pistolet i przygotował karabin. Wszedł cicho po schodach i wypuścił na oślep serię w górę. Najwyższy obszedł go i wypuścił cztery strzały w czającą się nad nimi postać. Po schodach zsunęło się ciało.

Rangersi przegrupowali się i ruszyli dalej. Z drzwi wartowni odezwała się seria, oczyszczając miejsce przed nimi, ale nie schody. Ktokolwiek siedział w środku, nie miał ochoty wyglądać na zewnątrz. Sierżant odpiął granat odłamkowy, wyciągnął zawleczkę, podpełzł do drzwi, wrzucił granat i szybko wycofał się. Eksplozja wstrząsnęła pokojem i po chwili wpadli do niego, sypiąc kulami. Dwie trafiły w głowę leżącego na podłodze strażnika. Rangers posłał kopniakiem w kąt znajdującego się obok niego kałasznikowa. Rozejrzeli się, czy nie ma więcej strażników. Walka zakończyła się tak szybko, jak się rozpoczęła.

– Kamigami dobrałby się panu do tyłka, gdyby tu był... – mruknął najwyższy z czwórki.

– Za co? Poszło idealnie, poza tym, że ten palant się potknął. – Zobaczyli, że kolejny z rangersów opatruje rannego towarzysza.

– Akurat. Nie pokazał pan drugiej drużynie, że może wbiegać na pierwsze piętro. Następnym razem...

Stansell widział unoszący się nad więzieniem dym. Mallard prowadził C-130 ponad dachami Kermanshah. Pilot leciał prosto, na wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Zwolnił, gdy zbliżyli się do lotniska i nakierowali na pas.

– Uwaga, jedna minuta – odezwał się Pijak.

– Nie będziemy tędy wracać – powiedział Kaczka – jednak nie ma to jak przelecieć

nisko, żeby zniechęcić nieproszonych gości. – Pułkownik zgadzał się z pilotem.

– Widzę pas – oznajmił Dunkin. – Uwaga, trzydzieści sekund. – Dowódca ładowni potwierdził odebranie komunikatu. Rangersi byli gotowi do ataku na lotnisko.

Dowódca zrzutu stał przy lewych drzwiach spadochronowych i wystawiał głowę na wicher, żeby sprawdzić lotnisko. Przeprowadził już z Dunkinem dość ćwiczebnych zrzutów, żeby mu ufać, jednak teraz brali udział w prawdziwej misji bojowej.

Poleciał kiedyś z rangersami nad Grenadę i wiedział, co może się zdarzyć w warunkach wojennych, więc osobiście przeprowadził ostatnią kontrolę. Dunkin prowadził, jak należało. Samolot zwolnił jeszcze bardziej.

– Gotów! – wrzasnął dowódca zrzutu do drużyny, która miała za zadanie oczyścić lotnisko. Siedemnastu żołnierzy ustawiło się w dwóch rzędach wzdłuż burt herculesa. Nie mieli skakać przez drzwi dla spadochroniarzy, tylko wprost z tylnej rampy. Kierujący zrzutem pokazał na pierwszy rząd. Rangersi stali jeden za drugim, ściskając w prawych dłoniach linki do otwierania spadochronów, a lewymi trzymając poprzedzającego ich towarzysza. Mieli umocowaną do boków broń, zabezpieczoną i naładowaną.

Światło koło drzwi dla spadochroniarzy zmieniło się z czerwonego na zielone.

– Zielone światło! – zawołał Dunkin przez interkom.

– Skok!!! – wrzasnął dowódca zrzutu, kiedy zobaczył, że światło zmienia kolor. Nie był to zwykły zrzut, z jednosekundowymi odstępami. Pierwszych ośmiu mężczyzn zbiegło z rampy, popychając się nawzajem. Dwóch, którzy znajdowali się na samym przedzie, wyskoczyło, zanim Dunkin skończył mówić „Zielone światło!” Rangersi byli ustawieni tak blisko siebie, że drugi uderzył twarzą w pokrywę spadochronu pierwszego. Po dwóch wahaniciach rozłożonych czasz byli już na ziemi.

Dowódca zrzutu wskazał na drugą grupę, złożoną z dziewięciu ludzi. Siedem sekund później drugi raz zawołał:

– Skok!!! – Mężczyźni zbiegli po rampie. Ostatni dwaj zrobili to z niejakim lękiem – byli to sierżanci Sił Powietrznych, tworzący Bojową Drużynę Kontroli i mający udzielać C-130 zezwolenia na lądowanie.

– Nienawidzę takiego grupowego macania się – mruknął jeden z sierżantów, nikt jednak go nie słyszał. Wylądował o pół kilometra od pierwszej ósemki.

Większość rangersów wylądowała w standardowy sposób, wykonując przewrót w tył. Najpierw hamowali stopami, potem pośladkami i plecami. Jednak jeden z żołnierzy przewrócił się w przód i wskutek tego wstał z wygiętym karabinem. Ściągnął uprząż, odrzucił bezużyteczną broń i pobiegł do pierwszego celu, aby

pomóc oczyścić i zabezpieczyć jedyny na pustym lotnisku budynek.

Inni rangersi zajęli pozycje zabezpieczające na obu końcach pasa. Pozostali biegli pasem, usuwając na bok wszelkie przedmioty i sprawdzając stan nawierzchni. Sześciu żołnierzy odepchnęło dalej porzucony wrak samochodu bez kół. Pas był czysty. Bojowa Drużyna Kontroli biegła, dźwigając przenośne radionadajniki i również sprawdzała stan nawierzchni.

– Pas jest świetny – odezwał się jeden z kontrolerów. – Jak dostaniemy miotły, to mogą lądować nawet myśliwce. – Mężczyźni nastavili radia, wywołali Upiora Zero Jeden i przekazali herculesom zezwolenie na lądowanie.

Pentagon, Waszyngton

Mały głośnik przed Cunninghamem zatrzeszczał, szarpiąc jego nerwy. Kontrolka potwierdziła, że nasłuchiwał kanału pierwszego, nastawionego na połączenie satelitarne z siedzącym w Upiorze Zero Jeden Mado. Generał ściszył i popatrzył na siedzącą poniżej niego w następnym rzędzie major Sił Powietrznych. Oficer pracowała przy pulpicie, próbując przywrócić łączność. SatCom nie polegał na starym urządzeniu kodującym KY-57, lecz posługiwał się szybką zmianą częstotliwości. Od czasu do czasu częstotliwości nadajnika i odbiornika rozchodziły się i wtedy trzeba je było z powrotem zgrać. W przeciwnym wypadku słychać było jedynie drażniący hałas, zniechęcający ewentualnych odbiorców. Major odezwała się przez mikrofon:

– Proszę czekać na przywrócenie łączności.

– Cholera! – krzyknął Leachmeyer. – Proszę uzyskać połączenie, bo sprowadzimy kogoś innego, kto umie to zrobić.

– Jestem na trybie ręcznym. Momencik – odpowiedziała major. Cunningham nachylił się ku Leachmeyerowi, który siedział obok niego.

– To ograniczenie systemowe – uspokoił go. – Ona sobie poradzi. – Jak na zawołanie, pojawił się czysty głos generała Mado.

– Łapanka, tu Skarb – nadała major. – Proszę powtórzyć ostatni komunikat. – Zmierzchowi podobało się, w jaki sposób oficer opanowała sytuację.

– Skarb, tu Łapanka – odpowiedział Mado. – Drużyna „Romeo” zabezpieczyła więzienie o 0303 Zulu. Lotnisko zostało zabezpieczone o 0311 Zulu. – W Centrum Dowodzenia rozległ się okrzyk radości.

– Są przed czasem – zauważyła Dewa. Patrzyła na główny zegar i przeliczała minuty. Nie potrzebowała zaglądać do księgi, żeby sprawdzić, kiedy przewidziane są kolejne punkty planu. Miała to zapisane w głowie. Dziewięćdziesiąt minut na

ziemi...

Cunningham zauważył, że otrzymali meldunki o osiągnięciu poszczególnych celów z opóźnieniem trzech do jedenastu minut. Nie najgorzej, pomyślał.

– Chcę, żeby policzyć jeńców – rozkazał Leachmeyer – i rozpocząć ich przenoszenie w ciągu pięciu minut. – Jeśli będziecie musieli, użyjcie przywiezionych jeepów.

Dewa pokręciła głową.

– Panie generale Cunningham, C-130 dopiero lądują, a jeepy są potrzebne do zabezpieczenia drogi. Koło więzienia jest ważne skrzyżowanie z szosą – Cel Czerwony – które musimy kontrolować. Zablokuje to dojazd do więzienia od strony zachodniej...

– Charlie – przerwał Cunningham, starając się uspokoić kolegę – niech robią tak, jak przewiduje plan. Przewiozą jeńców, kiedy tylko będą gotowi. To nie my dowodzimy tą misją. – Ponad Leachmeyerem widać było prezydenta. Chodził podniecony po stanowisku dowodzenia, chcąc kontrolować akcję.

– Delta Force już by stamtąd odleciała – mruknął Leachmeyer.

– Walczyliby o przeżycie – odciął się Zmierzch. – Dlatego, że wszyscy Irańczycy, do ostatniego palanta, wiedzieliby o ich operacji. Charlie, jak ci się zdaje, dlaczego wysłaliśmy jednak Task Force Alpha? Pozwól im wykonać robotę.

Kermanshah, Iran

Dwuosobowe drużyny rangersów posuwały się długim korytarzem każdego piętra, sprawdzając, czy drzwi cel są pozamykane i otwierając osłony małych okienek, żeby popatrzeć na więzionych. Każdy rangers miał przy sobie listę jeńców i metodycznie odhaczał na niej nazwiska. Na dziedzińcu zapędzono w kąt strażników, którzy przeżyli atak. Dwóch z nich było ciężko rannych. Trimler urządził w wartowni na parterze stanowisko dowodzenia. Jego radiooperator nawiązał łączność z Łapanką.

– Sir – zgłosił się jeden z żołnierzy – przeliczyliśmy parter. Dziewięćdziesięciu siedmiu jeńców, w tym pułkownik Leason.

Drugi rangers nadbiegł z piwnicy.

– Kapitanie, w piwnicy mamy ofiarę. Strażnik zastrzelił jeńca, zanim zdołaliśmy zabezpieczyć miejsce. – Żołnierz był wyraźnie wstrząśnięty. – Boże... Tam jest sala tortur. Ten biedak siedział w pudełku wielkości szafki...

– Co z jeńcem? – upewnił się Trimler, opanowując gniew.

– Nie żyje, sir. Wyciągamy ciało.

– A strażnik?

– Dostał cztery kule. Ale jeszcze żyje.

– Przynieście ciało. – Złość rozpierała kapitana. – Sprowadźcie tu strażnika z parteru, już. – Kilkanaście sekund później wprowadzono strażnika. Zdjęto mu kajdanki z nóg, jednak ręce ciągle miał skute za plecami, a usta zaklejone samoprzylepną taśmą. Nagle zza rogu wychynął Bill Carroll w towarzystwie młodego Irańczyka.

– Kto to jest?! – warknął Trimler.

– To Mustafa Sindi – odpowiedział Carroll. – Mówiłem panu o nim. Dowodzi Kurdami. Ciężarówki czekają za murem.

Kapitan rangersów spojrział na strażnika i pokazał na skrzynkę sterowania, która otwierała wszystkie cele na parterze.

– Otwieraj – rzucił. Strażnik pobladł ze strachu, ale pokręcił głową. Mustafa zagadał coś szybko w farsi i zerwał mężczyźnie z ust taśmę. Strażnik wypowiedział parę słów.

– Niech pan uwolni mu ręce – poprosił Carroll. – Otworzy cele.

– Co on mu, u licha, powiedział? – zapytał Trimler.

– Mustafa dał mu wybór: otwieraj cele i żyj dalej albo staniesz przed Mullą Haquim. Oczywiście, wtedy też by żył, jeszcze przez całe dwa dni tortur – wyjaśnił Bill, bez cienia rozbawienia. Uwolniony strażnik pospiesznie wstukał do urządzenia sterowniczego czterocyfrową kombinację. Błysnęło zielone światełko i wtedy przesunął dźwignię. Rozległ się szcęk biegnącej wzdłuż górnych krawędzi drzwi sztaby zamykającej. Jeńcy z parteru byli wolni.

– Sprowadźcie tu Leasona i ładujcie ich do samochodów – rozkazał Trimler. – Policzcie ich przy tym jeszcze raz. Przewieziemy ich, kiedy tylko droga będzie zabezpieczona. – Zwrócił się teraz do radiooperatora. Ten zameldował, że nawiązał łączność z AC-130.

– Przekaż nasz status – polecił kapitan. – Ciężarówki na miejscu, ładujemy dziewięćdziesięciu siedmiu jeńców, przewieziemy ich, kiedy droga zostanie zabezpieczona.

Wpadło dwóch kolejnych żołnierzy.

– Dziewięćdziesięciu pięciu na pierwszym piętrze – powiedział jeden.

– Osiemdziesięciu siedmiu na trzecim – dorzucił drugi.

– Licząc z tym z piwnicy to daje razem dwustu siedemdziesięciu dziewięciu. Brakuje trzech.

– Wiem, co z nimi – odezwał się kolejny głos. Był to Leason, najstarszy stopniem spośród jeńców. Rangersi popatrzyli na niego z przerażeniem. Pułkownik był

brudny i wychudzony, bosi, w podartym ubraniu. – Sierżant sztabowy Macon Jefferson został zabity. Podpułkownik Jeffrey Landis i kapitan Mary Hauser są przetrzymywani w piwnicy budynku administracyjnego.

Carroll z Mustafą wypadli z pomieszczenia. Pojawił się za to żołnierz z meldunkiem:

– Mamy kłopoty, sir. Nie możemy otworzyć cel na piętrach.

Kaczka posadził samolot na pasie. Dotknął go głównym podwoziem siedem metrów od miejsca, które wskazała mu Bojowa Drużyna Kontroli, opuścił dziób herculesa i cofnął przepustnicę do oporu. Następnie uniósł je ponad małym progiem i włączył wsteczne obroty śmigieł. Wcisnął hamulce i zatrzymał wielki transportowiec po zaledwie pięciuset pięćdziesięciu metrach.

Zanim jeszcze C-130 zwolnił, uniesiono już tylne wrota i opuszczono rampę. Mallard powstał chwilę na pasie, podczas gdy rampa dotknęła ziemi i zjechały po niej dwa motocykle i dwa pełne żołnierzy i sprzętu jeepy. Kierowcy natychmiast po znalezieniu się na pasie dodali energicznie gazu i pojechali. To były pierwsze ze Szczurów – drużyn na jeepach, których zadaniem było zabezpieczenie drogi.

Kaczka zjechał z pasa na utwardzoną ziemię, gdzie skierował go jeden z sierżantów Drużyny Kontroli. Tymczasem drugi hercules już lądował.

Dwa zmodyfikowane motocykle crossowe pierwsze opuściły teren lotniska i skręciły w polną drogę, wiodącą ku więzieniu. Jeepy zdążyły za nimi. Kierowcy samochodów potworzyli odpowiednie odstępy, a radiooperatorzy uruchomili radia MX-360, żeby drużyny mogły się porozumiewać. Szczury były wyposażone w cekaem M-60 zamontowany przy tylnym siedzeniu i drugi, umieszczony na pokrywie silnika, przed fotelem pasażera. Każdy z samochodów, poza czterema ludźmi, wiózł jeszcze cztery ręczne rakiety przeciwpancerne, miny śrutowe typu Claymore oraz cztery dragony – rakiety przeciwczołgowe średniego zasięgu, które miały zasięg ponad kilometra i także mogły być przenoszone przez pojedynczego żołnierza.

Na pierwszym skrzyżowaniu pierwszy motocykl skręcił i pognął nową drogą, podczas gdy reszta pojazdów popędziła dalej. Ponieważ motocyklista nie dostrzegł żadnego ruchu, pogonił za jeepami. Jechały teraz żwirowaną drogą, okrążającą południowo-wschodnie krańce miasta. Skrzyżowania będzie pilnować druga drużyna. Pierwsza musiała jechać dalej i dotrzeć do Celu Czerwonego – głównego skrzyżowania, położonego na południe od Kermanshah. Tam droga do więzienia łączyła się z szosą łączącą Kermanshah z Shahabadem. Skrzyżowanie to znajdowało się w dolince, utworzonej przez wzgórza, wznoszące się po obu stronach szosy.

Gdyby stacjonujący w Shahabadzie pułk pancerny wyruszył na odsiecz, musiałby wjechać w tę dolinkę.

Zwiadowca jadący przodem zwolnił motocykl, zbliżając się do więzienia. Rozglądał się za wartą drużyną „Romeo”. Zobaczył dwóch ludzi, przykucniętych w rowie po prawej stronie drogi. To powinna być obsługa M-60, pomyślał. Popatrzył na znajdujące się po lewej więzienie – i nagle zginął, powalony serią z opuszczonych, jak sądził, baraków. Motor zachwiał się i zrzucił ciało do rowu, przywalając je. Obsługa cekaemu M-60 odpowiedziała ogniem, próbując powstrzymać zbliżające się zza więzienia zagrożenie.

Wraz ze śmiercią zwiadowcy pogrzebana została starannie zaplanowana operacja „Wojownik”, zamieniając się w bitwę pod Kermanshah.

– Tędy! – zawołał do Mustafy Carroll, oczyszczając okno z resztek szyby. Kurd popatrzył na budynek administracyjny więzienia i stwierdził, że nie chce tam wchodzić. Bomba Doucette’a zrobiła swoje. Piętro zawaliło się na parter, a koniec zniszczonego budynku trawił pożar. Mustafa pokręcił głową i wlaźł za Amerykaninem przez okno. Zatrzymał ich straszliwy krzyk. To uwięziony pod gruzami strażnik umierał w płomieniach.

– Niech się spali – rzucił Carroll.

Mustafa nie mógł się z tym pogodzić. Podbiegł do rumowiska i dostrzegł przez ogień przywalonego murem człowieka. Podniósł uzi i zastrzelił go.

– Mary!!! – zawołał Bill, ile tylko miał sił w płucach.

– Tu, w piwnicy! – odpowiedział mu słaby głos.

Carroll popatrzył na piętrzący się przed nim gruz, zza którego odezwała się Mary. Na plecach czuł wciąż gorąco pożaru. Wtedy z rumowiska wyszła o własnych siłach brudna, zakrwawiona postać.

– Wozak, tu Szczur Dziewięć. Cel zabezpieczony. – Ostatnia z drużyn na jeepach zameldowała się za pośrednictwem PRC-77. „Wozakiem” oznaczono lotnisko. Stansell przyglądał się, jak Gregory i jego S-3, czyli oficer operacyjny batalionu, zaznaczają, każdy na swojej mapie, pozycję Szczura Jeden, strzegącego najbliższego w stosunku do lotniska skrzyżowania. Rupert stał tuż za plecami oficerów, w tymczasowym stanowisku dowodzenia, jakie urządzono w pustym budynku. Gregory dowodził działaniami naziemnymi, podczas gdy on, Stansell – samolotami. Rupert nanosił symbole na małą tablicę, którą mógł nosić pod pachą. Oznaczał na niej status poszczególnych maszyn. Z drugiej strony tablicy przykleił mapę.

– Szczur Trzy i dwie drużyny M-60 meldują, że w barakach cisza – odezwał się

oficer operacyjny. – A jednak ten ogień musiał się skądś odezwać.

– Gdzie są Szczur Jeden i Dwa? – zapytał Gregory. – Później się tym zajmiemy. Na razie martwmy się o minięcie więzienia i osiągnięcie Celu Czerwonego. – Stansell był pod wrażeniem spokoju pułkownika. Radiooperator spytał Szczura Jeden o status Szczurów Dwa i Trzy.

– Dojeżdżają do końca trasy – padła odpowiedź. Gregory skinął głową.

– Wozak, tu Szczur Dziewięć. Zatrzymałem dużą cysternę z dwoma cywilami. Mówią, że wiozą paliwo na lotnisko. – Słysząc było zaskoczenie w głosie żołnierza. – Mają kod rozpoznawczy.

– Powtórz – polecił Gregory. Drużyna z jeepa potwierdziła, że dwaj cywile mieli przy sobie poprawny kod rozpoznawczy.

– Niech pan spyta, jakie paliwo mają – odezwał się Stansell. Nadeszła odpowiedź, że paliwem jest JP-4. Cysterna pochodziła z głównego lotniska znajdującego się jedenaście kilometrów na północ od miasta. – To świetnie – ocenił Rupert. – Sprowadźcie ją. – Gregory kazał sformować drużynę, która weźmie jeden z jeepów i będzie eskortować cysternę. Polecił jednak trzymać się z dala, dopóki pojazd i cywile nie zostaną dokładnie sprawdzeni.

Szczury Jeden i Dwa, czyli pierwsze dwie drużyny samochodowe, zawróciły szybko, zobaczywszy, że zabito zwiadowcę na motocyklu. Przekazali Szczurowi Trzy, żeby się zatrzymał, podczas gdy sami dołączyli do niego. Rangers prowadzący nawigację pierwszej drużyny, który trzymał wyciągniętą mapę, pokazał na przerwę pomiędzy znajdującymi się po lewej zabudowaniami. Nie była to droga, ale raczej otwarte pole prowadzące na przedmieście miasta. Dwa jeepy przejechały przez nie, mijając budynki, i wjechały na asfaltową ulicę. Zarówno kierowca, jak i nawigator znali mapę na pamięć i wiedzieli, gdzie się znajdują. Gnali do skrzyżowania, które stanowiło Cel Czerwony. Przejeżdżał samochód policyjny. Funkcjonariusze zobaczyli jeepa i zaczęli gonić go po pustych ulicach. Tylony strzelec Szczura Dwa posłał w samochód krótką serię z M-60. Wóz uderzył w zaparkowaną ciężarówkę, przewrócił się i stanął w płomieniach.

Dwa jeepy przejeżdżały przez miasto, aż znalazły się na głównej szosie. Skreśliły w lewo i posuwały się szybko dalej, pomiędzy irańskimi samochodami. Krótka seria z cekaemu określiła pierwszeństwo przejazdu przez skrzyżowanie i po sześciu minutach od chwili, kiedy jeepy zawróciły z zaplanowanej trasy, Cel Czerwony został zabezpieczony.

– Tam – Andy Baulck pokazał na szczątki jednej z tylnych wieżyczek

wartowniczych. – Kapitan chce wiedzieć, co się dzieje za murem.

– Zajmę się tym – odpowiedział Wade. Kapral od czasu bójki z dowódcami ładowni herculesów został najlepszym kumplem Baulcka od kufla. Sierżant dał mu więc znak, żeby wspiął się po schodkach ocalałej podstawy wieży. Kapral poruszał się powoli, uważając, żeby nie hałasować. Ostatni metr z kawałkiem Wade przebył podciągając się, ponieważ drabinka była zerwana. Wystawił głowę ponad mur i schował ją z powrotem. Przywiodło to Baulakowi na myśl cel pojawiający się w podobny sposób na poligonie strzeleckim. Powoli kapral uniósł głowę po raz drugi i rozejrzał się uważnie. W końcu zszedł. – Tam się roi od żołnierzy – powiedział. – Jest ich może z pięćdziesięciu. Mają coś w szopie, otworzyli drzwi. – Wtedy rozległ się basowy odgłos dużego, dieslowskiego silnika.

Strażnik z parteru pokręcił głową po raz kolejny i wstukał do skrzynki kontrolnej na pierwszym piętrze inną kombinację cyfr. Czerwone światelko nie zniknęło.

– Nie służył na tym piętrze i nie zna kodu, a boi się, aż się trzęsie – skomentował jeden z rangersów. – Trzeba będzie wysadzać drzwi.

– To zabierze za dużo czasu – burknął zadzierzysty sierżant, mrużąc oczy. – Cholera, wiedziałbym, co robić, gdybym sam siedział w ciupie! – zawołał. Wybiegł na korytarz i zastukał pięściami w drzwi pierwszej celi. – Czy znacie kod otwierający cele? – zapytał. Głos jednego z jeńców podał mu czterocyfrową kombinację. Sierżant wrócił do wartowni i odepchnął przerażonego strażnika. Wstukał numer i czerwona lampka zgasła, a zapaliła się zielona. Opuścił dźwignię i dziewięćdziesięciu pięciu jeńców z pierwszego piętra zostało uwolnionych.

– Hej, bracie – odezwał się drugi z żołnierzy, Murzyn, tak samo jak i sierżant – jak na to wpadłeś?

Dwudziestolatek z ulic miasta Watts wyjaśnił:

– Mój wujo siedzi w San Quentin. Mówi, że mają kupę czasu na obserwowanie strażników i patrzenie, co robią. ...I ci tutaj tak samo.

Sytuacja na drugim piętrze była trudniejsza. Granat odłamkowy podziurawił puszkę połączeniową umieszczoną pod skrzynką kontrolną i urządzenie nie działało.

– Powiedz kapitanowi, że zaczniemy wysadzać drzwi – polecił sierżant sztabowy dowodzący rangersami na drugim piętrze. – Sprowadź Baulcka i spytaj, czy nie da rady naprawić tego gówna, a my weźmiemy się już do wysadzania. – Pokazał na cele. – Znajdźcie jakieś jedzenie i wodę dla tych biedaków.

Znajdujący się na dole Trimler patrzył na człowieka, którego przyprowadził mu Mustafa. Irańczyk był ciągle w szoku, jednak stał o własnych siłach i próbował otrzepać mundur z kurzu. Prawą stronę głowy obwiązaną miał bandażem – jeden

z rangersów powstrzymał mu krwawienie.

– Mówi po angielsku – powiedział Sindi, sam znając angielski na tyle, że mógł się porozumiewać. – Carroll znalazł kobietę i doktora. Potrzebuje pomocy. Nie mogą się wydostać – poinformował, pokazując na płonące gruzy.

Trimler wysłał do budynku administracyjnego drużynę żołnierzy razem z Mustafą, a sam odezwał się do Irańczyka:

– Podaj nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny.

– Pułkownik Vahid Mokhtari. Jestem naczelnikiem tego więzienia, a wy jesteście otoczeni. Przyjmę waszą kapitulację.

Przez chwilę kapitan nic nie mówił, gapiąc się na Mokhtariego w zdumieniu.

– W takich sytuacjach powinno się odpowiadać: zwariowałeś. Ale widzę, jak traktowałeś tych ludzi, więc powiem: spierdalaj.

Mokhtari uśmiechnął się tylko, pewien tego, w jak desperackim położeniu znajdują się Amerykanie.

– Uśmiechaj się, gnido – warknął zza drzwi Leason. – Zabiorę cię ze sobą.

Stansell, w miarę jak napływały kolejne meldunki z więzienia i od drużyn samochodowych, wyczuwał, że sytuacja się zmienia. Jeszcze nie można było na tej podstawie podjąć odpowiednich decyzji, jednak wiadomo było, czego trzeba się dowiedzieć. Nie chciał działać w pośpiechu, gdyż trudno o pewniejszy sposób na podjęcie decyzji katastrofalnych. Rupert złapał więc mikrofon przenośnego radia, które zainstalowała Bojowa Drużyna Kontroli, i nadał:

– Burza, tu Wozak. Podaj pozycję.

– Utrzymuję ją – odpowiedział natychmiast Jack.

Pułkownik popatrzył na tablicę stanu. Locke znajdował się tam, gdzie miał być.

– Burza, potrzebne mi rozpoznanie szosy – powiedział. – Polec wzdłuż niej do Punktu Żółtego. – „Punktem Żółtym” nazwano garnizon pancernego pułku, stacjonującego w Shahabadzie, sześćdziesiąt osiem kilometrów od więzienia. Rupert polecił pilotowi zostać powietrznym zwiadowcą.

– Potwierdzam – odparł Jack – ruszam teraz. Pułkownik wydawał kolejne polecenia:

– Upiór, tu Wozak. Potrzebny nam tu Łapanka. Proszę, poradźcie mu to. – Nastąpiło przedłużające się milczenie.

– Wozak, tu Łapanka – odezwał się w końcu Mado. – W tej chwili nie możemy lądować. Musimy zachowywać łączność ze Skarbem.

Stansell zaklął pod nosem. Radiooperator Gregory’ego także nawiązał łączność z Pentagonem za pomocą zestawu URC-101 systemu SatCom. Musieli jednak

korzystać z niewygodnego w użyciu dekodera KY-57, który spowalniał transmisje. Mado wiedział o tym wszystkim.

– Podaj przyczynę zlecenia zadania Burzy – zażądał generał.

– Ta sama, dla której cię tu potrzebujemy – odpowiedział Rupert. Świetna pora na tłumaczenie generałowi wszystkiego po kolei! – pomyślał.

– Czekaj, Wozak, Skarb nadaje – polecił Mado.

Po prostu świetnie, pomyślał z wściekłością pułkownik, ty sobie gawędzisz z generałami, którzy nie mają pojęcia, co się tu dzieje. Nagle ktoś pojawił się w drzwiach.

– Wozak, tu Łapanka – odezwał się znowu Mado. – Skarb chce wiedzieć, dlaczego opóźniamy się z przewozem jeńców. Nie jesteśmy na czas.

– Łapanka, powtarzam, dla tej samej przyczyny potrzebujemy cię tutaj.

– W tej chwili to niemożliwe, wytłumacz opóźnienie.

– Czekaj! – rzucił Stansell. Zwrócił się do dwojga przybyszów, których przyprowadzili rangersi. Była to Zakia i jej tajemniczy towarzysz, który nie odstępował jej teraz na krok.

– Panie pułkowniku, jestem łączniczką Billa Carrola – powiedziała kobieta. – My oboje – skinęła głową na mężczyznę – jesteśmy pańskimi łącznikami z Kurdami. – Wymienili zestaw słów kodowych, na dowód, że mówią prawdę.

– Co to za cysterna? – zapytał Stansell.

Zakia nie pokazywała po sobie żadnych emocji.

– Zorganizowaliśmy zamieszanie na głównym lotnisku dla odwrócenia uwagi i przypadkiem natknęliśmy się na cysternę. Pomyśleliśmy, że może się wam przydać paliwo. Nakazano mi nawiązać z panem łączność, na wypadek gdybyście musieli uciekać drogą lądową.

Dla Gregory'ego było tego już za wiele.

– Cholera, to nie czas na bratanie się z partyzantami. Mamy kłopoty...

– Szynka, to nie są partyzanci. Ci ludzie przybyli, żeby nam pomóc...

– Panie pułkowniku – przerwała Zakia – musimy jechać i wycofać naszych ludzi. Jeżeli nie zdołacie stąd odlecieć, skontaktujcie się z nami tam. – Pokazała na skrzyżowanie, leżące osiemnaście kilometrów na południe od miasta. Dwoje ludzi zniknęło za drzwiami.

Stansell popatrzył za nimi, a potem odezwał się do Gregory'ego:

– Zdaje się, że mamy podwójny problem. Po pierwsze, Mado i Skarb usiłują bawić się w zdalne sterowanie nami. Generał potrzebny jest nam na ziemi, żeby rozmawiał z tobą i podejmował na miejscu decyzje. Po drugie, zaczęła się zupełnie inna gra. Daliśmy się wpuścić w pułapkę...

Przerwało mu radio, a raczej Mado:

– Wozak, Skarb chce znać przyczynę opóźnienia.

Stansell podniósł mikrofon i skinął na Gregory'ego, który na bieżąco reagował na nadchodzące meldunki.

– Przekaż Skarbowi, że złapano nas w sidła. Drużyna „Romeo” jest otoczona i nie może wydostać się z więzienia.

– Nie mamy potwierdzenia tego! – Generał niemal krzyczał. – Podaj potwierdzenie!

Tymczasem odezwał się głos Locke'a:

– Wozak, tu Burza. Z Punktu Złotego jadą w waszą stronę pojazdy gaśnicowe. Powtarzam, jadą w waszą stronę pojazdy gaśnicowe. W tej chwili nie potrafię podać liczby.

– Oto potwierdzenie, Łapanka! – burknął Stansell. – Potrzebujemy cię na ziemi, tutaj.

– Zaprzeczam, zaprzeczam! – krzyknął Mado.

– To czekaj! Będziemy informować cię o sytuacji w miarę jej rozwoju – zakończył Rupert.

Z tą chwilą objął dowództwo nad operacją.

Pentagon, Waszyngton

Leachmeyer stał przed wyświetlaną przez komputer na przedniej ścianie stanowiska dowodzenia mapą sytuacyjną. Do kłapy munduru przypięty miał mały mikrofon. Jeździł po ekranie laserową wskazówką, objaśniając sytuację prezydentowi:

– W barakach za więzieniem stacjonuje jednostka nieprzyjaciela w liczbie pięćdziesięciu żołnierzy, wyposażona w niezidentyfikowany pojazd gaśnicowy. – Czerwony punkcik zakreślił narysowane za więziennym murem budynki. – Nie szturmują więzienia, ale zajmują pozycje uniemożliwiające nam wydostanie się z niego albo przedostanie do środka. Nasze dwie obsługi cekaemów M-60 tutaj – wskazał odpowiednie symbole znajdujące się na linii oznaczającej rów, sąsiadujący z przebiegającą przed więzieniem drogą – prowadzą ogień, blokując nieprzyjaciela, tak że nie może przemieścić się na przód więzienia...

– A zatem pat – wtrącił Cunningham. – Oni nie mogą obejść więzienia, żeby tam wejść, a my – nie możemy się wydostać.

– Przypuszczam, że będą nas powstrzymywać, dopóki nie przybędzie ta kolumna pancerna z Shahabadu – ocenił prezydent. – Kiedy prawdopodobnie dotrze do

Kermanshah?

– Zapytamy o to Łapankę, to znaczy generała Mado – odpowiedział Leachmeyer. Siedząca za pulpitem major odezwała się przez SatCom pytając o pozycję i przypuszczalny czas znalezienia się w okolicach więzienia pancерnej kolumny.

– Generał Mado powinien być na lotnisku – odezwała się zza pleców Cunninghama Dewa. – Musi być razem ze swoim dowódcą działań naziemnych, żeby skoordynować przełamanie blokady; a nie w Upiorze. – Generał odwrócił się i popatrzył na młodą kobietę. – A jeżeli drużyna „Romeo” zdoła wydostać się z więzienia w ciągu trzydziestu – czterdziestu minut, Task Force Alpha odleci, zanim te czołgi dojadą do Kermanshah.

Cunningham chrząknął i włączył mikrofon.

– Charlie – odezwał się – chyba będzie lepiej, jak zaczniemy rozmawiać z ludźmi na ziemi. W tej chwili Łapanka opóźnia tylko przekazywanie informacji. Mają trzydzieści minut na wydostanie się stamtąd.

Z głośników rozległ się głos prezydenta:

– Chcę, żeby zostali uwolnieni. Już! Doprowadźcie do tego. – Zmierzch zaniepokoił się kolejną rzeczą – prezydent zaczął się denerwować w niewłaściwym momencie.

Kermanshah, Iran

– Wozak, tu Łapanka! – odezwał się pospiesznie głos generała Mado, wypełniając tymczasowe stanowisko dowodzenia, utworzone przez Stansella i Gregory’ego. – Podaj liczbę jeńców gotowych w tej chwili do przewiezienia.

– Spróbuj mówić tak, żeby mi nie przeszkadzał – powiedział Gregory. – Za pięć minut będziemy gotowi na przebicie się. – Odwrócił się do oficera operacyjnego i podjął ostatecznie ustalenia z drużyną „Romeo”.

– Łapanka, czekaj na liczbę jeńców – nadał w eter Rupert.

– Wozak, nie będziesz mi mówił „czekaj”. Natychmiast ląduje...

– Akurat! – mruknął Stansell. – Nacisnął guzik mikrofonu i nadał na tej samej częstotliwości: – Upiór Zero Jeden, Kosiarka Dwa Trzy i Burza Zero Dwa, mam dla was zadania. – Beasely, Doucette i Locke zgłosili się kolejno. – Upiór, twoim celem są baraki za więzieniem. Powstrzymaj ich ogniem na komendę, za około dziesięciu minut. Nie przerywaj ataku, dopóki ciężarówki z jeńcami nie oddalą się od więzienia. – Całus potwierdził.

– Kosiarka Dwa Trzy, zlikwiduj Cel Żółty i wracaj do bazy. – Jako „Cel Żółty” oznaczono most na szosie, znajdujący się w miejscowości Mahidashi, w połowie

drogi pomiędzy Shahabadem a Kermanshah. Doucette także potwierdził i przestał krążyć, ruszając w drogę.

– Burza Zero Dwa, wykonaj ponowne rozpoznanie szosy. Musimy poznać aktualne położenie Złota. „Złoto” to był irański pułk pancerny zmierzający do Kermanshah. Jack również potwierdził odebranie rozkazu i poleciał za Pochodnią.

– No cóż, Ramonie – odezwał się Doucette do swojego oficera uzbrojenia – stary Rupe zmniejszy nam zapas paliwa prawie do zera. Zdaje się, że tym razem sam będziesz musiał pobawić się laserem. – Contreras wsadził swoim zwyczajem nos w ekran, nastawiając kursory na odległy most. Pilot wypuścił z komory uzbrojenia gondolę Pave Tacka.

Na pokładzie AC-130 Beasley musiał stłumić bunt jednego z członków załogi. Jako dowódca samolotu sprawował na jego pokładzie władzę absolutną, nie zważając na niczyje stopnie wojskowe. Fakt, że Mado był generałem dywizji, a on, Całus, zaledwie kapitanem, nie miał znaczenia.

– Panie generale, po ostrzelaniu tych baraków lądujemy – oznajmił. – Koniec dyskusji, bo inaczej opuści pan moją maszynę. – Skierował się ku więzieniu.

– Dałeś mu do wiwatu, Całus! – odezwał się przez interkom bliżej nieokreślony głos.

– Gotów do wysadzenia drzwi! – ostrzegł trzech siedzących w celi mężczyzn jeden z rangersów. – Przyciśnijcie się do bocznej ściany, schowajcie pod materac, zatkajcie uszy palcami, zamknijcie oczy i otwórzcie usta. – Po chwili jeńcy odpowiedzieli, że są gotowi. – Odpalam! – zawołał rangers i pociągnął zawleczkę zapalnika, który podpalał lont o określonym czasie palenia się. Żołnierz odbiegł i schował się.

Ładunek z C4, czyli z tak zwanego plastiku, eksplodował. Trzej żołnierze skoczyli ku celi, kopnęli w drzwi... i tyle.

– Potrzebny wam większy ładunek, głupki! – burknął inny z rangersów.

– Owszem, będziemy musieli trochę z tym poeksperymentować. Te cholerne drzwi są mocniejsze, niż myślałem. Nie chcę pozabijać tych biedaków. – Żołnierz odkroił większy kawałek materiału wybuchowego i przykleił go koło zawiasu. Wysadzenie wszystkich drzwi na drugim piętrze zajmie dużo czasu. Rangers zawołał o pomoc i zaczął szybciej się ruszać.

Na zewnątrz ostatni z uwolnionych dotąd jeńców byli przeprowadzani przez dziedziniec i wyłom w murze.

– Sto dziewięćdziesiąt jeden osób! – zawołał do Trimlera jeden z sierżantów. – Sześć ciężarówek pełnych i gotowych do jazdy.

– Panie pułkowniku – zwrócił się kapitan do wychudzonego mężczyzny, stojącego za nim. Był zdumiony tym, ile siły zachował jeszcze Leason po wszystkim, co przeszedł. – Myślę, że powinien pan pojechać z tą grupą.

– Nie, wyjadę razem z ostatnim jeńcem – odparł pułkownik. Trimler rozumiał jego postawę.

– Musimy się kryć. Za chwilę będzie piekło. – Słyszeli już nadlatującego AC-130.

Most w Mahidashi

– Zaraz będzie cienko z paliwem – zauważył Contreras, ustalając ostatecznie położenie kursora na obrazie mostu.

– Mamy dość paliwa, chłopcze – odparł niby to protekcyjnie Pochodnia. Dyszał jednak ciężko, pędząc tuż nad dnem doliny. Widać było, jak za nimi pył odlatuje na boki od podmuchu samolotu, a roślinność faluje. Doucette zobaczył już wioskę Mahidashi leżącą o niecały kilometr od mostu. – Wyceluj dobrze, Ramon. Proszę cię. – Podpułkownik pomyślał o swoich dzieciach, kiedy były małe.

– Gotów, gotów... ciągnij! – zawołał Contreras. Pilot uniósł dziób F-111, a od samolotu oderwały się dwie bomby. – Czy to źle ustawiony przełącznik? – zapytał oficer uzbrojenia, ciągle wpatrując się w ekran. Spodziewał się, że wypuszczą tylko jedną bombę. Doucette przyznał się do błędu, jednak dodał, że dwie bomby to zawsze lepiej niż jedna.

Contreras patrzył, jak migają cyfry oznaczające czas do uderzenia bomb.

– Włączam laser – poinformował, wskazując wiązką most przez ostatnie kilka sekund lotu bomb, podczas gdy F-111 oddalał się łukiem od celu.

Na ziemi celowniczy wyrzutni rakiet ziemia-powietrze typu SA-8 Grekon produkcji radzieckiej wycelował ją w oddalający się od celu F-111. Pomyślał, że z jakiegoś powodu Amerykanin przerwał atak i zrezygnował ze zbombardowania mostu. Irańczyk cieszył się, że jego przełożeni kazali mu czuwać z dala od mostu, a także, że znajduje się w odpowiednim miejscu, żeby odpalić w Amerykanina raketę. Czekał tu ponad tydzień. Zdecydował się użyć sterownika elektrooptycznego zamiast radaru. Po co posyłać elektroniczne ostrzeżenie? Nacisnął guzik i z wyrzutni wyleciały dwie rakiety. Irańczyk popatrzył z satysfakcją, jak tył F-111 ogarnia ognista kula.

Doucette szarpał się, żeby utrzymać swoją umierającą maszynę w powietrzu jeszcze przez chwilę.

– Katapulta! – zawołał. Contreras złapał za umieszczoną koło jego lewego kolana dźwignię. Popchnął ją, ścisnął i pociągnął. Eksplodujące śruby i małe gilotyny uwolniły kapsułę kabiny od reszty płatowca. Silnik rakietowy o sile ciągu osiemnaście ton wyrzucił załogę w górę.

Operator wyrzutni SA-8 patrzył, jak moduł załogi oddziela się od samolotu i opada na spadochronie. Przełączył wyrzutnię na sterowanie radarowe i wycelował w kabinę z Amerykanami, po czym odpalił kolejne dwie rakietę. Jego ludzie wydali okrzyk radości, kiedy kapsuła i spadochron zniknęły w kuli ognia. Tak się cieszyli, że nie załadowali ponownie wyrzutni ani nie zauważyli pikującego ku nim F-15.

Rozdział czterdziesty ósmy

Godzina Zero plus 12

Most w Mahidashi

– Mam go na celowniku – rzucił Jack oficerowi uzbrojenia. Furry zerknął na umieszczony przed nim ekran, na którym pojawiała się dokładnie to samo, co na HUD-zie pilota. Odpowiadało to obrazowi z kamery umieszczonej w zespole celownika rakiety Maverick, którą przywołał Locke. Ambler ustawił krzyżujące się na ekranie linie na ruszający właśnie z miejsca sześciokołowy pojazd i ściągnął do połowy spust umieszczony na sterowniku obsługiwanym prawą dłonią. Ucieszył się tym, co zobaczył. Czuły, chłodzony celownik mavericka, pracujący w podczerwieni, zablokował się na SA-8.

– Zablokowany, możesz odpalać! – zawołał Furry.

Jack odczekał, aż zbliżyli się do pojazdu. Odczuwał tylko złość. Zaczął zygzakować.

Furry sprawdzał tymczasem, czy nie namierza ich jakiś radar, oraz kontrolował „godzinę szóstą”.

– Przed nami aktywny radar – poinformował. – Ale nie ma zagrożenia. Nie zdążyli znowu załadować...

– Trzymaj się – rzucił pilot, wciskając guzik. Rakieta z pięćdziesięciosześcioletnią głowicą poleciała w stronę irańskiej wyrzutni.

Obsługa SA-8 zobaczyła w końcu F-15, zanim zdążył odpalić rakietę, i zahamowała pojazd. Żołnierze rozbiegli się na boki, podczas gdy maverick trafił w wyrzutnię, niszcząc ją. Jack wykonał koło i patrzył, jak trzech Irańczyków biegną do znajdującego się nieopodal samochodu.

– Za wolno... – mruknął. Cofnął kciukiem przełącznik na drążku sterowym, wywołując teraz działko. Ponieważ działko F-15 jest uniesione o dwa stopnie, ze względu na odchylenie toru lotu pocisków przy walce powietrznej prowadzonej na większą odległość, Locke zejdzie pod kątem, wypuści serię i wyprowadzi na bardzo małej wysokości. Pilot nacisnął spust, rozległ się cichy odgłos i mężczyźni zginęli. Jack nadleciał na wszelki wypadek po raz drugi i wystrzelił znowu.

Poleciał sprawdzić most. Był zniszczony, zgodnie z rozkazem. Locke zakręcił nad dymiącymi szczątkami kabiny F-111 i ruszył dalej ponad szosą...

Kermanshah, Iran

– Raz, dwa, trzy, ciągnij!... – Czterej mężczyźni naporli na dużą, stalową belkę, której użyli jako dźwigni. Powoli unieśli wielki kawał zbrojonego betonu, aż opadł na bok, wzbijając chmurkę pyłu.

– Mary, Mary! Nic ci się nie stało? – zawołał Carroll. – Nic...

Jeden z rangersów podniósł głowę, usłyszawszy nadlatującego AC-130.

– Kryć się! – krzyknął. Czterej inni rangersi zajęli pozycje koło tylnego odcinka muru, trzymając w pogotowiu swoje M-203. Kiedy w ich radiach odezwała się krótka komenda, wystrzelili za mur granaty kalibru czterdzieści milimetrów. Przeładowywali i strzelali dalej, posyłając granaty łukiem za mur, w stronę baraków. Nie było to zbyt celny ogień, ale tamci zaczęli się kryć...

Beasely widział pojawiające się w rejonie baraków chmurki dymu od wybuchów granatów. Ustalił tor samolotu i wybrał zamontowane przed komorą lewego podwozia podwójne działko kalibru dwadzieścia milimetrów. Załoga znowu musiała współpracować, żeby pilot mógł wypuścić groźną serię. Całus nie mierzył w jakiś jeden, konkretny cel, dlatego zmieniał położenie świecącego się na HUD-zie kółka, które wskazywało pole rażenia. Kiedy wybrał jakiś punkt, ściągał spust i posyłał kolejne serie eksplodujących pocisków. Jeden z Irańczyków, który został zaskoczony na otwartej przestrzeni, wpadł w panikę i pobiegł za róg muru. Tam został powalony serią z cekaemu M-60, znajdującego się po prawej stronie rowu przed więzieniem.

Sześć ciężarówek wiozących jeńców zawarczało i wyjechało zza osłaniającego je muru więzienia. Kierowcy pognali ku lotnisku. Do ciężarówek dołączyły jako eskorta dwie drużyny na jeepach, Szczur Trzy z przodu oraz Szczur Cztery z tyłu. Celowniczy zamontowanych na samochodach M-60 skierowali je na baraki i posłali w nie grad kul.

Kiedy na lotnisku odebrano wiadomość, że ciężarówki ruszyły, Stansell nadał przez radio:

– Łotr Jeden Sześć i Łotr Jeden Siedem, uruchamiajcie silniki. Powtarzam: uruchamiajcie silniki. Łotr Jeden Cztery i Łotr Jeden Pięć, przygotujcie się do uruchamiania silników. – Nad lotniskiem rozniósł się odgłos dwóch nabierających obrotów turbośmigłowych silników.

Operator reflektora z AC-130 obserwował baraki, podczas gdy Beasely

wykonywał ostatnie okrążenie. Tym razem działko milczało. Reszta załogi także oceniała dokonane zniszczenia. Sierżant z początku nie zauważył, że coś się porusza; nagle dostrzegł wyjeżdżające z szopy czterolufowe, samobieżne, gaśnicowe działko przeciwlotnicze typu ZSU-23-4, nazywane także Shilka. Lufy zamontowanego na wieżycze dwudziestotrzymilimetrowego działka nakierowały się na amerykański samolot. Groźny, opancerzony pojazd przypominający czołg sunął przed siebie.

– Uciekaj w lewo! Wypuszczam flary i confetti! – zawołał operator reflektora, wciskając guziki na trzymanym w lewym ręku module zdalnego sterowania. Spod ogona AC-130 wystrzeliły flary oraz kaskada pasków metalowej folii.

Całus zgodnie z poleceniem szarpnął maszynę w lewo i pociągnął za drążek. Natychmiast popchnął go z powrotem. Naciskał też na przemian pedały steru, aby zmylić ewentualnego celowniczego czy też automatyczne urządzenie kierujące ogniem.

Było już jednak za późno. ZSU-23-4 wymierzyło swoje cztery lufy w Upiora i posłało w spód samolotu serię pocisków. Przeszyły one poszycie AC-130, jednak ceramiczny pancerz pod kabiną pilotów i pokładem ładunkowym wytrzymał. Szturmowy samolot nadal utrzymywał się w powietrzu. Dwa z pocisków trafiły w prawe skrzydło za silnikiem numer trzy. Za krawędzią spływu płata błysnęły płomienie; odpadły kawałki środkowej sekcji klapy. Beasley obniżył szybko lot tuż nad ziemię i uciekł ponad dachami miasta. Za AC-130 ciągnęła się jednak smużka dymu...

Irański ZSU-23-4 skręcił i ruszył ku prawemu odcinkowi muru więzienia, w to samo miejsce, gdzie zginał przeszyty kulami z M-60 żołnierz. Samobieżne działko opuściło swoje lufy do oporu. Ponieważ każda lufa była automatycznie ładowana i chłodzona cieczą, działko mogło osiągnąć szybkostrzelność tysiąca pocisków na minutę. Dowódca siedzący w dole podwozia wypuścił serię. Lufy skierowane były jednak zbyt nisko i pociski wbiły się w ziemię, podrywając chmurę pyłu i kamieni. Drużyna obsługująca M-60 odpowiedziała ogniem i kilka kul przebiło cienki pancerz wieżyczki. Jednak dwaj rangersi nie mieli szans. Pociski z czterech luf ZSU-23-4 wykopały rów, wiodący aż do rowu z Amerykanami, gdy dowódca wozu podniósł celownik, nie przerywając drugiej serii.

Następnie samobieżne działko wycofało się za róg i przejechało przez zniszczone, płonące baraki, pozostawiając w nich rannych.

Pentagon, Waszyngton

Meldunek o tym, że Łotr Jeden Pięć i Łotr Jeden Sześć wystartowały z Kermanszah, zabrawszy stu dziewięćdziesięciu jeden jeńców, wywołał w Centrum Dowodzenia w Pentagonie serię oklasków oraz kilka gwizdów. Nawet prezydent wstał, uśmiechnął się i zacisnął przed sobą prawą dłoń w pięść. Tylko Cunningham nie zareagował w widoczny sposób. Siedział cicho i kontrolował tablice stanu akcji.

Leachmeyer wszedł na podwyższenie z mikrofonem w dłoni. Na jego twarzy także zagościł uśmiech. Kiedy zebrani uspokoiли się, nadał:

– Poślijcie naprzeciw C-130 cztery F-15 krążące koło tankowca, żeby osłaniały je w drodze powrotnej.

– Sir – odezwała się Dewa – to błędne posunięcie. Radar w Maragheh pracuje i może wykryć wlatujące nad terytorium Iranu myśliwce. C-130 dobrze wykorzystują maskujące właściwości terenu i powinny wymknąć się niezauważone. Irańczycy wiedzą oczywiście, że wylądowaliśmy w Kermanszah, ale dzięki rządowi ajatollahów ich sieć kontroli i dowodzenia jest w rozsypce. Nie pozbierają się do zorganizowanej odpowiedzi jeszcze przez najbliższe trzydzieści, może czterdzieści minut.

– Charlie – dorzucił Cunningham przez mikrofon, chcąc, żeby usłyszał go także prezydent – pozwól podjąć decyzję w tej sprawie taktycznemu dowódcy AWACS-a. On znajduje się na pozycji, która znacznie trafniej pozwala mu ocenić zagrożenie. Po to właśnie tam jest. – Zmierzch zerknął na prezydenta. Nie zobaczył na jego twarzy sprzeciwu, więc kontynuował: – Przekaż mu to, co przed chwilą powiedziałeś, jako opcję do rozważenia. Ale nie przeszkadzaj mu. Jak na razie wygląda na to, że nasze wojsko działa w zorganizowany sposób. – Leachmeyer odburknął coś, czego nie dało się usłyszeć, a major przekazała „sugestię” szefa sztabu Nelsonowi.

Prezydent usiadł i popatrzył na dyrektora CIA, Bobby'ego Burke'a.

– Bobby, wdepnęliśmy prosto w pułapkę... – skomentował. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej cygaro. Andy Wollard, prezydencki szef gabinetu, rozpoznał ostrzegawcze sygnały i pokazał pozostałym siedzącym, żeby wyszli. Zamknął szklane drzwi, pozostawiając prezydenta sam na sam z Burke'em. – Jeszcze się nie skończyło, ale kiedy tylko będzie po wszystkim, chcę się dowiedzieć, dlaczego wywiad nie wykrył tego – ciągnął prezydent. – Chcę też, żeby jego ułomność została zlikwidowana.

Burke przytaknął. Wiedział, że nie ma co kłócić się z faktami. Obiecał sobie, że naprawdę „zlikwiduje ułomność”. A gdyby musiały potoczyć się głowy...

– Sir, niech mi pan pozwoli sprowadzić tu Camma, żeby przedstawił najnowszy

obraz sytuacji.

– Proszę to zrobić.

Kermanshah, Iran

Mechanik pokładowy i drugi pilot wykonywali czynności, składające się na wyłączenie silnika numer trzy. Beasely przekręcił w poprzek dźwignię odpowiadającą trzeciemu silnikowi i drugi pilot kontynuował pracę według listy. Prawy tylny czujnik wskazywał, że z silnika ciągle wydobywają się płomienie. Śmigło ustawiło się „w chorągiewkę”. Mechanik sprawdził po raz drugi, że zamknęły się zawory odcinające dopływ paliwa, i pociągnął za dźwignię uruchamiającą gaśnicę. Według czujnika pożar ustał. Beasely zaczął krążyć piętnaście kilometrów na północ od miasta i kazał załodze sprawdzić uszkodzenia. Wyglądało na to, że jedynymi problemami były: wyeliminowany silnik numer trzy oraz zacinające się nieco klapy.

– Kapitanie – odezwał się Mado – kiedy opanuje pan maszynę, niech pan wylądować na lotnisku i wysadzi mnie. – Po raz pierwszy w życiu generała strzelano do niego i trafiono w jego samolot. Żołądek podszedł mu do gardła.

– Panie generale, nie da się wylądować taką bestią, a potem wystartować nią na trzech silnikach na takim krótkim pasie – odpowiedział pilot. – Te ptaszki są ciężkie. Jeżeli chce się pan znaleźć na ziemi, będzie pan musiał wyskoczyć na spadochronie.

Mamy pełno zapasowych. – Mado milczał. Kilka sekund później rozmawiał już znowu z Centrum Dowodzenia w Pentagonie.

– Sierżancie! – zawołał Jamison spod sterty skrzynek leżących na platformie starej, małej półciężarówce produkcji japońskiej. – Co się dzieje? Gdzie jesteśmy?

– Cicho! – rzucił Kamigami. Stali na bocznej uliczce prowadzącej na tyły więzienia. Prawie dwie godziny zajęło im potajemne przemieszczenie się w dół wzgórza i na skraj miasta. Tam sierżant znalazł starego pikapa i dobrawszy się do stacyjki, zwał przewody. Kiedy grzebał pod tablicą rozdzielczą, nadszedł właściciel samochodu. Irańczyk patrzył zakłopotany, podczas gdy Jamison zabił go strzałem w głowę. Po raz pierwszy w życiu młody oficer zobaczył martwego człowieka. Nie mówiąc już o tym, że sam posłał go na tamten świat.

Kamigami ukrył oszołomionego Jamisona na platformie półciężarówce, przykrywając go stosem skrzynek. Sam usiadł za kierownicą, owinąwszy się znalezionym kocem. Odłożył na fotel pasażera pistolet i hełm i ruszył przez miasto. Pomyślał sobie, że jego azjatycka twarz będzie mimo wszystko zwracać mniej uwagi

niż czarna. Tak jak podejrzewał, pośród zamieszania, które powstało po ataku Amerykanów na więzienie, nikt nie zwracał uwagi na półciężarówkę. Dziesięć minut później sierżant odnalazł dogodnie miejsce w bocznej uliczce, znajdującej się w pobliżu więzienia. Przybył akurat na czas, żeby zobaczyć, jak AC-130 ostrzeliwuje baraki, a sześć pełnych ludzi ciężarówek rusza ku lotnisku.

– Coś się zbliża! – ostrzegł podporucznika, uruchamiając silnik i zawracając. Uliczką zmierzał w ich stronę ZSU-23-4. Kamigami nie chciał, żeby biegnący za opancerzonym pojazdem nieprzyjacielscy żołnierze zaczęli odganiać go z drogi. Skręcił więc w piaszczysty podjazd, a Irańczycy minęli go i pobiegli dalej. Kiedy zniknął ostatni żołnierz, szef batalionu rangersów ruszył za nimi. Teraz wytłumaczył Jamisonowi, co robi:

– Panie poruczniku, jedziemy za grupą wrogów, którzy wybiegli z baraków za więzieniem. Wyglądali na wkurzonych i niebezpiecznych. Chcę ich sprawdzić.

– Czy nie powinniśmy dołączyć do drużyny „Romeo” albo zameldować się przez radio?

– Jeszcze nie. Chcę zachować ciszę radiową. Prowadzę nasłuch i słyszałem rozmowy prowadzone przez MX-360. Drużyna „Romeo” ciągle wysadza drzwi cel na drugim piętrze. Będą to robić jeszcze przez co najmniej trzydzieści minut. Dopiero wtedy ostatni jeńcy zostaną uwolnieni. Mamy czas na dołączenie do nich. – Kamigami nie dodał, że ku północy posuwa się ZSU-23-4. Jednak, tak czy owak, zamierzali znaleźć się w okolicy lotniska...

Niedaleko Shahabadu, Iran

System walki elektronicznej TEWS, w jaki wyposażony był F-15, wykrył wzdłuż drogi z Shahabadu do Kermanshah wiele irańskich radarów o zachodzących na siebie polach zasięgu. Ambler Furry niepokoił się.

– Szosą jedzie co najmniej jedna SA-8 i jedno ZSU-23-4 – powiedział – ale musi ich być więcej.

– To normalne w batalionie pancernym – odparł Jack. – Jednak rzucimy na nich okiem. Okrążmy ich od południa i zalećmy od tyłu. – Zszedł na minimalną wysokość i poleciał na południe, oddalając się od drogi; posuwał się równolegle do zamykającego dolinę od zachodu pasma gór. Pochylił samolot pod kątem stu trzydziestu pięciu stopni i skręcił w płytki kanion, prowadzący przez góry do następnej doliny. Kiedy przelatywali nad kolejnym pasmem, Furry wyłączył EMIS LIMIT uruchamiając na chwilę radar. Jack skierował się na północ, z powrotem ku szosie.

Nagle oficer uzbrojenia zawołał:

– Namierzyli nas ZSU-23-4! Zagłuszam teraz! – Uruchomił aktywną część TEWS. Upewnił się, patrząc na monitor, że zagłuszanie działa. – Załatwiłem ich – powiedział. – Nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy.

– No ale wiedzą, że w ogóle gdzieś tu lecimy – zauważył Locke. Zniżył się jeszcze i przyspieszył. Zygzakował przy tym bez trudu, mknąc zaledwie sześćdziesiąt metrów nad ziemią. – Patrz! – krzyknął. Ambler zobaczył przez ramię pilota rozciągnięty wzdłuż drogi konwój. – Amb, obserwuj lewą, a ja będę patrzył na prawą. Przelecimy w poprzek nich i wiejemy stąd. Dostyc tego latania po szosie. – Pilot zdołał obniżyć lot jeszcze odrobinę i obleciał pagórek, korzystając z jego osłony. Wylecieli zza niego i przemknęli nad drogą, prostopadle do niej. Po chwili zygzakował już wzdłuż kolejnej górskiej doliny.

– Naliczyłem osiem czołgów T-72 i co najmniej sześć transporterów opancerzonych – powiedział Furry. – I może ze dwanaście ciężarówek.

– Aha. A ja sześć czołgów, cztery BTR-60, dwie SA-8 i jedno ZSU-23-4 na czele. – Jack miał lepszy wzrok od swojego partnera. – Posuwają się z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Za jakieś dwadzieścia pięć minut powinni dojechać do mostu. Dobrze, że Doucette i Ramon go rozwalili... – Nie myślał jednak o moście. Przed oczami stał mu widok dymiących szczątków kapsuły ratunkowej F-111.

– Łożysko strumienia jest płytkie, a wody też nie ma za dużo – stwierdził Furry. – Nie powinni mieć kłopotów z przejechaniem.

– Lepiej zawiadomić Wozaka. Powinni stamtąd odlatywać. My też, jesteśmy prawie bingo. – „Bingo” to słowo kodowe oznaczające minimalną ilość paliwa potrzebną do bezpiecznego powrotu do bazy. A w tym przypadku do powietrznego tankowca KC-135.

Kermanshah, Iran

Carroll i Mustafa odsunęli na bok resztki gruzu i wpełzli przez utworzony w ten sposób niski otwór. Przeczolękali się pod leżącą tuż nad podłogą piwnicy zbrojoną, betonową belką i znaleźli się wreszcie przed drzwiami celi Mary Hauser.

– Mary! – zawołał Bill, sprawdzając drzwi. Były oczywiście zamknięte.

– Jestem!

Carroll szarpnął mocniej za klamkę. Mustafa odepchnął go i przykleił do zamka kawał C4. Szybko podłączył zapalnik czasowy.

– Schowaj się! – ostrzegł Bill. – Wysadzamy zamek. – Mary odpowiedziała, że

siedzi już pod pryczą. Sindi pociągnął za pierścień zapalnika i mężczyźni odsunęli się. Nieduży ładunek wyrwał zamek z drewnianych drzwi.

Carroll pomógł Mary wydostać się spod pryczy i podnieść się. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, nie dotykając się, patrząc tylko.

– Skąd ja wiedziałam, że tu przybędziesz? – Bo byłaś tutaj. Gdzie doktor?

– W sąsiedniej celi – pokazała na ścianę. – Źle z nim.

Wyszli na zewnątrz i zobaczyli Mustafę, przyglądającego się drzwiom do celi Landisa.

– Ściana się przesunęła – pokazał na lewo od drzwi. – Obawiam się, że drzwi podtrzymują sufit.

– W takim razie potrzebna nam będzie pomoc – stwierdził Carroll. – Chodźmy, wyprowadzimy stąd ciebie.

– Bill, ja stąd nie wyjdę bez Landisa. Idźcie po pomoc. A poza tym jest tu taki strażnik, ma na imię Amini. Wydaje mi się, że to agent CIA. Chciałabym, żeby przypadkiem coś mu się nie stało. Zobacz, czy nie uda ci się go znaleźć. – Carroll nie protestował. Za dobrze znał Mary Hauser.

– Wozak, tu Burza – odezwał się Jack, kiedy był jeszcze trzydzieści kilometrów od lotniska. Stansell potwierdził, że go słyszy, Locke zrobił to samo i kontynuował: – Kolumna pancerna posuwająca się drogą znajduje się około piętnastu kilometrów przed mostem w Mahidashi. Przy obecnej prędkości osiągną most za dwadzieścia minut. Naliczyliśmy czternaście czołgów T-72, dziesięć BTR-ów 60, dwanaście ciężarówek, dwie SA-8 i jedno ZSU-23-4. Jestem bingo minus pół.

Stansell zrozumiał, że Locke'owi zaczyna brakować paliwa. Już miał go o pół tony za mało.

– Podaj status mostu i Kosiarki Dwa Trzy – polecił pułkownik.

– Most zniszczony, Kosiarka Dwa Trzy trafiona. Obaj zginęli. – Jack wypowiedział to szybko, bezbarwnym głosem.

Na stanowisku dowodzenia zapadło milczenie, podczas gdy Rupert przekreślał na swojej tablicy Kosiarkę Dwa Trzy. To takie proste! – wściekał się w duchu. – Rysuję tylko linię i oni już nie istnieją. Kazałem im zniszczyć ten cholerny most, a teraz... Zmusił się, żeby pohamować uczucia, i powrócił do pracy.

– Potwierdzam, Burza, odebrałem wszystko. Rozumiem, że jesteś natychmiast bingo. Masz zezwolenie na powrót do tankowca. Wiedz też, że mamy tu pas długości dziewięćset metrów i cysternę z paliwem.

Jack nie wahał się ani chwili.

– Potwierdzam, Wozak; zaraz ląduję. – Dzięki wzrostowi gospodarczemu Iranu,

jaki nastąpił pod rządami obalonego szacha, na lotniskach do tej pory używano amerykańskiego sprzętu, a cysterna z paliwem wyposażona była w standardową w USA dyszę. A dzięki Zakii znajdowała się na lotnisku.

Gregory, który rozmawiał ze swoim oficerem operacyjnym, poprosił Stansella do siebie. Rupert odwrócił więc wzrok od swojej tabliczki i czarnej kreski przechodzącej przez nazwisko „Doucette”.

– Trimler melduje, że wysadzanie drzwi wszystkich cel zajmuje dużo czasu – powiedział Gregory – i ocenia, że zanim opuszczą więzienie, minie jeszcze czterdzieści minut. To znaczy, że ta jednostka pancerna przedstawia dla nas zagrożenie. Planuję rozmieścić Szczury Jeden i Dwa na drodze do mostu. A także siły blokujące, tutaj – pokazał na wschodnią stronę mostu. – Niech utrzymują się tak długo, jak będą w stanie, a następnie wycofają się do Celu Czerwonego. – Wskazał skrzyżowanie.

– Dwie drużyny na jeepach przeciwko kolumnie pancernej?...

– Wzmocnię je drugim plutonem kompanii „Bravo”. Chcę zrzucić ich na spadochronach, panie pułkowniku. Są gotowi do wejścia do samolotu. Sir, wydostanę ich stąd. Dlatego posyłam naprzód dwa Szczury. Ich zadaniem będzie także wybranie strefy lądowania i stanowienie pojazdów dowodzenia. Zrzucimy Drugi Pluton dopiero, kiedy będziemy mieli czym ich przywieźć z powrotem, a nie ma szybszego sposobu, żeby ich tam przetrzucić. Poza tym, spora część nieprzyjacielskiej jednostki z baraków wydostała się z nich i porusza się po terenie miasta. W ten sposób przeskoczmy ich.

Stansell pokiwał głową.

– Dobrze. Niech wsiadają do samolotu Kaczki. – Oficer operacyjny wybiegł z pomieszczenia, wołając kapitana dowodzącego kompanią „Bravo” oraz Mallarda. Gregory przyjrzał się uważnie mapie. Był w swoim żywiole. Oto miał okazję stawić czoło rzeczywistemu wyzwaniu, do czego tyle lat się przygotowywał, ćwicząc. Nie było żadnych politycznych zawłości, które trzeba zinterpretować, ani głębokich analiz do przeprowadzenia. Zagadnienie miało charakter taktyczny i wymagało rozwiązania, do którego znalezienia podpułkownik był przygotowany. Gregory nie nadawałby się na pułkownika, był jednak świetnym dowódcą batalionu. Rupert pozwolił mu kierować akcją swoich żołnierzy i nie wtrącał się.

– Będzie nam potrzebny Upiór dla utrzymywania łączności – powiedział Gregory.
– Mahidashi leży poza zasięgiem PRC-77.

– Upiór może nadal powstrzymywać ich ogniem – dodał Stansell.

– Na trzech silnikach?

– Za to im płacą. – Twarz Ruperta przybrała jednak zboląły wyraz. Oto posyłał

kolejną załogę ku groźbie śmierci. Ścisnęło go w żołądku. Muddy, czy ty przechodziłeś przez to samo, pomyślał. Nie szukał już jednak jego aprobaty. Pierwszy raz w życiu zrozumiał, jak straszną rzeczą jest sprawowanie dowództwa. A Waters musiał o tym wiedzieć.

Przez następne kilka minut oficerowie omawiali szczegóły sytuacji na ziemi, podczas gdy radiooperator przekazał przez SatCom najnowsze wiadomości Pentagonowi. Do pomieszczenia wpadł Jack Locke, który zakończył właśnie tankowanie samolotu.

– Ale ma pan tu zamieszanie, panie pułkowniku – powiedział. Przywitał się z Rupertem; tymczasem rozległ się odgłos startującego herculesa Mallarda.

W stojącym koło PRC-77 radiu MX-360 zatrzeszczało i rozległ się głos:

– Wozak, tu Romeo Dwa Pięć i Romeo Dwa.

– W samą porę! – zawołał Gregory. – To Kamigami i Jamison!

– Wozak – ciągnął Kamigami – w waszą stronę zbliża się kompania. Spodziewajcie się za kilka minut ostrzału z moździerzy.

– Podaj pozycje moździerzy – polecił podpułkownik. Zapisał sobie podane współrzędne i zawołał jednego z sierżantów, żeby przesłał ostrzeżenie żołnierzom, aby zdążyli się ukryć. Stansell rozkazał pozostającym na ziemi trzem C-130 startować, zanim zacznie się atak. Jack pobiegł do swojego samolotu, żeby także odlecieć.

– Panie pułkowniku, niech Upiór wypruje z nich flaki! – zawołał Gregory. – Mamy kłopoty!

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Godzina Zero plus 13

Kermanshah, Iran

Łotr Jeden Cztery był pierwszym C-130, którego załoga zdołała uruchomić wszystkie cztery silniki. Skręcał już na pas startowy, kiedy na lotnisko spadł pierwszy moździerzowy pocisk. Ponieważ pas był krótki, pilot zatrzymał maszynę i stojąc na hamulcach rozpędził śmigła do maksymalnych obrotów. Dziób potężnego transportowca pochylił się, jak gdyby chciał schować się pod beton. Wreszcie C-130 ruszył i zaczął nabierać prędkości. Jednak jeszcze zanim przednie podwozie oddzieliło się od ziemi, samolot zniknął w burzy ognia. Obsługa irańskiego moździerza osiągnęła cel.

Pilot Łotra Jeden Trzy przejechał teraz przez pas i wjechał na płaski teren leżący w jego sąsiedztwie. Po wylądowaniu z rangersami, dwaj piloci herculesów przejechali jeepem po lotnisku i znaleźli długi odcinek płaskiego terenu, który mógł być wykorzystany jako prowizoryczny pas startowy. Pilot ustawił maszynę, rozpędził silniki, posyłając w tył chmurę pyłu, i zaczął startować. Ale on również nie zdążył. Przed nim uderzyło w ziemię kilka pocisków moździerzowych. Usiłował ominąć lej, lecz znajdował się on zbyt blisko. Lewe podwozie główne wpadło w dziurę. Wytrzymało z łatwością tę przeszkodę, jednak lewe skrzydło nisko zawieszony C-130 obniżyło się za bardzo i śmigło numer jeden uderzyło w ziemię. Samolot szarpnął się w lewo, a śmigło oderwało od silnika i wpadło na śmigło numer dwa. Połamane łopaty obu śmigieł podziurawiły kadłub. Pilot walczył z ranną maszyną, usiłując ją zatrzymać. Mechanik szarpnął za awaryjne dźwignie odpowiadające silnikom numer jeden i dwa, uruchamiając w nich gaśnice i odcinając dopływ paliwa. Uratowało to życie załodze.

Dwa prawe śmigła obracały się jeszcze, gdy pięciu mężczyzn wyskoczyło z transportowca i pobiegło w poszukiwaniu schronienia...

Furry pomyślał, że atak się skończył, i puścił się pędem do swojego F-15. Kolejny pocisk z moździerza eksplodował za jego plecami, rzucając go na ziemię.

– Wozak, powiedz Upiorowi, żeby skręcił o dziesięć stopni w prawo, wtedy będzie leciał prosto na cel. – Kamigami nadawał przez MX-360, naprowadzając za

pośrednictwem Stansella szturmowy samolot na Irańczyków, którzy ostrzeliwali lotnisko z moździerzy. To za tym właśnie oddziałem jechał półciągarówką szef batalionu rangersów. – Dwieście metrów na północ od celu, na drodze, w ciemnym pikapie, siedzą nasi.

– Potwierdzam – odpowiedział pułkownik, przekazawszy informacje Beasely'emu. – Upiór widzi cel i zdaje sobie sprawę z waszej pozycji.

Kamigami patrzył, jak AC-130 zaczyna krążyć wokół grupy budynków, za którymi ukryły się załogi moździerzy.

– Zrobi im się gorąco, sukinsynom – skomentował. Jamison nie był pewien, o kim sierżant mówi – czy o Irańczykach, czy też o załodze samolotu. Nieopodal krył się ZSU-23-4, a podporucznik widział już, do czego ta maszyna jest zdolna.

– Ruszamy – rzucił Kamigami i zaczął posuwać się powoli wzdłuż otoczonego murem obiektu. – Teraz! – rozkazał. Jamison uniósł się nieco na platformie samochodu, uniósł M-203 sierżanta i posłał ponad murem granat kalibru czterdzieści milimetrów. Ostrzeliwał ZSU-23-4, który ukrył się za murami. Podporucznik ładował coraz to nowe granaty i strzelał, podczas gdy sierżant skręcił w boczną uliczkę i mijał zabudowania z drugiej strony. Dwaj rangersi zamierzali odciągać uwagę załogi samobieżnego działka, podczas gdy szturmowy samolot znajdował się w jego zasięgu.

Słychać było z oddali, jak z góry leje się burza ognia. AC-130 niszczył parterowe budynki, w których schowali się Irańczycy. Następnie rozległ się jeszcze wystrzał z działa – Beasely zrównał swój cel z ziemią.

Atak na lotnisko zakończył się.

Tymczasem dowódca pancernego ZSU kazał kierowcy wyjeżdżać z obiektu. Ten dodał gazu i rozbił tylną bramę. Kamigami zmrużył oczy, widząc oddalający się gąsienicowy pojazd. Tym razem nikt go już nie wspierał. Sierżant chrząknął z zadowolenia i pojechał za nim. Miał rachunki do wyrównania z dowódcą samobieżnego działka, najlepiej żywym. Poza tym ZSU-23-4 stanowił zagrożenie dla każdego samolotu, który będzie startował z lotniska, a dwaj rangersi mieli jeszcze mnóstwo czasu na dołączenie do pozostałych...

Mahidashi, Iran

– Upiór, tu Łotr Jeden Dwa. – Mallard wywołał Beasely'ego, który dołączył do niego niedaleko mostu. – Cieszę się, że udało ci się tu dolecieć. Czy jesteś w kontakcie ze Szczurem? Co ci zajęło tyle czasu, do licha? Krążymy tu od ponad dziesięciu minut.

– Potwierdzam, Łotr. Przepraszam za opóźnienie. Musiałem zająć się paroma moździerzami. Szczur zbliża się do mostu. – Dwa herculesy krążyły teraz w tym samym miejscu, z tym że Beasely uplasował się ponad Mallardem. Zobaczyli wyjeżdżający z wioski Mahidashi mały konwój. Trzy ciężarówki, dwie furgonetki i mały autobus, oraz dwa jeepy na początku i końcu. – Łotr, sprawdź szosę na zachód stąd – odezwał się Całus. – Widzę już pierwsze czołgi. Poznieczęcam je trochę. – Beasely zaczął się wznosić, wysilając trzy czynne silniki swojej maszyny.

– Łotr, Szczur zajął pozycje i mówi, żeby zrzucić na niego. – Jeepy i pozostałe pojazdy zaparkowały koło zniszczonego mostu. Cywile – byli właściciele czy też kierowcy samochodów – uciekli do wioski. Jeden z żołnierzy na jeepach wystrzelił chmurę zielonego dymu, dając sygnał rozpoczęcia zrzutu.

Pijak przyglądał się wznoszącemu się leniwie dymowi. Z satysfakcją stwierdził, że nie będzie problemów z wiatrem.

– Ostrzeżenie trzech minut – powiedział do mikrofonu. Dowódca zrzutu stanął przy lewych drzwiach spadochronowych.

– Przygotujcie się! – zawołał donośnie. – Wstać! – Czterdziestu pięciu rangersów podniosło się na nogi. – Przypiąć się! – Czterdzieści pięć rąk zapięło uchwyty linek do otwierania spadochronów do liny biegnącej wzdłuż burty, nad ich głowami. – Sprawdzić linki! – Czterdzieści pięć par oczu popatrzyło po raz ostatni na linki do otwierania spadochronów. Żołnierze zlikwidowali luz linek, wiążąc na nich ciasno węzły. – Sprawdzić wyposażenie! – Każdy rangers pociągnął wolną ręką za kilka przedmiotów, żeby mieć pewność, iż nic nie odpadnie. – Podaj głos o kontroli wyposażenia! – Ostatni spadochroniarze w każdym szeregu, przyjrawszy się wyposażeniu swoich poprzedników, poklepalili ich po ramionach i zawołali: „Dobry!” Podawano kolejno sygnał naprzód. Wreszcie pierwsi żołnierze w szeregach krzyknęli:

– Wszyscy dobry!

Dowódca zrzutu zawisł w drzwiach, chwytając się mocno poręczy po obu ich stronach.

– Ostrzeżenie jednej minuty! – odezwało się w jego słuchawkach. Wystawił głowę i sprawdził na własne oczy zbliżającą się strefę lądowania. Widział zielony dym. Dunkin leciał w dobrym kierunku. Sierżant wycofał się i pokazał palcami wskazującymi obu rąk na drzwi.

– Stawać w drzwiach! – zawołał. Rangersi przesunęli się naprzód. Przy każdym z drzwi zgasły czerwone światła, a zapaliły się zielone.

– Skok!!! – Spadochroniarze opuszczali samolot w jednosekundowych odstępach. Kiedy już po dziesięciu z każdej strony zdążyło wyskoczyć, światła zmieniły się

znowu na czerwone, a Dunkin zaczął wrzeszczeć przez interkom:

– Czerwone światło! Przerwać zrzut! Przerwać zrzut!

Dowódca zrzutu skoczył ku drzwiom i odepchnął kolejnego żołnierza obiema rękami, cofając go. Hercules pochylił się o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, zanurkował i odleciał łukiem od strefy lądowania. Dowódca zrzutu wypadł za burtę. Za C-130 poleciała w niebo struga dymu oraz smugi pocisków.

– Co się dzieje?! – zawołał do mikrofonu dowódca ładowni. – Wypadł dowódca zrzutu! Ludzie rozsypali się po całym pokładzie!... – Lecieli już prosto, na wysokości zaledwie pięćdziesięciu kilku metrów.

– Skurwysyny, posłali na nas rakietę i zaczęli walić z działka przeciwlotniczego! – odparł Dunkin. – Mamy szczęście, że byli za daleko... Widzimy dowódcę zrzutu, macha, że nic mu się nie stało. – Rangersi znajdujący się na ziemi patrzyli na to z innego punktu widzenia. Dowódca zrzutu lądował na spadochronie, przeklinając i pokazując „palucha” załodze oddalającego się samolotu.

– No dobra – ciągnął dowódca ładowni. – Mam tu jeszcze około dwudziestu wściekłych rangersów, którzy chcą stąd wyskoczyć.

Mallard powiedział nawigatorowi:

– Dunk, jeżeli podejmiemy wystarczająco nisko, żadne gówno, którym w nas dmuchną, nas nie osiągnie. – Pijak poszukał w swojej torbie odpowiedniego gadżetu.

Kermanshah, Iran

– Łotr Jeden Cztery zniszczony na pasie, pięciu członków załogi zabitych – przekazał radiooperator do Pentagonu. – Łotr Jeden Trzy uszkodzony i wyeliminowany z akcji, załoga bez strat. Łotr Jeden Pięć ocalał, gotów do lotu. Burza Zero Dwa lekko uszkodzony, status chwilowo nieznan. Oficer uzbrojenia, kapitan Furry – ranny. Jeden rangers zabity, dwóch rannych.

– Podaj status pasa startowego – polecił kobiecie głos.

– Pas nieczynny.

– Podaj stan zagrożenia.

– Obecnie brak zagrożenia na lotnisku. Kolumna pancerna zgodnie z meldunkiem osiągnęła most w Mahidashi...

Gregory odezwał się do Stansella:

– Jesteśmy w ciężkich tarapatach, jeżeli nie uda się uruchomić pasa startowego. Przydałby się jeszcze jeden C-130, żeby pomóc Łotrom Jeden Dwa i Jeden Pięć wydostać nas stąd.

Pułkownik pomyślał chwilę.

– Ten wrak będzie musiał zakręcić, zanim zepchniemy go z pasa. – Ale jak?

– Jeepy i wyciągarki. Ale na początek sprawdźmy, czy załoga Łotra Dwa Trzy nie zdoła uruchomić dwóch dobrych silników i odsunąć go o jakieś trzydzieści metrów. Zasypimy leje w prowizorycznym pasie i możemy startować.

– A F-15? – pytał Gregory.

– Trzeba będzie poczekać i zobaczyć, czy Jack da radę go uruchomić. Dostał paroma odłamkami z tego pocisku, który ranił Furry'ego. No i trzeba by oczyścić prawdziwy pas startowy.

– Tak czy owak, potrzebny nam jeszcze jeden C-130 – przypomniał dowódca rangersów.

– Słusznie. – Stansell poprosił radiooperatora, żeby pozwolił mu porozmawiać z Pentagonem osobiście i nadał:

– Skarb, tu Wozak. Potrzebny nam transportowiec. Łotr Jeden Jeden czeka w powietrzu koło Promienia Pięć Jeden. Proszę o natychmiastowe wysłanie Łotra Jeden Jeden do nas. Powtarzam: proszę o natychmiastowe wysłanie Łotra Jeden Jeden do nas.

Wydawało się, że miną wieki, zanim Skarb podejmie decyzję. Tymczasem do cichego pomieszczenia wszedł Locke.

– Źle z Furrym – powiedział pułkownikowi, strapiony. – Dostał odłamkiem w plecy. Mam też dwie małe dziurki w samolocie. Nie wygląda groźnie, jednak butla z azotem do rozrusznika silnika odrzutowego nie wytrzyma. Nie uruchomię silników.

Cisza stała się jeszcze bardziej przykra.

– Wozak – odezwało się tymczasem z głośnika SatComa. – Tu Skarb. Łotr Jeden Jeden w tej chwili opuszcza Promień.

Lydia Kowalski i jej załoga leciały w końcu na wojnę.

– Musimy teraz przesunąć tego C-130 – odezwał się Stansell. Teraz rozbrzmiał głośnik PRC-77:

– Wozak, tu Romeo. Jesteśmy gotowi do załadunku. Uwolnieni i policzeni wszyscy jeńcy oprócz jednego. Próbujemy teraz go uwolnić.

Gregory popatrzył na pułkownika, czekając na jego decyzję.

– W więzieniu byłiby bezpieczniejsi niż tu... zanim otworzymy lotnisko – powiedział.

– Niech natychmiast ruszają – rozkazał Rupert. – Jack, uruchomcie pas prowizoryczny. Załadujemy jeńców na Łotra Jeden Pięć. Wystartuje, kiedy tylko będzie miał skąd.

Mahidashi, Iran

– Panie kapitanie, to wszystko, co się da – oznajmił oficjalnie mechanik pokładowy samolotu Beasely'ego. Wznieśli się na trzech silnikach na wysokość trzech tysięcy trzystu metrów nad poziom morza i dalej im nie szło. Dowódca AC-130 chciał polecieć wyżej, żeby być dalej od zbliżających się do zniszczonego mostu czołgów. Ponieważ teren, nad którym się znajdowali, był wyniesiony na tysiąc dwieście metrów, lecieli zaledwie dwa tysiące sto metrów nad ziemią. Oznaczałoby to, że pochyliwszy maszynę pod kątem trzydziestu stopni będą ostrzeliwać nieprzyjaciela z odległości trzech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu metrów. To wystarczy, żeby znajdować się poza zasięgiem działek ZSU-23-4, ale nie rakiet z dwóch wyrzutni SA-8, które widział Jack.

Beasely polecił oficerowi walki elektronicznej i operatorowi reflektora uważać na SA-8 i ustawił maszynę tak, żeby móc otworzyć ogień do pierwszego czołgu. Dojeżdżał on już niemal do mostu.

Mado miał ochotę rozkazać, żeby samolot nie zbliżał się w rejon zagrożenia, czuł jednak, że wyniknąłby z tego konflikt, a nie był przekonany, czy zwyciężyłby on, czy też Beasely z Gromem. Dlatego generał zajął się dalszym przekazywaniem wiadomości Pentagonowi.

– Kłapy nie opadają równo – stwierdził pilot. – Sprawdźcie kłapy z prawej strony. Z tyłu odezwał się głos jednego z sierżantów:

– Sekcja środkowa wygląda, jakby się w ogóle zacięła przez to uszkodzenie. Silnik kłap mało się nie ukreści. – Miał na myśli napędzany hydraulicznie silnik do opuszczania i podnoszenia kłap, zainstalowany pomiędzy skrzydłami nad pokładem ładunkowym. Beasely podniósł wobec powyższego kłapy z powrotem i uniósł za pomocą drążka sterowego dziób samolotu, próbując zachować stabilność lotu i nie zmieniać wysokości. Wycelował w pierwszy czołg i posłał w niego pocisk kalibru sto pięć milimetrów. Wielki płatowiec zatrzęsł się od odrzutu działa.

– Bezpośrednie trafienie! – zameldował operator czujników. Po chwili dodał: – Całus, to go nie powstrzymało. Dalej jedzie.

– To trafimy jeszcze raz! – skwitował Beasely. Wysłał w stronę pojazdu trzy kolejne pociski, widząc, że lufa czołgu mierzy w samolot. Irańczykowi w końcu odpadła gąsienica. Kapitan wycelował więc w drugi czołg i strzelił.

– Rakieta w nas! – wrzasnął oficer walki elektronicznej.

– Uciekaj w prawo! – rzucił operator reflektora. Wystawał z tyłu maszyny i zobaczył dwie zbliżające się smugi dymu. Po raz drugi tego dnia posłał w powietrze paski metalowej folii i flary. Beasely pochylił samolot pod kątem stu

dziesięciu stopni i zanurkował, jednocześnie skręcając w prawo. Spowodował przez to przeciążenie o wartości dwóch g. Ładowniczy działa został rzucony na drugą stronę kadłuba, na stojak z amunicją i stracił przytomność. Pierwsza rakietka przemknęła w górze. Druga mijając herculesa na tyle blisko, że zadziałał jej zapalnik zbliżeniowy i eksplodowała, posyłając w prawą stronę kadłuba samolotu odłamki.

AC-130 wycofał się znów z walki, tym razem ciągnąc strużkę dymu z komory prawego głównego podwozia...

Podczas gdy samolot szturmowy ściągnął na siebie uwagę konwoju, Mallard nadleciał, żeby dokończyć zrzutu. Dunkin trzymał się fotela drugiego pilota, mierząc przez jeden ze swoich „gadżetów” kąt opadania. Zamierzał dać rangersom zielone światło dokładnie sto osiemdziesiąt metrów od miejsca, gdzie miał wylądować pierwszy z nich. Wartość kąta opadania miała osiągnąć sześćdziesiąt stopni.

– Potrzebna mi wysokość stu dziesięciu metrów nad ziemią, Kaczka – powiedział. Mallard popatrzył na radarowy wysokościomierz i obniżył jeszcze odrobinę lot. Przeleciała nad nimi SA-8.

– Co będzie, jeżeli któremuś nie rozwinie się spadochron? – spytał Don Larson, drugi pilot.

– Nie będą mieli nawet czasu pomyśleć nad reakcją – odparł Dunkin. – Gotów, gotów... – Śledził kąt, czekając, aż osiągnie on sześćdziesiąt stopni...

Był tak znakomitym nawigatorem, że zmierzyłby kąt gołym okiem, w ten jednak sposób osiągnął niespotykaną precyzję.

– Zielone światło! – Rangersi wysypali się z samolotu. Ich spadochrony otwierały się po przeleceniu przez każdego sześciu metrów – tyle wynosiła długość linek otwierających. Większość żołnierzy była już na ziemi, zanim zdążyli kiwnąć się na rozwiniętym spadochronie. Po chwili biegli do pozostałych...

Kermanshah, Iran

Dwaj rangersi napierali na drewniany dźwigar, usiłując przemieścić go do pierwotnej pozycji i unieść nieco sufit.

– Szkoda czasu!... – stęknął jeden przez zaciśnięte zęby. Oparli więc dźwigar bokiem, tuż koło drzwi, dociskając go do sufitu. – Może uda nam się teraz wysadzić – powiedział żołnierz. – Ta belka powinna wytrzymać ciężar. – Mary i Carroll popatrzyli niepewnie na sufit.

Hauser przyłożyła ucho do drzwi:

– Doktorze, słyszy mnie pan? Cisza.

Z góry ktoś zawołał:

- Kapitan Trimler mówi, że już czas jechać. Załadowaliśmy wszystkich jeńców...
- Nie jadę bez Landisa – powtórzyła Mary. Carroll podjął decyzję.
- Powiedźcie Trimlerowi, żeby zostawił nam jedną ciężarówkę. Zostaniemy tu z Mustafą. Przekażcie drużynie, która utrzymuje skrzyżowanie...
- Cel Czerwony – odpowiedział rangers.
- ...Cel Czerwony – zgodził się Bill – że tu jesteśmy i żeby zabrali nas, kiedy będą się wycofywać. Będziemy zachowywać łączność przez MX-360.
- Zostaniemy – odpowiedział na to żołnierz stojący koło Mary. Drugi pokiwał głową na znak zgody.

Pentagon, Waszyngton

- Sir, prezydent chce, żeby pan przyszedł – powiedział pułkownik Stevens, pokazując na stanowisko dowodzenia. Cunningham stęknął i odsunął fotel. Wstał i zobaczył obecnych już admirała Scovilla, Leachmeyera i Camma z CIA. Spodziewał się tego.

Kiedy szef sztabu Sił Powietrznych wszedł, prezydent, rozparty w fotelu, wskazał niezapalonym cygarem dyrektora Burke'a, mówiąc:

- DIA informuje mnie, że partyzanci kurdyjscy w synchronizacji z naszą misją zaatakowali główne lotnisko Kermanshah. Co więcej, zniszczyli czekający tam samolot pasażerski, który miał przewieźć jeńców. Co się, do cholery, dzieje?

Burke zdawał sobie sprawę, że walczy o utrzymanie się na stanowisku.

- Chciałbym znać źródła DIA, żeby móc potwierdzić tę informację... – zaczął.

- Porozumiewają się z Mossadem – odparł prezydent przez zaciśnięte usta. – Z naszymi sojusznikami, znakomitymi, jeżeli chodzi o wywiad. Czy wy z nimi nie rozmawiacie?

- Oczywiście, że rozmawiamy... W rozmowę włączył się Camm:

- Przepraszam, sir, ale starannie oceniamy to, co przekazują nam Izraelczycy. Odkryliśmy, że jakość ich wywiadu spadła w ciągu ostatnich kilku lat...

- Najwyraźniej teraz nie dzieje się z nią nic złego – skwitował prezydent, powracając do Burke'a. – Bobby, jest pan zawodowcem... Potrzebny mi lepszy wywiad. – Pokazał cygarem na tablice sytuacyjne. – Jak wydostaniemy stamtąd resztę ludzi?

- Panie prezydencie, sytuacja ciągle jest do uratowania – odezwał się Cunningham. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Po pierwsze, dwie trzecie jeńców wyleciało już z Iranu i za trzydzieści minut powinni lądować w Incirlik. Po

drugie, pozostała jedna trzecia jest w tej chwili przewożona na lotnisko, gdzie czeka na nich C-130.

– I nie ma pasa startowego – wtrącił Leachmeyer.

– Za chwilę będzie, Charlie. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, do czego zdolny jest C-130 i jak zdecydowani są ci ludzie.

– W takim razie moi rangersi i tak pozostają w pułapce. To teraz zrobili się „twoi”, pomyślał Zmierzch.

– Mamy w powietrzu jeszcze dwa C-130, które mogą wylądować – ciągnął – i jeżeli tylko rangersi zdołają wycofać się z walki z tą kolumną pancerną, wydostaniemy ich.

Otworzyły się drzwi i wszedł Andy Wollard, szef gabinetu.

– Sir, ostatni meldunek generała Mado – powiedział – rangersi utrzymują most, samolot Mado został znowu trafiony, podczas ataku na czołg. Jednak generał chce pozostać w powietrzu. Wszyscy jeńcy poza dwojgiem opuścili już lotnisko.

– Mado to prawdziwy bohater – skomentował Leachmeyer.

Nie, jeśli mogę mieć w tej sprawie coś do powiedzenia, pomyślał Zmierzch. Powinien był wylądować przy pierwszej sposobności...

Prezydent zwolnił zebranych i zaczął dyskutować z doradcą do spraw bezpieczeństwa.

Na zewnątrz Burke zaciągnął Camma w kąt i złapał go za łokieć.

– Lepiej, żebyśmy byli w tej sprawie czysti...

Allen J. Camm czuł się chory. Wiedział, że zupełnie błędnie ocenił całą sytuację. Odpowiedział jednak:

– Jesteśmy, sir. Jesteśmy.

Mahidashi, Iran

– Wycofują się z walki. Powtarzam: wycofują się z walki – nadał rangers, znajdujący się na lewej flance. Kiedy czołgi zaatakowały, Amerykanie zajmowali pozycje po obu stronach zniszczonego mostu. Teraz przed oczyma rangersa płonęły wraki dwóch czołgów, ten bliższy odległy był zaledwie o niecałe trzydzieści metrów. T-72 został zniszczony ostatnią rakieta dragon, jaką mieli. Z prawej dobiegał grzechot cekaemu. Czołg, który został unieruchomiony przez latające działo, cały czas strzelał ze wschodniego brzegu. Po prawej innym czołgiem, który został w końcu unieszkodliwiony trzecią z kolei rakieta, wstrząsały teraz wewnętrzne eksplozje. Amerykanów owiał odór płonących ciał.

Kapitan dowodzący rangersami policzył straty: trzech zabitych, ośmiu rannych.

Wiedział, co nastąpi teraz – ostrzał z moździerzy.

– Pora spadać – mruknął do siebie i wysłał rozkaz wycofania się. Na jego komendę na sam brzeg rzeki spadł jeszcze deszcz granatów dymnych. Rozległy się głuchoe odgłosy dwóch moździerzy strzelających pociskami dymnymi kalibru sześćdziesiąt milimetrów, zwiększając zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela.

Rangersi pobiegli do czekających pojazdów zarekwirowanych Irańczykom, a dwie drużyny na jeepach strzelały jeszcze dymnymi pociskami z cekaemów M-60, wypuszczając krótkie serie. Niewielki oddział Armii USA utrzymał most przez dwadzieścia cztery minuty, zniszczył trzy czołgi – nie licząc unieruchomionego przez samolot, lecz ciągle strzelającego – wyeliminował dwa BTR-y, zabił dwudziestu czterech nieprzyjacielskich żołnierzy i ranił czterdziestu trzech. Osiągnął znacznie więcej niż „uczciwą wymianę”.

Kermanshah, Iran

Cztery ciężarówki wiozące osiemdziesięciu sześciu jeńców i większą część drużyny „Romeo” podjechały prosto do tylnej rampy czekającego C-130, czyli Łotra Jeden Pięć. Zanim przybyli zaczęli zsiadać, Stansell rozkazał kierowcom rozjechać się w różne miejsca lotniska oraz nie wyłączać silników. Wszystko to na wypadek ewentualnej powtórki ataku na lotnisko lub też konieczności szybkiego załadowania herculesa. Na pasie startowym płonął ciągle wrak Łotra Jeden Cztery, posyłając w niebo słup gęstego, czarnego dymu.

Tymczasem na prowizorycznym, zastępczym pasie załoga Łotra Jeden Trzy miała kłopoty z uruchomieniem silnika numer cztery. Pilot i mechanik pokładowy starali się nie spalić rozrusznika. W końcu silnik zaskoczył i nabrał obrotów. Rupertowi wyrwało się donośne westchnienie ulgi. Widział, że pilot pracuje przesuując uważnie dźwignie przepustnic to w jedną to w drugą stronę, powoli zjeżdżając uszkodzonym samolotem z pasa. Kiedy pułkownik ocenił, że nie będzie z tym problemu, zamachał do kierowców ciężarówek, żeby wrócili, i zakreślił nad głową palcem wskazującym prawej ręki, dając załodze Łotra Jeden Pięć sygnał uruchomienia silników.

Trimler zeskoczył z kabiny pierwszej ciężarówki, rangersi pootwierali platformy i pomogli jeńcom zejść i wejść po rampie do transportowca. Trimler musiał także pomóc wydostać się z ciężarówki wysokiemu, wychudzonemu mężczyźnie. Miał on poszarpany mundur, był bosy i – najwyraźniej – bardzo słaby. Zapytał o coś młodego kapitana, a ten pokazał na Stansella. Zabiedzony jeniec przeszedł powoli trzydzieści metrów dzielące go od pułkownika, Trimler posuwał się za nim. Kiedy

doszli, mężczyzna zdołał jakoś stanąć na baczność i powoli zaszalutował.

– Pułkownik Clayton Leason, Czterdzieste Piąte Skrzydło Myśliwców Taktycznych, melduję się posłusznie.

Rupert nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko odpowiedzieć na salut.

Kamigami prowadził powoli samochód pustą ulicą, ciągle śledząc ZSU-23-4. Większość mieszkańców miasta pochowała się, słysząc serie z broni strzeleckiej i eksplozje pocisków moździerzowych. Niewielu, którzy nadal załatwiali jakieś sprawy, było zbyt zaabsorbowanych, żeby zwracać uwagę na półciężarówkę. Sierżant zobaczył, że gąsienicowy pojazd zatrzymuje się, skręcił więc w boczną uliczkę i także zahamował. Otworzył się właz ZSU i wyszedł z niego żołnierz, dźwigając coś, co wyglądało na RPG – radziecką rakietę przeciwpancerną odpalaną z ramienia – oraz erkaem. Wbiegł do najbliższego domu, pozostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi.

– Wystawiają straż, żeby osłaniała ich flankę – ocenił Kamigami. – Widocznie ustawiają się na następnej pozycji. Poruczniku, proszę mnie osłaniać i pilnować ZSU. Nie chcę zgubić go w tym momencie. – Po tych słowach sierżant złapał karabin Jamisona i ruszył w stronę otwartych drzwi. Jamison przyczaił się z M-203, myśląc, że celnie wystrzelony granat zniechęci każdego do spacerów uliczką. Zapamiętał miejsce, w którym ZSU-23-4 skręcił w kępę drzew...

Kamigami doszedł do drzwi i zatrzymał się, nasłuchując. Ze środka dobiegły go przykre dźwięki świadczące o tym, że irański żołnierz dokonuje właśnie gwałtu. Amerykanin zawiesił karabin z powrotem na ramieniu, wyciągnął nóż i wpadł bezgłośnie przez drzwi. Chwilę później wyszedł z powrotem, z RPG w ręku. Nie powiedział ani słowa.

Podporucznik pokazał mu więc kępę drzew, gdzie zniknął ZSU. Kamigami skinął głową i pobiegł, pozostawiając półciężarówkę. Jamison podążył za nim.

Ostatni z jeńców, nie licząc Hauser i Landisa, znaleźli się już na pokładzie C-130. Trimler i jeden z sierżantów porównywali swoje listy, upewniając się, że nie zaszła pomyłka i o nikim nie zapomniano. Dwaj żołnierze nieśli plastikowy worek z ciałem jeńca, który został zastrzelony w piwnicy. Rangersi pomogli też wsiąść na pokład czterem rannym, w tym Amblerowi Furry.

– Mamy wszystkich, oprócz Carrolla, Hauser i Landisa – zameldował Trimler Stansellowi i Leasonowi.

– Startujcie bez nich – polecił Clayton. – Zostanę tu do czasu, aż przyjadą.

– Powinien pan polecieć... – odezwał się Rupert, nie chcąc dodawać oczywistego –

Leason w żaden sposób nie był w stanie w niczym pomóc.

– Zostanę. Załadujcie na pokład Mokhtariego. Chcę, żeby ten sukinsyn został osądzony. Jest też jeden irański strażnik, Amini, który powinien z nami polecieć.

– A po co ten strażnik? – zainteresował się Stansell.

– Pomagał jeńcom, mówi, że jest przyjaznym nam agentem czegoś, co nazwał „Głęboką Bruzdą” – wyjaśnił Trimler. – Wsadźcie na pokład irańskiego pułkownika i tego strażnika – polecił jednemu z sierżantów. Podoficer skierował się do ostatniej ciężarówki.

Z drugiego końca lotniska nadjechał pospiesznie jeep, podskakując na nierównościach i omijając płonący wciąż wrak. W samochodzie siedział Jack Locke.

– Niedobrze, sir – zameldował, pokazując w stronę Łotra Jeden Trzy. – Ptaszek utknął i ciągle zawadza ogonem.

Nadbiegł także z powrotem sierżant, który miał zająć się Mokhtarim i Aminim.

– Irańskiego pułkownika nie ma! – zawołał. – Uciekł!...

Mokhtari wcale nie uciekał. W zamieszaniu, panującym podczas ładowania ciężarówek, po prostu wrócił niespiesznym krokiem do ruin więzienia, pozostawiony samemu sobie.

Maragheh, Iran

Operatora radaru bolała głowa i piekły oczy. Zamiast patrzeć w ekran, miał ochotę wyjść i przespacerować się wokół stacji. Zrobić cokolwiek, żeby przerwać nieznośną monotonię bezczynności. Obiecał sobie już nigdy nie narażać się swojemu kapitanowi z centrum kontrolnego w mieście. Nagle operator zobaczył przez chwilę na ekranie echo samolotu odległego o osiemdziesiąt trzy kilometry, lecącego w kierunku dwustu piętnastu stopni. Podregulował wzmocnienie i zmienił kąt pochylenia anteny. Znowu złapał echo. Nacisnął „wypytywacz” IFF. Nie było odpowiedzi. Miał jednak niezidentyfikowany samolot na terenie Iranu. Intruza! Nastrój Irańczyka poprawił się. Echo tymczasem znikło.

Operator radaru otworzył jednak szufladę i wyciągnął przezroczystą folię z naniesioną mapą gór. Przykleił ją do ekranu. Widział teraz, gdzie znajdują się poszczególne pasma, uniemożliwiające mu śledzenie nisko poruszających się samolotów. Zaczął obliczać, w którym miejscu echo powinno pojawić się znowu, ale intruz wyleciał zza gór i stał się widoczny.

Nagle drzwi stacji otworzyły się z trzaskiem, jak gdyby ktoś kopnął je potężnie. Operator odwrócił się. Do pomieszczenia wszedł stukając wściekle obcasami kapitan w towarzystwie czterech uzbrojonych żołnierzy oraz starego mężczyzny w turbanie

i czarnej szacie – ajatollaha.

– Baczość! – krzyknął kapitan, rzucając okiem na ekran. – Amerykanie zaatakowali Kermanshah, żeby wyzwolić te gnidy, które tam siedzą. Powinieneś być wykryć ich samoloty!...

– Ale, panie kapitanie, ja...

– Spałeś! – krzyknął młody oficer, bardzo niespokojny o własne szanse przeżycia. Uzbrojeni ludzie nie byli podwładnymi jego, tylko ajatollaha. – Zabierzcie go stąd i rozstrzelajcie! Na miejscu! – dodał. Stary Irańczyk skinął głową na znak zgody i dwaj żołnierze złapali operatora i wyprowadzili na dwór. Kapitan popatrzył znowu na ekran, odwrócił jednak głowę, słysząc dwa strzały. Cóż, ktoś musiał zapłacić za to, co się stało...

– Sprowadźcie innego operatora – polecił. Nie zauważył przez to wszystko echa, które pojawiło się po raz kolejny na ekranie, a potem znikło znowu.

Zachodni Iran

– Jeszcze trzydzieści sekund – poinformowała Sue Zack, nawigator – i znowu schowamy się za górami. – Kiedy Łotr 11 wleciał za następną górę, odgradzającą załogę od otwartej doliny wiodącej do Maragheh, napięcie na pokładzie zelżało. – Przepuszczalny czas dotarcia do Kermanshah – trzydzieści trzy minuty.

– Potwierdzam – odpowiedziała Kowalski. – Zobaczmy, czy ta stara wiedźma może lecieć trochę szybciej. – Przesunęła przepustnice w górę.

Do kabiny pilotów wszedł sierżant Ray Byers i stanął za plecami Lydii.

– Co pan tu robi??? – zapytała zdumiona, zobaczywszy szefa obsługi naziemnej na pokładzie własnego samolotu.

– Przepraszam, czy to ekspres do Marakeszu? – zagadnął Ray.

– Ty bałwanie... – mruknęła Kowalski, tłumiąc uśmiech.

Rozdział pięćdziesiąty

Godzina Zero plus 14

Cel Czerwony, Kermanshah

Trzej nastolatkiwie kucnęli za kamiennym murkiem i patrzyli, jak od lotniska zbliża się w ich kierunku chmurka pyłu. Murek przebiegał w odległości trzydziestu metrów od drogi łączącej więzienie z głównym skrzyżowaniem, gdzie zainstalowali się Amerykanie. Zanim obłoczek minął więzienie, chłopcy dostrzegli jadącego na przedzie jeepa i dwie ciężarówki posuwające się za nim. Najstarszy z Irańczyków kazał pozostałym schować się i sprawdzić broń. Miał szesnaście lat i to automatycznie dawało mu dowództwo. Odbezpieczył karabin przywieziony niegdyś przez jego kuzyna z wojny iracko-irańskiej. Piętnastolatek ścisnął rodzinną dubeltówkę, żałując, że też nie ma karabinu. Trzynastolatek musiał zadowolić się starym rewolwerem z pięcioma nabojami.

Chłopcy słuchali pilnie muły w swojej szkole i wiedzieli, jak to zawsze uciekają tchórzliwi Amerykanie, kiedy spotka ich sprawiedliwy gniew wiernych. A przecież młodzi Irańczycy należeli do wiernych. Szesnastolatek nasłuchiwał teraz i kiedy osądził, że mały konwój mija już prawie ich pozycje, zawołał:

– Teraz!

Trzej chłopcy zaczęli strzelać zza muru.

Z jeepa odpowiedziała seria z cekaemu zamontowanego na masce wozu. Po chwili również tylny strzelec obrócił swojego M-60 i posłał serię po murku. Jeden z rangersów z pierwszej ciężarówki zdążył wycelować i wypuścić serię z szybkostrzelnego, nowoczesnego erkaemu SAW. Drugi wystrzelił za murek granatem z M-203. Nikt nigdy nie tłumaczył chłopcom, co oznacza siła ognia współczesnej broni. Pierwsza seria z M-60, rozbijająca mur, oszołomiła ich w mgnieniu oka.

Trzynastolatek stwierdził, że leży na ziemi, przysypany kawałkami muru. Chciał podpełznąć do swoich kolegów, którzy się nie ruszali, jednak jego prawa noga odmówiła posłuszeństwa. Popatrzył i zobaczył, że kończy się ona na kolanie. Zaskoczyło go, że nic nie czuje, ale mimo wszystko postanowił odpełznąć kawałek w bok. Nagle zatrzymał go straszliwy ból, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czuł. Stracił przytomność. Wykrwawiał się na śmierć.

Muła tymczasem siedział sobie bezpiecznie w domu.

– Starczy! – zawołał dowodzący jeepem rangers. – Dostaliśmy ich. – Żołnierze przesunęli jeszcze wzrokiem po rozwalonym murku sprawdzając, czy nie zauważą ruchu. Po chwili ruszyli dalej i wkrótce znaleźli się przy Celu Czerwonym.

Trimler wysiadł z pierwszej ciężarówki i odnalazł dowódcę kompanii „Bravo”, podczas gdy drużyna „Romeo” zeszła z platform samochodów. Przybyli naradzili się z dowódcami drużyn i dowódcą Szczurów, po czym zajęli pozycje, rozdzielwszy odpowiednio pozostałe dragony.

– Ile czasu zajmie otwarcie lotniska? – spytał dowódca kompanii „Bravo”.

– Trudno zgadnąć – odparł Trimler. – Ale musimy utrzymać się tutaj.

Grom siedział przy nadajniku na pokładzie AC-130 i rozmawiał z radiooperatorem znajdującym się koło Celu Czerwonego.

– Rangersi zajęli pozycje – poinformował Beasely’ego. Pilot wykonał krąg nad skrzyżowaniem, rejestrując wzrokiem położenie Amerykanów. Zobaczył, że pierwszy z czołgów irańskiej kolumny zbliża się już do wąwozu prowadzącego do skrzyżowania.

– Uwaga, ludzie – odezwał się Całus przez interkom. – Znowu zabieramy się do tańca. – Wszyscy zgłosili się kolejno.

– Kapitanie, co pan wyprawia? – rzucił Mado. – Zostaliśmy uszkodzeni!

– Robię to, za co nam płacą, panie generale – odparł Beasely. – Ostatnio trafili nas tylko w prawe podwozie i podpalili oponę. Już zgasła. – Całus nie zwracał zbyt dużej uwagi na Mado, koncentrując się na odpowiednim ustawieniu się do ostrzału pierwszego czołgu. Nacisnął spust i AC-130 zatrząsł się, gdy w stronę celu poleciał pierwszy pocisk kalibru sto pięć milimetrów. Po chwili ładowniczy załadował działo ponownie i Beasely wystrzelił po raz drugi.

– Niech to licho! – zawołał, sfrustrowany. – Twarde te sukinsyny! – Strzelił trzeci raz.

Kermanshah, Iran

– Cofnąć się – polecił rangers, ciągnąc za pierścień zapalnika. Sam także usunął się szybko spod drzwi. Była to już trzecia próba. Za każdym razem przyklejał coraz większy ładunek, istniało bowiem ryzyko, że sufit się zawali. Rozległa się ostra eksplozja, posyłając na korytarz pył i dym. Ratownikom dzwoniło jeszcze w uszach, kiedy oglądali drzwi. Nareszcie wypadły z zawiasów. Mary szybko odepchnęła je i weszła do celi.

– Mój Boże!... – westchnęła, znalazłszy się koło Landisa. Zrzucona przez Doucette'a bomba sprawiła, że część sufitu dawno już spadła na podpułkownika. Dolna połowa jego ciała została zmiażdżona grubą, betonową belką. A jednak żył. Uniosła jego głowę. – Doktorze...

– Mary, idź, uciekaj... Ja nie przeżyję – wydobył z siebie słabym głosem.

– Nie, bez ciebie – nie.

– Powiedz mojej żonie...

– Sam jej powiesz.

Landis popatrzył na Hauser. Wiedział, co mu się stało, i wiedział też, że jeszcze przez parę godzin jego ciało nie podda się śmierci. Zdawał sobie sprawę, że bez chirurga i prawdziwej sali operacyjnej i tak umrze. Słyszał z daleka armatnie strzały.

– Mary, rozkazuję ci iść, do cholery...

Carroll podniósł Mary na nogi. Najpierw opierała się mu, jednak Mustafa pomógł i obaj wyprowadzili ją z celi. Jeden z rangersów powrócił i dał Landisowi podwójny zastrzyk z morfiny. Doktor zrozumiał, że żołnierz chce mu podać śmiertelną dawkę, jednak okazała się zbyt mała. Popatrzył za odchodzącym, aż wreszcie zamknął oczy. I czekał.

– Idzie mi za wolno – mruknął Gregory. Przyglądał się, jak pilot Łotra Jeden Trzy wysiła dwa ocalałe silniki, próbując wyjechać z koleiny, żeby odblokować prowizoryczny pas. – Ty – pokazał na jednego z sierżantów podpułkownik. – Weź tę cysternę z paliwem i zrób z niej buldożer. Stań za C-130 i pchaj, ile tylko możesz. – Podszedł do Stansella. – Zaraz będzie pomoc – uspokoił go, pokazując na dużą ciężarówkę. Sierżant podjechał pod ogon herculesa, dodał gazu i pchał. Cienkie poszycie kadłuba samolotu popękało, jednak uniesiona odrobinę rampa wytrzymała nacisk zderzaka cysterny. Potężny transportowiec zakołysał się, po czym uwolnił się wreszcie i odsunął od prowizorycznego pasa.

Łotr Jeden Pięć z ładunkiem jeńców i rannych ustawiał się już na pozycji startowej. Znajdujący się na lotnisku ludzie przyglądali się, jak pilot rozpędza śmigła do maksymalnych obrotów. W końcu zwolnił hamulce i hercules ruszył naprzód. Start wydawał się bardzo długi. Wreszcie dziób wielkiej maszyny uniósł się i po chwili C-130 leciał już, wznosząc się pod stromym kątem w czyste powietrze. Następnie zszedł tuż nad ziemię i obleciał łukiem miasto od północy, kierując się tam, gdzie czekała wolność. Nikt na lotnisku nie zauważył strumienia pocisków, który wystrzelił w stronę odlatującej maszyny. Nie sięgnęły jej jednak, gdyż odległość była zbyt duża.

– Może jeszcze nam się uda... – mruknął Stansell, pokazując teraz na

podchodzącego do lądowania C-130 Mallarda. Widać było nadlatujący już z oddali samolot pilotowany przez Lydię Kowalski. Pułkownik popatrzył na płonący cały czas na pasie wrak. – Kiedy ten ptaszek przestanie się palić, możemy znowu wykorzystać cysterne – ocenił.

Gregory wracał biegiem na tymczasowe stanowisko dowodzenia.

– Panie pułkowniku, mamy jeszcze robotę – rzucił. – Pora się stąd zabierać. – Rupert zgodził się z nim i poszedł w jego ślady. Do lotniska zbliżała się z oddali ciężarówka...

Gregory i jego oficer operacyjny organizowali za pomocą nadajnika wycofanie się rangersów z Celu Czerwonego. Trzeba też było sprowadzić pozostałe drużyny zmotoryzowane. W tym czasie Stansell zlokalizował jedną z przywiezionych bomb zapalających. Zamierzał przymocować ją do komory podwozia F-15 Locke'a, pociągnąć zawleczkę i pozostawić na lotnisku drugi płonący wrak. Im prędzej, tym lepiej, pomyślał. Zbyt wiele przemawiało przeciwko próbom podniesienia myśliwca w powietrze. Poza tym, że nie dawało się uruchomić silników, potrzebny był betonowy pas startowy. A ten blokowany był ciągle przez płonącego kolosa. Jack pojawił się w drzwiach i odezwał:

– Panie pułkowniku... – Rupert podniósł wzrok i zobaczył Billa Carrolla oraz Mary Hauser.

Stansell szukał odpowiednich słów, ale nie był w stanie ich znaleźć.

– Ale się o was martwiliśmy... – wydobył z siebie tylko. Przybysze nie potrzebowali jednak żadnej przemowy. Carroll przekazał Stansellowi i Leasonowi, co stało się z Landisem. Mary gapiła się w kąt.

– To trudna sprawa – odpowiedział Rupert. – Ale wrócimy tam i zabierzemy go, jeżeli... – Przerwał, zobaczywszy wchodzących Lydię Kowalski i Mallarda.

– Przepraszam, że tak długo trwało, zanim tu dolecieliśmy – powiedziała kapitan.

Nagle odezwało się radio MX-360. Przemówił jakiś dziwny głos:

– Jesteście otoczeni. Wasze położenie jest beznadziejne. Zaakceptuję wasze poddanie się.

– Mokhtari!... – odezwała się Mary. Leason zeszywniał. Wystarczyło mu samo brzmienie tego głosu...

– Po co niepotrzebnie marnotrawić ludzkie życie? – ciągnął Irańczyk. – Oczywiście, wzięliśmy jeńców.

– Sukinsyn! – zaklął Leason. – Ma kogoś, będzie torturował...

– Doktora Landisa – wyjaśniła Hauser.

– Ach, nie wierzycie mi – kontynuował głos. – Proszę, może zdołam go zachęcić,

żeby do was przemówił.

Mary rozplakała się.

– Wiedziałam, że nie powinnam zostawiać go samego...! Głos z radia brzmiał sztucznie, patetycznie.

– Co to za cholera? – rzucił Locke.

– Mokhtari, naczelnik więzienia – odpowiedział Leason. – Sadysta, okrutnik – podpułkownik z trudem panował nad sobą – torturuje...

– Lepiej, żebym nie musiał zachęcać go po raz drugi – ciągnął Mokhtari. – Może chcecie porozmawiać z doktorem. Teraz jest przytomny.

Odezwał się słaby, lecz bardziej zrozumiały głos Landisa:

– Atakujcie, załatwcie skurwysyna...

Rozległ się ostry strzał z pistoletu i zapadła cisza.

– Co? – odezwała się Kowalski.

– Doktor prosił nas, żebyśmy zbombardowali więzienie – powiedział gorzko Jack.

– Szkoda, że mój myśliwiec nie może zapalić...

Lydia podniosła wzrok.

– Mam na pokładzie jednego z szefów mechaników, nazwiskiem Byers, który być może... – Locke' a już nie było.

Stansell wyjrzał przez okno. Znowu nie było słów, które wyraziłyby, co czuje. Trzeba iść dalej.

– C-130 przestał się palić – powiedział. – Zobaczmy, czy ta cysterna nie przyda się znowu jako spychacz.

Cel Czerwony, Kermanshah

Trimler prowadził nasłuch na PRC-77.

– Wyeliminowaliśmy pierwszy czołg – zameldował Grom z AC-130. – Stawiają zasłonę dymną... zaraz... jedzie na was pięć czołgów w szyku V.

Kapitan rangersów ostrzegł ludzi, że zbliża się drugi atak pancerny. Dwaj inni kapitanowie pochyliłi się nad mapą, planując wycofanie się na lotnisko.

– Trzeba ich tu zatrzymać i zmusić do przegrupowania – ocenił Trimler. – Wtedy my postawimy zasłonę dymną i wezwiemy Upiora do przeprowadzenia kolejnego ostrzału. Niech Irańczycy myślą, że kontratakujemy. Wtedy szybko wycofamy się w stronę więzienia. Przez całą drogę będziemy stawiać dym i strzelać do wszystkiego, co się z niego wyłoni. – Popatrzył na pagórki przy drodze i skrzyżowanie. Powinny pomóc utrzymać się w tym miejscu dymowi.

– Trudno będzie minąć więzienie – odezwał się dowódca kompanii „Bravo”. –

Tam jest otwarty teren. Ciężko by było na nim się utrzymać. Czołgi rozprzestrzenia się i wezmą nas w kleszcze.

– Masz rację. Musimy dotrzeć do więzienia, utrzymać pozycję tam przez krótki czas, wezwać Upiora, żeby dalej ich ostrzeliwał, i wykonać szybki przeskok na lotnisko. – Trimler włączył nadawanie i przekazał plan Gregory'emu.

– Matka nie chowała mnie na bohatera – przyznał Andy Baulck swojemu kumpłowi, Wade'owi. We dwóch trzymali najbardziej wysuniętą pozycję – najdalszą od skrzyżowania i najbliższą nacierających czołgów. Sto pięćdziesiąt metrów za nimi wspierała ich drużyna na jeepie. – Strzelałeś kiedyś takim bajerem? – zapytał.

– Spoko, dragon to mój stary przyjaciel – odpowiedział Wade. Poszukał w płytkim zagłębieniu dogodnego punktu do odpalenia rakiety. – To muszą być nowe T-72 z pancierzem laminowanym – ocenił. – Są twarde, trudno je załatwić. – Odległe o kilometr czołgi dotarły już prawie do początku wiodącego do Celu Czerwonego wąwozu. – Będę celował w gąsienice. – Wystrzelił raketę z odległości ośmiuset metrów i kierował ją cały czas tak, aby na celowniku pozostawał przód lewej gąsienicy T-72. Rakietę śmignęła, kierowana za pośrednictwem cienkiego przewodu, rozwijającego się za nią. Uderzyła w odległości kilkunastu centymetrów od punktu, w które celował podoficer, i zrzuciła gąsienicę z czołgu. Maszyna szarpnęła się w lewo i zatrzymała. Pozostałe cztery czołgi wycofały się, stawiając zasłonę dymną.

– Ty sukinsynu! – zawołał Baulck. – Nie do wiary! ...Spadamy!!! – Dwaj młodzi mężczyźni pobiegli na tyły, podczas gdy obsługa moździerza zaczęła ostrzeliwać na postrach uciekających Irańczyków. Wade i Baulck wskoczyli do jeepa i odjechali ku skrzyżowaniu.

Za ścianą dymu czołgi cofały się dalej. Do czasu aż zatrzymała je nadana przez radio komenda. Wtedy zawróciły ku Celowi Czerwonemu.

Kermanshah, Iran

Byers znajdował się pod lewym skrzydłem F-15. Grzebał w dolnej części kadłuba, odkręciwszy zdejmowany panel poszycia.

– Kapitanie, słyszał pan kiedy o strzale w dziesiątkę? Locke nie odpowiadał.

– O czym? – zainteresowała się sierżant sztabowy Marcia MacIntyre, mechanik pokładowy samolotu kapitan Kowalski.

– Jak w sam środek tarczy – wyjaśniał Byers. – Trafiły dwa odłamki, jeden pociął przewody w puszcze połączeniowej systemu kierowania ogniem, a drugi złamał końcówkę butli z azotem. – Sierżant nie tracił czasu na tłumaczenie, na jakiej

zasadzie rozrusznik silnika odrzutowego korzystał ze sprężonego azotu. – Mac, przynieś no moją torbę – dodał. – Chyba mam taką końcówkę. – MacIntyre pobiegła więc do herculesa, a Byers wsadził głowę do swojej skrzynki z narzędziami. Wyciągnął zestaw kluczy i znowu sięgnął do wnętrza myśliwca. – Kapitanie, może pan mieć szczęście... – skomentował.

Po kilku chwilach MacIntyre wróciła z torbą części zamiennych, które Byers zorganizował sobie niegdyś sam, bez pośrednictwa zaopatrzenia.

– Muszę już iść – powiedziała. – Kazali nam uruchamiać silniki. Zbliżają się rangersi.

Jamison obserwował przemieszczającego się pomiędzy drzewami Kamigamiego. Olbrzymi sierżant sunął w stronę ukrytego ZSU-23-4 bezgłośnie niczym duch. Podporucznik nie mógł pojąć, jak ktoś taki może poruszać się tak umiejętnie, a nawet z gracją. Nagle sierżant wyprostował się i przybiegł z powrotem do Jamisona, nie troszcząc się zupełnie o powodowany hałas. W istocie robił go teraz bardzo wiele i był widoczny jak na dłoni.

– Ruszył! – rzucił szef batalionu w stronę podporucznika, prawie nie zwalniając. Kiedy dwaj rangersi znaleźli się z powrotem w porzuconej w bocznej uliczce półciężarówce, ZSU już nie było. – Tutaj znajdował się poza zasięgiem strzału – wytłumaczył Kamigami. – Podjedźcie bliżej lotniska, żeby ostrzeliwać startujące samoloty.

Jamison uruchomił nadajnik i przekazał wiadomość Wozakowi.

– Gregory wzywa nas, żebyśmy do nich dołączyli – poinformował podporucznik.

– Niech pan mu powie, że zrobimy to zaraz po rozwaleniu tego sukinsyna... i żeby na nas nie czekał. – Podporucznik posłuchał polecenia pierwszego sierżanta...

Pancerne ZSU jechało przez miasto. Skręciło w wiodącą ku lotnisku drogę i natknęło się akurat na Szczura Dziewięć, który patrolował ją po raz ostatni, żeby upewnić się, iż nikt nie będzie próbował atakować z flanki wycofujących się od więzienia rangersów. Drużyna z jeepa zareagowała szybciej, jednak tylko tylny strzelec mógł nakierować swojego M-60 na lekki czołg z wieżą. Amerykański ładowniczy złapał lekką rakietnicę przeciwpancerną LAW i wystrzelił. Nie trafił jednak. Kierowca jeepa zygzakował, pędząc ku odległemu o niecałe sto metrów dużemu, betonowemu spichrzowi.

ZSU opuściło lufy i posłało wzdłuż drogi długą serię. Jeep przewrócił się, ślizgając parę metrów na boku. Samobieżne działko nie przerywało ognia, zamieniając samochód w płonąca stertę złomu.

Kamigami zatrzymał półciężarówkę na poboczu i czekał. Patrzył, jak ZSU wjeżdża

za cztery betonowe wieże spichrza i staje. Teraz Irańczycy mogli z łatwością dosięgnąć startujące z lotniska samoloty. Otworzył się boczny właz i z pojazdu wypełzło dwóch mężczyzn. Patrzyli ku lotnisku.

– Niedobrze – jęknął Jamison. – Wystarczy, że zajadą za tamten koniec budynku i mają otwarte pole ostrzału.

– Zróbmy to teraz, zanim się pozbierają – zdecydował sierżant, wysiadając z półciężarówki z radzieckim RPG w rękę. – Osłaniaj mnie, poruczniku, a będzie mój. – Kamigami pobiegł w stronę opancerzonego działka.

Jamison pobiegł za szefem batalionu. Zdążył zrobić cztery kroki, kiedy dwaj Irańczycy zobaczyli ich. Podporucznik krzyknął więc, ściągając na siebie ogień wrogów. Stojący za nim pikap stanął w płomieniach. Jamison padłszy na brzuch nie mógł celnie strzelać, gdyż niskie krzaki i niewielkie sfałdowanie terenu zasłaniały mu widok. Wstał więc i wypuścił serię. Nie było to zbyt rozsądne, dało jednak Kamigamiemu niezbędny czas. Sierżant skoczył do płytkiego rowu i szybko wycelował. Pojedyncza kula zerwała mu hełm. Pokręcił głową i wycelował po raz drugi, po czym nacisnął spust. Działka ZSU nakierowywały się już na niego, kiedy rakietą trafiła, przebijając lekki pancierz wieży. Błysnął ogień, a potem ze zniszczonego pojazdu zaczął wydobywać się gęsty dym.

Kiedy Kamigami zrzucił z ramienia karabin i podniósł się, nie zobaczył ani Jamisona, ani dwóch Irańczyków, którzy do niego strzelali. Pobiegł więc w kierunku płonącego ZSU. Z przedniego włazu wypadł człowiek i odtoczył się na bok. To był dowódca wozu. Po chwili pojawił się drugi, którego mundur płonął. Sierżant miłosiernie zastrzelił go.

Dowódca ZSU czołgał się w stronę kryjówki, kiedy Kamigami posłał krótką serię tuż przed niego. Zmienił kierunek i sięgnął po karabin, wystający spod ciała jednego z dwóch jego ludzi, których zabił Jamison. Sierżant drugą krótką serią powstrzymał jednak Irańczyka. Ten wycofał się więc pod ścianę spichlerza i zaczął wrzeszczeć na widok zbliżającej się olbrzymiej postaci.

Kamigami widział na własne oczy, jak ten nieprzyjaciel zabił sześciu rangersów, jego żołnierzy. Chciał go dopaść. Irańczyk szukał rozpaczliwie czegoś na piasku, i namacawszy kawałek rury, zamachnął się. Sierżant dał spokój karabinowi i wyciągnął nóż. Nie zwalniał. Wyrwał wrogowi rurę z ręki i odtrąciwszy ją, szarpnął go za włosy i zabił nożem, przecinając mu gardło.

Następnie wyciągnął berettę i na wszelki wypadek strzelił w ciało każdego z pozostałych trzech członków załogi ZSU. W końcu pobiegł truchtem do miejsca, w którym ostatnio widział podporucznika. Miał zamiar uruchomić radio i zameldować o wyeliminowaniu ZSU. Radio miało jednak wgniecenie, może od

kuli...? Nagle zobaczył Jamisona, leżącego w kałuży krwi. Żył...

– Panie poruczniku – odezwał się delikatnym głosem. – To ja miałem odegrać rolę Rambo, a pan tylko mnie osłaniać. – Wytrząsnął na ziemię zawartość swojego zestawu pierwszej pomocy i opatrzył Jamisonowi pierś i lewe udo. – Za taką odwagę dają medale – oświadczył, po czym przerzucił sobie młodego oficera przez ramię i pobiegł z nim ku lotnisku. Przedtem wrzucił jeszcze do płonącego samochodu milczące radio.

– Zjeżdżaj z mojego pasa! – warknął sam do siebie sierżant Sił Powietrznych, który kierował Bojową Drużyną Kontroli. Naciskał właśnie na pedał gazu cysterny, popychając powoli zderzakiem dziób wypalonego wraka C-130. Po dłuższej chwili pas został odblokowany. Rangersi zdążyli już także odrzucić osmalone szczątki, które poodpadały.

Można było startować.

Mechanik pokładowy Łotra Jeden Trzy, czyli niezdolnego do lotu herculesa, uruchomił zapalającą bombę, pozostawioną w ładowni swojej maszyny. Z tyłu transportowca wydostały się płomienie, podczas gdy mechanik biegł w stronę dwóch ostatnich C-130, których załogi uruchamiały silniki. Śmigło numer trzy samolotu kapitan Kowalski zaczęło się kręcić, jednak znów się zatrzymało.

– Łysy wał rozrusznika – zameldowała Lydia przez radio smutnym tonem siedzącemu ciągle na stanowisku dowodzenia Stansellowi.

Odpowiedział jej spokojny głos Mallarda:

– Uruchamiaj pozostałe silniki i ustaw się do startu na pasie za mną. Pojadę pierwszy. Kiedy zajmiesz pozycję, cofnę się i pomogę ci rozkręcić śmigło. Potem będę startował przed tobą.

Rupert wyjrzał przez okno. Mallard skręcał na pas. Kowalski kołowała jeszcze na dwóch silnikach, po chwili zaskoczył trzeci. Zatrzymała się na samym końcu pasa, podczas gdy Mallard nastawił wsteczny ciąg śmigieł i cofnął maszynę, zatrzymując ją tuż przed samolotem Lydiei. Następnie dodał gazu, posyłając wokół skrzydeł samolotu pani kapitan wiatr o prędkości stu kilometrów na godzinę. Śmigło numer trzy drugiego C-130 ruszyło i zaczęło stopniowo obracać się coraz szybciej, aż wreszcie silnik zaskoczył. Mallard odsunął się na bezpieczną odległość, po czym jego dowódca ładowni opuścił rampę, żeby przybyli rangersi mogli wsiadać.

– Panie pułkowniku – odezwał się Rupert do Leasona – proszę zabrać kapitanów Hauser i Carrola do pierwszego samolotu. – Leason wyszedł razem z wymienionymi. Jeden z żołnierzy odwiózł ich do czekającej maszyny. – Szyńka, czas i na nas – powiedział Stansell Gregory'emu. Ten skinął głową i wydał rozkazy

w sprawie zniszczenia tymczasowego stanowiska dowodzenia. Radiooperator przewiesił sobie przez ramię PRC-77, wziął w ręce SatComa i wybiegł na zewnątrz. Stansell złapał jeszcze radio krótkofalowe i także wybiegł. Jako ostatni pomieszczenie opuścił oficer operacyjny, rzucając za sobą granat zapalający. Pobiegł za swoim dowódcą w stronę czekających transportowców.

Rupert wsiadł do jeepa prowadzonego przez jednego z sierżantów tworzących Drużynę Kontroli i pojechał do F-15.

– Jack, zostaw go – polecił. Wziął bombę zapalającą i ruszył w stronę przedniego podwozia.

– Zaraz! – zawołał Byers. – Już kończę naprawę! – Rzeczywiście, przymocowywał z powrotem zdejmowany panel. – Kapitanie, niech pan wsiada. Podniosę ciśnienie w butli.

– Masz pięć minut na uruchomienie silników – stwierdził Stansell, zwracając się do Jacka. – Po upływie tego czasu ruszasz albo palisz maszynę. – Rzucił ładunek obok przedniego koła i wsiadł z powrotem do samochodu, kierując się do herculesów.

– Po kiego my to w ogóle robimy? – jęknął Wade. Leżeli razem z Baulakiem w rowie przed więzieniem, w tym samym miejscu, w którym zginęła pierwsza obsługa M-60. Był tam zresztą jeszcze zniszczony cekaem oraz motocykl. Trzysta metrów dalej, przy murze więzienia, stał Szczur Jeden – jeep, z którego załogą dwaj koledzy przyjechali od Celu Czerwonego. Teraz patrzyli na drogę, ku skrzyżowaniu.

Przejechały pędem trzy ciężarówki i jeep. Ten przystanął. W środku siedział Trimler.

– Jeszcze jeden jeep i to będą wszyscy – poinformował. – Ruszajcie od razu za nim i zabierajcie tyłki na lotnisko. – Samochód ruszył gwałtownie, podrywając kołami grudki ziemi. Na drodze istotnie pojawił się już ostatni jeep, za którym posuwała się chmura pyłu.

– Ja cię kręcę, zapiernicza za nimi czołg! – skomentował Baulck.

Pentagon, Waszyngton

Kiedy Stansell i Mado zameldowali kolejno, że lotnisko jest znowu czynne, ponury nastrój, panujący w Centrum Dowodzenia w Pentagonie, ustąpił. Teraz zebrani gotowi byli wiwatować, słysząc, że Łotr Jeden Pięć z ostatnimi jeńcami na pokładzie znajdował się już tylko trzydzieści minut lotu od granicy tureckiej.

Uśmiechy poznikały jednak, kiedy AWACS zameldował, że Irańczycy za kilka

minut podniosą w powietrze myśliwce.

Leachmeyer stanął na podwyższeniu, pokazał elektronicznym wskaźnikiem ostatnią pozycję transportowca i zakończył swoją odpowiedź:

– ...i niech AWACS przekaże Łotrowi Jeden Pięć rozkaz skierowania się na zachód i ucieczki przez Irak.

Cunningham obrócił się z fotelem i popatrzył na prezydenta. Ten stał i zapewne zastanawiał się nad propozycją Leachmeyera. Przerabialiśmy to już, pomyślał Zmierzch i podniósł się.

– Panie generale – powiedział – to dobra sugestia, jednak pozwólmymy podjąć tę decyzję dowódcy taktycznemu AWACS-a.

– Ci ludzie są zmęczeni i nie są w stanie myśleć, a my mamy tu obraz całej sytuacji – odparł protekcyjnym tonem Leachmeyer. – Czas, żebyśmy zaczęli działać jak przystało na Centrum Dowodzenia. – Rozległ się pomruk aprobaty.

Cunningham nachylił się do przodu, walcząc z ogarniającą go wściekłością. Otaczający go oficjele byli bandą biurokratów bawiących się w wojnę skomplikowanymi, nowoczesnymi zabawkami i prawdziwymi ludźmi!

– Charlie, utopiliśmy w koncepcję AWACS-a miliardy dolarów i kto wie, ile godzin ćwiczeń – rzucił. – W tej chwili jego załoga znajduje się w rejonie działań wojennych i robi to, do czego została wyszkolona. Naszym zadaniem, jako Centrum Dowodzenia, jest wspierać ich, mieć przed oczami strategiczny obraz sytuacji. Oraz pozwalać im na podejmowanie decyzji taktycznych. – To zdanie wypowiedział szczególnie donośnie. – To, co proponujesz, podpada pod taktykę... Brzmi nieźle, więc przekażmy im to – jako opcję do rozważenia. Jednak pozwólmymy im wykonywać zadania, do wypełniania których są przygotowani.

– Panowie – odezwał się prezydent – zgadzam się z generałem Leachmeyerem. Rozkażcie Łotrowi Jeden Pięć uciekać nad terytorium Iraku.

Major pracująca jako radiooperator popatrzyła na Cunninghama, szukając u niego potwierdzenia. Generał zacisnął zęby, nie będąc pewien, co powie, jeśli otworzy usta. Kiwnął głową i usiadł.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Godzina Zero plus 15

Wschodnia Turcja

Na pokładzie AWACS-a podpułkownik Leon Nelson usłyszał rozkaz z Centrum Dowodzenia skierowania Łotra Jeden Pięć nad iracką przestrzeń powietrzną.

– Proszę o potwierdzenie – nadał. – Jaki jest status irackiej obrony powietrznej? – spytał swoich ludzi.

– Wszystkie stacje podniesione w stan alarmu składają bieżące meldunki – usłyszał natychmiast. – Bardzo niebezpiecznie. Panie pułkowniku, zaatakują wszystko, co się do nich zbliży.

Nelson przyjrzał się radarowi taktycznemu. Przeliczył w pamięci czasy, odległości, geometrię zbliżania się do siebie samolotów. Podjął decyzję i wcisnął guzik interkomu:

– Nie zwracajcie uwagi na ostatni komunikat z Fortu Fuszerka. – Użył bardziej popularnej w wojsku nazwy Pentagonu. Wiedział, że wszystko, co mówi, nagrywa się i może zostać użyte przeciwko niemu na sądzie wojskowym. Kontynuował jednak, zwracając się do swojego oficera od spraw myśliwców:

– Zaczynj rozmawiać z lotami Kowboj i Złodziej. Masz dla nich robotę. – Loty „Kowboj” i „Złodziej” to było osiem F-15 krążących w sąsiedztwie tankowca KC-135.

Kermanshah, Iran

Grom stał za plecami drugiego pilota AC-130 i patrzył, jak trzy czołgi mijają opuszczone teraz skrzyżowanie, które stanowiło Cel Czerwony, i kierują się ku więzieniu.

– Razem z czołgami jedzie ZSU-23-4 i dwie SA-8 – ostrzegł.

– Próbuja nas zniechęcić – skwitował Beasely.

– Kapitanie, rangersi dojeżdżają do lotniska i wsiadają do samolotów – odezwał się Mado. – Chcę, żeby pan osłaniał lotnisko z powietrza.

– Za chwilę, panie generale, za chwilę. Na razie mamy tu jeszcze na dole żołnierzy, którzy znajdują się w kontakcie z nieprzyjacielem. Poślaniajmy najpierw trochę ich, żeby mogli się wycofać. – Widać było stojącego przy murze jepea oraz

Baulcka i Wade'a w rowie.

– Kapitanie, do cholery, to rozkaz!

– Rozumiem, sir. Zastosuję się do niego. Za minutkę. – Beasely zaczął krążyć. – Uwaga, chłopaki, atakujemy znowu. Ruszajmy w tan.

C-130 Mallarda startował z połową rangersów na pokładzie. Wszystkie drużyny samochodowe oprócz Szczurów Jeden i Dziewięć powróciły i ustanowiły wokół lotniska pierścień obronny. Gregory i jego oficer operacyjny uzgadniali po raz kolejny ze Stansellem, Trimlerem i kompanią „Bravo”, gdzie kto jest, żeby o kimś nie zapomnieć.

– Szczur Jeden, Baulck i Wade są ciągle przy więzieniu, w kontakcie z czołgami – potwierdził operacyjny. – Nie wiadomo nic o Szczurze Dziewięć, Kamigamim i Jamisonie.

– To chyba Szczur Dziewięć – odpowiedział podpułkownik, pokazując na unoszący się spod spichlerza dym. – Coś tam się dzieje. Niech Upiór to sprawdzi. – Stansell skinął głową. – Dobrze, likwidujemy pierścień i ładujemy się na samolot. – Trimler i drugi kapitan zabrali się do pracy. Gregory gapił się na słup dymu i spichlerz. – Szczur Jeden po oderwaniu się od nieprzyjaciela nadjedzie tędy – powiedział Stansellowi. Żaden z oficerów nie chciał wymówić oczywistego – jeżeli zajdzie taka konieczność, trzeba jednak będzie pozostawić tych kilku żołnierzy, by ocalić innych...

– Upiór związuje w walce czołgi – poinformował Stansell. – Jadę po Locke'a i Byersa. – Skinął na swojego kierowcę i pojechał w stronę stojącego wciąż nieporuszenie myśliwca.

– Byers, ja muszę go odpalić! – rzucił Jack, zobaczywszy, że jeep mknie w ich stronę. Mechanik stał przy lewym głównym podwoziu i pompował ręczną pompą. Normalnie naładowanie butli azotem o odpowiednim ciśnieniu wymagało dwustu pięćdziesięciu ruchów drażkiem. Jednak z braku czasu Byers był zmuszony zainstalować końcówkę butli w prowizoryczny sposób i teraz złącze przeciekało.

– Dawaj! – zawołał Byers. Jack pociągnął za uchwyt ręcznego rozrusznika silnika odrzutowego. Nic. Sierżant spróbował napompować jeszcze butlę, jednak jego ręce nie wytrzymały wysiłku i szybko padł na ziemię, wyczerpany. Po chwili podniósł się i znowu złapał za drażek.

– Zostawcie to – rozkazał Stansell z samochodu. Byers wylażł zza goleni podwozia i poprosił:

– Panie pułkowniku, jeszcze raz... – Ledwie był w stanie ruszać rękami.

– Nie ma czasu.

– Niech mi pan pomoże, do cholery! – krzyknął rozzłoszczony sierżant. – Jeszcze raz... Pułkowniku, złociutki, to mój samolot...

Rupertowi przypomniało się, jak to całkiem niedawno Byers pomógł jemu w znacznie ważniejszej sprawie... Skoczył więc pod skrzydło i zaczął pompować. Powoli ciśnienie wzrosło i ustabilizowało się.

– Dawaj go! – zawołał znowu sierżant i Jack pociągnął za uchwyt, podczas gdy pułkownik nie przestawał pompować. Tym razem rozrusznik zadziałał, zawahał się jakby, ale zaczął pracować.

– Mamy go! – ucieszył się Byers. Stansell odbiegł z powrotem do jeepa.

Po chwili lewy silnik został uruchomiony przez rozrusznik i wkrótce pracował już na wolnych obrotach. Prawy silnik odpalił bez problemów. Rozrusznik został wyłączony. Jack zablokował hamulce i, opuściwszy swoje miejsce, nachylił się nad tylnym siedzeniem.

– Furry, przydałbyś się... – mruknął. Nastawił maszynę na lot z jednym pilotem. – Hej, Byers, chcesz się przelecieć? – zawołał. Sierżant czekał dalej, nie słysząc Locke'a przez ryk silników. Jack pokazał więc na pusty fotel, a potem na Byersa. Ten uniósł kciuki obu rąk, po czym wspiął się po lewym skrzydle na wlot powietrza do silników, a z niego do kabiny. Kiedy siedział już na miejscu, Locke ruszył na pas...

AC-130 zatrząsał się, kiedy Beasely wystrzelił pocisk sto pięć milimetrów. Mierzył w ukrytą za czołgami SA-8. Jeżeli miał ocaleć, musiał zniszczyć pojazdy, które mu zagrażały. Nie posiadająca pancerza wyrzutnia znikła w chmurze ognia.

Zanim kapitan zdążył wycelować w drugą SA-8,abinę przeszył strumień pocisków z ZSU-23-4. Pancerne płyty pod podłogą i wzdłuż burt pochłonęły większą część energii eksplozji, jednak trzy pociski przebiły się do kabiny. Grom stał akurat przy wejściu dla załogi i rozmawiał z Mado, będąc odwróconym plecami do Całusa. Drobne odłamki metalu powbijały się w plecy Bryanta, a podmuch rzucił go na generała. Obaj mężczyźni wpadli w wejście dla załogi i uderzyli o zamontowaną tam kamerę telewizyjną.

Grom wyszedł po drabinie z powrotem i żołądek podskoczył mu do gardła. Na fotelu mechanika pozostało ciało pozbawione głowy. Drugi pilot także nie żył. Nawigator i oficer kierowania ogniem leżeli na swoich pulpitych. Nawigator miał ranę w lewym ramieniu, a oficer kierowania ogniem – w głowie, z której lała się krew.

Beasely był jeszcze przytomny, chociaż jego pocięta twarz spływała krwią, a prawa ręka zwisała bezwładnie. Utrzymywał maszynę w powietrzu lewą ręką. Popatrzył na Bryanta wzrokiem, w którym widać było błaganie o pomoc.

Grom szybko odpiął pasy przytrzymujące ciało drugiego pilota, przeciągnął je do tyłu i zajął jego miejsce, przejmując stery.

– Generale, na litość boską!... – zawołał. Wiatr gwizdzący przez dziury w prawej burcie samolotu zagłuszał jego słowa.

Mado powrócił do kabiny, oszołomiony jeszcze upadkiem. Nie wiedział, co robić w obliczu takiej tragedii.

– Beasely! – zawołał Bryant. – Opaska uciskowa na prawe ramię. Proszę mi pomóc!...

Mado zareagował powoli, ale jego umysł szybko się rozjaśnił. Przybiegł operator czujników i on zajął się Beaselym. Mado usiadł na miejscu pierwszego pilota i oznajmił:

– Nigdy nie prowadziłem C-130.

Grom miał ochotę odpowiedzieć, że on także nie, ale się powstrzymał.

Mado skierował maszynę w stronę lotniska, nabierając odrobinę pewności siebie. Świeciło się ostrzegawcze światełko na panelu przeciwpożarowym przy dźwigni silnika numer cztery. Bryant wyjrzał przez swoje rozbite okno i zobaczył, że silnik płonie.

– Pożar czwartego silnika – zameldował.

Czy Mado da radę lecieć tylko na dwóch lewych silnikach? Czy zdoła nabrać dostatecznie dużo wysokości, żeby opuścić Kermanshah? Nie rozważał nawet ewentualności próby lądowania.

– Coraz gorzej z tym ogniem! – ostrzegł Bryant.

– Śmigło cztery w chorągiewkę – poinformował Mado. Grom pociągnął za dźwignię, odcinając dopływ paliwa do silnika i uruchamiając gaśnicę. Generał popatrzył na środkowy pulpit, a następnie cofnął przepustnicę numer cztery i przekręcił dźwignię w poprzek. Samolot zaczął obniżać lot. Nie byli w stanie zachować wysokości na dwóch silnikach, Mado dał więc maksymalny gaz sprawnych silników i opuścił kłapy, próbując jednak się wznieść.

Nadbiegł tylny strzelec, aby także pomóc rannym.

– Niech pan przestanie opuszczać kłapy – powiedział. – Silnik hydrauliczny nie chce się zatrzymać... – Mado popatrzył na sierżanta i zlekceważył jego ostrzeżenie. Kierował się z powrotem na lotnisko. Zdecydował, że spróbuje wylądować na pasie. Według wskazań przyrządów...

– Ten hercules ciężko oberwał – skwitował Baulck – a przydałby nam się. – Najbliższy czołg znajdował się już w odległości niecałych czterystu metrów.

– Mam tego dosyć – przyznał Wade, posyłając ku nieprzyjacielowi raketę dragon.

Jednocześnie odpaliła w ten sam czołg rakietę drużyna z jeepa. Pociski uderzyły w przeciwne strony T-72, omywając go masą płomieni i dymu. Kiedy dym opadł, czołg stał, jednak jego wieża kierowała się ku więzieniu, a lufa działa zniżała ku miejscu, gdzie chowała się załoga Szczura.

– Te skurwysyny chyba nie rozumieją, o co nam chodzi! – mruknął Wade, ładując ostatnią rakietę. Wycelował szybko, pociągnął za spust i tym razem czołg eksplodował na dobre.

Stansell trzymał w dłoni mikrofon krótkofalówki i patrzył na startujący F-15. Jack musiał użyć dopalaczy, żeby wznieść się w powietrze na tak krótkim pasie. Teraz szybko nabierał wysokości. Nagle zanurkował i odleciał łukiem w bok.

W radiu odezwał się głos Bryanta:

– Wozak, to Upiór. Natychmiast podchodzimy do lądowania awaryjnego.

– Podaj przyczynę. – W kilku słowach kapitan opisał Rupertowi sytuację, w jakiej się znajdował, i poinformował, że samolot prowadzi generał.

– Ładujcie na pasie ziemnym na północ od głównego – polecił Stansell.

– Potwierdzam – odparł Grom. Pułkownik zobaczył uszkodzonego AC-130, ciągnącego za sobą dym. Kierował się jednak ku prawdziwemu pasowi startowemu, dokładnie naprzeciw czekającej maszyny kapitan Kowalski.

– Boże miłosierny!... – zawołał Rupert. Wcisnął nadawanie i rzucił: – Łotr Jeden Jeden, usuń się z pasa!

– Potwierdzam – odparła Kowalski. Po chwili jej transportowiec ruszył i przejechał z betonowego pasa na zastępczy.

– Prawe główne podwozie nie opada – stwierdził Grom. – Niech pan wciągnie resztę i ląduje na brzuchu. – Mado nic nie odpowiedział. Bryant sięgnął więc i sam podniósł dźwignię wypuszczania podwozia.

– Co się stało?! – sapnął Mado. Stery nagle zaczęły bardzo ciężko chodzić.

– Cali jesteśmy zalani olejem hydraulicznym z silnika klap! – zawołał przez interkom głos z tyłu. – Zerwało uszczelkę. Przełączcie wyłącznik awaryjny hydrauliki. Trzeba odizolować obwód sterów. – Z uszkodzonego teraz silnika hydraulicznego klap tryskał na znajdującą się z tyłu część załogi olej. Bryant poszukał wzrokiem wskazanego wyłącznika, aż wreszcie znalazł go i przesunął dźwignienkę. Mado poczuł, że stery znowu działają, jak należy.

AC-130 podchodził do lądowania o wiele szybciej niż normalnie. Mado uniósł dziób i posadził maszynę na brzuchu. Potężny samolot sunął po betonie, sypiąc na

boki iskrami i ciągnąc za sobą dym. Mado pracował orczykiem próbując utrzymać płatowiec prosto. W końcu AC-130 zarzucił w lewo i zatrzymał się, do połowy zjechawszy z pasa. Z komory prawego podwozia dymiło; dwa pracujące lewe śmigła zwalniały obroty.

Z tylnej rampy zeskoczył któryś z członków załogi, potem zawrócił i pomógł wynieść rannego Beasley'ego. Wyskoczyło jeszcze czterech mężczyzn, wynosząc kolejnych dwóch rannych. Załoga Całusa godnie opuszczała umierającą maszynę. Od herculesa Lydii Kowalski nadbiegli rangersi, żeby pomóc. W końcu z AC-130 wydostało się jedenaście osób, wyniesiono też dwa martwe ciała. Dopiero potem z rampy zeskoczył jakiś wysoki mężczyzna. Był to Simon Mado. Stansell podbiegł do niego.

– To wszyscy? Nikt nie został w samolocie? – zapytał Rupert. Generał kiwnął tylko głową, oszołomiony. – A gdzie Grom? – Mado popatrzył tępo, po czym pokazał na kabinę pilotów. Tymczasem z tyłu samolotu zaczęły strzelać płomienie, gdyż zapalił się olej hydrauliczny.

Stansell pobiegł na przód maszyny, ale kamera do lotów nocnych oraz laserowy dalmierz celu wbiły się w otwarte drzwi załogi. Dzięki swej drobnej budowie pułkownikowi udało się przecisnąć przez szparę i dostał się do wnętrza kabiny. Bryant ciągle siedział w fotelu drugiego pilota, przypięty pasami. Był nieprzytomny. Rupert odpiął pasy, uwalniając potężnego mężczyznę. Usłyszał jęk. Dłonie miał mokre od krwi Groma. Stansell złapał go za kombinezon i zaciągnął do tylnego wejścia kabiny. Jednak ogon samolotu stał już cały w płomieniach.

Teraz Rupert musiał opanować panikę, jaka go ogarnęła. W magazynie amunicyjnym wystrzelił z gorąca jeden z naboarów. Pułkownik popatrzył na okna kabiny, potem podniósł wzrok i zobaczył awaryjny właz w suficie. Wątpił jednak, żeby udało mu się wydostać przez niego ważącego sto pięć kilogramów Bryanta. Zdołał zaciągnąć go do drzwi załogi, którymi wszedł, i wystawić jego głowę przez wolną przestrzeń pod kamerą. Krew zalewała Rupertowi ręce, kiedy pchał z całych sił potężne ciało. Grom zaklinował się pomiędzy drzwiami a kamerą. Nagle ktoś zaczął ciągnąć kapitana od zewnątrz. Byli to Gregory i jeden z jego żołnierzy. Dwaj mężczyźni zdołali wyciągnąć Bryanta, a Stansell przecisnął się przez otwór. We trzech na pół zanieśli, na pół zaciągnęli kapitana do samolotu Lydii Kowalski. Tymczasem wrak Upiora eksplodował istną burzą ognia.

F-15 nadlatywał łukiem. Pilota atakował czołg kierujący się ku rangersom blokującym wciąż drogę do więzienia. Jack wykonał szybko kolejne kroki procedury, którą ćwiczył w symulatorze obsługi uzbrojenia. Miał zamiar wywołać mavericka

i odpalić go ze swojego stanowiska. Wybrał tryb powietrze – ziemia, włączył główny wyłącznik uzbrojenia, przełożył w prawo dźwigenkę na końcu drążka sterowego, wycisnął jeszcze jeden przycisk i chciał wycelować, przesuważąc kursor, używszy umieszczonego na lewej przepustnicy przełącznika kontroli celu. Jednak kursor nie chciał drgnąć – odłamek mózdzierza przeciął akurat potrzebny przewód.

– Byers – odezwał się Locke – musisz tam z tyłu zadziałać. – Odpowiedziało mu pełne sceptycyzmu chrząknięcie. – Na ekranie masz obraz z kamery telewizyjnej. Na samym dole krzyżują się linie. Złap prawy sterownik i przesuń te linie w górę. O, właśnie tak. A teraz ustaw punkt, w którym się krzyżują na tym czołgu przed nami. – Sierżant przesunął celownik na obraz czołgu, pochodzący z układu kierowania wywołanej przez Jacka rakiety. – Dobra. Naciśnij spust... Celownik nie spuści już tego frajera z oka.

Pilot zygzakował, umykając dwudziestotrzymilimetrowym pociskom nadlatującym od jadącego pomiędzy czołgami ZSU. TEWS ostrzegał donośnymi piskami o tym, że obsługa wyrzutni SA-8 wycelowała wF-15, posługując się radarem. Pomknęły w niebo dwie rakiety. Locke szarpnął samolot w górę, poczekał, aż śmiertcionośne pociski nieco się zbliżą, po czym skierował się wprost na nie i zanurkował. TEWS wysyłający zakłócające sygnały dopełnił dzieła i rakiety przemknęły ponad Amerykanami.

– Teraz nasza kolej – odezwał się Jack, posyłając w dół mavericka. Skierował się w lewo, nadal zygzakując, i ustawił do drugiego ataku.

– Byers, już wiesz, o co chodzi. Strzelimy w tę SA-8, która właśnie próbowała nas załatwić. To wygląda trochę jak transporter opancerzony i ma sześć kół. Ustaw na niej celownik, najszybciej, jak ci się uda. – Zbliżając się do Irańczyków Locke zobaczył płonące szczątki swojego poprzedniego celu. Pancierz T-72 jest wprawdzie w stanie przetrwać wielokrotne trafienia pociskami kalibru sto pięć milimetrów i raketami dragon, jednak nie ma szans w starciu z głowicą mavericka. Byers szybko wycelował po raz drugi i Jack odpalił rakietę niemal na granicy jej efektywnego zasięgu, aby jak najprędzej ująć wrogim pociskom.

– Teraz czas na ZSU – poinformował. – Zaczekaj. Mamy co innego do zrobienia. – TEWS ostrzegł właśnie pilota przed kolejnym zagrożeniem.

– Rozpieprzył go! – zawołał uradowany Baulck, widząc, że rakietą zF-15 zniszczyła odległy już o zaledwie dwieście metrów czołg. Kiedy ostatni czołg wycofał się w postawioną przed chwilą przez siebie zasłonę dymną, dwaj sierżanci byli zdziwieni, że jeszcze żyją. Szczur Jeden wyjechał pędem z za więziennego muru, strzelając zaciekle w czołg z obydwu M-60. Z dymu wyłonili się biegnący piechotą

żołnierze. Jeep zatrzymał się z poślizgiem i wszyscy rangersi wskoczyli do środka. Pełen ludzi samochód pomknął w stronę lotniska. Tylony strzelec znowu sypał kulami.

Stansell stał w kabinie pilotów za plecami czekającej na rozkaz startu kapitan Kowalski. Brakowało wciąż Szczura Jeden i Dziewięć. Rangersi rozmieścili w pobliżu samolotu trzy drużyny strzeleckie. Gregory rozkazał zdemontować cekaemy z jeepów, ustawić samochody razem i zniszczyć je.

Sierżant Sił Powietrznych dowodzący Bojową Drużyną Kontroli wspiął się do umieszczonego w suficie kabiny awaryjnego wjazdu i obserwował okolicę przez lornetkę. Zeskoczył na podłogę i wskazał kierunek północny.

– Z tamtej strony idzie jakiś wielki facet. Niesie kogoś. Ależ to olbrzym! Stansell złapał lornetkę i wyjrzał. Zobaczył Kamigamiego. Pułkownik zamachał do stojącego wciąż na ziemi Gregory'ego i skinął w stronę zbliżającego się truchtem sierżanta, pokazując uniesione kciuki zbliżającemu się sierżantowi. Szyinka podniósł do ust nadajnik i po chwili dwaj rangersi pobiegli na pomoc swojemu szefowi kompanii. Teraz Rupert zobaczył w oddali dwie przecinające niebo smugi dymu. Nadlatywała para irańskich F-4. Pułkownik założył słuchawki i rzucił przez krótkofalowy nadajnik:

– Burza, z północnego wschodu nadlatują na nas dwaj bandyci!

– Wiem – odparł bezbarwnym tonem Locke. – Osiemdziesiąt kilometrów za nimi jest dwóch następnych. – Jasne było, że wkrótce lotnisko zostanie zaatakowane.

Stansell rozkazał sierżantowi zająć ponownie miejsce we władze, a także wystrzelić czerwoną flarę. Był to umówiony sygnał dla wszystkich pozostających na ziemi, żeby natychmiast wsiadali do samolotu. Po chwili rangersi nadbiegli. Do kabiny wpadł Gregory i pokazał przez okno na drogę do więzienia. Pędził nią jeep.

– To Szczur Jeden – poinformował. – Kamigami i Jamison są już na pokładzie. Szczur Dziewięć został zniszczony. – Popatrzył na Ruperta wyczekująco.

– Nie możemy czekać na Szczura Jeden – odparł z trudem Stansell. Tymczasem, na wysokości około sześćdziesięciu metrów, przemknął F-15 Jacka.

– Zobaczmy najpierw, czy Locke zdoła odgonić tych dupków – odezwała się Lydia Kowalski, wykonując nieokreślony gest w stronę dwóch irańskich phantomów.

– Druga dwójka nadleci dopiero za jakieś pięć minut. – Zapadła cisza oznaczająca podjęcie decyzji. Kowalski rozkręciła jednak śmigła, gotowa wyłączyć hamulce, jeśli tylko irańskie myśliwce zdołają przedostać się ku niej.

Byers opierał się o pulpit oficera uzbrojenia, podczas gdy myśliwiec szarpał się w te i wewte, lecąc tuż nad ziemią. Sierżant znał się na przyrządach wystarczająco, żeby rozumieć, iż lecą na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów, z prędkością ponad dziewięćset kilometrów na godzinę. Bał się.

– Leć, mały. – Jack mówił do samolotu oddychając ciężko. Byers żałował, że hełm Furry'ego jest na niego za luźny. Kiedy pilot spowodował przeciążenie dwóch g, sierżant poczuł tarcie. Przy czterech g – ból. Przy sześciu – lepiej nie mówić. Locke przełączył tymczasem główny wyłącznik uzbrojenia na tryb powietrze – powietrze, wywołał jedną z rakiet AIM-9 Sidewinder, wycelował w pierwszego phantoma i nacisnął spust. Rakieta wystrzeliła spod lewego skrzydła i pomknęła ku irańskiemu myśliwcowi. Jack zrobił świecę, a potem przewrót na skrzydło, gotów znowu skierować się ku wrogom. Rakieta trafiła we wlot powietrza silnika F-4 i samolot rozleciał się w burzy ognia. Drugi z Irańczyków zrobił ostry zakręt w lewo i umknął ku wschodowi.

W tej sytuacji Locke zanurkował, schodząc z powrotem na minimalną wysokość, i skierował się ku drugiemu irańskiemu kluczowi. Usłyszał, że Byers wymiotuje na tylnym siedzeniu.

Szczur Jeden zatrzymał się pod ogonem C-130 i po rampie transportowca wbiegło sześciu mężczyzn. Kowalski wyłączyła hamulce i potężny samolot ruszył, stopniowo nabierając prędkości. Kiedy rampa uniosła się, a znajdujące się ponad nią wrota jeszcze zamykały, przednie podwozie herculesa oderwało się od ziemi.

Wschodnia Turcja

– Kowboj, tu Promień Pięć Jeden. – Kontroler z AWACS-a zajmujący się myśliwcami mówił wyraźnie i spokojnym tonem. Houserman potwierdził, że usłyszał wywołanie. Cztery dowodzone przez niego F-15 krążyły wciąż w towarzystwie latającego tankowca KC-135 nad terytorium Turcji, pięćdziesiąt kilka kilometrów od irańskiej granicy. – Z Tabriz startuje sześciu bandytów przeciw Łotrowi Jeden Pięć – kontynuował kontroler. – Łotr Jeden Pięć znajduje się w kierunku jeden dwa zero stopni, w odległości dwustu piętnastu kilometrów od twojej pozycji. Czekaj... – Mężczyzna przerwał, zastanawiając się przez moment nad odebranymi właśnie informacjami. – Bandyci są już w powietrzu i kierują ich na Łotra Jeden Pięć. Leć na jeden jeden zero stopni. Zniszcz ich. Powtarzam: zniszcz ich.

Waż potwierdził po raz drugi, po czym cztery F-15 rozdzieliły się na dwa klucze i wleciały nad obszar Iranu...

Kermanshah, Iran

Myśliwce zbliżały się do siebie z prędkością prawie dwóch tysięcy kilometrów na godzinę. Teraz drugi klucz irańskich phantomów znajdował się w odległości nieco ponad trzydziestu kilometrów od Locke'a i półtora kilometra powyżej niego; tak wskazywały przyrządy. Pilot nie zobaczył jeszcze irańskich maszyn gołym okiem, widział jedynie ich echa na ekranie radaru. Nie wątpił, że jego F-15E zdoła łatwo pokonać dwa F-4. Musiał jednak wykorzystać wszystkie swoje możliwości. Najważniejsza była prędkość. Pilot przekręcił regulator wybiórczego wyrzutnika uzbrojenia na pierwszą pozycję, aby pozbyć się pięciu bomb i trzech rakiet powietrze-ziemia typu Maverick, które mu pozostały. Powodowany przez nie opór powietrza spowalniał jego maszynę. Jack rozmyślił się jednak i zamiast wciskać czerwony guzik umieszczony w środku regulatora, pokręcił nim z powrotem. Wykorzystał jeszcze te środki walki.

Przypomniała mu się stara zasada taktyczna, głoszona przez słynnego pilota Marynarki, Williego Driscolla: „Niszcz przeciwników, a nie wdawaj się w walkę”. Jack zobaczył przez HUD dwa F-4. Lecią wcióż prosto przed siebie, utrzymując wysokość i nie manewrując.

– Trzymaj się, Byers – rzucił. Skręcił o czterdzieści pięć stopni w lewo i zszedł jeszcze odrobinę niżej. Zanim phantomy minęły go, wykonał ostry zakręt w prawo i zaczął się wznosić, kierując się wprost na nich, z boku. Bandy ci do tej pory go nie zauważyli. Jack przesunął kciukiem umieszczony na przepustnicach przełącznik w tył, wybierając działko dwadzieścia milimetrów. Zaleciał Irańczyków nieco od tyłu, ciągle znajdując się poniżej nich i posłał w lecącego przodem krótką serię pocisków. Od F-4 oderwały się dwie chmurki dymu, a spod dolnej części jego kadłuba wydostał się płomień. Po chwili maszyna opuściła dziób, straciła stateczność i eksplodowała.

Locke skręcił w lewo i wykonał świecę, aby znowu móc ustawić się do ataku lub też wycofać się; cokolwiek będzie słuszne, gdy znajdzie się wysoko, mając zapas energii potencjalnej. Drugi Irańczyk zanurkował i zawracał, wybierając ucieczkę. Jack pozwolił człowiekowi żyć i skierował się z powrotem ku więzieniu. Myślał już nad procedurą wywołania rakiety Maverick...

Północno-zachodni Iran

– Kowboj – odezwał się znowu kontroler myśliwców, tym razem szybciej i bardziej podekscytowanym głosem. Jeszcze nigdy w życiu nie prowadził pilotów do prawdziwej walki. – Bandy ci w kierunku zero dziewięć zero, sto trzydzieści

kilometrów.

– Dopalacze, teraz – polecił Wąż. On i trzej pozostali popchnęli przepustnice do przodu i ustawili je na dopalanie czwartego, a później piątego stopnia. F-15 przyspieszyły. Houserman przeliczył sobie odległości i prędkości i doszedł do wniosku, że jeśli ma znaleźć się pomiędzy C-130 a usiłującymi go dopaść bandytami, musi się spieszyć.

– Liczne cele, zero osiem zero, sto dwadzieścia kilometrów – zameldował po chwili podniesionym głosem skrzydłowy Housermana. Zobaczył Irańczyków na radarze. Piloci F-15 rozdzielili pomiędzy sobą poszczególne cele. Wężowi bardziej niż na zniszczeniu wrogich maszyn zależało jednak na czym innym – uchronieniu przed nimi herculesa. Przeżył już ponurą lekcję...

Kermanshah, Iran

Jack przeleciał koło więzienia, zwracając baczna uwagę na TEWS. System milczał. Irańskie czołgi dojechały już do lotniska.

– Byers, wyceluj no mavericka w sam środek budynku administracyjnego. Wiesz jak? – Sierżant upewnił się, czy budynek administracyjny to ten, który dopala się po pożarze, zniszczony bombą. – Właśnie ten; wchodzimy – odpowiedział Locke, kładąc maszynę na lewe skrzydło i nurkując łagodnie. Byers umiał już obsługiwać ekran i ustawił odpowiednio celownik. Jack wcisnął przycisk i posłał rakietę. Wywołał następną. – Wyceluj znowu – polecił. Byers wykonał rozkaz i ku gruzom pomknął drugi maverick...

Mokhtari znajdował się w stróżówce na parterze głównego budynku więzienia i próbował połączyć na nowo zerwane przez jednego z rangersów przewody telefonu. Nagle usłyszał odgłos F-15. Instynktownie dał nura pod biurko i nakrył głowę rękami. Łoskot dwóch eksplodujących kolejno rakiet ogłuszył go na chwilę. Pułkownik ucieszył się jednak, zdawszy sobie sprawę, że wrogi samolot uderzył nie w ten budynek.

Locke tymczasem ustawił się do kolejnego ataku. Wywołał bomby i wybrał opcję wypuszczenia ich jedna po drugiej. Umieścił kursor na krawędzi kompleksu więzienia. Zrzuci szeregiem pięć bomb na główny budynek, a także znowu na resztki budynku administracyjnego.

Mokhtari usłyszał, że Amerykanin wraca. Vahid poczuł otępiający zmysły strach. Najpierw odczuł, że koniecznie musi oddać mocz, następnie wyskoczył z pokoju strażników jak oparzony. Zbiegł po kilkunastu schodkach, wypadł drzwiami na dwór i pobiegł w panice ku betonowemu tunelowi, służącemu za wjazd do

więzienia.

Jack zauważył biegnącą przez podwórze samotną postać.

– Mam nadzieję, że to ty! – mruknął, szarpiąc samolotem, aby skorygować tor ataku.

Mokhtari nie czuł już nienawiści, tylko śmiertelne przerażenie; zobaczył bowiem, że F-15 kieruje się prosto ku niemu. Nogi wrosły mu w ziemię, nie pozwalając biec. Stracił w końcu kontrolę nad pęcherzem widząc, że od samolotu oddziela się aż pięć bomb. Podniósł głowę i przyglądał się, jak F-15 skręca i oddala się. A później patrzył, jak pierwsza bomba spada i eksploduje dokładnie pięć metrów od niego...

Północno-zachodni Iran

– Kowboj, tu Promień. Bandyci są teraz w kierunku zero dwa zero, trzydzieści siedem kilometrów – poinformował AWACS.

– Potwierdzam, Promień – odpowiedział Wąż. – Judy – dodał, wymawiając słowo kodowe oznaczające dalsze samodzielne prowadzenie ataku. Jako dowódca klucza, Houserman obmyślał taktykę uderzenia na przeciwników. On i jego skrzydłowy zaatakują lecących z przodu, a druga dwójka – tych z tyłu. Bandyci musieli zostać powstrzymani przed zbliżeniem się do C-130. Wszystkie środki walki myśliwca odpalane są do przodu, trzeba zatem pozostawać zwróconym dziobem do nieprzyjaciela. W przeciwnym wypadku można łatwo stać się celem. Nawet najnowocześniejsza maszyna znajduje się w trudnej sytuacji, jeśli choćby najstarszy odrzutowy myśliwiec zdoła znaleźć się za jej ogonem i wystrzelić.

Wąż przeliczył i wyobraził sobie znowu, gdzie powinni teraz znajdować się Irańczycy. F-15 zbliżały się do nich z przodu i od lewej, hercules był już za plecami Housermana. Zdążył.

Wąż wkroczył w fazę ataku. Rozumiał efekt psychologiczny, jaki wywołuje odważna napaść. Niezależnie od rozkładu szans, należy postawić przeciwnika w sytuacji obronnej. Jeśli się nie uda, lepiej uciekać. Ponieważ jednak Amerykanie nie mogli wyłączyć się z walki, gdyż oznaczałoby to umożliwienie Irańczykom ataku na transportowiec, trzeba było manewrować tak, aby nieprzyjaciele skęcili oddalając się od swojego celu. Jednocześnie nie należało wdawać się w przeciągającą się powietrzną potyczkę. Podobnie jak Jack, Houserman miał zamiar niszczyć wrogie samoloty, a nie pojedynkować się z nimi.

– Lot Kowboj, szyk bojowy – rozkazał. Komenda zabrzmiała prosto, jednak jej wykonanie było wielokrotnie ćwiczone podczas niezliczonych lotów szkoleniowych. Wąż i jego skrzydłowy wzniesli się, kierując dzioby samolotów ku słońcu. Druga

połowa dotychczasowego klucza zanurkowała, schodząc na małą wysokość. Teraz zaatakują biorąc przeciwników w kleszcze – Houserman od przodu i z góry, druga para od tyłu i z dołu. Piloci ustalili, że kiedy znajdą się w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od Irańczyków, odpalą kierowane radarem rakiety AIM-7M, następnie przelecą pomiędzy wrogami i ustawią się do ponownego ataku. Za drugim razem Wąż i jego partner zejda w dół, a druga dwójka wzniesie się.

– Ci bandyci to floggery – poinformował przez radio dowódca klucza lecącego nisko. Miał na myśli MiG-a 23. To dobry samolot, jednak nie jest tak zwrotny jak F-15, a pilot nie ma sposobu sprawdzenia, co dzieje się za ogonem jego maszyny.

Irańczycy zorientowali się, że są atakowani, kiedy ich antyradary wykryły wiązki radarowe amerykańskich rakiet. Zaraz potem zobaczyli dwie smugi dymu zbliżające się szybko od strony słońca. MiG-i rozproszyły się szybko po niebie.

AIM-7 odpalona przez Węża chybiła celu, natomiast rakietą jego skrzydłowego dotarła na odległość dwóch metrów od nieprzyjacielskiego samolotu; zadziałał zapalnik zbliżeniowy i eksplodowała. Metalowe odłamki podziurawiły spód myśliwca i poraniły dolną połowę ciała pilota. Irańczyk zobaczył, że na jego pulpicie zapala się światełko ostrzegające przed pożarem, oraz poczuł, że stery przestały działać. Nie mógł jednak nic zrobić, tylko patrzeć na pędzącą ku niemu ziemię...

Piloci dwóch MiG-ów lecących z tyłu także nie dostrzegli znajdującej się poniżej pary F-15, ale zareagowali na sygnał antyradaru, nurkując gwałtownie. AIM-7 przeleciały nad nimi.

Amerykanie przemknęli pomiędzy skręcającymi MiG-ami i oddaliwszy się, ustawili do ponownego ataku.

Teraz klucz Węża atakował od dołu. Houserman wznosił się, ustawiając samolot na wprost kolejnego celu. Irański pilot skierował się ku Amerykaninowi i opuścił dziób, aby przelecieć pod nim. Wąż minął go górami i zdołał zawrócić, lokując maszynę na „szóstej” przeciwnika. Teraz obaj zniżali się, a oparty na podczerwieni układ sterowania rakiety AIM-9 Sidewinder Housermana śledził już ciepło wydobywające się z dopalacza MiG-a. Wąż odpalił raketę i zakreślił, wycofując się z walki. Sidewinder wleciał prosto w dyszę silnika irańskiego myśliwca i wybuchł.

To wystarczyło. Bandyci stracili ochotę na dalsze zmagania i zaczęli uciekać na wschód, w głąb Iranu. Amerykańskie F-15 zdołały zestrzelić dwa MiG-i 23 w ciągu niecałych siedemdziesięciu dwóch sekund. Houserman polecił pilotom zameldować o ilości paliwa w zbiornikach, po czym jego połączony klucz zbliżył się do herculesa i eskortował jeńców aż do Turcji; nie zwracając nawet uwagi na pozostałe dwa irańskie myśliwce, które cały czas szukały Amerykanów.

Pentagon, Waszyngton

W sali Centrum Dowodzenia w Pentagonie panowało wielkie poruszenie. Zgromadzeni klepali się po plecach i ściskali sobie dłonie. Raz po raz rozlegały się radosne okrzyki. Jednak major przy pulpicie łączności siedziała spokojnie, nie przyłączając się do świętujących bezpieczny powrót Łotra Jeden Pięć do bazy. Opuściła ręce na biodra i popatrzyła na Cunninghama pytającym wzrokiem. Generał skinął głową. Jego Siły Powietrzne pokazały, co potrafią.

Stevens poinformował swojego szefa, że prezydent wzywa go do siebie. Cunningham zerwał się z fotela i pospieszył do przeszklonego stanowiska dowodzenia. Prezydent oznajmił bez żadnych wstępów:

– Wydałem konkretny rozkaz, żeby Łotr Jeden Pięć uciekał przez Irak. Rozkazu tego nie wykonano.

– To prawda, sir – przyznał szef sztabu, zagryzając wargi, żeby przypadkiem nie powiedzieć, co ciśnie mu się na usta: że prezydent podjął głupią decyzję.

– Chcę wiedzieć dlaczego. Ktoś musi dostać za to do wiwatu.

– Czy mogę zapalić? – spytał wymijająco Zmierzch, wyciągając jedno ze swoich ulubionych cygar. – Muszę to ograniczyć... – dodał. Wypuścił chmurę dymu. Dwaj mężczyźni zaczęli ze sobą grę, czekając na ruch przeciwnika. Prezydent odezwał się pierwszy:

– Lawrence, dzisiejszy dzień był dla mnie doświadczeniem nowego rodzaju... Cunningham wiedział, że ów łagodny początek jest największą koncesją, jaką poczyni w tej rozmowie jego naczelny dowódca. Powiedział więc:

– Sir, muszę sprawdzić, dlaczego nie wykonano pana rozkazu. To zajmie trochę czasu. Jednak proszę zwrócić uwagę na skutki tego faktu. – Pokazał na wielką tablicę sytuacyjną Centrum Dowodzenia. – Wydaje się, sir, że w tamtej chwili dyrektor taktyczny na pokładzie AWACS-a dysponował dokładniejszym, trafniejszym obrazem sytuacji niż my. Zrobił to, co uznał za poprawne. Nawet jeśli nie podjął najlepszej decyzji, jej wykonanie przyniosło nam powodzenie.

Cunningham podniósł wzrok na prezydenta, zakłopotany, i kontynuował:

– ...Szkolimy tych ludzi, dajemy im „zabawki” za dziesiątki milionów dolarów – a potem musimy im ufać, kiedy robi się gorąco. Tak to po prostu jest, sir. – Prezydent Stanów Zjednoczonych popatrzył przez chwilę na generała, po czym powoli pokiwał głową. – Przyglądamy się rezultatom – kontynuował zachęcony reakcją szefa Zmierzch – analizujemy szczegóły, promujemy tych, którzy spisali się dobrze, i staramy się, żeby następnym razem sprawić się lepiej. – Nie dodawał, że mimo wszystko trzeba będzie dobrać się komuś do skóry.

- Dziękuję, Lawrence – zakończył prezydent. – Czy zawsze jest tak trudno?
 - Tak jest, sir. Zawsze. Poza tym, to jeszcze nie koniec. Pozostały dwa ostatnie C-
- 130.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Godzina Zero plus 16

Zachodni Iran

– Co tam u ciebie? – zapytała przez interkom Kowalski dowódcę ładowni. Hank Petrowicz rozejrzał się. Prawie wszyscy rangersi spali. Gregory i jego S-3 skupili się przy sanitariuszu, sprawdzając dokładnie listę strat. Drugi sanitariusz przykucnął nad Gromem. Stansell kręcił się koło nich, starając się pomagać. Hank ucieszył się widząc, że dwaj mężczyźni zdołali powstrzymać Bryantowi krwawienie.

– Prawie wszyscy śpią – odpowiedział Petrowicz swojej kapitan. – A jeden chce z panią porozmawiać.

– Daj go tu. – Sierżant skinął na Andy'ego Baulcka. Ten przecisnął się pomiędzy śpiącymi i wszedł do kabiny pilotów.

Lydia odwróciła się i popatrzyła na niego.

– I jak tam, sierżancie? – zagadnęła.

– Rozegrałem najważniejszy mecz w życiu, pani kapitan – odpowiedział. Kowalski uśmiechnęła się. Nie kłamał. – I chciałem pani podziękować. Powiedzieli mi, że pani wstrzymała start do czasu, aż dojedziemy...

– To był mój obowiązek. A poza tym, chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym, żeby taki sukinsyn jak ty wyżywał się na gromadce zaskoczonych cywili? – Baulck uśmiechnął się w odpowiedzi i zszedł z powrotem do ładowni. Po kilku chwilach już spał.

– O, mamy następnego gościa – odezwała się Brenda Iverson, drugi pilot. Z prawej zbliżył się do herculesa Jack Locke. Widać było przez osłonę jego kabiny, jak pokazuje uniesione kciuki.

Wschodnia Turcja

Nelson zatopił się w swoim fotelu na pokładzie AWACS-a, zupełnie wyczerpany. Za długo już był w powietrzu; czuł, że musi odpocząć. Po starcie drużyny „Romeo” na pokładzie Łotra Jeden Jeden AWACS wylądował na krótko w Incirlik, a załoga w kabine pilotów zmieniła się. Ale siedzący w tylnej części samolotu powietrzni kontrolerzy pozostali. Gdyby więcej ludzi słyszało o operacji „Wojownik”, wtedy

i my moglibyśmy odpocząć, pomyślał Nelson. Ale nie wolno teraz marzyć o domu, nie wykonaliśmy jeszcze wszystkich zadań. Nelson popatrzył na znajdujący się przed nim ekran ukazujący sytuację taktyczną i poprosił oficera zajmującego się myśliwcami o najnowsze dane.

– Sytuacja ciągle się zmienia – meldował kontroler. – Mam w tej chwili w powietrzu sześciu bandytów – cztery phantomy i dwa floggery. Wygląda na to, że po prostu latają na wszelki wypadek. Pewnie ktoś tam na dole zorientował się w końcu, że przekraczamy granicę Iranu, i posłał ich, żeby nas blokowali. – Nagle wtrącił się drugi głos, informując, że z Tabriz podniesiono w powietrze cztery kolejne myśliwce, a dwa następne właśnie startują.

– Jak myślicie, do którego C-130 będą próbowali się dostać – do Łotra Jeden Dwa czy Jeden Jeden? – spytał Nelson.

– Do pierwszego, którego znajdą – padła odpowiedź. – Mam cztery gotowe do ataku F-15, lot Koniokrad. Są przy tankowcach, pełne paliwa. Może pošlemy je, żeby eskortowały Łotra Jeden Dwa, dlatego, że znajduje się bliżej granicy. Lot Kowboj mógłby zatankować, a potem wrócić do ostatniego C-130.

– To ma ręce i nogi. Zróbmy tak.

Maragheh, Iran

Nowy kontroler siedzący przy ekranie radaru pocił się. Kiedy przyjechał na górę, widział leżące wciąż ciało swojego zabitego kolegi. Na szczęście działania kontrolera cieszyły się teraz nie słabnącym zainteresowaniem ze strony siedzącego w ośrodku w mieście kapitana. Jego podwładny nie musiał więc podejmować żadnych trudnych decyzji. Za to za plecami kapitana kręcił się surowy ajatollah, gotów ukarać go za każdy błąd. Jednak można było ponieść karę i na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej...

– Czy masz na ekranie C-130? – warknął oficer przez radio.

– W tej chwili nie. Ale znam ich przybliżone pozycje. Pierwszy znajduje się w połowie drogi pomiędzy Kermanshah a punktem zbiegu trzech granic. Drugi dopiero co wystartował z Kermanshah i kieruje się na północ. Proszę zaczekać, widzę nowe echa. – Kontroler przyjrzał się przez chwilę ekranowi, po czym kontynuował: – Od tankowca oddzieliły się cztery szybko poruszające się cele; zniżają się. Stracę je z oczu na czas, kiedy będą przelatywać przez góry. Później znowu je zobaczę. Prawdopodobnie są to myśliwce, zamierzające eskortować C-130. W tej chwili do tankowców zbliżają się cztery inne cele.

Nastąpiła długa pauza.

– Ostatnim razem skierowali cztery myśliwce do osłony jednego transportowca – powiedział w końcu kapitan. – To reguła. Śledź te cztery myśliwce, które wtargnęły w naszą przestrzeń powietrzną. Wyślemy przeciw nim cztery nasze, kiedy dotrą do C-130. Resztę naszych myśliwców skierujemy przeciw temu C-130, który zostanie bez osłony, i zniszczą go. – Irańska sieć obrony powietrznej wreszcie zaczęła funkcjonować.

Zachodni Iran

– Do licha, panie kapitanie, a co to tak piszczy? – poskarżył się z tylnego fotela Byers. Czuły system walki elektronicznej F-15 wysyłał w słuchawki sierżanta donośne ostrzegawcze sygnały.

– To TEWS – wyjaśnił Jack. – Te piski znaczą, że szuka nas radar jakiegoś samolotu. Na lewym pulpicie jest gałka, którą możesz je ściszyć. – Locke zerknął na swoją końcówkę TEWS. Nie podobało mu się to, co zobaczył. – Kręci się tu mnóstwo gomerów.

Odezwało się radio, gdyż lot Koniokrad dotarł właśnie do herculesa pilotowanego przez Mallarda. Kiedy piloci myśliwców zameldowali o znajdujących się w pobliżu Irańczykach, rozległy się szybkie komendy. Amerykanie umawiali się, w jaki sposób osłaniać transportowiec i atakować bandytów. Jack słuchał uważnie kolejnych wypowiedzi wyobrażając sobie, jak rozwija się powietrzna potyczka. Popatrzył ponownie na ekran własnego radaru i TEWS. Wszystko układało się w całość. C-130 Mallarda i cztery F-15 tworzące lot Koniokrad były atakowane przez cztery irańskie myśliwce. Tymczasem on – Locke – oraz kapitan Kowalski lecieli prosto w gniazdo szerszeni – ku co najmniej ośmiu szukającym ich bandytom.

Jack przekazał Lydii, żeby zmieniła częstotliwość nadawania, pozostawiając lotowi Koniokrad wolny kanał.

– Promień Pięć Jeden, tu Burza Zero Dwa. Jak mnie słyszysz na tej częstotliwości? – nadał Locke. Nadeszła zniekształcona, ale zrozumiała odpowiedź. – Mamy tu licznych bandytów – poinformował Jack. – Musimy zboczyć na zachód.

– Zaprzeczam, Burza – odpowiedziano z AWACS-a. – Na zachodzie czeka was wrogie przyjęcie. – Irakijczycy ciągle czuwali.

– To wyślijcie nam jakąś pomoc, do cholery – odparł Locke.

– Słuchaj, Burza. Lot Koniokrad jest związany w walce. Lot Kowboj tankuje. Poślemy do was Kowboja w kluczach po dwa samoloty, kiedy skończą z tankowcami.

– Przekaż im, żeby się pospieszyli. Łotr, słyszałaś wszystko?

– Potwierdzam – odparła Kowalski.

– Musimy zejść na minimalną wysokość. Lecimy wprost pod chmurę szukających nas gomerów. Te myśliwce niewiele są w stanie wykryć w dole, więc piloci będą musieli zobaczyć nas gołym okiem. Potem nadleci pomoc.

– Potwierdzam, nadleci pomoc – mruknęła z powątpiewaniem Lydia.

– Kapitanie, niech pan się obejrzy! – zawołał tymczasem Byers. Jack odwrócił głowę i zobaczył kierujące się wprost na niego dwie charakterystyczne smugi dymu irańskich F-4.

Zawrócił, wykonując ostry przewrót przez lewe skrzydło.

– Dwaj bandyci na szóstej, trzynaście kilometrów, wchodzę – zameldował przez radio, żeby usłyszała go zarówno Kowalski, jak i AWACS. Kiedy Locke znalazł się w górze, przyjrzał się uważnie wrogom i wznosił dalej oczekując, aż się zbliżą. Następnie runął na nich z góry.

– Hank! – zawołała Kowalski przez interkom – niech wszyscy zapną pasy; umocuj, co się da. Będzie gorąco.

Piloci dwóch nadlatujących phantomów późno zobaczyli Locke'a i ledwie zdążyli się rozdzielić. Jeden poleciał w lewo i w górę, drugi zanurkował w prawo. Jack wybrał tego, który skierował się w górę, i pognął wprost naprzeciw niego. Odskoczył nieco na prawo i posłał długą serię z działek, mijając po chwili przeciwnika w minimalnej odległości. Obejrzawszy się, zobaczył za F-4 chmurkę dymu. Skupił więc uwagę na drugim bandycie.

– Obserwuj go, nie strać go z oczu! – polecił Byersowi.

Sierżant patrzył na znikającego szybko w oddali phantoma, podczas gdy Locke manewrował, żeby uderzyć na drugiego Irańczyka. Byers łupnął osłoniętą hełmem głową w bok kabiny, jednak nie tracił z oczu swojego celu.

Drugi bandyta próbował tymczasem zaatakować lecący powoli transportowiec, zaczynając od znalezienia się na jego „szóstej”. Minimalna wysokość i mała prędkość, z jaką poruszała się Kowalski, stwarzały irańskiemu pilotowi trudności...

Jack przełączył na sidewindera i odczekał, aż zbliży się do przeciwnika na odległość, przy której prawdopodobieństwo zniszczenia Irańczyka rakieta będzie wysokie. Gulgot namierzającego wroga układu sterowania rakiety stawał się coraz głośniejszy. W końcu Locke nacisnął spust i Sidewinder pomknął ku swojej ofierze. Z tyłu F-4 wystrzeliła struga ognia i myśliwiec runął na ziemię.

– Mój ptaszek uciekł – poinformował Byers. – Co się tu stało?

– Dostaliśmy tego drugiego – wyjaśnił pilot, mijając herculesa. – Dobrze się

spisałeś, Byers. Pierwsza zasada to: zawsze sprawdzaj swoją „szóstą”. To właśnie zrobiłeś. A Irańczyk zginał, bo zapomniał o zasadzie numer dwa.

– Jakiej?

– Nigdy nie zapominaj o pierwszej zasadzie...

– Bandyci! – ostrzegła tym razem Kowalski. – Na dziesiątej, wysoko. W radiu odezwał się też inny, oczekiwany głos:

– Tu Wąż i Jake, lecimy do was. – Houserman i jego skrzydłowy skończyli tankowanie i kierowali się w głąb Iranu.

– Wąż, spieszcie się – odpowiedział Jack. – Atakuje nas wielu niezidentyfikowanych bandytów. – Popatrzył na pulpit kontroli uzbrojenia. Wystrzelił już dwie rakiety AIM-9. W pośpiechu pilot zapomniał zwrócić uwagę na to, że ma jeszcze pod prawym skrzydłem jednego mavericka, zwiększającego niepotrzebnie opór powietrza jego samolotu. Skierował maszynę na cztery MiG-i 23 mknące wprost na niego.

Wschodnia Turcja

– Koniokrad Cztery Dwa – nadał kontroler z pokładu AWACS-a – siedem kilometrów do płotu.

– Potwierdzam – odparł Koniokrad Cztery Dwa pełnym napięcia głosem. – Utrzymam się w powietrzu przez taką odległość.

Ekran na pokładzie AWACS-a pokazały wszystko: lot Koniokrad zestrzelił jednego z czterech MiG-ów, jakie atakowały C-130 Mallarda. Pozostała trójka wybrała ucieczkę. F-15 oznaczony „Koniokrad Cztery Dwa” został wcześniej trafiony przez pilota irańskiego MiG-a 23 radziecką rakietą powietrze-powietrze nazywaną w NATO Aphid, czyli „Mszycy”. Amerykanin utrzymywał jednak dotąd maszynę w locie, próbując dotrzeć do granicy tureckiej i katapultować się dopiero nad przyjaznym terytorium. Za F-15 ciągnęła się smuga dymu, wyciekał płyn z obwodów hydraulicznych. Eskortował go inny Koniokrad. Pozostałe dwa pilnowały wciąż samolotu Mallarda.

– W tej chwili przelatujesz nad płotem – poinformował kontroler z AWACS-a.

– Odczekam jeszcze minutę, żeby wylądować w bezpiecznej odległości – odpowiedział Koniokrad Cztery Dwa. Po przedłużającej się chwili oznajmił: – Katapultuję się.

– Spadochron rozwinął się prawidłowo – zameldował eskortujący go partner. Miał nadzieję, że jego kolega opadnie na ziemię cały i zdrowy; choć nie był tego wcale pewien.

Zachodni Iran

Jack uruchomił dopalacze i po raz drugi ruszył naprzeciw MiG-ów. Jeżeli on i Byers mieli wyjść z tego starcia żywi, musiał atakować z dużą prędkością i natychmiast uciekać. Jednocześnie nie mógł oddalać się za bardzo, gdyż wtedy Irańczycy dopadliby bezbronnego C-130 Lydii Kowalski. Trzeba było wykorzystać do maksimum zwrotność F-15 i zdolność maszyny do zachowywania przy gwałtownych manewrach dużej prędkości. Locke nie ostrzegł Byersa, że za chwilę straci przytomność...

Pilot wybrał sidewindera i odczekał, aż gulgot w słuchawkach stanie się wystarczająco głośny. Zabłysnęły jasno kontrolki na kabinie informując, że nastąpił dogodny moment do oddania strzału. Tymczasem piloci MiG-ów dostrzegli już Jacka i rozdzielili się, akurat w chwili, kiedy odpalał rakietę. Locke nie wykonując zwrotu pędził za własną rakieta w sam środek kłębowiska myśliwców. Zdążył jeszcze wypuścić serię z działka; przemknął przed nim prostopadle jeden z Irańczyków iF-15 znalazł się po drugiej stronie. Jack pociągnął za drążek sterowy i wcisnął prawy orczyk. Usłyszał podwójnie przyspieszone piski systemu ostrzegającego przed nadmiernym przeciążeniem. Samolot i dwaj ludzie wytrzymali dziewięć g. Locke runął z powrotem ku przeciwnikom. Zobaczył opadającego spirala MiG-a i wykwitającą ponad nim czasę spadochronu.

F-15 przemknął przez obszar niedawnej walki, jednak Irańczycy opuszczali go pośpiesznie. Jack i Ray chwilowo ocaleli; podobnie żołnierze znajdujący się na pokładzie herculesa.

– Co się sta...? – odezwał się niewyraźny głos z tylnego fotela.

– Straciłeś przytomność przy sześciu g – poinformował sierżanta pilot. – Przydałby ci się kombinezon.

Myśliwiec dołączył do C-130 kapitan Kowalski. Locke sprawdził, co pokazuje radar i TEWS, a potem nadał:

– Waż, podaj pozycję.

– Za sześć minut, nadlatuję z północy.

– Ciągłe chcą nas tu dopaść. W okolicy znajduje się pięciu bandytów – informował Jack. Skontrolował poziom paliwa. Spadł, rzecz jasna, ale był jeszcze bezpieczny. Locke cieszył się z dodatkowych zbiorników doczepianych do F-15E oraz z cysterny, która znalazła się na lotnisku w Kermanshah. Przywołał teraz na lewy ekran menu systemów samolotu, żeby sprawdzić stan uzbrojenia. Pozostał mu jeden sidewinder i dwieście pięćdziesiąt pocisków. Cholera, pomyślał, zbyt beztroško naciskam spust; trzeba strzelać krótszymi seriami. Teraz dopiero zwrócił uwagę na to, że wciąż wozi

ze sobą niepotrzebnie mavericka – raketę powietrze-ziemia. Sięgnął po gałkę wybiórczego odrzucania uzbrojenia, po czym zrezygnował z jej użycia. Czuł, że kiedy w okolicy czyha mnóstwo przeciwników, każda broń może okazać się przydatna...

– Kapitanie, z tyłu! – krzyknął Byers. Wziął sobie do serca zasadę numer dwa. Nadlatywały cztery myśliwce. – Czterej bandyci, na szóstej, atakują nas! – ostrzegł przez radio Locke. Kowalski zaczęła zygzakować. Zna się na tym, pomyślał z podziwem Jack. W rzeczywistości za plecami Lydii stał Stansell ucząc ją na gorąco manewrów obronnych wykorzystywanych zazwyczaj przez pilotów myśliwskich. Pułkownik rozkazał także Petrowiczowi podnieść wrota ładunkowe i wołać, kiedy tylko zobaczy zbliżającego się MiG-a.

Locke wykonał ostry zwrot w stronę nadlatujących napastników, zastanawiając się, na ile jeszcze starczy mu szczęścia.

– Macie nie najlepszą taktykę, ale jesteście uparci... – przyznał na głos. Rozpoczęła się szalona walka. Jack kierował dziób maszyny to tu, to tam, żeby zawsze celować w jakiegoś MiG-a, wypuszczał krótką serię, odskakiwał. Raz udało mu się przelatywać tak, że zdążył namierzyć wroga i odpalić sidewindera. Rakieta śmignęła koło dwóch irańskich maszyn, które zaczęły natychmiast uciekać. Chybiła jednak, prawdopodobnie dlatego, że została wystrzelona ze zbyt małej odległości. Byers pilnował nieustannie „szóstej” – była to jedyna przydatna w tej sytuacji rzecz, jaką potrafił. Kiedy widział, że ktoś chce ich atakować, Jack uciekał w bok, wypuszczając co dwie sekundy po jednej flarze. Każdy z gwałtownych zwrotów powodował przeciążenia o wartościach od sześciu do dziewięciu g i sierżant tracił przytomność i odzyskiwał ją na nowo. Natychmiast, kiedy rozjaśniło mu się w głowie, patrzył, co dzieje się za ogonem samolotu.

W którymś momencie Jack leciał po kolejnym manewrze z prędkością zaledwie czterystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, mając za sobą MiG-a. Wykonał więc świecę i Irańczyk śmignął pod nim. Następnie Locke zanurkował, uruchamiając dopalacze, i dogonił zwalniającą nieprzyjacielską maszynę. Amerykanin wystrzelił ostatnie pociski, przepoławiając bandytę. Nie miał już jednak więcej uzbrojenia. Nakierował się naprzeciw kolejnego MiG-a, żeby stworzyć pozór agresywnego ataku, i zastanawiał się, jak szybko wrogowie zorientują się, że nie ma już ich czym razić.

– Widzę lisa – odezwał się z radia jakiś głos. Houserman i jego skrzydłowy włączyli się z dołu do walki. Jack skierował się więc ku C-130, ale nie znalazł go. Zniknął im z oczu podczas zacieklej potyczki.

– Za nami MiG! – zawołał przez interkom Petrowicz. Kowalski szarpała orczykiem i drążkiem sterowym, żeby uniemożliwić irańskiemu pilotowi oddanie skutecznego strzału. Stansell trzymał się obiema rękami oparcia jej fotela.

– O Boże! – krzyknął Hank. – Uciekaj w lewo! – MiG wypuścił serię z działka dwadzieścia trzy milimetry marki Gatling. Lydia położyła potężną maszynę na lewe skrzydło i usiłowała zawrócić, żeby znaleźć się na wprost napastnika, tak jak radził jej Stansell. Nie wystarczyło to jednak. Strumień pocisków przeszył prawe skrzydło, siejąc zniszczenie. Urwał śmigło zewnętrznego prawego silnika. Za skrzydłem zaczęła ciągnąć się struga paliwa z przedziurawionego zbiornika. Przestała pracować turbina silnika numer trzy, strzaskana dwoma eksplodującymi pociskami. Poodpadały kawałki poszycia, a zerwana osłona przeciwoślodziowa na krawędzi natarcia odwinęła się w tył, trzymając się ciągle częściowo mocowania.

Kowalski zmagala się z rannym samolotem, próbując odzyskać stateczność lotu, a wrogiego pilot ustawiał się do kolejnego ataku.

– Widziałeś tego gnojka?! – zawołał Baulck do Wade'a. Baulck patrzył jednak na pokiereszowane prawe skrzydło. – Szkoda, że nie mamy tylnego strzelca, jak B-52! – odpowiedział. Dwaj zapalczywi sierżanci popatrzyli po sobie, po czym jednocześnie odpięli pasy, złapali ręczne karabiny maszynowe SAW i pobiegli na ogon samolotu. Rzucili się na podniesioną rampę i wystawili lufy pod otwartymi przez Petrowicza wrotami ładunkowymi.

MiG zaczął atakować po raz drugi, posłali więc w jego stronę długie serie. Irańczyk zobaczywszy w tyle transportowca błyski wystrzałów odskoczył w bok i postanowił zmienić pozycję. Teraz uderzy od góry i z tyłu, unikając ognia, jaki mógł mu zagrozić spod ogona herculesa.

Zapomniał jednak o zasadzie numer dwa.

Jack wzniósł się i odnalazł C-130 za pomocą radaru. Pognał ku niemu i zobaczył akurat przerywającego atak MiG-a 23, który zaczynał wznosić się, żeby spaść na transportowiec z góry.

– I co ja zrobię? – mruknął na głos Locke. – Staranuję go?... – Nakierował maszynę na wroga i powiedział: – Byers, maverick. Nakieruj na MiG-a te dwie krzyżujące się linie i zablokuj je. – Pilot przywołał jedyny pocisk, jaki mu jeszcze pozostał.

Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, żeby użyć rakiety powietrze-ziemia w walce powietrznej. Aby zwiększyć prawdopodobieństwo trafienia, zbliżył się do wroga na odległość niecałych pięciu kilometrów. Nie za blisko!, ostrzegł się w duchu. Sprawdził, że na pulpicie kontroli uzbrojenia świeci się lampka oznaczająca gotowość rakiety, i nacisnął spust. Przeciwczołgowy maverick oderwał

się od F-15 i pomknął ku MiG-owi, którego pilot zamierzał już właśnie zestrzelić bezbronny transportowiec z żołnierzami. Pięćdziesięciosześcikielogramowa głowica mavericka ukształtowana tak, aby przebijać grube pancerze pięćdziesięciotonowych czołgów, dosięgła irańską maszynę i MiG zniknął w kuli ognia.

Jack sprawdził poziom paliwa i dołączył do C-130. Orzeł i hercules skierowały się do domu.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Godzina Zero plus 17

Incirlik, Turcja

Kiedy Jack zatrzymał samolot na miejscu postoju i wyłączył silniki, obok stała furgonetka obsługi technicznej. Sierżant Pullman czekał niecierpliwie, aż z kabiny zejda po drabince Locke i Byers.

– Co jest?... – mruknął na widok Raya. Byers wyglądał żałośnie. Miał poplamioną z przodu bluzę; zdawało się także, że ze strachu oddał mocz. Położył się na ziemi i zaczął jęczeć. Bolała go szyja i całe ciało.

Jack przyklęknął przy nim.

– Wydobrzejesz? – zapytał.

– Bohaterowie nigdy nie umierają... – stęknął Byers. – O Boże!...

– Panie kapitanie – odezwał się Pullman – wzywają pana do sali wywiadu, do raportu.

– Mogą zaczekać. Kowalski ląduje dopiero za dwadzieścia minut – odpowiedział Locke. Sierżant skinął głową, sięgnął do furgonetki i podał pilotowi plastikową butelkę z wodą. Jack wypił trochę, a resztę wylał sobie na twarz.

– Kapitan Bryant jest ciężko ranny – poinformował Pullman, spoglądając na cztery czekające karetki.

– Tak, wiem... – odparł Jack. Teraz pozostało im tylko męczące czekanie na uszkodzonego herculesa.

– Temperatury wlotów turbin dotarły do końca skali – oznajmiła MacIntyre, mechanik pokładowy. Lydia spytała:

– Sue, jak stoimy z paliwem?

– Na dwoje babka wróżyła – padła odpowiedź. Transportowiec leciał na dwóch lewych silnikach. Uszkodzone prawe skrzydło stwarzało dodatkowy opór powietrza. W związku z tym turbiny grzały się, a zużycie paliwa było wysokie. Aby utrzymać maszynę w powietrzu i nie opadać, Kowalski musiała zachowywać niemal maksymalne obroty. Za każdym razem, kiedy cofała dźwignie przepustnic, prawe skrzydło opadało. Ledwie spełniało swoją funkcję.

– Pani pilot, mówi dowódca ładowni – odezwał się Petrowicz poważnym tonem.

Formalny sposób, w jaki się odezwał, nappełnił resztę załogi złymi przeczuciami.

– Potwierdzam, mów dalej.

– Melduję, że kapitan Bryant zmarł.

Na chwilę zapadła cisza. Po krótkiej chwili Kowalski polecił:

– Niech wszyscy zapną pasy. Będziemy podchodzić do lądowania w Incirlik.

– Jest – odezwał się Locke, wykonując nieokreślony gest w stronę zbliżającego się C-130. Na lotnisku zapanowała niezwykajna cisza, gdyż wszyscy przerwali wykonywane czynności. Na koniec pasa ruszyła potężna ciężarówka ratownictwa technicznego, służąca na wypadek katastrof. Za nią podążała jedna z karetek. W połowie długości pasa znajdowała się już druga ciężarówka, podobna do pierwszej. Jack słyszał pracujące silniki pozostałych karetek. Patrzył, jak prawe skrzydło zniżającego się herculesa opada.

– Podnieś je, podnieś!... – mruknął sam do siebie. Skrzydło opuściło się jednak jeszcze bardziej. – No, dawaj! – krzyknął. Zerknął na Pullmana. Potężny sierżant zgiął w łokciu lewą rękę i unosił lekko wyprostowaną dłoń. W pewnej odległości, koło niewielkiego ciągnika, stał jakiś sierżant i przechylał się na prawo. Jack zdał sobie sprawę, że on sam i Pullman również się pochyłili, jak gdyby próbowali siłą woli zmusić prawe skrzydło C-130 do podniesienia się.

Powolutku skrzydło uniosło się, dzięki temu, że Kowalski zwiększyła prędkość samolotu. W końcu podwozie dotknęło pasa, a później pilot zdołała zatrzymać maszynę przed jego końcem. Jack czuł, jak trzymające go w kleszczach napięcie opada.

Cały ból nadejdzie dopiero później.

Pentagon, Waszyngton

– Proszę o uwagę. – Major podawała Centrum Dowodzenia ostatnią wiadomość: – Łotr Jeden Jeden bezpiecznie wylądował w bazie. Z tą chwilą operacja „Wojownik” została zakończona. – Teraz reakcja na sali była bardziej stonowana. Ludzie gratulowali sobie tego, co udało się „im” dokonać.

Cunningham był pewien, że większość zgromadzonych miała zdecydowaną ochotę na to, żeby rozwiązać Task Force Alpha natychmiast po przewiezieniu jeńców do Stanów. Generał wstał i popatrzył na panią major. Siedziała jeszcze, ale zbierała książki kodowe, szykując się do wyjścia. Skłoniła głowę w jego stronę i zabrała się z powrotem do pracy. Szef sztabu Sił Powietrznych zerknął ku przeschlonemu stanowisku dowodzenia. Prezydent stał i przyjmował gratulacje od swoich

podwładnych. Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie przez krótką chwilę.

Cunningham odwrócił się.

– Panno Rahimi, dziękuję pani – powiedział. Wsadził w usta świeże cygaro. – Dick, jakie sprawy mamy do załatwienia? – rzucił w stronę adiutanta. Po chwili już go nie było.

Epilog

Baza Sił Powietrznych Holloman, stan Nowy Meksyk

Pułkownik Rafe Thompson, dowódca stacjonującego w bazie Holloman skrzydła, siedział za biurkiem spoglądając na wyprężonego przed nim na baczność sierżanta sztabowego. Pułkownikowi brakowało słów, być może po raz pierwszy w jego wojskowej karierze. Oczy sierżanta wędrowały od oficera do spoczywającej na biurku brezentowej torby i z powrotem. Wyglądała jak torba ze „zorganizowanymi” przez Raya drobnymi częściami zamiennymi. Ale to nie mogła być ona. Pozostawił ją bowiem na lotnisku w Kermanshah.

– Cholera jasna, Byers...! – wydobył z siebie pułkownik, wstając. Zaczął chodzić po gabinecie. – Nie wiem, co mam z tobą zrobić. – Ray napiął się, szykując się na ewentualną naganę. – Kapitan Jack Locke zestrzelił pięć nieprzyjacielskich myśliwców na pewno i jednego prawdopodobnie... To znaczy, że został asem. Oficjalnie uznanym, z dokumentem.

– To wspaniale, sir!

– Nie, to nie jest wspaniale. Według regulaminu Sił Powietrznych drugiemu członkowi załogi przyznaje się z reguły takie same zasługi za zestrzelenie wrogich samolotów. – Twarz pułkownika przybierała powoli kolor buraka. – To jeszcze nieoficjalne, ale wychodzi na to, że... mam tu w bazie... pod moim dowództwem... jednego sierżanta – asa myśliwskiego na całym świecie! – Opadł z powrotem na fotel odsuwając się nim aż pod ścianę.

– Ale, sir, ja nic nie robiłem. Straciłem przytomność...

– Locke mówi co innego. ...I jeszcze coś. – Pułkownik znowu wstał, nachylił się nad biurkiem i pchnął w stronę Byersa brezentową torbę. – To są wykradzione przez ciebie części. Powiniennem cię postawić przed sądem wojennym...

– To nie moje, sir. Swoje zostawiłem...

– Byers, niejaki szef sztabu Sił Powietrznych, generał Lawrence „Niech Pan Opuści Bazę Przed Zmierzchem” Cunningham twierdzi, że to twoje! A mój szef zaopatrzenia mówi, że w tej torbie znajdują się części o łącznej wartości ponad dwudziestu tysięcy dolarów... – Pułkownik starał się opanować. – Zabieraj to i zjeżdżaj stąd, już! – Ray złapał torbę, zaszalutował i odwrócił się na pięcie.

– Sierżancie – zatrzymał go głos Thompsona – generał Cunningham przesyła panu podziękowania. W pana skrzynce pocztowej jest list i medal.

Pentagon, Waszyngton

– Gratuluję panu awansu – powiedział Lawrence Cunningham do generała broni Simona Mado. Szef sztabu ledwie był w stanie zachować spokój i uprzejmość. Skinął na adiutanta, a ten wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Simon postanowił okazać łaskę i nie drażnić Cunninghama bardziej. Czuć było czającą się w nim wrogość.

– Dziękuję, sir, to stało się zupełnie niespodziewanie – odpowiedział Mado. Zmierzch ścisnął cygaro w zębach tak mocno, że aż niechcący odgryzł jego koniec. Postanowił puścić sobie cugli. Tylko odrobinę.

– To prawda, ty pieprzona kupo gówna – przyznał zgodnym, niemal miłym tonem.

– Słucham?

– Wiesz co, człowieku? Dostałeś awans, bo prezydent i paru generałów myślało, że świetnie się spisałeś tam, w Iranie. Z tego, co ja widziałem, byłeś tylko najlepiej opłacanym radiooperatorem w całych Siłach Powietrznych. Miałem tu w Centrum Dowodzenia major, która robiła dokładnie to samo, co ty. A ty wyszedłeś na bohatera, bo odważna załoga AC-130 nie bała się walczyć na śmierć i życie, kapitan Bryant zachował spokój do samego końca, a Rupe Stansell był w stanie dowodzić połączonymi siłami operacyjnymi – co było twoim zadaniem. Wspiąłeś się o szczebel wyżej po ich plecach! – Zmierzch oparł się o biurko. – Może odszedłby pan na wcześniejszą emeryturę, panie generale? – zakończył.

Mado tłumił cisnący mu się na usta uśmiezek. Czas, żebyś zrozumiał, kim jestem, stary sukinsynu, pomyślał.

– Nie sądzę, żeby było to w tej chwili potrzebne – odpowiedział uprzejmym tonem.

Ostra rozmowa nie zakończyła się jeszcze. Zmierzch pokazał na drzwi.

– Będzie pan potrzebował niezłych pleców, żeby przetrwać w moich Siłach Powietrznych!... – oznajmił.

Mado zasalutował i odszedł.

Kiedy przechodził przez sekretariat, uśmiechnął się do adiutanta Cunninghama. Wracając korytarzem do swojego gabinetu pogwizdywał nawet dla dodania sobie animuszu. Pomyślał jednak, że stary skurczybyk ma rację w jednej sprawie. Będzie potrzebował pomocy.

Pierwszymi rzeczami, do których zabrał się generał broni Simon Mado, były rozmowy telefoniczne: z prawnikiem, który miał prowadzić jego sprawę rozwodową, oraz z Barbarą Lyon.

Fort Benning, Georgia

Dwaj zadziorni sierżanci wmaszerowali do gabinetu szefa batalionu i zameldowali się służbiście. Kamigami nie powiedział: „Spocznij”. Zamiast tego zaczął:

– Porucznik Jamison mówi, że wczoraj, po rozdaniu odznaczeń i paradzie wdaliście się w bójkę w klubie podoficerskim. – Głos sierżanta pozostawał jak zwykle spokojny i cichy. – Poprosił mnie, żebym się tym zajął. O co wam poszło?

– Panie pierwszy sierżancie, czterech palantów z pierwszego batalionu zaczęło opowiadać wszystkim, jak ciężko było na Grenadzie... – zaczął odpowiedź Wade.

– Mają rację – przerwał Kamigami. – Byłem tam.

– Wiemy – odezwał się Baulck – ale ci czterej gówniarze w czasie inwazji na Grenadę byli jeszcze w szkole średniej...

– Będziecie walczyć tylko wtedy, kiedy wydam taki rozkaz – zakończył dyskusję Kamigami. – Stawić się tu jutro punktualnie o piątej rano. Przebiegniemy się trochę. Odmaszerować. – Dwaj podoficerowie wypadli z pokoju. Szef batalionu popatrzył za nimi i postanowił wykryć, kto zwyciężył w bójce. Jeżeli Baulck i Wade zdołali pokonać czterech rangersów z pierwszego batalionu, to nie jest źle, pomyślał.

Cleveland, stan Ohio

Niewielki kościółek w zaniedbanej, niebezpiecznej dzielnicy miasta zapełniał się powoli krewnymi i przyjaciółmi młodego człowieka, którego pogrzeb miał się za chwilę rozpocząć. Widać było, że lokalna wspólnota dba o świątynię i że na nabożeństwach nie brakuje wiernych – ławki były wytarte, lecz czyste, metalowe części ołtarza, pulpit i świeczniki starannie wypolerowane. Większa część przybyłych ze zdumieniem obserwowała siedzącego w pierwszej ławce, obok najbliższej rodziny zmarłego, pułkownika Sił Powietrznych. Wprawdzie miał nienagannie skrojony garnitur, widać jednak było, że mężczyzna jest wychudzony. Był on jedynym białym człowiekiem obecnym w kościele.

Kiedy nadszedł czas na mowę pogrzebową, pułkownik stanął za pulpitem, oparł na nim złożone dłonie i zaczął:

– Jestem pułkownik Clayton Leason. Byłem dowódcą Macona Jeffersona, kiedy przetrzymywano nas w Kermanshah. Wszyscy słyszeliście już o bohaterstwie Macona, o tym, że zgłosił się na ochotnika, żeby przekazać swojemu towarzyszowi niewoli wiadomość, aby uratować mu życie. Maconowi udało się to zrobić, zapłacił jednak za to własnym życiem. Nie przyszedłem tu jednak po to, aby go wychwalać, gdyż jego czyny same świadczą o nim o wiele lepiej niż najwymyślniejsze nawet

słowa, na jakie potrafiłbym się zdobyć. Jednak kiedy Macon poniósł śmierć, obiecałem sobie, że zadośćuczynię jej w jakiś sposób. Nie wiem jednak w jaki i dlatego przyjechałem do was, żeby poprosić o pomoc...

Waszyngton

Susan Fisher miała złe przeczucia. Od dwóch dni nie widziała Allena Camma, a teraz przysłała właśnie telefoniczna wiadomość, że ona, Susan, ma spotkać się z Cammem w piwnicy magazynu, gdzie znajdowała się „Cela numer jeden” – izolatka, w której pozbawiano więźniów wszelkich wrażeń zmysłowych. Fisher przybyła na miejsce i zjechała windą na dół. Przed zewnętrznymi drzwiami celi numer jeden czekał technik. Dziewczyna próbowała ukryć zdumienie, kiedy zamiast Camma zobaczyła w pokoju obsługi Burke’a – naczelnego dyrektora CIA.

– Proszę usiąść, panno Fisher – powiedział Burke, spoglądając na monitor. W ciemnym pomieszczeniu ktoś był.

Fisher omal nie straciła panowania nad sobą zobaczywszy, że w celi znajduje się skrupowany Camm. Leżał na podłodze, nagi, związany szerokimi pasami, z ochronnym tamponem w ustach. Bujne, szpakowate, starannie przystrzyżone włosy nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Ile czasu tam jest? – spytał Burke jednego z techników.

– Trzydzieści cztery godziny – padła odpowiedź. – Jest twardy. Nie wydaje mi się, żeby szybko usłyszał pan odpowiedzi na swoje pytania.

– Są jeszcze i inni – odparł dyrektor. – Panno Fisher, może pani powie nam coś o „Głębokiej Bruździe”? – Susan rzuciła okiem na ekran i natychmiast zaczęła mówić.

– Nie tutaj, proszę – przerwał Burke. – W innym pokoju. Czeka tam stenografistka. – Jeden z techników zaprowadził dziewczynę na miejsce.

Drugi technik natychmiast otworzył celę, zapalił światło, rozwiązał leżącego i pomógł mu wstać. Ten założył leżący pod ścianą szlafrok i zdjął perukę.

– Nie chciałbym robić tego po raz drugi – powiedział po wyjściu.

– Dziękuję panu za pomoc – odparł Burke. – Wątpię, żeby było to znowu potrzebne. – Oczywiście, za odegranie roli Camma w dźwiękoszczelnym, ciemnym pomieszczeniu agent dostanie dodatkowe wynagrodzenie. Dyrektor CIA dodał jeszcze, że panna Fisher zdała sobie sprawę z tego, że popełniono błąd. Powiedział także, iż oczekuje, że Camm, aby ratować swoją sytuację, okaże się teraz nad wyraz chętny do szczerych zeznań.

– A jeżeli nie, to naprawdę wtrącę tego sukinsyna do celi numer jeden.

Cmentarz zasłużonych w Arlington, stan Virginia

Było zimno. Po grudniowym niebie przesuwwały się wysoko chmury, ograniczając obejmowalną wzrokiem przestrzeń. Oddziaływało to zawsze na wyobraźnię Stansella – widać zasłonę, nasuwa ona jednak myśli o tym, co znajduje się powyżej, czego można sięgnąć i zobaczyć to. Pułkownik czuł, że uroczystości pogrzebowe toczące się swoim zwykłym rytmem oddziałają na niego kojąco. Przy grobie zgromadzili się żałobnicy, przywieziono okrytą flagą trumnę, ustawiła się warta honorowa i ludzie z krzyżami. Czekano, aż rodzina Bryanta zajmie swoje miejsca.

Dewa stała koło Ruperta. Zdawała sobie sprawę z tego, że znajdujący się obok niej mężczyzna zmienił się. Emanował od niego spokój i poczucie pewności siebie. Rahimi popatrzyła w tłum, szukając znajomych twarzy. Nie była zaskoczona, zobaczywszy zbliżającego się generała Cunninghama. Zmierzch stanął z drugiej strony Stansella. On także przyszedł oddać honory zmarłemu bohaterko kapitanowi Jamesowi Bryantowi, zwanemu „Gromem”.

– Dzielnie się spisał – odezwał się Cunningham.

– Wszyscy oni dzielnie się spisali, sir – odpowiedział Rupert.

– Pan także, pułkowniku. – Zaskoczenie na twarzy Stansella mówiło o tym, że jeszcze nie nauczył się żyć z tym faktem, czy może w ogóle nie zdał sobie z niego sprawy. – Dostarczył pan dowodu na to, w co od dawna wierzyłem. Że przy dobrym dowództwie, przygotowaniu i w słusznej sprawie każdy z tych ludzi – generał pokazał szerokim gestem na zebranych żołnierzach – staje się prawdziwym orłem. Task Force Alpha była jednostką orłów. I to dzięki panu. – Cunningham odczekał chwilę, aż pułkownik przyjmie jego słowa. – Proszę przyjść do mnie jutro. Mam dla pana nowe zadania. – Zamilkł, gdyż uroczystość się rozpoczęła.

Kiedy składano flagę, od zachodu zaczęły zbliżać się smugi czterech myśliwców typu F-4 Phantom.

– Grom kochał te stare maszyny – szepnął Rupert. Phantomy nadleciały w szyku ściętego klina, po czym numer trzy odłączył się, odlatując w górę i w bok. Pozostałe leciały dalej przed siebie, z brakującym w szyku miejscem. Był to hołd dla zmarłego towarzysza pilotów. Samotny F-4 wlatywał coraz wyżej. – Jack... – powiedział tylko Stansell, kiedy myśliwiec zniknął w chmurach.

Pogrzeb skończył się i żałobnicy zaczęli rozchodzić się do samochodów. Stansell odprowadził Rahimi do jej wozu. Zatrzymali się, nie dotykając się jednak. Pułkownik zapytał:

– Dewa... czy mamy szansę być razem?

Młoda kobieta wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku.

– Mam nadzieję, że tak, Rupe. – Na razie było miejsce i czas na tyle.

Nad otwartym jeszcze grobem pozostały dwie samotne postaci. Mary Hauser stała bez ruchu, czekając na Carrolla.

– Skończyło się – przywołała go wreszcie do rzeczywistości.

Nie skończyło się jednak. Na zawsze pozostanie w nich pamięć o doktorze Landisie i wszystkich innych; o tym, co przeszli. Oboje zdawali sobie z tego sprawę odchodząc razem ku przyszłości.

Słowniczek nazw i skrótów

AC-130 – amerykański samolot szturmowy, będący zmodyfikowaną wersją dużego, czterośmigłowego transportowca C-130 Hercules. AC-130 posiada między innymi – co jest ewenementem w samolotach – działko kalibru 105 mm, zainstalowane w lewych drzwiach spadochronowych, a także dwulufowe działko 40 mm firmy Bofors zamontowane na obrotowej gondoli.

Agencja Operacji Specjalnych – patrz: JSOA.

AIM-9 Sidewinder – amerykańska rakietka powietrze-powietrze, kierowana na podczerwień. Słowo *Sidewinder* można przetłumaczyć jako boczny wiatr. AIM natomiast to skrót od: *Air Intercept Missile*, czyli powietrzna rakietka przeciwlotnicza. „AIM” to także po angielsku „CEL” – Amerykanie często używają skrótów, które same w sobie coś znaczą.

AWACS – *Airborne Warning and Command System*, czyli latający system ostrzegania i dowodzenia. Zapewnia kontrolę przestrzeni powietrznej i łączność pomiędzy dowódcami. Urządzenia zabudowane są na samolocie E-3 Sentry – „Wartownik” – który jest znacznie zmodyfikowaną wersją pasażerskiego Boeinga 707 wyposażoną w antenę radarową o średnicy dziewięciu metrów.

bandyta – słowo kodowe oznaczające w amerykańskim lotnictwie każdy samolot zidentyfikowany jako nieprzyjacielski.

Biuro Dochodzeń Specjalnych – *Office of Special Investigations*, w skrócie: OSI – agenda amerykańskich Sił Powietrznych zajmująca się rozwiązywaniem spraw kryminalnych oraz kontrwywiadem.

bogie – słowo kodowe oznaczające w amerykańskim lotnictwie każdy samolot, który nie został jeszcze zidentyfikowany.

bojowy patrol powietrzny – *Combat Air Patrol*, w skrócie CAP. Ochronny „parasol” myśliwców lub misja, której zadaniem jest odnalezienie i zniszczenie samolotów nieprzyjaciela.

bomba inteligentna – patrz: GBU.

BTR-60 – ośmiokołowy transporter opancerzony produkcji radzieckiej. Może przewozić od 14 do 16 żołnierzy. Istnieją wersje specjalne dla dowódców oraz łączności.

Czerwona Flaga – nazwa powtarzających się ćwiczeń, odbywających się w bazie Nellis, niedaleko Las Vegas, w stanie Nevada. Podczas „Czerwonej Flagi” symuluje się środowisko i warunki wojenne oraz walkę. Celem ćwiczeń jest wyszkolenie załóg samolotów w poprawnym reagowaniu w warunkach natłoku bodźców zewnętrznych, czyli po prostu – bitewnego chaosu.

DCI – *Director of Central Intelligence*, czyli Dyrektor Centralnego Wywiadu. Jest to mianowana przez prezydenta, a następnie akceptowana przez Senat osoba, kierująca wszystkimi agencjami wywiadowczymi USA. W ramach tego jest także dyrektorem CIA.

DIA – *Defense Intelligence Agency*, czyli Agencja Wywiadowcza (Departamentu Obrony).

dowódca samolotu – jest nim pierwszy pilot i dowodzi samolotem niezależnie od stopnia obecnych na pokładzie oficerów.

Dowództwo Sił Taktycznych – oryg. *Tactical Air Command*, w skrócie: TAC. Kieruje jednostkami myśliwskimi amerykańskich Sił Powietrznych.

Dragon – czyli „Smok”. Odpalana z ramienia rakiet przeciwpancerna średniego zasięgu.

Emis Limit – skrót od: *Emission Limit*, czyli ograniczenie emisji. Przełącznik w F-15E, za pomocą którego można przerwać wysyłanie przez samolot fal elektromagnetycznych, które mogą być wykryte przez nieprzyjaciela – między innymi wstrzymujący działanie radaru.

Flogger – dosł. Chłozzczący. Tak nazywany jest w NATO myśliwiec MiG-23 produkcji radzieckiej. Ma skrzydła w układzie „delta”.

Fort Fuszerka – oryg. *Fort Fumble*. Bardziej popularna w amerykańskim wojsku

nazwa Pentagonu.

GBU – skrót od: *Guided Bomb Unit*, czyli bomba kierowana, inaczej tzw. inteligentna bomba. GBU-12 to bomba dwustudwudziestopięciokilogramowa, kierowana laserem. GBU-15 jest bombą dziewięćsetkilogramową, kierowaną zarówno laserem, jak i obrazem telewizyjnym oraz na podczerwień.

HUD – skrót od: *Head Up Display*, dosł. „wyświetlacz z głową do góry”. Przezroczysty ekran przed pilotem, wyświetlający różne potrzebne informacje, umożliwiające jednoczesne obserwowanie widoku przed kabiną – na przykład nieprzyjacielskiego samolotu.

IFF – skrót od: *Identification – Friend or Foe*, czyli identyfikator swój-obcy. Transponder radarowy wysyłający zakodowane sygnały w odpowiedzi na fale radaru śledzącego samolot, w celu identyfikacji przez własną stronę.

JSOA – skrót od: *Joint Special Operations Agency*, czyli połączona agencja operacji specjalnych. Agenda Pentagonu kierująca elitarnymi amerykańskimi jednostkami z różnych rodzajów wojsk, dla przeprowadzania operacji specjalnych.

Judy – słowo kodowe oznaczające w amerykańskim lotnictwie przejęcie przez załogę samolotu śledzenia samolotu (-ów) nieprzyjaciela, jeśli dotychczas naprowadzał na niego przez radio kontroler ze stacji naziemnej bądź AWACS-a.

LANTIRN – skrót od: *Low Altitude Navigation and Targeting Infrared for Night*, czyli oparty na podczerwieni system do nawigacji i celowania podczas nocnych lotów na małych wysokościach. Do systemu należą zamontowane w dwóch gondolach: „patrzący” do przodu czujnik podczerwieni, radar do śledzenia terenu, korelator obrazu „widzianego” przez raketę i laserowy wskaźnik celu.

LAW – skrót od: *Light Antitank Weapon*, czyli lekka broń przeciwczołgowa. Odpalana z ramienia rakiet przeciwpancerna, skuteczna przeciw lekko opancerzonym i nieopancerzonym pojazdom.

Lis Jeden – oryg. *Fox One* – słowo kodowe używane przez amerykańskich pilotów oznaczające odpalenie rakiety powietrze-powietrze kierowanej radarem.

Lis Dwa – oryg. *Fox Two* – słowo kodowe używane przez amerykańskich pilotów oznaczające odpalenie rakiety powietrze-powietrze kierowanej na podczerwień.

M-203 – amerykański granatnik montowany na ręcznych karabinach maszynowych, wyrzucający granaty kalibru 40 mm.

Mark-82 – amerykańska bomba dwustudwudziestopięciokilogramowa.

Maverick – dosł. „politycznie niezależny”. Amerykańska rakietka powietrze-ziemia, kierowana elektrooptycznie, o twardej, przebijającej pancierz, a jednocześnie eksplodującej głowicy. Niezwykle skuteczna broń przeciwczołgowa.

MPCD – skrót od: *Multi Purpose Color Display*, czyli wielozadaniowy kolorowy wyświetlacz. W kabinie F-15E znajduje się jeden MPCD przed pilotem i dwa przed oficerem uzbrojenia.

MPD – skrót od: *Multi Purpose Display*, czyli wielozadaniowy wyświetlacz monochromatyczny. W kabinie F-15E znajdują się cztery MPD – dwa przed pilotem i dwa przed oficerem uzbrojenia.

MT-1X – amerykański spadochron, a właściwie tzw. spadolotnia – jest prostokątny i miękki, dający się zwijać, a jednocześnie jest lotnią o dużym zasięgu i bardzo dobrej sterowności.

najstarszy stopniem oficer – w obozie jenieckim obejmuje obowiązki dowódcy jeńców.

Oficer Uzbrojenia – oryg. *Weapon Systems Officer* lub w skrócie: WSO, nazywany też potocznie: Wizzo. Drugi członek załogi dwumiejscowych myśliwców. Jest operatorem radaru, bombardierem, radiooperatorem, obsługuje systemy walki elektronicznej, jest obserwatorem i w razie potrzeby drugim pilotem. Z natury rzeczy bardzo ufna osoba.

Pave Tack – wysuwana z komory bombowej F-111F gondola służąca do celowania, w której znajdują się: „patrzący” do przodu czujnik podczerwieni, laserowy wskaźnik celu, komputer i mnóstwo innych urządzeń elektronicznych.

Połączona Agencja Operacji Specjalnych – patrz: JSOA.

Przedni Sterownik – patrz: UFC.

Punkt Początkowy – oryg. *Initial Point*. Możliwie niewielki, łatwy do znalezienia i zidentyfikowania obiekt na ziemi położony w pobliżu celu. Pomaga znaleźć drogę do niego.

radar do śledzenia terenu – patrz: TFR.

RHAW – skrót od: *Radar Homing and Warning*, czyli namierzanie i ostrzeganie przed radarem. Urządzenie ostrzegające lotników przed nieprzyjacielskim radarem.

RPG – radziecki naramienny granatnik przeciwpancerny.

SA-8 – rakietka ziemia-powietrze produkcji radzieckiej, kierowana zarówno radarem, jak i elektrooptycznie, odpalana z samobieżnej kołowej wyrzutni.

SAW – skrót od: *Squad Automatic Weapon*, czyli oddziałowa broń automatyczna. Jest to nowoczesny ręczny karabin maszynowy kalibru 5,56 mm zaprojektowany w Belgii. Samo „SAW” znaczy także „PIŁA”.

Sidewinder – patrz: AIM-9.

Smok – patrz: Dragon.

Snakeye – Oko Węża. Amerykańska dwustudwudziestopięciokilogramowa bomba. Zrzucając ją można wybrać opcję „opóźnienia”, gdzie bomba opada wolniej, dzięki zwiększonemu oporowi powietrza – wtedy wypuszczający ją z małej odległości samolot ma czas uciec przed skutkami jej wybuchu.

TACAN – skrót od: *Tactical Air And Navigation*, czyli taktyczna nawigacja powietrzna. Nazwa radiolatarni, dzięki sygnałom której odbiornik systemu pokazuje kierunek i odległość do niej.

Tallyho – słowo kodowe oznaczające w amerykańskim lotnictwie fizyczne dostrzeżenie innego samolotu czy ewentualnie innego celu.

TEWS skrót od: *Tactical Electronic Warfare System*, czyli taktyczny system walki elektronicznej. Zintegrowany system wykrywający i zwalczający zagrożenie elektroniczne, na przykład zakłócający wskazania radarów nieprzyjaciela.

TFR – skrót od: *Terrain Following Radar*, czyli radar do śledzenia terenu. Dzięki niemu pilot może lecieć na bardzo małej wysokości i szybko, unikając przeszkód terenowych i innych.

TSD – skrót od: *Tactical Situation Display*, czyli wyświetlacz sytuacji taktycznej. Ruchoma, elektroniczna mapa, służąca do nawigacji i jednocześnie do podawania informacji taktycznych.

UFC – skrót od: *Up Front Controller*, czyli górny przedni sterownik. Klawiatura komputerowa, służąca do sterowania różnymi systemami F-15E. Znajduje się przed pilotem bezpośrednio pod HUD-em.

VSD – skrót od: *Vertical Situation Display*, czyli wyświetlacz sytuacji pionowej. Ekran radarowy w F-15 podający pilotowi dane o obserwowanych samolotach, takie jak: prędkość, wysokość i odległość. W F-15E znajduje się ekran radarowy, ale nie VSD.

wyświetlacz sytuacji pionowej – patrz: VSD **wyświetlacz sytuacji taktycznej** – patrz: TSD.

Zasady Podejmowania Walki – oryg. *Rules Of Engagement*, w skrócie: ROE. Zazwyczaj jest to zbiór dobrych pomysłów, stworzonych po to, żeby piloci myśliwscy wrócili żywi do domów. Bywają psute przez polityków.

ZSU-23 – bateria przeciwlotnicza kalibru 23 mm produkcji radzieckiej. Bardzo skuteczna. ZSU-23-4 jest to samobieźna, czterolufowa wersja, nazywana w NATO „Shilka”, zamontowana na gąsienicowym, opancerzonym pojeździe, będącym zmodyfikowaną wersją lekkiego czołgu PT-76. Piloci mają się czego bać – lepiej jej unikać.

Zulu – słowo kodowe oznaczające w amerykańskim wojsku czas Greenwich. Także: słowo oznaczające literę „Z”, w kodzie przyjętym przez Międzynarodową Organizację Lotnictwa Cywilnego.

Podziękowania

Zawsze należą się gorące podziękowania ludziom, którzy pomagają pisarzowi w pracy nad książką. Ja także powinienem je złożyć. Zaciągnąłem dług wdzięczności wobec: podpułkownika Dave'a „Bul'a” Bakera, przez którego pożałowałem, że przeszedłem na emeryturę i przestałem pilotować myśliwce – teraz chciałbym wraz z nim latać na F-15E; podpułkownika w stanie spoczynku Mela Marvela – dzięki niemu mogłem napisać o samolotach AC-130; majorów „Butcha” Younga i Keitha Elliotta – pokazali mi, jakim wspaniałym odrzutowcem jest stary F-111; sierżanta sztabowego Johna Geerlingsa, który spędził całe godziny opowiadając nieznanemu sobie człowiekowi o spadochronach, czym ocalił mnie przed popełnieniem błędu; sierżantowi sztabowemu Alowi Altro – prawdziwemu rangersowi, z krwi i kości.

Pośród wielu, którzy poświęcili mi czas, są także: major John Lerner, major Myke Gable i pierwszy sierżant Erich Zeisler z dywizjonu 431 TES; również sierżant Greg Tolly oraz żołnierze US Army Sacramento East Recruiting Co. Dziękuję też Dennisowi LaClair za możliwość nieograniczonego korzystania z jego biblioteki.

Wreszcie chciałbym złożyć specjalne podziękowania mojemu agentowi, George'owi Wieserowi, oraz Donaldowi I. Fine'owi – redaktorowi i wydawcy ze starej, dobrej szkoły.